

Janet Fitch

Biały oleander

(Przełożył: Tomasz Biedroń)

Od pustyni ciągnął gorący Santa Anas. Ostatnie źdźbła wiosennej trawy zbiegały się w nitki bladej słomy. Tylko oleandry rozkwiwały, ich delikatne trujące kwiaty, ich sztyletowate zielone liście. Nie mogłyśmy spać w gorące, suche noce, moja matka i ja. Obudziłam się o północy i zobaczyłam, że jej łóżko jest puste. Weszłam na dach i od razu zauważyłam jej blond włosy, które w świetle księżyca w trzeciej kwadrze świeciły jak biały płomień.

— Czas oleandrów — powiedziała. — Kochankowie, którzy teraz się pozabijają, zrzucą winę na wiatr. — Podniosła swą dużą dłoń i rozpostarła palce, by przepuścić przez nie wiatr. Moja matka nie była sobą, kiedy wiał Santa Anas. Miałam dwanaście lat i lękałam się o nią. Chciałam, żeby było tak jak kiedyś, żeby był Barry, żeby wiatr przestał wiać.

— Prześpij się trochę — zaproponowałam.

— Ja nigdy nie śpię.

Usiadłam koło niej i patrzyłyśmy na miasto, które buczało i migotało jak kość komputerowa głęboko w jakiejś niepoznawalnej maszynie, strzegąc swego sekretu jak kart w pokerze. Skraj białego kimona powiewał na wietrze i widziałam jej pierś, zwieszoną i pełną. Jej uroda była jak klinga bardzo ostrego noża.

Położyłam głowę na jej nodze. Pachniała fiołkami.

— Jesteśmy buławami — powiedziała. — Dążymy do piękna i równowagi, chcemy, aby zmysłowość zwyciężyła sentymentalizm.

— Buławy — powtórzyłam. Chciałam dać jej znać, że słucham. Nasza talia do tarota, buławy. Wykładała mi karty, tłumaczyła kolory: buławy i monety, puchary i miecze, ale przestała je interpretować. Nie chciała już znać przyszłości.— Nasze ubarwienie zawdzięczamy ludom nordyckim — powiedziała. — Włochatym dzikusom, którzy rąbali swych bogów na kawałki i wieszali mięso na drzewach. To my splądrowaliśmy Rzym. Bój się tylko starczego zniedołężnienia i śmierci w łóżku. Nie zapomnij, kim jesteś.

— Obiecuję — powiedziałam.

Na ulicach Hollywood w dole wyły syreny i piłowały mi nerwy. W powiewach Santa Anas eukaliptusy zapalały się jak gigantyczne świece, oleiste wzgórza chaparralu¹ zajmowały się jak papier, splukując wygłodzone kojoty i sarny we Franklin Boulevard.

Podniosła twarz do osmalonego księżyca, kąpiąc się w świetlistych promieniach.
— Oko kruka.

— Krakers z Ritza — mruknąłam z głową na jej kolanie. Pogłaskała mnie delikatnie po włosach. — To księżyc zdrajcy.

Wiosną ta rana była niewyobrażalna, to szaleństwo, ale leżało na naszej drodze, niewykrywalne jak mina przeciwpiechotna. Nawet nie znałyśmy wtedy nazwiska Barry'ego Kolkera.

Barry. Kiedy się pojawił, był taki mały. Mniejszy niż przecinek, nic nie znaczący jak kasznięcie. Ktoś, kogo spotkała na wieczorze autorskim. W ogrodzie winiarni w Venice. Jak zawsze, kiedy czytała poezję, moja matka była ubrana na białe, jej włosy miały kolor świeżego śniegu na tle lekko opalanej skóry, w cieniu olbrzymiego figowca, którego liście przypominały dłonie. Siedziałam przy stoliku za stertami książek, które miałam sprzedawać po odczycie, cienkich tomików wydanych przez Blue Shoe Press w Austin, stan Teksas. Rysowałam dłonie drzewa i pszczoły, które kłębiły się wokół opadłych fig, jadły sfermentowane od słońca owoce i upijały się, próbowały odlecieć, lecz spadały na ziemię. Jej głos upajał mnie, głęboki i rozgrzany słońcem, ślad obcego akcentu, szwedzki zaśpiew z poprzedniego pokolenia. Każdy, kto ją kiedykolwiek usłyszał, znał siłę tego hipnotycznego głosu.

Po czytaniu ludzie stłoczyli się wokół stolika, dawali mi pieniądze, które wkładałam do pudełka po cygarach, moja matka podpisała kilka tomików. — Ach, życie pisarza — powiedziała ironicznie, kiedy podawali mi wymięte banknoty. Ale kochała wieczory autorskie, tak samo jak kochała długie wieczory ze znajomymi pisarzami, podczas których przy alkoholu i trawce wyżywali się na sławniejszych poetach, a zarazem nienawidziła, tak jak nienawidziła okropnej pracy, którą dostała w czasopiśmie „Cinema

¹ Chaparral — roślinność typu śródziemnomorskiej makii, przystosowana do suchej pory letniej. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Scene", gdzie retuszowała teksty innych pisarzy, opłacanych pięćdziesiąt centów od słowa za wypływanie z siebie bezwstydnymi frazesami, sztampowymi rzeczownikami i bezkrwistymi czasownikami, gdzie moja matka godzinami zadreślała się kwestią, czy postawić przedimek nieokreślony czy określony.

Podpisując tomiki, miała na twarzy zwyczajowy półuśmiech, skierowany bardziej do środka niż na zewnątrz, jakby dziękując wszystkim za przyjście, śmiała się z czegoś w duchu. Wiedziała, że czeka na pewnego mężczyznę, już go wcześniej widziała, nieśmiały blondyn w żołnierskiej bluzie, stał z tyłu i patrzył na nią bezradny, upojony. Mając za sobą dwanaście lat doświadczeń jako córka Ingrid, rozpoznałabym ich nawet we śnie.

Jakiś kłocowaty mężczyzna, z ciemnymi, kręconymi włosami związanymi w kucyk, przepchnął się przez tłum i podał swój tomik do podpisania. — Barry Kolker. Kocham pani wiersze — powiedział. Podpisała tomik i oddała, nawet nie spojrzawszy mu w twarz. — Co pani robi potem?

— Mam randkę — powiedziała, sięgając po następny tomik do podpisania.

— A potem? — spytał. Spodobała mi się jego pewność siebie, ale nie był w jej typie: pucołowaty brunet, ubrany w coś, co przypominało mundur Armii Zbawienia.

Pragnęła nieśmiałego blondyna, znacznie młodszego od niej, który też chciał zostać poetą. Oczywiście. To on poszedł z nami do domu.

Leżałam na materacu na zabudowanej werandzie i czekałam, aż sobie pójdzie, obserwowałam, jak błękit wieczoru przechodzi w aksamit, indygo zwlekało z odejściem jak niewypowiedziana nadzieja, podczas gdy moja matka i blondyn mruzcili coś do siebie na drugim końcu werandy. W powietrzu unosiła się woń kadzidełka, które przywozła z Little Tokyo, drogie, bez żadnej słodyczy, pachniało drewnem i zieloną herbatą. Na niebie pojawiła się garść gwiazd, lecz w LA były jakieś inne konstelacje, więc połączyłam je w nowe układy: Pająk, Fala, Gitara.

Kiedy sobie poszedł, weszłam do dużego pokoju. Siedziała po turecku na łóżku w białym kimonie i pisała coś w notesie piórem zanurzonym w kałamarzu. — Nigdy nie pozwól mężczyźnie zostać na noc — powiedziała. — W świetle świtu pryska magia nocy.

Magia nocy, jak to pięknie brzmiało. Brakowało mi dwóch miesięcy do trzynastu

lat – wkrótce będę miała kochanków, a potem napiszę wiersz. Patrzyłam na białe oleandry, które postawiła tego ranka na stoliku, trzy kwiaty symbolizowały niebo, człowieka i ziemię, pomyślałam o muzyce ich głosów w ciemnościach, ich ściszonej śmiechu, zapachu kadzidelka. Dotknęłam kwiatów. Niebo, człowiek. Czułam, że zaczynam się wypowijać z czegoś, co otulało mnie jak muślin.

Przez całe to lato chodziłam z nią do redakcji czasopisma. Nigdy nie myślała wystarczająco perspektywicznie, żeby posłać mnie na obóz i nigdy nie wspominała o szkole letniej. Sama szkoła nawet mi się podobała, ale próby dopasowania się do innych dziewcząt były dla mnie torturą. Dziewczęta w moim wieku należały do zupełnie innego gatunku, ich problemy były mi tak obce jak Dogoni z Mali. Siódma klasa była szczególnie bolesna i czekałam na chwilę, kiedy znów będę z matką. Dział graficzny „Cinema Scene”, z piórami, karuzelą kolorowych kredek, arkuszami papieru wielkości stołu, pergaminem i kartkami papieru w kropki, był moim rajem. Lubiłam, kiedy dorośli zapominali o mojej obecności i mówili najniezwyklejsze rzeczy. Tego lata autorzy i dyrektor artystyczny, Marlene, plotkowali o romansie pomiędzy wydawcą a redaktorem naczelny pisma.

— Dziwny przypadek szaleństwa wywołanego Santa Anas — skomentowała moja matka od stołu do makietowania. — Ta dziobata anorektyczka i meksykański piesek z tupecikiem. To już nawet nie jest śmieszne. Dzieci nie wiedziałyby, czy mają gadać, czy czekać.

Roześmiali się. Moja matka mówiła na głos to, co inni myśleli.

Siedziałam przy pustym stole kreślarskim obok matki, rysując żaluzje krojące światło jak ser. Czekałam, co dalej powie moja matka, ale z powrotem nałożyła słuchawki na uszy — to było jak kropka na końcu zdania. W ten sposób makietowała, słuchając przez słuchawki egzotycznej muzyki i udając, że jest gdzieś daleko w aromatycznym królestwie ognia i cieni, a nie siedzi przy stole kreślarskim w czasopiśmie filmowym i makietuje wywiady z aktorami za osiem dolarów na godzinę. Skupiła się na ruchu stalowego nożyka introligatorskiego Olfy, krojąc wydruki. Długie paski papieru przywierały do noża.

— Kroję ich skórę — powiedziała. — Skórę bezpłciowych grafomanów, którą przeszczepiam na szpalty, stwarzając potwory bezsensu.

Autorzy roześmiali się bez przekonania.

Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy wszedł Bob. Opuściłam głowę i użyłam przykładnicy, jakbym była zajęta czymś służbowym. Jak na razie nic nie powiedział na temat mojego przychodzenia z matką do pracy, ale Marlene, dyrektor artystyczny, poradziła mi: „Lataj nisko, żeby radary cię nie wykryły”. Nie zauważał mnie. Tylko moją matkę. Przyszedł, stanął obok jej stołka i czytał jej przez ramię. Chciał po prostu postać blisko niej, dotknąć jej włosów białych jak mleko lodowca, spróbować zajrzeć pod bluzkę. Widziałam odrazę na jej twarzy, gdy się pochylił, a potem, jakby dla złapania równowagi, położył rękę na jej udzie.

Udała, że szarpnęła się zaskoczona i jednym oszczędnym ruchem rozcięła mu przedramię Olfą.

Spojrzał zdziwiony na nitkę krwi, która zaczęła wykwitać mu na przedramieniu.

— Och, Bob! — powiedziała. — Przepraszam, nie zauważyłam cię. Nic ci się nie stało? — Lecz po spojrzeniu słonecznikowych oczu, którym go obdarzyła, poznał, że najchętniej poderżnęłaby mu gardło.

— Nic takiego, drobny wypadek przy pracy. — Poniżej rękawa koszuli polo widać było kilkucentymetrowe rozcięcie. — Drobny wypadek przy pracy — powtórzył trochę głośniej, jakby chciał wszystkich uspokoić, i wrócił do swojego gabinetu.

Na obiad pojechaliśmy na wzgórze i zaparkowałyśmy w na-krapianym cieniu dużego płąta, którego pylista biała kora wyglądała jak ciało kobiety na tle błękitu nieba. Jadłyśmy jogurty z kubków i słuchałyśmy z kasety Anne Sexton, czytającą swoją poezję z tym ciężkim, ironicznym amerykańskim akcentem, od którego przechodziły ciarki. Czytała o tym, że jest w szpitalu psychiatrycznym i dzwoni dzwonkami. Moja matka zatrzymała kasetę. — Powiedz mi następny wers.

Lubiłam, kiedy matka chciała mnie czegoś nauczyć, kiedy zwracała na mnie uwagę. Tak często pozostawała dla mnie niedostępna, chociaż z nią byłam. Zawsze gdy kierowała na mnie swój skupiony wzrok, czułam to ciepło, które czują kwiaty przebijające się przez śnieg: pierwsze skoncentrowane promienie słońca.

Nie musiałam się specjalnie wysilać, żeby odpowiedzieć. To było jak piosenka,

światło sączyło się przez platan, kiedy szalona Annę dzwoniła dzwonkiem, w tonacji i B-dur, i moja matka skinęła głową.

— Zawsze ucz się wierszy na pamięć — powiedziała. — Muszą wejść ci w krew. Jak fluor w wodzie, ochronią twoją duszę przed powolnym rozkładem, który toczy świat.

Wyobrażałam sobie, że moja dusza wchłania te słowa jak krzemianowa woda w Skamieniałym Lesie, zamienia moje drewno we wzorzysty agat. Lubiłam, kiedy moja matka w ten sposób mnie kształtowała. Pomyślałam, że glina musi czuć się szczęśliwa pod ręką dobrego rzeźbiarza.

Po południu redaktor naczelna zeszła do działu graficznego, wlokąc za sobą tiule wschodnich pachnideł, które wisiały w powietrzu jeszcze długo po jej odejściu. Kit, chuda kobieta o zbyt jasnych oczach i nerwowych gestach przestraszonego ptaka, szeroko uśmiechała się jasnoczerwoną szminką, krążąc po pokoju, sprawdzając projekt graficzny, układ stron, czytając mojej matce przez ramię i wskazując błędy. Moja matka odrzuciła włosy do tyłu, jak kot, który przyczaja się, zanim cię podrapie.

— Tyle włosów — powiedziała Kit. — Czy to nie jest niebezpieczne przy twojej pracy? Zwłaszcza w pobliżu niszczarki. — Fryzurę miała geometryczną, włosy pofarbowane na atra-mentowoczarny kolor i podgolone na karku.

Moja matka nie odpowiedziała, lecz upuściła nożyk Olfy, który wbił się w blat biurka jak oszczep.

Po wyjściu Kit matka zwróciła się do dyrektora artystycznej: ■— Jestem pewna, że wolałaby, abym się ostrzygła na rekruta i pofarbowała na taki sam asfaltowy kolor jak ona.

— „Pięknie lśniące włosy wampa w trzy minuty” — powiedziała Marlene, parodiując reklamę.

Nie podniosłam oczu. Wiedziałam, że jesteśmy tam tylko ze względu na mnie. Gdyby nie ja, matka nie musiałaby się zatrudniać do takich prac. Byłaby pół planety stamtąd, pływała w turkusowym morzu, tańczyła w świetle księżyca przy muzyce flamenco. Za bardzo się wstydziłam, żeby coś powiedzieć.

Tego wieczoru wyszła z domu sama. Rysowałam przez godzinę, zjadłam kanapkę z masłem orzechowym i majonezem, a potem poszłam do Michaela, który mieszkał obok, i

zapukałam do drzwi. Odsunęły się trzy zasuw.

— Królowa Krystyna. — Uśmiechnął się, łagodny, delikatny mężczyzna mniej więcej w wieku mojej matki, lecz opuchnięty i blady od picia i rzadkiego przebywania na powietrzu. Sprzątnął

11z sofy stertę brudnych ubrań i kilka egzemplarzy „Variety”, żeby mogła usiąść.

Mieszkanie bardzo się różniło od naszego, pełno w nim było mebli, pamiątek i plakatów filmowych, wszędzie wałało się „Variety”, gazety i butelki po winie, na parapetach krzewiły się krzaki pomidorów, które wyciągały się w stronę szyby po odrobinę światła. Nawet za dnia było tam ciemno, bo okna wychodziły na północ, ale dzięki temu Michael miał wspaniały widok na napis HOLLYWOOD—dlatego zresztą zdecydował się tam zamieszkać.

— „Znów śnieg” — powiedział za Gretą Garbo, tak samo jak ona odchylając głowę do tyłu. — „Wieczny śnieg”. — Podał mi miseczkę z ziarnem słonecznika. — Jestem Garbo,

Chrupałam zębami słonecznik i zrzuciłam ze stóp gumowe sandały, które nosiłam od kwietnia. Nie mogłam powiedzieć matce, że znowu wyrosłam z butów. Nie chciałam jej przypominać, że to z mojego powodu nie może nadążyć z opłacaniem rachunków za prąd, że to z mojego powodu wczepia się w szyby okien jak umierające pomidory Michaela. Była piękną kobietą, która wlokła za sobą kaleką nogę, i to ja byłam tą nogą. Byłam ceglami wszytymi w jej ubrania, byłam stalową suknią.

— Co ostatnio czytasz?—spytałam Michaela. Był aktorem, ale niewiele pracował, nie chciał grać w telewizji, więc zarabiał na życie głównie nagrywaniem książek na taśmy. Ze względu na związki zawodowe musiał to robić pod pseudonimem, Wolfram Malevich. Słyszałyśmy go każdego ranka, bardzo wcześnie, przez ścianę. Znał z wojska niemiecki i rosyjski, pracował w wywiadzie wojskowym, dawali mu więc autorów niemieckich i rosyjskich.

— Opowiadania Czechowa. — Pochylił się do przodu i podał mi książkę ze stolika. Pełno tam było notatek, podkreśleń i nalepionych żółtych karteczek.

Przekartkowałam książkę. — Moja matka nie znosi Czechowa. Mówi, że każdy, kto go przeczyta, zrozumie, dlaczego musiało dojść do rewolucji.

— Twoja matka. — Michael uśmiechnął się. — A wiesz, myślę, że mógłby ci się spodobać. U Czechowa jest taka cudowna

12melancholia. — Oboje odwróciliśmy się w stronę telewizora, żeby nie uronić najlepszej kwestii z *Królowej Krystyny*, powiedzieliśmy wraz z Garbo: — „Śnieg jest jak białe morze, można by pójść i zanurzyć się w nim... i zapomnieć o świecie”.

Pomyślałam o mojej matce jako o królowej Krystynie, chłodnej i smutnej, ze wzrokiem utkwionym w dalekim horyzoncie. Tam było jej miejsce, wśród futer, statków ze szwedzkiego klonu, pałaców pełnych rzadkich skarbów, ogromnych kominków, w których można by upiec renifera. W głębi duszy najbardziej bałam się tego, że kiedyś odnajdzie drogę do Szwecji i już nigdy stamtąd nie wróci. Dlatego kiedy wychodziła z domu w takie wieczory, zawsze na nią czekałam, nieważne, do której godziny, musiałam usłyszeć zgrzytanie klucza w zamku, znów poczuć jej fiołkowe perfumy.

I starałam się nie pogarszać sprawy, prosząc o różne rzeczy, wikłając ją w swoje myśli. Widziałam dziewczęta, które dopominały się o nowe ubrania i narzekały, że nie smakuje im przygotowana przez matkę kolacja. Zawsze się za nie wstydziłam. Nie wiedzą, że są swoim matkom kulami u nogi? Czy łańcuchy nie wstydzą się wobec swych więźniów?

Ale też zazdrościłam im tego, że matki siadały na ich łózkach i pytały je o wszystko. Ja w ogóle nie interesowałam mojej matki. Często sobie myślałam, że traktuje mnie trochę jak pieska, którego można przywiązać przed sklepem, albo jak papugę noszoną na ramieniu.

Nigdy jej nie powiedziałam, że chciałabym mieć ojca, że chciałabym pojechać w lecie na obóz, że czasami się jej boję. Obawiałam się, że odleci i zostanie sama, wezmą mnie do zakładu, w którym będzie za dużo dzieci, za dużo zapachów, gdzie do piękna, milczenia i upojenia jej słowami wzlatującymi w powietrze będę miała tak daleko jak na Saturna.

Za oknem blask neonu HOLLYWOOD nieco się rozmazywał w czerwcowej mgle, delikatnej wilgoci nad wzgórzami, która niosła zapach szałwi, zraszała szybę marzeniami.

13Przysła o drugiej, po zamknięciu barów, sama, na chwilę ukoiszy wewnętrzny niepokój. Usiadłam na jej łóżku, patrzyłam, jak się przebiera, adorując każdy gest. Kiedyś ja będę robiła to samo, skrzyżuję ramiona i zdejmę sukienkę przez głowę, machnę nogą i

zrzucę buty na wysokich obcasach. Nałożyłam je i podziwiałam na swoich stopach. Były tylko trochę za duże, jeszcze rok, a będą pasowały. Usiadła koło mnie, podała mi szczotkę i czesałam na gładko jej blade włosy, malując powietrze fiołkami.

— Znów widziałam kozła — powiedziała.

— Jakiego kozła?

— Z sadu winnego, pamiętasz? Uśmiechnięty bożek Pan, spod spodni wyzierają rozszczepione kopyta.

Widziałam nas obie w okrągłym lustrze na ścianie, długie rozpuszczone włosy, niebieskie oczy. Kobiety nordyckie. Kiedy nas takie widziałam, prawie sobie przypominałam łowienie ryb w zimnym, głębokim morzu, zapach dorszy, popiół ognisk, filcowe buty i nasz dziwny alfabet, runiczne litery jak patyki, język jak oranie pól.

— Gapił się na mnie przez cały czas — powiedziała. — Barry Kolker. Marlene mówi, że on pisze osobiste eseje. — Jej piękne wargi zamieniły się w długie przecinki dezaprobaty. — Był z tą aktorką z *The Cactus Garden*, Jill Lewis.

Jej białe włosy, jak niekrochmalony jedwab, przepływały przez nastroszoną szczotkę.

— Z tym tłustym kozłem! Wyobrażasz sobie? — Wiedziałam, że ona nie umie sobie tego wyobrazić. Piękno było dla mojej matki prawem, religią. Każdy mógł robić to, co chciał, pod warunkiem, że był piękny, że robił wszystko pięknie. Jeśli nie — nie istniał. Wbijiała mi to do głowy od najmłodszych lat. Zdążyłam jednak zauważyć, że rzeczywistość nie zawsze naginała się do wyobrażeń mojej matki.

■— Może on jej się podoba — powiedziałam.

— Musi być niepoczytalna — odparła moja matka. Zabrała mi szczotkę i mocno ją przyciskając, zaczęła czesać moje włosy.

14— Mogłaby mieć każdego mężczyznę, którego by zechciała. Intrygujące.

Widziała go znowu w swoim ulubionym barze dla artystów w centrum koło torów, bez szyldu. Widziała go na przyjęciu w Silverlake. Skarżyła się, że gdziekolwiek pójdzie, wszędzie spotyka kozła.

Pomyślałam, że to tylko zbieg okoliczności, ale pewnego wieczoru w teatrze plenerowym w Santa Monica, gdzie poszliśmy obejrzyć jej znajomego, który tłukł butelki

z wodą mineralną Sparkletts i bredził coś o suszy, ja też go zobaczyłam, cztery rzędy z tyłu. Cały czas próbował nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Machnął do mnie ręką, a ja odmachalam, dyskretnie, żeby nie widziała.

Po spektaklu chciałam z nim porozmawiać, ale szybko pociągnęła mnie do wyjścia.
— Nie zachęcaj go — syknęła.

Kiedy pojawił się na przyjęciu z okazji rocznicy założenia „Cinema Scene”, musiałam przyznać jej rację, że za nią chodzi. Impreza odbywała się na dziedzińcu starego hotelu przy Strip. Upał zaczynał się rozpraszać. Kobiety miały na sobie skąpe sukienki, moja matka wyglądała jak ćma w białym jedwabiu. Przepisnęłam się przez tłum do stołu z przekąskami, szybko napchałam torebkę rzeczami, które mogły wytrzymać kilka godzin poza lodówką — kleszcze kraba, szparagi, wątróbka w bekonie —kiedy zobaczyłam Barry'ego, jak nakładał sobie na talerz krewetki. On też mnie zobaczył i natychmiast omiół tłum wzrokiem w poszukiwaniu mojej matki. Stała kilka metrów za mną, piła białe wino i rozmawiała z Milesem — fotoedytorem, wymi-zerowanym Anglikiem ze szczecina na twarzy i palcami poplamionymi nikotyną. Jeszcze nie zauważyła Barry'ego. Ruszył w jej stronę przez tłum. Ja deptałam mu po piętach.

— Ingrid — powiedział Barry, dołączając do jej dwuosobowego kółeczka. — Szukałem pani. — Na jego twarzy wykwitł uśmiech. Jej oczy okrutnie smagały jego przekrzywiony krawat w kolorze musztardowym, brązową koszulę opiętą na brzuchu,

15nierówne zęby, krewetki w pulchnej dłoni. Słyszałam lodowate wiatry Szwecji, lecz on zdawał się nie czuć tego chłodu.

— Myślałem o pani — powiedział, podchodząc jeszcze bliżej.

— Proszę, nie — powiedziała.

— Jeszcze zmieni pani o mnie zdanie. — Dotknął palcem nosa, mrugnął do mnie i przeszedł do innej grupki ludzi, objął ramieniem ładną dziewczynę i pocałował ją w szyję. Moja matka odwróciła się od tego widoku. To zaprzeczała wszystkiemu, w co wierzyła. W jej wszechświecie takie rzeczy się nie zdarzały.

— Znasz Barry'ego? -^- spytał Miles.

— Kogo?

Tej nocy nie mogłam spać. Zeszliśmy do basenu w naszym bloku i powoli,

powściągliwie pływałyśmy pod lokalnymi gwiazdami — Kleszcze Kraba, Gigantyczna Krewetka.

Moja matka pochyliła się nad stołem do makietowania, energicznie wycinając litery bez linijki. — To jest zen — powiedziała. — Bezbłędnie, bez chwili wahania. Okno na łaskę. — Sprawiała wrażenie autentycznie szczęśliwej. Czasami tak się zdarzało, że kiedy makietowanie dobrze jej szło, zapominała o tym, gdzie jest, dlaczego tam jest, gdzie wcześniej była i gdzie wolałaby być, zapominała o wszystkim prócz daru idealnie prostego wycinania od ręki — czysta rozkosz, którą odczuwała też po napisaniu pięknej frazy.

Wtedy jednak zobaczyłam coś, czego ona nie widziała: kozła wchodzącego do pokój u produkcji. Nie chciałam być osobą, która zepsuje jej chwilę, kiedy spłynęła na nią łaska, toteż dalej robiłam chińskie drzewko z kropkowanego papieru i fotosów z „Salaam Bombay” o nieodpowiednim formacie. Kiedy podniosłam na chwilę wzrok, spojrzał na mnie i położył sobie palec na ustach. Potem podkradł się za jej plecami i poklepał ją w ramię. Okręciła się na krześle i myślałam, że wypruje mu wątrobę, ale miał w ręce coś, co ją powstrzymało, małą kopertę, którą położył na stole.

— Dla pani i pani córki — powiedział.

Otworzyła ją i wyjęła dwa bilety, niebiesko-białe. Jej milczenie, gdy je oglądała, zdziwiło mnie. Gapiała się na bilety, potem na niego, stukając ostrym końcem Olfy w gumowy blat stołu — ostra strzałka wbijała się za każdym razem na niewielką głębokość.

— Tylko koncert — powiedziała. — Żadnej kolacji, żadnych tańców.

— Zgoda — powiedział, ale widziałam, że jej nie wierzy. Jeszcze jej nie znał.

Był to koncert orkiestry gamelan* w muzeum sztuki. Teraz wiedziałam, dlaczego się zgodziła. Zastanawiałam się tylko, skąd wiedział o tej jednej jedynej propozycji, której ona by nie odrzuciła? Schował się w oleandrach rosnących wokół naszego mieszkania? Przeprowadził wywiad wśród jej znajomych? Przekupił kogoś?

Noc iskrzyła, gdy moja matka i ja czekałyśmy na niego na dziedzińcu muzeum. W upale wszystko zamieniało się w statyczną elektryczność. Przeczesałam włosy, żeby popatrzeć, jak sypią iskrami.

Zmuszona do czekania, moja matka wykonywała rękami krótkie, gwałtowne ruchy. — Spóźnia się. Coś okropnego. Powinam była to przewidzieć. Pewnie parzy się na jakiejś łące z kozami. Przypominaj mi, żebym się nie umawiała z czworonogami.

Wciąż miała na sobie ubranie z pracy, choć zdążyłaby się przebrać, gdyby chciała. Był to znak, że to nie jest prawdziwa randka, że to nic nie znaczy. Wokół nas kobiety w jasnych jedwabiach, spowite falującym bukietem drogich perfum, spozierały na nią krytycznym okiem. Mężczyźni podziwiali ją, uśmiechali się, gapili. Odwzajemniała spojrzenia, niebieskie oczy płonęły, aż w końcu natręci czuli się niezręcznie i odwracali wzrok.

— Mężczyźni — powiedziała. — Nawet najbardziej nieape-tyczny wyobraża sobie, że jest czegoś wart.

Po drugiej stronie placu zobaczyłam Barry'ego, tułów podska-

* Gamelan - pierwotna orkiestra perkusyjna mieszkańców Jawy.

17kiwał na krótkich nóżkach. Barry wyszczerzył górne zęby, między którymi miał szparę.

— Przepraszam, ale ruch taki, że katastrofa.

Moja matka odwróciła się od tych przeprosin. Tylko gońcy się tłumaczą, uczyła mnie. Nigdy nie przepraszaj, nigdy się nie tłumacz.

Orkiestra gamelan składała się z dwudziestu niskich mężczyzn klęczących przed misternie rzeźbionymi zestawami kurantów, gongów i bębnów. Zaczął bęben, po chwili dołączył do niego jeden z niższych zestawów kurantów. Potem dźwięk zaczął narastać, nabrzmiewać kolejnymi instrumentami. Wyłoniły się rytmy, coraz bardziej rozbudowane, splecione jak liany. Moja matka powiedziała, że gamelan wytwarza u słuchacza fale mózgowy wykraczające poza wszystkie alfy, bety i tety, fale, które zatykają normalne kanały myślenia i wykopują inne, w nietkniętych obszarach mózgu, jak równoległe naczynia krwionośne, które tworzą się, by ułatwić pracę uszkodzonemu sercu.

Zamknęłam oczy, aby pooglądać maleńkich tancerzy, którzy jak inkrustowane klejnotami ptaki, przecinali ciemny ekran moich powiek. Zabrali mnie stamtąd, mówili do mnie językami, w których nie było słów na określenie dziwnych matek z lodo-

woniebieskimi oczami, mieszkań z krzykliwymi fasadami i uschłymi liśćmi w basenie.

Po koncercie publiczność złożyła krzesła z aksamitnymi siedzeniami i zaczęła tłoczyć się do wyjścia, lecz moja matka nie ruszyła się z miejsca. Siedziała na krześle z zamkniętymi oczami. Chciała wyjść na końcu. Brzydziła się tłumami i poglądami wyrażanymi po koncertach albo, jeszcze gorzej, rozprawianiem o tym, jak długo trzeba czekać w kolejce do ubikacji i gdzie byś chciała pójść coś zjeść? Wybijało ją to z nastroju. Wciąż przebywała w tym innym świecie, zawsze zostawała tam jak najdłużej, równoległe kanały wiły się i drażyły jej korę mózgową jak rafę koralową.

■— Już koniec — powiedział Barry.

Podniosła rękę, żeby nic nie mówił. Spojrzał na mnie, a ja wzruszyłam ramionami. Byłam do tego przyzwyczajona. Zaczę-

18kałyśmy, aż w sali koncertowej zgaśnie ostatni dźwięk. Wreszcie otworzyła oczy.

— Chciałaby pani coś przegryźć? — spytał ją.

— Ja nigdy nie jem.

Byłam głodna, lecz kiedy moja matka zajęła jakieś stanowisko, nigdy od niego nie odstępowała. Pojechałyśmy do domu, gdzie zjadłam tuńczyka z puszki, a ona napisała wiersz, oparty na rytmach gamelanu, na temat teatrzyku cieni i bogów przypadku.

Latem tego roku, kiedy skończyłam dwanaście lat, lubiłam wędrować po kompleksie, w którym magazyn filmowy miał swoje biura. Nazywało się to Crossroads of the World*, z dziedzińcem z roku 1920 i liniowcem oceanicznym w stylu art deco na środku. Do liniowca wprowadziła się agencja reklamowa. Siedziałam na kamiennej ławce i rysowałam Freda Astaire'a opartego o miedziany reling liniowca, w czapce marynarskiej i niebieskim blezerze.

Wokół brukowanego cegłą dziedzińca stał wieniec fantazyjnych domków zbudowanych w stylach od braci Grimm po Don Kichota, wynajmowanych przez studia fotograficzne, agencje castingowe, zakłady poligraficzne. Naszkicowałam roześmianą Carmen, która przeciągała się pod zwisającym koszem czerwonych geranium w sewilskich drzwiach agencji modelek i skromną Gretchen z warkoczem, która miotłą z witek zamiatała germańskie stopnie studia fotograficznego.

Rysując, patrzyłam na wysokie, piękne dziewczęta wychodzące z tych drzwi,

kursujące między agencją i studiem, gdzie zostawiały trochę swych pieniędzy, ciężko zarobionych doryw-

* Crossroads of the World (ang.) – Skrzyżowanie Świata.

19czą pracą kelnerki czy sekretarki, aby pchnąć do przodu swoją karierę. To jeden wielki szwindel, powiedziała moja matka, i chciałam im to powtórzyć, lecz ich piękno działało na mnie jak czarodziejski urok. Cóż złego może w życiu spotkać takie dziewczyny, długonogie, w obcisłych spodniach i półprzezroczystych letnich sukienkach, o krystalicznych oczach i rzeźbionych twarzach? Upał godziny jedenastej przed południem nie dotyczył ich, żyły w innym klimacie.

Około jedenastej w wyłożonej kafelkami klatce schodowej „Cinema Scene” pojawiła się moja matka, toteż zamknęłam notes, sądząc, że jedziemy na wczesny lunch. Nie poszliśmy jednak do samochodu, lecz na róg ulicy, gdzie obok starego zielonego jaguara sedana czekał Barry Kolker. Miał na sobie jasną marynarkę w kratkę.

Moja matka zamknęła oczy. — Ta marynarka jest taka ohydna, że nie mogę na ciebie patrzeć. Ukradłeś ją jakiemuś umrzykowi?

Barry uśmiechnął się szeroko, otwierając drzwi mnie i mojej matce.

— Nie byłaś nigdy na wyścigach? Trzeba mieć na sobie coś krzykliwego. Taka tradycja.

— Wyglądasz jak sofa w domu starców — powiedziała, gdy wsiadłyśmy. — Dzięki Bogu nie zobaczy mnie z tobą nikt znajomy.

Nigdy wcześniej nie byłam na torze wyścigowym. Matce nie przyszłoby do głowy, żeby mnie tam zabrać — pod gołym niebem, konie, nikt nie czyta książki, nikt nie myśli o Pięknieniu ani Losie.

— Normalnie bym tego nie robiła — powiedziała moja matka — ale pomysł ze skradzioną godziną jest po prostu rozkoszny.

— Spodoba ci się — odparł Barry. — Zbyt ładny dzień, żeby siedzieć w tej hali fabrycznej.

— Zawsze jest zbyt ładny dzień.

Wyjechaliśmy z Hollywood autostradą w kierunku na Cahu-enga, na północ do Doliny, potem skręciliśmy na wschód w stronę Pasadena. Upał leżał na mieście jak

pokrywka.

Santa Anita znajdowało się u podnóża gór San Gabriel, litej

20ściiany niebieskiego granitu podobnej do fali pływowej. Jasne rabaty kwiatowe i idealnie przyszyżone zielone trawniki nasycaly ciężkim aromatem powietrze gęste od dymu i spalin. Moja matka szła trochę przed Barrym i udawała, że go nie zna, dopóki nie zdała sobie sprawy, że wszyscy są ubrani tak jak on, w białe buty i zielony poliester.

Konie były dobrze wyregulowanymi maszynami na stalowych sprężynach, błyszcząły metalicznie, a satynowe koszule dżokejów lśniły w słońcu, gdy prowadzili swoje wierzchowce wokół toru. Każdy koń miał do towarzystwa starszego, stateczniejszego partnera. Konie były podenerwowane obecnością dzieci przy ogrodzeniu, chorągiewkami, upałem.

— Wybierz sobie konia — powiedział Barry do mojej matki. Wybrała numer siedem, siwą klacz, ze względu na jej imię:

Chluba Medei.

Dżokeje mieli problemy z doprowadzeniem koni do wejścia na tor, ale na linii startowej zwierzęta stanęły już zdyscyplinowane.

— Szybciej, siódemka — wrzeszczałyśmy. — Szczęśliwa siódemka.

Wygrała. Moja matka roześmiała się i uściskała mnie, uściskała Barry'ego, nigdy jej takiej nie widziałam, podnieconej, roześmianej, wyglądała tak młodo. Barry postawił w jej imieniu dwadzieścia dolarów i teraz dał jej pieniądze, sto dolarów.

— Może zjemy kolację? — spytał.

Tak, modliłam się. Błagam, powiedz: tak. W końcu jak mogła mu teraz odmówić?

Poszliśmy na kolację do pobliskiej Surf 'N' Turf, gdzie Barry i ja zamówiliśmy sałatki, średnio wysmażone steki i pieczone ziemniaki ze śmietaną, a moja matka tylko kieliszek białego wina. Taka była Ingrid Magnussen. Wymyślała na poczekaniu reguły i nagle ukazywały się one wykute na kamiennych tablicach, jakby ktoś przyniósł je z jaskini znad Morza Martwego, były wypisane na zwojach z epoki dynastii Tang.

Przy kolacji Barry opowiedział nam o swych podróżach po Dalekim Wschodzie, gdzie nigdy nie byliśmy. O tym, jak zamó-

21wił czarodziejskie grzyby z menu w drewnianej budzie koło plaży na Bali, co

skończyło się tym, że wędrował, po turkusowym wybrzeżu i majaczył o raj. O podróży z tajskimi przemytnikami opium do świątyni Angkor Wat w kambodżańskiej dżungli. O tygodniu spędzonym w pływających burdelach Bangkoku. Zupełnie o mnie zapomniał, był zbyt zajęty hipnotyzowaniem mojej matki. W jego głosie słychać było goździki i słowiki, prznosił nas na targi korzenne Celebesu, pływaliśmy razem z nim na łodzi mieszkalnej pod kaszmirskim księżycem. Byliśmy jak kobry, które wędrują za dźwiękiem trzciniowego fletu.

Przy wsiadaniu do samochodu pozwoliła, by objął ją w tali.

Barry zaprosił nas na kolację do siebie, powiedział, że chciałby ugotować jakieś indonezyjskie potrawy, które nauczył się przyrządzać, będąc w tym kraju. Czekałam całe popołudnie, aby jej powiedzieć, że nie czuję się dobrze, że powinna pojechać beze mnie. Chciałam, żeby Barry okazał się „tym” człowiekiem, który nas nakarmi, utuli i uczyni realnymi.

Spędziła godzinę na przymierzaniu ubrań: biała indyjska pidżama, niebieska muślinowa sukienka, ananasy, dziewczyny tańczące hula. Nigdy nie widziałam jej takiej niezdecydowanej.

— Niebieska — powiedziałam. Była nisko wcięta pod szyją, a kolor pasował do jej oczu. Nikt nie potrafił jej się oprzeć, kiedy była w niebieskiej sukience.

Wybrała indyjską pidżamę, która zakrywała każdy centymetr jej złotej skóry. — Wróć wcześniej — oznajmiła.

Leżałam na jej łóżku, kiedy poszła, i wyobrażałam sobie ich razem, duet dźwięcznych głosów o zmierzchu nad rijstaffel. Nie jadłam tego, odkąd wyjechałyśmy z Amsterdamu, gdzie mieszkaliśmy, kiedy miałam siedem lat, ale zapach rijstaffel spowijał tam całą okolicę. Moja matka zawsze mówiła, że powinniśmy pojechać na Bali. Wyobraziłam sobie nas w domu ze spadzistym dachem, patrzymy na zielone ryżowe terasy i nieziemsko przejrzyste morze, budzimy się na dźwięk dzwonek i odgłosy beczenia kóz.

Po chwili zrobiłam sobie kanapkę z serem i żurawiną, a potem

22poszłam do Michaela. Był w połowie butelki czerwonego wina od Trader Joe's — nazywał je „szpan dla biedaków”, ponieważ miało korek — i płakał, oglądając film z

Laną Turner. Nie lubiłam Lany Turner i nie mogłam znieść widoku zdychających pomidorów, czytałam więc Czechowa, do czasu gdy Michael zasnął, a potem zesłam na dół i pływałam w basenie, w którym woda była ciepła jak łzy. Unosiłam się na plecach i patrzyłam na gwiazdy, Koziorożec, Łabędź, i miałam nadzieję, że moja matka się zakocha. Przez cały ten weekend nic nie mówiła na temat swej randki z Barrym, ale pisała wiersze i mięła je, po czym wyrzucała do kosza.

W dziale graficznym Kit czytała korektę przez ramię mojej matki, a ja siedziałam przy stoliku w kącie, robiąc collage na temat Czechowa, pani z pieskiem, wycinając postacie z wyrzuconych zdjęć. Marlene odebrała telefon, potem zakryła słuchawkę dłonią.

— Barry Kolker.

Kit szarpnęła głową do góry na dźwięk tego nazwiska, marionetka w rękach nieudolnego lalkarza. — Odbiorę w swoim gabinecie.

— To do Ingrid — powiedziała Marlene.

Moja matka nie podniosła wzroku znad makiety. — Powiedz mu, że już tu nie pracuję.

Marlene powiedziała mu, kłamiąc jak z nut.

— Skąd znasz Barry'ego Kolkera? — spytała naczelna, jej czarne oczy duże jak oliwki.

— Gdzieś go spotkałam.

Tego wieczoru, w długim letnim zmierzchu, ludzie wychodzili z mieszkań, wyprowadzali psy na spacer, pili zmiksowane drinki nad basenami, trzymając stopy w wodzie. Wszedł księżyc i przycupnął pośród gasnącego błękitu. Moja matka klęczała przy swoim stoliku i pisała. Lekki wietrzyk trącał dzwonki, które powiesiliśmy na starym eukaliptusie. Leżałam na jej łóżku. Chciałam unieruchomić ten moment na zawsze, dzwonki, ciche chlupotanie wody, trzask psich smyczy, śmiech znad basenu,

23skrzypienie pióra mojej matki, spokój. Żałowałam, że nie mogę tego zamknąć w medalionie i nosić na szyi. Chciałam, żeby znalazł nas tysiącletni sen, w tej sekundzie absolutu, jak sen, który spłynął na zamek Śpiącej Królowny.

Rozległo się pukanie do drzwi, brutalnie burząc to wszystko. Nikt do nas nigdy nie

przychodził. Matka odłożyła pióro, wstała i wzięła składany nóż, który trzymała w słoiku razem z ołówkami — ciemna klinga ze stali węglowej była tak ostra, że można by nią ogolić kota. Otworzyła go o biodro i przyłożyła palec do ust. Drugą ręką chwyciła za kimono, pod którym była naga.

To był Barry, wołał ją po imieniu.

— Jak on śmie — powiedziała. — Nie może tak po prostu stanąć na moim progu bez zaproszenia.

Otworzyła drzwi. Miał na sobie pomiętą hawajską koszulę, a w rękę butelkę wina i torbę, z której dochodził jakiś cudowny zapach.

— Cześć — powiedział. — Byłem w okolicy i pomyślałem, że zajrzę.

Stała w drzwiach z nożem koło biodra. — Ach, byłeś w okolicy.

A potem zrobiła coś, czego nigdy bym się po niej nie spodziewała. Zaprosiła go do środka, zamknąwszy nóż o nogę.

Rozejrzał się po naszym dużym pokoju, gustownie ascetycznym. — Właśnie się wprowadziłyście?

Nic nie powiedziała. Mieszkałyśmy tam od ponad roku.

Słońce prażyło przez kratownicę werandy, kiedy się zbudziłam, mleczone, nieruchome powietrze otulało miasto jak ręcznik. Słyszałam śpiew jakiegoś mężczyzny, w rurach prysznicza zabulgotało, gdy zakręcił wodę. Został na noc. Naruszyła swoje reguły. Więc jednak nie były wykute w kamieniu. Były równie małe i kruche jak żurawie z papieru. Patrzyłam na nią zadziwiona, kiedy ubierała się do pracy, czekałam na wyjaśnienie, lecz ona uśmiechnęła się tylko.

Po tej nocy moja matka nie była już sobą. W niedzielę rano pojechaliśmy z nim na targ rolny w Hollywood, kupili szpinak

24i zieloną fasolę, żółte pomidory i kiście czerwonych winogron nie większych od główki pinezki, papierowaty warkocz czosnku, podczas gdy ja wlokłam się z tyłu, zdumiona. Dla mojej matki posiłek składał się z kartonu jogurtu albo puszki sardynek i krakersów. Mogła całymi tygodniami jeść kanapki z masłem orzechowym, nawet tego nie zauważając. A tutaj patrzyła na wystawione warzywa i owoce, jakby to była wycieczka do Luwru. Przy stoiskach z kwiatami ominęła swoje ulubione białe lilie i chryzantemy, by

zamiast nich kupić ogromne czerwone maki z czarnymi plamkami w środku. Kiedy wracaliśmy na piechotę do domu, trzymali się za ręce i dźwięcznymi, zawodzącymi głosami śpiewali razem stare piosenki z lat sześćdziesiątych, *Wear your Love Like Heaven* i *Waterloo Sunset*.

Tyle rzeczy, których nigdy bym się nie spodziewała. Pisała maleńkie haiku, które wkładała mi ukradkiem do kieszeni. Zawsze je wyciągałam, jeśli tylko miałam okazję, żeby sprawdzić, co napisała. Czerwieniłam się, kiedy je czytałam: „Maki krwawią płatkami czystego przepychu. Ty i ja, to słodkie pole bitwy”.

Pewnego przedpołudnia w redakcji pokazała mi zdjęcie w tygodniku brukowym „Caligula's Mother”, zrobione na przyjęciu po premierze jakiejś sztuki. Oboje wyglądali na zalanych. Podpis nazywał matkę nową miłością Barry'ego. Właśnie tego najbardziej nienawidziła, kobieta jako własność mężczyzny. Teraz zachowywała się tak, jakby przyznano jej jakąś nagrodę.

Namiętność. Nigdy się nie spodziewałam, że może się jej to przytrafić. W tych czasach nie rozpoznawała samej siebie w lustrze, oczy czarne od tego, włosy wiecznie zmierzwiłone, pachnące piżmem, koźlą wonią Barry'ego.

Wychodzili razem wieczorami i później opowiadała mi o tym ze śmiechem. — Kobiety podchodzą do niego i wołają pawimi głosami: „Barry! Gdzie się podziewałeś?” Ale to nie ma znaczenia. On jest teraz ze mną. Chce tylko mnie.

Namiętność całkowicie nią zawładnęła. Znikły uwagi o jego koźlej fizyczności, o potrzebie opieki dentystycznej, sflaczałej

25twarzy, fatalnym guście odzieżowym, kiepskiej angielszczyźnie, bezwstydnym frazesach, zbrodniczej trywialności jego twórczych dokonań, o mężczyźnie, który pisze „chałtury”. Nigdy nie sądziłam, że moja matka będzie się kleiła w przedpokoju naszego mieszkania do krępego mężczyzny z kucykiem, że pozwoli mu wkładać sobie przy stole rękę pod spódnicę, co zdarzyło się któregoś wieczoru, gdy jedliśmy kolację w ciemnej restauracji Hunan w Chinatown. Patrzyłam, jak moja matka zamyka oczy, czułam fale jej namiętności, która unosiła się jak perfumy nad filiżankami.

Rankami często był z nią na szerokim białym materacu, kiedy przechodziłam przez pokój w drodze do toalety. Zagadywali nawet do mnie, ona z głową wtuloną w jego ramię, jakby to była najnaturalniejsza rzecz w świecie, choć pokój pełen był zapachu ich

kochania się. Miałam ochotę roześmiać się w głos. Na dziedzińcu Crossroads of the World siedziałam pod drzewem pistacjowym i pisałam w szkicowniku: „Państwo Kolkerowie”. W łazience ćwiczyłam słowa: „Mogę do ciebie mówić tato?”

Nigdy nie powiedziałam matce, że chciałabym mieć ojca. Tylko raz zapytałam ją o tę sprawę. Musiałam być wtedy w przedszkolu, wróciłyśmy tego roku do Stanów i mieszkaliśmy w Hollywood. Gorący, parny dzień, matka była w złym humorze, późno odebrała mnie z przedszkola, musiałyśmy pojechać na targ. Miała wtedy starego datsuna, zapamiętałam gorące, waflowate siedzenie i to, że widziałam jezdnię przez dziurę w podłodze.

Właśnie zaczęła się szkoła i nasza młoda nauczycielka, pani Wil-liams, spytała nas o naszych ojców. Ojcowie mieszkali w Seattle, Panorama City lub San Salvadorze, paru nawet nie żyło. Byli prawnikami, perkusistami, instalowali szyby w samochodach.

— Gdzie jest mój ojciec? — spytałam matkę. Rozdrażniona zredukowała bieg, przez co napięłam pas bezpieczeństwa. — Nie masz ojca — odparła.

— Każdy ma ojca.

— Ojcowie nie mają znaczenia. Uwierz mi, szczęściara z ciebie. Ja miałam ojca, więc się na tym znam. Zapomnij o tym temacie. — Włączyła radio, głośny rock and roli.

26Mniej więcej tak, jakbym była ślepa, a ona powiedziałaby mi, że wzrok jest nieistotny, że lepiej jest nie widzieć. Zaczęłam obserwować ojców, w sklepach, na placach zabaw, jak bujali swe córki na huśtawkach. Wyglądało na to, że wiedzą, co mają robić, a to mi się podobało. Przypominali port, mocno przytwierdzony do stałego lądu, można było czuć się bezpiecznie, a nie wiecznie dryfować tak jak my. Chociaż byłam już wtedy za stara na huśtawki, modliłam się, żeby Barry Kolker został moim ojcem.

Ich wymruczane słowa miłości były moimi kołysankami, moim kufrem na wiano. Wkładałam do niego pościel, obóz wakacyjny, nowe buty, Boże Narodzenie, kolacje przy stole, własny pokój, rower, wywiadówki. Rok taki sam jak poprzedni, i następny też taki sam, jeden po drugim, i tysiąc bardziej subtelnych i bezimiennych rzeczy, o których wiedzą dziewczyny bez ojców.

Barry zabrał nas czwartego lipca na mecz na Dodger Stadium i kupił nam firmowe czapki. Jedliśmy hot dogi, piliśmy piwo z papierowych kubków, on tłumaczył jej zasady

baseballu, jakby to był system filozoficzny, klucz do amerykańskiego charakteru narodowego. Barry rzucił pieniądze sprzedawcy fistaszków i zła-pał torebkę, którą tamten odrzucił. Śmieciliśmy na ziemię skorupami. Z trudem nas poznawałam w czapkach z daszkiem. Byliśmy jak rodzina. Udawałam, że jesteśmy mamą, tatą i dzieckiem. Braliśmy udział w fali meksykańskiej, a kiedy oni się całowali przez całą siódmą rundę, ja rysowałam twarze na orzeszkach. Sztuczne ognie uruchomiły wszystkie autoalarmy na parkingu.

W inny weekend zabrał nas do Cataliny. Na promie miałam ostry atak choroby morskiej i Barry przyłożył mi do czoła zmoczoną w zimnej wodzie chusteczkę i kupił cukierki miętowe do ssania. To było cudowne, kiedy patrzył na mnie swymi piwnymi oczami taki zmartwiony, jakby jeszcze nigdy nie widział wymiotującego dziecka. Po dotarciu na miejsce starałam się jak najwięcej zostawiać ich samych, mając nadzieję, że się jej oświadczy, kiedy spacerowali pomiędzy jachtami i jedli krewetki z jednej papierowej tutki.

27Ale potem coś się wydarzyło. Pamiętam tylko, że zerwał się wiatr. Szkieletowate grzechotanie wiatru w palmach. Na ten wieczór Barry zapowiedział się na dziewiątą, ale o jedenastej wciąż go nie było. Moja matka puszczała sobie dla uspokojenia nerwów peruwiańskich flecistów, irlandzkich harfistów, bułgarskich śpiewaków, ale nic jej nie pomagało. Kojące, szkliste tony kłóciły się z jej nastrojem. Gesty miała niespokojne i nie dokończone.

— Chodźmy popływać — powiedziałam.

— Nie mogę. Muszę być przy telefonie.

Wreszcie wyjęła tę kasetę i włożyła inną, prezent od Barry'e-go: romantyczny jazz Cheta Bakera, muzyka, której dawniej nie cierpiała.

— Muzyka barowa. Żeby ludzie mogli sobie napłakać do piwa — powiedziała. — Ale ja nie mam w domu piwa.

Jeździł poza miasto, wykonując zlecenia dla różnych czasopism. Odwoływał randki. Moja matka nie mogła spać, podrywała się, kiedy dzwonił telefon. Serce się we mnie ścisnęło na widok jej miny, jeśli to nie był Barry. W jej głos wkradł się ton, którego nigdy wcześniej nie słyszałam, wyszczerbiony, jak ostrze piły.

Nie mogłam zrozumieć, jak to się mogło stać, jak to było możliwe, że dał nam sztuczne ognie i Catalinę, przykładał mi ten zmoczony ręcznik do czoła, mówił, że zabierze nas na Bali, a potem zapomniał naszego adresu.

Pewnego wieczoru zatrzymałyśmy się nie zapowiedziane pod jego domem.

— Będzie wściekły — powiedziałam.

— Byłyśmy w okolicy i pomyślałyśmy, że zajrzemy.

Nie mogłam jej powstrzymać, tak jak nie mogłam powstrzymać słońca wschodzącego pośród oparów smogu w sierpniowy poranek, lecz nie chciałam tego widzieć. Czekałam w samochodzie. Zapukała do drzwi i on wyszedł do niej w sztuczkowym szlafroku. Choć nic nie słyszałam, wiedziałam, co mówi moja

28matka. Miała na sobie sukienkę z niebieskiego muślinu, marszczoną przez gorący wiatr. Stała plecami do słońca, przez co sukienka robiła się przezroczysta. Barry stał w drzwiach, blokując wejście, ona przekrzywiła głowę na bok, podeszła bliżej, dotknęła włosów. Czułam Jak w moim mózgu rozciąga się gumowy pasek, coraz bardziej napięty. Wreszcie zniknęli we wnętrzu domu.

Puściłam sobie z radia muzykę klasyczną. Nie potrafiłabym w tym momencie słuchać niczego ze słowami. Wyobrażałam sobie, że patrzę lodowoniebieskimi oczami na jakiegoś mężczyznę, mówię mu, żeby sobie poszedł, bo nie mam czasu.

— Nie jesteś w moim typie — powiedziałam chłodno do lusterka wstecznego.

Pół godziny później pojawiła się ponownie, szła do samochodu niepewnym krokiem, potknęła się o wąż spryskiwacza, jakby była ślepa. Usiadła za kierownicą i zaczęła się kołysać do przodu i do tyłu, usta miała szeroko otwarte, ale nie wychodził z nich żaden dźwięk. Moja matka płakała. Stała się rzecz najbardziej niemożliwa ze wszystkich.

— Jest umówiony z kobietą — powiedziała wreszcie takim głosem, jakby miała zaciśnięte na gardle dwie dłonie. — Kochał się ze mną, a potem powiedział, że muszę już iść, bo jest umówiony.

Wiedziałam, że nie powinnyśmy były przyjeżdżać. Teraz pożałowałam, że nie przestrzegała wszystkich swoich reguł. Zrozumiałam, dlaczego wcześniej tak kurczowo się ich trzymała. Kiedy złamiesz jedną, połamią się wszystkie, jedna po drugiej, jak

petardy wybuchające ci w twarz czwartego lipca na parkingu.

Bałam się pozwolić jej prowadzić w takim stanie, z dzikim, nic nie widzącym wzrokiem. Wpakujemy się w coś, zanim ujedziemy trzy ulice. Nie uruchomiła jednak silnika. Siedziała ze wzrokiem utkwionym przed siebie, kołysała się, obejmując rękami talię.

Kilka minut później przed dom zajechało jakieś auto, nowy model sportowego samochodu ze złożonym dachem i blondynką za kierownicą. Była bardzo młoda i miała na sobie krótką spódniczkę. Pochyliła się, żeby wziąć z tylnego siedzenia torebkę.

29— Nie jest taka tańda jak ty — powiedziałam.

— Ale to mniej skomplikowana dziewczyna — szepnęła moja matka z goryczą.

Kit oparła się o blat w dziale produkcji, na karminowych ustach miała wilczy uśmiech.

— Widziałam Barry'ego Kolkera w Virgins — powiedziała. — Z jakąś zdziwą, blondyną z figurą osy. Cóż, wiesz, jak to mówią: Łatwo przyszło, łatwo poszło.

W porze lunchu matka powiedziała mi, żebym zabrała wszystko, co chcę, z działu graficznego, bo już tam nie wrócimy.

3

— Powinnam ogolić sobie głowę — powiedziała. — Posmarować twarz popiołem. — Oczy miała dziwne, z czarnymi obwódkami, które wyglądały jak siniaki, a włosy tłuste i wiotkie. Leżała na łóżku albo gapiała się w lustro. — Jak mogę wylewać łzy za człowiekiem, któremu w ogóle nie powinnam pozwolić się dotknąć?

Nie wróciła do pracy. Jeśli wychodziła z zaciemnionego mieszkania, to tylko po to, żeby zejść nad basen, gdzie godzinami oglądała odbicia w akwamarynowej wodzie albo pływała cicho pod wodą jak rybka w akwarium. Zaczynał się rok szkolny. Nie mogłam jej jednak zostawić samej w takim stanie. Mogłabym jej nie zastać po powrocie. Siedziałyśmy więc w domu, zjadłyśmy wszystkie konserwy mięsne, jakie miałyśmy, a potem przetrzuciłyśmy się na ryż i płatki owsiane.

— Co mam robić? — spytałam Michaela, kiedy karmił mnie serem i sardynkami przy swoim sfatygowanym stoliku do kawy. W telewizji pokazywali pożary na Angeles Crest.

Michael pokręcił głową, do mnie, do linii strażaków na wzgó-
30rze. — Żabciu, takie rzeczy się dzieją, kiedy ktoś się zakocha. Masz do czynienia z klęską żywiołową.

Poprzysięgam sobie, że nigdy się nie zakocham. Miałam nadzieję, że Barry umrze powolną, bolesną śmiercią za to, co zrobił mojej matce.

Nad centrum miasta wzeszedł czerwony księżyc, czerwony od pożarów po północnej stronie i w Malibu. Był to sezon pożarów i tkwiłyśmy w pułapce płonącego krajobrazu. W basenie pływały drobiny popiołu. Siedziałyśmy na dachu na spalonym wietrze.

— To wystrzępione serce — powiedziała, szarpiąc za kimono. — Powinnam je wyrwać z piersi i zakopać na kompost.

Miałam ochotę jej dotknąć, ale siedziała w szklanej kabinie odosobnienia, jak podczas wyborów Miss Ameryki. Nie słyszała mnie przez szkło.

Skuliła się, przyciskając ramiona do piersi i wyduszając powietrze. — Trzymam to w sobie pod wielkim ciśnieniem, tak jak ziemia naciska na grudę prehistorycznego łąjna, aż pod wpływem ciśnienia i gorąca powstaje klejnot — powiedziała. — Nienawidzę go. Nienawidzę. Nienawidzę go. — To ostatnie zdanie wyszeptła, ale z zaciekłością. — Wewnątrz mojego ciała również tworzy się klejnot. Nie, to nie moje serce, lecz coś twardszego, zimnego, okrutnego. Otulam ten nowy klejnot swym ciałem, pielęgnuję go w sobie.

Następnego ranka wstała i wzięła prysznic, umyła włosy i poszła na targ, sądziłam więc, że odtąd będzie lepiej. Zadzwoniła do Marlene i spytała, czy może wrócić do pracy. Był to tydzień wysyłki i rozpaczliwie jej potrzebowali. Odwiozła mnie do szkoły w Le Conte, żebym mogła zacząć chodzić do ósmej klasy. Jakby nic się nie stało. Sądziłam, że już po wszystkim.

Nie było po wszystkim. Zaczęła śledzić Barry'ego, tak jak on śledził ją na początku. Chodziła wszędzie tam, gdzie on mógł się pojawić, ścigała go, żeby móc szlifować swoją nienawiść, widząc go.

31— Moja nienawiść daje mi siłę — powiedziała.

Zabrała Marlene na lunch do jego ulubionej restauracji, w której zastały go

jedzącego przy barze, i uśmiechnęła się do niego. Udawał, że jej nie zauważa, ale stale głaskał się dłonią po brodzie.

— Szukał pryszczka, którego już tam nie było — powiedziała mi tego wieczoru. — Bał się, że znów mu wyskoczy od siły mojego spojrzenia.

Sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej i nie wiedziałam, co gorsze, to, co teraz, czy to, co wcześniej, kiedy chciała ogolić sobie głowę.

Robiliśmy zakupy na jego targu, jeździliśmy wiele mil, aby spotkać go przy kantalupach. Przeglądaliśmy płyty w jego ulubionym sklepie muzycznym. Chodziliśmy na promocje książek napisanych przez jego znajomych.

Którejś nocy wróciła do domu po trzeciej. Następnego dnia miałam szkołę, ale nie poszłam spać, tylko oglądałam na kablówce film o białym myśliwym ze Stewartem Grangerem. Michael leżał na sofie zamroczony alkoholem. Gorące wiatry sprawdzały okna jak włamywacze, którzy chcą się dostać do środka. Wreszcie poszłam do domu i zasnęłam na łóżku matki, śniło mi się, że niosę na głowie zapasy przez dżunglę, a białego myśliwego nigdzie nie widać.

Usiadła na skraju łóżka i zdjęła buty. — Znalazłam go. Na przyjęciu u Gracie Kelleher. Trafiłam na niego przy trampolinie. — Położyła się obok mnie i szeptała mi do ucha. — On i ruda grubaska w przezroczystej bluzce mieli małe *tete-d-tete*. Wstał i złapał mnie za ramię. — Podciągnęła rękaw i pokazała mi ślady na przedramieniu, gniewne, czerwone.—Śledzisz mnie?, syknął. Miałam ochotę na miejscu poderżnąć mu gardło. Nie muszę cię śledzić, powiedziałam. Umiem czytać w twoich myślach. Znam każdy twój ruch. Znam twoją przyszłość, Barry, i powiem ci, że nie przedstawia się różowo. Chcę, żebyś stąd poszła, powiedział. Uśmiechnęłam się. Wiem, że chcesz. Widziałam, jaki jest czerwony, choć było ciemno. Nie uda ci się, powiedział. Ostrzegam

32cię, Ingrid, nie uda ci się. — Matka roześmiała się, z rękami splecionymi za głową. — On nie rozumie. Już mi się udaje.

Sobotnie popołudnie, gorące i nasycone zapachem ognia, niebo suche jak wiór. O tej porze roku nie można nawet iść na plażę z powodu toksycznego czerwonego przyływu; o tej porze roku miasto pada na kolana jak starożytna Sodomia i prosi o zbawienie. Siedzieliśmy w samochodzie jedną przecnicę od domu Barry'ego, pod ceratoma. To było okropne, jak ona patrzyła na jego dom, jej spokój był niezdrowy, przypominała

jastrzębia, który siedzi cierpliwie na wierzchołku drzewa, w które uderzył piorun. Ale nie było sensu jej przekonywać, żebyśmy wracały do domu. Nie mówiła już tym samym językiem co ja. Złamałam chleb świętojański i podsunęłam sobie pod nos, wdychałam piżmowy zapach i udawałam, że czekam na ojca, hydraulika sprawdzającego rury w tym małym ceglanym domu z trawnikiem porośniętym mleciami i z witrażowym oknem.

Potem wyszedł Barry, w bermudach, podkoszulku z napisem „Local Motion” i okularach lennonkach, włosy jak zawsze spięte w kucyk. Wsiadł do swego starego zielonego jaguara i odjechał.

— Chodź — powiedziała matka. Nałożyła białe bawełniane rękawiczki, jakich używał fotoedytor, kiedy brał do ręki fotosy, i mnie też rzuciła taką samą parę. Nie chciałam z nią iść, ale jeszcze bardziej nie chciałam czekać w samochodzie, więc poszłam.

Podeszłyśmy alejką do jego domu, jakbyśmy tam mieszkały. Moja matka sięgnęła do domku dla duchów z wyspy Bali, który stał na ganku, i wyjęła klucz. W środku znów ogarnął mnie smutek w obliczu nieodwołalności tego, co się stało. Kiedyś myślałam nawet, że będę tu mieszkała, z dużymi lalkami *wayang kulit*, batikowymi poduszkami i smoczymi kitami, które wisały pod sufitem. Posążki Siwy i Parwati w wiecznym uścisku wcześniej mi nie przeszkadzały, kiedy sądziłam, że on i matka też się splecą ze sobą na zawsze i zrodzi się z tego nowy wszechświat. Lecz teraz ich nienawidziłam.

Matka włączyła niewielki komputer, który stał na olbrzymim

33rzeźbionym biurku i nacisnęła jakieś klawisze. Maszyna zawarczała i wszystko, co było na ekranie, znikło. Powtórzyła tę operację wiele razy. Rozumiałam, dlaczego to robi. W tym momencie wiedziałam, dlaczego ludzie bazgrają graffiti na ścianach schludnych małych domów, zarysowują kluczami lakier nowych samochodów i biją zadbane dzieci. To naturalne, chcieć zniszczyć coś, czego samemu nigdy nie będzie się miało. Wyjęła z torebki magnes w kształcie podkówki i przeciągnęła nim nad dyskietkami. — Prawie mi go żal — powiedziała, wyłączwszy komputer. — Ale tylko prawie. — Wyjęła Olfę i wybrała z szafy ulubioną brązową koszulę Barry'ego. — To bardzo trafne, że nosi ubrania w kolorze ekskrementów. — Położyła koszulę na łóżku i pocięła w wąskie paski. Potem włożyła do butonierki biały oleander.

Ktoś dobijał się do naszych drzwi. Podniosła wzrok znad nowego wiersza, który pisała. Ostatnimi czasy ciągle pisała. — Myślisz, że stracił coś ważnego z twardego dysku?

Może zbiór esejów, które miał oddać wydawcy jesienią. — Przestraszyłam się, kiedy pomyślałam, jaki musi być wściekły. Pomyślałam

o śladach na przedramionach matki. Nie był człowiekiem brutalnym, ale każdy ma jakiś kres wytrzymałości. Drzwi podskakiwały na zawiasach. Jeśli dostanie się do środka, to już po niej.

Ale moja matka nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej. Przeciwnie, im mocniej walił do drzwi, tym miała radośniejszą minę, bardziej różowe policzki, jaśniejsze oczy. Sprowadziła go z powrotem do siebie. Wzięła z puszek na ołówki składany nóż

i otworzyła go o udo. Słyszałyśmy, jak Barry wrzeszczy, krzyczy, jego aksamitny głos był przetarty niemal na wylot. — Zabiję cię, Ingrid, przysięgam!

Walenie do drzwi ustało. Matka słuchała, trzymając otwarty nóż na tle białego jedwabiu kimona. Nagle Barry znalazł się po drugiej stronie i tłukł w okna, widziałyśmy go: twarz wykrzywiona wściekłością, wielka i przerażająca pośród oleandrów. Oparłam się skulona o ścianę, lecz matka stała na środku pokoju rozjarzona jak pożar trawy.

34— Zabiję cię! — wrzeszczał.

— Taki bezradny w swojej furii — zwróciła się do mnie. — Można powiedzieć, że impotent.

Rozbił szybę. Widziałam, że to było niezamierzone, ponieważ zawahał się, a potem, w nagłym przypiływie odwagi, włożył rękę do środka i zaczął szukać klamki okna. Matka nadszpodziewanie szybko podbiegła do niego i dziabnęła go w dłoń. Nóż utkwił w celu i przez chwilę kołysał się na boki. Musiała go wyszarpnąć i ręka wyskoczyła z powrotem przez dziurę w szybie. — Ty suko pierdolona! — wrzeszczał.

Chciałam się schować, zatkać uszy, ale nie mogłam się powstrzymać od patrzenia. Więc tak się kończy miłość i namiętność. W sąsiednim budynku zapaliły się światła.

— Sąsiedzi wzywają policję — powiedziała przez rozbite okno. — Lepiej idź stąd.

Zatoczył się i poszedł, po chwili usłyszałyśmy, jak kopie drzwi frontowe. — Ty pizdo jebana. Pożalujesz tego. Nie możesz mi tego robić.

Otworzyła drzwi frontowe i stała tam w białym kimonie, z zakrwawionym nożem. — Nawet nie wiesz, co mogę zrobić — powiedziała łagodnym tonem.

Po tej historii nie mogła go już nigdzie znaleźć, w Virgins czy Barneys, na

przyjęciach czy w klubach. Zmienił zamki. Musiałyśmy użyć metalowej miarki introligatorskiej, żeby otworzyć okno. Tym razem włożyła mu gałązkę oleandra do mleka, do sosu ostrygowego, do twarogu. Do tubki z pastą do zębów. Ułożyła bukiet oleandrów w ręcznie robionym flakonie na jego stoliku do kawy i rozsypała pąki na łóżku.

Byłam zdruzgotana. Zasługiwał na karę, ale tym razem przebrała miarkę. To nie była zemsta. Już się zemściła, wygrała, ale zachowywała się tak, jakby o tym nie wiedziała. Przekroczyła granice wszelkiego rozsądku, od następnej przystani dzieliły ją lata świetlne ciemności. Jak czule układała ciemne liście, białe pąki.

35Do naszego mieszkania przyszedł policjant. Inspektor Ramirez poinformował matkę, że Barry oskarżają o włamanie do jego domu i próbę otrucia go. Była zupełnie spokojna.

— Barry jest na mnie bardzo zły — powiedziała, stojąc w drzwiach ze skrzyżowanymi ramionami. — Zerwałam z nim kilka tygodni temu, a on nie może się z tym pogodzić. Ma obsesję na moim punkcie. Próbował nawet włamać się do tego mieszkania. To jest moja córka Astrid, ona może panu opowiedzieć, co się stało.

Wzruszyłam ramionami. Nie podobało mi się to. Matka posuwała się za daleko.

Ciągnęła dalej bez zmrużenia oka: — Sąsiedzi zadzwonili nawet na policję tamtej nocy. Na pewno macie to odnotowane. A teraz on oskarża mnie o włamanie do jego domu? Biedny człowiek, jest niezbyt atrakcyjny, to musi być dla niego ciężkie przeżycie.

Jej nienawiść migotała kusząco. Widziałam ją, ten klejnot, szafir, koloru zimnych jezior Norwegii. Och, inspektorze Ramirez, mówiły jej oczy, jest pan przystojnym mężczyzną, jak mógłby pan zrozumieć kogoś tak zdesperowanego jak Barry Kolker?

Jakże się śmiała, kiedy poszedł.

Następnym razem widziałyśmy Barry'ego na pchlim targu w Rose Bowl, gdzie lubił kupować znajomym brzydkie prezenty na odczepnego. Matka miała na głowie kapelusz, przez którego rondo słońce rzucało cętki światła na jej twarz. Barry zobaczył ją i szybko się odwrócił, jego strach był widoczny jak na billboardzie, ale potem przemyślał sprawę, odwrócił się i uśmiechnął do nas.

— Zmiana taktyki — szepnęła. — Idzie tutaj.

Podszedł do nas ze statuetką Oscara z papier-mache" w dłoniach. — Gratuluję ci

występu przed Ramirezem — powiedział i podał jej Oscara. — Dla najlepszej aktorki roku.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparła. Trzymała mnie za rękę, ścisnęła ją zbyt mocno, ale twarz miała uśmiechniętą i odprężoną.

36— Wiesz, wiesz — powiedział. Wsunął Oscara pod pachę. — Ale nie dlatego przyszedłem. Pomyślałem, że moglibyśmy zakopać topór wojenny. Posłuchaj, przyznaję, że przesadziłem, wzywając gliny. Wiem, że zachowałem się jak palant, ale próbowałam zniszczyć większą część mojej całorocznej pracy. Dzięki Bogu mój agent miał wersję wstępną, ale mimo wszystko. Powiedzmy sobie po prostu, że jesteśmy kwita, dobrze?

Matka uśmiechnęła się, przestąpiła z nogi na nogę. Czekwała, aż Barry coś zrobi, coś powie.

— Nie jest tak, że nie szanuję cię jako człowieka — powiedział. — Jako pisarki. Wszyscy wiemy, że jesteś wybitną poetką. Zachwalałem cię nawet w paru pismach. Nie moglibyśmy przejść do następnej fazy i zostać przyjaciółmi?

Zagryzła wargę, jakby rozważała jego słowa, a jednocześnie tak mocno wbijała mi paznokiec w dłoń, że myślałam, iż przejdzie na wylot. Wreszcie powiedziała cichym, aksamitnym głosem: — Oczywiście, że byśmy mogli. Nie widzę przeciwwskazań.

Przypieczętowali to uściskiem dłoni. Sprawiał wrażenie trochę nieufnego, ale na jego twarzy malowała się ulga, gdy wrócił do swego polowania na okazyjne zakupy. Wciąż zupełnie jej nie zna, pomyślałam.

Tego wieczoru pojechałyśmy pod jego dom. Miał teraz kraty we wszystkich oknach. Poglaskała jego nowe drzwi antywłamaniowe opuszkami palców, jakby to było futro.

— Skosztuj jego strachu. Smakuje zupełnie jak szampan. Chłodny, cierpki, bez odrobiny słodczy.

Nacisnęła przycisk dzwonka. Otworzył drzwi wewnętrzne, spojrział na nas przez kratkę. Uśmiechnął się niepewnie. Wiatr muskał jedwabiej sukienki, jej księżycowoblade włosy. Podniosła do góry butelkę białego rieslinga, którą przyniosła ze sobą. — Skoro mamy zostać przyjaciółmi.

— Nie mogę cię wpuścić, Ingrid — powiedział. Uśmiechnęła się i zalotnie włożyła

palec między druty kratki.

— Czy tak się traktuje przyjaciela?

*

37Pływałyśmy w gorącej akwamarynie basenu późnym wieczorem, palmy szeleściły, a świeżo wyparzone niebo migotało. Matka unosiła się na plecach i nuciła sobie.

— Boże, jak mi się to podoba. — Pluskała delikatnie rękami, obracając ciałem w koło. — Czy to nie zabawne, że nienawiść sprawia mi większą przyjemność, niż kiedykolwiek sprawiała mi miłość? Miłość jest humorzasta. Męcząca. Stawia wymagania. Miłość cię wykorzystuje. Zmienia zdanie. — Oczy miała zamknięte. Paciorki wody ozdabiały jej twarz, a włosy zwisały w wodzie jak macki meduzy. — Ale teraz nienawiść. To jest coś, co można wykorzystać. Urzeźbić. Jest poręczna. Twarda lub miękka, zależnie od potrzeby. Miłość cię poniża, a nienawiść utula. Jest taka kojąca. Czuję się teraz nieskończenie lepiej.

— Cieszę się — powiedziałam. Cieszyłam się, że jest szczęśliwsza, ale nie podobało mi się to szczęście, nie wierzyłam w nie, przewidywałam, że prędzej czy później pęknie i wylecą z niego przerażające rzeczy.

Pojechaliśmy do Tijuany. Nie zatrzymałyśmy się, żeby kupić pinatas, kwiaty z bibułki, kolczyki czy torebki. Ciągle patrzyła na karteczkę, którą miała w dłoni, gdy chodziliśmy bocznymi uliczkami obok burros pomalowanych jak zebry i maleńkich Indianek zebrzących razem z dziećmi. Dawałam im drobne, do czasu aż mi się skończyły i zjadłam starą gumę, którą mi dały. Nie zwracała na mnie uwagi. Potem znalazła to, czego szukała: aptekę, taką samą jak w LA, jasno oświetloną, z aptekarzem w białym fartuchu.

— *Por favor, tiene usted DMSO?* — spytała.

— Cierpi pani na artretyzm? — spytał swobodną angielszczyzną.

— Owszem. Znajoma mi powiedziała, że u pana można dostać.

— Jaką pojemność pani sobie życzy? — Wyjął trzy butelki: wielkości buteleczki z wanilią, ze zmywaczem do paznokci i z octem. Wybrała tę największą.

— Ile?

38— Osiemdziesiąt dolarów, proszę pani.

— Osiemdziesiąt. — Zawahała się. Za osiemdziesiąt dolarów można było kupić jedzenie na dwa tygodnie albo benzynę na dwa miesiące. Co może być warte osiemdziesiąt dolarów i jeszcze musiałyśmy po to pojechać aż do Tijuany?

— Chodźmy stąd — powiedziałam. — Wsiądźmy do samochodu i jedźmy gdzieś. Do La Paz.

Spojrzała na mnie. Wzięłam ją przez zaskoczenie, mówiłam więc dalej, sądząc, że może uda mi się ją nakłonić do powrotu na jakieś znane mi terytorium. — Mogłybyśmy popłynąć pierwszym rannym promem. Pojechać do Jalisco. San Miguel de Allende. Już nigdy nie wracać. Mogłybyśmy zlikwidować konta, kazać przysyłać pieniądze na American Express i po prostu zniknąć.

Jakie to byłoby proste. Znała wszystkie stacje benzynowe stąd do Panamy, tanie luksusowe hotele z wysokimi sufitami i rzeźbionymi deskami pionowymi łóżek, dwa kroki od głównych placów. Za trzy dni mogłybyśmy się oddalić o tysiąc mil od tej butelki z katastrofą. — Zawsze ci się tam podobało. Nigdy nie chciałaś wracać do Stanów.

Już mi się wydawało, że ją podeszłam. Wiedziałam, że wspomina lata, które tam spędziłyśmy, kochanków, kolor nieba. Ale urok był zbyt słaby, nie umiałam się posługiwać słowami tak zręcznie jak ona, i obraz rozwiął się, a raczej przesłonił go parawan jej obsesji: Barry i blondynka, Barry i ruda, Barry w sztuczkowym szlafroku.

— Za późno — powiedziała. Wyjęła portfel i położyła na ladzie cztery dwudziestki.

Wieczorem zaczęła gotować różne rzeczy, zbyt dziwne, żeby o tym mówić. Namoczyła oleander w gotującej się wodzie, razem z korzeniami rośliny z białymi, trąbkowatymi kwiatami, które jarzyły się jak twarze. Namoczyła roślinę o małych kwiatkach w kształcie serca, zebraną przy księżycu z płotu sąsiadów. Potem wygotowała wodę, cała kuchnia pachniała zielonymi i gnijącymi roślinami. Wyrzuciła parę kilogramów zielonej masy koloru szpi-

39naku do cudzego kubła. Nie odzywała się już do mnie. Siedziała na dachu i gadała do księżycy.

— Co to jest DMSO? — spytałam Michaela któregoś wieczoru, kiedy ona gdzieś poszła. Pił szkocką, prawdziwego Johnny Walkera, świętował, ponieważ dostał rolę w

Ośrodka Muzycznym w *Makbecie*, ale nie mógł wymówić tytułu na głos, bo to przynosiło pecha. Te wszystkie wiedźmy i czary. Mówiło się na to szkocka sztuka. Michael nie miał zamiaru ryzykować, już od roku nie miał żadnej pracy oprócz nagrywania książek na taśmy.

— Ludzie stosują to na artretyzm — powiedział. Wertując „Variety”, spytałam niby od niechcienia: — Czy to niebezpieczne?

— Zupełnie nieszkodliwe. — Podniósł szklanę i obejrzał bursztynowy płyn, a potem popijał powoli, zamykając z rozkoszą oczy.

Nie spodziewałam się dobrych wiadomości. — To na co to jest?

— Wspomaga wchłanianie leków przez skórę. Tak działają plastry nikotynowe i te plastry przeciwko chorobie morskiej. Nakładasz, a DMSO pomaga im wejść przez skórę do krwiobiegu. Wspaniała rzecz. Pamiętam, że kiedyś się martwiłem, że hipisi mieszają to z LSD i posmarują klamki w budynkach publicznych. — Roześmiał się do swojej whisky. — Jakby ktoś chciał marnować kwas na bandę sztywniaków.

Szukałam butelki z DMSO. Nie mogłam jej nigdzie znaleźć. Szukałam pod zlewem i w łazience, w szufladach — w naszym mieszkaniu nie było aż tak wielu kryjówek, a poza tym chowanie czegokolwiek nie było w stylu mojej matki. Nie poszłam spać, tylko czekałam na nią. Wróciła późno, z przystojnym młodym człowiekiem, ciemne, kręcone włosy sięgały mu do połowy pleców. Trzymała go za rękę.

— To jest Jesus — powiedziała. — Jest poetą. Moja córka Astrid.

40— Cześć — powiedziałam. — Mamo, mogę z tobą chwilę porozmawiać?

— Powinnaś już spać. Zaraz wrócę. — Uśmiechnęła się do Jesusa, puściła jego rękę i wyprowadziła mnie na zabudowaną werandę. Znow wyglądała pięknie, nie miała obwódki pod oczami, włosy spływały jej jak woda.

Położyłam się na swoim łóżku, a ona przykryła mnie prześcieradłem i pogłaskała po buzi. — Mamo, co się stało z tą miksturą z Meksyku?

Uśmiechała się dalej, ale jej oczy powiedziały mi wszystko.

— Nie rób tego — powiedziałam.

Pocałowała mnie i pogłaskała chłodną dłonią, zawsze chłodną, mimo upału, mimo

wiatru i pożarów, a potem wróciła do środka.

Następnego dnia wykreśliłam numer Barry'ego.

— Tunel miłości — odpowiedziała jakaś dziewczyna, naćpa-na, chichocząca. Usłyszałam jego aksamitny głos w tle. A potem powiedział: — Halo?

Zamierzałam go ostrzec, ale teraz nie pamiętałam nic prócz twarzy mojej matki, gdy wyszła tego dnia z jego domu. To kołysanie się, te otwarte usta. Zresztą co miałam mu powiedzieć, nie dotykaj niczego, nie jedz nic, uważaj? Już i tak był wobec niej nieufny. Gdybym mu powiedziała, aresztowaliby ją, straciłabym ją, a poza tym nigdy bym nie skrzywdziła mojej matki, nie dla Barry'ego Kolkera i jego pieprzających się Śiwów. Zasłużył sobie na to. Doigrał się.

— Halo? — powtórzył, a ona powiedziała coś i roześmiała się głupkowato. — A spierdalaj — dodał i odłożył słuchawkę.

Już więcej nie zadzwoniłam.

Siedziałyśmy na dachu i patrzyłyśmy na księżyc, czerwony i olbrzymi w gęstym od popiołu powietrzu nad miastem jak plansza do rozmowy z duchami, otoczony greckim chórem syren. Matka mruczała cichym, niepoczytalnym głosem: — Nie są

41w stanie nas tknąć. Jesteśmy wikingami. Idziemy do bitwy nie uzbrojone, bo podnieca nas zgiek walki i krew. — Pochyliła się i pocałowała mnie w czoło, pachniała metalem i dymem. Gorący wiatr wiał i wiał, nie chciał przestać.

Potem przyszedł okres, który trudno mi opisać, rok w podziemiu. Ptak uwięziony w kanalizacji, ptak pod ziemią, bije skrzydłami o sufit ciemnego mokrego pomieszczenia, tunelu, a nad głową dudni miasto. Imię jej było Zgubiona. Imię jej było Niczyja Córka.

W moich snach matka chodziła po mieście cegieł i gruzów, mieście po wojnie, i była ślepa, oczy miała puste i białe jak kamienie. Otaczały ją wysokie bloki mieszkalne, z trójkątami nad oknami, wszystko zamurowane cegłami i płonące. Ślepe okna i jej ślepe oczy, a jednak szła ku mnie, nieunikniona i niepoczytalna, jej twarz stopiona i makabrycznie plastyczna. Wgłębienia poniżej oczu, jakby ktoś wcisnął kciuki w miękką glinę.

Te ciężkie dni, ciężkie, nawisłe, szare niebo, moje skrzydła tak ciężkie, tak ciężki mój paniczny lot pod ziemią. Tak wiele twarzy, tak wiele ust, chciały mi coś powiedzieć,

męczyło mnie to, zasnęłam, gdy mówiły. Po prostu nam powiedz, co się stało. Co mogłam powiedzieć? Kiedy otworzyłam usta, wypadł z nich kamień. Jej biedne białe gałki oczne. Właśnie w tym miejscu, w którym spodziewałam się znaleźć miłosierdzie. Śniłam o białym mleku na ulicy, białym kleiku i szkle. Mleko płynące rynsztokiem, mleko jak łyż. Przyciskałam jej kimono do twarzy, jej zapach fiołków i popiołu. Przez cały dzień pocierałam jedwab między palcami.

W tym miejscu pod ziemią mieszkało wiele dzieci, niemowląt, nastolatków, hałas odbijał się echem w pomieszczeniach jak

42w metrze. Muzyka jak katastrofa pociągu, klótnie, płacze, nieustanna telewizja. Ciężki zapach gotowania, cienkiego, chorobliwego moczu, sosnowego detergentu. Kobieta, która tam rządziła, kazała mi wstawać z łóżka w regularnych odstępach, siadać z innymi przy stole przed talerzami fasoli, zielonego groszku i mięsa. Posłusznie przychodziłam, siadałam, jadłam, potem wracałam do kokonu łóżka i snu, plastikowe prześcieradło szeleściło pode mną. Z reguły budziłam się w nocy przemoczona po pachy.

Dziewczyna na drugim łóżku miała ataki. Szefowa pogotowia opiekuńczego powiedziała mi: — Na dzieciach niepełnosprawnych, jak wy wszystkie, można więcej zarobić.

Po ścianach pokoju spływały brązowymi ukosami róże. Policzyłam je. Dziewięćdziesiąt dwa ukośne rzędy po czterdzieści sztuk. Nad komodą Jezus, JFK i Martin Luther King, wszyscy z prawego profilu, jak konie wyścigowe przy bramce, Jezus na zewnątrz. Kobieta, która prowadziła pogotowie, pani Campbell, chuda i rodzyńkowata, ścierała z obrazków kurz żółtym podkoszulkiem. Konie ustawione w rzędzie, naprężone przy barierze. Jej koń miał numer siedem, Chluba Medei. To był dzień z zapadnią i wszyscy spadliśmy na dół. Przez cały dzień przesuwałam sobie po ustach pasek jej kimona: smak tego, co zostało stracone.

Dzień jej aresztowania powracał do mnie w snach, wszystkie tunele prowadziły w to samo miejsce. Pukanie do drzwi. Było bardzo wcześnie, jeszcze ciemno. Kolejne pukanie, potem głosy, walenie pięściami. Wbiegłam do jej pokoju w chwili, gdy gliniarze, w mundurach i w cywilu, wpadli do środka. Administrator stał w drzwiach, na głowie miał czepek pod prysznic. Wyciągnęli matkę z łóżka, warczeli na nią jak psy. Wrzeszczała do nich po niemiecku, wyzywała od nazistów, od gestapowców. — *Schutz-staffel. Durch*

Ihre Verordnung, mein Führer. — Jej nagie ciało, rozkołysane delikatne piersi, na brzuchu odcisnięte czerwone pręgi. To niemożliwe, jakiś fotomontaż. Ktoś wyciął tych policjantów i wstawił ich do naszego mieszkania. Oglądali ją jak

43pismo ze zdjęciami pornograficznymi. Jej białe ciało jak światło księżyca.

— Nie mogą mnie zatrzymać, Astrid — powiedziała. — Nie martw się, wrócę za godzinę.

Powiedziała. Powiedziała.

Siedziałam na sofie Michaela, spałam i czekałam, tak jak czekają psy, cały dzień, a potem następny. Minął tydzień, lecz nie przyszła. Powiedziała, że przyjdzie, lecz nie przyszła.

Kiedy po mnie przyjechali, dali mi piętnaście minut na zdecydowanie się, co zabrać z mieszkania. Nigdy nie miałyśmy zbyt wielu rzeczy. Zabrałam cztery jej tomiki, pudło z papierami, białe kimono, talię do tarota i składany nóż.

— Przepraszam — powiedział Michael. — Wziąłbym cię do siebie, gdybym mógł. Ale wiesz, jak to jest.

Jak to jest? Jak to jest, że ziemia może się pod tobą otworzyć i połknąć cię, zamknąć się nad tobą, jakbyś nigdy nie istniała? Niby Persefona porwana przez boga. Ziemia się otworzyła, wyszedł i zaciągnął ją do czarnego rydwanu. Potem dali nura w dół, pod ziemię, w ciemności, ziemia zamknęła się nad jej głową i już jej nie było, jakby nigdy nie istniała.

Zacząłam więc mieszkać pod ziemią, w domu snu, w domu plastikowych prześcieradeł, płaczących niemowląt i spływających brązowych róż, dziewięćdziesiąt dwa rzędy po czterdzieści sztuk. Trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt brązowych róż.

Kiedyś zaprowadzili mnie, bym mogła na nią popatrzeć przez szybę. Miała na sobie pomarańczowy kombinezon, jak mechanik samochodowy, i coś było z nią nie w porządku. Oczy miała zasnuwane mgłą. Powiedziałam, że ją kocham, ale mnie nie poznała. Widywałam ją tam w snach, raz po raz, jej ślepe oczy.

Był to rok ust, które się otwierały i zamykały, zadawały te same pytania, mówiły te same rzeczy, „Po prostu nam powiedz, co się stało. Powiedz nam to, co chcemy wiedzieć”. Chciałam im pomóc, ale nie wiedziałam jak. Nie mogłam znaleźć słów, nie

44 miała słów. Na sali sądowej ubrana była w białą koszulę. Widziałam tę koszulę na jawie i widziałam ją we śnie. Widziałam matkę za pulpitem w tej koszuli, oczy miała puste jak lalka. Widziałam jej plecy w tej koszuli, kiedy odchodziła. Od trzydziestu pięciu lat do dożywocia, powiedział ktoś. Wróciłam do domu, policzyłam róże i zasnęłam.

Po przebudzeniu próbowałam sobie przypomnieć wszystko, czego mnie nauczyła. Jesteśmy buławami. Wieszamy naszych bogów na drzewach. Nigdy nie pozwól mężczyźnie zostać na noc. Nie zapominaj, kim jesteś. Ja jednak nie pamiętałam. Byłam niepełnosprawną dziewczyną, z kamieniami w ustach, zgubioną na polu bitwy, na łóżku plastikowe prześcieradło. Byłam pomocnicą od prania, pomagałam kierownicze zanosić brudne ubrania do pralni. Patrzyłam, jak pranie wiruje w koło. Podobał mi się ten zapach, czułam się dzięki niemu bezpiecznie. Spałam, aż sen upodobił się do jawy, a jawa do snu. Czasami leżałam na łóżku w pokoju z różami i patrzyłam, jak dziewczyna z łóżka obok tatuuje sobie skórę bliznami za pomocą agrafki, agrafki do pieluszek z żółtą kaczuszką. Otwierała sobie w skórze kreski i pętelki. Goiło się to w różową, poduszkowatą tkankę. Otwierała je znowu. Zajęło mi to trochę czasu, ale w końcu zrozumiałam. Chciała, żeby było widać.

Śniłam, że moja matka ściga mnie w spalonym mieście, ślepa, nieustępliwa. „Całą prawdę i tylko prawdę”. Chciałam kłamać, ale słowa zdezerterowały. Była boginią, która wyrzuciła złote jabłka. Oni się schyla, żeby je pozbierać, a my uciekniemy. Ale kiedy sięgnęłam do kieszeni, znalazłam tam tylko kurz i suche liście. Nie miałam nic, czym mogłabym ją osłonić, przykryć jej nagie ciało. Skazałam ją swoim milczeniem, skazałam nas obie.

Któregoś dnia po przebudzeniu zobaczyłam, że dziewczyna z łóżka obok przeszukuje moją szufladę komody. Patrzy na książkę, kartkuje ją. Tomik mojej matki. Mojej smukłej, nagiej matki,

45 samej wśród gestapowców. Obmacywała łapami słowa mojej matki.

— Zostaw moje rzeczy — powiedziałam.

Dziewczyna podniosła na mnie zdziwiony wzrok. Myślała, że jestem niemową. Mieszkałyśmy razem w tym pokoju od miesiąca, a ja ani razu nie odezwałam się nawet słowem.

— Odlóż ją na miejsce — powiedziałam. Uśmiechnęła się szeroko. Złapała za jedną

z kartek, zmięła

i wydarła z tomiku, obserwując mnie. Co powinnam zrobić? Słowa mojej matki w jej szorstkich łapach. Co powinnam zrobić? Wzięła następną kartkę, wyrwała i włożyła sobie do ust, papier wisiał z jej poranionych warg, wyszczerzyła zęby.

Rzuciłam się na nią, przewróciłam na podłogę. Usiadłam na niej, kolanami na plecach, dziabnęłam ją w kręgosłup ciemnym ostrzem noża mojej matki. Pieśń we krwi. „Nie zapominaj o tym, kim jesteś”*.

Miałam ochotę ją pochłastać. Czułam w niej czubek noża, wsuwał się w jej szyję, w zagłębienie u podstawy czaszki Jak do studni. Leżała w całkowitym bezruchu, czekając, co się stanie dalej. Spojrzałam na swoją dłoń, dłoń, która umiała trzymać nóż, umiała wbić go w kręgosłup wariatki. Nie był mój. Ja nie byłam jego. Nie byłam.

— Wypluj to — szepnęłam jej do ucha. Wypluła kawałki papieru z końskim furkotem ust.

— Nie dotykaj moich rzeczy. Pokiwała głową. Pozwoliłam jej wstać.

Wróciła na swoje łóżko i zaczęła się kłuć agrafką. Włożyłam nóż do kieszeni i pozbierałam pomietą kartkę, podarte stronice.

W kuchni kierowniczka i jej chłopak siedzieli przy stole, pili piwo Colt 45, słuchali radia. Kłócili się. — Nigdy nie zobaczysz tych pieniędzy, głupku — powiedziała. Nie widzieli mnie. Nie widzieli żadnej z nas. Wzięłam taśmę klejącą i wróciłam do swojego pokoju.

Skleiliśmy podartą kartkę, wkleiliśmy je obie z powrotem do

46tomiku. Był to jej pierwszy tomik, okładka w kolorze indygo z secesyjnym srebrnym wilcem, pociągnęłam palcem po srebrnej linii wijącej się jak dym. Był to egzemplarz, z którego czytała na wieczorach autorskich, z notatkami na marginesach miękkim ołówkiem. „PAUZA. Kadencja”. Dotknęłam stron, których dotykały jej dłonie, przycisnęłam je do ust, miękki, gruby, stary papier, teraz żółty, kruchy jak skóra. Wsunęłam nos w zszycie i poczułam zapach wszystkich wieczorów poezji, woń papierosów bez filtra i ekspresu do kawy, plaż, kadzidełka i słów szeptanych nocą. Słyszałam jej głos bijący z kartek. Okładka wydymała się na zewnątrz jak żagiel.

Zdjęcie z tyłu. Moja matka w krótkiej sukience z długimi, eleganckimi rękawami,

długie pukle włosów, oczy patrzą trochę z dołu. Jak kot wyzierający spod łóżka. Ta piękna dziewczyna była wszechświatem, głosicielką słów, które rozbrzmiewały jak gong, sypały się jak flety zrobione z ludzkich kości. Na zdjęciu nie było jeszcze tego wszystkiego, co się zdarzyło. Byłam wtedy bezpieczna, byłam maleńkim jajeczkiem wielkości główki od szpilki w jej jajniku, nic nas jeszcze nie rozłączyło.

Kiedy zaczęłam mówić, posłali mnie do szkoły. Na imię miałam Biała Dziewczynka. Byłam albinosem, dziwolągiem. Nie miałam w ogóle skóry. Byłam przezroczysta, widać było krwio-bieg. W każdej klasie rysowałam obrazki. Rysowałam obrazki na wydrukach komputerowych, łącząc kropki w nowe konstelacje.

Opiekunowie z ośrodka się zmieniali, lecz zawsze byli tacy sami. Zabierali mnie do McDonalda, otwierali teczki z papierami, zadawali swoje pytania. McDonald przerażał mnie. Było tam za dużo dzieci, które wrzeszczały, płakały i zjeżdżały na kolorowe

47piłki. Nie miałam nic do powiedzenia. Tym razem przyszedł mężczyzna, biały, z bródką przyciętą w stylu Romea. Dłonie miał prostokątne jak łopata, na małym palcu nosił sygnet.

Znalazł dla mnie rodzinę zastępczą. Kiedy odeszłam z pogotowia opiekuńczego przy Crenshaw Blvd, nikt się ze mną nie pożegnał, ale dziewczyna wytatuowana bliznami stała na ganku frontowym i patrzyła, jak odjeżdżam. Kępy lawendowych rzębów występowały przed szereg drzew, gdy sunęliśmy szaro-białymi ulicami.

Trzeba było cztery razy wjeżdżać na autostradę, żeby dotrzeć do mojego nowego domu. Skręciliśmy w ulicę, która wznosiła się jak rampa. Tujunga, mówiły tablice. Patrzyłam, jak niskie domy ranczerskie robią się większe, potem mniejsze, obejścia chaotyczne. Chodniki znikły. Na gankach wyrastały meble jak muchomory. Pralka, deski, biała kwoka, koza. W końcu znaleźliśmy się poza miastem. Dotarliśmy do wzniesienia i zobaczyliśmy wyschnięte koryto rzeki, dzieci na rowerach górskich przecierające szlaki na otwartej przestrzeni, koła wzbijały blade pióra pyłu. Dla kontrastu powietrze wydawało się bezwładne, pokonane.

Zatrzymaliśmy się na podwórzu przy domu, a właściwie baraku na kółkach, ale z tyloma przybudówkami, że trzeba to było nazywać domem. Plastikowy ogrodowy wiatraczek nieruchomy na rabacie geranium. Z doniczek na szerokim ganku zwisały zielistki. Trzech chłopców siedziało i patrzyło. Jeden trzymał z ręki słoik z jakimś

zwierzęciem. Największy podsunął sobie okulary do góry i zawołał przez ramię, w stronę siatki przeciw owadom. Kobieta, która wyszła na ganek, miała duży biust, długie nogi, wielki uśmiech, uzębienie białe i płytke, całe z przodu. Nos zaś rozplaszczony jak bokser.

Na imię miała Starr, a w jej baraku było ciemno. Dała nam po coli, którą piliśmy, gdy rozmawiała z moim opiekunem. Mówiąc, Starr poruszała całym ciałem, a kiedy się śmiała, odrzucała głowę do tyłu. Między jej piersiami migotał mały złoty krzyżyk i opiekun nie mógł oderwać oczu od tego tajemnego zagłębienia. Żadne z nich nie zauważyło, kiedy wyszłam na zewnątrz.

48Nie było tu strzępiastych rzębów, tylko oleandry i palmy, gruszkowaty kaktus i duże drzewo pistacjowe. Pokrywający wszystko kurz miał kolor różowawobeżowego piaskowca, niebo zaś było szerokie jak niezmacone troskami czoło, w kolorze czystego ołowianego błękitu witraży. Po raz pierwszy sufit nie naciskał mi na głowę.

Największy chłopiec, ten w okularach, wstał. — Łapiemy jaszczurki, chcesz iść z nami?

Łapali jaszczurki w pułapki zrobione z pudełek po butach, w dole, w wyschniętym korycie rzeki. Tacy mali chłopcy, a tak cierpliwie czekali, w milczeniu i nieruchomo, żeby mała zielona jaszczurka weszła w pułapkę. Ciągnęli za sznurek i pudełko spadało. Największy chłopiec wsuwał pod pudełko kawałek tektury i obracał je, a średni chwycił maleńkie żyjątko i wkładał do słoika.

— Co z nimi robicie? — spytałam.

Chłopiec z okularach spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Badamy ich obyczaje, oczywiście.

Jaszczurka w słoiku robiła pompki, a potem zupełnie znieruchomiała. Kiedy się ją tak wyizolowało, widać było, jaka jest doskonała, każda maleńka łuska idealnie utoczona, rząd grawerowanych pazurów. Uwięzienie uczyniło z niej szczególną istotę. Nad nami uroczyście wznosiła się góra. Stwierdziłam, że jeśli spojrzę na nią w pewien sposób, to czuję, jak ten barczysty masyw posuwa się ku mnie, z przylepionymi do boków zielonymi kropkami szałwi. Dmuchnął wiatr. Wrzasnął jakiś ptak. Chaparral sycił powietrze świeżym zapachem.

Zeszłam nad rzekę, spacerowałam między rozgrzаныmi słońcem głazami. Oparłam

się o jeden z nich policzkiem, wyobrażałam sobie, że jestem tak niewzruszona i spokojna jak on, obojętna na to, gdzie wyrzuciła mnie rzeka po ostatniej burzy. Nagle znalazł się koło mnie największy chłopak. — Uważaj na grze-chotniki. One lubią te kamienie.

Odsunęłam się od kamienia.

— Grzechotnik diamentowy to największy amerykański wąż

49jadowity — powiedział. — Ale rzadko kąsają powyżej kostki. Patrz pod nogi i nie wspinaj się na głązy albo uważaj, gdzie kładziesz ręce. Rób tak. — Podniósł kamyk i rzucił nim w najbliższy głaz, jakby pukał do drzwi. — Starają się unikać ludzi. Uważaj też na skorpiony. Wytrząśnij buty, zanim nałożysz, zwłaszcza na zewnątrz.

Przyjrzałam mu się uważnie, temu chudemu, piegowatemu chłopcu, mnie więcej jedenastoletniemu, aby ocenić, czy próbuje mnie nastraszyć. Chyba jednak bardziej chodziło mu o to, żeby mi zaimponować, jaki jest mądry. Cały czas szłam przed siebie, patrząc na kształty głazów, ich sine cienie, wydawało mi się, że, podobnie jak góra, są zamieszkane, że ukrywają się w nich ludzie. Chłopak szedł za mną.

— Królik — powiedział, pokazując na ziemię.

Zatarte ślady ledwo było widać, dwa większe odciski, a po nich jeden mniejszy i następny. Chłopak uśmiechnął się, dolne zęby miał trochę cofnięte, przez co sam nieco przypominał królika. Jego miejsce było przed telewizorem albo w bibliotece, ale umiał czytać suchą ziemię jak inne dziecko czytałoby komiks, jak moja matka czytała karty. Chciałam, żeby przepowiedział mi przyszłość z tej suchej ziemi.

— Spostrzegawczy jesteś — powiedziałam.

Uśmiechnął się. Należał do chłopców, którzy lubią być zauważani. Powiedział, że ma na imię Davey i jest prawdziwym synem Starr. Ma siostrę, Carolee, a dwaj pozostali chłopcy, Owen i Peter, to przybrane dzieci tak jak ja. Ale nawet rodzone dzieci Starr mieszkały u rodzin zastępczych, kiedy była na odwyku.

Ilu dzieciom to się zdarzyło? Ile było dzieci takich jak ja, pływających jak plankton po bezkresnym oceanie? Pomyślałam, jak kruche są więzi między matką i dziećmi, między przyjaciółmi, rodziną, więzi, które uważa się za wieczne. Wszystko można utracić, łatwiej niż ludzie sobie wyobrażają.

Szliśmy dalej. Davey pociągnął za roślinę z jasnozielonymi kwiatami.

— Lędźwian. Rodzina *Pisum*. — Wzdłuż kanionu zerwał się

50lekki wiaterek, drzewa zamigotały szarozielono. — Grujecznik ma zieloną korę. To drugie to grab karoliński nazywany żelaznym drzewem.

Cisza, masy wność góry, białe motyle. Zielona woń sumaków, których, jak poinformował mnie Davey, miejscowi Indianie używali do utykania swych chat. Kępy gigantycznego rajgrasu, wciąż zielonego, lecz już szeleszczącego ogniście. Dwa jastrzębie krążyły z wrzaskiem po gładkim błękitnie nieba.

Tego wieczoru motywy kowbojów na źrebakach, lassa i ostrogi zdobiły moje łóżko, na którym leżałam w rozpiętym śpiworze i patrzyłam, jak Carolee, szesnastoletnia i wysoka jak jej matka, naburmuszona dziewczyna z odętymi ustami, zasuwa zamek bluzki.

— Najchętniej by mi zabroniła wychodzić z domu — powiedziała Carolee do swego odbicia. — Takiego wała.

Po drugiej stronie cienkiej ściany matka i jej chłopak hipis kochali się, pionowa deska łóżka tłukła o przepierzenie. Nie była to magiczna noc, moja matka i jej młodzieńcy szepczą sobie na ucho miłosne zaklęcia do wtóru imperialnej koto* w aromatycznym świetle zmierzchu.

— Boże przenajświętszy! — wrzasnęła.

Carolee wykrzywiła usta w czymś w rodzaju uśmiechu, sznurowała but, który położyła na łóżku.

— Chrześcijanie nie mówią: „Zerżnij mnie, kochanie”. Właściwie to nie powinni w ogóle tego robić, ale ona ma we krwi wirus grzechu. — Pozowała przed lustrem, zsunęła zamek bluzki o parę centymetrów, było więc widać spory kawałek jej piersi. Odsłoniła zęby i przetała je palcem.

Zaskrzypiał rower górski, Carolee otworzyła siatkę przeciw owadom w oknie, weszła na komodę, o mało co wdepnąwszy do swojego koszyka z kosmetykami.

— Do zobaczenia rano. Nie zamykaj okna.

* Koto — długa japońska cytra trzynastostrunowa. Wstałam i patrzyłam, jak odjeżdża na rowerze. Droga była szeroka i biała w świetle księżyca, ciemność gór ciemniejsza od ciemności nieba, droga i słupy telefoniczne tworzyły idealną perspektywę

zbieżną. Wyobraziłam sobie, że można iść tą drogą aż do punktu, gdzie się zbiegają, i wyłonić w zupełnie innym świecie.

— Bez Jezusa już dawno bym nie żyła — mówiła Starr, gdy zajęła drogę półciężarówce, która ukarała nas trąbieniem. — Jak Boga Kocham. Kiedy zabrali, mi dzieci, byłam gotowa rozwalić się na drodze.

Siedziałam z przodu w fordzie Torino, którym jeździła Starr, Carolee rozparła się na tylnym siedzeniu, na kostce migotała jej bransoletka, którą dostała w prezencie od swego chłopaka Derri-cka. Starr jechała za szybko, odpalała jeden papieros od drugiego, Benson & Hedges 100s w złotej paczce, i słuchała rozgłośni chrześcijańskiej. Mówiła o tym, jak kiedyś była alkoholiczką, kokainistką i kelnerką topless w klubie Trop.

Nie była piękna jak moja matka, ale przyciągała wzrok. Nigdy nie widziałam nikogo z taką figurą, no chyba że oglądałam ostatnie strony „LA Weekly”, żując kabel telefoniczny. Była wulkanem energii. Bez przerwy gadała, śmiała się, pouczała, paliła. Ciekawe, jaka jest po kokainie, pomyślałam.

— Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz ojca Thomasa. Czy uznałś Chrystusa za swojego osobistego zbawiciela?

Chciałam jej powiedzieć, że my wieszamy naszych bogów na drzewach, ale rozsądek zwyciężył.

— Nie martw się. Kiedy tylko usłyszysz tego człowieka, zostaniesz od ręki zbawiona.

Carolee zapaliła marlboro, opuściła tylną szybę. — Ten obłudny oszust. Że też ty się dajesz nabrać na te pierdoły.

— Kto we mnie wierzy, to choćby umarł, żyć będzie, nie zapominaj o tym, moja panno — powiedziała Starr. Nigdy nie mówiła do nas po imieniu, nawet do własnych dzieci, tylko „kawalerze” albo „panno”.

Wiozła nas do sklepu odzieżowego Clothetime w sąsiednim

52miasteczku, Sunland, chciała mi kupić parę rzeczy na moje nowe życie. Jeszcze nigdy nie byłam w takim sklepie. Moja matka i ja kupowałyśmy ubrania na deptaku w Venice. W Clothetime kolory atakowały nas ze wszystkich stron. Karmazynowy! Turkusowy! Rdzawy! — krzyczały w migotliwym świetle fluorescencyjnym. Starr nałożyła mi

całe naręcze ubrań do przymierzenia i weszła razem ze mną do kabiny, tak że mogliśmy kontynuować pogawędkę.

Wcisnęła się w obcisłą minisukienkę w paski i przyglądała ją na żebrach, ustawiła się bokiem, żeby zobaczyć, jak wygląda z profilu. Paski poszerzały się i zwężały na jej piersiach i pośladkach jak w op-arcie. Próbowałam się na nią nie gapić, ale robiła wrażenie. Zastanawiałam się, co sobie pomyśli ojciec Thomas, kiedy ją zobaczy w takiej sukience.

Zmarszczyła czoło, zdjęła sukienkę przez głowę i powiesiła na haczyku. Sukienka rozciągnęła się, żeby się dopasować do jej figury. Jej ciało w małej przymierzalni — to niemal przekraczało moją wytrzymałość, mogłam na nią patrzeć tylko w lustrze, piersi wylewały jej się z usztywnionego stanika, krzyżyk krył się między nimi jak wąż na głazie.

— Grzech jest wirusem, tak mówi ojciec Thomas. Rozszerza się na cały kraj jak tryper — powiedziała mi. — Teraz jest epidemia trypra, nie mogą go wytępić. Z grzechem jest dokładnie tak samo. Znajdujemy sobie tyle wymówek. Co to za różnica, czy biorę kokainę, czy nie? Co w tym złego, że chcę mieć przez cały czas dobre samopoczucie? Przecież nikomu nie dzieje się przez to krzywda.

Otworzyła szeroko oczy, widziałam klej na jej sztucznych rzęsach.

— Dzieje się krzywda nam i Jezusowi. Bo to grzech. — Powiedziała to delikatnym, słodkim głosem, jak przedszkolanka. Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest pracować w klubie dla panów. Chodzić nago po sali pełnej mężczyzn.

Nałożyła elastyczną różową sukienkę, zsuwając ją na biodra. —• To wirus, który przeżera cię na wylot, zarażasz wszystko wokół siebie. Zaczekaj, aż posłuchasz ojca Thomasa.

53Zmarszczyła czoło na widok sukienki w lustrze, z tyłu źle się układała, była tak opięta, że podnosiła się między nogami.

— Na tobie lepiej by wyglądała.

Zdjęła ją i podała mi. Sukienka pachniała jej ciężkimi perfumami. Obsession. Kiedy zdjęłam ubranie, przyjrzała się uważnie memu ciału, jakby się decydowała, czy chce je kupić. Wstydziłam się, miałam podartą bieliznę.

— Lepiej zacznij nosić stanik, moja panno. Trzyście lat, najwyższa pora. Ja

zaczęłam nosić stanik w czwartej klasie. Chyba nie chcesz, żeby ci zwisały do kolan, jak będziesz miała trzydzieści lat?

Trzydzieści lat? Przeżyłam taki wstrząs, że straciłam z wieszaka kilka ubrań. Przejrzałam w pamięci poprzedni rok. Proces mojej matki, wszystkie te sesje i pytania, środki farmakologiczne i opiekunowie z ośrodka. W którymś momencie skończyłam trzydzieści lat. Przekroczyłam granicę podczas snu i nikt mnie nie obudził, żeby wbić pieczętkę do paszportu. Trzydzieści lat. Wprawilo mnie to w takie osłupienie, że nawet nie oponowałam, kiedy Starr uparła się, że kupi mi tę różową sukienkę, żebym miała w czym chodzić do kościoła, i dwa staniki, aby mi nie obwisły do kolan, kiedy będę miała trzydzieści lat. Kupiła mi też pudełko majtek i parę innych rzeczy.

Przeszłyśmy do sąsiedniego Payless po buty. Starr wzięła z półki czerwony but na wysokim obcasie i nałożyła bez skarpetki, wstała, wygładziła szorty na biodrach, przechyliła głowę, zrobiła minę i odłożyła but na miejsce.

— Ja naprawdę tak myślałam. Komu to przeszkadza, że przystawiam cycki do gęby jakiegoś obcego człowieka? To mój interes.

— Mamo, proszę cię, przestań — szepnęła Carolee. — Ludzie się na nas gapią.

Starr podała mi parę różowych butów na wysokich obcasach, pod kolor sukienki. Przymierzyłam. Wyglądałam w nich jak Daisy Duck, ale Starr bardzo się podobały i wcisnęła mi je na siłę.

— Przydałyby się jej, kurde, jakieś adidas albo coś — powiedziała Carolee. •— Ma tylko te sandały.

54Upatrzyłam sobie traperki, mając nadzieję, że nie są zbyt drogie. Kiedy pokazałam je Starr, zrobiła cierpiętniczą minę.

— Nie są zbyt... urodziwe.

Ale węże rzadko kęsają powyżej kostki.

W niedzielę rano Carolee wcześniej wstała. Byłam zdziwiona, bo w sobotę spała do południa. Ale teraz o ósmej była już ubrana, plecaczek na ramieniu.

— Dokąd idziesz?

Szczotkowała swoje piaskowe włosy. — Kpisz czy o drogę pytasz? Nie mam zamiaru spędzić całego dnia, słuchając, jak ojciec Pierdoła truje o Krwi Baranka. —

Odłożyła szczotkę i wyszła z pokoju. — *Sayonara*. — Usłyszałam trzaśnięcie siatki przeciwko owadom.

Zastosowałam się do porady Carolee i udawałam chorą. Starr przyjrzała mi się uważnie i powiedziała: — Za tydzień, moja panno. — Miała na sobie krótką białą spódnicę, brzoskwińową bluzkę i dziesięciocentymetrowe szpilki. Biła od niej potężna woń *Obsession*. — Żadnych wymówek.

Dopiero kiedy usłyszałam, jak Torino wyjeżdża na drogę, odważyłam się ubrać, wyjść z pokoju, zrobić sobie coś na śniadanie. Byłam sama, co bardzo mi odpowiadało, chłopcy jeździli na rowerach nad rzeką. Jadłam śniadanie, kiedy z sypialni wyszedł przyjaciel Starr, boso i w dżinsach, nałożył podkoszulek. Miał chudy i owłosiony tors, jasnych, przetykanych siwizną, rozczochranych włosów nie spał jeszcze w zwyczajowy kucyk. Wytoczył się na korytarz, usłyszałam odgłos sikania, spuszczenia wody. Wszedł do głównego pokoju, znalazł papierosa w paczce na stole, zapalił. Dłoń z papierosem była pozbawiona jednego palca i końcówki drugiego.

Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że na to patrzę. — Widziałś kiedyś, jak stolarz zamawia stół w restauracji? Dla trzech osób, poproszę. — Uniósł do góry okaleczoną dłoń.

Przynajmniej nie był drażliwy na tym punkcie. W sumie go lubiłam, choć peszył mnie fakt, że to on był sprawcą okrzyków

55„Boże przenajświętszy” zza ściany. Urodę miał przeciętną, twarz chudą, oczy smutne, włosy długie, siwiejące. Mieliśmy na niego mówić wujek Ray. Wyjął z lodówki piwo, które westchnęło z sykiem, kiedy je otworzył.

— Nie poszłaś na spektakl z Jezusem. — Nie tyle pił piwo, ile wlewał je sobie do gardła.

— Ty też.

— Wolalbym dać się zastrzelić. Moja teoria jest taka: jeśli Bóg istnieje, to jest taki popieprzony, że nie zasługuje na to, aby się do niego modlić. — Beknął głośno i uśmiechnął się.

Nigdy nie zastanawiałam się zbyt wiele nad Bogiem. Mieliśmy *Zmierzch Bogów*, mieliśmy drzewo świata. Mieliśmy *Olimp* i jego skandale, *Ariadna* i *Bachus*, porwanie

Danae. Wiedziałam o Śiwie i Parwati, o Pele, bogini wulkanów, lecz moja matka zakazała jakichkolwiek wzmianek o Chrystusie. Nie chciała nawet przychodzić na szopkę bożonarodzeniową w szkole. Powiedziała, żebym się umówiła na podwiezienie z koleżanką.

Doznania, które najbardziej kojarzyły mi się z Bogiem, budziło we mnie błękitne bezchmurne niebo i pewien rodzaj ciszy, ale jak się modlić do czegoś takiego?

Wujek Ray oparł się o framugę drzwi, palił papierosa, patrzył na duże drzewo pistacjowe i swojego pikapa zaparkowanego na podwórzu. Popijał piwo, które trzymał w tej samej ręce co papierosa, bardzo zręcznie jak na osobę bez dwóch palców. Mrużył oczy, kiedy wydmuchiwał dym przez siatkę przeciw owadom.

— On po prostu ma ochotę ją przelecieć. Niedługo jej powie, żeby mnie wywaliła, a wtedy wezmę gnata i nauczę skurwiela paru rzeczy. Wtedy zobaczysz trochę krwi baranka.

— To nie grzech, kiedy ktoś jest żonaty — powiedziałam. Sądziłam, że mnie nie usłyszał, ale usłyszał.

— Ja już jestem żonaty — powiedział, patrząc na drzewo pistacjowe, którego gałęzie powiewały jak długie włosy kobiety. Rzucił mi przez ramię szeroki uśmiech. — Wirus się we mnie mnoży jak sto pięćdziesiąt.

— Gdzie jest twoja żona?

56— Nie wiem. Nie widziałem się z nią od dwóch, trzech lat. Mówił o tym tak spokojnie, jakaś kobieta chodziła po świecie

z jego nazwiskiem i historią jego życia, a on nawet nie wiedział, gdzie ona jest. Zakręciło mi się od tego w głowie, miałam ochotę chwycić się czegoś ciężkiego. Takie życie mnie czekało, wszyscy rozdzieleni ze sobą, trzymają się razem przez chwilę, a potem porywa ich prąd. Ja też mogę dorosnąć i odpłynąć, pomyślałam. Może moja matka nie dowie się, gdzie jestem i za kilka lat, kiedy ktoś spytają o mnie, wzruszy ramionami i powie: — Nie widziałam jej od dwóch, trzech lat.

Rąbnęło mnie to jak cios pięścią w brzuch. Być może już nigdy jej nie zobaczę. Po prostu. Ludzie gubią się nawzajem, dłoń wyslizguje się z dłoni w tłumie. Może już nigdy jej nie zobaczę. Te tępe oczy za suchym akwariem, kształt jej pleców. Mój Boże, jak ja

potrafiłam nie dopuszczać do siebie tej myśli przez tyle miesięcy? Chciałam mojej matki, chciałam, żeby coś mnie chwyciło i nie pozwoliło mi się wysliznąć.

— Ej, co to ma znaczyć? — Wujek Ray podszedł i usiadł koło mnie przy stole. Wrzucił niedopałek do puszki po piwie i wziął mnie za rękę. — Nie płacz, dziecko. Co się stało? Możesz powiedzieć wujkowi Rayowi.

Potrafiłam tylko potrząsnąć głową, suche szlochania jak żyletki.

— Tęsknisz za mamą?

Pokiwałam głową. Czulałam się tak, jakby dwie ręce chwyciły mnie za gardło i wyciskały mi łzy z oczu. Ciekło mi z nosa. Ray podsunął krzesło, żeby móc mnie objąć ramieniem, i podał mi ze stołu serwetkę. Wtuliłam twarz w jego pierś, zmoczyłam mu podkoszulek łzami i śpikami. Dobrze było znaleźć się w czyichś objęciach. Wdychałam jego zapach, papierosy, odleżałe ciało, piwo i świeżo ścięte drzewo, coś zielonego.

Obejmował mnie, był masywny, nie pozwoli mi odpłynąć. Mówił do mnie, mówił, że nikt nie zrobi mi krzywdy, że jestem świetną dziewczyną, że nic mi nie będzie. Po jakimś czasie wytarł mi policzki wierzchem dłoni, chwycił za brodę, żeby na mnie popatrzeć, odgarnął mi włosy z oczu.

57— Naprawdę za nią tęsknisz, co? Powiedz mi, jest taka ładna jak ty?

Uśmiechnęłam się nieznacznie, oczy miał takie smutne i dobre.

— Mam zdjęcie. — Pobiegłam do swojego pokoju i przyniosłam egzemplarz ostatniego tomiku mojej matki, *Kurz*. Delikatnie pogłaskałam dłonią zdjęcie na tylnej okładce, na plaży w Big Sur. Wielkie skały w wodzie, przyniesione przez fale drewno. Wyglądał jak Lorelei, przyczyna katastrof morskich. Odyseusz musiałby się przywiązać do masztu.

— Będziesz ładniejsza — powiedział.

Wytarłam nos w krótki rękawek podkoszulka, uśmiechnęłam się. Moja matka była kobietą, za którą wszyscy się oglądali na targu. Nie tak jak za Starr, podziwiali jej czyste, piękno. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym kiedyś posiadać takie piękno jak moja matka. Nie śmiałam. To byłoby zbyt przerażające.

— Nigdy w życiu.

— E tam. Masz po prostu inny typ urody. Taki słodki, sympatyczny. Twoja matka

wygląda, jakby chciała ugryźć... mnie by to nie przeszkadzało, ostre kobiety też lubię, ale wiesz, o co mi chodzi. Będą padali jak muchy na twój widok. — Spojrzał mi w twarz swoimi dobrymi oczami, mówił takim łagodnym tonem. — Słyszysz? Będziesz musiała odkopywać ciała na bok, żeby przejść ulicą.

Nikt mi nigdy nie mówił takich rzeczy. Nawet jeżeli wujek Ray kłamał, żeby poprawić mi nastrój — teraz już nikt się tak dla mnie nie wysiłał.

Przewrócił kilka kartek, czytał. — Posłuchaj, ten jest o tobie.

Wyrwałam mu tomik z płonąca twarzą. Wiedziałam, o który wiersz mu chodzi.

Ciii

Astrid śpi

Różowa studnia jej bezsłowych ust

Jedna długa noga zwisa z łóżka

Jak nie dokończone zdanie

58*Jej śliczne piegi kryją konstelacje kolejnych szans*

Jej muszelka kauri

W której szepcze nie otwarta kobieta...

Recytowała ten wiersz podczas wieczorów autorskich. Ja siedziałam i rysowałam przy stoliku, jakbym jej nie słyszała, jakby nie o mnie mówiła, o moim ciele, o mojej dziecięcej anatomii. Nienawidziłam tego wiersza. Co ona sobie myślała, że ja nie wiem, o czym ona mówi? Ze nie obchodzi mnie, komu ona to czyta? Nie, myślała, że ponieważ jestem jej córką, należę do niej, to może ze mną zrobić, co tylko zechce. Przerobie mnie na poezję, wystawić na widok publiczny moje kurze kości i moją muszelkę kauri, moją nie otwartą kobietę.

— Co się z nią stało?

— Zabiła swojego kochanka — odparłam, patrząc na jej zdjęcie, jej profil był włócznią pod moimi żebrami, przebijał mi wątrobę, moje prawe płuco. Łza spadła mi z rzęsy prosto na fotografię. Starłam ją. — Siedzi w więzieniu.

Wzruszył ramionami. Jakby to była normalka. Przykre, lecz nie szokujące.

Skończyłam ósmą klasę w Mt. Gleason Junior High, mojej trzeciej szkole tego

roku. Nikogo nie znałam, nie chciałam znać. Lunch jadłam z Daveyem. Odpytywaliśmy się nawzajem z fiszek, które zrobił. Jak się nazywa mała fretka? Kocię. Ile miotów rocznie? Dwa. Ile kociąt w jednym miocie? Sześć do dziewięciu. Gwiazdozbiór Andromeda: najważniejszy obiekt? Wielka Mgławica A. Ulubiony obiekt obserwacji? Podwójna gwiazda gamma Andromedae. Odległość od Ziemi? Dwa miliony lat świetlnych. Anomalia? W przeciwieństwie do innych spiralnych mgławic, które oddalają się od nas z dużymi prędkościami, Andromeda zbliża się do nas z prędkością 300 kilometrów na sekundę.

Mój opiekun z ośrodka często odwiedzał nasz barak, siedział ze Starr, próbował wyglądać przystojnie na ganku pod zielistkami. Powiedział, że moja matka została przeniesiona do więzienia

59 dla kobiet w Chino i od czwartku można przychodzić na widzenia. Istniała organizacja, która wozila dzieci na widzenia z rodzicami w więzieniach. Miałam odwiedzić matkę.

Po ostatniej wizycie bałam się. Nie wiedziałam, czy wytrzymam drugi raz to samo. A jeśli matka wciąż jest jak żywy trup? Nie zniósłabym tego. No i bałam się więzienia, krat i wypełzających między nimi rąk. Dzwonienia kubkami. Jak moja matka może tam żyć, ona, która układała białe kwiaty w kreskowanym szklanym flaconie, która potrafiła godzinami spierać się o to, czy Frost był wybitnym poetą?

Znałam jednak odpowiedź na to pytanie. Nafaszerowana prochami, siedzi w kącie, belkocze pod nosem swoje wiersze, obiera włosie z koca, oto jak może tam żyć. Albo bijają do nieprzytomności strażniczki czy inne więźniarki. Nie wiedziała, kiedy należy obniżyć lot, żeby się nie dać wykryć radarom.

A jeśli nie będzie chciała się ze mną widzieć? A jeśli ma mi za złe, że nie potrafię jej pomóc? Minęło osiem miesięcy od tego dnia w więzieniu, kiedy mnie nawet nie poznała. W którymś momencie wieczorem postanowiłam nawet, że nie pojedę. Jednak o piątej wstałam, wzięłam prysznic, ubrałam się.

— Pamiętaj, żadnych dzinsów, nic niebieskiego — przypomniała mi Starr poprzedniego wieczoru. — Chcesz wyjść stamtąd z powrotem, prawda? — Nie musiała mi przypominać. Nałożyłam moją nową różową sukienkę, stanik i buty, w których wyglądałam jak Daisy Duck. Chciałam jej pokazać, że dorosłeję, że potrafię być samodzielna.

Bus przyjechał o siódmej. Starr wstała i podpisała papiery, kierowca zerkał na jej odzianą w szlafrok figurę. W busie było jeszcze jedno dziecko, chłopak. Usiadłam na siedzeniu przed nim, też przy oknie. Po drodze zabraliśmy jeszcze troje dzieci.

Dzień był pochmurny, czerwcową szarość, wilgoć w powietrzu skraplała się na przedniej szybie. Na autostradzie nie było widać następnego wiaduktu. Wyłaniał się z mgły, a potem znikał,

60świat starzał się, a potem wymazywał. Było mi od tego niedobrze. Uchyliłam okno. Jechaliśmy długo, przez nie kończące się przedmieścia. Tak bardzo chciałam wiedzieć, jaka ona będzie, kiedy przyjadę na miejsce. Nie potrafiłam sobie wyobrazić matki w więzieniu. Nie paliła i nie ssała wykałaczek. Nie mówiła „kur-de” ani „cholera”. Znała cztery języki, cytowała T.S. Eliota i Dy-lana Thomasa, piła *lapsang souchong* z porcelanowej filiżanki. Nigdy nie przestąpiła progę McDonalda. Mieszkała w Paryżu i Amsterdamie, we Fryburgu i na Martynice. Jak taka kobieta może siedzieć w więzieniu?

W Chino skręciliśmy z autostrady na południe. Próbowałam to sobie zapamiętać, żebym mogła znaleźć więzienie w marzeniach i snach. Przejechaliśmy przez ładne przedmieścia, potem trochę mniej ładne, potem nowiutkie osiedla na przemian z tartakami i wypożyczalnią sprzętu rolniczego. Wreszcie znaleźliśmy się na prawdziwej wsi, jeździliśmy drogami, gdzie nie było przejazdów kolejowych, tylko mleczarnie i pola, zapach końskiego nawozu.

Po prawej wznosił się duży kompleks budynków.

— To jest to? — spytałam dziewczynkę, która siedziała koło mnie.

— Nie, to dla młodocianych.

Wszystkie dzieci ponuro patrzyły na budynki, kiedy je mijaliśmy. Milczeliśmy jak grób, mijając więzienie dla mężczyzn, odsunięte od drogi, pośrodku pola. Wreszcie skręciliśmy na niedawno wyasfaltowaną drogę, mineliśmy niewielki targ, skrzynka Budweisera 5,99 \$. Chciałam to wszystko sobie zapamiętać. Dzieci zabrały swoje torby, plecaczki. Zobaczyłam więzienie — komin, wieża ciśnień, wieżyczka strażnicza. Ogrodzenie z aluminium. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam. Miałam w pamięci *Ptasznika z Alcatraz* albo / *Want to Live!* z moją matką jako Susan Hay ward. Tutaj niskie ceglane budynki były porozstawiane daleko od siebie, w parku z drzewami, różami i całymi hektarami zielonej trawy. Bardziej przypominało to muzeum na bogatym

przedmieściu niż więzienie. Nie licząc wieżyczek strażniczych i drutu kolczastego.

61Na drzewach chrapliwie krakały wrony. Brzmiało to tak, jakby coś rozdzierały, coś, co nie było im potrzebne, dla samej radości niszczenia. Minęliśmy wartownię, wpisaliśmy się do księgi. Przeszukali nam plecaczki i kazali przejść przez wykrywacz metali. Jednej dziewczynce zabrali paczkę. Żadnych prezentów. Trzeba je wysłać pocztą, do czterech paczek od rodziny rocznie. Aż podskoczyliśmy, kiedy brama zatrzasnęła się za nami z hukiem. Byliśmy zamknięci.

Kazali mi czekać przy niebieskim stole ogrodowym pod drzewem. Byłam zdenerwowana i chciało mi się wymiotować od jazdy. Nie wiedziałam nawet, czyją rozpoznam. Przeszedł mnie dreszcz, żałowałam, że nie wzięłam swetra. Co ona sobie o mnie pomyśli, jak mnie zobaczy w staniku i butach na obcasach?

Kobiety tłoczyły się na zadaszonym wybiegu widzeń. Więźniarki, twarze jak maski. Uśmiechały się do nas szyderczo. Jedna kobieta zagwizdała na mnie i polizała się między palcami, pozostałe się roześmiały. Ich śmiech trwał bez końca i przypominał krakanie wron.

Matki zaczęły wychodzić z budynku więziennego inną bramą. Miały na sobie dzinsy i podkoszulki, szare swetry, bluzy. Zobaczyłam moją matkę, która czekała na strażniczkę, żeby ją przyprowadziła. Miała na sobie prostą drelichową sukienkę, lecz na niej niebieski był kolorem, jak piosenka. Jej blond włosy urzynał na wysokości szyi ktoś, kto nie miał serca do tej pracy, lecz niebieskie oczy były tak czyste jak wysoka nuta na skrzypcach. Wstałam, lecz nie potrafiłam się ruszyć, czekałam drżąca, a ona podeszła i przytuliła mnie.

Samo dotknięcie, objęcie jej, po tylu miesiącach! Położyłam głowę na jej piersi i pocałowała mnie, powąchała moje włosy, nie pachniała już fiołkami, tylko proszkiem do prania. Wzięła moją twarz w dłonie i całą wycalowała, otarła mi łzy swoimi silnymi kciukami. Pociągnęła mnie na krzesło i sama usiadła obok.

Byłam spragniona jej dotyku, jej wyglądu, brzmienia jej głosu, widoku jej równych górnych zębów z lekko przekręconymi dwójkami, jej jednego dołeczka po lewej stronie, jej

62półuśmiechu, jej cudownie niebieskich oczu z białymi plamkami, jak nowe galaktyki, widoku gładkiej, nienaruszonej powierzchni jej twarzy. Zupełnie nie

przypominała więźniarki, wyglądała tak, jakby właśnie zeszła z drewnianego chodnika w Venice z książką pod pachą, gotowa zasiąść w kawiarni nad oceanem.

Usiadłyśmy przy stole ogrodowym i szepnęła do mnie: — Nie płacz. Nie jesteśmy płaczkami, tylko wikingami, pamiętasz?

Skinęłam głową, ale moje łzy kapąły na niebieski plastikowy blat. Lois, wydrapał ktoś. 18 Ulica. Cipa.

Jedna z kobiet na betonowym dziedzińcu za krytym obszarem dla odwiedzających zagwizdała i krzyknęła coś, coś na temat mojej matki lub mnie. Matka podniosła wzrok i przywaliła jej spojrzeniem jak pięścią prosto w twarz. To ją ostudziło. Szybko się odwróciła, jakby nie ona to powiedziała.

— Jesteś taka piękna — powiedziałam, dotykając jej włosów, jej kołnierza, jej policzka. Wcale nie plastyczna.

— Więzienie mi służy — powiedziała. — Nie ma tu ani śladu hipokryzji. Jeśli ty nie zabijesz, to zabiją ciebie, każdy o tym wie.

— Tak bardzo za tobą tęskniłam — szepnęłam.

Objęła mnie ramieniem, głowę miała tuż obok mojej. Przyłożyła usta do mej skroni i położyła dłoń na czole. — Nie będę tu tkwiła wiecznie. Nie zatrzymają mnie tu, przyrzekam ci. Jakoś się wydostanę. Któregoś dnia wyjrzysz przez okno i ja tam będę.

Spojrzałam na jej pełną determinacji twarz, kości policzkowe jak brzytwy, oczy napawające nadzieją. — Bałam się, że będziesz na mnie zła.

Odsunęła mnie na odległość ramienia, trzymając mnie oburącz. — Dlaczego tak myślałaś?

Bo nie umiałam dobrze kłamać, ale nie potrafiłam tego powiedzieć, tak się wstydziłam.

Znów mnie przytuliła. Chciałam już na zawsze zostać w jej objęciach. Obrabuję bank i zostanę skazana, żebyśmy mogły być zawsze razem. Chciałam się zwinąć na jej podołku, chciałam

63zniknąć w jej ciele, chciałam być jedną z jej rzęs, naczyniem krwionośnym w jej udzie, pieprzykiem na jej szyi.

— Bardzo tu jest strasznie? Robią ci krzywdę?

— Nie taką, jak ja im — odparła i wiedziałam, że się uśmiecha, chociaż widziałam tylko drelich rękawa i jej przedramię, wciąż opalone. Musiałam trochę się odsunąć, żeby na nią popatrzeć. Tak, uśmiechała się, jej półuśmiech, przecinek w kącie ust. Dotknęłam jej ust. Pocałowała mnie w palce.

— Przydzielili mnie do pracy biurowej. Powiedziałam im, że wolałabym sprzątać toalety, niż przepisywać na maszynie ich biurokratyczne rzygowiny. Nie przepadają za mną. Jestem w ekipie, która zajmuje się parkiem. Zamiatam, wyrywam chwasty, choć oczywiście tylko wewnątrz ogrodzenia. Stanowią niewielkie zagrożenie dla bezpieczeństwa. Wyobraź sobie. Odmawiam uczenia ich analfabetów, prowadzenia zajęć z pisania czy karmienia molocha w jakikolwiek inny sposób. Nie będę służyła. — Wsunęła nos w moje włosy, sprawdzała, jak pachnę. — Twoje włosy pachną chlebem. Koniczyną i gałką muszkatołową. Chcę cię zapamiętać właśnie taką, w tej smutno optymistycznej różowej sukience i tych okropnych czółenkach prowincjonalnej panny młodej. Twojej przybranej matki, jak tuszę, zważywszy, że różowy jest uosobieniem kiczu.

Opowiedziałam jej o Starr i wujku Rayu, o innych dzieciach, rowerach górskich, grucznikach i żelaznych drzewach, o kolorach głazów nad wyschniętą rzeką. O górze i jastrzębiach. Opowiedziałam jej o wirusie grzechu. Byłam w siódmym niebie, słysząc dźwięk jej śmiechu.

— Musisz przysłać mi rysunki — powiedziała. — Rysowanie zawsze szło ci lepiej niż pisanie. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dla którego do mnie nie napisałaś.

Umiałam pisać? — Ty też do mnie nie napisałaś.

— Nie dostajesz moich listów? — spytała. Uśmiech zniknął, z twarzy uszło powietrze, przypominała maskę, jak u kobiet pod zadaszaniem. — Daj mi swój adres. Napiszę bezpośrednio do ciebie. A ty pisz do mnie, nie idź z tym do swojego opiekuna. Mój

64błąd. Ale nauczymy się sobie radzić. — Jej oczy znów rozbliły wigorem. — Jesteśmy inteligentniejsze od nich, *ma petite*.

Nie znałam swojego adresu, lecz ona podała mi swój, kazała mi powtórzyć kilka razy, żebym zapamiętała. Mój umysł buntował się przeciwko adresowi matki. Ingrid Magnussen, więźniarka W99235. Kalifornijski Zakład Karny dla Kobiet. Corona--

Frontera.

— Gdziekolwiek się wybierzesz, pisz do mnie. Pisz przynajmniej raz w tygodniu. Albo przysyłaj rysunki, bo środowisko wizualne w tym więzieniu pozostawia wiele do życzenia. Szczególnie chciałabym zobaczyć eks-tancerkę topless i wujka Ernie-go, niewydarzonego stolarza.

Zraniło to moje uczucia. Wujek Ray pomógł mi, kiedy go potrzebowałam. Nawet go nie znała.

— Ma na imię Ray i jest bardzo miły.

— Aha — odparła. — Trzymaj się z daleka od wujka Ray a, zwłaszcza jeśli jest taki strasznie miły.

Ale ona była w środku, a ja na zewnątrz. Miałam przyjaciela. Nie miałam zamiaru pozwolić jej, by mi go odebrała.

— Myślę o tobie cały czas — powiedziała. — Zwłaszcza w nocy. Wyobrażam sobie, gdzie jesteś. Kiedy w więzieniu jest cisza i wszyscy śpią, wyobrażam sobie, że cię widzę. Próbuję nawiązać z tobą kontakt. Słyszałaś kiedyś, jak wołam do ciebie, czułaś moją obecność w swoim pokoju? — Głaskała między palcami pasemko moich włosów, położyła je na moim ramieniu, żeby sprawdzić, jakie są długie. Sięgały mi do łokcia.

Tak, czułam ją. Słyszałam, jak woła do mnie: „Astrid? Nie śpisz?” — Późno w nocy. Zawsze miałaś problemy ze spaniem.

Pocałowała mnie w sam czubek głowy. — Ty też. A teraz opowiedz mi o sobie. Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Zdziwiło mnie to. Wcześniej nigdy nie chciała o mnie wiedzieć. Lecz długie dni monotonii przywiodły ją z powrotem do mnie, kazały jej przypomnieć sobie, że ma gdzieś w świecie córkę. Zaczęło wschodzić słońce i mgła nad ziemiąjarzyłasięjak japoński lampion.

65W następną niedzielę zasnęłam. Po co ja śniłam o matce? Sen był rozkoszny. Dział się w Arles, szłyśmy aleją wysadzaną ciemnymi cyprysami, obok grobów i polnych kwiatów. Uciekła z więzienia — kosila trawę kosiarką przed budynkiem i po prostu poszła sobie. Arles to był głęboki cień, miodowe słońce, rzymskie ruiny i nasz mały pensjonat. Gdyby nie mój głód tego snu, słoneczników z Arles, to bym wstała, kiedy mniej si chłopcy

biegli nad rzekę.

A tak siedziałam teraz na przednim siedzeniu Torino. Carolee jęczała z tyłu, miała kaca po narkotykowej nocy z przyjaciółmi. Ją też Starr przyłapała śpiącą. W radiu szła Amy Grant, Starr śpiewała razem z nią, włosy miała ułożone w rozwichrzony francuski kok a la Brigitte Bardot, a z uszu dyndały jej długie kolczyki. Wyglądała, jakby szła do kasyna, a nie na nabożeństwo Kościoła Prawdy Chrystusowej.

— Nienawidzę tego — powiedziała do mnie moja przyrodnia siostra, kiedy wchodziliśmy za jej matką do kościoła. — Dałabym się zabić za trochę hery.

Kościół Prawdy Chrystusowej spotykał się w betonowym budynku z linoleum na podłodze, w wysokich oknach zamiast witraży było matowe szkło. Z przodu wisiał nowoczesny krzyż z drewna czereśniowego, a na organach grała kobieta o puchatej fryzurze. Siedzieliśmy na składanych krzesłach, Carolee po mojej lewej, z twarzą ponurą od złości i bólu głowy, Starr przy przejściu, bardzo podniecona. Sukienkę miała tak krótką, że widziałam miejsce, w którym zaczynała się ciemna część majtek.

Organistka przestała grać i do kazalnicy podszedł mężczyzna w ciemnym garniturze, krawacie i czarnych lakierkach, zupełnie jak biznesmen. Sądziłam, że będzie miał na sobie coś w rodzaju uniwersyteckiej togi. Jego brązowe włosy z przedziałkiem błyszcząły jak celofan pod kolorowymi światelkami. Starr wyprężyła się na krześle jak struna, mając nadzieję, że duchowny ją zauważy.

66Kiedy mówił, zauważyłam, że ma lekką wadę wymowy: połykał literę „l”.

— Choć błąd nasz ściągnął na nas śmierć, Pan wrócił nam życie w Chrystusie. W Krzyżu otrzymaliśmy zbawienie. Pan dźwiga nas do życia... wiecznego. — Uniósł dłonie wysoko, wydzwigując nas. Był dobrym mówcą. Umiał dozować napięcie. Ze swymi dużymi błyszczącymi oczami, nosem jak guzik i pozbawionymi warg ustami wyglądał jak mupet, cała jego głowa otwierała się i zamykała, kiedy mówił. Zawiesił głos, po czym wypowiedział swoją popisową kwestię: — Tak, możemy żyć znowu, nawet kiedy umrzemy na... wirus grzechu.

Carolee celowo zaskrzypiała krzesłem. Starr machnęła ręką, trąciła mnie łokciem i pokazała na ojca Thomasa, jakby było cokolwiek innego do oglądania.

Ojciec Thomas opowiedział historię z lat sześćdziesiątych o młodym chłopaku,

który miał dobre serce, lecz uznał, że może iść własną drogą, pod warunkiem, że nikomu nie zrobi krzywdy. Poznał guru, który nauczył go „szukać prawdy w sobie samym”. Kaznodzieja uśmiechnął się, jakby szukanie prawdy w sobie samym było niedorzeczne, śmieszne. Ten uśmiech ostrzegał przed katastrofą.

— Bynajmniej nie był wówczas osamotniony w tym egocen-trycznym folgowaniu swym zachciankom. — Znów się uśmiechnął. Zawsze zawieszał głos i uśmiechał się, jeśli czegoś nie aprobował. Wyglądał na człowieka, który włożyłby twoje palce w drzwi i zmiażdżył ci je z uśmiechem na twarzy. — Tak, ów młodzieniec zaraził się śmiertelnym wirusem, który wniknął w jego serce i rozpuścił mu sumienie, zniszczył ściany komórek, w których mieszkała cnota — powiedział ojciec Thomas z błyszczącymi oczami. — Po jakimś czasie zaczęło mu się wydawać, że nie ma różnicy między dobrem i złem. Ówczesna mądrość głosiła, że jeśli czegoś chcesz, to jest to dobre. Rób swoje, stary. Boga nie ma, śmierci nie ma. Realna jest tylko twoja własna przyjemność. — Uśmiechnął się na słowo „przyjemność”, jakby przyjemność była czymś odrażającym, haniebnym, i jakby lito-

67wał się nad wszystkimi, którzy są tak słabi, że ją sobie cenią. — Wszyscy zaś, którzy przebąkiwali o odpowiedzialności czy konsekwencjach, byli wyśmiewani. Nie bądź taki sztywniak, stary.

Trudno się więc dziwić, że chłopak skończył jako członek gangu Mansona.

Zdażyłam się już zapaść w krzesło równie głęboko jak Caro-lee, a od perfum Starr i syczących słów wielebnego zrobiło mi się niedobrze.

— Na szczęście w więzieniu chłopak zdał sobie sprawę, że padł ofiarą strasznej epidemii wirusa grzechu i dzięki innemu więźniowi odkrył Pana i ratującą życie surowicę Jego krwi. Teraz głosił kazania do innych więźniów i udzielał się charytatywnie. Odsiedział dwadzieścia pięć lat dożywotniego wyroku, ale nie były to lata stracone. Jego istnienie miało swój cel: nieść dobrą nowinę ludziom, którzy nie sięgali wzrokiem poza swe chwilowe zachcianki. Był zbawiony, był nowym człowiekiem, odrodził się w Panu.

Wyobraziłam sobie tego więźnia, Bobby^Tego Beausoleila, jego twardzielstwo, jego pokręcone myślenie — zabójca. Ale potem coś się wydarzyło i zobaczył swoją zbrodnię w rzeczywistym świetle. Wyobraziłam sobie, jakie przechodził męki, kiedy sobie uświadomił, że zrujnował własne życie, kiedy zobaczył, jakim stał się potworem. A potem

promyk nadziei, że może da się żyć inaczej, że może istnieje jakiś sens. I modlił się. Duch zstąpił do jego serca. Potrafiłam to sobie wyobrazić. Zamiast wieść w San Quentin egzystencję umarłego za życia, nienawidzić i coraz bardziej nienawidzić, stał się człowiekiem, któremu przyświeca jakiś cel, człowiekiem, który nosi w sobie światłość.

— Istnieje odpowiedź na tę śmiertcioną epidemiją, która pustoszy nasze dusze — powiedział ojciec Thomas, unosząc ramiona, jakby kogoś obejmował. — Istnieje potężna szczepionka na tę niszczycielską zarazę w ludzkim sercu. Musimy jednak rozpoznać niebezpieczeństwo, które nam zagraża. Musimy przyjąć do wiadomości ponurą diagnozę: kierując się własnymi pragnieniami, zamiast realizować boży plan, zaraziliśmy się tą stra-

68szliwą dżumą. Musimy przyjąć do swego serca świadomość, że jesteśmy odpowiedzialni wobec władzy niebieskiej i że sami nie oprzemy się tej chorobie. Potrzebujemy Chrystusowych antyciał, aby przezwyciężyć zarazę panoszącą się w naszych sercach. Ci zaś, którzy będą woleli służyć sobie samym zamiast Ojcu Niebieskiemu, poniosą zabójcze tego konsekwencje.

Nagle to przestało być nierealne. Ojciec Thomas mówił prawdę. Moja matka była zupełnie jak Bobby Beausoleil. Nie wierzyła w nic oprócz siebie samej, w żadne wyższe prawo, w żadną moralność. Sądziła, że potrafi wszystko usprawiedliwić, nawet morderstwo, tylko dlatego, że ona tego chciała. Nie miała sumienia. „Nie będę służyła”. Powiedział to Stefan Dedalus w *Portrecie artysty*, ale chodziło o Szatana. Na tym polegał upadek. Szatan nie chciał służyć.

Przed chór wystąpiła jakaś staruszka i zaczęła śpiewać: „Krew, którą Chrystus przelał dla mnie, hen na Kalwarii...” Śpiewała bardzo pięknie. Płakałam, łzy ciekły mi po policzkach. Gdyby moja matka miała coś innego, coś bardziej trwałego, Boga czy Jezusa, oprócz siebie samej, to wszystko by się nie zdarzyło.

W lipcu zostałam ochrzczona w Zgromadzeniu Prawdy Chrystusowej. Nie miało dla mnie znaczenia, że zrobił to ojciec Thomas, że był taki obłudny, że zaglądał Starr za dekolt, że rozbierał ją oczami, kiedy szła przed nim po schodach. Zamknęłam oczy, kiedy położył mnie na plecach w kwadratowym baseniku za budynkiem Zgromadzenia. Chlor gryzł mnie w nos. Chciałam, żeby Duch wszedł we mnie i wymył mnie do czysta. Chciałam realizować plan, jaki Bóg dla mnie przeznaczył. Wiedziałam, dokąd by mnie

zaprowadziła realizacja mojego własnego planu.

Później poszliśmy do Church's Fried Chicken, żeby to uczcić. Nikt wcześniej nie wydał przyjęcia na moją cześć. Starr dała mi białą, oprawioną w imitację skóry Biblię z fragmentami podkreślonymi na czerwono. Od Carolee i chłopców dostałam papeterię z gołębicą w rogu, która niosła w dziobie chorągiewkę z napisem

69 „Chwalmy Pana”, ale wiedziałam, że wybrała ją Starr. Wujek Ray dał mi maleńki złoty krzyżyk na łańcuszku, chociaż uważał, że jestem walnięta, że się chrzczę.

— To niemożliwe, żebyś wierzyła w te brednie — szepnął mi do ucha, kiedy pomagał mi założyć krzyżyk na szyję.

Podniosłam włosy do góry, żeby mógł zapiąć. — Muszę w coś wierzyć — powiedziałam cicho.

Jego dłoń oparła się na mojej szyi, ciepła, ciężka. Jego poczciwa, pospolita twarz, smutne, kasztanowe oczy. Zdałam sobie sprawę, że chce mnie pocałować. Czułam to w środku. Kiedy zobaczył, że to czuję, zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

Droga Astrid!

CZYŚ TY ZWARIOWAŁA?? Zabraniam Ci: 1) chrzcic się, 2) nazywać się chrześcijanką i 3) pisać do mnie na tej idiotycznej papeterii. Nie będziesz podpisywała swoich listów „Narodzona na nowo w Chrystusie!” Bóg umarł, nie słyszałaś o tym? Umarł sto lat temu, wyzionął ducha ze zwykłego braku zainteresowania, postanowił, że będzie grał w golfa. Wycho-wywałam Cię w poczuciu własnej godności, a Ty mi teraz mówisz, że rzuciłaś to wszystko na rzecz Jezusa z trójwymiarowej pocztówki? To byłoby śmieszne, gdyby nie było tak rozpaczliwie smutne.

Nie waż się prosić mnie, żebym zaakceptowała Jezusa jako mojego zbawiciela, umyła duszę w krwi Baranka. Nawet nie próbuj mnie zbawiać. NICZEGO nie żałuję. Żadna kobieta, która ma choć odrobinę szacunku do siebie, nie postąpiłaby inaczej.

Pytanie o dobro i naturę zła zawsze pozostanie jednym z najbardziej intrygujących zagadnień filozoficznych, obok zagadnienia samego istnienia. Nie kwestionuję Twojego doboru tematów, tylko Twoje intelektualnie zawężone podejście. Jeżeli zło oznacza, że ktoś kieruje się swoimi własnymi pobudkami, że jest w centrum swojego wszechświata, że żyje wedle własnych reguł, to każdy artysta, każdy myśliciel, każ-

70dy oryginalny umysł jest zły. Ponieważ mamy odwagę patrzeć swoimi własnymi oczami, zamiast powtarzać frazesy podsunięte nam przez tak zwanych Ojców. Ktoś, kto ma odwagę tak czynić, kradnie bogom ogień. Takie jest przeznaczenie ludzkości, to jest paliwo, dzięki któremu nasz gatunek zmierza naprzód.

Całusy dla Ewy Matka

Modliłam się o jej zbawienie. Zabiła, bo ktoś ją upokorzył, podważył jej obraz samej siebie jako walkirii, niezłomnej wojowniczkii. Obnażył jej słabość, którą była miłość. Więc się zemściła. Tak łatwo się usprawiedliwić, napisałam do niej. Zrobiłaś to tylko dlatego, że czułaś się ofiarą. Gdybyś była naprawdę silna, potrafiłabyś znieść upokorzenie. Tylko Jezus potrafi nas uczynić wy-staiczająco silnymi, abyśmy umieli zwalczyć pokusę grzechu.

Odpisała cytatem z *Mil tona*, kwestią, którą wypowiada Szatan w *Raju utraconym*:

Cóż z tego,

Że z pola trzeba było zejść? Nie wszystko Jeszcze stracone; wola nie skruszona, Wieczna nienawiść, myśl o zemście, także Śmiałość, co każe, by się nie poddawać Nigdy i nigdy nie korzyć, na koniec Nie dać się zdeptać.*

Wujek Ray uczył mnie grać w szachy z książki *Bobby Fischer Teaches Chess*. Sam nauczył się w Wietnamie.

— Miałem tam dużo wolnego czasu — powiedział, wodząc palcami po graniastym kapeluszu białego pionka. Wyrzeźbił tam

* John Milton, *Raj utracony*, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1986, Ks. I, w. 125-131.

71figury, laufami byli wietnamscy królowie i Buddowie, konie miały toczony policzki i uczesane grzywy. Musiało mu to zająć wiele miesięcy, cierpliwie dłuwał scyzorykiem, podczas gdy wokół niego wybuchały bomby.

Lubiłam panujący w szachach ład, chłód logiki, radość cierpliwych kroków. Graliśmy w większość tych wieczorów, kiedy Starrbyła na spotkaniach AA albo na zajęciach biblijnych, a chłopcy oglądali telewizję. Wujek Ray trzymał na podłokietniku fajeczkę z trawką, z której pociągał, czekając na mój ruch.

Tego wieczoru chłopcy oglądali program przyrodniczy. Najmniejszy, Owen, ssał kciuk, przytulając pluszową żyrafę, a Peter owijał sobie wokół palca pasemko włosów. Davey tłumaczył im program, pokazując palcem na ekran. — To jest Smokey, to jest samiec Alfa. — Światło ekranu odbijało się od jego okularów.

Wujek Ray czekał na mój ruch, patrzył na mnie tak, że serce się we mnie otwierało jak biały wilec — jego wzrok spoczywał na mojej twarzy, na mojej szyi, na moich włosach zmieniających kolor w świetle telewizora. W telewizji widziałam biel śniegu, wilki polujące parami, ich dziwne żółte oczy. Czułam się jak wywoływane przez niego zdjęcie, mój obraz wypływał na powierzchnię pod jego spojrzeniem.

— Nie róbcie tego — powiedział Owen, mocniej przyciskając swoją żyrafę ze złamaną szyją, kiedy wilki skoczyły na sarnę i obaliły ją na ziemię, szarpiąc za gardło.

— Takie jest prawo natury — powiedział Davey.

— Właśnie, spójrz na to — powiedział Ray, pokazując laufrem, którego przesuwiał. — Gdyby Bóg uratował tę sarnę, musiałby zagłodzić wilki. Dlaczego miałby bardziej sprzyjać jednej osobie na niekorzyść innej? — Nigdy do końca się nie pogodził z tym, że zostałam chrześcijanką. — Dobrzy wcale nie mają lepiej od innych. Można być zasranym świętym, a i tak zakazić się dżumą albo nadepnąć na minę przeciwpiechotną.

— Przynajmniej mają coś większego, na czym mogą polegać — powiedziałam, dotykając krzyżyka na szyi, przesuwając go w górę i w dół na łańcuszku. — Mają busolę i mapę.

72— A jeśli Boga nie ma?

— To postępujesz, jakby był, i wychodzi na to samo. Zaciągnął się ze swojej fajeczki, wypełniając pokój kwaśnym

zapachem, podczas gdy ja dokonałam przeglądu sytuacji na szachownicy.

— Co na to mówi twoja matka? — spytał.

— Mówi: „Lepiej rządzić w piekle, niż służyć w niebie”.

— To mi się podoba.

Nie powiedziałam mu, że nazwała go wujkiem Ernie. Przez siatkowe drzwi dobiegał śpiew letnich świerszczy. Zrzuciłam sobie włosy z ramion, przesunęłam laufra o trzy pola do skoczka królowej, zagrażając jego skoczkowi. Czułam, jak patrzy na moje

nagie ramię, na moje usta. Świadomość, że jestem piękna w jego oczach, czyniła mnie piękną. Nigdy wcześniej nie byłam piękna. Nie uważałam, żeby to było wbrew Chrystusowi. Każdy potrzebuje czuć się kochany.

Usłyszeliśmy chrzęst kół Torino, który skręcił na podwórze, opony na żwirze. Starr przyjechała przed czasem. Byłam rozczarowana. Ray zwracał na mnie uwagę, kiedy jej nie było, ale kiedy wracała, ja znów stawałam się tylko jednym z dzieci. A w ogóle to czemu tak wcześnie wróciła? Zazwyczaj nie było jej do jedenastej, piła kawę z narkomanami albo omawiała Ewangelię Mateusza 20,13 ze starszankami w kościele.

— Cholera. — Wujek Ray szybko włożył do kieszeni trawkę i fajeczkę, popryskał dokoła środkiem owadobójczym, a chwilę później otworzyły się siatkowe drzwi.

Starr stanęła na chwilę w drzwiach, patrzyła na nas i na chłopców siedzących na kanapie, zahipnotyzowanych telewizorem. Potem zachowywała się tak, jakby była zdezorientowana, że znalazła się w domu o tak wczesnej godzinie. Upuściła kluczyki i podniosła je z powrotem, wujek Ray patrzył na nią, piersi wyszły jej prawie całe spod sukienki.

Potem się uśmiechnęła, zdjęła buty, usiadła na podłokietniku jego fotela, pocałowała go. Widziałam, jak wsuwa mu język do ust.

73— Odwołane? — spytał.

Był mój ruch, ale on nie zwracał na mnie uwagi. Przywarła do jego boku, jedna pierś rozlała się po jego szyi.

— Czasami mam dosyć ich narzekań. Wysłuchiwanie cudzej listy zażaleń. — Wzięła do ręki mojego białego skoczka. — Piękne figury — powiedziała. — Dlaczego mnie nie nauczysz, kochanie?

— Kiedyś cię uczyłem — odparł mrużącym, czułym głosem, odwracając głowę i całując jej pierś, pół metra ode mnie. — Nie pamiętasz? Tak się wściekłaś, że przewróciłaś szachownicę. — Wyjął jej skoczka z ręki i odstawił na szachownicę. D5.

— To było w czasach, kiedy piłam.

— „Czy można zbić konia jednym ruchem?” — zażartował.

— Jednym mchem? — powiedziała, łaskocząc go wewnątrz ucha pasemkiem włosów. — To nie brzmi zbyt ekscytująco.

Biały skoczek na C6. Przesunęłam delikatnie rzeźbionego skoczka na miejsce. —
Mat.

Ale oni się całowali, a kiedy skończyli, Starr kazała chłopcom kłaść się do łóżka i zaprowadziła wujka Raya do sypialni.

Przez całą noc leżałam w śpiworze w wierzgające żrebaki i lassa, słyszałam, jak ich łóżko wali w ścianę, słyszałam ich śmiech. Zastanawiałam się, czy prawdziwe córki są zazdrosne o swe matki i ojców, czy robi im się niedobrze, kiedy widzą, jak ich ojcowie całują ich matki, ściskają piersi. Ścisnęłam swoją małą pierś, gorącą od śpiwora, i wyobraziłam sobie, jak czułaby ją inna ręka, wyobraziłam sobie, że mam takie ciało jak Starr. Różniła się ode mnie prawie tak bardzo, jakby należała do innego gatunku, miała wąską talię, piersi okrągłe jak grejpfruty, tyłek też okrągły. Wyobraziłam sobie, że zdejmuję ubranie i mężczyzna taki jak wujek Ray patrzy na mnie w taki sposób, w jaki patrzył na nią.

Boże, jak było gorąco. Rozsunęłam zamek śpiwora, leżałam na gorącej flaneli.

Nawet nie zasłaniała swego ciała, nie była aż taką chrześci-

74janką. Zawsze najkrótsze spódnice, najbardziej obcisłe bluzki. Widać było miejsce, w którym dzinsy wpijały się jej w wargi sromowe. Chciałam, żeby ktoś pragnął mnie w ten sposób, dotykał mnie tak, jak wujek Ray dotykał jej, jak Barry dotykał mojej matki.

Żałowałam, że nie ma tam Carolee. Wygłaszałyby śmieszne komentarze na temat łóżka walącego o ścianę albo żartowała, że wujek Ray dostanie zawału — stuknęła mu już prawie pięćdziesiątka, na litość boską, będzie miał szczęście, jeśli nie umrze w butach. Poznał Starr w klubie, kiedy jeszcze pracowała jako kelnerka, do takich lokali chodzą same obleśniaki. Ale Carolee przestała nocować w domu. Wychodziła przez okno, kiedy tylko Starr powiedziała dobranoc, i szła na spotkanie ze znajomymi nad rzeką. Nigdy mi nie zaproponowała, żebym z nią poszła. Raniło to moje uczucia, ale nie przepadałam za jej znajomymi — dziewczyny o wrednym śmiechu i chłopcy z ogolonymi głowami, nieporadni szpanerzy.

Głaskałam się pod koszulą nocną i czułam pod palcami różne rodzaje skóry — włosy na nogach, gładkość wewnątrz ud i śliska, woniejąca skóra moich części intymnych. Czułam fałdy, wzgórek, i myślałam o szorstkich dłoniach bez wszystkich

palców, przemierzających tajemne miejsca. O ścianę z suchego tynku łupnęło łóżko.

Moja matka przysłała mi tego lata listę lektur liczącą czterysta pozycji, Colette, Chinua Achebe, Mishima, Dostojewski, Anais Nin, D.H. Lawrence i Henry Miller. Wyobraziłam sobie, że leży na łóżku i recytuje listę jak różaniec, przeciąga po nich językiem, okrągłe jak paciorki. Od czasu do czasu Starr zabierała nas do biblioteki, czekała w samochodzie i dawała nam dziesięć minut na wypożyczenie książek, w przeciwnym razie odjedzie bez nas.

— Ja mam tylko jedną książkę i więcej mi nie potrzeba, moja panno — powiedziała.

Davey i ja braliśmy książki z półek, jakbyśmy wpadli do supermarketu na ekspresowe zakupy, podczas gdy Peter i Owen z utęsknieniem kręcili się koło bibliotecznego dziadka, który

75czytał dzieciom bajki. Było lepiej, kiedy Ray jeszcze nie pracował — zostawiał nas i szedł wypić kilka piw, odbierał nas po godzinie albo dwóch. Wtedy mniejsi chłopcy mogli słuchać bajek dziadka, dopóki starczyło mu tchu.

Teraz jednak Ray dostał nową pracę, wykańczał stolarkę w domach na nowym osiedlu. Nie miał stałej pracy, odkąd przestał uczyć wychowania technicznego w liceum w Sunland. Pokłócił się z dyrektorem, kiedy nie chciał wstać do recytowania przysięgi lojalności.

— Walczyłem, kurwa, w Wietnamie, dostałem pieprzony order, a ten skurwiel co robił? Chodził na studia. Znalazł się, kurwa, bohater.

Właściciel osiedla mieszkał w Maryland i nie wymagał składania przysięgi lojalności. Ray znał kogoś, kto znał wykonawcę. W środku lata musiałam więc siedzieć w baraku na kółkach i patrzeć, jak Starr dzierga gigantyczny sweter, który wyglądał tak, jakby narzygała na niego tęcza. Ja bez przerwy rysowałam. Ray kupił mi w sklepie gospodarczym akwarele dla dzieci i zaczęłam malować. Zaprzestałam prób przekonania matki, żeby przyjęła Jezusa do swego serca. Uznałam, że to beznadziejna sprawa, matka sama musi do tego dojść. Wola boża, jak u Dymitra z *Braci Karamazow*, jednej z lektur na jej liście.

Zamiast listów wysyłałam jej rysunki i akwarele: Starr w szortach i butach na

wysokich obcasach podlewa pelargonie węzem. Ray pije piwo na ganku i patrzy na zachód słońca. Chłopcy buszują z latarkami nad rzeką w ciepłe noce, zaskakują sowy uszate. Figury szachowe Ray a. Ray analizuje sytuację na szachownicy, podpierając brodę pięścią. Grujeczniki w chłodzie wczesnego poranka, rozciągnięty na całą długość grzechotnik leży na kamieniu.

Tego lata malowałam obrazy dla wszystkich, jaszczurki dla Petera, dzieci na białych żyrafach i jednorożcach dla Owena, ptaki drapieżne dla Daveya, siedzące na gałęzi i w locie, według zdjęć w czasopiśmie: orły przednie, myszołowy, sokoły wędrownie, sóweczki kaktusowe. Namalowałam portret Carolee, żeby dała swojemu chłopakowi, malowałam też dla Starr, głównie anioły,

76 Jezusa chodzącego po wodzie. Także ją w różnych pozach, w kostiumie kąpielowym, w stylu dziewcząt z plakatów z czasów drugiej wojny światowej.

Wujek Ray chciał, żebym namalowała jego pikapa. Był to stary ford, wysoki, w kolorze zielonym morskim, z przypiętym do lusterka wstecznego tym szpanerskim uchwytem na końcówkę jointa przyozdobionym piórkiem i nalepką z napisem: „Obiekt chroniony przez Smitha i Wessona”. Namalowałam auto na tle gór w bezchmurny poranek, zielony, morski, łososiowy i bładoniebieski.

Ukoronowaniem lata był Santa Anas, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie widziałam. Ogień przeszedł przez grzbiety gór i płonął na zboczach parę mil od nas. Nie była to zwykła plama na horyzoncie, od którego dzielą cię mile betonu. Od strony Big Tujunga płonęły tysiące hektarów. Trzymaliśmy rzeczy na pika-pie Raya i w bagażniku Torino. Wiatry ciągnęły jak huragany, spalone obszary podawano w milach kwadratowych, a w mieście doszło do zamieszek. Wujek Ray zaczął po pracy czyścić na patio swoje pistolety, ponieważ popiół od pożarów osiadał na wszystkim jak kurz. Podał mi mały pistolet, Berettę. Trzymało się to w ręce jak zabawkę.

— Chcesz postrzelać?

— Jasne — powiedziała. Dwójce mniejszych chłopców nie pozwalał dotykać swoich pistoletów. Starr nie mogła na nie patrzeć, ale odkąd zaczęły się zamieszki, przestała go prosić, żeby je wyrzucił. Wziął puszkę zielonej farby w sprayu i namalował na desce postać ludzką, dla zabawy kazał jej nieść telewizor. Oparł ją o oleander na końcu podwórza.

— Wynosi twój telewizor, Astrid. Ładuj w niego.

Miałam świetną zabawę z tą małą Berettą, kaliber .22. Trafiłam cztery razy na dziewięć. Zakleił otwory po pociskach taśmą, żebym wiedziała, które są stare, a które nowe. Stopniowo wypróbowałam całą broń — strzelbę, pistolet policyjny z krótką lufą, Smitha i Wessona, nawet dwunastkę używaną przez policję do tłumienia rozruchów. Najbardziej lubiłam Berettę, ale Ray się

77upierał, że najlepszy jest Smith i Wesson. Wkładał mi go do ręki, pokazywał, jak mierzyć, jak naciskać spust umysłem. Najtrudniejsze okazało się strzelanie i celne mierzenie z trzydziestki ósemki, należało użyć obu rąk i trzymać ramiona wyprostowane, bo można było dostać w twarz od odrzutu.

Każda spluwa miała swoje zadanie Jak młotek czy śrubokręt. Strzelba służyła do polowań, Beretta na potencjalnie wybuchowe sytuacje—bar, spotkanie z eks-żoną, randka, sytuacje bezpośredniego kontaktu, jak to nazywał Ray. Dwunastka służyła do ochrony domu.

— Schowajcie się za mną, dzieci! — mówił głosem dobrej babci i kiedy wszyscy przybiegliśmy i stanęliśmy za nim, spryskiwał oleandry śrutem.

A trzydziestka ósemka? — Tylko jedno zadanie: zabić twojego mężczyznę.

Czułam się jak izraelska żołnierka, w szortach i gorącym wietrze, która mierzy ze strzelby, trzyma w obu rękach trzydziestkę ósemkę. Było to dziwne uczucie, kiedy patrzył na mnie, jak mierzyłam w puszkę. Jego spojrzenie nie pozwalało mi się całkowicie skupić na celu. Jego oczy rozdzielały moją uwagę między C w napisie „cola” i świadomość, że na mnie patrzy.

Więc tak to jest być piękną, pomyślałam. Tak się czuła moja matka. Szarpanie oczami, odciąganie od celu. Byłam w dwóch miejscach naraz, nie tylko w myślach, w celowaniu, lecz bosymi nogami na zapyłonym podwórzu, moje nogi robiły się silniejsze, piersi w staniku, moje długie, opalone ramiona, jasne włosy powiewające na gorącym wietrze. Brał moje milczenie, lecz dawał mi coś w zamian, szczęście bycia rozpoznaną. Czułam się piękna, lecz jednocześnie rozpraszana. Nie byłam przyzwyczajona do takich skomplikowanych stanów emocjonalnych.

78W listopadzie, kiedy niebo błękitniało popołudniami, a słońce oblewało głazy

złotem, skończyłam czternaście lat. Starr urządziła dla mnie przyjęcie urodzinowe, moje pierwsze w życiu, z papierowymi kapeluszami i girlandami, zaprosiła chłopaka Carolee, a nawet mojego opiekuna, Romea. Był tort z Ralph's Market z tancerką hula w spódnicy z trawy i moim imieniem wypisanym na niebiesko, wszyscy zaśpiewali mi *Happy Birthday*. W torcie była ta specjalna świeczka, która po zdmuchnięciu zapala się z powrotem, więc moje życzenie nie miało się spełnić. A życzyłam sobie tylko, żeby zawsze było tak jak wtedy, żeby życie stało się przyjęciem na moją cześć.

Carolee kupiła mi lusterko do noszenia w torebce, chłopcy dali mi jaszczurkę w słoiku z kokardką, a Davey dużą tekturę, do której przykleił zwierzęce kupy z odbitymi na ksero tropami, wszystko staranie opisane. Prezentem od Starr był zielony elastyczny sweter, a opiekun z ośrodka przyniósł mi zestaw bransolet z kości nosorożca.

Jako ostatni dał mi swój prezent Ray. Ostrożnie odwinęłam papier i zobaczyłam drewnianą szkatułkę na biżuterię, z wyrzeźbionym secesyjnym białym wilcem, motywem z okładki pierwszego tomiku mojej matki. Z zapartym tchem wyjęłam szkatułkę z papieru. Pachniała świeżym drewnem. Przeciągnęłam palcami po wilcu, pomyślałam o tym, jak Ray docinał kawałki drewna, tak precyzyjnie, że nie było widać połączeń. Musiał to robić późno w nocy, kiedy spałam. Bałam się pokazać, jak bardzo mi się podoba jego prezent, powiedziałam więc tylko: — Dziękuję. — Miałam nadzieję, że sam widzi.

Kiedy przyszły deszcze, oboje zamieniło się w głębokie błoto, a rzeka wypełniła całe olbrzymie koryto. Wielkie suche dno obsypane kamieniami i chaparral zamieniły się w brudny prąd wody koloru czekoladowego koktajlu mlecznego. Części spalo-

79nej góry wzdychały i dawały za wygraną. Nigdy nie sądziłam, że może tyle padać. Ciągłe podstawialiśmy pod dziury w dachu garnki, kartony i słoiki, które opróżnialiśmy na podwórze.

Przez poprzednie siedem lat była susza i nagromadzony przez ten czas deszcz spadł naraz, w jednym rzucie. Lało bez przerwy aż do Bożego Narodzenia, siedzieliśmy więc stłoczeni w baraku, chłopcy grali w wyścigi samochodowe i nintendo i w kółko oglądali dwie kasety National Geographic o tornadach.

Ja spędzałam dni na huśtawce na ganku, gapiłam się w deszcz, słuchałam jego odgłosów na metalowym dachu i odległych grzmotów w Tujungu, patrzyłam, jak

przewracają się głązy, rzeką płyną wyrwane z korzeniami drzewa, stukają o siebie jak kęgle. Każdy kolor zamieniał się z brązowawoszary.

Kiedy nie było żadnych kolorów i czułam się samotna, myślałam

o Jezusie. Jezus znał moje myśli, wszystko wiedział, mimo że Go nie widziałam i nie potrafiłam Go naprawdę poczuć, to wiedziałam, że nie pozwoli, bym się przewróciła, dała porwać nurtowi. Czasami stawiałam tarota, ale zawsze wychodziło to samo, Miecze, Księżyc, Wisielec, płonąca Wieża z wywróconą koroną i spadającymi ludźmi. Czasami, kiedy Ray był w domu, wychodził na ganek z szachami

i graliśmy, a on palił trawkę, albo szliśmy do warsztatu, gdzie pokazywał mi, jak się robi drobne rzeczy, domek dla ptaków, ramę obrazu. Czasami po prostu rozmawialiśmy na ganku, słuchaliśmy odgłosów gier wideo, w które bawili się chłopcy, agresywnych, lecz zagłuszanych przez deszcz. Ray opierał się o słupek, a ja leżałam na huśtawce, kołysząc ją jedną nogą.

Pewnego dnia oparł się o rzeźbiony w zawijasy słupek, nie patrzył na mnie, miał zmartwioną minę.

— Zdarza ci się myśleć o swoim ojcu? — spytał.

— Ani razu go nie widziałam — odparłam, nieznacznie poruszając zwisającą stopą, żeby huśtawka się nie zatrzymała. — Miałam dwa lata, kiedy odszedł albo ona od niego, nie wiem.

— Opowiadała ci o nim?

Mój ojciec, ta sylwetka, forma złożona z wszystkiego, czego nie wiedziałam, kształt wypełniony deszczem.

80— Zawsze, kiedy pytałam, mówiła: „Nie masz ojca. Jajestem twoim ojcem. Wskoczyłaś z mojego czoła w pełni rozwinięta, jak Atena”.

Roześmiał się, lecz smutno. — Co za kobieta.

— Znalazłam kiedyś swój akt urodzenia. „Ojciec: Anders, Klaus, drugie imię nie podane. Miejsce urodzenia: Kopenhaga, Dania. Miejsce zamieszkania: Venice Beach, Kalifornia”. Miałby dzisiaj pięćdziesiąt jeden lat. — Ray był młodszy.

Zagrzmiało, ale chmury były zbyt gęste, żeby zobaczyć błyskawicę. Huśtawka skrzypiała pode mną, kiedy myślałam o moim ojcu, Klaus Anders, drugie imię nie

podane. Znalazłam jego polaroidowe zdjęcie w tomiku matki, *Windward Avenue*. Siedzieli razem w kawiarni koło plaży z grupą innych ludzi, którzy wyglądali, jakby przed chwilą przyszli z plaży — opaleni, długie włosy, paciorki, na stole bateria butelek piwa. Klaus obejmował ramieniem oparcie jej krzesła, nonszalanckim, władczym gestem. Wyglądali tak, jakby siedzieli w specjalnej smudze słońca, otaczała ich aureola piękna. Mogliby być rodzeństwem. Blondyn z lwią grzywą o zmysłowych ustach uśmiechał się całą twarzą, kąciaki oczu miał uniesione. Ani ja, ani moja matka nie uśmiechałyśmy się w ten sposób.

Zdjęcie i akt urodzenia były wszystkim, co na jego temat miałam, jeśli nie liczyć znaku zapytania w moim kodzie genetycznym, tego wszystkiego, czego o sobie nie wiedziałam.

— Przede wszystkim zastanawiam się, co on by o mnie myślał. Spojrzeliśmy na drzewo pistacjowe w kolorze sepii, błoto na

podwórzu było nawarstwione jak pamięć. Ray oparł się plecami o słupek i podniósł ramiona nad głowę. Koszula podpełzła mu do góry, widziałam jego owłosiony brzuch. — Pewnie myślisz, że nadal masz dwa lata. Jak tak myślę o Secie. Kiedy chłopcy są nad rzeką, wyobrażam sobie, że bawi się z nimi. Muszę sobie przypominać, że jest za duży na łapanie żab.

Klaus myślał o mnie, jakbym miała dwa lata. Włosy jak białe pióra, pielucha pełna piasku. Nie umiał sobie wyobrazić, że urosłam. Mogłabym go minąć na ulicy, może nawet spojrzalby

81na mnie tak jak Ray i nie wiedziałby, że to jego rodzona córka. Przeszedł mnie dreszcz, naciągnęłam sobie rękawy swetra na dłonie.

— Myślałaś kiedyś o tym, żeby do niego zadzwonić, znaleźć go? — spytałam.

Ray potrząsnął głową.

— Jestem pewien, że szczerze mnie nienawidzi. Wiem, że jego matka nagadała mu o mnie różnych bzdur.

— Ale założę się, że za tobą tęskni. Ja tęsknię za Klausem, a nigdy go nawet nie spotkałam. Też był artystą, malarzem. Wyobrażam sobie, że byłby ze mnie dumny.

— Byłby. Może kiedyś go spotkasz.

*

— Czasami o tym myślę. Ze kiedy zostanę artystką, on przeczyta o mnie w gazetach i zobaczy, na kogo wyrosłam. Kiedy widzę blondyna w średnim wieku, czasem mam ochotę zawołać: „Klaus!” I zobaczyć, czy odwróci głowę. — Huśtawka zaskrzypiała pode mną.

Moja matka powiedziała mi kiedyś, że wybrała go, bo był do niej podobny, czuła się więc tak, jakby był jej dzieckiem. Ale w czerwonym tybetańskim notatniku z pomarańczowym grzbietem przeczytałam inną wersję, datowaną na 1972 rok, Venice Beach.

12 lipca. Wpadłam na K. w Smali World dziś po południu. Zobaczyłam go wcześniej niż on mnie. Dreszcz najego widok, szerokie ramiona lekko pochylone, farba we włosach. Ta przetarta koszula, taka stara, że została z niej raczej idea koszuli. Chciałam, żeby mnie zauważył w ten sam sposób, odwróciłam się więc, przeglądałam album z rycinami. Wiedziałam, jak wyglądałam w świetle wpadającym przez witrynę, włosy w płomieniach, sukienki prawie nie widać. Czekałam, aż porwę go za serce.

Spojrzałam na Raya, który gapił się w deszcz — i wiedziałam, co czuł. Kochałam jego dymny zapach, jego smutne orzechowe oczy. Nie mogłam mieć w nim ojca, ale mogłam z nim przynaj-

8zmniej rozmawiać w ten sposób na ganku. Znów zapalił fajkę, zaciągnął się, kaszlnął.

— Możesz się rozczarować — powiedział. — Może się okazać, że to palant. Większość facetów to palanty.

Kołysałam się, wiedząc, że to nieprawda. — Ty nie jesteś.

— Spytaj mojej byłej.

— Co wy tu robicie? — Starr otworzyła siatkowe drzwi, a potem zamknęła za sobą. Była ubrana w sweter, który sama zrobiła, mechaty i żółty jak kurczak. — Czy na tę imprezę obowiązują zaproszenia?

— Rozwalę ten cholerny telewizor — powiedział Ray spokojnym tonem.

Pociągnęła za frędzle zielistek, obrała z suchych liści, które wyrzuciła poza ganek, jej piersi wypychały się z dekoltu w serek.

— Ależ ty jesteś, palisz przy dzieciach. Zawsze miałaś na nie zły wpływ. — Uśmiechała się jednak, kiedy to mówiła, miękko i zalotnie. — Zrobisz coś dla mnie, kochanie? Skończyły mi się fajki, pojechałbyś do sklepu i kupił mi karton? — Uraczyła go swoim płaskim, szerokim uśmiechem.

— I tak muszę kupić piwa — powiedział. — Chcesz ze mną jechać, Astrid?

Jakby jej uśmiech nie mógł się już dalej rozciągnąć, odskoczył do środka, a potem na powrót go rozciągnęła. — Jesteś już dużym chłopcem, możesz pojechać sam, prawda? Potrzebuję Astrid do pomocy w jednej rzeczy. — Odrywała małe zielistki razem z suchymi liśćmi.

Ray włożył kurtkę, naciągnął kaptur na głowę i przemknął pod kaskadą wody, która spadała z okapu z blachy falistej.

— Musimy porozmawiać, moja panno — powiedziała do mnie Starr, kiedy Ray zamknął drzwi pikapa i zapalił silnik.

Z niechęcią weszłam za nią do domu, do jej sypialni. Starr nigdy nie rozmawiała z dziećmi. W pokoju było ciemno i pachniało nie mytymi dorosłymi, mężczyzną i kobietą. Łóżko było nie pościelone. Pokój dziecienny nigdy tak nie pachniał, choćby tam spało nie wiadomo ile dzieci. Chciałam otworzyć okno.

Usiadła na nie pościelonym łóżku, sięgnęła po paczkę papierosów Benson & Hedges 100s, otworzyła, odłożyła na miejsce.

— Dobrze się tu czujesz, prawda? — powiedziała, zaglądnięła do szuflady szafki nocnej, pogrzebała w środku. — Jest ci tu wygodnie? Jak u siebie w domu?

Powiodłam palcami po kwiatowym wzorze na narzucie, to były maki. Mak, kształt, który przywiódł moją matkę do zguby, pomyślałam, wiodąc palcem po aureoli, potem po pręcikach w środku.

— Trochę za wygodnie, powiedziałabym. — Zamknęła szufladę z lekkim stukiem. Szarpnęła za narzutę, żebym nie mogła już dotykać kwiatu. — Może nie jestem geniuszem, ale przejrzałam twoją grę. Uwierz mi, pozna swój swego.

— Jakiego swego? — Byłam bardzo ciekawa, co Starr rozpoznała we mnie swojego.

— Podrywasz mi faceta. — Wzięła z popielniczki niedopałek papierosa, wyprostowała i zapaliła.

Musiałam się roześmiać. — To nieprawda. — To we mnie widziała? *Lup, lup, lup*, Boże przenaświęty? — Nie podrywam.

— Zawsze się koło niego kręcisz, bierzesz jego „narzędzia"... „Do czego to jest, wujku Ray?" Bawisz się jego bronią. Widziałam was razem. Wszyscy śpią oprócz was dwojga, rozgruchani, a ty taka słodziutka. — Wydmuchala dym w odstałe, wilgotne powietrze.

— On jest stary — powiedziałam. — Nic nie robimy.

— Nie jest aż taki stary — powiedziała Starr.—To mój facet, moja panno. Widzi, co widzi, i robi, co może. Muszę mówić szybko, zanim wróci, ale muszę ci powiedzieć, że postanowiłam zadzwonić do ośrodka adopcyjnego, więc cokolwiek byś sobie kombinowała, to już koniec, maleńka. Już cię tu nie ma.

Patrzyłam na nią zdumiona, na jej futrzaste rzęsy. To przecież niemożliwe, żeby była taka wredna. Nic nie zrobiłam. To prawda, kochałam go, ale nie mogłam nic na to poradzić. Kochałam też ją, Daveya, ich wszystkich. To niesprawiedliwe, pomyślałam. Ona nie mówi tego poważnie.

84Zaczęłam protestować, ale uniosła do góry dłoń, niedopałek dymił jej między palcami.

— Nie próbuj mnie przekonywać. Nasz związek jest bardzo udany. Ray jest dla mnie dobry, najlepszy ze wszystkich mężczyzn, jakich miałam. Może nic nie próbowałaś, ale ja czuję tu SEKS, moja panno, i nie zamierzam ryzykować. Za długo żyłam i za wiele w życiu przeszłam, żeby to spaprać.

Siedziałam jak trzepiąca skrzelami ryba w tym pozbawionym powietrza pokój u, deszcz dudnił o metalowy dach i ściany. A więc wywała mnie, za nic. Czułam, jak ocean ściąga mnie z mojego maleńkiego miejsca na skale. Próbowałam wymyślić jakieś wyjaśnienie, jakiś powód, który by ją udobruchał.

— Nigdy nie miałam ojca — powiedziałam.

— Nie rób tego. — Zgniotła niedopałek z odzysku w popielniczce, obejrzała sobie palce. — Muszę się martwić o siebie i o swoje dzieci. My dwie prawie się nie znamy. Nie jestem ci nic dłużna. — Spojrzała na przód swojego mechatego swetra i strzepnęła jakiś popiołek, który spadł na jej pełną pierś.

Osuwałam się, spadałam. Ufałam Starr i nigdy nie dałam jej powodu, żeby ona mi nie ufała. To niesprawiedliwe, pomyślałam. Jest chrześcijanką, ale w swym postępowaniu wobec mnie nie kieruje się wiarą, dobrocią.

— A co z miłosierdziem? — spytałam, jak spadający człowiek, który próbuje chwycić się gałęzi. — Jezus dałby mi szansę.

Wstała. — Ja nie jestem Jezusem — powiedziała. — Dużo mi brakuje.

Siedziałam na łóżku i modliłam się do głosu w deszczu. Proszę Cię, Jezu, nie pozwól, żeby mi to zrobiła. Jezu, jeśli to widzisz, proszę, otwórz jej serce. Proszę Cię, Jezu, nie pozwól, by to się stało.

— Przepraszam, byłaś dobrym dzieckiem, ale takie jest życie — powiedziała.

Jedyną odpowiedzią był deszcz. Jezu, co mam powiedzieć? Milczenie, łyż. Nic. Co byś zrobiła na moim miejscu, mamo? Musisz mi pomóc, choć ten jeden raz. Powiedz mi, co robić. Myśląc o niej, poczułam, że coś wnika w moją pustkę, poczucie

85siły, jakby elastyczny pręt zbrojeniowy wsuwał mi się w kręgosłup. Wiedziałam, że to, co czuję, jest złe, samolubne, ale trudno. Nagle zobaczyłam nas dwie na gigantycznej szachownicy i wiedziałam, jakie powinno być moje następne posunięcie.

— Może być na ciebie zły — powiedziałam. — Pomyślałaś

o tym? Jeśli się dowie, że mnie odesłałaś, bo byłaś o mnie zazdrosna.

Starr była już w połowie drogi do drzwi, ale zatrzymała się

i odwróciła. Spojrzała tak, jakby mnie pierwszy raz widziała na oczy. Zdziwiłam się, jak szybko wychodzą ze mnie słowa. Zawsze brakowało mi słów.

— Mężczyźni nie lubią zazdrosnych kobiet. Próbujesz zrobić z niego więźnia. Znienawidzi cię. Może nawet zerwać z tobą.

Podobało mi się, że się wzdrygnęła, że z mojego powodu zmarszczyła czoło, że miałam w sobie siłę, której wcześniej nie było.

Ściągnęła sweter w dół, jeszcze bardziej uwydatniając piersi, spojrzała na siebie w lustrze. Potem roześmiała się. — Co ty się znasz na mężczyznach? Takie dziecko.

Czułam jednak, że to obawy kazały jej spojrzeć w lustro i drażyłam dalej. — Wiem, że mężczyźni nie lubią kobiet, które chcą ich zawłaszczyć. Rzucają je.

Starr stała niepewnie nad komodą, nie wiedząc, czy powinna przestać słuchać i wyprosić mnie z pokoju, czy też pozwolić mi dalej rozgrzebywać jej lęki. Zajęła się szukaniem w popielnicze kolejnego niedopałka, znalazła niezbyt długi, wyprostowała i zapaliła niebieską zapalniczką Bic.

— Zwłaszcza że nic się nie dzieje. Lubię ciebie, lubię jego, lubię dzieci, nigdy bym nie zrobiła niczego takiego, co mogłoby to spieprzyć. Nie wiesz o tym? — Im dłużej to mówiłam, tym mniej było w tym prawdy. Anioł na jej komodzie patrzył w dół, zawstydzony, bał się mojego widoku. Deszcz bębnił o dach.

— Przysięgasz, że nie jesteś nim zainteresowana? — spytała wreszcie, mrużąc oczy przed paskudnym dymem. Wzięła ze stolika nocnego B iblię, oprawioną w białą skórę księgę z czerwonymi tasiemkami i złożonym grzbietem.

86Położyłam na niej dłoń. W tej chwili była to dla mnie taka sama książka jak każda inna. — Bóg mi świadkiem — powiedziałam.

Nie zadzwoniła do ośrodka adopcyjnego, lecz obserwowała każdy mój ruch, każdy gest. Nie byłam przyzwyczajona do tego, żeby mnie obserwowano, poczułam się ważna. Miałam wrażenie, jakby tego dnia w jej sypialni zdarto ze mnie jedną warstwę, a to, co było pod spodem, świeciło.

Pewnego wieczoru spóźniła się z kolacją i kiedy kończyliśmy, wujek Ray zerknął na zegar.—Nie zdążysz, jeśli się nie pospieszysz.

Starr sięgnęła po dzbanek z kawą i naląła sobie do filiżanki. — Raz dadzą sobie beze mnie radę, nie sądzisz, kochanie?

W następnym tygodniu opuściła dwa spotkania, a tydzień później nie poszła nawet do kościoła. Zamiast tego kochali się przez całe rano, a kiedy wreszcie wstali, zabrala nas wszystkich do IHOP, gdzie jedliśmy naleśniki z czekoladą i gofry z bitą śmietaną przy dużym stole w rogu. Wszyscy się śmiali i byli w dobrych humorach, aleja widziałam tylko ramię Raya obejmujące ją na kanapie obitej imitacją skóry. Czulałam się dziwnie i obracałam gofrem na talerzu. Nie byłam już głodna.

Deszcze minęły i wieczorami świeżo wymyte niebo pokazywało wszystkie swoje gwiazdy. Chłopcy i ja staliśmy w najciemniejszej części gliniasto-błotnistej podwórza, słuchaliśmy odgłosu wody spływającej na Tujunga w ciemnościach za drzewami. Ciężkie

placki błota kleiły mi się do butów, gdy zadzierałam głowę w ziemie, od którego z ust szła para, i próbowałam znaleźć Niedźwiedzice i Krzyże. Książki Daveya nie wyszczególniały tyłu gwiazd. Nie mogłam ich od siebie oddzielić.

Wydawało mi się, że ujrzałam smugę światła, ale nie byłam pewna. Patrzyłam do góry, starając się nie mrugać, i czekałam.

— Tam! — pokazał Davey.

W innym kwadrancie nieba urwała się kolejna gwiazda. To było niesamowite, coś, czego się nie planowało, ruch gwiazd. Próbowałam trzymać oczy stale otwarte. Kiedy mrugasz, gubisz

87je z oczu. Trzymałam je otwarte, żeby światło mogło się na nich wywołać jak na fotografii.

Mali chłopcy trzęśli się z zimna, choć włożyli kurtki na pidżamy, trajkotali i chichotali, zziębnięci i podnieceni, że nie śpią o tak późnej porze, patrzyli na gwiazdy, które zaczęły latać zygzakami jak kula we flipperze, usta mieli otwarte, na wypadek gdyby któraś chciała tam wpaść. Było zupełnie ciemno, jeśli nie liczyć linii lampek świątecznych, które migotały na skraju ganku.

Drzwi siatkowe otworzyły się i zamknęły. Nie musiałam się oglądać, żeby wiedzieć, że to on. Płomień zapalki, ciepły, duszący zapach marihuany.

— Trzeba by zdjąć te lampki — powiedział. Podszedł do nas, jarzenie się popiołów, a potem ostrość jego ciała, zapach świeżego drewna.

— Opad kwadrantydy — powiedział Davey. — Niedługo będzie leciało czterdzieści na godzinę. To najkrótszy spektakl meteorów, ale najgęstszy oprócz perseidów.

Słyszałam ssący chlupot błota pod jego butami, gdy przestąpił z nogi na nogę. Cieszyłam się, że jest ciemno, że nie widzi rumieńca zadowolenia na mojej twarzy, gdy podszedł bliżej, spojrział na niebo, jakby go obchodziły kwadrantydy, jakby po to wyszedł na zewnątrz.

— Tam! — powiedział Owen. — Widziałeś, wujku? Widziałeś?

— Tak, stary, widziałem.

Stał tuż obok mnie. Gdybym przesunęła się o cal w lewo, otarłabym się o niego

rękawem. Przez wąską szczelinę, która dzieliła nas od siebie w ciemnościach, czułam promieniujące od niego ciepło. Jeszcze nigdy nie staliśmy tak blisko siebie.

— Poprztykałyście się ze Starr? — spytał cicho. Wydmuchałam z ust parę, wyobraziłam sobie, że palę papierosa, jak Dietrich w *Błękitnym aniele*. — Co powiedziała?

— Nic. Tylko dziwnie się ostatnio zachowuje. Spadające gwiazdy ciskały się po niebie, spalały. Tak dla

zabawy. Miałam ochotę połknąć noc w całości.

Ray zaciągnął się zbyt mocno, zakaszłał, splunął. — To musibyc dla niej ciężkie, starzeje się, a pod jej bokiem dorastają ładne dziewczyny.

Patrzyłam do góry, jakbym nie usłyszała, ale myślałam sobie, mów do mnie jeszcze o ładnych dziewczynach. Zawstydziłam się, że chcę tego, to pospolite, co to ma za znaczenie, że ktoś jest ładny? Tyle razy o tym myślałam w związku z moją matką. Człowiek nie musi być piękny, ważne, żeby był kochany. Ale chciałam tego, nie mogłam nic na to poradzić. Skoro mogę być kochana dzięki temu, że jestem piękna, to niech będzie i tak.

— Wciąż nieźle wygląda — powiedziałam, myśląc sobie, że nie byłoby jej tak ciężko, gdyby on nie wychodził do mnie w gwiazdzistą noc, gdyby tak na mnie nie patrzył, dotykając ust końcami palców.

Ale nie chciałam", żeby przestał to robić. Żal mi było Starr, ale nie na tyle. Miałam wirusa grzechu. Byłam środkiem swojego wszechświata, to gwiazdy się poruszały, zmieniały układ wokół mnie, i podobało mi się, jak on na mnie patrzył. Kto dawniej na mnie patrzył, kto mnie w ogóle zauważał? Jeśli to jest zło, to niech Bóg odmieni mi myśli.

Droga Astrid!

Nie mów mi o tym, jak bardzo podziwiasz tego człowieka, jak bardzo jemu na Tobie zależy! Nie wiem, co gorsze, Twoja faza Jezusowa czy pojawienie się pięćdziesięcioletniego absz-tyfikanta. Musisz sobie znaleźć chłopca w Twoim wieku, kogoś na tyle delikatnego i pięknego, żeby mógł być Twoim kochankiem. Kogoś, kto będzie z drzeniem tęsknił za Twoim dotykiem, kogoś, kto ze spuszczonej oczami poda Ci długi złocień, kogoś, czyje palce będą jak poemat. Nigdy nie szukaj w kochanku ojca.

Zabraniam Ci, rozumiesz?

Mama

Nie możesz temu zapobiec, mamó. Nie muszę cię już więcej słuchać.

89 Była wiosna i pomarańczowe zasy kalifornijskich maków pomalowały wzgórza, w szczeliny w asfalcie na stacjach benzynowych i parkingach powciskały się maki, niebieski łubin i ka-stylka. Nawet na spalonych obszarach przełęczce były powleczone żółtą gorczycą, gdy telepaliliśmy się starym pikapem Raya.

Powiedziałam mu, że chcę zobaczyć nowe osiedle w Lancaster, na którym montował w domach szafki. Może mógłby przyjechać kiedyś po mnie po szkole.

— Wiesz, że Starr ostatnio dziwnie się zachowuje — powiedziałam. Codziennie wychodziłam ze szkoły z nadzieją, że zobaczę jego pikapa z uchwytem na końcówkę jointa na lusterku wstecznym. W końcu przyjechał.

Osiedle było nagie jak blizna, z poszarpanymi i zapyłonymi ulicami dużych nowych domów. Niektóre miały już dachy i ściany, inne dopiero ocieplono, z niektórych powstał tylko szkielet. Ray oprowadził mnie po domu, w którym pracował, wysprzątanym, wykończonym od zewnątrz, pachnącym trocinami. Pokazał mi szafki z litego klonu w kuchni z jadalnią, okno wykuszowe, wbudowane regały na książki, duży wykusz z tyłu. Czulałam, jak słońce lśni mi na włosach, wiedziałam, co czuła moja matka tego dnia dawno temu w księgarni Smali World, kiedy zobaczyła mojego ojca i stanęła w oknie, piękna w świetle słońca.

Pozwoliłam mu się oprowadzić jak agentowi nieruchomości — wysokie na dwie kondygnacje, okno bez podziałów w salonie, opływowe muszle klozetowe w dwóch i pół łazienkach, toczony tralki poręczy kręconych schodów, rzeźbiony słup środkowy.

— Mieszkałam w takim domu, kiedy byłam żonaty — powiedział, przeciągając ręką po ciężkiej tralce, opierając się o solidny słup. Próbowałam sobie wyobrazić Raya w dwuipółłazienkowym życiu, kolacja na stole o szóstej, regularna praca, żona, dziecko. Nawet kiedy był żonaty, chodził do klubu Trop, zamiast wracać do domu, zakochiwał się w striptizerkach.

Poszłam za nim na górę, gdzie pokazał mi cedrowe wykończenia szaf bieliznianych i parapety. W głównej sypialni dobiegał nas stuk młotków z innych domów i warkot

buldożera, który

90wyrównywał działkę pod jeszcze jeden. Ray wyrzwał przez brudną framugę na plac budowy. Wyobraziłam sobie, jak będzie wyglądał ten pokój, kiedy wprowadzą się tu ludzie. Liliowe dywany i niebieskie róże na narzucie, biało-złota podwójna komoda, łóżko z deską pionową. Bardziej mi się podobało w tamtym stanie: różowe drewno, cudowny surowy zapach. Patrzyłam na brązy i zielenie jego koszuli od Pendletona, na ręce oparte o parapet, patrzył na dół na niesplantowany ogródek.

— O czym myślisz? — spytałam go.

— Że nie będą szczęśliwi — odparł spokojnie.

— Kto?

— Ludzie, którzy kupują te domy. Buduję domy dla ludzi, którzy nie będą w nich szczęśliwi. — Jego dobra twarz była taka smutna.

Podeszłam bliżej niego.

— Dlaczego nie mogą być szczęśliwi?

Przycisnął czoło do okna, tak nowego, że została jeszcze nalepka.

— Bo zawsze jest nie tak. Nie chcą nikogo skrzywdzić. Czuję zapach jego potu, ostry i mocny, zapach mężczyzny.

W pokoju z nowymi oknami było gorąco, aromat świeżego drewna uderzał do głowy. Objęłam go w pasie, wtuliłam twarz w szorstką wełnę między jego łopatkami, chciałam to zrobić, odkąd mnie objął tej pierwszej niedzieli, kiedy olałam kościół i zostałam w baraku na kółkach. Zamknęłam oczy i wdychałam jego zapach, trawki, potu i świeżego drewna. Nie poruszył się, tylko westchnął z drzeniem.

— Jesteś jeszcze dzieckiem — powiedział.

— Jestem rybą, która przepływa obok — szepnęłam do jego szyi. — Złap mnie, jeśli mnie chcesz.

Jeszcze przez chwilę stał w pozycji podejrzanego, ręce rozsunięte na parapecie. Potem złapał moje dłonie, odwrócił je, pocałował, przycisnął sobie do twarzy. To ja drżałam, to ja przyniosłam mu złocien.

Odwrócił się i objął mnie, nic więcej. Właśnie tak chciałam być obejmowana, przez całe życie — silne ramiona i szeroka pierś

91 pachnąca tytoniem i potem, w wełnianej koszuli. Odrzuciłam głowę do tyłu i to był mój pierwszy pocałunek, otworzyłam usta, żeby mnie posmakował, moje wargi, mój język. Nie mogłam powstrzymać drżenia, chyba że przyciskał mnie bardzo mocno.

Potem delikatnie odsunął mnie od siebie. — Posłuchaj, chyba powinniśmy wracać. To nie w porządku.

Nie obchodziło mnie już, co jest w porządku. Miałam w kieszeni prezerwatywę z szuflady Carolee i miałam mężczyznę, którego zawsze pragnęłam, w miejscu, w którym mogliśmy być sami.

Zdjęłam koszulę w kratkę, upuściłam na podłogę. Zdjęłam podkoszulek. Zdjęłam stanik i pozwoliłam mu, żeby je zobaczył, małe i bardzo blade, nie Starr, lecz moje, wszystko, co miałam. Rozwiązałam sznurówki traperek, zrzuciłam je z nóg. Rozpięłam dżinsy, które opadły na podłogę,

Ray miał smutną minę, jakby ktoś umierał, stał oparty plecami o brudne okno. — Nigdy nie chciałem, żeby to się stało — powiedział.

— Jesteś kłamcą, Ray.

Potem klęczał przede mną, objął mnie wokół bioder, całował w brzuch, uda, dotknął jedwabistej wilgoci między moimi nogami, kosztował mnie tam. Mój zapach na jego ustach, kiedy uklękałam razem z nim, przeciągnęłam dłońmi po jego ciele, rozpięłam mu ubranie, znalazłam go, był twardy, większy, niż się spodziewałam. I pomyślałam, nie ma Boga, jest tylko to, czego chcemy.

8

Cały dzień w szkole, popołudniami bez Raya nad rzeką, przy kolacji ze Starr i dziećmi albo kiedy oglądaliśmy wieczorem telewizję, Ray był moją jedyną myślą, moją jedyną obsesją. Jaką

92 miękka miał skórę, bardziej miękka, niż się spodziewałam u mężczyzny, jakie grube ramiona, ścięgna biegły pod skórą jak korzenie drzewa, jak smutno na mnie spojrzał, kiedy zdjęłam ubranie. Naszkicowałam go tak, jak wyglądał nagi, kiedy patrzył przez okno po tym, jak się kochaliśmy, kiedy leżał na stercie pokrowców na meble, które zaciągnął do kąta nowej sypialni. W nasze popołudnia leżeliśmy na tych pokrowcach, ze splecio- nymi nogami, gładkie na owłosionych, jego palce zakrywały moją pierś i bawiły

się brodawką, przez co sterczała jak gumka na ołówku. Chowałam rysunki w pudle z czasopismami mojej matki; Starr nigdy nie przyszedł do głowy, żeby tam zajrzeć. Wiedziałam, że powinnam je wyrzucić, ale nie mogłam się na to zdobyć.

— Dlaczego jesteś ze Starr? — spytałam go któregoś popołudnia, wiodąc palcem po białej bliźnie pod zębami, pamiętając po kuli Wietcongu.

Przejechał mi koniuszkami palców po zębach, aż dostałam gęziej skórki. — To jedyna kobieta, która pozwala mi po prostu być sobą.

— Ja też bym ci pozwoliła — odparłam, robiąc to samo z jego jądrami wierzchem paznokci, aż podskoczył. — Jest dobra w łóżku, o to chodzi?

— To są intymne sprawy — powiedział. Wziął moją dłoń w swoją i położył sobie na kroczu. Poczułam, że znowu sztywnieje. — Nie rozmawiam z kobietami o innych kobietach. Tego wymaga zwykle dobre wychowanie.

Przebiegł mi palcem między nogami, dotknął jedwabistej wilgoci, potem włożył sobie palec do ust. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że to będzie tak wyglądało, bycie pożądaną. Pociągnął mnie na siebie i ujeżdżałam go jak konia morskiego, z czołem opartym o jego tors, jechałam przez rozprysk iskier. Gdyby moja matka nie siedziała w więzieniu, czy to byłby jeden z jej kochanków, wypełniający mnie gwiazdami? Czy moja matka obserwowałaby mnie tak jak Starr, zdając sobie sprawę, że nie jestem już przezroczysta jak pergaminowa kalka w encyklopedii?

93Nie. Gdyby nie siedziała w więzieniu, mnie by tu nie było. Nie pozwoliłaby mi tego robić. Wszystko, co dobre, zachowywała dla siebie.

— Kocham cię, Ray — powiedziałam.

— Ciii — odparł, kładąc mi dłoń na ustach. Zatrzepotał powiekami. — Nic nie mów.

Jechałam więc po prostu, piana oceanu łaskotała mnie po całym ciele, nadchodził przypływ rozświetlony rozgwiazdami i fosforescencją.

Starr wyładowywała swoje rozdrażnienie głównie na dzieciach. Oskarżała swoją córkę o wszystkie rzeczy, o które chciała oskarżyć mnie. Carolee rzadko bywała w domu, popołudniami jeździła z chłopcami na rowerach, ich skrzypienie było jak dręcząca wåtpliwość. W te dni, kiedy nie byłam z Rayem, zostawałam w szkole, szłam do biblioteki

albo polowałam z chłopcami na żaby w Big Tujunga, kiedy roztopowe wody powoli przerodziły się w strumyczki i błotniste sadzawki. Żaby prawie się nie odróżniały od błota i trzeba było dużej czujności, by je zobaczyć. Najczęściej siedziałam na kamieniu w słońcu i malowałam.

Lecz któregoś dnia po powrocie znad rzeki zastałam Starr na huśtawce na ganku, we włosach miała lokówki, ubrana była w niebieską bluzkę zawiązaną pod piersiami i bardzo krótkie obcięte spodenki, które wydymały jej się w kroczu. Bawiła się z kociećkami, które kotka urodziła tej wiosny pod domem, machała im przed nosem wstążkami, które Davey przywiązał do patyka. Śmiała się i rozmawiała z nimi, co mnie bardzo zdziwiło. Zazwyczaj nazywała je włochatymi szczurami.

— Witam artystkę. Chodź i porozmawiaj ze mną, moja panno, znudziło mi się gadanie do kotów.

Nigdy nie miała ochoty ze mną rozmawiać, a poza tym wyraz jej ust sugerował, że w tej nagłej zmianie tonu jest coś fałszywego. Dała mi patyk i wyjęła z pudełka papierosa. Włożyła go sobie do ust złym końcem, a ja czekałam, czy zapali. Zorientowała się w ostatniej chwili.

— Na wiosnę robię się roztargniona — zażartowała i wypila 94łyk kawy z filiżanki. Pociągnęłam tasiemkami po dywanie, wywabiając szarobiałą futrzaną kulę spod huśtawki. Podskakiwała, figlowała, uciekła.

— Mów do mnie — powiedziała, zaciągając się teatralnie papierosem i wydmuchując długą wstęgę dymu. Obnażyła swą piękną szyję, gdy odchyliła głowę do tyłu. Głowę z lokówkami miała wielką jak dmuchawiec. — Kiedyś cały czas rozmawialiśmy. Wszyscy tacy cholernie zajęci, dlatego życie jest takie podłe. Widziałaś gdzieś Carolee?

Kawałek dalej przy drodze obie widziałyśmy pióropusze pyłu wzbijane przez rowery górskie. Chciałam być kurzem, dymem, wiatrem, słońcem oblewającym chaparral, czymkolwiek, byle nie siedzieć na ganku z kobietą, której ukradłam mężczyznę.

— Carolee napyta sobie biedy — powiedziała Starr, wysuwając stopę, żeby spojrzeć na swój srebrzysty pedikiur. — Trzymaj się od niej z daleka. Muszę porozmawiać z tą

dziewczyną, żeby się do reszty nie stoczyła. Potrzebuje dużej dawki Słowa Bożego. — Zdjęła jedną lokówkę, spojrzała zezem na loczek nad czołem, zaczęła zdejmować pozostałe i kłaść sobie na kolanach. — Dobra z ciebie dziewczyna. Przepraszam cię za to, co... Gdzie jest Carolee, widziałaś ją? — spytała znowu.

— Chyba jest z Derrickiem — odparłam, poruszając wstążką koło huśtawki w miejscu, gdzie chowało się kociątko.

Pochyliła głowę do przodu, żeby zdjąć lokówki z tyłu.

— Z całej tej białej hołoty musiała sobie wybrać akurat jego. Jego matka jest taka debil na, że wkłada mrożoną pizzę do piekarnika bez wyjmowania z pudełka. — Roześmiała się i upuściła lokówkę, kociątko, które właśnie się pokazało, wskoczyło z powrotem pod huśtawkę.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że Starr jest pijana. Była trzeźwa przez osiemnaście miesięcy, bardzo się pilnowała. Przywiązywała do tego wielką wagę. Nie mogłam do końca zrozumieć dlaczego. Ray pił. Moja matka piła. Michael pił od południa, kiedy kończył nagrywać książki na taśmy, do północy, kiedy film mu się urywał. Nic mu od tego nie było. Starr nawet wyglądała na szczęśliwszą.

95Zastanawiałam się, dl aczego tak bardzo się stara być świętą, skoro to zupełnie nie leży w jej naturze? Po co się tak męczyć?

— On szaleje za mną, wiesz? — powiedziała. — Ray. Ten mężczyzna potrzebuje prawdziwej kobiety. — Przekręciła biodrami w swych obcisłych spodenkach, jakby w tej chwili na nim siedziała. — Jego żona nic nie chciała dla niego zrobić. ■— Zaciągnęła się papierosem, opuściła pomalowane rzęsy, przypominała sobie. — Ten człowiek był przy niej kompletnie niewyżyty. Widziałam ją kiedyś, wiesz? Jego żonę. — Wypiła łyk kawy i wtedy poczułam zapach alkoholu. — Żadnych szaleństw. Porządne buty, rozumiesz. Nie chciała mu obciągać ani nic. Przychodził do klubu Trop i tylko patrzył na dziewczyny tymi swoimi smutnymi oczami, jak głodujący człowiek w supermarkecie. — Wyprostowała ramiona i pochyliła się do przodu, żeby dać mi wyobrażenie, jak Ray patrzył, krzyżyk miała ściśnięty między piersiami, Jezus zatopiony w grzesznym ciele. Roześmiała się, strąciła popiół z papierosa na łaciate kociątko. — Po prostu musiałam się w nim zakochać.

Zrobiło mi się niedobrze na myśl o Rayu, który siedzi w klubie striptizerskim i

gapi się na dziewczyny z wielkimi piersiami. Po prostu nie miał dokąd pójść. Znów wzięłam do ręki patyk, zaszeleściłam wstążkami, próbując zainteresować kociątko, żeby Starr nie zauważyła mojej zaczerwienionej twarzy.

— Musiało mi się coś porobić w głowie, kiedy pomyślałam, że ty i on... — powiedziała do filiżanki, opróżniła ją do końca i odstawiła głośno na mozaikowy blat stołu. — No bo przecież ty jesteś jeszcze dzieckiem. Nawet nie nosiłaś stanika, dopóki ci tego nie kupiłam.

Próbowała przekonać samą siebie, że między mną i Rayem nic nie ma i nie może być, bo ona jest kobietą, a ja nikim. Ja jednak wciąż czułam, jak on klęczy przede mną na niewykończonych podłodze, jak obejmuje mnie za uda, całuje mój nagi brzuch. Czułam zapach surowego drewna, czułam jego zaciśnięte palce i stanęliśmy w ogniu jak oleisty chaparral w czasie oleandrów.

96Księżyc w pełni wlewał się białym światłem przez zasłony. Lodówka buczała w kuchni, kostki lodu spadały do dozownika.

— Nie mogę uwierzyć, że znów zaczęła pić po tak długim czasie — powiedziała Carolee. — Nigdy nie ufaj alkoholikowi, Astrid. Reguła dwa i trzy.

Carolee usiadła na łóżku, zdjęła koszulę nocną, włożyła minispódniczkę, pończochy i błyszczącą bluzkę. Otworzyła okno, wypchnęła siatkę przeciw owadom i weszła na komodę, trzymając w ręce buty na wysokich obcasach. Usłyszałam, że zeskakuje na ziemię.

— Gdzie to się wybieramy, moja panno? — dobiegł mnie z ciemności głos Starr.

— A od kiedy cię to obchodzi? — usłyszałam odpowiedź Carolee.

Podeszłam do okna. Nie widziałam Starr, tylko biodro Carolee sterczące spod białej spódniczki, stała z rękami na biodrach w wyzywającej pozie.

— Idziesz się rozkraczać dla tych wszystkich gówniarzy. — Starr musiała trochę dać sobie w szyję na krześle ogrodowym, które stało koło salonu.

Carolee nałożyła buty na wysokich obcasach, jeden po drugim, i wyszła na podwórze, oświetlone przez księżyc w pełni i jasne jak scena. — A nawet jeśli, to co?

Żałowałam, że nie mogę tego narysować: jej ciało o szerokich ramionach rzuca cień na bladoksiężycowy pył. Jak odważnie wtedy wyglądała.

Starr nie miała zamiaru jej odpuścić. — Wiesz, co mówią? „Zadzwoń po Carolee, ona to robi za darmo”. Kurwom się płaci, nawet tego nie wiesz?

— Za to ty wiesz. — Carolee odwróciła się i ruszyła w stronę drogi.

Starr wpadła w moje pole widzenia, chwiejnym krokiem zeszła po schodach w krótkiej koszuli nocnej i huknęła Carolee w twarz. Odgłos uderzenia odbijał się echem w cichej nocy, nieodwołalny.

Carolee wzięła zamach i oddała jej. Głowa Starr szarpnęła

97w bok. To było ohydne, lecz fascynujące, jak na filmie, jakbym ich w ogóle nie znała. Starr złapała ją za włosy i zaczęła ciągnąć, Carolee wrzeszczała i próbowała ją uderzyć, ale nie mogła dosięgnąć. Zdjęła but na wysokim obcasie i uderzyła ją nim. Wtedy Starr ją puściła.

Zobaczyłam Raya, który schodził po schodach w samych dżinsach. Wiedziałam, że nie włożył nic pod spód, na to ciało, które tak bardzo kochałam. Carolee złapała Starr za przód nocnej koszuli, mocno popchnęła i wywróciła na ziemię. Stała nad Starr, która widziała jej nogi w pończochach, jej buty na wysokich obcasach. Jak to się skończy, czy córka kopnie matkę w twarz? Widziałam, że ma ochotę.

Poczułam ulgę, kiedy Ray stanął między nimi i pomógł Starr wstać na nogi. — Wracajmy do łóżka, kochanie.

— Ty cholerna pijaczko! — wrzasnęła za nimi Carolee. — Nienawidzę cię.

— To zjeżdżaj stąd — powiedziała Starr, zataczając się wsparta na ramieniu Raya. — Spieprzaj. Nikt cię nie potrzebuje.

— Przecież wcale tak nie myślisz — powiedział Ray. — Prześpijmy się, od razu będzie inaczej, dobra?

— Odejdę — powiedziała Carolee.— Zobaczysz, że odejdę.

— Jak odejdiesz, to już nie wrócisz, moja panno.

— Kto by tu, kurwa, chciał wracać.

Przyszła do naszego pokoju, pootwierała szuflady, powywała rzeczy na łóżko, zapakowała tyle, ile się zmieściło do walizki w kwiaty.

— Cześć, Astrid. Miło było.

Davey i mniejsi chłopcy czekali w holu, przerażeni, zaspani, mrugali oczami. — Nie idź —• powiedział Davey.

— Nie mogę zostać w tym domu wariatów. — Carolee przytuliła go szybko jedną ręką i wyszła na zewnątrz, walizka objęła się jej o kolano. Minęła Raya i Starr, nie odwracając głowy, wyszła na drogę i oddalała się na swych wysokich obcasach, robiła się coraz mniejsza i mniejsza.

Patrzyłam za nią długo, zapamiętywałam jej ramiona, długonogi krok. Tak odchodzą dziewczęta. Pakują walizkę i odchodzą na wysokich obcasach. Udają, że nie płaczą, że nie jest to najgorszy dzień w ich życiu. Że nie chcą, aby ich matki pobiegły za nimi, błagając o przebaczenie, że nie padłyby na kolana i nie podziękowały Bogu, gdyby mogły zostać.

Po odejściu Carolee Starr straciła coś niezbędnego, coś, czego potrzebowała, jak żyroskop, który pozwala samolotowi utrzymać poziom, albo głębokościomierz, dzięki któremu wiadomo, czy schodzi się niżej, czy też wypływa na powierzchnię. Nagle zachciewało się jej pójść na tańce albo zostać w domu, żeby pić i narzekać, albo roztkliwiać się, że trzeba być rodziną, bawić się z dziećmi i piec ciasteczka, które zawsze przypalała — nigdy nie było wiadomo, co nas w danym dniu czeka. Któregoś wieczoru, kiedy Peter nie chciał jeść zapiekanki, wzięła jego talerz i wywalila mu wszystko na głowę. Wiedziałam, że to się bierze z mojego uporu, z mojego grzechu. Przyjmowałam to wszystko bez słowa.

Po co ja zaczynałam z Rayem? Przeze mnie wypadła z terapii odwykowej. Byłam węzem w ogrodzie.

Ale to nie wystarczało, żeby mnie powstrzymać. Miałam wirusa. Ray i ja kochaliśmy się w nowych domach, kochaliśmy się w jego warsztacie za garażem, czasem nawet nad rzeką między głazami. Staraliśmy się nie przebywać w jednym pokoju, kiedy Starr była w domu, bo powietrze między nami stawało w ogniu.

Któregoś dnia Starr wrzeszczała na chłopców, że narobili bałaganu w salonie, wszędzie wałały się plastikowe jaszczurki i klocki lego, a Davey pracował nad modelem Skał Vasqueza, miał skamieliny, które znaleźli podczas wycieczki klasowej, muszle turetellai tryl obity z epoki kambryjskiej. Starr rzucała zabawkami i puzzlami, potem podeszła do Daveya, podniosła stopę i zmiażdżyła model dwoma szybkimi nadeptnięciami.

— Powiedziałam ci, żebyś posprzątał ten syf!

Dwaj pozostali chłopcy wybiegli na zewnątrz, lecz Davey uklęknął obok zniszczonego modelu, dotknął zmiażdżonej musz-

99li. Podniósł wzrok i nie musiałam widzieć jego oczu za okularami, żeby wiedzieć, że płacze.

— Nienawidzę cię! — wrzasnął Davey. — Wszystko zniszczysz! Nie potrafisz nawet zrozumieć...

Starr złapała go jedną ręką, zaczęła bić drugą i krzyczała:

— Za kogo ty mnie masz? Jak śmiesz mówić, że jestem głupia? Jestem twoją matką? Jestem człowiekiem! Nie mogę temu wszystkiemu sama podołać! Należy mi się trochę szacunku!

Zacząło się jak lanie, ale skończyło jak regularne pobicie. Pozostali chłopcy uciekli, ale ja nie mogłam. To się stało przeze mnie.

— Starr, przestań — powiedziałam, próbując ją odciągnąć.

— Zamknij się! — zaskrzeczała i odepchnęła mnie. Włosy opadły jej na twarz, oczy miała całe białe wokół źrenicy. — Nie masz tu nic do powiedzenia, słyszysz?

Wreszcie odstępowała kilka kroków i zaczęła płakać w dłonie. Davey siedział otępiały przy swoim zdewastowanym modelu i widziałam łzy spływające mu po twarzy. Kucnęłam obok niego, żeby zobaczyć, czy da się jeszcze coś uratować.

Starr otworzyła butelkę Jima Beama, którego zaczęła trzymać w kredensie obok płatków śniadaniowych, naląła sobie szklanekę whisky, wrzuciła kilka kostek lodu. Piła na naszych oczach.

— Nie wolno tak się odzywać do ludzi — powiedziała, wycierając oczy i usta. — Ty gnojku.

Ramię Daveya zwisało pod dziwnym kątem.

•— Boli cię ramię? — spytałam łagodnie.

Pokiwał głową, ale nie spojrzał na mnie. Czyżby wiedział, domyślał się?

Starr siedziała na krześle kuchennym, wyczerpana wysiłkiem, jakim było dla niej zabicie Daveya. Naburmuszona, dająca sobie w szyję. Wyjęła papierosa ze złotej paczki i

zapaliła.

— Chyba jest zwichnięte — powiedział Davey.

— Mazgaj. Idź gdzie indziej się pomazgaić. Nawkładałam lodu do worka foliowego i przyłożyłam Da-

veyowi do ramienia. Źle to wyglądało. Usta miał ściągnięte. Nigdy się nie mazgaił.

100— Trzeba go zawieźć do szpitala — powiedziałam z obawą, starałam się, aby nie brzmiało to oskarżycielsko.

— Ja go nie zawiozę. Ty go zawieź, jeśli chcesz. — Znalazła w torebce kluczyki i rzuciła nimi we mnie. Zapomniała, że mam dopiero czternaście lat.

— Zadzwoń po wujka Raya.

— Nie.

— Mamo, pomóż mi. — Davey zaczął szlochać. Spojrzała na niego i teraz sama zobaczyła, jak dziwnie zwisa

mu ramię. — O Boże! — Podbiegła do Davey a, uderzając udem w stolik do kawy, kucnęła obok syna na kanapie, chwyciła go za ramię. — Och, kawalerze, przepraszam cię. Mamusia cię przeprasza, kochanie. — Im bardziej sobie uświadamiała, co zrobiła, tym bardziej się denerwowała, z nosa jej kapalo, próbowała zaczesać mu włosy do tyłu swymi niezdarnymi dłońmi, wykonywała szarpane, bezsensowne gesty. Davey odwrócił głowę.

Skrzyżowała ramiona na piersiach, a raczej niżej, bardziej nad brzuchem, usiadła skulona na podłodze koło kanapy, kołysała się, biła pięścią w czoło. — Co mam zrobić, Boże, co mam zrobić?

— Dzwonię po wujka Raya — powiedziałam.

Davey znał numer, wyrecytował go, kiedy do niego dzwoniłam na nowe osiedle. Pół godziny później Ray był w domu z zaciśniętymi ustami.

— Ja nie chciałam — powiedziała Starr, podnosząc dłonie jak śpiewaczka operowa. — To był wypadek. Musisz mi uwierzyć.

Nikt nic nie powiedział. Zostawiliśmy Starr szlochającą monotonie, zabraliśmy Daveya na pogotowie, gdzie nastawili mu ramię, przybandażowali do boku. Zmyśliliśmy bajeczkę o tym, jak bawiliśmy się nad rzeką. „Zeskoczył z kamienia i upadł”. Brzmiało to głupio nawet dla mnie, ale Davey obiecał nam, że nikomu nie powie, że to Starr. Wciąż ją

kochał, nawet po tym wszystkim.

Wielkanoc. Przejrzysty, krystaliczny poranek, widać każdy krzak i głaz na górze. Powietrze było takie czyste, że aż raniło skórę. Starr przyrządzała w kuchni szynkę, wciskała w wycięcia

101 małe ząbki czosnku. Od dwóch tygodni była trzeźwa, codziennie chodziła na spotkania. Wszyscy bardzo się staraliśmy. Temblak Daveya stale nam przypominał, do czego może dojść.

Starr włożyła szynkę do piekarnika, a potem wszyscy pojechaliśmy do kościoła, nawet wujek Ray, który został jednak na chwilę w samochodzie, żeby się naszprycować, zanim wszedł do środka; poczułam, kiedy mnie mijał, żeby zająć miejsce między Owenem i Starr. Jej oczy błagały ojca Thomasa o dawkę Krwi. Próbowaliśmy się modlić, znów poczuć, że istnieje coś większego ode mnie, ktoś, kogo obchodzi, co robię, ale nie potrafiłam już poczuć obecności Boga w tym kościele z żuźlowych pustaków ani w tym, co pozostało z mojej duszy. Starr wyrwała się ku Jezusowi wiszącemu na krzyżu z drewna gruszy, wujek Ray natomiast czyścił sobie scyzorykiem paznokcie i czekał, kiedy zaczną się śpiewy.

Po nabożeństwie pojechaliśmy na stację benzynową i wujek Ray kupił jej bukszpan, obietnicę nowego życia.

Kiedy wróciliśmy do domu, w przyczepie pachniało szynką. Starr podała lunch, kukurydzę, pierścienie ananasa z puszki, razowe i zwykłe bułki. Ray i ja nie patrzyliśmy na siebie, bo znowu wszystko zaczęłoby się od nowa. Patrzyliśmy na chłopców, bawiliśmy się jedzeniem, gratulowaliśmy Starr jej umiejętności kulinarnych, Ray powiedział, że ojciec Thomas jest całkiem niezły. Studiowałam miseczkę różowych lodów miętowych posypanych żelkami i bukszpan na środku stołu w zawiniętej w folię doniczce. Nie siedzieliśmy wszyscy razem, odkąd ja i Ray zawieźliśmy Daveya na pogotowie. Nie rozmawialiśmy o tej historii, o tym, że sprawy zaszły za daleko.

Przez całe popołudnie oglądaliśmy w telewizji program wielkanocny. Ewangelisci o różowej skórze i chóry w odpowiednio dobranych satynowych togach. Kongregacje tak liczne jak tłum na koncertach rockowych. Dłonie falowały w powietrzu jak słoneczniki. Powstał z martwych, Chrystus Pan. Żałowałam, że nie potrafię znowu w niego uwierzyć.

— Powinniśmy tam być — powiedziała Starr. — Za rok pojedziemy do

Kryształowej Katedry, dobrze, Ray?

102— Jasne — odparł Ray. Przebrał się z kościelnego ubrania z powrotem w podkoszulek i dżinsy. Graliśmy z chłopcami w warcaby i unikaliśmy nawzajem swojego wzroku, ale to była ciężka praca, przebywać w tym samym pokoju i nie dotykać się, zwłaszcza że Starr siedziała obok niego i trzymała rękę wysoko na jego spranych dżinsach. Nie mogłam tego wytrzymać. Kiedy Davey wygrał, wyszłam na zewnątrz i spacerowałam nad rzeką. Nie potrafiłam myśleć o niczym oprócz jej ręki na jego dżinsach.

Postępowałam źle, robiłam ludziom krzywdę, a co najgorsze, nie chciałam przestać.

Niebieskie cienie wspinały się na śniade, okrągłe zbocza góry, jak ręce modelujące kształt ud kochanka. Jaszczurka siedziała na kamieniu, sądząc, że jest niewidzialna. Rzuciłam w nią kamyczkiem, patrzyłam, jak daje drapaka w chaparral. Urwałam liść sumaka i podsunęłam sobie pod nos, mając nadzieję, że zrobi mi się od tego jaśniej w głowie.

Najpierw poczułam jego, zapach trawki w powietrzu zmierzchu. Był na podwórzu, słońce padało mu na twarz i rozgrzewało jajak kamień. Jego widok uwiązał mi w gardle. Teraz wiedziałam, że czekałam na niego. Wyszłam na wzniesienie, żeby mnie zobaczył, od wschodniej strony baraku, która nie miała okien, potem zeszałam do piaszczystego zagłębienia między głazami.

Chwilę później usłyszałam, że idzie w górę koryta rzeki, już wyschniętego, choć był dopiero kwiecień. Wiedziałam, że Davey odczyta to wszystko jutro z naszych śladów, ale z chwilą, gdy dotknęłam Raya, wiedziałam, że nigdy nie będziemy osobno, choćbyśmy tego bardzo chcieli, nieważne, kogo przy tym zranimy. Jego usta na mojej szyi, jego ręce pod moją koszulą, ściągają mi majtki. Moje uda pragną nagiego dotyku jego bioder, pasujemy do siebie jak magnesy, gdy padamy na piasek. Nie dbałam o skorpiony ani grzechotniki diamentowe. Nie dbałam o kamienie ani o to, kto może nas zobaczyć.

— Co ty ze mną robisz, kochanie — szepnął do moich włosów. Ostatni raz słyszałam kłótnię dwojga dorosłych ludzi, kiedy

moja matka uderzyła Barry'ego nożem w dłoń. Łomot, wrzaski,

103schowałam głowę pod poduszkę, ale i tak zza cienkiej ściany dochodziło mnie każde słowo, pijacki skrzek Starr, wymruczane repliki Raya.

— Kiedyś ci stawał na zawołanie, dopóki nie zaczęłaś walić tej małej zdziry. Przyznaj się, ty skurwielu, walisz ją!

Skuliłam się głębiej w śpiworze, spocona, udając, że to nie ja, że to jakaś inna dziewczyna, że jestem tylko dzieckiem, nie mam z tym nic wspólnego.

— Walisz moją przybraną córkę! Boże, trzeba się było jej pozbyć, kiedy miałam okazję!

Wyobraziłam sobie Raya siedzącego na skraju łóżka, plecy zgarbione, ręce zwisają między udami, nie przerywa jej, pozwala wyrzucić wszystko z siebie, osłania się przed jej pijackimi ciosami, ma nadzieję, że film jej się urwie. Słyszałam jego głos, wciąż spokojny, kojący, rozsądny. — Starr, jesteś paskudna.

— Ty zboczeńcu. Lubisz posuwać dzieci? Co następne, psy? Naprawdę wolisz tę chudą pizdę bez cycków bardziej niż mnie?

Płonęłam ze wstydu, świadoma, że chłopcy to słyszą, że teraz już wszystko wiedzą.

— Ma mniej rozepchaną cipę niż ja? Obciąga ci tak jak ja? Od tyłca też ją trykasz? Nie, no, naprawdę chcę się dowiedzieć, co robią z dziećmi pedofile.

Jak długo mogło mi to uchodzić na sucho? Żałowałam, że się tam w ogóle znalazłam, żałowałam, że się kiedykolwiek urodziłam. Musiałam jednak przyznać, że część mnie była dumna, podniecona tym, że Rayowi nie stawał ze Starr. Nie mógł się z nią pieprzyć, mimo jej wielkich cycków, mimo że pozwalała mu wsadzać sobie do tyłka. On chciał mnie.

— Walisz moją przybraną córkę. Zaraz tam wejdę i się z nią policzę.

Usłyszałam kolejny łomot, wrzaski, i nagle drzwi do mojego pokoju otworzyły się z hukiem. Starr w różowej koszuli nocnej, całej poskręcanej, oba wielkie cycki na wierzchu, wymachiwała pistoletem. Przez całe lata widok ten potem nawiedzał mnie w snach. Strzeliła bez celowania, wyciągnąwszy ramię do przodu.

104Stoczyłam się na podłogę, w pokoju zrobiło się gęsto od wystrzałów i fruujących drzazg. Próbowałam wcisnąć się pod łóżko,

— Odbiło ci? — Ray i Starr szarpali się ze sobą. Wysunęłam się na tyle, że ich

widziałam, wykręcił jej rękę za plecy i odebrał pistolet. Był goły, pociągnął ją do tyłu za ramię, toteż jego fiut wcisnął się jej w pośladki, jej cycki celowały w sufit, dygotała jak przestraszone zwierzątko, kiedy wypychał ją biodrami przez drzwi.

— Tu skurwysynu, Ray, ty skurwysynu!

— Dziękuję, przekażę mamusi pozdrowienia — odparł Ray, kiedy ją wyprowadzał.

Może zaczną się pieprzyć i zapomną o mnie, pomyślałam. W drzwiach szafy była dziura. Zaczęłam się ubierać. Nie miałam zamiaru przebywać pod jednym dachem z pomyloną pijaczką i całym arsenałem pistoletów. Zadzwonię do mojego opiekuna z ośrodka, pomyślałam. Powiadomię Raya, gdzie jestem, ale tutaj nie mogę zostać.

Potem usłyszałam szamotaninę w ich pokoju i Starr wróciła, strzelała do mnie, kiedy się ubierałam. Ból zakwitł mi na ramieniu, pędził ogniście przez żebra. Zatoczyłam się w stronę komody, żeby wejść na nią i wyskoczyć przez okno, ale Starr strzeliła znowu i moje biodro eksplodowało. Upadłam na podłogę. Widziałam jej polakierowane na czerwono paznokcie u nóg.

— Mówiłam ci, żebyś się trzymała od niego z daleka. — Sufit, brak powietrza, metaliczny zapach naładowanego elektrycznie kurzu, prochu i mojej krwi.

Światło w moich oczach. Dłonie przemieszczają mnie. Ktoś krzyczy. Boże—mundury, pytania. Brodaty mężczyzna, kobieta, źle zapięta koszula. Światło latarki w oczy.

— Gdzie jest Ray? — spytałam, odwracając głowę od światła.

— Astrid? — To Davey, światło na okularach. — Odzyskuje przytomność.

Kolejna twarz. Blondynka, lalkowata. Sztuczne rzęsy. Czarna koszula.
Schutzstaffel

— Astrid, kto to zrobił? Kto do ciebie strzelał?

105— Powiedz nam, powiedz nam, kto.

Davey zsunął okulary na nos. Spojrzał mi głęboko w oczy. Potrząsnął głową, prawie niedostrzegalnie, ale zauważyłam. Wciąż ją kochał. Po tym wszystkim.

W drzwiach kulili się chłopcy. Kurtki ubrane na pidżamy. Owen z żyrafą ze złamaną szyją, głowa zwieszona. Peter ze słoikiem jaszczurek. Przybrane dzieci. Wiedzieli, co będzie dalej.

— Astrid, co się stało? Kto ci to zrobił? — Zamknęłam oczy. Zresztą od czego miałabym zacząć odpowiedź na to pytanie?

Brodacz przetarł mi ramię watką, wbił igłę, kroplówka.

— Nic jej nie będzie? — spytał Davey.

— Świetna robota, synu. Bez ciebie już by się wykrwawiła na śmierć.

Ręce pode mną. Morze ognia, gdy kładli mnie na nosze. Wrzeszczę. Ogień. Ogień. Brodacz trzymał kroplówkę.

— No już — powiedział. — Spokojnie.

Patrzyłam w oczy Daveya, wiedząc, że cierpi tak samo jak ja. Trzymał mnie za rękę, a ja jego, najmocniej jak umiałam, choć środki przeciwbólowe odbierały mi przytomność.

— Moje rzeczy.

— Później je zabierzemy. — Opiekunka z ośrodka. Nawet nie umiała sobie dobrze zapiąć koszuli.

Davey zaczął zbierać rzeczy, tomiki mojej matki, mój szki-cownik, jakieś obrazy, plakat ze zwierzęcymi kupami. Ale Ray...

— Davey, moje pudełko.

Twarz Daveya pociemniała. Odczytał ślady. Przed oczami niebieskie, zielone i żółte plamy, skrzące migotanie szkła od Tiffany'ego.

— Proszę cię — szepnęłam.

— Idziemy, kochanie. Musisz iść z nami.

Złapał pudełko, skrzywił się jak wtedy, kiedy Starr zwichnęła mu ramię. Został przy mnie, kiedy nieśli mnie do karetki, odepchnął od siebie lalkowatą kobietę w czarnej koszuli, która próbowała go odciągnąć. Księżyc świecił jak srebrna tarcza. Brodacz mówił do mnie, kiedy wsuwał nosze do karetki.

106— Spokojnie, musisz się teraz odprężyć. On ma twoje rzeczy. — Potem tylne drzwi zamknęły się, Davey się cofnął, noc go połknęła, wszystkich ich połknęła.

Jej palce poruszały się pośród pąkli i małży, sine, o ostrych krawędziach. Neonowoczerwone rozgwiazdy na skałach były wiotkie jak na obrazach Dalego, otoczone

bukietami szczypiących anemonów i purpurowych wybuchów morskich jeżowców. Jej palce dotykały sztywnych, nieruchomych kolców jeżowca, które ożywiły się, sprawdzały dotykiem jej kształt i zamiary. Chciała, żebym ja też dotknęła, ale się bałam. Zdumiewało mnie, że białe ciało i purpurowe kolce porozumiewają się przez szczelinę równie olbrzymią jak przestrzeń kosmiczna, cud sześciu cali wody. Dotykała mnie w ten sposób, moich policzków, moich ramion, ja też sięgnęłam ręką.

El cielo es azul. Byłyśmy na Wyspie Kobiet. Ja byłam małą dziewczynką w spłowiełej sukience, opaloną, bosą, włosy miałam białe jak puch dmuchawca. Ulice były brukowane tłuczonymi muszelkami, tam, gdzie co rano stałyśmy z meksykańskimi kobietami w kolejce po tortille. *Qual es su nombre? Su hija es mas guapa,* mówiły, twoja córka jest za ładna, i dotykały moich włosów. Skóra mojej matki łuszczyła się jak farba. Oczy błękitniej sze od nieba, *azul claro.*

W dużym hotelu, w kolorach różowym i pomarańczowym, mężczyzna z ciemnymi wąsami pachniał jak rozgniecione kwiaty. Były taksówki i muzyka, moja matka wychodziła wieczorami w haftowanych sukienkach z odsłoniętymi ramionami. Ale potem zniknęła, a my przeniosłyśmy się na Wyspę Kobiet.

Moja matka czekała tam na coś, nie wiedziałam, na co. Codziennie kupowałyśmy tortille, wracałyśmy do bielonego domku parterowego z siatką ze sznurka, mijaliśmy po drodze małe domy

107z zakratowanymi oknami i drzwiami, które otwierały się jak ramy. Wewnątrz były obrazy na ścianach, babcie z wachlarzami, w niektórych książki. Jadłyśmy krewetki z czosnkiem w restauracjach pod gołym niebem na plaży. *Camarones con ajo.* Jacyś rybacy złapali rybę młot i wyciągnęli na plażę. Była dwa razy większa od łódek, w których pływali, wszyscy przyszli na plażę, żeby na nią popatrzeć, pozować koło jej monstrualnej głowy, równie szerokiej, jak wysokiej. Bataliony zębów w bezradnym uśmiechu. Bałam się, kiedy matka zostawiła mnie na plaży, a sama poszła popływać w wodzie o delikatnym niebieskim odcieniu. Co będzie, jeśli przyplynie rekin, woda zrobi się czerwona i wypłyną kości?

Zawsze, kiedy się budziłam, był demerol. Lekarze w maskach, pielęgniarki o miękkich dłoniach. Ich uśmiechy jak nektar. Kroplówki i inne dzieci. Opatrunki, Tom i Jerry w telewizji, balony i obcy ludzie. „Powiedz nam, powiedz nam”. *Schutzstaffel.*

Detektywi w cywilu. Jak miałam opisać Starr, w poskręcanej koszuli nocnej, wypróżniającą magazynek trzydziestki ósemki do mojego pokoju? Wolałam myśleć o Meksyku. W Meksyku twarze były ogorzale i miękkie jak mydło. Te bzyzące dźwięki w mojej sali – to tylko komary w naszym domku na Wyspie Kobiet.

W pewną noc, kiedy świecił księżyc w pełni, coś nią ruszyło i wyjechałyśmy, zabierając tylko paszporty i pieniądze w pasku pod jej sukienką. Spałyśmy na nowej plaży, daleko na południe. Następnego dnia tańczyła z młodym człowiekiem, Eduardo, na dachu, to był jego hotel, wszystkie okna były otwarte i widziałam rafę, morze jak soczewka. Górne piętro było jeszcze nie skończone, pod palmowym dachem wisiały hamaki i mogłyśmy zostać, jak długo chciałyśmy. Byłyśmy szczęśliwe w Playa del Carmen, jeżdżąc z Eduardo po mieście jego czarnym volare, czując się bardzo bogate, *lque rico!* Choć w mieście były tylko dwie utwardzane drogi i budka z lodami. Michoacan. Malowane obrazy wulkanów z czapą śniegu. Statek wycieczkowy zatrzymywał się tam dwa razy w tygodniu, pięciokondygnacyjny kolos kolebał się

108na falach jak przybrzeżny tort weselny. Moja matka stawiała tarota w kawiarni przesyconej tłustym zapachem grillowanych *poilo* i *carnitas*. Patrzyłam na mężczyznę, który odkrawał macze-tą mięso na tortille. Jedzenie miałyśmy tam dobre.

Wieczorami Eduardo grał na gitarze i śpiewał cygańskie piosenki ze swymi gośćmi hotelowymi, a ja kołysałam się w hamaku jak nietoperz otulony skórzastymi skrzydłami. Wieczorem w powietrzu pełno było nietoperzy. Owoce, powiedziała matka, mango, *plantanos* i papaje. Na całym ciele wychodziły mi bajkowe kółka. Lekarz w betonowej klinice dał mi lekarstwo.

– Czy my nigdy nie wrócimy do domu? – spytałam matkę.

– Nie mamy domu – odparła. – Ja jestem twoim domem. Jaka była piękna boso w kostiumie kąpielowym i obrusie

owiniętym wokół bioder. Matka kochała mnie. Jeszcze teraz czułam, jak kołyszę się w tym hamaku, podczas gdy Eduardo i moja matka tańczą. Byłaś moim domem.

Lecz pogoda się zepsuła, Eduardo zamknął hotel do następnego sezonu i wrócił do Mexico City, gdzie mieszkali jego rodzice. Powiedział, że możemy zostać, jeśli chcemy. Było smutno i przeraźliwie, pospuszczałyśmy żaluzje i zaczął wiać wiatr, łagodne morze wezbrało i pożarło plażę, zalewając szafirki. Nie było już turystów. Jadłyśmy z puszek,

frijoles refritos, mleko skondensowane. Koty oblegały hotel, chude, dzikie albo po prostu porzucone aż do następnego sezonu. Moja matka wpuściła je wszystkie do środka. Niebo miało kolor żółtawego siniaka.

Deszcz padał zawsze z ukosa, wsączał się przez okiennice i pod drzwiami. Koty chowały się w cieniach. Czasami ocierały się o nas, kiedy siedzieliśmy przy stole, moja matka pisała w świetle lampy naftowej. Koty były głodne, lecz matka nie zwracała uwagi na ich miauczenie, kiedy jadłyśmy.

W końcu moja matka zamknęła hotel na klucz i jacyś studenci zabrali nas do Progresso nad Zatoką. Statek z Teksasu cuchnął rybami. Kapitan dał mi pigułkę i obudziłam się na czyjejs kanapie w Galveston.

109— Mamy ją — powiedział ubrany po cywilnemu detektyw w białych skarpetkach. — Złapaliśmy ją, jak próbowała się zobaczyć z dzieckiem. Mówi, że odwiedza siostrę. Dobrze wiesz, że to ona do ciebie strzelała. Po co zmyślać historię o włamywaczu? Nawet nie jest twoją prawdziwą matką.

Na miejscu Starr też może bym próbowała mnie zastrzelić. Może posmarowałabym klamki oleandrem, tak jak moja matka, gdyby Ray powiedział, że już mnie nie kocha. Trudno mi było się skupić. Starr w koszuli nocnej, moja matka w niebieskiej sukience. Barry przykładający mi do czoła zwilżoną szmatę. Ray w nowych domach. Dlaczego to wszystko wydawało się takie samo, dlaczego stapiało się ze sobą jak kredki woskowe zostawione w samochodzie w letni dzień? Odróżniał się tylko Davey. Gli-niarz przyprawiał mnie o ból głowy i potrzebowałam więcej demerolu.

Przysły listy od mojej matki. Dziewczyna w moim wieku, pracująca społecznie w szpitalu, z puszystymi brązowymi włosami i jasnozielonymi cieniami do powiek, próbowała mi je przeczytać, ale to było zupełnie surrealistyczne, słowa mojej matki wypowiedane jej wysokim, ignoranckim głosem, kazałam jej przerwać.

Droga Astrid!

Mówią, że nie wiedzą, czy przeżyjesz do rana. Przez całą noc przemierzam tę cełę, trzy kroki w jedną stronę, trzy kroki w drugą. Właśnie przyszedł kapelan, powiedziałam, że wyrwę mu wątrobę, jeśli mnie będzie jeszcze nachodził. Tak bardzo Cię kocham, Astrid. Nie mogę tego wytrzymać. Nie ma nikogo innego na świecie prócz Ciebie i mnie, wiesz o tym? Proszę Cię, nie zostawiaj mnie tu samej. Na wszystkie moce światłości i

ciemności, proszę, proszę, nie odchodź.

Czytałam ten akapit raz po raz, rozkoszując się każdym słowem, tak jak Starr czytała Biblię. Zapadałam w sen, słysząc je

110w głowie. Byłaś moim domem, mamó. Nie miałam innego domu jak tylko ciebie.

*Freudel Dziewiąta Beethovena, Oda do radości, wersja Soltiego, Chicagowska Orkiestra Symfoniczna. Pomyśleć, że omal Cię straciłam! Żyję dla Ciebie, a myśl, że żyjesz, daje mi siłę, by ciągnąć to dalej. Chciałabym cię teraz przytulić, chciałabym Cię dotknąć, objąć, poczuć bicie Twego serca. Piszę dla ciebie wiersz, zatytułowałam go *Dla Astrid, która jednak będzie żyła*.*

Wiadomości szybko się roznoszą po więzieniu i kobiety, z którymi nigdy nie rozmawiałam, dopytują się o twój stan. Czuję pokrewieństwo z każdą z nich. Mogłabym uklęknąć i ucałować z wdzięczności ziemię. Wystąpię o przepustkę, ale tutejsi urzędnicy są bez serca, nie sądzę więc, że mi ją przyznają.

Co mogę powiedzieć o życiu? Mam je wysławiać za to, że pozwoliło Ci żyć, czy też przekląć je za to, że dopuściło do wszystkiego innego? Słyszałaś o syndromie sztokholmskim? Zakładnicy zaczynają brać stronę terrorystów z wdzięczności, że ich od razu nie zabili. Nie dziękujmy jakiemuś hipotetycznemu Bogu, tylko odpocznijmy i nabierzmy sił przed nową kampanią. Chociaż wiem, że najlepsze, na co mogę liczyć, to kroplówka z morfiną za dobre sprawowanie.

Bądź silna Matka

Ani razu nie napisała „a nie mówiłam?”

Przyszedł sztukmistrz, żeby nas zabawić, zahipnotyzowały mnie jego piękne dłonie, jego płynne, krągłe gesty. Nie mogłam oderwać oczu od jego dłoni. Były lepsze od wszystkich jego sztuczek. Wyjął z powietrza bukiet papierowych kwiatów i wręczył mi z dwornym ukłonem, wyjęte z powietrza, jasne i mało prawdopodobne. Jak Ray, kształtujący mnie w palcach jak miękki wosk.

111Ray. Próbowałam nie myśleć o nim, o tym, co kazało mu uciec, gdy leżałam krwawiąca na podłodze mojej sypialni, postrzelona przez jego kochankę. Wiedziałam, dlaczego go nie było, kiedy przyjechała karetka. Czułam to samo, kiedy myślałam

*

o Daveyu. Ze zrujnowałam mu życie. Nie miał odwagi spojrzeć temu w twarz. On nie chciał, żeby to się stało między nami, ja to stworzyłam tylko z mych pragnień. Ray jakby wiedział, co się stanie, od momentu, gdy się po raz pierwszy dotknęliśmy. Za każdym razem, gdy na mnie patrzył, jego oczy błagały mnie, żebym go zostawiła w spokoju. Chciałam się z nim zobaczyć, tylko raz, aby mu powiedzieć, że go nie winię.

Czasami budziłam się i byłam pewna, że przyjdzie, w przebraniu, że znów będziemy razem. Migał mi w drzwiach jakiś obcy stażysta, nie znany mi salowy, odwiedzający, który szukał właściwego łóżka na oddziale dziecięcym, a ja byłam pewna, że to on. Nikogo z nich nie winiałam. Powinnam była wiedzieć, co się może zdarzyć. Jak mogłam nie wiedzieć po historii z moją matką i Barrym?

Jedyną niewinną osobą był Davey. Z początku dziwiłam się, dlaczego Starr go zostawiła. Pewnie myślała, że łatwiej ucieknie. Może tak spanikowała, że zupełnie o nim zapomniała. Ale teraz wiedziałam, że to Davey odmówił. Nie chciał z nią iść i zostawić mnie na podłodze sypialni, żebym się wykrwawiła na śmierć. Zrezygnował z matki, żeby utrzymać mnie przy życiu do przyjazdu karetki. Znając Daveya, tak właśnie było. Zalała mnie nowa fala wstydu i wyrzutów sumienia. Ani się spodziewał, kiedy się poznawaliśmy, kiedy chłopcy siedzieli na ganku, że zrujnuję mu życie. Nadepnęłam na nie, gdy biegłam na spotkanie Raya, tak jak Starr nadepnęła w salonie na jego model.

Moja matka przysłała mi wiersz, *Dla Astrid, która jednak będzie żyła*. Kilka linijek bez przerwy kołatało mi w głowie:

Po wszystkich lękach, przestrodach

Po wszystkim

Pomyłki kobiety różnią się od pomyłek dziewczyny

112 Są napisane ogniem na kamieniu Są cechą charakteru, a nie błędem...

To było gorsze niż „a nie mówiłam?” Nie chciałam w to uwierzyć. Wciąż byłam dziewczyną, zaledwie czternastoletnią. Wciąż mogłam zostać zbawiona, prawda? Odkupiona. Mogłam mieć inne życie, nie będę już więcej grzeszyć. Nastroszyłam się, kiedy rehabilitant flirtował ze mną, szczupły młody mężczyzna, życzliwy, przystojny. Przejście tam i z powrotem korytarzem zajęło mi pół dnia. Przetawili mnie z demerolu

na doustny percodan.

Gdybym miała dokąd pójść, zwolniliby mnie po dwóch tygodniach, a tak musiałam powracać do zdrowia za publiczne pieniądze. Kiedy już mogłam chodzić o lasce i zdjęli mi bandażę, znaleziono mi nową rodzinę zastępczą, wypisano mnie z receptą na trzydziestodniowy zapas percodanu, listami i tomikami mojej matki, drewnianą szkatułką i plakatem z gówienkami zwierząt, który należał kiedyś do zgubionego chłopca.

10

Powietrze w Van Nuys było bardziej gęste niż w Sunland Tujunga. Było to królestwo podcieni sklepowych i bulwarów szerokich na ćwierć mili, osiedli identycznych domów parterowych, które wyglądały karłowato przy wyrośniętych drzewach pistacjowych i ambrowcach. To wszystko sprawiało optymistyczne wrażenie, do momentu gdy zobaczyłam dom w głębi ulicy, modliłam się, Jezu, proszę, niech to nie będzie ten turkusowy z wyasfaltowanym podwórzem za ogrodzeniem z siatki drucianej.

Opiekunka z ośrodka zaparkowała samochód właśnie przed tym domem. Wybałuszyłam oczy. Był to kolor tropikalnej laguny z pocztówki sprzed trzydziestu lat, syfilityczny koszmar Gauguina. Stał w przerwie między drzewami iglastymi, które zasłaniały

113wszystkie inne domy na tym odcinku ulicy, był wyzywająco brzydki w swej nagości.

Drzwi z pęcherzykowym szkłem też były turkusowe, a przybrana matka okazała się przysadzistą blondynką o surowym wyrazie twarzy, na biodrze trzymała oszołomionego berbecia. Zerknęła na metalową szpitalną laskę, zwięzła swe małe oczka.

— Nie powiedziała mi pani, że jest kulawa.

Opiekunka wzruszyła wąskimi ramionami. Ucieszyłam się, że jestem naszprycowana percodanem, bo chyba bym się rozplakała.

Marvel Turlock zaprowadziła nas przez salon, w którym dominował telewizor rozmiarów Arizony (gospodyni talk-show besztala wielkiego, brodatego mężczyznę z tatuażem), a następnie długi korytarzem do mojego nowego pokoju, przerobionego ganku do wieszania bielizny z zasłonami w granatowe i zielone paski i narzutą ze sznurka

na wąskim futonie. Chłopczyk szarpał matkę za zbyt dużą koszulę i skowyczał, co przypominało grę na pile.

W pokoju z telewizorem opiekunka z ośrodka rozłożyła swoje papiery na stoliku, gotowa odsłonić szczegóły mojego życia przed tą kobietą o surowej twarzy, która głosem belferki kazała mi iść pobawić się z Justinem za domem.

Wyasfaltowane podwórze za domem było gęste od gorąca i zaśmiecone tyloma zabawkami, że wystarczyłoby na całe przedszkole. Zobaczyłam, że kot zakopuje coś w piaskownicy, ucieka. Nic w tej sprawie nie zrobiłam. Justin szalał na trzykółce, co parę rund wjeżdżając w domek do zabawy. Miałam nadzieję, że zdecyduje się zrobić kilka babek z piasku. Mmm.

Po jakimś czasie wyszedł inny bobas, mała blondynka z dużymi, przezroczystoniebieskimi oczami. Nie wiedziała, jak bardzo boję się koloru turkusowego ani że chce mi się wymiotować na myśl o tym, że jej matka czyta moje papiery. Dlaczego nie mogłam zostać w szpitalu i dostawać demerolu przez kroplówkę? Dziecko skierowało się w stronę piaskownicy. Chciałam, żeby mnie to nie obchodziło, ale mimowolnie wstałam, wzięłam kocią kupę na łopatkę i wyrzuciłam za ogrodzenie.

114Ed i Marvel Turlock byli moją pierwszą prawdziwą rodziną. Jedliśmy kurczaka rękami, zlizując tłuszcz z palców, jakby widelce nie zostały jeszcze wynalezione. Ed był wysokim, małomównym mężczyzną o czerwonej twarzy i łysiejących piaskowych włosach. Pracował w dziale farb supermarketu gospodarczego Home Depot. Nie zaskoczyło mnie, kiedy się dowiedziałam, że dostali farbę turkusową po cenie hurtowej. Przez całą kolację oglądaliśmy telewizję, nikt nie rozmawiał i nikt nie słuchał, pomyślałam o Rayu, Starr i pierwszym razie, gdy zobaczyłam Daveya. Głazy i zielone grujeczniki, myszołowy. Piękno kamieni, wylewająca rzeka, cisza. Moja tęsknota przeplatała się z rozpalonym, kłującym wstydem. Czternaście lat, a już zdążyłam zepsuć coś na amen. Zasłużyłam sobie na to.

Zaczęłam chodzić do szkoły Madison Junior High, kuśtykałam o lasce z klasy do klasy. Pęknięte biodro goiło się, ale najwolniej ze wszystkiego. Ramię już było zdrowe, nawet pęknięte żebro przestało przeszywać mnie bólem za każdym razem, gdy się wyprostowałam lub pochyliłam. Ale biodro się ślimaczyło. Zawsze spóźniałam się na lekcje. Moje dni upływały we mgle percodanu. Dzwonki i ławki, człapanie do następnej sali.

Usta nauczycieli otwierały się i wylatywały z nich motyle, za szybkie, żeby je złapać. Lubiałam zmienne kolory grupek na szkolnym dziedzińcu, ale nie potrafiłam odróżnić jednego ucznia od drugiego. Byli zbyt młodzi i nieuszkodzeni, zbyt pewni siebie. Ból był dla nich krajem, o którym słyszeli, może oglądali o nim program w telewizji, ale nie mieli jeszcze jego pieczętki w paszporcie. Gdzie mogę znaleźć miejsce, w którym ich świat łączy się z moim?

Wkrótce się ujawniło, jaką funkcję miałam pełnić w turkusowym domu: opiekunka do dzieci, pomywaczka, praczka, kosmetyczka. To ostatnie napełniało mnie największym przerażeniem. Marvel siedziała w łazience jak ropucha pod kamieniem i wołała mnie tak samo, jak Justin wołał ją, nieprzejednanie. Próbowałam uciec, myśląc o orkiestrach gamelan, o stworzeniach w kałużach

115wody nad rzeką, nawet o kształcie granatowo-zielonych zasłon, zauważyłam, że paski, w jednych miejscach ciągle, w innych przerywane, decydują o formie zasłon. Myślałam o tym, że kryje się w tym jakiś sens, ale ona ciągle mnie wołała.

— Astrid! Do licha ciężkiego, gdzie się podziała ta dziewczyna? Nie było sensu udawać, wołała do czasu, gdy przyszłam,

kuśtykając przesadnie jak służąca w horrorze.

Twarz miała czerwoną, kiedy przyszłam, oparła dłonie na szerokich biodrach. — Gdzie byłaś, do cholery?

Nigdy nie odpowiadałam, tylko odkręcałam wodę, sprawdzając temperaturę.

— Nie za gorąca — przypominała mi. — Mam wrażliwą skórę. Przyjęłam system, żeby woda sprawiała dla mnie wrażenie

trochę za zimnej, ponieważ percodan, który brałam na okrągło, odbierał mi poczucie temperatury. Marvel uklękła na dywaniku i wsunęła głowę pod kran. Umyłam jej włosy, sztywne od brudu i lakieru. Zaczynały jej już ciemnieć, trzeba było pofarbować odrosty. Wybrała odcień blond, który na opakowaniu wyglądał na delikatny maślanozłoty, ale na niej bardziej przypominał potargany żółty celofan, który wyścielał wielkanocne koszyczki dla dzieci.

Wtarłam odżywkę, która pachniała zjełczałym tłuszczem, spłukałam i posadziłam Marvel na stolku, który przy wlokła z kuchni. Przykryłam zlew gazetą i zaczęłam ją

czesać. Przypominało to czesanie splątanego spaghetti. Jedno mocniejsze szarpnięcie, a wszystkie wyjdą. Czesalam od dołu do góry, myśląc o tym, jak kiedyś szcztokowałam wieczorami włosy mojej matce. Błyszczały jak szkło.

Marvel bez przerwy gadała o znajomych, klientach kupujących kosmetyki Mary Kay, o tym, co jakaś kobieta widziała w programie Oprah — Marvel nie oglądała Oprah tylko Sally Jessy, bo Oprah była tłustą czarnuchą i nie zasługiwała na to, żeby szorować u Marvel podłogi, chociaż zarabiała dziesięć milionów rocznie, bla, bla, bla. Udawałam, że Marvel mówi po węgiersku i nie rozumiem ani słowa, kiedy nakładałam rękawiczki i mieszałam zawartość dwóch butelek. Mała łazienka bez okna szybko wypełniła się zapachem amoniaku,

116ale Marvel nie pozwoliła mi otworzyć drzwi. Nie chciała, żeby Ed wiedział, że farbuje sobie włosy.

Rozdzieliłam pasemka jej włosów, polałam odrosty farbą rozjaśniającą, nastawiłam minutnik. Gdybym zostawiła jej tę miksturę na głowie zbyt długo, wyżarłaby jej w skórze wielkie, krwawe rany i wszystkie włosy by jej wypadły. Pomyślałam, że to mogłoby być ciekawe, ale wiedziałam, że są gorsze miejsca niż u Turlocków. Przynajmniej Marvel nie piła, a Ed był nieatrakcyjny i prawie mnie nie zauważał. Nie mogłam tam zrobić większych spustoszeń.

— To jest dla ciebie dobra praktyka—powiedziała Marvel, gdy czekałyśmy ostatnie pięć minut, żeby pofarbować końcówki. — Powinnaś iść do szkoły kosmetyczek. To jest dobry zawód dla kobiety.

Marvel Turlock miała co do mnie wielkie plany. Zajmie się moją karierą życiową. Wolałabym wypić wybielacz. Spłukałam farbę, pochylając się nad nią jak skała. Pokazała mi stronę czasopisma z fryzurami, diagram układania był równie skomplikowany jak schemat elektryczny. Fryzura nazywała się „kosmopolityczna”. Po bokach podniesione do góry, z tyłu i nad czołem loczki jak u Barbary Stan wyk w *OtoJohnDoe*. Pomyślałam o Michaelu, że ciarki by go przeszły. Uwielbiał Stanwyk. Ciekawe, jak mu poszła szkocka sztuka, pomyślałam. Ciekawe, czy zdarza mu się o mnie myśleć. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest, Michaelu.

Różowy, lepki utrwalacz dodatkowo wzmógł panujący w łazience zaduch, gdy nawijałam pasemka włosów na lokówki. Robiło mi się słabo. Kiedy skończyłam

nawijanie, nałożyłam jej chustkę na różowe lokówki i nareszcie wolno mi było otworzyć drzwi łazienki. Czułam się, jakbym przez godzinę nie oddychała. Marvel poszła do salonu. — Ed? — usłyszałam, jak woła.

Telewizor był włączony, ale Ed wymknął się do baru Good Knight, gdzie pił piwo i oglądał mecz na płatnym kanale.

— A niech go — powiedziała bez goryczy. Przełączyła na program o siostrach w średnim wieku i usiadła na kanapie z kubkiem lodów.

117 Droga Astrid!

Nie mów mi, jak bardzo nienawidzisz swojego nowego zastępczego domu. Jeśli Cię nie biją, powinnaś uważać, że miałaś szczęście. Człowiek jest skazany na samotność. Pielęgnuj ją. Draży w Tobie tunele, co daje duszy przestrzeń rozwoju. Nie spodziewaj się, że kiedykolwiek wyrośniesz z samotności. Nie miej nadziei, że znajdziesz ludzi, którzy Cię rozumieją, że znajdziesz kogoś, kto wypełni tę przestrzeń. Inteligentna, wrażliwa osoba należy do wyjątków, bardzo rzadkich wyjątków. Jeżeli się spodziewasz, że znajdziesz ludzi, którzy Cię rozumieją, rozczarowanie wzniesi w Tobie mordercze zapędy. Najwięcej, na co możesz liczyć, to że zrozumiesz sama siebie, będziesz wiedziała, czego chcesz, i nie pozwolisz, żeby bydlę stanęło Ci na drodze.

Twoja mateczka

Nie przyszło mi do głowy, że najgorsze jeszcze przede mną, do momentu gdy skończyła mi się recepta. Nie wiedziałam, że wszystko będzie drzeć jak papier ścierny i ranić jak tłuczone szkło. Przeziębłam się od klimatyzacji, która za dobrze działała na mojej małej zabudowanej werandzie. Potrafiłam myśleć tylko o tym Jaka jestem samotna. Moja samotność miała smak jednocentówek. Pomyślałam

o tym, żeby umrzeć. Jakiś chłopak w szpitalu powiedział mi, że najlepszy sposób to bańka powietrza w żyłach. Miał raka kości

1 ukradł strzykawkę, którą trzymał w komiksie z Archiem. Powiedział, że jeśli zrobi się nie do wytrzymania, to wstrzyknie sobie trochę powietrza i w kilka sekund będzie po wszystkim. Gdyby nie listy mojej matki, coś bym wymyśliła. Czytałam je wielokrotnie, aż zrobiły się miękkie i rozlatywały się na zgięciach.

Wróciła bezsenność. Kiedy nie mogłam spać, wychodziłam na tylne podwórze,

gdzie świerszcze śpiewały duety, a asfalt był ciepły jak zwierzę pod moimi bosymi stopami. Wysypane białym żwirem rabaty kwiatowe lśniły w świetle księżyca, jałowe prostokąty cętko wane były w regularnych odstępach plastikowymi

118daliami. Raz posłałam mojej matce malunek domu tonącego w morzu asfaltu z brzegami z białego żwiru, a ona przysłała mi wiersz o małym Achillesie, którego matka zanurzyła w czarnej wodzie, aby uczynić go nieśmiertelnym. Nie poprawił mi nastroju.

Siedziałam na stole ogrodowym z drzewa sekwoi i słuchałam muzyki, która sączyła się przez żaluzje z sąsiedniego domu. Żaluzje zawsze były zamknięte, ale jazzowa muzyka na saksofonie przedostawała się między drewnianymi listewkami, muzyka osobista jak dotyk. Pociągnęłam palcami po zrobionym ze stali węglowej ciemnym ostrzu noża mojej matki, wyobraziłam sobie, że za jego pomocą otwieram żyły w nadgarstkach. Słyszałam, że jeśli się to zrobi w wannie, to nic się nie czuje. Nie wahałabym się, gdyby nie moja matka. Ale szale wagi niebezpiecznie chybo-tały, wszystko po jednej stronie z wyjątkiem listów mojej matki, lekkich jak dobranoc, ręka dotykająca moich włosów.

Bawiłam się nożem, rozpostarłam dłoń na blacie i dźgałam ostrzem między palcami. Kiedy trafiałam w palce, było to równie przyjemne.

Droga Astrid!

Wiem, że uczysz się znosić cierpienie. Nic się nie da zrobić. Pamiętaj tylko, żeby nic się nie zmarnowało. Rób notatki. Zapamiętuj każdą zniewagę, każde rozdarcie. Wyta-tuuj to sobie na duszy. W życiu niezbędna jest wiedza o truciznach. Mówiłam Ci, nikt nie zostaje artystą, jeśli nie musi.

Mama

Bez percodanu zaczęłam rozumieć, dlaczego matki porzucają dzieci, zostawiają je w supermarketach i na placach zabaw. Nie miałam wyobrażenia o tym skamleniu, ustawiczności tych drobnych żądań, nie kończącej się czujności. Mówiłam Marvel, że mam wypracowania do napisania i przesiadywałam po lekcjach w bibliotece, przerabiając lektury z list, które przysyłała mi matka. Przy tym samym stole siedzieli starsi panowie czytający

119gazety na kijach i katolickie uczennice, które chowały czasopisma dla nastolatek w podręcznikach do historii.

Czytałam wszystko — Colette, Françoise Sagan, *Spy in the House of Love* Anais Nin, *Portret artysty z czasów młodości*. Przeczytałam *Księżyc i sześciopensówkę* o Gauguinie i opowiadania Czechowa, które polecił mi Michael. Millera nie mieli, ale był Kerouac. Przeczytałam *Lolite*, ale ten mężczyzna w niczym nie przypominał Raya. Wędrowałam pośród półek, wodziłam dłonią po grzbietach książek, przypominały mi erudytów na wspaniałym przyjęciu, szepczących do siebie.

Pewnego dnia wyskoczył na mnie tytuł z półki z książkami przygodowymi. Zabrałam ją do stołu, otworzyłam miękkie stronicę w kolorze kości słoniowej, nie zwracając uwagi na ponure spojrzenia dziewcząt w białych koszulach i bluzach w kratkę, zanurzyłam się w niej jak w stawie podczas suszy.

Książka miała tytuł *Sztuka przetrwania*.

Każda religia potrzebuje swojej biblii i ja znalazłam swoją w samą porę. Przeczytałam ją w osiemnaście godzin, a potem zaczęłam od nowa. Dowiedziałam się, jak utrzymać się przy życiu przez długie tygodnie na otwartym morzu po zatonięciu białego liniowca. Po katastrofie morskiej możesz łapać ryby, wyciskać z nich sok do picia. Ścierasz gąbką poranną rosę z gumowanego pokładu. Jeśli dryfujesz na żagłowie, łapiesz deszczówkę w brezent. Ale jeśli żagle są brudne, a pokład powleczony skorupą soli, napisali w książce, to woda nie nadaje się do niczego. Musisz utrzymywać pokład w czystości i płukać żagle, musisz być w każdej chwili gotowa.

Spojrzałam na swoje życie i zobaczyłam, że nie stosuję się do technik przetrwania w turkusowym domu. Pozwoliłam, by żagle obrosły solą. Należało skończyć z zabawą w stukanie nożem między palcami i skupić się na przygotowaniu łodzi do deszczu, przygotowaniu się na nadejście ratunku. Postanowiłam chodzić codziennie na spacer, nie przesadzać już więcej z kuśtykaniem, odstawić laskę do kąta. Postanowiłam wziąć się w garść.

120 Siedziałam w autobusie wiozącym nas ze szkoły, głowa mnie bolała od hałaśliwego śmiechu innych dzieci, i powtarzałam w myślach ponure sposoby przetrwania po katastrofie morskiej. Trzeba zrobić haczyki z dowolnego giętkiego metalu, jako przynętę założyć kawałki ryb albo martwych współtowarzyszy podróży, a nawet pasek własnego ciała, jeśli zajdzie taka konieczność. Zmusiłam się do wyobrażenia sobie tego, biorę ostrą blachę puszki po konserwie i przebijam sobie biodro. Tak bardzo

bolało, że prawie straciłam przytomność, ale wiedziałam, że muszę dokończyć to zadanie, nie było sensu mdleć, rana się zagoi i trzeba to będzie robić od nowa. Wytrzymałam więc, aż miałam w ręce żółtego robaka, ciepłego i krwistego od spodu. Nawlekłam go na zaostrzoną bl aszkę z puszkii i zarzuciłam do morza na własnoręcznie uplecionym sznurku.

Najgorsza jest panika. Kiedy panikujesz, nie dostrzegasz możliwości, jakie się otwierają. Potem przychodzi rozpacz. Pewien człowiek z Japonii dryfował w łodzi przez cztery dni, a potem spanikował i się powiesił. Znalaziono go dwadzieścia minut później. Marynarz z Syczuanu dryfował na tratwie ratunkowej przez sto szesnaście dni, zanim go znaleziono. Nigdy nie wiadomo, kiedy może przyjść ratunek.

Miałam okropne życie — wstyd, długie przejazdy autobusem, smród oleju napędowego, nie dać się pobić w Madison Junior High, sweter Justina i wysypka Caitlin — ale ludzie doświadczali znacznie gorszych rzeczy i przeżyli. Tym, co zabija, jest rozpacz. Musiałam się przygotować, tulić w dłoniach nadzieję jak płomień ostatniej zapalki w długą arktyczną noc.

Kiedy nie mogłam zasnąć, siadałam na stole piknikowym na podwórzu za domem, słuchałam muzyki jazzowej płynącej z domu sąsiadki i wyobrażałam sobie moją matkę, która nie spała w swojej celi tak samo jak ja. Czy chciałabym ją mieć przy sobie, gdyby mój samolot rozbił się w Papui-Nowej Gwinei albo w brazylijskim Para? Wlokłybyśmy się przez stumilowy labirynt puszczy mangrowej, pokryte pijawkami jak afrykańska królowa, może nawet trafione długą włócznią tubylca. Moja matka nie

121spanikowałyby, nie wyrwałyby włóczni i nie wykrwawiła się na śmierć. Wiedziałam, że potrafiłaby zrobić, co należy, położyć na ranę robaki, wyczyścić ją i po pięciu czy siedmiu dniach wyciągnąć włócznię. Napisałaby nawet o tym wiersz.

Ale zobaczyłam ją też, jak popełnia straszliwy błąd, źle ocenia sytuację. Wyobraziłam sobie, że dryfujemy przez dziesięć dni na tratwie ratunkowej poza szlakami żeglugowymi, wyciskamy sok z ryb, ścieramy każdą poranną kroplę wody z czystego pokładu, lecz nagle ona uznaje, że woda morska mimo wszystko nadaje się do picia. Zobaczyłam ją, jak pływa między rekinami.

— Astrid, chodź mi pomóc — zawołała Marvel. Wyszła z kuchni na tylne stopnie, gdzie siedziałam, pilnując dzieci, i przekreśliła głowę, żeby zobaczyć obrazek, pięciu

spalonych słońcem Francuzów, którzy próbowali przejść za dnia przez nieckę rzeki Qaza w Egipcie. — Wciąż czytasz tę książkę? Powinnaś się zastanowić nad wojskiem, skoro lubisz tego rodzaju rzeczy. Armia dba o swoich żołnierzy. Teraz przyjmują kobiety. Poradziłabyś sobie. Jesteś pracowita, mało się odzywasz. Chodź, pomożesz mi przynieść zakupy z samochodu.

Poszłam z nią rozładować puszki z zupą i butelki z zimnymi napojami, ser w plasterkach i duże porcje schabu wieprzowego, przez całe życie bym tyle nie zjadła. Armia, pomyślałam. Jak ona mało mnie zna. Doceniałam jej zainteresowanie, zaczęłam wierzyć, że ona naprawdę chce, abym znalazła sobie jakąś dobrą, przyzwoicie płatną pracę. Wolałabym jednak mieszkać sama na pustyni, jak dawny poszukiwacz złota. Potrzeba mi było tylko małego źródła. Po co skazywać się na taką samotność wśród ludzi? Jeśli ktoś jest sam, to przynajmniej ma rozsądny powód, żeby czuć się samotny.

Albo jeszcze lepiej, pomyślałam, wkładając torebki z chińskimi przyprawami i kakao w proszku do szuflad, chata w lesie, zimą śnieg, wokół wyszczerbione góry, bez dojazdu, trzeba chodzić pieszo. Sama rąbałabym sobie drewno, miałabym kilka psów, może konia, jakoś bym przetransportowała jedzenie w beczkach i mieszkała tam przez wiele lat. Miałabym krowę, posadziłabym

122warzywa w ogródku, sezon hodowlany byłby krótki, ale zebrałabym tyle, żeby wystarczyło.

Moja matka nie znosiła mieszkać na wsi, nie mogła się doczekać powrotu do miasta. Kiedy była ze mną, w mieście mi się podobało, w czwartki można było za darmo wejść do muzeum w centrum, w niedziele koncerty, wieczory autorskie, jej znajomi grali w teatrze, malowali albo odlewali w gipsie swoje narządy intymne. Ale teraz jaki był sens? Nie byłam w muzeum, odkąd ją aresztowali. Tego właśnie dnia rano widziałam w gazecie artykuł na temat wystawy Georgii o'Keefe w okręgowym muzeum sztuki. Spytałam Marvel, czy mnie na nią zabierze.

— I co jeszcze, księżno Diano? — odparła Marvel. — A potem może do opery, co? Zmień Caitlin pieluchę, dobrze? Ja muszę się odlać.

Zadzwoiłam do firmy autobusowej, powiedzieli mi, że dojazd zajmie trzy godziny w każdą stronę. Uświadomiłam sobie, jak daleko się znalazłam od punktu wyjścia.

Jeżeli komuś zepsuje się na pustyni samochód, musi działać błyskawicznie. Na

Mojave temperatura dochodzi do sześćdziesięciu stopni w cieniu. W ciągu godziny można wypocić półtora litra. Ludzie wariują z pragnienia. Tańczą, śpiewają, potem obejmują kaktusy, biorąc je za coś zupełnie innego. Za kochankę, matkę, Chrystusa. Potem uciekają krwawiący i umierają. Aby przeżyć na pustyni, trzeba pić li tr wody dziennie. Nie ma sensu racjonować — wszystkie te filmy kłamią. Kto pije mniej, ten popełnia powolne samobójstwo.

Zastanawiałam się nad tym, kiedy zanosilaam do łazienki wielkie pudło jednorazowych pieluch i papier toaletowy. To ważna rzecz, aby nie ustawać w nadziei, ale trzeba dbać o siebie w tej chwili, bo inaczej nie przeżyjesz. Zdejmujesz kołpaki, żeby złapać poranną rosę, pijesz wodę z chłodnicy i zakopujesz się po szyję w piasku. Potem wyruszasz o zmierzchu, wracasz po własnych śladach. Nad głową masz niebo pełne gwiazd. Potrzebujesz latarki, kompasu; dobrze, jeśli patrzyłeś, którędy jedziesz, jeszcze zanim miałeś awarię.

Davey wiedział to wszystko. Nagle ogarnęła mnie pewność, że on również przeżyje.

123W późnym zmierzchu coraz dłuższego dnia zaczęłam przygotowywać kolację, myśląc o pustyni, wyobrażałam sobie, że jestem zakopana po szyję, kiedy usłyszałam mechaniczne mruczenie corvette sąsiadki, która podjeżdżała pod dom. Podniosłam wzrok akurat na czas, żeby ją zobaczyć: frapująca Murzynka w białym płóciennym kostiumie. Widziałam ją tylko kilka razy, gdy brała gazety albo wychodziła wieczorem w jedwabiach i perłach. Nigdy z nami nie rozmawiała ani z nikim w sąsiedztwie.

Marvel też usłyszała samochód i przerwała przygotowywanie butelki dla Caitlin, żeby spojrzeć mi przez ramię. — Ta cholerna kurwa. Uważa się za księżną Windsoru. Rzygać mi się chce na jej widok. — Patrzyłyśmy, jak sąsiadka wyjmuje ze swego sportowego samochodu dwie niewielkie torby z żywnością.

— Mama, soku — zakwiliło dziecko, szarpiąc Marvel za podkoszulek.

Marvel wyrwała dziecku podkoszulek z rąk. — Żeby cię nigdy nie przyłapała, jak z nią rozmawiasz — powiedziała do mnie. — Chryste, pamiętam czasy, kiedy to była dobra dzielnica. Teraz sami Murzyni i kurwy, żółtki i wieśniaki, którzy trzymają kury. Co nas jeszcze czeka, ja się pytam?

Martwiło mnie, że Marvel opowiada mi te wszystkie rzeczy, tak jakbym z nią

sympatyzowała, jakbyśmy należały do jakiegoś tajnego stowarzyszenia aryjskiego. — Przygotuję sok — powiedziałam. Nie chciałam nawet stać koło niej.

Wyciskając sok, obserwowałam sąsiadkę, która zatrzymała się, żeby wziąć z ganku gazety i wsunąć je do torby z zakupami. Na nogach miała białe adidas z czarnymi czubkami, podobne do sarnich kopyt.

Potem zniknęła we wnętrzu domu z drewnianymi żaluzjami. Smutno mi się zrobiło na ten widok, ale w sumie dobrze, że przestała być w polu rażenia Marvel, która pluła na nią cuchnącym jadem. Ciekawe, czy kobieta w płóciennym kostiumie uważa, że wszyscy jesteśmy tacy jak Marvel, ja też. Wzdrygnęłam się na myśl, że zapewne tak uważa.

Marvel wzięła sok, wlała go do butelki i podała Caitlin, która poszła sobie, trzymając pod pachą swoją ulubioną aksamitną poduszkę z napisem „Guam”.

— Rozbija się tym samochodem — pomstowała Marvel. — Świeci nim w oczy porządnym ludziom. Jakbyśmy nie wiedzieli, w jaki sposób na niego zarobiła. Rozkraczając uda, oto w jaki sposób.

Samochód błyszczał jak ciało mężczyzny, miękkie, umięśnione, zwinne. Miałam ochotę położyć się na masce, pomyślałam, że chyba mogłabym dostać orgazmu od samego leżenia na nim. Spojrzałam przez wiatę na drzwi, przez które weszła do środka, żałowałam, że mam robotę i nie mogę po prostu stać cały wieczór i czekać, czy znowu wyjdzie.

Kiedy naczynia były pomyte, a dzieci położone do łóżka, wyszłam bocznymi drzwiami i stanęłam obok rzębu, który skapywał purpurowymi kwiatami przez ogrodzenie na asfalt za domem Marvel i nasycił swoim aromatem ciepłą noc. Na zewnątrz sączyła się muzyka, śpiewaczka, z początku myślałam, że jest pijana, ale potem zorientowałam się, że to nie to, obchodziła się ze słowami na swój własny sposób, bawiła się nimi w ustach jak wiśniami w czekoladzie.

Nie wiem, jak długo stałam w ciemnościach i kołysałam się w takt muzyki, głosu kobiety, który był jak róg. Wydawało się niemożliwe, że tak wytworna kobieta mieszka obok domu Turlo-cków, z ich pięćdziesięciocalowym telewizorem. Chciałam pod-kraść

się pod jej okna, zajrzeć przez szparę między szerokimi listewkami i zobaczyć, co ona tam robi. Nie miałam jednak odwagi. Podniosłam z ziemi kilka kwiatów jej rzębu i przycisnęłam do twarzy.

Następnego dnia wysiadłam z autobusu w upale godziny czwartej po południu i ostatnią milę do domu przeszłam na piechotę. Laska nie była mi już potrzebna, ale przy dłuższym marszu wciąż bolało mnie biodro i zaczynałam znowu utykać. Czułam się brudna i niezdarna, kiedy człapałam wzdłuż naszej ulicy, biała koszula z taniego sklepu drapała mnie w skórę.

W cieniu przed domem obok nasza wytworna sąsiadka przy-

125cinała kwiaty baldasznika afrykańskiego, tego samego koloru co kwiaty rzębu. Była boso, w prostej sukience, stopy i dłonie odcinały się bladoróżowo od skóry w odcieniu palonych karmelków. Wyglądały dekoracyjnie, jakby zanurzyła je sobie w różowym pudrze. Nie uśmiechnęła się. Była całkowicie pochłonięta pracą sekatorem, ucinała lodygę rozmarynu, lodygę mięty w na-krapianym cieniem świetle. Kwiat rzębu przyczepił jej się do czarnych włosów, które miała związane w niestaranny *chignon*. Strasznie mi się podobał ten zabłąkany kwiat.

Czułam się zażenowana, zawstydzona swym utykaniem i brzydkim ubraniem. Miałam nadzieję, że mnie nie zauważy, że dojdę do domu, zanim podniesie wzrok. Lecz kiedy dotarłam do naszego ogrodzenia z siatki drucianej i asfaltu, a ona wciąż nie spojrzała w moją stronę, byłam rozczarowana. Chciałam, żeby mnie zobaczyła, wtedy mogłabym jej powiedzieć, nie jestem taka jak oni. Rozmawiaj ze mną. Podnieś wzrok, pomyślałam.

Nie zrobiła tego jednak, tylko urwała gałązkę smagliczki, żeby powąchać nektar. Odkrajałam kawałek swego serca i zarzuciłam go do jej ogrodu na haczyku własnej roboty.

— Podoba mi się pani ogród! — zawołałam.

Podniosła wzrok zaskoczona, jakby wiedziała, że tam jestem, ale się nie spodziewała, że do niej zagadam. Oczy miała duże i w kształcie migdałów, koloru piwa korzennego. Na lewym policzku miała cienką bliznę, a na szczupłym przegubie złoty zegarek. Odgarnęła z twarzy pasmo kręconych na lokówce włosów i rzuciła mi szybki uśmiech, który równie szybko zgasł. Odwróciła się z powrotem do swych lili.

— Lepiej, żeby nie widziała, że ze mną rozmawiasz, bo wypali mi krzyż na trawniku.

— Pani nie ma trawnika.

Uśmiechnęła się, ale już na mnie nie spojrzała.

— Mam na imię Astrid.

— Wejdz do domu, Astrid.

12611

Nazywała się Olivia Johnstone. Tak było napisane na czasopismach i katalogach, które leżały na jej wycieraczce. Brała „Conde Nast Traveler” i francuskie „Vogue”, grube jak książka telefoniczna. Pilnowałam teraz dzieci na podwórzu przed domem, żeby nie uronić z tego, jak ona wychodzi z domu w okularach a la Jackie Onassis, wraca z zakupów, przycina swoje zioła. Prawie codziennie dostawała paczki, przystojny doręczyciel długo stał w drzwiach. Ciekawe, czy się w niej kocha, myślałam. Jego nogi w brązowych mundurowych szortach wyglądały jak pnie drzewa.

Wieczorem patrzyłam z okna kuchni i odnotowywałam, kto ją odwiedza. Zawsze mężczyźni. Murzyn, którego białe mankiety odcinały się od ciemnej skóry, a złote spinki lśniły, przyjeżdżał czarnym BMW koło wpół do ósmej i zawsze znikał przed północą. Młody człowiek z rastafariańskimi włosami i wbirkenstocks* przyjeżdżał porsche. Czasami wciąż był u niej, kiedy wstawałam rano. Przez tydzień codziennie przyjeżdżał monstrualnym mercedesem zwalisty, łysiejący biały mężczyzna w pasiastych koszulach i dwurzędowych garniturach z wielkimi wyłogami.

Zwróciłam uwagę zwłaszcza na to Jak im było do niej spieszno, jacy byli podnieceni. Ciekawe, co ona takiego robi, że tak do niej pędzą, pomyślałam. Ciekawe, którego najbardziej lubi. Pomyślałam, że ona musi wiedzieć wszystko o mężczyznach, że świeci dla nich jak latarnia morska.

Ani przez chwilę nie dopuszczałam do siebie myśli, że Marvel ma rację w jakiegokolwiek sprawie, już nie mówiąc o Olivii Johnstone. Żyłam po to, żeby ją zobaczyć, jak wynosi śmieci albo wysiada z samochodu w szarym świetle świtu, kiedy ja robię sobie śniadanie. Na moim pokładzie zbierało się akurat tyle rosy, abym przetrwała kolejny dzień.

* Birkenstocks – drogie sandały dla bogatych ludzi stylizujących się na hipisów.

127 Podnosiłam gałązki jej rozmarynu i wkładałam sobie do kieszeni. Grzebałam w jej śmieciach, kiedy wiedziałam, że nie ma jej w domu, spragniona tego, by dowiedzieć się więcej, spragniona dotyku rzeczy, których ona dotykała. Znalazłam szylkretowy grzebień produkcji Kent of London, jak nowy, jeśli pominąć fakt, że jeden z grubych zębów był wyłamany. Znalazłam mydelniczkę, drzewko szczęścia i Evelyn's Elderflower. Piła rum Myer's, używała oliwy z oliwek extra virgine w wysokiej butelce. Jeden z jej chłopaków palił cygara. Znalazłam nieprawdopodobnie miękką pończochę, taką do podwiązek, brązowoszarą z puszczonejmi oczkami, i pusty flakonik perfum Ma Griffe z czarnymi kreskami na białej etykietce. Miały zapach szemrzących czarnych sukien z organdy, cętkowanych zielonych orchidei i Bois de Boulogne po deszczu, gdzie moja matka i ja spacerowałyśmy kiedyś godzinami. Byłam zachwycona, że Paryż łączy mnie z Olivia Johnstone. Schowałam flakonik do szuflady, żeby naperfumować swoje ubrania.

Pewnego dnia gazety i czasopisma leżały na wycieracze Ol i vi i Johnstone nieruszone. Corvette stała ponuro pod brązowym płóciennym pokrowcem posypanym kwiatami rzębu, jakby na pamiątkę czegoś utraconego. Na sam widok wyrzuconej na mieliznę corvette pożałowałam, że nie zostało mi już ani trochę percodanu. Zadowoliliłam się resztkami kodeinowego syropu przeciwkaszlowego, który Marvel trzymała w apteczce. Długo miałam w ustach ulepkowaty smak, kiedy siedziałam na kordonkowej narzucie i czesałam włosy grzebieniem Olivii. Jej perfekcjonizm budził we mnie nabożny lęk. Kobieta, która wyrzuca ręcznej roboty szylkretowy grzebień tylko dlatego, że brakuje jednego zęba. Ciekawe, pomyślałam, czy rzeczywiście kocha się z mężczyznami za pieniądze? Jak to jest? prostytutka. Kurwa. A właściwie co te słowa znaczą? To tylko słowa. Moja matka byłaby wściekła, gdyby to usłyszała, ale taka jest prawda. Słowa powiewające transparentami osądu moralnego. Żona bierze pieniądze od męża i nikt nie mówi. Więc co z tego, że mężczyźni Olivii dają jej pieniądze?

Czesałam włosy i ułożyłam je w *chignon*, wyobrażając sobie,

128 że jestem Olivia. Spacerowałam po swoim małym pokoju, naśladowując jej sposób chodzenia, biodra do przodu jak modelka na wybiegu. Co to za różnica, że jest „kurwą”? Brzmiało to jak brzuchomówstwo. Zresztą nienawidziłam wszelkich etykietek. Ludzie nie pasują do przegródek—prostytutka, gospodyni domowa, święta, jak

sortowanie poczty. Jesteśmy takie niestałe, płynne lękiem i pożądaniem, ideałami i punktami widzenia, zmienne jak woda. Włożyłam na nogę jej pończochę, wdychając zapach Ma Griffe.

Wyobraziłam sobie, że pojechała do Paryża, że siedzi w kawiarni, pije zamglonego pernoda z wodą, z chustką przywiązaną do torebki jak kobiety w jej francuskim „Vogue”. Wyobraziłam sobie, że jest tam z mężczyzną jeżdżącym BMW, tym małym z złotymi spinkami do mankietów, który lubił jazz. Często sobie ich wyobrażałam, że tańczą po staroświecku w jej pokoju, ledwo poruszając stopami, on opiera policzek o jej falujące włosy. Tak wyobrażałam ją sobie w Paryżu. Przesiaduje do późna w klubie jazzowym, który znają tylko paryscy Murzyni, w piwnicy na Rive Gauche, tańczy. Widziałam szampana i to, jak zamykają im się oczy, nie myślą o niczym, tylko wciąż o tym samym.

Siedziałam po szkole w słońcu, które odbijało się nieludzko od asfaltu, odrabiałam zadanie i słuchałam, jak Justin i Caitlin pluskają się w nadmuchiwanym basenie, wrzeszczą, wyklócają się o zabawki. Czekałam, wymyślałam strategię, wystawiałam kołpaki. Dwadzieścia pięć po czwartej doręczyciel zatrzymał się przed drzwiami Olivii i zaczął wypisywać awizo.

Podeszłam do ogrodzenia z siatki. — Proszę pana — zawołałam. — Olivia powiedziała, że może pan zostawić paczkę mnie. — Uśmiechnęłam się, próbując stworzyć wrażenie sąsiedzkiego zaufania. W końcu mieszkałam obok. — Powiedziała mi, że spodziewa się czegoś.

Podszedł do mnie z wykazem i podpisałam się. Przesyłka była niewielkim pudełkiem podpisanym „Williams-Sonoma”. Zastanawiałam się, co jest w środku, lecz ciekawość nie miała szans w rywalizacji z moim pragnieniem, by się zaprzyjaźnić z Olivia
129Johnstone, by któregoś dnia wejść do domu z drewnianymi okiennicami.

W dniu jej powrotu zmyśliłam historię o zadaniu domowym, które musiałam jakoby zrobić razem z mieszkającą w okolicy koleżanką szkolną. Byłam kiepska w kłamaniu. Moja matka zawsze twierdziła, że nie mam wyobraźni. Ale Marvel pozwoliła mi wyjść na godzinę.

— Potrzebuję cię o piątej, wydaję przyjęcie. — Sprzedawała kosmetyki Mary Kay i chociaż nie zarabiała na tym wielkich pieniędzy, poczuła się ważna.

Wyjęłam paczkę z worka na brudne ubrania, w którym ją schowałam, i poszłam do Olivii. Zadzwoiłam do drzwi.

Prawie natychmiast jej kształt pojawił się za rombami pęche-rzykowatego szkła, takimi samymi jak nasze, tyle że wstawki były żółte, a nie turkusowe. Czułam, że patrzy na mnie przez judasza. Staralam się sprawiać wrażenie opanowanej. Sąsiadka wyświadcza sąsiadce przysługę. Drzwi otworzyły się. Olivia miała na sobie długą, drukowaną sukienkę bez pleców, włosy ułożone w niski *chignon*,¹⁶⁾ nagie, cynamonowe ramiona były gładkie jak toczony drewno.

Podalam jej paczkę. — Doręczytel to zostawił. — Jeden ząb grzebienia, jeden ząb. Perfekcjonistka.

Olivia uśmiechnęła się i wzięła ode mnie pudełko. Paznokcie miała krótkie, z białymi końcówkami. Podziękowała mi rozbawionym głosem. Wiedziała, że to tylko podstęp, że chcę wejść do jej życia. Próbowałam obejrzeć dom za jej plecami, ale widziałam tylko lustro i stolik z czerwoną politurą.

Potem powiedziała słowa, o których marzyłam, na które robiłam sobie nadzieje. — Może wejdiesz? Właśnie wyjęłam mrożoną herbatę.

Czy istniało na świecie coś równie wytwornego jak dom Olivii? W salonie złota tapeta podpalana na kolor korkowy, brązowoszara sofa z aksamitnym obiciem, giętym oparciem i po-duszczką w lamparce cętki, fotel z ciemnobrązowej skóry, rzeźbione łóżko z pasiastą bawełnianą narzutą. Na drewnianym

130stole, pod który wsunięte były mniejsze stoliki, stała matowozielona donica z kaskadą orchidei podobnych do motyli. Muzyka jazzowa przydawała pokojowi żwawości, taka, jaką lubił mężczyzna z BMW, skomplikowane pasaże na trąbce pełne męskich tęsknot.

— Co to za muzyka? — spytałam.

— Miles Davis. *Siedem kroków do nieba*. Siedem kroków, pomyślałam, to tak blisko?

Tam, gdzie u nas były suwane szklane drzwi, Olivia miała normalne drewniane, wychodzące na tylne podwórze. Zamiast klimatyzacji pod sufitem obracały się leniwie wiatraki. Gdy uważniej się przyjrzałam, stwierdziłam, że w dużej złożonej klatce dla

ptaków siedzi sztuczna papuga, w maleńkim sombrero i z cygarem w dziobie.

— To jest Charlie — powiedziała Olivia. — Uważaj, może kolnąć dziobem. — Uśmiechnęła się. Górne zęby miała trochę wysunięte do przodu. Rozumiałam, że mężczyźni mogą mieć ochotę się z nią całować.

Siedziałyśmy na aksamitnej sofie i piłyśmy mrożoną herbatę z miodem i miętą. Teraz, kiedy się już tam znalazłam, nie wiedziałam, od czego zacząć. Wystrój domu powalił mnie. Gdziekolwiek spojrzalam, było coś nowego do oglądania. Botaniczne ryciny, przegląd granatów, pędy i owoce passiflory. Na stoliku do kawy leżały sterty grubych książek o sztuce i wzornictwie oraz kolekcja szklanych przycisków do papieru. Było to wszystko niesamowicie piękne, wrażliwość, z jaką nigdzie się nie spotkałam, nieostentacyjny luksus. Czułam pogardliwe spojrzenie mojej matki na zagraconych powierzchniach, lecz miałam już dosyć wystroju składającego się z trzech białych kwiatów w szklanym flaconie. Życie ma znacznie więcej do zaoferowania.

— Mieszkasz tu już od jakiegoś czasu — powiedziała Olivia, strącając wymanikiowanym palcem wodę, która skropiła się na jej szklance. Profil miała odrobinę talerzowaty, czoło wysokie i okrągłe.

— Trzy miesiące. — Kiwnęłam głową w stronę paczki, która leżała nietknięta na stoliku do kawy. — Co pani przysłali?

131Olivia podeszła do małego sekretarzyka i wyjęła z szuflady nóż do papieru. Rozcięła paczkę z boku i wyjęła dwa serca z terakoty.

— Podgrzewa się je i wkłada do koszyka, żeby bułki nie wystygły.

Przeżyłam rozczarowanie. Sądziłam, że to będzie coś tajemnego i seksualnego. Serca do podgrzewania bułek nie pasowały do moich fantazji na temat Olivii Johnstone.

Tym razem usiadła bliżej mnie, położyła ramię na oparciu sofy. Wydawało mi się, że dokładnie wie, jak na mnie działa. Nie mogłam oderwać wzroku od jej skóry, która błyszczała jak polerowana, miała identyczny kolor jak tapeta i pachniała Ma Griffe.

— Gdzie pani była? — spytałam.

— Na wschodnim wybrzeżu. W Nowym Jorku, Waszyngtonie. Znajomy ma tam przedsiębiorstwo.

— Ten od BMW?

Uśmiechnęła się, szczerząc górne zęby. Z bliska miała w sobie coś figlarnego, nie tak doskonała, ale lepsza.

— Nie, nie ten od BMW. Ten od BMW jest mocno żonaty. Tamtego znajomego tutaj nie widzisz.

Bałam się, że będzie mi opowiadała o sercach do podgrzewania bułek, a tymczasem ona rozmawiała ze mną o swoich mężczyznach jak o pogodzie. Zachęcona, zaczęłam się domagać więcej. — Nie martwi się pani, że się spotkają?

Zacisnęła usta, uniosła brwi. — Staram się tego unikać.

Może to jednak prawda. Może faktycznie jest prostytutką. Ale jeśli tak, pomyślałam, to w niczym nie przypomina dziewcząt z Van Nuys Boulevard w obcisłych spodniach i satynowych kurtkach baseballowych. Len, szampan, terakota, botaniczne ry-ciny i *Siedem kroków do nieba* — oto Olivia.

— Czy jest wśród nich taki, którego lubi pani najbardziej? — spytałam.

Zamieszała herbatę długą łyżeczką, dając czas Milesowi Da-visowi, by wniknął w pory naszej skóry.

— Nie, raczej nie. A jak ty, masz chłopaka? Zamierzałam jej powiedzieć, że mam, kogoś starszego, chcia-

132łam, żeby zabrzmiało to bardzo romantycznie, ale skończyło się na tym, że opowiedziałam jej żalną historię mojego życia — Starr i Ray, moja matka, Marvel Turlock. Łatwo się z nią rozmawiało, wszystko w mig rozumiała. Zadawała pytania, słuchała, pilnowała, żeby nie zabrakło muzyki, herbaty i ciasteczek cytrynowych. Czulałam się tak, jakbym się obudziła na tratwie i zobaczyła, że z żaglowca spuszczone mi drabinkę. „Nigdy nie wiadomo, kiedy może nadejść ratunek”.

— Nie zawsze będzie ci tak ciężko, Astrid — powiedziała, odgarniając mi pasemko włosów za ucho. — Piękne dziewczęta mają pewną przewagę.

Chciałam jej uwierzyć. Chciałam wiedzieć to, co wiedziała ona, żebym już się nie bała, żebym uwierzyła, że to wszystko ma swój koniec.

— Na przykład jaką?

Spojrzała na mnie uważnie, analizowała płaszczyzny mojej twarzy, grzywkę, którą sama sobie przycięłam. Mój uparty podbródek, moje pełne, spękane wargi. Staralam się

sprawiać wrażenie, że jestem gotowa. Wzięła mnie za rękę. Dłoń miała delikatniejszą, niż myślałam, nie większą od mojej, ciepłą i zaskakująco suchą, lecz odrobinę szorstką. Splotła swoje palce z moimi, jakbyśmy miały zawsze trzymać się za ręce.

— Ten świat należy do mężczyzn — powiedziała. — Słyszałaś kiedyś o tym?

Skinęłam głową. Świat należy do mężczyzn. Ale co to znaczy? Że mężczyźni gwizdzą, gapią się i wołają do ciebie różne rzeczy, a ty musisz to potulnie znosić, bo inaczej możesz zostać zgwałcona albo pobita. Świat należy do mężczyzn — to oznacza, że są miejsca, do których mogą chodzić mężczyźni, lecz nie kobiety. To oznacza, że mężczyźni mają więcej pieniędzy i w przeciwieństwie do kobiet nie mają dzieci, którymi muszą się zajmować w każdej sekundzie. To oznacza, że kobiety kochają ich bardziej, niż oni kochają kobiety, że mężczyźni mogą chcieć czegoś całym sercem, a potem może im się to znudzić.

To było jednak prawie wszystko, co wiedziałam na temat

133świata należącego do mężczyzn. Tego miejsca, w którym mężczyźni noszą garnitury, zegarki i spinki do mankietów, chodzą do biurowców, jeżdżą w restauracjach, jeżdżą ulicami, rozmawiając przez telefony komórkowe. Widywałam ich, lecz ich życie było dla mnie równie niezrozumiałe jak życie tybetańskich Szer-pów albo wodzów znad Amazonki.

Olivia odwróciła moją wilgotną dłoń, przeciągnęła po niej opuszkami swoich suchych palców, posyłając prąd elektryczny w górę mojego ramienia.

— Kto ma pieniądze? — spytała łagodnym tonem. — Kto ma władzę? Jesteś inteligentna, masz artystyczną duszę, jesteś bardzo wrażliwa, widzisz? — Pokazała mi linie mojej dłoni, jej palce były jak ziarniste płótno głaszczące moją skórę. — Nie walcz ze światem. Twój przyjaciel stolarz, on nie walczył ze światem, prawda? Kochał się z nim, a to, co tworzył, było piękne.

Zastanowiłam się nad tym. Moja matka walczyła z drewnem, waliła w nie siekierą, próbowała wbić na miejsce młotkiem. Niewalczenie ze światem uważała za przejaw tchórzostwa.

— Co jeszcze pani widzi? — spytałam.

Olivia zgięła mi palce do środka, zawijając z powrotem mój los i oddając go mi.

Gładziłam ślad po oparzeniu na środkowym palcu i myślałam o tym, czy należy brać życie pod włos. Takie kobiety jak moja matka, samotne jak tygrysy, walczą na każdym kroku. Kobiety żyjące z mężczyznami, takie jak Marvel i Starr, starają się ich zadowolić. Wydawało się, że żadna z nich nie ma przewagi nad drugą. Ale Olivii nie chodziło o takich mężczyzn jak Ed Turlock czy nawet Ray. Chodziło jej o mężczyzn z pieniędzmi. O ten świat należący do mężczyzn. Spinki do mankietów i biura.

— Oceniasz, czego mężczyźni chcą, i dajesz im to. Wymyślasz, jak im tego nie dać, nic nie tracąc. — Uśmiechnęła się figlarnie. — Oceniasz, kiedy dać, a kiedy nie.

Mały mosiężny zegar zazgrzytał i wybił piątą, melodia jak z katarynki, dźwięczne dzwonki. Tak wiele ładnych rzeczy, ale robiło się późno; nie chciałam jeszcze iść, chciałam dowiedzieć

134się więcej, chciałam, żeby Olivia ugniotła moją przyszłość jak wosk, zmiękczył ją w ciepłe swych szorstkich dłoni, uformowała ją w coś, czego nie musiałabym się lękać.

— Chodzi pani o seks.

— Niekoniecznie. — Spojrzała na okrągłe lustro nad kominkiem, na sekretarzyk z tajemnymi szufladkami i przegródkami. — Chodzi o magię, Astrid. Musisz umieć sięgnąć i złapać piękno w powietrzu. — Udawała, że łapie robaczka świętojańskiego, a potem otwiera dłonie i patrzy, jak odlatuje. — Ludzie potrzebują trochę czarodziejstwa. Seks jest jego teatrem, z ruchomą scenografią i zapadniami.

Nocne czary. „Nigdy nie pozwól mężczyźnie zostać na noc”. Lecz moja matka grała w swoim teatrze wyłącznie dla własnej przyjemności. To zupełnie inna sprawa. Podnieciło mnie, że to wiem.

— Tajemnica polega na tym, że czarodziej nie kupuje magii. Podziwiał umiejętności innego czarodzieja, lecz nigdy nie daj się zauroczyć. — Wstała i zabrała szklanki. Pomyślałam o tym, jak Barry uwiódł moją mamę: przydymione lustra i ukryte tresowane gołębie. Nie wybrała go, nie podjęła takiej decyzji, lecz dała mu wszystko. Miała już na zawsze należeć do niego, nawet po jego śmierci. Ukształtował jej los.

— A co z miłością? — spytałam.

Ruszyła już w stronę kuchni, lecz zatrzymała się i odwróciła, ze szklankami w

dłoniach. — To znaczy co?

Kiedy Olivia marszczyła brwi, tworzyły się jej między nimi dwie pionowe linie, które wrzynały się w krągłe czoło.

Poczerwieniałam, lecz chciałam wiedzieć. Żebym tylko potrafiła zapytać, nie wywracając się jak długa niczym kłown w za dużych butach. — Nie wierzy pani w miłość?

— Nie wierzę w nią tak, jak ludzie wierzą w Boga czy w Świętego Mikołaja. Bardziej przypomina mi to „National Enquirer”. Wielki tytuł i nudny artykuł.

Poszłam za nią do kuchni, identycznej jak nasza, ale oddalonej o lata świetlne, zlokalizowanej w równoległym wszechświecie.

135Jej garnki i patelnie wisiały nad głową na restauracyjnym wieszaku — garnki miedziane, żelazne. My mieliśmy Corningware z rzucikiem w niebieskie kwiaty. Pociągnęłam dłońmi po blatach z terakoty, inkrustowanych malowaną ceramiką— my mieliśmy cętkowane płytki w kolorze zielonym i białym, które kojarzyły mi się z ostrym przeziębieniem.

— W takim razie w co pani wierzy? — spytałam.

Z przyjemnością przeciągnęła wzrokiem po ciepłej cynamonowej glazurze, pochłaniaczu z kutej miedzi.

— Wierzę w to, żeby żyć tak, jak chcę. Widzę lampę Stick-leya, kaszmirowy sweter i wiem, że mogę go mieć. Oprócz tego domu mam jeszcze dwa. Kiedy zapełnią się popielniczki w samochodzie, sprzedam go.

Roześmiałam się, wyobrażając sobie, jak przywozi go do dealera i tłumaczy, dlaczego sprzedaje. Pewnie gotowa była zrobić coś takiego. Trudno mi było zgłębić kogoś, kto żył tak blisko swoich pragnień.

— Właśnie spędziłam trzy tygodnie w Toskanii. Widziałam palio w Sienie — powiedziała, przebierając palcami po słowach jak po strunach gitary. — To jest piętnastowieczny wyścig konny brukowanymi ulicami. Czy zamieniłabym to na męża, dzieci i żyli razem długo i szczęśliwie? Już nie mówiąc o prawdopodobnym rezultacie tego, czyli rozwodzie, debecie w banku i nędznych alimentach. Coś ci pokażę.

Wzięła z blatu małą pikowaną torebkę, wyjęła z niej portfel i otworzyła go, żeby zobaczyć zwitek banknotów gruby jak mój palec. Rozłożyła banknoty, wśród nich

co najmniej kilkanaście setek.

— Miłość jest iluzją. Snem, z którego się budzisz z potężnym kacem i długim w banku. Wolę gotówkę. — Włożyła banknoty do portfela, a portfel do torebki i zasunęła zamek.

Potem objęła mnie ramieniem i odprowadziła do drzwi. Przez pęcherzykową szybę padało nam na policzki bursztynowe światło. Przytuliła mnie delikatnie. Pachniałam Ma Griffe, na niej ten zapach był cieplejszy.

136— Przyjdź, kiedy tylko zechcesz. Nie znam zbyt wielu kobiet. Chciałabym cię lepiej poznać.

Wyszłam od niej tyłem, aby jak najdłużej na nią patrzeć. Niedobrze mi się robiło na myśl, że mam wrócić do Marvel, obeszałam więc kwartał w koło, czując wokół siebie ramiona Olivii, nos miałam pełen zapachu jej perfum i skóry, w głowie mi się kręciło od tego, co widziałam i słyszałam w tym domu tak podobnym do naszego, a jednak zupełnie innym. Spacerując po dzielnicy, zdałam sobie sprawę, że każdy dom może mieścić w sobie zupełnie inną rzeczywistość. W jednym kwartale mogło być pięćdziesiąt odrębnych światów. Nikt nigdy naprawdę nie wiedział, co się dzieje tuż za płotem.

12

Leżałam na łóżku i zastanawiałam się, jak to będzie, kiedy stanę się kobietą. Do tej pory niewiele o tym myślałam, o możliwych wersjach mojej przyszłości. Byłam zbyt zajęta wyciskaniem soku z ryb, zakopywaniem się w piasku przed morderczymi promieniami słońca. Teraz jednak zaintrygowała mnie ta przyszła Astrid, którą zobaczyła we mnie Olivia. Widziałam się jako ktoś podobny do Catherine Deneuve — blada i stoicka, taka, jaka była w *Piękności dnia*. Albo może Dietrich, *Szanghaj Express*, lśnienie i dym. Czy będę fascynująca, czy będę gwiazdą mojego własnego teatru magicznego? Co bym zrobiła ze zwitkiem banknotów studolarowych?

Wyobraziłam sobie te pieniądze w mojej dłoni — nic, pustka w głowie. Do tej pory moje fantazje skupiały się wyłącznie na przetrwaniu. Luksus przekraczał możliwości mojej wyobraźni, już nie mówiąc o pięknie. Utkwiłam wzrok w pasiastych zasłonach, aż wreszcie paski utworzyły rzeźbiarski kształt. Ray zobaczył to we mnie. Z pomocą Olivii mogę to mieć, stworzyć,

137wykorzystać. Moim tworzywem będzie piękno, tak jak tworzywem artysty jest glina czy słowo.

Będę miała trzech kochanków, postanowiłam. Starszego mężczyznę, dystyngowanego, srebrnowłosego, w szarym garniturze, będzie zabierał mnie ze sobą w podróże, do towarzystwa podczas przelotów pierwszą klasą do Europy i na sztywne bankiety dla przyjezdnych dygnitarzy. Nazwałam go szwedzkim ambasadorem. Tak, mam, z miłą chęcią bym się rozkraczyła dla ojca.

Potem był Xavier, mój meksykański kochanek, wersja Eduarda mojej matki, lecz czulsza i namiętniejsza, mniej głupkowata i zepsuta. Xavier zarzucał łóżko kameliami, przysięgał, że się ze mną ożeni, jeśli będzie mógł, ale od urodzenia był zaręczony z dziewczyną z zajęczą wargą. Nie przeszkadzało mi to, nie miałam ochoty mieszkać w Mexico City z jego wyniosłymi rodzicami i wychowywać dziesiątki jego katolickich dzieci. Miałam swój pokój w hotelu i pokojówkę, która przynosiła mi meksykańską czekoladę na śniadanie w łóżku.

Trzecim mężczyzną był Ray. Spotykałam się z nim potajemnie w wielkomiejskich hotelach, siedział w barze ze swoją smutną miną, a ja wchodziłam w białym płóciennym kostiumie i czarnych bucikach, włosy w *chignon*, chustka przywiązana do torebki.

— Nie byłam pewna, czy przyjedziesz — mówiłam głębokim, trochę żartobliwym głosem, jak Dietrich. — Ale i tak przyszłam.

Usłyszałam, jak Marvel mnie woła, ale byłam w innym kraju, zbyt odległym. Nie chodziło jej o mnie. Chodziło jej o jakąś inną dziewczynę, jakieś nieciekawe, beznadziejne stworzenie przeznaczone do wojska albo szkoły kosmetyczek. Leżałam, oplatając Raya udami w pokoju z wysokimi oknami, we flakonie na komodzie stały czerwone róże.

— Astrid!

Głos jak świder, przenikający, nieustępliwy. Gdybym miała wybór, to wolałabym być niewolnicą mężczyzny, a nie kobiety. Zwlokłam się z łóżka i poszłam do pokoju, gdzie Marvel i jej znajome siedziały na kanapie w kwiatki, piły zimne napoje z pu-

138szek w kosmicznych kolorach i jadły pastę, którą przyrządziłam według przepisu na pudełku z płatkami śniadaniowymi.

— Jest — powiedziała Debby, unosząc końską głowę z trwałą ondulacją i twarz z

warstwami cienia do powiek, które przypominały przekrój geologiczny. — Spytaj ją.

— Mówię ci, że samochód — powiedziała Marvel. — Wracasz i wciąż mieszkasz w tej samej norze, wciąż jeździsz tym samym wrakiem. Co dobrego z tego wynika?

Linda zaciągnęła się papierosem, odganiając dym dłonią z polakierowanymi na perłowo paznokciami. Była blondynką o niebieskich oczach, które zawsze szeroko otwierała ze zdziwienia, jej błyszczący cień do powiek przypominał wnętrze muszli. Wszystkie chodziły razem do Birmingham School, druhnowały sobie nawzajem na ślubach, a teraz sprzedawały Mary Kay.

O to właśnie się sprzeczały, o nową broszurę Mary Kay ilustrującą nagrody, które mogły wygrać, jeśliby sprzedały odpowiednią liczbę tuszów do rzęs, szminek, maseczek do twarzy.

— Kiedyś mieli cadillaki — prychnęła Linda.

Marvel dopiła napój i odstawiła puszkę na stolik. — Cholera, choć raz w życiu chciałabym mieć nowy samochód. Wszyscy mają nowe samochody, nawet dzieci z ogólniaka. Ta zdzira, co mieszka obok, ma corvette, cholera. — Podała mi swoją szklanę. — Astrid, przynieś mi jeszcze trochę ponczu.

Debby też podała mi swoją szklanę. Zabrałam je do kuchni i nalałam polinezyjski poncz z plastikowej butelki po Shasta, na chwilę zatracając się w jego napromieniowanej weneckiej różowości.

— Astrid — zawołała Linda, która siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami na kanapie z kwiecistym drukowanym pokrowcem. — Gdybyś miała do wyboru między dwoma tygodniami w Paryżu a samochodem...

— Jakimś gównianym buickiem — wtrąciła Debby.

— Co ci się nie podoba w buicku? — spytała Marvel.

— ..to co byś wybrała? — Linda wyjęła sobie coś z kącika oka długim sztucznym paznokciem.

Przyniosłam im drinki, powściągając ochotę, by kuśtykać

139teatralnie — kaleka służąca — i powkładałam im do rąk, nie rozlawszy ani kropli. One chyba nie mówią poważnie. Paryż? Mój Paryż? Wytworne owocarnie i gitany bez filtra, ciemne wełniane płaszcze, Bois de Boulogne?

— Samochód — powiedziałam. — Bez wahania.

— Inteligentna dziewczyna — odrzekła Marvel, spełniając toast na moją cześć. — Zawsze miałaś głowę na karku.

— Wiecie co, powinniśmy zrobić Astrid makijaż — powiedziała Debby.

Trzy pary oczu, te wszystkie owale, patrzące na mnie. Nagle byłam cennym gościem. Czy lampa z gęsią szyją, świecąca mi w twarz, nie jest zbyt jasna? Chcę się czegoś napić? Linda przekręcała moją głowę z boku na bok. Sprawdzały pory skórne, dotykały skóry ligniną, żeby sprawdzić, czy jest tłusta, normalna czy sucha. Podobało mi się, że jestem w centrum uwagi. Czułam się blisko nich. Zatroksały się o moje piegi, o kształt mojego czoła. Omawiały zalety podkładów, których próbki ściekały mi po twarzy.

— Zbyt rumiana — powiedziała Linda.

Pozostałe pokiwały z namaszczeniem głowami. Trzeba mnie poprawić. Skorygować. Słoiczki i tubki białych i brązowych substancji. Wszystko da się skorygować. Mój duński nos, moją kwadratową szczękę, moje grube wargi tak dalekie od ideału. Przyszedł mi na myśl manekin, którego widziałam kiedyś w witrynie sklepowej, łysa i naga kobieta, którą ubierało dwóch mężczyzn, śmiejących się i rozmawiających pod jej pozbawionymi sutków piersiami. Jeden z mężczyzn, przypomniałam sobie, miał przyklepioną do wygolonej głowy poduszeczkę na szpilki.

— Masz idealną twarz do makijażu — powiedziała Debby, nakładając podkład gąbką, obracając mnie tam i z powrotem jak rzeźbiarz glinę.

Oczywiście, że tak, byłam czystą kartką, którą każdy mógł zapisać. Czekałam, kto to będzie, stworzony z tej rozkosznej pustki. Kobieta w pierwszej klasie, czytająca francuskie „Vogue” i popijająca szampana? Catherine Deneuve wyprowadzająca psa na spacer w Bois, podziwiana przez obcych?

140Linda obrysowała mi oczy od wewnątrz, podwijając powieki. Kiedy łzy napłynęły mi do oczu, starła je delikatnie rogiem wacika. Nałożyła mi cztery warstwy maskary, aż wreszcie nic nie widziałam przez płataninę pajaków. Czułam, że będę piękna. Marvel obrysowała mi ustakonturówką, pomniejszając je trochę, a potem wypełniła brzoskwińową pomadką.

— Boże, mogłaby zostać Miss Ameryki — powiedziała Debby.

— No — poparła ją Linda. — Idź zobacz do lustra.

— Nie trzeba przesadzać — powiedziała Marvel. Nagle sobie przypomniała, kim jestem, wcale nie Miss Ameryki, tylko dzieckiem, które myło za nią naczynia i nakrywało do stołu.

Lecz Debby odrzuciła jej sprzeciw zwrotem „całkowity efekt”.

Gorąco i zapach osmalonych włosów zaplątanych w rzepy wałka.

Kiedy skończyły, zaprowadziły mnie do sypialni Marvel, szłam z zamkniętymi oczami trzymana pod ramię. Skóra mnie swędziała z niecierpliwości. Kim będę?

— A teraz reprezentantka wielkiego stanu Kalifornia... Astrid!

Postawiły mnie przed lustrem.

Włosy wiły mi się i krzewiły wokół ramion, a na górze odstawały na trzy cale. W dół czoła i wzdłuż nosa biegły białe paski jak hinduskie znaki kastowe. Poniżej kości policzkowych pojawiły się brązowe plamy, białe na brzegach, dzieliły moją — poza tym martwą — twarz na paletę z farbami. Róż wykwitł mi na policzkach jak wysypka, usta miałam zredukowane do cienkiego łuku a la gejsza. Rzęsy połyskiwały jak ciemne skrzydła, chroniły lśniące paski cienia do powiek, purpurowe, niebieskie i różowe, podobne do tęczy z rysunku dziecka. Nigdy nie płakałam, lecz teraz łzy napłynęły mi nieproszone do oczu, grożąc lawiną błotną, jeśli przerwą brzegi jeziora.

— Wygląda zupełnie jak Brigitte jak jej tam, ta modelka. — Linda trzymała mnie za ramiona, jej twarz była w lustrze tuż obok mojej. Próbowałam się uśmiechnąć, były dla mnie takie miłe.

W brązowych oczach Debby pojawił się wyraz dumy.

141— Powinnyśmy posłać Mary Kay jej zdjęcie. Może przyznaliby nam nagrodę.

Na myśl o nagrodzie Marvel szybko znalazła w szafie polaroid i ustawiła mnie przed lustrem. Było to jedyne zdjęcie, jakie kiedykolwiek mi zrobiła. Widać było na nim nie pościelone łóżko, bałagan na blacie biurka. Pogratulowały sobie i wróciły do swych napojów orzeźwiających i słonych precelków. Zostawiły mnie przed lustrem — dziecko rozpieszcza swoją Barbie, a potem porzucają w piaskownicy. Zamrugałam, żeby powstrzymać łzy i zmusiłam się do spojrzenia w lustro.

Patrzyła na mnie z niego trzydziestoletnia ekspedientka z Denny's. Jeszcze coś

będzie, kochanie? Czułam, jak ten obraz wypala mi się na duszy, wyżerając Deneuve i Dietrich, jakby oblano mi twarz kwasem. Kobieta w lustrze nie musiałaby żonglować trzech różnych kochanków. Nie tańczyłaby na dachach w Meksyku, nie latała pierwszą klasą do Londynu nad biegunem. Czekają ją żyłaki, garsoniera z kocim miotem i filmy z Laną Turner. Pijałaby samotnie, a na parapetach umierałyby pomidory. Kupowałyby magię każdego dnia tygodnia. Kochaj mnie, mówiła twarz. Jestem taka samotna, taka zrozpaczona. Dam ci, co tylko będziesz chciał.

Kiedy skończyła się szkoła, morskie niebo wisiało nad miastem ciężko jak mokre ręczniki. Ołówkową szarość dni przełamywały tylko niebieskie kwiaty przed domem Olivii. Pilnowałam dzieci, chodziłam po sprawunki, przeczytałam od nowa *A Spy in the House of Love*. Bardzo chciałam zobaczyć się z Olivia, ale Marvel zarzucała mnie pracą. Wystarczyło, że wyszłam na dwór, a ona już dawała mi cztery nowe rzeczy do zrobienia. Czasami widywałam Olivie, gdy zbiera zioła w ogrodzie, i nasze spojrzenia się spotykały, ale nie dawała po sobie poznać, że mnie zna. Byłby z niej dobry tajny agent, pomyślałam i próbowałam ją naśladować, ale po chwili przyszło mi do głowy, że może nie udaje, tylko zupełnie o mnie zapomniała.

142 Droga Astrid!

Wyszedł numer więziennego pisma „Świadek”, musisz go kupić, wydrukowali cały mój wiersz. Zajmuje siedem stron, razem ze zdjęciami Ellen Mary McConnell. Odzew był niesamowity. Kazałam im dołączyć krótką notę, w której pokornie nadmieniałam, że prezenty w postaci znaczków, książek i pieniędzy będą mile widziane.

Zdażyłam się już serdecznie zaprzyjaźnić z kilkoma osobami. Na przykład z Danem Wileym, włamywaczem, który odsiaduje dwanaście lat w San Quentin. Dan pisze do mnie prawie codziennie, są to brutalne fantazje, w których ja występuję jako gwiazda. W najlepszej z nich bierze mnie od tyłu na masce swojego Mustanga '72, oglądając zachód słońca nad Malibu. Czy to nie brzmi romantycznie? Czy ten rocznik miał ozdobnego konia na masce?

Jakaś kobieta właśnie przysłała mi wiersze zebrane Annę Sexton. Alleluja! Nareszcie coś innego do czytania poza tymi nielicznymi książkami w bibliotece więziennej, które nie mają na okładkach gorsetów, czyli *Wojnę i pokój* w edycji dla niedowidzących i zaczytanym Jackiem Londonem. Hau, hau.

Oczywiście ta admiratorka musiała również przysłać mi do oceny pół rzyzy okropnej poezji. Mieszka na farmie w Wisconsin, w jakiejś komunie dla podstarzałych hipisów, sama strzyże owce i tak dalej. Jak ktoś, kto kocha Sexton, mógł napisać tak konsekwentnie potworne wiersze? *Jestem Kobietą, posłuchajcie, jak ryczę*. Byłoby lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdyby się ograniczyła do ryczenia.

Jednak ona mnie uważa za więźnia patriarchy, za swego rodzaju męczennicę. Dopóki jej solidarność obejmuje przysyłanie prezentów – władza w ręce ludu! Uwolnić Hueya! Uwolnić Ingrid Magnussen.

Ani słowa o mnie. Jak się masz, Astrid? Jesteś szczęśliwa? Brakuje mi ciebie. Wydawało się, jakby minęły lata, odkąd rozważała możliwość, że może mnie stracić. Wróciłam do cienia.

143 Moim zadaniem znów było asystowanie przy jej triumfach, szydzenie razem z nią z jej niefortunnych admiratorów, pełnienie dla niej roli lusterka kieszonkowego i publiczności studyjnej. Zdałam sobie sprawę, że moja obecna sytuacja jest dla niej idealna: ustabilizowanie nieszczęśliwa u Marvel Turlock, więzień turku-su, wylęga się ze mnie artystka, czyli ktoś, kogo ona może zechce w przyszłości poznać. Tymczasem ja chciałam tylko tego, żeby ona zobaczyła mnie teraz, tak jak zobaczyła mnie tego dnia w więzieniu. Żeby chciała wiedzieć o mnie wszystko, co myślę, co czuję.

Napisałam jej o Oli vii, o innym sposobie istnienia w świecie. Dołączyłam rysunki, na których Olivia leżała na kanapie i wyciągała z powietrza magię. Nie jesteś jedyną pięknoscią na świecie, mamó. Prócz alabastru istnieje też palony tek, oprócz jedwabiu marszczony mahoń. I świat zadowolenia z życia, podczas gdy ty masz tylko furię i pożądanie. Świat rozstępuje się przed Olivia, kładzie u jej stóp, a ty musisz wyrąbywać sobie drogę przez kolczaste zarośla.

Marvel kazała mi przesiadywać całymi letnimi popołudniami w parku z dziećmi, bywało, że przyjeżdżała po nas dopiero w porze kolacji. Miałam im kupować słodycze, pomagać bawić się na zjeżdżalniach, rozsądzać ich piaskownicowe spory, bujać na huśtawkach. Przez większość czasu siedziałam na brzegu piaskownicy koło matek, które ignorowały mnie, każda na swój własny sposób, latynoskie nastoletnie matki, wyniosłe, dumne ze swych wózków i umalowane jak aktorki w teatrze kabuki, starsze anglosaskie matki, pospolite jak placki ziemniaczane, paliły papierosy i rozmawiały o problemach z

samochodami, z mężami, z synami. Szkiecowałam rozmawiające kobiety, ich głowy razem i osobno. Wyglądały jak żałobnice skulone wokół krzyża.

W jedno z tych popołudni poczułam w leniwym powietrzu zapach marihuany i rozejrzałam się po placu zabaw za jego źródłem. Na parkingu grupa chłopców siedziała na żółtym samochodzie, drzwi otwarte, ze środka dudni muzyka. Wiele bym dała,

144żeby się naćpać. Być osobą łagodną i życzliwie nastawioną do świata, zamiast zgryźliwą, wredną i gotową huknąć Justina w głowę jego łopatką, jeśli jeszcze raz mi zaskomli, że jakieś dziecko popchnęło go albo obsypało piaskiem. Był niestrudzony, zupełnie jak jego matka. Próbowałam sobie przypominać, że ma dopiero cztery lata, ale po jakimś czasie to przestało działać.

Wyjęłam list od mojej matki, który przyszedł tego dnia rano, rozłożyłam wyrwaną z notesu kartkę. Przynajmniej teraz zwracała na mnie uwagę.

Droga Astrid!

Czy wujek Ernie nie był dla Ciebie wystarczającą przestrożą? Nie, musiałś wyniuchać najbardziej odrażającą osobę, z jaką mogłaś się związać. Kategorycznie zabraniam Ci, żebyś pozwoliła jej się uwieść. Ernie chciał tylko Twojego ciała. Jeśli posiadasz choć odrobinę zdrowego rozsądku, UCIEKAJ od tej kobiety jak od śmierniczośnego wirusa.

Tak, patriariat stworzył ten karygodny świat, świat więzień, Wall Streets i matek na zasiłku, ale nie wolno w tym współuczestniczyć! Mój Boże, ta kobieta jest prostytutką, to co miałyby mówić? „Walcz o swoje prawa?” Można by się spodziewać, że jako Murzynka nie będzie lizała tyłka panom, mówiła, że to jest świat białasów i trzeba się w nim jak najlepiej ustawić. Gdyby kolaborowała z nazistami, ogoliliby jej głowę i przegonili ulicami. Taka kobieta jest pasożytem, tuczy się niesprawiedliwością jak kleszcz na wieprzu. Oczywiście kleszcz powie, że świat należy do wieprzu.

Spodziewałabym się, że ktoś, kto wyszedł z mojego łona, będzie o wiele za inteligentny, żeby się nabrać na takie stare plewy. Przeczytaj *Kobietą eunucha* Germaine Greer, przeczytaj coś Whitmana. Nawet w tragicznie upośledzonym księgozbiórce twojej lokalnej biblioteki musi być egzemplarz *Żdźbeł trawy*.

Mama

145Matka przepisywała mi książki jak lekarstwa. Porządna dawka Whitmana wyleczy mnie jak olej rycynowy. Ale przynajmniej o mnie myślała. Znów istniałam.

Zapach marihuany w upalnym powietrzu doprowadzał mnie do szału. Z zazdrością patrzyłam na chłopców wokół żółtego samochodu. Normalnie starałabym się za wszelką cenę unikać chłopaków tego pokroju, gangów pryszczatych nastolatków, których łączą ze sobą wulgarne komentarze i ważniackie pozy. Przypominali mi, że to oni są właścicielami świata. Lecz Olivia by się ich nie bała. I z tego umiałaby stworzyć magię. Wiedziałyby, czego chcą, i dałyby im to albo nie. Czyja mam tyle odwagi?

Odwróciłam się do matki dziecka, które bawiło się z Justinem.

— Mogłaby pani chwilę go popilnować? Zaraz wrócę.

— Będę tutaj — westchnęła, kiepując w piasku papierosa. Niosłam Caitlin po trawniku w stronę chłopców otaczających

samochód. Świat należy do mężczyzn. Zobaczyłam się tak, jak oni mnie widzieli, jak widział mnie Ray: wysoka, blada dziewczyna z długimi, powiewającymi włosami, nieśmiały uśmiech na dużych ustach, nogi gołe w obciętych spodenkach. Podniosłam Caitlin wyżej na biodrze, gdy podeszłam bliżej, wszyscy na mnie patrzyli. Zerknęłam za siebie, żeby sprawdzić, czy opiekunka Justina mnie obserwuje. Była zajęta smarowaniem swego dziecka kremem przeciwsłonecznym.

— Mogę się sztachnąć? — spytałam. — Pilnuję dzieci cały dzień, mam już tego dość.

Chłopak, którego skóra wyglądała tak, jakby ktoś po niej jeździł tarką, podał mi skrzeta. — Widzieliśmy, jak tu przyjechałaś — powiedział. — Jestem Brian, to jest PJ, a to Big Al. A to Mr. Natural. — Chłopcy się skłonili, skinęli głowami. Czekali, aż się przedstawię, ale nie zrobiłam tego. Mogłam im to dać albo nie. Podobało mi się to.

Trawka nie była najlepszej jakości, nie taka, jaką miał Ray, którą się czuło przez torebkę. Ta pachniała jak paląca się słoma, smak miała suchy i brązowy, ja jednak rozkoszowałam się każdym zaciągnięciem. Przy wydmuchiowaniu odwracałam głowę od

146Caitlin, żeby się nie nabuzowała. Wiła mi się w rękach, ale nie mogłam jej zestawić na ziemię, bo wpadłaby pod pierwszy przejeżdżający samochód.

— Chcesz od nas kupić trochę? — Chłopak o ksywie PJ miał włosy pofarbowane

nablond. Na podkoszulku było napisane „Piloci Świątyni z Trawy” pomarańczowymi psychodelicznymi literami.

Miałam w kieszeni trzy dolary na lody dla dzieci.

— Ile kosztuje?

Wszyscy odwrócili się do krępego chłopaka, Mr. Natural, który siedział w samochodzie po stronie pasażera.

— Piątka za gram — powiedział.

Przerzuciłam Caitlin na drugie biodro, to, w które zostałam postrzelona, i wzięłam skręta od Pilota Świątyni z Trawy. Dobrze było czuć się na haju. Poczułam, jak olówkowoszare niebo podnosi się i znów mogę oddychać, nie myślałam już z przerażeniem o reszcie popołudnia. — Mam tylko trzy.

— Czemu nigdy wcześniej cię nie widziałem? Chodzisz do Birmingham? — spytał kłocowaty chłopak, wysiadając z samochodu. Miał rumiane policzki i falujące brązowe włosy, wyglądał na jakieś dwanaście lat.

Zaprzeczyłam ruchem głowy, miałam świadomość, w jaki sposób na mnie patrzy, i nie byłam zażenowana. Zainteresował się mną. To była moja waluta, mój towar barterowy. Wydmuchałam dym, odwracając głowę od Caitlin, przez co pokazałam szyję, przyciągając jego oczy tam, gdzie ich chciałam.

— Masz chłopaka? — spytał.

— Soku — powiedziała Caitlin i szarpnęła mnie za koszulę, ściągając mi ramiączko. — Assi soku.

Przerzuciłam ją na drugie biodro, uspokoiliam, czując, że oczy chłopców głaszczą gładką krągłość mojego ramienia. — Nie — odpowiedziałam chłopcu, patrząc, jak dotyka swych warg palcami.

Oparł się o otwarte drzwi samochodu, z nogą na progu, zamyślony.

— Jak mi zrobisz łaskę, to ci dam ćwiartkę uncji. Trawiasty Pilot się roześmiał. — Stul mordę, kretynie —

147powiedział do niego i odwrócił się do mnie. — Pół — powiedział życzliwie. — Pół torebki, taka jest taryfa za łaskę.

Pozostali chłopcy patrzyli, co się stanie.

Podniosłam Caitlin wysoko na biodro, spojrzałam na plac zabaw, sprawdziłam, jak to jest daleko, huśtawki wyglądały jak maszyna w fabryce wyrzucająca produkt zjeżdżalniami. Chcę to zrobić? Tłusty chłopak zagryzł dolną wargę, spękaną, nie całowaną. Rumienił się pod słabą opalenizną, a jednocześnie próbował grać twardziela. Obciągnąć mu banana za pół torebki? Gdyby ktoś mi to wcześniej zaproponował, byłabym zniesmaczona. Teraz jednak moje usta pamiętały, jak trzymały Rayową pulsującą kolumnę żył, miękką skórę żołądka, słoną spermę. Spojrzałam na tłustego chłopaka i zastanawiałam się, jak by to było.

Caitlin wtuliła się w moją szyję, emitując z siebie pierdnięcia, wilgotne i bzyczące, śmiejąc się do siebie. Nie znałam tych chłopców, wiedziałam, że już nigdy nie zobaczę ich na oczy. Trawka uczyniła mnie odważną, byłam ciekawa, jak daleko potrafię się posunąć, jakby chodziło o kogoś innego, o kogoś, z kogo Olivia mogłaby być dumna.

— Ktoś musi potrzymać Caitlin. Nie można jej postawić na ziemi, bo zaraz ucieknie.

— Al ma czterech młodszych braci.

Dałam ją spokojnemu chłopcu z krótko obciętymi włosami i rzadką brodą, a potem poszłam za tłustym chłopakiem w krzaki za toaletami. Rozpiął spodnie i zsunął sobie z bioder. Uklękałam na sosnowych igłach, jak pokutnica, jak grzesznica. Nie jak kochanka. Oparł się o szorstką, betonową ścianę. Kiedy ja modliłam się, trzymając go w ustach, on włożył mi dłonie we włosy. „Boże, mogłaby zostać Miss Ameryki”.

Z Rayem było inaczej. Z Rayem to była jedna przyjemność po drugiej, usta, dłonie, sprężystość skóry, ciągle niespodzianki. To tutaj było przeciwieństwem seksu. Nic nie czułam do tego chłopaka, do jego poruszającego się ciała. Czułam się tak, jakbym pracowała. To odbierało kochaniu się jego istotę, zamieniało je w czynność nie bardziej ekscytującą niż mycie zębów. Kiedy

148chłopak był już obsłużony, wyplułam gorzkawą spermę i wytarłam usta koszulą. Pomyślałam, że po prostu odejdzie, ale podał mi rękę i pomógł wstać.

— Mam na imię Conrad — powiedział. Był obcym smakiem w moich ustach, zapachem w moich włosach. Dał mi pół torebki marihuany. — Jeśli byś kiedyś czegoś chciała, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

— Będę o tym pamiętała — odparłam, kiedy wracaliśmy do samochodu. Odebrałam Caitlin. Mój pierwszy klient, pomyślałam.

Przez okno w kuchni patrzyłam, jak Olivia wychodzi z domu, w cynamonowo-beżowym jedwabiu, włosy gładko zaczesane do tyłu. Obierałam jabłko dla Justina i Caitlin. Patrzyłam, jak Olivia wchodzi do szampanowej corvette, wycofuje, i zrozumiałam.

Dla niej to była praca. Zarabiała na samochód, na miedziane garnki, tak samo jak ktoś makietujący kolumny w gazecie czy doręczający pocztę. Ci ludzie nie byli kochankami, rastafarianin, BMW. Byli klientami. Tyle że klęczenie było bardziej subtelne, obsługa bardziej dyskretna, iluzja bardziej wiarygodna, zapłata nieporównywalnie wyższa.

Oznajmiłam Marvel, że zaczynam program ćwiczeń, aby się przygotować do pójścia do wojska. W pochmurny poranek nałożyłam adidasy, związałam włosy z tyłu, zrobiłam parę pajacyków, skłonów, rozciągnęłam ścięgna udowe przy płocie, odegrałam cały spektakl, żeby była zadowolona. Wojsko to dobre miejsce, gwarancja zatrudnienia, różne przywileje.

Potem raz obiegałam kwartał i zapukałam do drzwi Olivii.

Ubrana była w białe dzinsy, sweter i tenisówki. Na niej wyglądało to seksownie, próbowałam zrozumieć, dlaczego. Sweter delikatnie muskał jej ciało, widać było spod niego jedno ramię. Narysowałam wcześniej to ramię, które błyszczało jak wypolerowane, gdy wysunęło się spod miękkiej, rudej wełny. Włosy miała spięte długą srebrną spinką, która przypuszczalnie kosztowała więcej niż zarobiona przeze mnie marihuana.

149— Muszę z tobą porozmawiać — powiedziałam. Zaprosiła mnie do środka, spojrzała mi przez ramię, gdy

zamykała drzwi. Wieża była włączona, jakiś mężczyzna śpiewał po francusku, seksownie, na poły mówił.

— Cieszę się, że przysłaś — powiedziała. — Chciałam się z tobą zobaczyć, ale jestem taka zajęta. Przepraszam cię, właśnie sprzątałam. — Postawiła szklanki i talerze na lakierowanej tacy, opróżniła kryształową popielniczkę z niedopałków cygar. Ciekawe, który z nich pali cygara, pomyślałam. Znów był u niej mercedes. Wentylator poruszał się

powoli, krajał kwaśne od dymu cygarowego powietrze. Zniosła tacę do kuchni, nalala kawy do filiżanek. — Z mlekiem? — Kawa była tak mocna, że nie zmieniła koloru, kiedy Olivia wlała do niej mleko. — Wyglądasz inaczej — powiedziała. Usiadłyśmy przy stole w jadalni, na połączonych krzesłach z oparciami w kształcie harfy. Wyjęła małe podstawki pod filiżanki z holenderskimi tulipanami.

Wyciągnęłam z kieszeni torebkę z marihuaną, położyłam na stole. — Zrobiłam w parku łaskę tłustemu chłopakowi. Dał mi to.

Trzymała torebkę w dłoni, objęła ją delikatnie palcami, pomyślałam, że pewnie tak samo trzyma penis mężczyzny. Odwróciła dłoń wierzchem w stronę blatu i pokręciła głową. Dwie pionowe linie wyźłobiły jej czoło. — Astrid. Nie o to mi chodziło.

— Chciałam wiedzieć, co się wtedy czuje.

— No i co? — spytała łagodnie.

— Tak sobie.

Oddała mi torebkę. — Skręć, to sobie zapalimy.

Zwinęłam skręta na eleganckiej podstawce pod szklanę, w kwieciste paski. Nie umiałam dosyć dobrze tego robić, ale nie zaoferowała się z pomocą. Kiedy paliłyśmy, rozglądałam się wokół i myślałam, jakim ilościom spermy w ustach musi się to równać: oprawione w ramki botaniczne ryciny, krzesła z oparciami w kształcie harfy, grube, drewniane okiennice. Ocean spermy. Gdybym była Olivia, miałabym w nocy koszmary, białe morze spermy i albinoskie potwory w jego głębinach.

150— Lubisz uprawiać seks? — spytałam. — Znaczy, sprawia ci to przyjemność?

— Wszystko, w czym jesteś dobra, sprawia ci przyjemność. Tak jak łyżwiarzowi, Albo poecie. — Wstała, przeciągnęła się, ziewnęła. Kiedy podniosła ramiona do góry, zobaczyłam jej szczupły brzuch. — Muszę coś załatwić, chcesz ze mną pojechać?

Nie byłam pewna. Może matka ma rację, może powinnam uciekać. Może Olivia ukradnie mi duszę. Już kradnie mi duszę. Ale kogo jeszcze mam oprócz niej, jakie inne piękno mieszka w moim życiu? Uzgodniłyśmy, że zaczekam na nią kilka domów dalej, żeby Marvel mnie nie zobaczyła w jej corvette.

Zawiązała sobie na włosach i szyi białą chustkę w kropki, z przodu i z tyłu, a la Grace Kelly. Czy istniała kiedyś kobieta równie wytworna jak Olivia Johnstone?

Wskoczyłam na siedzenie pasażera, tak niskie, że czułam się, jakbym leżała, zapięłam pas, schyliłam głowę, żeby mnie nikt nie zobaczył.

Zakochałam się tego pochmurnego popołudnia. W prędkości, drodze i krajobrazie przelatującym za szybą, jak przy szybkiej panoramie kamerą. Zazwyczaj w samochodzie robiło mi się niedobrze, ale marihuana wyrwała mnie z tego, a droga i sosny odarły mnie z ponurego nastroju, który nosiłam na sobie od tej historii w parku, nie zostało nic prócz tenorowego śpiewu silnika, wiatru na twarzy, talerzowatego profilu Oli vii, jej dużych okularów przeciwsłonecznych, *Naimy* Coltrane'a, która się rozwijała jak opowieść z odtwarzacza kompaktowego. „Ta zdzira, co mieszka obok, ma corvette, cholera”. Kochałam Olivie za to, że wpuściła mnie do tej szampańskiej perły, którą wydobyła z głębin białego morza.

Jechałyśmy wzdłuż Ventura, Cold water Canyon, zakręty drogi przypominały wznoszenie się i opadanie saksofonu altowego Coltrane'a. Tańczyłyśmy do tej muzyki, ucieleśniałyśmy ją, kiedy jechałyśmy do góry obok monstrualnie dużych domów rancherskich w Dolinie, dekoracyjnie przekłute białe pustaki, czarne cyprysy posadzone w nudnych rzędach i przycięte geometrycznie. Wreszcie zajechałyśmy do Beverly Hills.

Tu czekały nas wielkie paprocie, gazony niecierpków, domy

151z drzwiami frontowymi wysokości dwóch pięter, trawa w kolorze sukna stołów bilardowych, jedynymi ludźmi w polu widzenia byli ogrodnicy ze szlauchami. Byłyśmy absolutnie wolne. Żadnych dzieci, żadnej pracy, żadnych zastępczych matek, tylko prędkość, nasza uroda i melancholijne tchnienie saksofonu Coltrane'a. Kto nam podskoczy?

Zaparkowała na drugiego przed hotelem przy Rodeo Drive i szłyśmy obok drogich sklepów, zatrzymując się, aby obejrzeć witryny. Weszłyśmy do sklepu tak wykwintnego, że miał odzwiernego. Oli vi i spodobała się czarna torebka z krokodylej skóry, kupiła ją za gotówkę. Chciała też kupić coś dla mnie. Zabrała mnie do sklepu, w którym były tylko swetry, szaliki i kapelusze z dzianiny. Przyłożyła mi jakiś sweter do policzka. Zdumiało mnie, jaki jest miękki. Zdałam sobie sprawę, że nie doceniałam możliwości tkwiących w rzeczywistości fizycznej.

— Kaszmir — powiedziała, szczerząc wysunięte nieco do przodu górne zęby. —
Podoba ci się?

Westchnęłam. Widziałam cenę na metce.

— To fajnie. Ale nie brzoskwiniowy. — Oddała sweter ekspedientce, osiemnastolatce, która uśmiechała się bez wyrazu. W sklepie pachniało pieniędzmi, było tam miękko jak we śnie.

— Morski jest ładny — powiedziała dziewczyna, trzymając sweter ze ściągaczami w kolorze wiosny.

— Zbyt banalny — powiedziałam.

Olivia wiedziała, o co mi chodzi. Znalazła sweter w kolorze błękitu paryskiego, bez ściągaczy, dała mi go do przymierzenia. Moje oczy zrobiły się w nim jagodowe, podkreślił rumianość moich policzków. A przy tym w mojej szufladzie mógł udawać, że został kupiony w tanim sklepie żydowskiej organizacji charytatywnej. Kosztował pięćset dolarów. Olivia bez mrugnięcia okiem odliczyła pięćdziesiątki i setki.

— Wszystko, co rzeczywiste, jest zawsze warte swojej ceny — wyjaśniła mi. — Zobaczmy, jak jest zrobiony. — Pokazała mi, że sweter ma osobny karczek, a nie przód i tył zszyte ze sobą. — Będiesz go nosiła przez całe życie.

152Wszystko, co rzeczywiste. Tego się nauczyłam, gdy chodziłyśmy od sklepu do sklepu. Srebrna bransoleta od Georga Jense-na. Ceramiczny flakon od Roblina. Sklepy jak świątynie, w których się oddaje cześć temu, co rzeczywiste. Ciche głosy, gdy kobiety oglądały szkło Steubena, chustki Hermesa. Mieć to, co rzeczywiste, to być rzeczywistym. Otarłam się policzkiem o sweter, miękki jak niebieski, perski kot.

Postawiła mi lunch w restauracji pod parasolami w żółto-białe pasy, zamówiła dla nas obu posiłek złożony z przystawek: grillo-wane papryki z kozim serem, łosoś marynowany, *carpaccio*, serca kapusty palmowej. Objasniała mi potrawy, popijała zimne białe wino, zjadła kęs i odkładała widelec. Nigdy w życiu nie widziałam niczego tak wytwornego jak Olivia jedząca lunch. Jakby czas dla nas nie istniał.

— Życie powinno się smakować powoli jak dobry posiłek — powiedziała. — Niestety, większość ludzi nie ma do tego talentu. — Pokazała na pustą szklanekę z wodą pomocnikowi kelnera w białej marynarce. — Jak tylko coś złączą, to chcą mieć to już za sobą, przejść do następnej rzeczy, chociaż nie mogli się doczekać tej pierwszej.

Próbowałam ją naśladować, oparłam się pokusie zjedzenia całego talerza łososia

na dwa razy. Im wolniej jadłam, tym lepiej rozumiałam, o co chodziło Olivii. Karmelkowa słodycz grillowa-nych papryk, pikantność koziego sera, faktury surowej różowej ryby, sól i pieprz na obrzeżu smaku, faktury, smaki i zapachy jak kolory na palecie albo tony w muzyce.

— Byłam kiedyś z mężczyzną, który zabierał mnie do najlepszych restauracji w mieście — powiedziała Olivia. — Po jedzeniu wstawał i mówił: „A teraz dokąd pójdziemy?” Szliśmy do innej restauracji i jedliśmy drugi posiłek. Czasami trzy pod rząd. — Spojrzała na kieliszek słomianożółtego wina, jakby tam kryło się rozwiązanie problemu męskiej chciwości, a potem potrząsnęła głową, kiedy się okazało, że jednak nie. — Wspaniały mężczyzna, inteligentny, bogaty jak Krezus. Zyłjak tasiemiec. Zal mi go było. Kolos, ważył chyba ze sto pięćdziesiąt kilo. Bardzo nieszczęśliwy człowiek.

153 Nie chciałam sobie wyobrazać, jak ona się kochała z tym stu pięćdziesięciokilowym mężczyzną, jak leżała pod nim, a on wpychał się w nią w pośpiechu, żeby zacząć od nowa.

— Jak go poznałaś?

Odgoniła dłonią pszczołę, która zainteresowała się jej winem. — Byłam urzędniczką w jednym z jego banków. Udzielałam pożyczek.

Roześmiałam się na głos. Olivia miałyby pracować w banku! Od dziewiątej do piątej za biurkiem, w gabardynie i butach na płaskich obcasach. Lunch w stołówce.

— Wyglupiasz się.

— A co myślałaś, że byłam jakąś laską, która chodzi po Van Nuys Boulevard w płaszczu z króliczego futra? Mam dyplom z zarządzania. Tak, wiedziałam wszystko na temat pieniędzy, z wyjątkiem tego, jak napchać sobie nimi kieszenie. Grzecznie pracowałam, spłacałam raty za hondę Accord, utrzymywałam małe mieszkanko niedaleko Chandler Street jak wszyscy inni.

— I stu pięćdziesięciokilowy mężczyzna uratował cię przed samą sobą.

Westchnęła. — Biedny pan Fred. W zeszłym roku zmarł na atak serca. Jego brat dostał wszystko. — Wzruszyła ramionami. — Ale czego można się spodziewać po człowieku, który jada trzy kolacje dziennie.

Siedziałam u Marvel i patrzyłam, jak jedzą. Cały czas gapili się w telewizor,

podnosili widelce do ust jak nakręcane zabawki, nieświadomi, czy jedzą zapiekanek z tuńczykiem, czy może *gratinee* dla kotów. Zaczęłam gotować, powiedziałam Marvel, że może zostanę kucharką, to dobry zawód dla kobiety. Przybierałam na wadze. Zebra przestały mi sterczeć. Podziwiałam w lustrze swoje piersi, żałowałam, że Ray nie może ich zobaczyć, wziąć w pokan-cerowane dłonie. Lubiłam sposób, w jaki poruszało się moje ciało, gdy szłam ulicą. Marvel uważała, że to kwestia wieku, nabierałam ciała, jak to nazywała. Ale nie o to chodziło. Wcześniej poruszałam się za szybko. Byłam zbyt spragniona stania się kobietą.

15413

Lato było w pełni, waliło jak młotem. Już o dziewiątej rano można było z przerażeniem myśleć o tym, jaki zrobi się upał. Olivia zabierała mnie na przejażdżki swoją corvette, szosą 101, a potem jednym z kanionów, Topanga, Kanan Durne, na plażę, potem wracałyśmy szosą nadbrzeżną, wiatr smagał naszą obnażoną ku słońcu skórę, nie zwracałyśmy uwagi na okrzyki mężczyzn z innych samochodów. Nigdy nie czułam się taka piękna i nieulekła.

Czasami przyrządzała dzbanek ponczu i puszczała brazylijską muzykę, Milton Nascimento, Gilberto Gil, Jobim. Brazylijska Astrid śpiewała interesująco płasko, jakby przysypiała w hamaku, jakby śpiewała dziecku, a nie nagrywała płytę. Siedziałyśmy w salonie na łóżku z pasiastą bawełnianą narzutą, wiatraki obracały się powoli nad naszymi głowami, jadłyśmy owoce mango z szynką i oglądałyśmy jej zdjęcia z Brazylii, wymawiała nazwy miast swym szeleszczącym portugalskim: Rio de Janeiro, Itapa-rica, Recife, Ouro Preto, Salvador. Zdjęcia kolonialnych miast pomalowanych w landrynkowate kolory, Murzynki w białych sukienkach posyłają w morze świece. Zdjęcia Olivii podczas karnawału, w sukience ze sreberka rozciętej pod pachami, włosy piórzaste i rozwichrzone. Trzymała za rękę białego mężczyznę, był opalony i miał matowe niebieskie oczy.

— Spodobałby ci się karnawał — powiedziała. — Tańczysz przez trzy dni non stop.

— Nienawidzę tłumów — powiedziałam i wypłam łyk ponczu z rumem, słodkiego i ciężkiego jak cegła. — Zawsze się boję, że mnie zgniotą.

— To się zdarza — powiedziała Olivia, kiwając głową w takt samby. — Trzeba uważać, żeby się nie przewrócić podczas karnawału.

Po chwili wstała i zaczęła tańczyć. Położyłam się i patrzyłam na nią, jak się porusza w takt skomplikowanych rytmów samby w chustce na głowie i marszczonej spódnicy. Wyobraziłam sobie,

155że ma na ciele tylko sreberko i pot, tańczy ze skłębionym tłumem pod słońcem Południa, wdychałam zapachy rumu, owoców mango i Ma Griffe. Muzyka przepływała przez jej ciało falami, stopy wykonywały małe, niepewne kroki, ramiona kołysały się jak wierzchołki palm nad uniesionymi łokciami. Setki tysięcy wielobarwnych ciał pulsujących w słońcu.

— Zatańcz ze mną — powiedziała.

— Nie umiem tańczyć. Jestem białą dziewczyną.

— Nie mów, że nie umiesz. — Uśmiechnęła się, jej biodra zataczały subtelne kręgi jak strumień na kamieniach. Złapała mnie za rękę i ściągnęła z łóżka.

Stałam przed nią niezdarnie, próbowałam naśladować jej ruchy, ale chociaż byłam trochę zawiana, miałam świadomość, jaka jestem śmieszna, że tańczę nie w rytm. Jej ciało poruszało się w dziesięciu kierunkach naraz, wszystko zharmonizowane ze sobą, giętka jak wstążka. Roześmiała się, potem zasłoniła usta dłonią.

— Wczuj się w muzykę, Astrid. Nie patrz na mnie. Zamknij oczy i zanurz się w tym cała.

Zamknęłam oczy i poczułam jej ręce na biodrach, kierowały mną. Każde biodro poruszało się jakby niezależnie od drugiego. Puściła mnie, a ja starałam się utrzymać w rytmie, zataczałam biodrami duże łuki do skomplikowanego rytmu. Podniosłam ramiona do góry i przepuszczałam przez siebie fale ruchu. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jesteśmy w Brazylii, na plaży, w barze pod palmami, tańczymy odważnie z mężczyznami, którzy już nigdy nas nie zobaczą.

— Och, Astrid, musisz pojechać na karnawał — powiedziała Olivia. — Powiemy twojej opiekunce, że twoja klasa jedzie na wycieczkę, żeby obejrzeć Dzwon Wolności i wykradniemy cię jej. Podczas karnawału tańczy się sambę przez trzy dni z rzędu. Nie śpisz, nie jesz, tylko tańczysz. Obiecuję ci, po karnawale już nigdy nie będziesz się poruszała jak biała dziewczyna.

Kiedy piosenki zrobiły się spokojniejsze, objęła mnie ramieniem wokół talii,

tańczyła ze mną blisko. Jej perfumy wciąż

156 pachniały świeżo mimo gorąca i potu, jak sosny. Byłam teraz tak wysoka jak Olivia, czułam się niezdarnie, kiedy mnie obejmowała, deptałam jej po stopach.

— Ja jestem mężczyzną — powiedziała. — Ty masz tylko dać się prowadzić.

Czułam, że prowadzi mnie jej dłoń na moich plecach, sucha mimo gorąca.

— Tak szybko rośniesz — powiedziała mi cicho do ucha, gdy tańczyliśmy jak fale na Copacabana. — Cieszę się, że poznałam cię teraz. Za rok czy dwa byłoby inaczej.

Wyobraziłam sobie, że ona jest mężczyzną, tańczy ze mną, szepcze mi do ucha.

— Jak inaczej?

— Wszystko byłoby przesądzone — powiedziała. — Teraz jesteś taka otwarta. Możesz pójść w różne strony. — Zataczała mną powolne koła, uczyła moje stopy, jak się poruszać, uczyła moje biodra, jak kreślić symbol nieskończoności.

Wrześniowe wiatry rozdmuchiwały żniwo pożarów na suchych wzgórzach Altadeny, Malibu, San Fernando, ogień karmił się chaparralem i osiedlami domów. Zapach dymu zawsze przypominał mi o matce, o siedzeniu na dachu pod niegodnym zaufania księżycem. Jaka była piękna, jak doskonale pomyłona. Był to mój drugi sezon pożarów bez niej. Czas oleandrów. Przeczytałam, że Żydzi obchodzą w tym czasie Nowy Rok i postanowiłam, że ja również będę liczyła czas od pory pożarów.

Nocą schodziły do miasta kojoty, pchane pragnieniem. Widziałam, jak idą wzdłuż linii ciągłej na Van Nuys Boulevard. Dym i popiół wypełniały Basin jak woda z szarym płynem kąpielowym w wannie. Popioły przenikały do mych snów, byłam dziewczyną popiołów, urodzoną, by żyć w gorącym, niszczycielskim Santa Anas.

W okresie największego nasilenia pożarów, przy temperaturze czterdziestu stopni w cieniu, wróciłam do szkoły. Świat płonął, a ja zaczęłam dziesiątą klasę w Birmingham High. Chłopcy posyłali mi całusy na korytarzach, machali mi banknotami.

157 Słyszeli, że jestem chętna do różnych rzeczy. Conrad, kłocowaty chłopak z parku, chodził do tej samej klasy na lekcje pisania na maszynie. Na korytarzu wsuwał mi do ręki skręty. Nie prosił mnie, żebym mu obciągnęła. Widział płomienie w moich włosach, wiedział, że moje usta parzą. Lubiałam to uczucie. Czułam się jak moja matka w porze oleandrów. Ludzie, którzy pozabijają swych kochanków, zrzucą winę na wiatr.

Posłałam matce rysunki Olivii, jak robi zupę z pizmaka, miesza w wielkim garnku, tańczy sambę, jedzie samochodem w chustce a la Grace Kelly, jaka jej skóra była jasna na tle tej bieli.

Droga Astrid!

Patrzę na pożary, które płoną na horyzoncie i modłę się, żeby podeszły bliżej, pochłonęły mnie. Okazałaś się tak opóźniona w rozwoju, jak twierdzili kiedyś w szkole. Przywiązałaś się do każdego, kto okazałby Ci choć odrobinę zainteresowania, prawda? Umywam od Ciebie ręce. Nie przypominaj mi, że minęły dwa lata, odkąd ostatni raz żyłam w świecie. Myślisz, że potrafiłabym zapomnieć, ile to już czasu? Ile dni, godzin, minut siedziałam wpatrzona w ściany tej celi, słuchając kobiet, których słownictwo ogranicza się najwyżej do dwudziestu pięciu wyrazów? A Ty przysyłasz mi rysunki swoich przejażdżek po Mulholland, Twojej wspaniałej serdecznej przyjaciółki. Oszczędź mi swych entuzjastycznych wynurzeń. Czy Ty chcesz doprowadzić mnie do choroby umysłowej?

Mjak morderca*

W październiku liście zaczęły rудzić i opadać, czarne śliwki, powcinane klony, słodkie gumowce. Wróciłam ze szkoły, planując, że powiem Olivii o nauczycielu, który spytał mnie, czym bym została po lekcjach, bo chciał ze mną porozmawiać o mojej „sytuacji rodzinnej”, wyobrażałam sobie, jak będzie się śmiała,

* M jak morderca — aluzja do tytułu filmu Alfreda Hitchcocka.

158kiedy zmałpuję jego łajdacką minę. Chciałam się od niej dowiedzieć, co to za człowiek, kiedy nagle zobaczyłam coś, co wyssało mi wiatr z żagli, oklapły i zwisały smętnie na środku oceanu. Samochód Olivii schowany pod brezentowym pokrowcem.

Dopiero co się z nią widziałam i nic nie mówiła o żadnym wyjeździe. Jak mogła wyjechać, nie powiadamiając mnie o tym? Może to coś nagłego, pomyślałam, ale mogła zostawić gdzieś dla mnie kartkę, znalazłabym. Czekałam dwa dni, trzy, ale przed jej domem nawarstwiały się liście, przylatywały i leżały na pokrowcu samochodu jak japońskie papierowe wachlarze.

Siedziałam w swoim pokoju, ponura i naćpana, szkicowałam zasłony. Ich paski były teraz jedyną rzeczą, która mnie interesowała, która miała sens. Nie napisałam do

matki, nie zniosłabym jej rozkoszowania się moim cierpieniem. Napisała do mnie, że koresponduje z wielce utytułowanym profesorem filologii klasycznej. Przysyłał jej własne przekłady co wulgarniejszych fragmentów Owidiusza i Arystofanesa, napisała, że podoba się jej kontrast z soczystymi uwagami Dana Wyliego. Prowadziła też ożywioną wymianę listów z właścicielem małego wydawnictwa w Karolinie Północnej, jak również z Haną Grtin, słynną feministką z Kolonii, która usłyszała o jej niedoli. Napisała mi o swojej nowej sąsiadce z celi, nareszcie pozbyła się poprzedniej, odesłali ją na oddział psychiatryczny, bo bredziła coś o czarownicach. Oczywiście nie napisała nic, co by miało jakikolwiek związek ze mną, nie licząc listu o zębach.

Droga Astrid!

Ząb mi się chwieje na skutek utarczek w pawilonie specjalnym. To absolutnie wykluczone, żebym poszła tu do dentysty — to zbyt groteskowe. Widzę chudego człowieka poskręcanego od zaczątkowego Parkinsona, z twarzą czerwoną od alkoholizmu, zupełnie niekompetentnego. Albo krępą kobietę, istną rzeźniczkę, która robi wszystko bez znieczulenia, rozkoszuje się wrzaskami ofiary.

159Astrid, dbaj o zęby. Nikt Cię teraz nie zabierze do porządnego dentysty. Jeśli zaczną się psuć, dentyści pozwolą, żeby Ci gnęły w ustach i wszystkie Ci powyrywają, kiedy będziesz miała dwadzieścia cztery lata. Codziennie używam nici, nawet tutaj, myję solą, masuję sobie dziąsła. Bierz witaminę C, a jeśli nie będą chcieli Ci kupić, jedz pomarańcze.

Twoja Mamuńcia

Przynajmniej nie może zniknąć, pomyślałam, wkładając list z powrotem do koperty. Ale nie mogła też się ze mną zobaczyć. Potrzebowałam, żeby Olivia wróciła i nakarmiła mnie.

Wodnisty pierścień otaczał księżyc — krucze oko pośród mgły. Był pierwszy listopada. Nie powiedziałam nikomu, że to moje urodziny. Obchodzić urodziny bez Olivii — to byłoby gorsze, niż gdyby wszyscy zapomnieli. Czułam się jak obraz z Ikarem wpadającym do morza, widać tylko nogi, a chłop i krowa orzą dalej.

Leżałam w zimnie na stole ogrodowym za domem, dotykałam policzkiem niebieskiego kaszmiru na ramieniu. Z przodu zrobiła mi się już dziurka. Włożyłam niedopałek skręta do puszek po piwie, a potem przerzuciłam puszkę za płot z tyłu, na co

pies sąsiadów zareagował szczekaniem. Szkoda, że nie ma tu człowieka w BMW, pomyślałam, to była jego pora, Olivia puszczałaby Olivera Nelsona, *Stolen Moments*. Płonąłby ogień w kominku, tańczyliby powoli, tak jak Olivia ze mną, szeptałby jej do ucha, tak jak ona szeptała mnie. Teraz, kiedy umiałam już tańczyć, ona zostawiła mnie bez muzyki.

Obciągnęłam sweter i patrzyłam na przesłonięty tiulem księżyc. Z domu dobiegł mnie śmiech, Marvel i Ed oglądali w sypialni Jaya Leno. Właśnie pofarbowałam jej włosy na rudo, Jesienny Płomień. Dygotałam pod mokrymi płachtami mgły na stole ogrodowym za domem, dłonie wciąż pachniały mi farbą do włosów, i myślałam o małym Achillesie. Nie było to jednak zamierzone umartwianie się. Jedyne gwiazdy, które świeciły na niebie, pochodziły od samolotów lądujących od zachodu na lotnisku Burbank.

160Pomyślałam, że na Hawajach jest teraz zachód słońca, a w Bombaju gorące południe, ostre jak curry. Tam powinnam być. Pofarbowałabym sobie włosy na czarno i nosiła okulary przeciwsłoneczne, zapomniałabym o Oli vii, Marvel, matce, o wszystkim. Dlaczego mi nie powiedziała, że wyjeżdża? Czy myślała, że nie ma to dla mnie znaczenia, nie wiedziała, że jestem od niej całkowicie uzależniona? Czułam, że nadzieja wycieka mi przez palce jak rybi sok.

Czyżbym była psujabawą, kawałkiem kosmicznego złomu, który się wyrzuca z kapsuły? Nikt mnie nie widzi, nikt mnie nie zauważa. Czemu nie mogę znów być z Rayem, on przytrzymałby mnie swym wzrokiem na dole, ściągnąłby mnie z powrotem na ziemię. Miałam mdłości od tego nieważkiego unoszenia się w powietrzu, wirowania w białym blasku księżycowych skał, wokół cichy pogrzeb cyprysów, żadnych kwiatów rzębu. Był to krajobraz, który mógłby namalować van Gogh.

Byłam zmęczona obojętnym spojrzeniem księżyc, zmęczona księżycowym krajobrazem z białymi skałami. Potrzebowałam więcej osłony. Przeszłam przez furtkę w ogrodzeniu, uważając, by nie narobić przy tym hałasu. Nie zebrane pomarańcze rozpylały swój żywiczny aromat w wilgotnym powietrzu, co przypomniało mi o niej. A potem pomyślałam o matce z jej zębami, z jej witaminą C. Moje idiotyczne życie. Rozdeptywałam liście na nie pozamiatanych chodnikach, nucąc rzewnie smutną melodię Jobima.

W oknach domów widziałam migotanie, ludzie jeszcze nie spali, oglądali telewizję. Oparłam się o szorstką korę drzewa pistacjowego. Znów trzeba zlizywać rosę z żagli.

Powinłam była wiedzieć, że tak się to skończy. Powinłam była wiedzieć wystarczająco dużo, aby nie oczekiwać niczego od życia, zamiast ulegać syndromowi sztokholmskiemu.

Z mgły wynurzył się biały pies i zawołałam go, ciesząc się, że mam towarzystwo. Inne bezpańskie stworzenie. Ale zaczął na mnie szczekać tak zapamiętale, że uniósł przednie łapy nad chodnik.

161— Nie szczekaj, wszystko jest dobrze. — Podeszłam do niego, żeby go pogłaskać, ale pojawił się drugi pies, brązowy, a potem trzeci, niebieskooki husky.

Brązowy pokazał zęby. Duży husky warknął. Nie wiedziałam, czy mam iść dalej, czy powoli się wycofać.

— Do domu — powiedziałam. Blokowały mi drogę. Krzyknęłam, licząc na to, że je przestraszę albo że ktoś usłyszy, ale nieme twarze domów nie zareagowały. — Do domu! — Zaczęłam się cofać, ale teraz mały pies podbiegł do przodu, rzucił się i ugryzł mnie w łydkę.

— Proszę, zabierzcie swoje psy! — błagałam, lecz dźwięk mojego głosu odbijał się rykoszetem od domów zamkniętych na głucho za żelaznymi kratami, ogrodzeniami z pustaków, drzwiami anty włamaniowymi. Kiedy brązowy pies ruszył na mnie z warkotem, przypomniałam sobie coś, o czym zdołałam zapomnieć na te kilka miesięcy — że zawsze tak będzie. Brązowy pies wbił mi zęby w nogę przez dżinsy.

Wrzasnęłam o pomoc. Wyraźnie je to podnieciło, husky przewrócił mnie na ziemię, gryzł ramiona, którymi osłaniałam sobie twarz. Wrzeszczałam, wiedząc, że nikt nie przyjdzie mi z pomocą. Miałam już kiedyś ten sen, lecz teraz nie było przebudzenia i modliłam się do Jezusa bez nadziei, jak ludzie, którzy wiedzą, że nie ma Boga.

Potem — okrzyki po hiszpańsku. Dudnienie butów. Metal zadźwięczał na kości. Zęby puszczają, ostre, pełne bólu szczeknięcia. Charkot, skomlenie, pazury drapiące o asfalt, dźwięczne ciosy łopata. Twarz mężczyzny zajrzała mi w oczy, ospowata, pociemniała z przerażenia. Nie wiedziałam, co do mnie mówi, ale objął mnie ramieniem w tali i zaprowadził do swojego domu. Na oknie stał rząd porcelanowych kaczek. Oglądali boks po hiszpańsku. Spanikowane ręce jego żony, czysty ręcznik nabiega czerwienią. Jej mąż zadzwonił dokądś.

Ed zawiózł mnie na pogotowie, na twarzy miałam ścierkę do mycia naczyń, a na

kolanach ręcznik, żeby pochłaniał krew

162z moich ramion. Dał mi łyknąć Jima Beama ze schowka. Wiedziałam, że musi być niedobrze, skoro Ed dzieli się ze mną swoją whisky. Odeskortował mnie tylko do izby przyjęć, dalej już nie chciał ze mną iść. Są jakieś granice. W końcu nie byłam jego dzieckiem. Usiadł na ławce w poczekalni i spojrzał na ekran telewizora przykręconego do ściany. Leno witał się z następnym gościem, czyli Ed niewiele stracił.

Trzęślam się, kiedy kobieta wypełniała kwestionariusz. Potem rudowłosa pielęgniarka gdzieś mnie zabrała. Powiedziałam jej, że to moje urodziny, że mam piętnaście lat, że Ed nie jest moim ojcem. Ścisnęła mnie za rękę i pozwoliła się położyć na wąskim łóżku, potem dała mi zastrzyk, coś dobrego na rozluźnienie albo może dlatego, że miałam urodziny. Nie powiedziałam jej, jakie to miłe uczucie. Skoro już nie da się uniknąć pogryzienia przez psy, to dobrze przynajmniej, że są takie środki. Zdjęła ze mnie ubranie i na widok porwanego kaszmiru zaczęłam płakać.

— Niech pani nie wyrzuca — poprosiłam. — Niech mi pani da. Przyłożyłam sobie strzępy mojego luksusowego życia do nie

poranionej części twarzy, gdy ona czyściła rany, wstrzykując mi cudowne odrętwienie. Kazała mi mówić, jeśli będzie bolało. Rudowłosa anioł. Kochałam pielęgniarki i szpitale. Gdybym mogła leżeć w kokonie z gazy i mieć jako opiekunkę tę delikatną kobietę. „Katherine Drew”, miała napisane na plakietce.

— Masz szczęście, dzisiaj na dyżurze jest doktor Singh — powiedziała Katherine Drew. — Jego ojciec był krawcem. Szyje „na miarę”. Jest najlepszy. — Jej usta uśmiechały się, lecz oczy litowały nade mną.

Wszedł lekarz, mówił z zaśpiewem, który brzmiał żartobliwie, przypominał mi film z Peterem Sellersem, który kiedyś widziałam. Lecz brązowe oczy doktora Singha niosły w sobie ciężar wszystkich wypadków, które widział w swej pracy, krew, poszarpane ciało, gorączka i rany po kulach, aż dziw, że potrafił w ogóle otworzyć oczy. Zaczął mnie zszywać, najpierw twarz. Ciekawe, czy jest z Bombaju, pomyślałam, czy wie, że tam jest teraz południe. Igła była wygięta, nitka czarna. Pielęgniarka trzymała

163mnie za rękę. O mało co nie zemdląłam i przyniosła mi sok jabłkowy, słodki jak syrop na gardło. Powiedziała mi, że jeśli nie znajdą psów, to będę musiała jeszcze raz przyjechać.

Kiedy zaczynałam znowu cokolwiek czuć, prosiłam o następny zastrzyk. Nie ma sensu próbować grać odważną. Tu nie ma Wikingów. Na suficie przylepiony był plakat z rybami. Chciałam zanurzyć się w morzu, pływać w rafie koralowej, mieć włosy jak wodorosty, jechać pod wodą na diable morskim. Chodź ze mną, mamó. Bardzo lubiła pływać, włosy miała jak wachlarz, pięciolinia do pieśni syren. Śpiewały na skałach, czesały jej włosy. Mamó... Moje łzy tryskały znikąd, jak źródło ze skały. Chciałam tylko poczuć jej chłodną dłoń na czole. Czy istnieje cokolwiek innego? Tam, gdzie byłeś ty, tam był mój dom.

Trzydzieści dwa szwy, później pojawił się Ed, szary na twarzy, z czapką baseballową w dłoni.

— Mogę ją już zabrać? Rano idę do roboty.

Rudowłosa pielęgniarzka trzymała mnie za rękę, kiedy podawała Edowi Turlockowi instrukcje na temat czyszczenia moich szwów wodą utlenioną i kazała mu przywieźć mnie za dwa dni do kontroli, a potem za tydzień do usunięcia szwów. Kiwał głową, ale nie słuchał, podpisując papiery, wyjaśnił wszystkim, którzy mieli ochotę go słuchać, że jestem tylko jego przybranym dzieckiem w ramach okręgowego programu adopcyjno-opiekuńczego.

Po drodze do domu nie rozmawialiśmy. Patrzyłam na mijane szyldy. Pic'N'Save, Konsultant Psychologiczny, AA. Odyseja Włosów. Świat Ryb. Gdybym była jego córką, to poszedłby ze mną do sali zabiegowej. Ale ja nie chciałam być jego córką. Byłam wdzięczna, że w moich żyłach nie płynie ani jedna kropla jego krwi. Ścisnęłam w dłoniach zakrwawiony kaszmir.

Kiedy wróciliśmy do domu, Marvel czekała w kuchni w brudnym niebieskim szlafroku, włosy w kolorze Jesienny Płomień.

— Coś ty sobie, do cholery, wymyśliła?! — Machała w powietrzu swymi pulchnymi rękami. Gdyby nie bandaż, to dałaby mi w twarz. — Co to za włóczenie się po nocy? Masz za swoje.

Minęłam ją i wzięłam pierwszą tabletkę vicodanu, popijając

164wodą z kranu. Poszłam do swojego pokoju, nie odzywając się ani słowem, zamknęłam drzwi i położyłam się na łóżku. W jakiś przewrotny sposób cieszyłam się ze

szwów, cieszyłam się, że będzie widać, że zostaną blizny. Jaki jest sens być poranioną tylko od wewnątrz? Pomyślałam o dziewczynie, która tatuowała się bliznami w pogotowiu opiekuńczym przy Crenshaw. Miała rację, będzie widać.

14

Szwy biegły mi po szczęce i policzku, po ramionach i nogach. W Birmingham High School wszyscy wciąż na mnie patrzyli, ale inaczej, nie jak na kurewkę, lecz jak na dziwoląga. Bardziej mi to odpowiadało. Piękno jest zwodnicze. Wolałam się ubierać w swój ból, swoją brzydotę. Marvel chciała, żebym maskowała blizny makijażem, ale odmówiłam. Byłam poszarpana i pozszywana, byłam kopalnią odkrywczą i po prostu musieli na mnie patrzeć. Miałam nadzieję, że będzie im niedobrze od tego widoku. Miałam nadzieję, że będę ich nawiedzać we snach.

Olivia nie wracała, jej corvette wciąż stała milcząca pod pokrowcem, spryskiwacze włączały się automatycznie o ósmej rano dokładnie na siedem minut, a lampy o szóstej wieczór. Na jej progu rosła sterta gazet. Nie zabierałam ich stamtąd. Miałam nadzieję, że spadnie deszcz i zniszczy jej „Vogue” za szesnaście dolarów.

Jakaż byłam łatwa. Jak pijawka przyczepiałam się do wszystkiego, do każdego, kto okazał mi trochę uwagi. Obiecałam sobie, że kiedy ona wróci, nie będę do niej chodziła, nauczę się być sama, to lepsze niż rozczarowanie, kiedy człowiek się dowiaduje, że i tak jest sam. Człowiek jest skazany na samotność, muszę się do niej przyzwyczaić.

Myślałam o niej, kiedy siedziałam pod widownią na sali

165gimnastycznej z Conradem i jego kolegami, pałac trawę. Z chłopcami łatwo było sobie poradzić, w tym miała rację. Wiedziałam, czego chcieli i mogłam im to dać albo nie. Do czego byłam jej potrzebna? Do niczego. Mogła sobie kupić bransoletę Georga Jensena, wazę Roblina.

Przed Bożym Narodzeniem znów było gorąco, smog gęsto otulał Dolinę, jak potężny ból głowy nad pokonanym terytorium, zasłaniając góry. Olivia wróciła, ale nie widywałam jej, widywałam tylko doręczycieli i mężczyzn, którzy ją odwiedzali. U Marvel wszyscy mieliśmy ferie. Wyciągnęliśmy z garażu zieloną metalową choinkę, ozdobiliśmy wszystkie drzwi kolorowymi sreberkami, postawiliśmy na asfalcie plastikowego bałwana, na dachu zamontowaliśmy tablicę ze Świętym Mikołajem i reniferem.

Przyszli krewni, którym nie zostałam przedstawiona, roznosiłam chrupki orzechowo-serowe. Robili sobie zdjęcia grupowe, do których mnie nie zapraszali. Piłam ognisty kogel-mogel z whisky z dzbanka dla dorosłych i kiedy nie mogłam już tego wszystkiego wytrzymać, wyszłam na zewnątrz.

Usiadłam w domku do zabawy dla dzieci, paliłam Tiparillo, które znalazłam w zostawionej przez kogoś paczce. Słyszałam bożonarodzeniowe kasety, które Marvel puszczała na okrągło, *Joey Bishop Christmas*, *Neil Diamond at Bethlehem*. Starr przynajmniej wierzyła w Chiystusa. Byliśmy wcześniej w kościele, obejrzelśmy słomę w szopce, dzieciątko Jezus, nowo narodzonego Króla.

Ze wszystkich wydarzeń zaznaczanych na czerwono w sentymentalnym kalendarzu amerykańskim moja matka najbardziej nienawidziła Bożego Narodzenia. Przypomniałam sobie, jak któregoś roku przyszłam do domu z papierowym aniołem, którego zrobiłam w szkole, a ona natychmiast wyrzuciła go do śmieci. Nawet nie zaczęła, aż pójde spać. W Wigilię zawsze czytała *Drugie przyjście* Yeatsa: „Cóż za bestia pełźnie w stronę Betlejem. ..”^{*} Piły-

^{*} W.B. Yeats, *Drugie przyjście*, w: *Od Chaucera do Larkina*, przeł. Stanisław Barańczak, Znak, Kraków 1993, s. 402.śmy grzane wino i rzucałyśmy kości runiczne. Nie chciała przyjść, żeby posłuchać, jak śpiewam *O Come All Ye Faithful* i *God Rest Ye Merry* z moją klasą w Cheremoy Elementary School. Nie chciała mnie zawieźć.

Lecz teraz, kiedy miałam za sobą świąteczne zakupy z Marvel, kiedy słyszałam wszechobecne kolędy z kaset, kiedy zobaczyłam migające kolczyki Marvel w kształcie lampek choinkowych, zaczęłam się skłaniać ku punktowi widzenia mojej matki.

Siedziałam w ciemnościach domku do zabawy i wyobrażałam sobie, że jestem teraz z nią, że jesteśmy w Laponii, w chacie z malowanego drewna, gdzie zima trwa dziewięć miesięcy, nosimy filcowe buty, pijemy mleko reniferów i świętujemy przesilenie dnia z nocą. Wyobrażałam sobie, jak przy wiązujemy do drzew widelce i metalowe rondle, żeby odstraszyć złe duchy, pijemy sfermentowany miód, jemy zebrane jesienią grzyby i mamy wizje. Renifery idą za nami, kiedy próbujemy się wysikać, spragnione soli w naszych ciałach.

W domu u Turlocków ubzdryngolony brat Eda, George, przebrał się za Świętego Mikołaja. Jego śmiech wybijał się nad pozostałe głosy. Ed siedział obok niego na kanapie,

jeszcze bardziej zawiany, ale on upijał się na spokojnie. Justin dostał tor rajdowy, który kosztował Eda tygodniową pensję, a Caitlin plastikowe autko do jeżdżenia, takie jak w supermarkecie. Wszystkie moje prezenty pochodziły ze sklepu, w którym wszystko kosztuje 99 centów. Latarka na breloczku do kluczy. Bluza z misiem pluszowym. Nałożyłam ją. Marvel się uparła. Pałac Tiparillo, włączałam i wyłączałam latarkę, w tym samym rytmie, w którym migotał nos renifera Rudolfa na dachu domu. Rudy i ja prowadziliśmy potajemną rozmowę.

Pomyślałam, że tak łatwo jest się zabić po pijanemu. Weź

*

kąpiel, zaśnij, utop się. Żaden żółw nie przyplynie ci z pomocą, żaden helikopter cię nie znajdzie. Wzięłam nóż mojej matki i bawiłam się w stukanie nim między palcami na podłodze domku. Byłam pijana, kilka razy trafiłam w palce. Podniosłam dłoń do góry i poczułam satysfakcję na widok krwi, tak samo jak na

167widok czerwonych bruzd na twarzy, które kazały ludziom odwracać głowy. Sądzili, że jestem piękna, ale się mylili, teraz mogli zobaczyć, jaka jestem brzydka i okaleczona.

Przycisnęłam nóż do nadgarstka, przeciągnęłam nim delikatnie w poprzek, wyobraziłam sobie, jak by to było, ale wiedziałam, że to nie jest sposób. Otwiera się żyły od góry do dołu. Trzeba wziąć pod uwagę struktury anatomiczne.

Jaka jest struktura anatomiczna tego wszystkiego, chciałam wiedzieć: Joey Bishop śpiewa *Jingle Bell Rock*, poeci śpią na pryzkach przykręconych do ścian, piękne kobiety leżą pod mężczyznami, którzy jedzą trzy kolacje pod rząd. Dzieci tulądo siebie żyrafy ze złamanymi szyjami i płaczą albo jeżdżą plastikowymi samochodzikami, mężczyźni bez wszystkich palców u dłoni tęsknią za czternastoletnimi kochankami, a kobiety z figurą gwiazdy porno przywołują Ducha Świętego.

Gdybym mogła mieć tylko jedno życzenie, Panie Jezu, to niech moja matka po mnie przyjedzie. Miałam dosyć zlizywania rosy z żagli. Miałam dosyć samotności, tego, że muszę sama chodzić, jeść i myśleć. Mimo wszystko nie uda mi się przeżyć.

Przez żaluzje domu Oli vii uciekały srebrniki światła. Dzisiaj żadnych mężczyzn. Byli w domu ze swymi dobrymi żonami lub dziewczynami. Kto chciałby spędzać święta z

kurwą?

O Boże. Spędzam tyle czasu z Marvel, że zaczynam się od niej zarażać. Pewnie niedługo zacznę wygłaszać rasistowskie uwagi. Olivia to Olivia. Ma kilka ładnych mebli i zegarów, dywanik i wypchaną papugę imieniem Charlie, podczas gdy ja mam trochę książek i drewnianą szkatułkę, podarty kaszmirowy sweter, plakat ze zwierzęcymi główkami. Niewielka różnica, W sumie żadna z nas nie ma zbyt wiele.

Poszłam więc do niej. Dziś wieczór nikt nie zauważy. Przed jej domem pachniało szczypiorkiem. Zapukałam, usłyszałam jej kroki. Otworzyła drzwi. Jej zszokowana mina przypominała mi, że nie widziała mnie od listopada.

Wciągnęła mnie do środka i zamknęła drzwi na zamek. Miała na sobie srebrnoszarą satynową koszulę nocną i *peignoir*. Słucha-

168ła tej samej muzyki, którą usłyszałam pierwszego wieczoru — kobieta ze łzami w głosie. Olivia usiadła na kanapie i pociągnęła mnie za rękę, ale stawiałam opór. Z trudem na mnie patrzyła. Dziewczyna z blizną, mówiły na mnie dzieciaki. Frank N. Stein.

— Boże drogi, co się stało?

Chciałam wymyślić coś inteligentnego, coś dowcipnego i sarkastycznego. Chciałam ją zranić. Zawiodła mnie, porzuciła mnie. Nie pomyślała o mnie.

— Gdzie byłaś? — spytałam.

— W Anglii. Co ci się stało w twarz?

— Dobrze się bawiłaś w Anglii? — Podniosłam ze stołu opakowanie kompaktu, na okładce Murzynka z twarzą podszytą światłem, biały kwiat za uchem. Śpiewała coś smutnego, o świetle księżyca przebijającym przez sosny. „Billie Holiday”, mówił napis. Czułam, że Olivia wpatruje się w moją twarz, w blizny na ramionach. Nie byłam już piękna. Teraz od zewnątrz wyglądałam identycznie jak w środku: otwarta rana. Olivia nie będzie chciała się ze mną zadawać.

— Astrid, spójrz na mnie.

Odłożyłam opakowanie kompaktu. Zauważyłam nowy przycisk do papieru, ziarnisty błękit paryski z białymi postaciami. Był ciężki i chłodny w mojej dłoni. Ciekawe, co by zrobiła, gdybym go upuściła na blat stołu i rozbila? Byłam pijana, ale nie na tyle. Odłożyłam przycisk na miejsce. — Właściwie to świat należy do psów. Wiedziałaś o tym?

Robią, co chcą. I to w moje urodziny. Skończyłam piętnaście lat.

— Czego ty chcesz, Astrid? — spytała mnie cicho, jak zawsze piękna, wciąż wytworna, ta gładka, jednolita twarz.

Nie wiedziałam, czego chcę. Chciałam, żeby mnie przytuliła, pożałowała. Chciałam ją uderzyć. Chciałam, żeby nie wiedziała, jak bardzo jej potrzebuję, chciałam, żeby mi obiecała, że już nigdy nie pojedzie.

— Przepraszam.

— Nie udawaj — odparłam. — Nie mówisz tego szczerze.

— Astrid! Co ja takiego zrobiłam? Wyjechałam z miasta? —

169Złożyła różowe dłonie w miseczkę, czego się spodziewała, że je napełnię? Czym? Wodą? Krwią? Przyglądziła satynowy dół ko-szuli nocnej. — To nie jest przestępstwo. Żałuję, że mnie tutaj nie było, ale nie zrobiłam nic złego.

Usiadłam na kanapie, położyłam nogi na stoliku pomiędzy antykami. Czułam się jak rozkapryszone dziecko, co było przyjemne. Przysunęła się do mnie na kanapie, poczułam jej perfumy, zielone i znajome. — Astrid, spójrz na mnie. Przykro mi. Czemu mi nie wierzysz?

— Nie kupuję magii. Nie jestem jednym z twoich klientów. Masz coś do picia? Chciałabym się tak naprawdę upić.

— Zamierzałam wypić koniaku do kawy, tobie też trochę dam.

Zostawiła mnie tam słuchającą Billie Holiday, a sama dzwoniła szkłem w kuchni. Nie zaoferowałam się z pomocą. Po chwili wróciła z kieliszkami, butelką brandy, szklankami i kawą na tacy. Pod każdym względem perfekcjonistka, nawet w sposobie kładzenia tacy na stole, plecy wyprostowane, kolana ugięte.

— Posłuchaj — powiedziała, siadając obok mnie. — Następnym razem przyślę ci kartkę, co ty na to? Szkoda, że cię tu nie ma, kochanie... Brandy. — Nalała koniak do kieliszków.

Wypiłam mój jednym haustem, nawet nie próbując rozkoszować się smakiem. Przypuszczalnie miał pięćset lat, został przywieziony na „Ninie”, „Pincie” i „Santa Marii”*. Zajrzała do swojego kieliszka, zakręciła koniakiem, powąchała, upiła łyżek.

— Nie jestem najbardziej troskliwą osobą na świecie — powiedziała Olivia. — Nie

należę do tych, co przysyłają kartki urodzinowe. Ale się postaram, Astrid. To wszystko, co mogę zrobić. — Sięgnęła ręką, by dotknąć mojej twarzy, ale nie potrafiła się na to zdobyć, jej dłoń wylądowała na moim ramieniu. Nie zareagowałam. — Och, na litość boską — powiedziała Olivia, zabrała rękę i oparła się o poduszki. — Nie dąsaj się. Zachowujesz się zupełnie jak mężczyzna.

Odwróciłam głowę i zobaczyłam nasze odbicie w lustrze, piękno pokoju, Olivia w srebrnej koszuli nocnej jak rtęć w świetle

170księżycu. A obok ta nieszczęsna blondynka, która wyglądała, jakby się przyplątała z innego filmu, twarz poznaczona pręgami, bluza za 99 centów, zmierzwiłone włosy.

— Przywiozłam ci coś z Anglii — powiedziała Olivia. — Chcesz zobaczyć?

Nie patrzyłam na nią. Co ona sobie myśli, że prezenty wszystko naprawią? Jednak nie mogłam się powstrzymać od podziwiania tych pięknych, powolnych ruchów, gdy poszła na tyły domu, srebrna satyna podążała w ślad za nią jak posłuszny piesek. Nalałam sobie brandy, zakręciłam kieliszkiem i patrzyłam na wirowanie bursztynowego płynu. Pachniał ogniem i owocami, płonął, gdy opadał na dno. Czułam się dokładnie tak samo, jak brzmiała Billie Holiday, jakbym wyplakała już wszystkie łzy, lecz to jeszcze było za mało.

Wróciła z małym białym pudełkiem i rzuciła mi je na kolana.

— - Nie chcę prezentów — powiedziałam. — Chcę czuć, że komuś na mnie zależy.

— Nie chcesz? — droczyła się ze mną, podniosła rękę, jakby chciała mi zabrać pudełko.

Otworzyłam pudełko z napisem Penhaligon, w środku był zawinięty w bibułę staroświecki flakonik perfum z kulką pokrytą koronką, perfumy miały kolor różowawy. Postawiłam go na stole. — Dziękuję.

— Nie bądź taka. Powąchaj. — Wzięła flakonik do ręki i spryskała mnie perfumami, pokryta koronką kulka rozpyliła delikatną mgiełkę.

Zapach zaskoczył mnie, w niczym nie przypominał Ma Griffe, perfumy pachniały jak małe kwiaty rosnące w liściastych angielskich lasach, jak dziewczynka, która nosi fartuszek i pantalon i wije wianki ze stokrotek, jak dziewczynka z wiktoriańskiej bajki.

Kiedy Olivia się uśmiechnęła, jej wada zgryzu zauroczyła mnie o wiele bardziej niż jej doskonałość. — Powiedz, czy to nie jest twój zapach?

Zabrałam jej flakonik i popryśkałam sobie nad głową, mgielka spadła mi na włosy jak mżawka. Zmyj moje grzechy. Uczynź ze

171mnie dziewczynkę, która nigdy nie widziała wrześnieowych burz ogniowych, do której nigdy nie strzelano, która nigdy nie klękała przed chłopakiem za toaletami w parku. Dziewczynka z wierszyka dla dzieci w niebieskiej sukience, tuli do siebie jagniątko w ogrodzie przy wiejskiej chacie. Tak, to ja. Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać, nałapałam więc sobie kolejną porcję brandy.

— Wystarczy — powiedziała, zabierając mi butelkę. Włókna moich blizn pulsowały alkoholem. Wiedziałam, że

nie zasługuję na to, żeby Olivia mnie kochała. Robiła, co mogła, kupiła mi odrobinę dzieciństwa we flakoniku pod patronatem królowej.

— Dziękuję, Olivia, naprawdę — powiedziałam.

— To już lepiej.

Następnego ranka obudziłam się boleśnie skulona na kanapie Olivii. Ktoś zdjął mi buty, w dłoni ścisnęłam flakonik różowych perfum. Albo było gorąco, albo miałam gorączkę, a ból głowy tłukł mi w boki czaszki jak w afrykański bęben. Włożyłam stopy do butów, nie zawiązując sznurówek, i poszłam poszukać Olivii.

Leżała na włóczkowej narzucie łożka z baldachimem w kratkę, zupełnie nieprzytomna, wciąż w szlafroku, nogi miała zgięte pod kątem prostym, jakby biegła we śnie. Na zegarze obok jej poduszki była jedenasta. Myślałam, że jest ósma. Pobiegnęłam do drzwi.

Byłam w połowie drogi przez ogród Olivii, kiedy z turkusowego domu wyszła Marvel, wynosząc autko Caitlin. Podniosła wzrok i rozdziawiła usta. Z jej twarzy zniknęły wszystkie kolory, jeśli nie liczyć Jesiennego Płomienia włosów.

Gdybym nie była taka skacowana, to może bym coś wymyśliła, a tak gapiłyśmy się na siebie i wiedziałam, że przyłapała mnie, gdy zastygłam jak sarna po kolana w rozmarynie i smagliczce. Potem zaczęły się krzyki i zamieszanie. Wybiegłam przez bramę, gdy na miękkich nogach cofnęłam się o kilka kroków w stronę

172domu Olivii. Zaczęła mnie szarpać za włosy. Głowa odskoczyła jej do tyłu, gdy poczuła mój oddech.

— Piłaś z tą kurwą? Może jeszcze z nią spałaś? — Uderzyła mnie w twarz, nie zważając na blizny, jej głos dudnił mi wewnątrz obolałej czaszki jak strzał z pistoletu w jaskini. Biła mnie, wlokąc do turkusowego domu, po głowie, po ramionach, wszędzie, gdzie mogła dosięgnąć. — Coś ty tam robiła? Tam spędziłaś noc? Tam? Mów! — Rąbnęła mnie w ucho, perfumy Penhaligon wyskoczyły mi z rąk i rozbiły się o asfalt.

Wyrwałam się jej, uklęłam, butelka pękła w swej srebrnej klatce, perfumy już wsiąkały w asfalt. Włożyłam dłonie do kałuży. Moje dzieciństwo, mój angielski ogród, mój kawalątek czegoś rzeczywistego.

Marvel złapała mnie za ramię i brutalnie postawiła na nogi, wrzeszcząc: —Ty niewdzięcznico!

Złapałam ją za ramiona i krzyknęłam jej w twarz: — Tak cię nienawidzę, że mam ochotę cię zabić!

— Jak śmiesz podnosić na mnie rękę! — Była znacznie silniejsza, niż myślałam. W jednej chwili uwolniła się od mojego uścisku i uderzyła mnie w twarz tak mocno, że przed oczami stanęły mi wzorzyste plamy. Złapała mnie pod pachą i zawlokła do domu, kopiąc mnie co kilka kroków.—Marsz do domu, marsz do domu!

Otworzyła drzwi i wepchnęła mnie do środka. Wpłynęłam na pobojowisko Wigilii, wszędzie brudne szklanki, miski, opakowania po prezentach. Dzieci oderwały wzrok od swoich nowych zabawek, Ed od meczu futbolowego. Zatoczyłam się na półkę z bibelotami, strącając talerz z rzucikiem w *Male kobiety*, który rozbił się o podłogę.

Wrzasnęła i uderzyła mnie w głowę z boku, znów zobaczyłam wzory.

— Zrobiłaś to naumyślnie! — Pchnęła mnie na podłogę, bałam się, że wgniecie mi twarz w potłuczoną porcelanę. Kopnęła mnie w zębra. — Pozbieraj to.

Dzieci wrzeszczały wniebogłosy.

173— Assi... — Caitlin podbiegła do mnie z rozpostartymi ramionami. Marvel złapała ją i wyprowadziła razem z Justinem przed dom, gdy ja z płaczem zbierałam okruchy talerza. Nie zrobiłam tego naumyślnie, ale może bym zrobiła, gdyby mi to przyszło do głowy. Marvel rozbiła moje perfumy, coś rzeczywistego, zrobionego pod

patronatem królowej z kilogramów angielskich wiosennych kwiatów, coś, co nie było kopią kopii ilustracji z książeczki dla dzieci. Kiedy wróciła, cisnęła we mnie miotłą. — Teraz pozamiataj resztę. — Odwróciła się do Eda. — Boże, nie uwierzysz, gdzie ją znalazłam. Wychodziła z domu tej czarnuchy, spędziła tam noc. Tak nam się odwdzięcza za cały nasz wysiłek i zmartwienia?

Ed pogłodził mecz.

Wyrzuciłam duże kawałki, Jo, Amy i Beth, tę jeszcze jedną, i Marmee. Stłuczona. Takie jest życie, Marmee. Jeden mały wypadek i koniec ze wszystkim. Jo nie będzie się dobrze czuła w rodzinie zastępczej, będzie się tułała, dostanie kulę w biodro. Amy zostanie adoptowana, jest ładna, ale już nigdy jej nie zobaczysz. Beth wykituje, ta jeszcze jedna będzie robiła klientom laskę w parku za marihuanę. Pożegnaj się z kominkiem, witaj w moim życiu.

Zamiotłam okruchy w jedno miejsce, uważałam, żeby nie zostawić żadnych odłamków, Caitlin zawsze chodziła boso.

— Jak skończysz, to zacznij sprzątać. Ja idę pogadać z tą murzyńską kurwą. — Patrzyłam przez okno w kuchni, jak Marvel idzie do drzwi Olivii, łomocze, krzyczy: — Obudź się, ty kurwo, ty ścierwo, ty hołoto. Trzymaj się z daleka od tej dziewczyny, słyszysz mnie, czarnucho?

Był pierwszy dzień świąt, wszyscy siedzieli w domach i słuchali tego, świętując narodziny króla. Znakomicie, Marvel. Do dzieła, stara, pokaż im wszystkim, na co cię naprawdę stać. Moją jedyną pociechą był fakt, że Olivia tego nie słyszy, bo leży nieprzytomna z tyłu domu.

Zanim Marvel wróciła do domu, powyrywała Olivii kwiaty i rzuciła nimi w okiennice.

174Chociaż mdliło mnie i bolała głowa, spędziłam dzień na sprzątaniu folii i papieru pakunkowego, odkurzaniu prażonej kukurydzy i styropianowych kulek, wnoszeniu śmieci i zmywaniu naczyń, którymi raz po raz napełniał się zlew. Marvel nie pozwoliła mi się położyć choćby na chwilę. — Jak sobie pościeliłaś, tak się wyśpisz — powtarzała.

Po południu przyszła policja. *Schutzstaffel*. Dzieci chciały ich zobaczyć, ale Marvel

wyszła na zewnątrz i zamknęła drzwi. Patrzyliśmy przez okno salonu, jak Marvel porusza ustami i wymachuje tłustym ramieniem w stronę domu Oli vii.

— Co oni chcą? — spytał Justin. Była trzecia po południu, lecz on wciąż miał na sobie pidżamę, a oczy szklily mu się od telewizji, słodczy i nowych zabawek.

— Komuś zginął pies — powiedziałam. Marvel otworzyła drzwi i zawołała mnie.

Szłam z płonącym szafirem nienawiści w środku. — *Jawohl* — wymamrotałam pod nosem.

Oczy Marvel tryskały gazem łzawiącym, skóra paliła mnie od jej spojrzenia. Starszy z dwóch mężczyzn wziął mnie na bok. — Ona mówi, że spędziłaś noc u tej kobiety obok. Formalnie biorąc, to jest ucieczka z domu.

Przestępowałam z nogi na nogę, każdemu uderzeniu serca towarzyszyło pulsowanie w głowie. Gdybym się postarała, to poczułabym zapach angielskich kwiatów. Komentator futbolowy krzyknął coś podniecony z domu i oczy gliniarza zerknęły w tamtą stronę, ale potem przypomniał sobie, po co tu jest i odwrócił się do mnie.

— Czy ta kobieta częstowała cię alkoholem?

— Nie. Marvel i Ed urządzili wczoraj wielkie przyjęcie wigilijne. Wlali dużo whisky do kogla-mogła. — Migotanie mojego szafiru, sierżancie Moody. Niech pan popatrzy, jak błyszczą. Nie chowam nic w rękawie. — Każą wam pracować w Boże Narodzenie? — spytałam.

— Płacą potrójnie — wyjaśnił. — Nie uwierzyłabyś, jakie są mi wyznaczył alimenty. Więc co robiłaś tam obok?

175— Słuchałam płyt, rozmawiałam.

— I spędziłaś tam noc?

— Tu był za duży hałas, żeby spać.

Pociągnął się za mięsisty koniuszek ucha. — Często tam chodzisz?

Wzruszyłam ramionami. — Jest sympatyczna, ale bardzo zajęta. Dużo podróżuje.

— Przetawiała cię kiedyś swoim znajomym? Potrząsnęłam głową i zostawiłam usta lekko uchylone, trochę

jak kretynka, jakbym nie miała pojęcia, do czego on zmierza. Chodzi ci o to, czy

próbowała mnie kiedyś umówić z jednym ze swych klientów? Czy sprzedała mnie kiedyś na tacy facetowi od BMW? Miałam ochotę roześmiać mu się w twarz.

— Mówiła ci kiedyś, jak zarabia na życie? — Powiedział to spokojnym tonem, głaszcząc swój krzaczasty wąs.

— Zdaje się, że zajmuje się cateringiem. — Nie wiem, skąd mi się to wzięło.

— Co za bzdury! — posiedziała Marvel, która rozmawiała parę kroków dalej z drugim gliniarzem i zwęziła z obrzydzeniem oczy.

Odwróciłam się plecami do turkusowego domu, żeby Marvel nie mogła czytać mi z ust. —Marvel jej nienawidzi, bo jest piękna i nie musi się przejmować dziećmi. Ciągłe ją wyzywa, mówi na nią czarnucha, kurwa. To nieprzyjemne, ale co mam zrobić, jestem tylko przybraną córką. Wszystkich sąsiadów tak wyzywa, niech pan spyta kogokolwiek. Ten jest wsiur, ta jest żydowska suka, wszyscy jej nienawidzą. — Sierżant Moody, ciągnący się za czerwony koniuszek ucha, pewnie też mówił czarnuch i wsiur, ale nie w sytuacjach, kiedy ktoś mógłby wnieść na niego skargę.

Posłali mnie do domu, ale patrzyłam przez okno w kuchni, jak *Schutzstaffel* idzie pod dom Oli vii i puka do drzwi. Pięć minut później wrócili.

— Nie aresztujecie jej? — krzyknęła Marvel.

Radiowóz powoli odjechał od krawężnika bez Oli vii Johns tone.

*

176Na resztę przerwy świątecznej sprawy wróciły do normy, tyle że Marvel obserwowała mnie jak złodzieja sklepowego, koniec z „wyprawami” na zakupy albo do biblioteki, koniec z gimnastyką. Ale prawie przestała na mnie krzyczeć, tak jak dawniej mówiła mi, co mam robić i generalnie traktowała mnie jak niewolnika. W sylwestra zostawiła mnie samą, żebym pilnowała dzieci, ale dzwoniła cztery razy, żeby sprawdzić, czy jestem. Zostawiłam Oli vii kilka wiadomości na sekretarce, ani razu nie podniosła słuchawki.

15

W pierwszy dzień szkoły po przerwie zimowej zostałam wezwana do gabinetu wicedyrektorki; w którym czekała na mnie skwaszona, otyła opiekunka z ośrodka. Wicedyrektorka powiedziała mi, żebym zabrała rzeczy ze swojej szafki i zostawiła

podręczniki na portierni. Ani razu nie spojrzała mi w twarz. Nowa opiekunka powiedziała, że ma moje rzeczy w samochodzie.

Obróciłam pokręteł zamka szyfrowego i wyjęłam podręczniki ze schowka. Byłam oszołomiona, ale nie do końca. Cała Marvel, zrobić coś takiego, kiedy byłam w szkole, bez ostrzeżenia. Rano byłam u nich, a parę godzin później już nie. Już nigdy ich nie zobaczę, nie będę miała okazji powiedzieć Marvel, co o niej myślę.

Opiekunka z ośrodka, pani Cardoza, besztowała mnie przez całą drogę do miasta, na autostradzie Ventura.

— Pani Turlock wszystko mi powiedziała. Że się szlajałaś, brałaś narkotyki. Przy małych dzieciach w domu. Zabieram cię w miejsce, gdzie cię nauczą porządku.

Była brzydką młodą kobietą z szeroką twarzą o szorstkiej skórze. Nie miałam ochoty się z nią spierać. Już nigdy się do nikogo nie odezwę, pomyślałam.

W jaki sposób Marvel wyjaśni dzieciom, dlaczego mnie nie

177ma, co im nakłamię? Że umarłam albo że uciekłam? Ale nie, to nie w stylu Marvel, kobiety z kartek firmy Hallmark*, która farbuje sobie włosy za zamkniętymi drzwiami. Wymyśli coś zupełnie odwrotnego, coś, co można by namalować na talerzu Franklina Minia. Że pojechałam zamieszkać na farmie u mojej babci, gdzie mamy kucyki i cały dzień jemy lody.

Olivia przypuszczalnie odetchnie z ulgą. Trochę jej będzie mnie brakowało, ale to nie było w jej stylu mocno za kimsz tęsknić. Za dużo złotych bransolet puka do jej drzwi. Woli czcić swetry. Objęłam się rękami w talii i oparłam o drzwi, żeby być możliwie najdalej od pani Cardozy. Gdybym miała więcej energii, to otworzyłabym drzwi i rzuciła się pod TIR-a, który jechał obok nas.

Nowy dom znajdował się w Hollywood, był to duży, drewniany Craftsman** z głębokim gankiem z okapem, za ładny jak na rodzinę zastępczą. Ciekawe, co to za historia? Pani Cardoza była podniecona, stale otwierała i zamykała torebkę. Latynoska dziewczyna z długim warkoczem wpuściła nas do środka, przyglądała mi się nieufnie. Wewnątrz było ciemno, w oknach ciężkie zasłony. Do połowy ścian połyskiwała boazeria pachnąca olejkiem cytrynowym.

Po chwili pojawiła się matka zastępcza, szykowna i wyprężona jak struna, z

frapującym pasemkiem w ciemnych włosach. Przywitała się z nami, pani Cardozie zaświeciły się oczy na widok szytego na miarę kostiumu Amelii i butów na wysokim obcasie.

— *Que pasa con su cara?* — spytała matka zastępcza. Co się stało z moją twarzą? Opiekunka wzruszyła ramionami.

Amelia zaprosiła nas, żebyśmy usiadły w salonie. Było tam pięknie, rzeźbione drewno, fotele na lwich łapach, biały adamaszek i robótki szydełkowe. Herbatę podała w srebrnej zastawie,

* Czyli słodkiej i fałszywej.

** Prosty, surowy styl lansowany przez czasopismo „Craftsman” na początku dwudziestego wieku, zainspirowany koncepcjami Williama Morrisa i angielskiego Arts and Crafts Movement.

178a maślane ciasteczka na białej porcelanie w kwiatki. Uruchomiłam wszystko, czego się nauczyłam u Olivii, zademonstrowałam jej, jak umiem trzymać filiżankę i spodeczek, nie upuszczając przy tym łyżeczki. Rozmawiały po hiszpańsku, kiedy ja patrzyłam na cedr himalajski za oknem wykuszowym. W salonie cicho, żadnego telewizora. Słyszałam tykanie zegara na kominku.

— Pięknie, co? Nie jak w domu dziecka — powiedziała Amelia Ramos z uśmiechem. Usiadła na skraju krzesła z nogami skrzyżowanymi na wysokości kostek. — To jest mój dom i mam nadzieję, że z przyjemnością zostaniesz częścią naszego życia.

Co chwilę korytarzem przechodziła coraz to inna dziewczyna, rzucała nieodgadnione spojrzenie do środka, w czasie gdy Amelia podpisywała dokumenty i tłumaczyła mi regulamin swoją angielszczyzną z lekkim akcentem. Każda dziewczyna gotuje i sprząta jeden wieczór w tygodniu. Będę ścieliła sobie łóżko, brała prysznic co dwa dni. Dziewczyny po kolei robią pranie i wykonują inne prace przy domu. Wyjaśniła, że jest dekoratorką wnętrz. Wymaga, żeby dziewczęta same się sobą zajmowały. Kiwałam głową za każdym razem, gdy przerywała, zastanawiając się, po co ona bierze do siebie dziewczęta. Może dom jest dla niej za duży i czuje się w nim samotna.

Przy politurowanym stole jadalnym dziewczęta rozmawiały ze sobą po hiszpańsku, śmiały się ściszonymi głosami i tylko na mnie patrzyły. Byłam biała. Znałam

tę sytuację, wiedziałam, że nic się nie da zrobić. Amelia przedstawiła mnie. Kiki, Lina, Silvana. Dziewczyna z długim warkoczem miała na imię Micaela, a żylasta, wyglądająca na twardzielkę dziewczyna z blizną w kształcie księżyca na czole, podająca do stołu, nazywała się Nidia Diaz. Jadłyśmy *chiles relleños*, z sałatą i chlebem kukurydzianym.

— Bardzo smaczne — powiedziałam, mając nadzieję, że Nidia przestanie się na mnie gapić.

— Ja daję im przepisy — powiedziała Amelia. — Niektóre z tych dziewcząt nie umieją nawet otworzyć puszek, kiedy do mnie przychodzą. — Zerknęła na Nidię i się uśmiechnęła.

179 Po kolacji zanosiliśmy talerze do kuchni, gdzie Nidia zaczęła myć naczynia. Wzięła ode mnie talerz i spojrzała przez szparki oczu, ale nic nie powiedziała.

— Chodź tutaj, Astrid — zawołała Amelia. Zaprowadziła mnie do pokoju dziennego, bardziej kobiecego niż salon, z obrusami z koronki i staroświecką kanapą. Kazała mi usiąść na fotelu obok siebie. Na stoliku z marmurowym blatem otworzyła duży album oprawiony w skórę. — To jest mój dom. W Argentynie. Miałam tam wspaniały dom. — Zobaczyłam różowy dom z brukowanym kamieniami podwórzem, bankiet przy oświetlonych świecami stołach ustawionych wokół prostokątnego basenu. — Mogłam zaprosić dwieście osób na kolację — powiedziała.

W ciemnym wnętrzu domu były ciężkie schody, ciemne obrazy świętych. Na jednym ze zdjęć Amelia w perłach siedziała na tronowatym fotelu przed swoim portretem, suknię balową miała przepasaną szarfą, a obok jej fotela stał mężczyzna, także z szarfami, i śliczny mały chłopiec. — To jest mój syn, Cesar, i mój mąż.

Co też się stało w Argentynie — skoro było tak wspaniale, to co ona robi w Hollywood? Co się stało z jej mężem i chłopczykiem? Miałam ją o to zapytać, kiedy przewróciła kartkę i pokazała polakierowanym paznokciem zdjęcie dwóch dziewcząt w brązowych uniformach, które klęczały na trawniku.

— Moje druhny — powiedziała, uśmiechając się tęsknie. — Siedziały beczynn timer na swych tłustych *culos*, więc kazałam im wyrywać chwasty.

Spojrzała z upodobaniem na zdjęcie dziewcząt wyrywających chwasty. Ciarki mnie przeszły. Rozumiem, że można komuś kazać wyrywać chwasty, ale robić zdjęcie?

Uznałam, że będzie lepiej, jeśli nic nie będę wiedziała.

Mój pokój był duży, z dwoma łózkami przykrytymi patchwor-kami w kwiaty i widokiem na cedr himalajski. Dzieliłam go z Silvana, starszą dziewczyną z wyskubanymi brwiami i ustami obrysowanymi konturówką, lecz nie wypełnionymi kredką. Leżała na łóżku oddalonym od drzwi, piłując paznokcie i patrząc,

180jak wkładam ubrania do komody, a pudełka do wbudowanej szafy.

— Poprzednio spałam na ganku do wieszania prania — powiedziałam. — Tu jest bardzo ładnie.

— Nie ludz się — powiedziała Silvana. — I nie myśl, że z podlizywania się tej suce cokolwiek ci przyjdzie. Lepiej bądź po naszej stronie.

— Ona wydaje się w porządku.

Silvana roześmiała się. — Jeszcze zobaczysz, *muchacha*.

Rano czekałam na swoją kolej, by skorzystać z olbrzymiej, wyłożonej białymi kafelkami łazienki, potem się ubrałam i zeszłam na dół. Dziewczęta wychodziły już do szkoły.

— Spóźniłam się na śniadanie?

Silvana nie odpowiedziała, tylko zarzuciła na ramiona plecak, kierując na mnie dwa obojętne łuki brwi. Zatrąbił klakson i wybiegła na zewnątrz, wsiadła do nisko zawieszzonego purpurowego pikapa i odjechała.

— Chcesz śniadanie? — spytała Nidia, nakładając w przedpokoju kurtkę baseballową. — Jest w lodówce. Zostawiłyśmy dla ciebie.

Lina i Kiki Torrez roześmiały się nieprzyjemnie. Wróciłam do kuchni. Lodówka była zamknięta na kłódkę. Kiedy wróciłam do przedpokoju, wciąż tam stały.

— Smakowało? — spytała Nidia. Oczy z bursztynowymi źrenicami migotały jej pod blizną w kształcie księżycy jak sokołowi.

— Gdzie jest klucz? — spytałam.

Kiki Torrez, drobna dziewczyna z długimi błyszczącymi włosami, roześmiała się głośno.

— U jejmość klucznicy. Twojej przyjaciółki szlachcianki.

— Jest teraz w pracy — powiedział Lina, malutka dziewczyna z Ameryki Środkowej z szeroką twarzą Majów. — Wraca o szóstej.

— *Adios*, blondyna — powiedziała Nidia, przytrzymując drzwi, kiedy wychodziły.

181 Nie zajęło mi dużo czasu, by zrozumieć, dlaczego dziewczęta nazywają Amelię Cruella De Vii. W pięknym drewnianym domu stale chodziłyśmy głodne. W weekendy, kiedy Amelia była w domu, dostawałyśmy jeść, ale w ciągu tygodnia jadłyśmy tylko kolację. Zamykała lodówkę na kłódkę, a telefon i telewizor miała w swoim pokoju. Trzeba było prosić o pozwolenie na skorzystanie z telefonu. Jej syn, Cesar, mieszkał w pokoju nad garażem, miał AIDS i cały dzień palił trawkę. Było mu nas żal, wiedział, że jesteśmy głodne, ale z drugiej strony nie płacił czynszu, uważał więc, iż nie może nic zrobić.

Siedziałam w Hollywood High School (byłam w dziesiątej klasie) na zajęciach z medycyny i głowa mi pękała. Nie potrafiłabym powiedzieć, czy uczymy się o chorobach wenerycznych czy

o gruźlicy. Słowa bzycały jak muchy, które nie chcą usiąść, słowa przemaszerowywały mi przez strony podręcznikajak kolumny mrówek. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym oprócz makaronu z serem, który miałam ugotować tego wieczora na kolację, o tym, jak by tu zjeść tyle sera, ile się we mnie zmieści, i nie zostać przyłapaną.

Kiedy przyrządzałam biały sos do spaghetti z serem, schowałam za stertą talerzy kostkę margaryny. Dziewczęta od razu mi powiedziały, że ta, która ma służbę w kuchni, kradnie jedzenie dla wszystkich, a jeśli nie będę tego robiła, to dadzą mi popalić. Po umyciu naczyń zniosłam margarynę do swojego pokoju pod koszulą. Kiedy usłyszałyśmy, że Amelia rozmawia w swoim pokoju przez telefon ze znajomą, wszystkie przyszły do naszego pokoju

1 zjadłyśmy całą kostkę. Pokrajałam ją swoim nożem na równe kawałki. Jadłyśmy powoli, lizaliśmy ją jak lody. Czułam, jak skondensowane kalorie przenikają mi do krwi, byłam nabuzowana.

— Osiemnaście lat i do widzenia — powiedziała Nidia, oblizując palce. — O ile wcześniej nie zabiję tej suki.

Lecz Amelia lubiła mnie. Sadzała mnie obok siebie i pozwalała dokończyć po sobie

jedzenie, kiedy się już najadła. Kiedy była w szczególnie dobrym nastroju, zapraszała mnie po kolacji do salonu, aby porozmawiać o urządzaniu wnętrza, pokazać mi

182swoje wzorniki płytek ceramicznych i tapet. Kiwałam głową, słuchając jej niezliczonych anegdot o arystokratycznej Argentynie, a jednocześnie żłopałam herbatę i objadałam się maślanymi herbatnikami. Dziewczętom nie podobała się moja kolaboracja z wrogiem i nie miałam im tego za złe. Nie rozmawiały ze mną w szkole ani na ulicy w długie, wygłodniałe popołudnia, zanim

#

ona wróciła do domu. Żadna z nas nie miała klucza od domu — mogłybyśmy coś ukraść, włamać się do jej pokoju, skorzystać z telefonu.

Co mogę powiedzieć o tym okresie mego życia? Głód dominował nad każdą chwilą, głód i jego milczący towarzysz, nieustanna senność. Szkoła mijała jak we śnie. Nie potrafiłam myśleć. Logika brała nogi za pas, a pamięć wyciekała jak olej silnikowy. Brzuch mnie bolał, przestałam mieć okres. Unosiłam się nad chodnikiem, byłam dymem. Przyszły deszcze, byłam chora i po szkole nie miałam dokąd pójść.

Włóczyłam się ulicami Hollywood. Wszędzie było pełno bezdomnych dzieci, skulonych po bramach, prosiły o narkotyki, pieniądze, papierosy, całusa. Zaglądałam im w twarze i widziałam swoją własną. Przy Las Palmas dziewczyna z wygoloną połową głowy zaczęła za mną iść, nazywała mnie Wendy.

— Nie zostawiaj mnie, Wendy! — wrzeszczała za mną. Otworzyłam nóż w kieszeni i kiedy złapała mnie z tyłu za kurtkę, odwróciłam się i przystawiłam go jej do gardła.

— Nie jestem Wendy — powiedziałam. Twarz spłynęła jej łzami. — Wendy — szepnęła.

Pewnego dnia bezwiednie zaczęłam iść na zachód zamiast na wschód, potem na północ, zygakowałam mokrymi uliczkami, spijałam żywiczne zapachy eukaliptusa, pittosporum i ostatnich pomarańczy, które ostały się jeszcze na drzewach. W butach chlupała mi woda, twarz płonęła gorączką. Wiedziałam, że powinnam się schować przed deszczem, wysuszyć stopy, żeby nie dostać zapalenia płuc, ale jakiś dziwny poryw pchał mnie na

183północ i zachód. Zerwałam pomarańczę z czyjegoś drzewa, była kwaśna jak

ocet, ale potrzebowałam witaminy C.

Dopiero kiedy wyszłam na Hollywood Blvd, zdałam sobie sprawę, dokąd zmierzam. Stałam przed naszym starym blokiem mieszkalnym, brudnobiałym z deszczowymi smugami, z bananów, palm i lśniących oleandrów kapłała woda. Tutaj się rozbił nasz samolot. Zobaczyłam nasze okna, te, w których Barry stłukł szyby. Okna Michaela. W jego mieszkaniu świeciło się światło.

Moje serce na chwilę zbudziło się do życia, wezbrało nadzieją, kiedy odczytywałam nazwiska przy dzwonek, wyobrażając sobie, że Michael otwiera drzwi, zaskoczony, zapach Jima Be-ama, ciepło jego mieszkania, sypiący się sufit, sterty „Variety”, klasyczny film w telewizji, entuzjastyczne powitanie. Masaoka, Benoit/Rosnik, P. Henderson. Nie ma McMillana, nie ma Mag-nussen.

Rozczarowanie uświadomiło mi, czego się spodziewałam. Że wciąż tam mieszkamy. Że wejdę i zastanę matkę piszącą wiersz, owinę się w kołdrę i to wszystko będzie tylko snem, który jej opowiem. Że nie jestem dziewczyną o krok od bezdomności, zjadającą resztki z talerza Amelii. W tym mieszkaniu moja matka nigdy nie poznała Barry'ego Kolkra, a o czymś takim jak więzienie czytała tylko w gazetach. Wy szczotkuje jej włosy, czując zapach fiołków, w gorące noce będziemy znowu pływały i nadawały gwiazdom nowe imiona.

Wyprowadziliśmy się jednak. Michael też się wyprowadził. Drzwi były zamknięte, a basen zarósł glonami, deszcz dziurkował zieloną narzutę.

Oparłam się o ścianę stołówki Hollywood High, trzęsłam się z gorączki i próbowałam nie patrzeć, jak inni uczniowie jedzą. Jakąś dziewczyna zajrzała do swojej torebki z drugim śniadaniem, skrzywiła się i wyrzuciła jedzenie, które nie znalazło jej uznania. Byłam zaszokowana. Oczywiście, po powrocie do domu będzie na nią czekał posiłek. Miałam ochotę uderzyć ją w twarz. Potem przypomniałam sobie *Sztukę przetrwania*. Kiedy twój

184samolot się rozbija, pijesz wodę z chłodnicy, zabijasz kijem psy ciągnące sanie. To nie jest pora na wybredność.

Podeszłam do kubła i zajrzałam do środka. Ujrzałam jej brązową papierową torbę na wierzchu śmieci. Cuchnęło straszliwie, nigdy nie myli kubłów, ale byłam w stanie to zrobić. Udałam, że coś mi wpadło do śmieci, a potem złapałam za torbę z drugim

śniadaniem. W środku znalazłam kanapkę z tuńczykiem i żurawiną z białego chleba posmarowanego masłem. Skórki były odkrojone. Były też marchewki, a nawet puszka soku jabłkowego wzbogaconego witaminą C.

W porównaniu z zatłukiwaniem na śmierć psów ciągnących sanie, to było proste. Nauczyłam się obserwować, kiedy dzwonił dzwonek i wszyscy wyrzucali swoje drugie śniadania, żeby pobic z powrotem do klas. Zawsze się spóźniałam na piątą lekcję, ale dłonie przestały mi się trząść.

A potem któregoś dnia zostałam nakryta. Jakaś dziewczyna powiedziała do koleżanki: — Popatrz, co za ohydna dziewczyna. Je śmieci. — Wszyscy się obejrzeli, żeby na mnie spojrzeć. Zobaczyłam się ich oczami: twarz pokryta bliznami, wyjadam palcem wyrzucony jogurt. Gdybym wiedziała, gdzie można coś zjeść, przestałabym chodzić do szkoły.

Znalazłam bibliotekę, w której mogłam bezpiecznie spędzać popołudnia na oglądaniu albumów o sztuce i rysowaniu. Nie byłam już w stanie czytać, słowa nie chciały stać spokojnie. Uciekały w dół strony, jak róże na tapecie. Rysowałam figury samby na papierze w linie, kopiowałam umiędzionych świętych Michała Anioła i mądre Madonny Leonarda da Vinci. Narysowałam siebie jedzącą drugie śniadanie z kubła na śmieci obiema rękami, płochliwą jak wiewiórka, i wysłałam obrazek matce. Dostałam list od jej koleżanki z celi.

Droga Astrid!

Ty mnie nie znaż, ja jezdę w jednej celi z Twojom matkom. Od Twoich listów to ona jest okropnie smólna. Pisz

185takie bardzi wesołe rzeczy, jak dostajesz same piontki i podobasz się chłopakom. Ona jezd tutaj na dożywocie, po co ma jej być jeszcze bardzi cienszko.

Twoja przyjaciółka Lydia Guzman

Pocomajej być jeszcze bardziej ciężko, Lydia? Bo to jej wina, że tutaj jestem. Nie zamierzam jej niczego oszczędzać.

Odpowiedź mojej matki była bardziej praktyczna. Kazała mi codziennie dzwonić do ośrodka adopcyjno-opiekuńczego i wrzeszczeć, do czasu aż przydzielą mnie do innej rodziny zastępczej. Litery były duże, ponure i dobitne. Czułam jej wściekłość, grzałam się

w niej. Potrzebowałam jej siły, jej ognia.

— Nie pozwól, żeby o tobie zapomnieli — powiedziała.

Tu jednak nie chodziło o to, że o mnie zapomnieli. Tu chodziło o to, że włożyli mnie do szafy w teckce z moim nazwiskiem i zamknęli drzwi. Byłam trupem w kostnicy z identyfikatorem na palcu.

Ponieważ nie miałam pieniędzy, zebrałam na parkingu koło sklepu z alkoholami i supermarketu, prosiłam mężczyzn o drobne, żebym mogła zadzwonić do ośrodka adopcyjnego. Mężczyźni zawsze litowali się nade mną. Parę razy mogłam ich nawet obsłużyć. Byli to sympatyczni mężczyźni, którzy ładnie pachnieli, mężczyźni z biur, którzy wyglądali na gotowych zapłacić pięćdziesiąt dolarów. Nie chciałam jednak zaczynać. Wiedziałam, czym by się to skończyło. Nakupiłabym sobie jedzenia, a potem znowu byłabym głodna, tyle że byłabym również kurwą. Kiedy zaczniesz myśleć, że to jest proste, zapominasz, jakie są koszty.

Amelia dowiedziała się, że prosiłam o przeniesienie. Siedziałam skulona na skraju niewygodnej sofy z drewnianym stelażem, gdy ona chodziła tam i z powrotem po salonie, pomstowała, młóciła rękami powietrze.

— Jak śmiesz mówić takie bezczelne kłamstwa o moim domu! Traktuję cię jak własną córkę, a ty tak mi się odpłacasz?

186Tymi kłamstwami? — Białka jej oczu świeciły wokół czarnych źrenic, w kącikach cienkich ust zgromadziła się ślina.—Nie podoba ci się mój dom? Poślę cię do Mac. Zobaczysz, jak tam cię będą karmić. Masz szczęście, że pozwalam ci siedzieć przy stole z innymi dziewczynami, z twoją ohydłą twarzą. W Argentynie nie wolno by ci było wchodzić frontowymi drzwiami.—Moja twarz. Czułam, jak pulsują mi blizny wzdłuż szczęki. — Co ty wiesz o szlacheckim domu? Pospolity uliczny śmieć. Matka w więzieniu. Ty cuchniesz śmieciem. Kiedy wchodzisz do pokoju, dziewczęta wstrzymują oddech. Szargasz mój dom. Twoja obecność mnie obraża. Nie chcę na ciebie patrzeć. — Odwróciła się, wskazała schody z politurowanego drewna. — Idź do swojego pokoju i zostań tam!

Wstałam, lecz zawahałam się. — A co z kolacją?

Obróciła się na obcasie buta z patentowej skóry i roześmiała się. — Może jutro.

Leżałam na łóżku w pięknej sypialni pachnącej cedrem, żołądek miotał się we mnie jak kot w worku. Przez cały dzień chciałam tylko spać, ale w nocy obrazy moich dni powracały jak pokaz przezroczy. Czy naprawdę śmierzę? Jestem śmieciem? Jestem ohydna?

Usłyszałam, że wchodzi Sil vana, siada na łóżku. — Miałaś się za kogoś szczególnego, co? Ważniara. Teraz widzisz, że niejesteś lepsza od nas. Lepiej się zamknij, bo wylądujesz w Mac. — Rzuciła mi na koc bułkę z kolacji.

Zjadłam ją na dwa gryzy. Prawie się rozplakałam, taka była pyszna. — Co to jest Mac? — spytałam.

Usłyszałam jej zniecierpliwione westchnienie. — Dają cię tam, kiedy nie masz dokąd pójść. Nie wytrzymałabyś ani dnia. Zjadłyby cię na śniadanie, bo jesteś biała.

— Przynajmniej jedzą śniadanie. Sil vana zarechotała w ciemnościach.

Na zewnątrz przejechał samochód, jego reflektory malowały na suficie ruchome cienie.

— Byłaś tam kiedyś? — spytałam.

187— Nidia była. Nawet ona mówiła, że było ciężko, a ona jest *loca*. Lepiej się zamknij i wytrzymaj jak wszystkie inne. Pamiętaj, osiemnaście lat i do widzenia.

Aleja miałam dopiero piętnaście lat.

Teraz ulubienicą Amelii została Kiki Torrez, to ona siedziała po jej prawicy i zjadała resztki z jej talerza jak pies. Czułam jednocześnie zazdrość i niesmak. Teraz Kiki przewracała strony albumów z argentyńskimi wycinkami i jadła maślane ciasteczka, podczas gdy ja ręcznie prałam w zlewie brudną bieliznę Amelii, szorowałam jej wannę, prasowałam jej ubrania i obrusy z koronkowymi obszyciami, a jeśli wpadłam na pomysł, żeby coś zniszczyć ze złośliwości, to nie dostawałam kolacji.

Wygrywała nas nawzajem przeciwko sobie. Pewnego wieczoru ukradłam puszkę słodkich ziemniaków, a ona kazała Kiki powiedzieć, kto to zrobił. Jeszcze bardziej straciłam na wadze, żebra mi sterczały jak wręgi łodzi. Zaczynałam rozumieć, jak człowiek może zabić innego człowieka.

— Powinnaś wziąć do siebie dziewczęta — usłyszałam kiedyś, jak mówi do swej przyjaciółki Constanzy, kiedy ja polerowałam sztukce. — To łatwe pieniądze. Możesz

wyremontować mieszkanie. Ja mam zamiar wyremontować łazienkę.

Polerowałam szczoteczką do zębów skomplikowane spirale rączki widelca. Zrobiłam to już poprzedniego dnia, ale zauważyła, że zostało trochę brudu w zagłębieniach i musiałam czyścić jeszcze raz. Miałam ochotę wbić jej go we flaki. Mogłabym zjeść jej mięso na surowo.

Wreszcie w ciemności marca, po tygodniach prawie codziennych telefonów, pani Cardoza olała mnie i zajęła się mną nowa opiekunka, anioł boży nazwiskiem Joan Peeler. Była młoda, nosiła się na czarno i miała włosy pofarbowane na rockandrollowy czerwony kolor. Na każdej ręce miała po cztery srebrne pierścionki. Bardziej przypominała poetkę niż urzędniczkę. Kiedy przyszedł czas naszego spotkania, spytałam ją, czy zna jakieś kawiarnie.

188Zabrała mnie do jednej w Vermoncie. Minęłyśmy kilka stolików na zewnątrz, przy których paru dygoczących palaczy usiłowało uniknąć zmoczenia przez deszcz, i weszłyśmy do ciepłego, wilgotnego wnętrza. Natychmiast opadły mnie wspomnienia — czarne ściany i zapach hipisowskiej zupy, stolik przy kasie zaśmiecony ulotkami i darmowymi gazetami. Nawet żenująco brzydkie obrazy namalowane gęstymi pigmentami sprawiały znajome wrażenie — zielone kobiety z długimi piersiami i wampirzymi kłami, mężczyźni z gotycko strzelistymi erekcjami. Pamiętałam głos mojej matki, jej irytację, kiedy warkot maszyny do robienia capuccino zagłuszał jej czytanie, tomiki ustawione w stertę na stole, przy którym rysowałam i brałam pieniądze, kiedy ktoś chciał kupić tomik.

Chciałam mieć ją z powrotem. Ogarnęła mnie tęsknota za jej cichym, ekspresyjnym głosem. Chciałam, żeby powiedziała coś dowcipnego i okrutnego o sztuce albo jakąś anegdotę o innej poetce. Chciałam poczuć jej dłoń na swoich włosach, chciałam, żeby głaskała mnie, mówiąc.

Joan Peeler zamówiła herbatę brzoskwińową. Ja wzięłam mocną kawę ze śmietanką i z cukrem i największe ciastko, jakie mieli, francuskie z jagodami w kształcie serca. Siedziałyśmy przy stoliku, z którego widać było ulicę, pogrzebowe parasole, słyszałyśmy ciche syczenie samochodów pokonujących kałuże. Otworzyła teczkę z moimi dokumentami na lepkim blacie. Staralam się jeść powoli, smakować francuskie ciasto i całe jagody, ale byłam zbyt głodna. Zjadłam połowę, zanim ona zdążyła podnieść wzrok.

— Pani Cardoza zaopiniowała, żeby cię nie przenosić — powiedziała moja nowa opiekunka. — Mówi, że masz zupełnie dobre warunki, że to tylko kwestia twojej postawy.

Wyobrażałam sobie, jak to pisze, pani Cardoza, skóra aż ciężka od makijażu, który nakładała jak lukier. Nigdy mnie nigdzie nie zabrała, kiedy się ze mną spotykała, zawsze spędzała cały czas na rozmowach po hiszpańsku z Amelią, przy ciasteczkach maślanych i herbacie Yerba Buena w filiżankach ze spodkami w kwiaty. Amelia, duży dom, błyszczące sztucze robiły na

189niej wielkie wrażenie. Cały wystrój wewnątrz. Nigdy się nie zastanawiała, skąd ona wzięła na to pieniądze. Za sześć dziewcząt można było sporo urządzić, nawet antykami, zwłaszcza jeśli nie dawało się im jeść.

Zerknęłam na ociekający, ciężki obraz kobiety leżącej na łóżku, nogi rozchylone, z pochwy wypływają węże. Joan Peeler wyciągnęła szyję do tyłu, aby zobaczyć, na co patrzę.

— Powiedziała, dlaczego prosiłam o przeniesienie? — Zlizalam cukier puder z palców.

— Powiedziała, że skarżyłaś się najedzenie. I że pani Ramos ogranicza korzystanie z telefonu. Uznała cię za inteligentną, lecz rozkapryszoną.

Roześmiałam się głośno. Podciągnęłam sweter, żeby pokazać jej zębra. Mężczyźni przy stoliku po drugiej stronie sali też spojrzeli, jeden był pisarzem z przenośnym komputerem, drugi, student, robił notatki. Czekali, czy podniosę jeszcze wyżej. Nie zrobiłoby to większej różnicy, nie zostało mi na górze zbyt wiele.

— Ona nas głodzi — powiedziałam, opuszczając sweter.

Joan Peeler zmarszczyła czoło, nalewając herbatę przez trzciniowe sitko do wyszczerbionej filiżanki. — Dlaczego pozostałe dziewczęta się nie skarżą?

— Boją się, że zostaną przeniesione do jeszcze gorszego domu. Ona mówi, że jeśli się poskarżymy, to wyśle nas do Mac.

Joan odłożyła sitko. — Jeśli to, co mówisz, jest prawdą i potrafimy to udowodnić, to mogą jej cofnąć pozwolenie na branie do siebie dzieci.

Wyobraziłam sobie prawdopodobny rozwój wydarzeń. Joan wszczyna dochodzenie, przenoszą ją do San Gabriel Valley, a ja tracę młodą opiekunkę, która jeszcze się interesuje swymi podopiecznymi.

-^ - To może zająć dużo czasu. Ja muszę się stamtąd wyrwać natychmiast.

— Ale co z pozostałymi dziewczynami? Nie obchodzi cię, co się z nimi stanie? — Oczy Joan Peeler były duże i rozczarowane mną, obwiedzione czarnym konturem wokół powiek.

190 Pomyślałam o pozostałych dziewczętach, małomównej Mi-caeli, Linie, Kiki Torrez. Były tak samo głodne jak ja. A dziewczęta, które przyjdą po nas, dziewczęta, które w tej chwili nawet nie wiedzą, że istnieje coś takiego jak rodzina zastępcza, co z nimi? Powinnam chcieć odebrania Amelii pozwolenia, ale trudno mi było wyobrazić sobie te dziewczęta. Wiedziałam tylko, że przymieram głodem i że muszę się stamtąd wydostać. Czułam się okropnie, że chcę uratować siebie, lecz nie je. Nie chciałam mieć o sobie takiego wyobrażenia. W głębi duszy wiedziałam jednak, że one zrobiłyby to samo. Żadna by się mną nie przejmowała, gdyby miała szansę się wyrwać. Poczulałabym powiew powietrza od trzaskających za nimi drzwi.

— Przestałam mieć okres — powiedziałam. — Żywię się resztkami ze śmietnika. Proszę nie kazać mi czekać. — Ojciec Thomas powiedział, że w piekle grzesznicy są obojętni na cierpienie innych, że to element potępienia. Dopiero teraz to zrozumiałam.

Kupiła mi jeszcze jedno ciastko, a ja narysowałam ją na odwrocie jednego z jej dokumentów, włosy zrobiłam trochę mniej strąkowate, pominęłam pieprzyk na podbródku, trochę lepiej rozmieściłam oczy. Napisałam datę i dałam rysunek mojej opiekunce. Rok wcześniej panikowałam na myśl, że zostanę uznana za osobę bez serca. Teraz chciałam tylko regularnie jeść.

Joan Peeler powiedziała, że jeszcze nigdy nie spotkała takiego dziecka jak ja, chciała poddać mnie testom. Przez dwa dni wypełniałam formularze grubym czarnym ołówkiem. „Owca ma się do konia jak struś do...” Robiłam to już wcześniej, kiedy wróciłyśmy z Europy, i myśleli, że jestem opóźniona w rozwoju. Tym razem nie czułam pokusy, żeby rysować na fiszkach komputerowych. Joan powiedziała, że wyniki są znaczące. Powinnam chodzić do specjalnej szkoły, jestem zbyt dojrzała jak na dziesiątą klasę, powinnam realizować zindywidualizowany, bardziej ambitny program.

Zacząła mnie odwiedzać co tydzień, czasami dwa razy w tygodniu, zabierała na smaczny posiłek na koszt hrabstwa. Pieczone

191 kurczaki, kotlety wieprzowe. Półfuntowe hamburgery w restauracjach, w

których jako kelnerzy pracowali sami aktorzy. Przynosili nam dodatkowe krążki cebuli i surówkę z kapusty pekińskiej.

Podczas tych posiłków Joan Peeler opowiadała mi o sobie. Tak naprawdę była scenarzystką, a w ośrodku adopcyjno-opiekuńczym tylko zarabiała na życie. Scenarzystka. Wyobraziłam sobie szyderstwa mojej matki. Joan pisała scenariusz na temat swoich doświadczeń jako opiekunki w ośrodku. — Nie uwierzyłybyś, jakie ja rzeczy widziałam. Coś niesamowitego. — Jej chłopak Marsh też był scenarzystą, pracował dla Kinkos Copies. Mieli białego psa Caspra. Chciała zaskarbić sobie moje zaufanie, żebym opowiedziała jej różne rzeczy o moim życiu, które mogłaby umieścić w scenariuszu. Zbieranie materiałów, jak to nazwała.

To była taka gra. Ona chciała, żebym się przed nią obnażyła, podniosłam rękaw do łokcia, żeby jej pokazać kilka blizn od ugryzień psów. Nienawidziłam jej i zarazem potrzebowałam. Joan Peeler nigdy nie zjadła kostki margaryny. Nigdy nie zebrała o ćwierćdola-rówki na parking sklepu z alkoholami, żeby mieć pieniądze na telefon. Czulałam się, jakbym praehandlowywała kawałki siebie za hamburgery. Paski mięsa z biodra do założenia na haczyk jako przynęta. Kiedy rozmawialiśmy, ja szkicowałam nagich tancerzy karnawałowych w skomplikowanych maskach na twarzach.

16

Joan Peeler znalazła dla mnie nową rodzinę. Dziewczyny ostentacyjnie mnie ignorowały, kiedy Joan pomagała mi nosić rzeczy do lekko stukniętego czerwonego karmanna Ghia z nalepkami na zderzaku, które mówiły: „Kochaj swoją matkę”, „Zdążaj ku światłości”, „Prawdziwy przyjaciel nie pozwala swym przyjaciołom głosować na republikanów”. Silvana sarknęła, że mam specjalne traktowanie, bo jestem biała. Może miała rację. Przy-puszczalnie miała rację. To nie było sprawiedliwe. Ani trochę. Ale tego marcowego dnia, jednego z tych cudownych marcowych dni w LA, kiedy każdy fotograf pstryka zdjęcie za zdjęciem, ponieważ miasto wygląda w ten sposób tylko przez trzy dni w roku, z niebem błękitnym jak sójka amerykańska, białymi czapami gór i widokami na sto mil, nie przejmowałam się tym. Interesowało mnie tylko to, że odchodzę z tego domu.

Na Baldy leżał śnieg i widać było każdą palmę przy Wilshire Blvd pięć mil dalej. Joan Peeler puszczała po drodze kasetę z zespołem Jewel.

— Polubisz tych ludzi, Astrid — powiedziała, kiedy jechałyśmy na zachód wzdłuż

Melrose, obok warsztatów blacharskich i latynoskich knajp. — Ron i Claire Richards. Ona jest aktorką, a on robi coś dla telewizji.

— Mają dzieci? — spytałam, chcąc, żeby nie mieli. Koniec z pilnowaniem dzieci, prezentami za 99 centów, gdy dwuletnia dziewczynka dostaje plastikowe autko do jeżdżenia.

— Nie. Zastanawiają się nad adopcją.

To było coś nowego, nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam. Adopcja. Słowo to stukotało mi w głowie jak kamienie w pudełku po płatkach jęczmiennych. Nie wiedziałam, co myśleć. Minęliśmy Columbia Studios, wielką bramę z potrójnym łukiem, budkę parkingowego, ludzi jeżdżących na rowerach z grubymi oponami. Tęsknota w jej oczach.

— Za rok będę tam w środku — powiedziała Joan. Czasami nie wiedziałam, która z nas jest młodsza.

Trzymałam w głowie słowo „adopcja” i obchodziłam się z nim, jakby było radioaktywne, zobaczyłam twarz mojej matki, zwiotczałą, zapadniętą i wściekłą.

Joan jechała obok ciągu modnych sklepów na zachód od La Brea, w których sprzedawano używane buty i zabawki dla dorosłych, skręciła na południe w spokojną boczną uliczkę, do starej dzielnicy ze stiukowymi parterowymi domami i rozrośniętymi platanami, które miały kredowobiałe pnie i liście podobne do dłoni. Zaparkowałyśmy przed jednym z takich domów i w śladza Joan podeszłam do drzwi. Na ceramicznej tabliczce pod dzwonkiem napisane było ręcznie „Richardsowie”. Joan zadzwoniła.

Kobieta, która otworzyła drzwi, przypominała mi Audrey Hepburn. Ciemne włosy, długa szyja, szeroki, promienny uśmiech, koło trzydziestki. Policzki miała zaróżowione, kiedy ruchem ręki zaprosiła nas do środka. — Jestem Claire. Czekaliśmy na was. — Miała taki staroświecki głos, aksamitny, dokładnie wymawiała słowa, nie zjadała końcówek, wszystkie zgłoski były wyraźne i precyzyjne.

Joan niosła moją walizkę, a ja tomiki mojej matki, szkatułkę wujka Raya i rzeczy od Olivii w torbie.

— Daj, pomogę ci — powiedziała kobieta, biorąc ode mnie torbę i stawiając ją na stoliku do kawy. — Postaw te rzeczy na podłodze, gdziekolwiek.

Postawiłam je obok stolika, rozejrzałam się po salonie z niskim sufitem i różowawobiałymi ścianami, podłoga była z czerwonych desek sosnowych. Od razu mi się tam spodobało. Nad kominkiem wisiał obraz, meduza na ciemnoniebieskim tle, poprzestrzelanym cienkimi białymi liniami. Sztuka, coś ręcznie namalowanego. Nie mogłam w to uwierzyć. Ktoś kupił dzieło sztuki. Oprócz tego cała ściana książek ze zużytymi grzbietami, kompakt, płyty i kasety. Narożnik o nieregularnych kształtach w stylu z lat siedemdziesiątych wyglądał na wygodny, tkany niebiesko-czerwono-purpurowy wzór, w rogu lampa do czytania. Bałam się oddychać. To musi być jakaś pomyłka, to niemożliwe, żeby to było przeznaczone dla mnie. Ona na pewno zmieni zdanie.

— Musimy tylko omówić kilka spraw — powiedziała Joan, usiadła na narożniku i otworzyła aktówkę. — Astrid, mogłybyśmy cię przeprosić na chwilę?

— Czuj się jak u siebie — powiedziała Claire Richards, wykonując gest „to wszystko twoje”. — Obejrzyj sobie dom.

Usiadła z Joan, która otworzyła moją teczkę, ale dalej się do mnie uśmiechała, za bardzo, jakby nie była pewna, co sobie pomyślę o niej i o domu. Chciałam jej powiedzieć, że nie ma się o co martwić.

194Poszłam do kuchni. Była mała, wykładana czerwonymi i białymi płytkami, stół miał perłowy blat, a krzesła były chromowane. Czyściutka, perfekcyjnie urządzona kuchnia, ozdobiona kolekcją solniczek i pieprzniczek, porcelanowymi krowami i zestawami kaktusów. Tak bardzo tego chciałam, że aż się wystraszyłam.

Wyszłam za dom, do małego ogrodu z szerokimi rabatami kwiatowymi, donicami na drewnianym podeście i chińskim wiązem. Był też wiatrak w kształcie gęsi, a po białej, oświetlonej słońcem ścianie pięła się czerwona poinsecja. Kicz, usłyszałam w uchu głos mojej matki. Nieprawda, to było urocze. Claire Richards była urocza, z jej szerokim uśmiechem „kochaj mnie”. Jej sypialnia, z której można było wyjść szklanymi drzwiami do ogrodu, była urocza. Kołdra na sosnowym podwójnym łóżku, kredens, kufer i szmaciak na podłodze.

Kiedy wróciłam do przedpokoju, zobaczyłam je, jak przeglądają moją teczkę z głowami blisko siebie.

— Miała strasznie ciężkie przeżycia — mówiła Joan Peeler do mojej nowej

przybranej matki. — W jednym domu zastępczym została postrzelona...

Claire Richards kręciła z niedowierzaniem głową, że ktoś może być taki okropny, żeby strzelać do dziecka.

Na pierwszy rzut oka wiedziałam, że moim ulubionym pomieszczeniem będzie łazienka. Płytki akwamarynowe i bordowe, oryginalna ceramika z lat dwudziestych, kabina z matowego szkła, łabędź pływający wśród pałek. Łabędź miał w sobie coś znajomego. Czyżbyśmy mieszkaly gdzieś, gdzie była szyba z wygrawerowanymi łabędziami takimi jak ten? Butelki, mydła i świece leżały na tacy nad wanną. Otwierałam flakoniki, wąchałam i wcierałam sobie zawartość w przedramiona. Na szczęście blizny znikaly, Claire Richards nie musiała oglądać krzycząco czerwonych śladów, wyglądała na wrażliwą na takie rzeczy.

Wciąż omawiały mój przypadek, kiedy przeszłam do sypialni od frontu.

— Jest bardzo inteligentna, jak już mówiłam, ale opuściła dużo szkolnych zajęć, te ciągle przenosiny, rozumie pani...

195— Może powinna brać korepetycje — powiedziała Claire Richards.

Mój pokój. Miękkie sosnowe podwójne łóżka, na wypadek gdyby imprezowi goście chcieli prznocować. Cienkie, staroświeckie patch workowe kołdry, ręcznie robione i obrębione koronką. Sosnowe biurko, regał na książki. Grafika Diirera z królikiem w ramie z surowej sosny. Zwierzę wyglądało na wystraszone, widać było każdy włos z osobna. Czekalo, co się stanie. Usiadłam na łóżku. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że wypełniam sobą ten pokój, zamieszkuję go, narzucam mu swoją osobowość.

— No, to jesteś — powiedziała pogodnie Claire Richards, kiedy moja opiekunka sobie poszła. Siedziałam obok niej na narożniku. Objęła kolana ramionami, uśmiechała się. Miała nie-bieskobiałe zęby koloru skondensowanego mleka, półprzezro-

*

czyste. Żalowałam, że nie wiem, co zrobić, żeby się poczuła swobodniej. Choć znajdowała się w swoim domu, była bardziej stremowana ode mnie. — Widziałaś swój pokój? Zostawiłam puste ściany, żebyś mogła powiesić własne rzeczy. Żebyś sama go sobie urządziła tak, jak będzie ci się podobało.

Chciałam jej powiedzieć, że nie jestem osobą, której ona oczekuje. Jestem inna,

ona może mnie nie chcieć. — Podoba mi się Diirer.

Roześmiała się, krótko i radośnie, klasnęła w dłonie. — Myślę, że się dogadamy. Żałuję tylko, że Ron nie mógł być z nami. Kręci film w Nowej Szkocji, wróci dopiero w środę. Ale co zrobić? Chcesz herbaty? Albo coli? Kupiłam colę, nie wiedziałam, co pijesz. Mamy też sok albo mogłabym ci zrobić koktajl mleczny...

— Poproszę herbatę.

Nigdy nie spędziłam z nikim tyle czasu co z Claire Richards w następnym tygodniu. Widać było, że nigdy się nie zajmowała dziećmi. Zabierała mnie ze sobą do pralni chemicznej, do banku, jakby bała się zostawić mnie samą choć na chwilę, jakbym miała pięć lat, a nie piętnaście.

Przez tydzień jadłyśmy dania z kupowanych w Chalet Gour-

196met kartonów i słoików z obcojęzycznymi napisami na etykietkach. Miękkie, lejące się kliny sera, chrupiące bagietki, pomarszczone greckie oliwki. Ciemnoczerwona projdwtto, złocisty melon, romby ciasta miodowo-orzechowego o zapachu róży. Nie jadła zbyt dużo, ale nakłaniała mnie, żebym zjadła do końca pieczeń wołową, grejpfruta słodkiego jak pomarańcza. Po trzech miesiącach z Cruellą nie trzeba mi było dwa razy powtarzać.

Siedziałyśmy w salonie nad naszym prowiantem i opowiadałam jej o mojej matce, o domach, w których mieszkałam, starałam się, żeby nie brzmiało to zbyt okropnie, zbyt drastycznie. Wiedziałam, jak to osiągnąć. Opowiadałam jej o matce, ale tylko od dobrej strony. Nie należę do tych, co się skarżą, nie bój się, że kiedyś będę opowiadała złe *rzeczy* o tobie, Claire Richards.

Pokazała mi swoje albumy ze zdjęciami i wycinkami z gazet. Nie rozpoznałam jej na zdjęciach. Była bardzo nieśmiała, z trudem wyobrażałam ją sobie przed publicznością, ale z albumów widać było, że kiedy gra rolę, w niewielkim stopniu przypomina siebie z realnego życia. Śpiewała, tańczyła, płakała na kolanach w welonie na głowie. Śmiała się w bluzce z dużym dekoltem i z mieczem w dłoni.

— *Opera za trzy grosze* — wyjaśniła. — Wystawialiśmy to w Yale.

Była lady Makbet, a przedtem córką w *'Night, Mother*. Kathe-rine w *Nagle, ostatniego lata*.

Ostatnio niewiele grała. Przesunęła serce z granatu po łańcuszku wisiorka, wsunęła sobie za obfitą dolną wargę.

— Okropnie mnie to męczy. Spędzasz tyle godzin na przygotowaniach, jedziesz na przesłuchanie, a oni patrzą na ciebie przez dwie sekundy i uznają, że jesteś zbyt etniczna. Zbyt klasyczna. Zbyt coś tam.

— Zbyt etniczna? — Jej szerokie, blade czoło, lśniące włosy.

— To znaczy brunetka. — Uśmiechnęła się. Miała krzywy ząb z przodu, trochę zachodził na następny. — Za mała znaczy piersi. Klasyczna znaczy stara. Niestety, to nie jest zbyt przyjemna branża. Czasami się jeszcze zgłaszam, ale to próżny trud.

197Wybrałam palcem z pojemnika resztkę sera Boursin. — W takim razie po co to robić?

— Co, i rzucić show-biznes*? — Tak łatwo się śmiała, kiedy była szczęśliwa, ale również kiedy była smutna.

Kino New Beverly Cinema było tuż za rogiem. Grali *Króla kier* i *Komediantów*. Kupiliśmy wielką porcję popcornu, śmiałyśmy się, płakałyśmy, śmiałyśmy się z tego, że płacemy. Kiedyś często przychodziłam do tego kina z matką, ale na inne filmy. Mama nie lubiła łzawych filmów. Często cytowała D.H. Lawrence'a: „Sentymentalizm to wzbudzanie w sobie uczuć, których się naprawdę nie posiada”. Gustowała w ponurych filmach europejskich, Antonioniego, Bertolucciego, Bergmana, filmach, w których wszyscy umierali albo pragnęli tego. Filmy, na które zabierała mnie Claire, były cudownymi snami. Chciałam wejść do nich, zamieszkać w nich, wariatka w tutu. Byłyśmy łączywe, chodziłyśmy po parę razy na ten sam film. Czułam, jakby serce nadymało mi się jak balon i wpadałam w panikę. Bałam się, że będę miała to, co nurkowie, którzy za szybko wypływają na powierzchnię.

W nocy leżałam w pościeli obręzionej koronką i patrzyłam na królika Durera. To na pewno się skończy. Joan Peeler powie mi, że to była pomyłka, że zmienili zdanie, że chcą trzylatkę albo że postanowili zaczekać jeszcze parę lat. Martwiłam się, co będzie, kiedy wróci mąż Claire. Nie chciałam, żeby mi ją odebrał. Chciałam, żeby zawsze było tak jak wtedy, my dwie jemy w salonie na kolację *pdte de foie gras* i truskawki, słuchamy Debussy'ego z płyt i rozmawiamy o naszym życiu. Chciała wiedzieć o mnie wszystko, jaka jestem, kim jestem. Martwiłam się, że w sumie nie mam zbyt dużo do powiedzenia. Nie

miałam swoich preferencji. Jadłam cokolwiek, nosiłam cokolwiek, siedziałam, gdzie mi kazano, spałam, gdzie mi kazano. Byłam nieskończenie elastyczna.

* Pointa dowcipu o mężczyźnie sprzątającym w cyrku odchody słoni, którego zapytano, dlaczego nie zmieni pracy.

198 Claire chciała wiedzieć takie rzeczy, jak; czy wolę mydło kokosowe czy zielone jabłuszko? Nie wiedziałam.

— Nie ma tak, musisz zdecydować — mówiła.

Stałam się więc użytkowniczką mydła zielone jabłuszko, szamponu rumiankowego. Wołałam spać przy otwartym oknie. Mięso lubiłam słabo wysmażone. Miałam ulubiony kolor, ultramarynę, ulubioną liczbę, dziewięć. Czasem jednak podejrzewałam, że Claire szuka czegoś więcej, niż jest w stanie we mnie znaleźć.

— Jaki był najlepszy dzień w twoim życiu? — spytała mnie któregoś popołudnia, gdy leżałyśmy na narożniku, ona miała głowę na jednym podłokietniku, ja na drugim. Judy Garland śpiewała *My Funny Valentine*,

— Dzisiaj — powiedziałam.

— Nie — roześmiała się, rzucając we mnie serwetką. — Wcześniej.

Próbowałam sobie przypomnieć, ale to było jak szukanie monet zakopanych w piasku. Grzebałam i grzebałam, kaleczyłam sobie dłonie na zardzewiałych puszkach, rozbitych butelkach po piwie, ale w końcu znalazłam starą monetę, otarłam ją, odczytałam datę, kraj emitenta.

— Kiedy mieszkaliśmy w Amsterdamie. W wysokim, wąskim domu nad kanałem. Miał strome, kręcone schody i zawsze się bałam, że spadnę. — Ciemnozielona woda kanału i *rijstaffel*. Szczury wodne wielkie jak oposy. Gęsty zapach haszyszu w kawiarniach. Moja matka wiecznie naćpana. — Pamiętam, był słoneczny dzień, jadłyśmy kanapki z surowymi hamburgerami i cebulą, na stojąco w kawiarni na rogu, mama śpiewała tę kowbojską piosenkę: *Whoopee tiyyiol, git along little dogies*. To jest moje jedyne wspomnienie z Amsterdamu, w którym w Amsterdamie świeci słońce.

Claire się roześmiała, dźwięk jak dzwonki, podciągnęła sobie kolana pod brodę i opasała je ramionami, tak na mnie patrzyła, że miałam ochotę zamknąć jej spojrzenie w butelce i zmagazynować jak ekskluzywne wino.

— Siedziałyśmy na słońcu nad kanałem i ona powiedziała:

199. „Spójrz, Astrid, popatrz na to”. Pomachała do ludzi przepływających szklanym statkiem turystycznym. Pasażerowie odmachali jej. Myśleli, że jesteście Holenderkami, które witają ich w swoim mieście. To był najlepszy dzień w moim życiu. Słońce, mewy i wszyscy ci machający ludzie, którzy myśleli, że jesteście stamtąd, że przynależymy do tego miejsca.

Na drugim końcu narożnika Claire westchnęła, rozprostowała nogi, uśmiechnęła się nostalgicznie. Nie rozumiała, kim byłam w tamtych czasach, chudym, samotnym dzieckiem, które rozgrzewała złudna myśl, że gdzieś przynależy. Claire widziała tylko dzieciinną radość.

— Ty wszędzie byłaś, prawda?

Prawda, ale raczej nie wyszło mi to na zdrowie.

W dniu spodziewanego powrotu Rona z Nowej Szkocji Claire wyrzuciła wszystkie pojemniki po jedzeniu na wynos, posprzątała w kuchni i trzy razy załadowała pralkę. W domu pachniało gotowaniem, a Emmy Lou Harris śpiewała coś o rozbójnikach w Meksyku. Claire nałożyła gumowe rękawiczki, obierała mięso z kurczaka, który był jeszcze gorący, miała na sobie fartuch w biało-czerwoną kratkę, usminkowała usta.

— Robię paellę, co o tym sądzisz?

Ogarnął mnie niepokój. Dobrze mi było tak, jak żyliśmy do tej pory, ustaliła się pewna rutyna, a teraz to wszystko musiało ustąpić miejsca czemuś, czego jeszcze nie znałam, co mogło wszystko zmienić. Już czułam urazę do jej męża, choć jeszcze go nie widziałam na oczy. Mimo to odkurzyłam salon, pomogłam jej ubrać ich pościel w poszwy z opadającymi różami, czerwonymi i białymi.

— Czerwony i biały to kolory małżeństwa — wyjaśniła Claire.

Otworzyła oszklone drzwi do ogrodu, który energicznie rozkwitał w kwietniowym słońcu. Jej dłonie powoli gładziły białą kołdrę. Wiedziałam, że chce być z nim w tym łóżku, kochać się z nim. Miałam utajoną nadzieję, że Ron nie zdąży na samolot, że zdarzy się wypadek po drodze na lotnisko. Jej drżące wyczekiwanie rozstrajało mnie. Przypominała mi pewien gatunek róży, który

200. hodowała w ogrodzie, Pristine. Była biała z niewielką różową obwódką, kiedy

sieją zerwało, opadały wszystkie płatki.

Dlaczego musi wracać akurat teraz, kiedy jestem taka szczęśliwa? Pierwszy raz w życiu ktoś tak się mną interesował. Nie miałam ochoty dzielić się tym wszystkim z jakimś mężem, z jakimś Edem na kanapie. Nawet wujek Ray zburzyłby tę cudowną równowagę.

Koło szóstej pod dom zajechał jego samochód, małe srebrne alfa romeo. Wysiadł, zarzucił sobie na ramię torbę podróżną, wyjął torbę „jamnika” i aluminiową walizkę, jego szpakowate włosy łapały późne słońce. Stałam zakłopotana na ganku, kiedy do niego podbiegła. Pocałowali się, musiałam odwrócić głowę. Czy ona nie wie, jak łatwo to wszystko może się popsuć, nie boi się?

Jedliśmy paellę na patio pod sznurem światełek w kształcie papryczek chili, w tle śpiewała Emmy Lou, ulubienica kowbojów. Bzyczały komary. Claire zapaliła świece pachnące szczytą, a Ron opowiedział nam o materiale, który pojechał robić do Halifaksu. Była to historia baru nawiedzanego przez ducha. Był producentem filmów do programu na temat zjawisk paranormalnych. Podobno rok wcześniej duch z Halifaksu prawie zadusił na śmierć klienta w męskiej toalecie.

— Zajęło nam trzy godziny, zanim go przekonaliśmy, żeby tam wszedł. Mimo obecności ekipy o mało stamtąd nie zwiął. Wiedział, że duch będzie próbował go wykończyć.

— Co byś zrobił, gdyby tak się stało? — spytała Claire. Ron położył nogi na ławce i splótł dłonie za głowę. — Wezwałbym sprzątaczkę, żeby zmyła podłogę.

— Bardzo śmieszne. — Jej twarz wyglądała jak czekoladka w kształcie serca, ale otaczała ją jakaś aura nieufności.

— Może spróbowałbym Vanisha.

Kiedy tak żartowali, ja próbowałam zrozumieć, co Claire w nim widzi takiego niezwykłego. Był atrakcyjny, ale nie powalający — średniego wzrostu, regularne, drobne rysy, gładko ogolony. Stalowszare włosy czesał do tyłu bez przedziałka. Nosił okulary bez oprawek, a policzki miał rumiane jak na mężczyznę.

201Orzechowe oczy, ręce gładkie z krótko obciętymi paznokciami, gładka obrączka ślubna. Wszystko było w nim gładkie, spokojne, stonowane. Opowiadał nam historię, ale nie miało dla niego znaczenia, czy się nam ona spodoba, nie tak jak Barry,

który oczekiwał aplauzu. Ron się nie narzucał. Sprawiał wrażenie, jakby niczego nie potrzebował.

Wzięła jego talerz, zrzuciła resztki na swój, włożyła go pod spód, sięgnęła po mój. — Jeśli nie będziesz uważał, to ty możesz zniknąć. — Powiedziała to wesołym tonem, ale wypadli już z rytmu.

— W trąbie powietrznej La Brea — odrzekł. Zadzwonił telefon i Ron wszedł przez szklane drzwi, żeby

odebrać. Zobaczyliśmy, że kładzie się na białej kołdrze, pociąga za palce u nóg podczas rozmowy. Claire przestała sprzątać ze stołu, jej twarz się przymgliła, przetała, znów przymgliła. Stała przy stole ogrodowym i dziobała widelcem resztki jedzenia, próbując usłyszeć, co mówi Ron.

Odłożył słuchawkę i wrócił do stołu. Słońce wymiotło cienie.

— Praca? — spytała Claire obojętnym tonem.

— Jeffrey chciał, żebym przyjechał i porozmawiał o jednym scenariuszu. Odmówiłem. — Wziął ją za rękę. Zarumieniła się z radości, nie mogłam znieść tego widoku.

Przypomniał sobie, że wciąż tam jestem, bawiłam się szafranowym ryżem z paelli, układałam na blacie pomarańczową spiralę.

— Mamy dużo do nadrobienia. — Był taki gładki. Wyobrażałam sobie, jak namawia jakąś samotną spirytystkę, żeby opowiedziała do kamery o swoich rozmowach ze zmarłym mężem, jak trzyma jej pomarszczoną dłoń w swojej gładkiej dłoni, gładka złota obrączka ślubna, spokojny głos zachęca: — Proszę mówić dalej.

Opowiedziała mu trochę o tym, co robiliśmy, że zapisała mnie do Fairfax High, że chodziliśmy do kina i byliśmy na koncercie jazzowym w muzeum sztuki.

— Astrid jest znakomitą artystką — powiedziała. — Pokaż mu, co namalowałaś.

Claire kupiła mi akwarele Pelikana w dużym czarnym pudełku

202i blok fakturowanego papieru. Malowałam ogród, zwisające smętnie gałęzie chińskiego wiązu, poinsecje na tle białej ściany. Wieżyce ostróżek, rumieniec róż. Kopie królika Diirera. Claire ćwiczącą balet w salonie. Claire z kieliszkiem białego wina. Claire z turbanem z ręcznika na głowie. Nie chciałam ich pokazywać Ronowi. Za bardzo mnie

obnażały.

— Pokaż mu — powiedziała Claire. — Są piękne. Zraniło mnie, że żąda tego ode mnie. Myślałam, że to coś

między nami, ode mnie dla niej. Dlaczego chce, żebym mu je pokazała? Może po to, żeby udowodnić, że podjęli słuszną decyzję, biorąc mnie do siebie. A może żeby pokazać, jak wspaniale sobie ze mną radzi.

Przyniosłam duży blok, podałam Ronowi, a potem poszłam do mrocznego ogrodu i kopałam głowy meksykańskich wiesiołków, które się wylęły na trawniku,

— Spójrz na to. — Roześmiał się. — I na to. Ona jest urodzoną artystką. Są genialne! — zawołał do mnie. Ja dalej kopałam głowy wiesiołków.

— Wstydzi się — powiedziała Claire. — Nie wstydz się, Astrid. Masz talent. Ilu ludzi może to o sobie powiedzieć?

Jedyna taka osoba, którą ja znałam, siedziała za kratkami.

Świerszcz albo nocny ptak wydawał z siebie skrzypiące dźwięki jak chomik obracający kołem młyńskim. Na patio, pod papryczko-wymi światełkami, Claire opisywała przyrządzanie paelli, jakby to była komedia slapstickowa, z entuzjazmem, od którego bolał mnie brzuch. Patrzyłam na Rona, w białej koszuli zabarwionej na różowopomarańczowo od lampek, śmiejącego się razem z nią. Ręce miał splecione za głowę, jego nikała twarz roześmiana, czysta stopa obuta w sandał oparta na dżinsowym kolanie. Może byś sobie poszedł, Ron? Czekają na ciebie znachorzy, z którymi trzeba zrobić wywiad, tortillowe cuda*, które trzeba udokumentować. Lecz dźwięk jej śmiechu był lepki jak żywica, noc pachniała kwitnącym jaśminem, była delikatna jak mleczko kąpielowe.

* Tak nazywano cudowne pojawienia się twarzy Chrystusa na tortilli.

203— Astrid, jesteś tam jeszcze? — zawołała do mnie Claire, zerkając w ciemność.

— Rozmyślałam sobie — powiedziałam, wyciągając gałązkę mięty spod węża ogrodowego i rozgniatając w dłoni. Myślałam o tym, że tej nocy będą razem leżeli w sosnowym łóżku z pościelą w róże, a ja znów będę sama. Kobiety zawsze na pierwszym miejscu stawiają mężczyzn. Dlatego wszystko tak się pochrzaniło.

Po tygodniu spędzonym sam na sam z Claire niechętnie wróciłam do szkoły, żeby

skończyć dziesiątą klasę w Fairfax High. Byłam zadowolona, że nie muszę wracać do Hollywood, gdzie widzieli mnie, jak wyjadam resztki z kosza na śmieci. Był to dla mnie nowy początek. W Fairfax znów stałam się litościwie niewidzialna. Kiedy wracałam ze szkoły, Claire zawsze czekała na mnie z kanapką, szklanką mrożonej herbaty, uśmiechem, pytaniami. Z początku wydawało mi się to dziwne i niepotrzebne. Nigdy wcześniej nikt na mnie nie czekał, kiedy wracałam do domu, nikt się nie cieszył na dźwięk przekręcanego w zamku klucza, nawet gdy byłam dzieckiem. Czułam, jakby chciała mnie o coś oskarżyć, ale to nie było to. Chciała się dowiedzieć o moim wypracowaniu na temat Edgara Allana Poe'go i o moich ilustracjach komór serca i krążenia krwi. Współczuła mi, kiedy dostałam trzy minus ze sprawdzianu z algebry.

Pytała mnie o inne dzieci, ale nie miałam jej zbyt wiele do powiedzenia. Nawet w najlepszych okresach nie byłam zbyt towarzyska. Szkołę traktowałam jak pracę, z której wracałam prosto do domu. Nie miałam zamiaru zapisywać się do kółka trygonometrycznego czy do Stowarzyszenia Uczniów przeciwko Pijanym Kierowcom. Nawet ćpunów mijałam, w ogóle na nich nie spojrzawszy. Ona była wszystkim, czego potrzebowałam.

— Przyjemny miałas dzień w szkole? — pytała, przystawiając krzesło do małego czerwono-białego stołu w kuchni.

Żyła w mylnym przekonaniu, że Fairfax przypomina szkołę średnią w jej rodzinnym mieście w Connecticut, mimo rzucających się w oczy wykrywacze metali w każdym wejściu. Nie mówiłam jej o bijatykach na szkolnym podwórzu, kradzieżach

204w autobusie. Na dietetyce jedna dziewczyna wypaliła dziurę w tyle spódnicy innej dziewczyny, siedziała tuż przede mną i patrzyła na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Tylko spróbuj mi przeszkodzić”. Widziałam, jak jednemu chłopakowi grożono nożem na korytarzu. Na WF-ie dziewczęta rozmawiały o swoich aborcjach. Claire nie musiała o tym wszystkim wiedzieć. Chciałam, żeby jej świat był piękny. Chciałam, żeby wszystko się udawało. Zawsze miałam przyjemny dzień w szkole, choćby nie wiem co.

i

W sobotę Ron skosił trawnik, ucinając głowy wiesiołkom, a potem zaczął czytać jakieś scenariusze. Zjedliśmy na śniadanie wędzonego łososia i bajgle, a potem Claire poszła na zajęcia z baletu. Zaczynałam się do niego przyzwyczajać. Nie próbował być

bardziej przyjacielski, niż sobie tego życzyłam.

— Jak ci się widzi Claire? — spytał ni stąd, ni zowąd. Spojrzał na mnie znad okularów jak staruszek.

— W porządku — odparłam.

Domyślałam się jednak, do czego pije. Claire chodziła w nocy, słyszałam jej bose stopy na deskach podłogi. Ciągłe mówiła, jakby się bała, że cisza ją zgniecie, jeśli jej nie podeprze nieprzerwanym strumieniem słów. Często płakała. Zabrała mnie do obserwatorium i zaczęła płakać, oglądając gwiazdy. Kwietniowe konstelacje.

— Masz numer mojego pagera, zawsze możesz mnie złapać. Malowałam poinsecje na tle białej ściany domu. Jak strzał z pistoletu.

Claire odsunęła muślinową zasłonę, wyjrzała na ulicę. Czekala na Rona. Na zewnątrz wciąż było jasno, zbliżało się lato, miodowy zmierzch o szóstej godzinie.

— Myślę, że Ron ma romans — powiedziała.

Byłam zaskoczona. Nie samym podejrzeniem—wiedziałam, dlaczego milknie, kiedy on rozmawia przez telefon, zauważyłam, jak delikatnie drąży, żeby się dowiedzieć, gdzie on przebywa.

205Jednak fakt, że powiedziała to na głos, świadczył o spotęgowaniu tych podejrzeń.

Pomyślałam o Ronię. O jego gładkości. Pewnie, może mieć kobiety na zawołanie. Ale za bardzo się martwił o Claire. Gdyby się łajdaczył, to czemu miałby się nią przejmować? I ciężko pracował, wiele godzin, zawsze wracał do domu zmęczony. Miał już swoje lata. Nie sądziłam, aby zostawała mu jeszcze energia na te sprawy.

— Po prostu dużo pracuje — powiedziałam. Claire spojrzala zza zasłony na ulicę.
— Tak twierdzi.

— Widziałaś moje klucze? — spytał Ron. — Wszędzie ich szukałem.

— Weź moje — powiedziała Claire. — Ja sobie dorobię.

— Jasne, ale denerwuje mnie, że ciągle coś mi ginie. Muszą gdzieś być.

Wziął klucze Claire, ale zmartwiło go to. Był człowiekiem bardzo zorganizowanym.

Któregoś dnia zobaczyłam, jak Claire bierze pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki Rona i wkłada do kieszeni swoich džinsów.

— Widziałas moje pióro? — spytał kilka dni później.

— Nie — odparła.

Spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem. — Tyje wzięłaś, Astrid? Powiedz prawdę, nie będę się gniewał. Po prostu ciągle mi coś znika i doprowadza mnie to do szału. Nie oskarżam cię o to, że kradniesz mi rzeczy, ale może pożyczyłaś i nie oddałaś?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie chciałam donosić na Claire, ale nie chciałam też, żeby myślał, że kradnę jego rzeczy. Zrobiłabym wszystko, aby mnie stamtąd nie przenieśli.

— Nie wzięłam go, naprawdę. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła.

— Wierzę ci — powiedział, przeciągając dłonią po srebrnych włosach. — Chyba mam początki sklerozy.

— Może to te twoje duchy — powiedziała Claire.

206 Kiedy Claire wyszła na przesłuchanie, metodycznie przeszukałam dom. Pod ich łóżkiem znalazłam pudełko pomalowane na czerwono-biało i ozdobione kawałkami potłuczonego lustra. W środku znalazłam rzeczy, które ginęły Ronowi — scyzoryk, zegarek, zszywacz, nożyczki, klucze, obcinaczki do paznokci. Było też zdjęcie z nimi dwojgiem, śmiejącymi się, i dwa zdjęcia zlepione ze sobą do środka, nie mogłam ich rozdzielić. Do wieczka pudełka przyczepiony był magnes, a do dna przyklejona stalowa płytka. Czułam, jak magnes ciągnie w dół, kiedy kładłam wieczko z powrotem.

17

Pod koniec czerwca skończyłam dziesiątą klasę. Miałam bardzo dobre oceny, zważywszy na okoliczności. Z algebry dali mi z łaski plus trzy, ale dzięki codziennej pomocy Claire dostałam piątkę z angielskiego, historii, historii sztuki i biologii, a nawet z hiszpańskiego. Gdyby mnie poprosiła, żebym zaczęła grać w futbol, to też bym to zrobiła. Dla uczczenia tej okazji Ron zabrał nas do Musso and Frank, restauracji przy Hollywood Boulevard. Nigdy wcześniej jej nie zauważyłam. Zupełnie niedaleko od ostatniego mieszkania, w którym mieszkałam z moją matką.

Zaparkowaliśmy z tyłu i zeszliśmy po schodach z wypolerowanymi mosiężnymi

poręczami, mijając staroświecką kuchnię. Widzieliśmy kucharzy, jak gotują. Pachniało potrawką albo rola-dą mięsną, tak powinien pachnieć czas, solidnie i odżywczo. Przeszliśmy gęsiego obok wysłużonej drewnianej kasy, ludzie jedli steki i kotlety, czytali „Variety”, grzejąc się w ogniu grillów, obsługiwali ich starzy kelnerzy w zielono-czerwonych mundurkach. Pętla czasowa, fotos zastygły w 1927 roku. Podobało mi się tam, czułam się bezpieczna.

Zostaliśmy posadzeni w tylnej sali. Ron znał ludzi. Przedsta-

207wił nas, „moja żona Claire”, przez moment sądziłam, że mnie przedstawi jako ich córkę. Powiedział jednak: „I nasza przyjaciółka Astrid”. Silne rozczarowanie łagodziła myśl, że Marvel w ogóle by mnie nie przedstawiła, a u Amelii miałyśmy szczęście, jeśli dostałyśmy coś do jedzenia.

Piłam moją „Shirley Temple”, a podniecona Claire, mówiąc szeptem, pokazywała na gwiazdy filmowe. W prawdziwym życiu wyglądali dużo pospoliej. Mniejsi niż się wydają na ekranie, zwyczajnie ubrani, po prostu jedzą kolację. Jason Robards z jakimś mężczyzną siedzieli naprzeciwko nas z dwojgiem znudzonych dzieci, mężczyźni rozmawiali o interesach, a dzieci ugniatały kulki z chleba i obrzucały się nimi wzajemnie.

— Rozwiedzeni tatusiowie mają dziś spotkanie z dziećmi? — powiedział Ron.

Claire i Ron wzięli na spółkę butelkę wina, Claire pozwoliła mi podpijać ze swojego kieliszka. Ciągle dotykała Rona, jego włosy, rękę, ramię. Byłam zazdrosna. Chciałam mieć ją całą dla siebie. Miałam świadomość, że to nie jest normalne, że normalne córki nie są zazdrosne o swoich ojców. Normalne córki marzą o tym, żeby oboje rodzice poszli w diabły.

Ron wyjął coś z kieszeni, ukrył w swojej gładkiej dłoni. — Za dobrze wykonaną robotę — powiedział.

Położył to na moim talerzu. Było to puzderko z czerwonego aksamitu, w kształcie serca. Otworzyłam. W środku był fazowany klejnot koloru lawendowego na złotym łańcuszku.

— Każda dziewczyna musi mieć trochę biżuterii—powiedział. Claire zapięła mi wisiorek na szyi. — Ametyst ma wielką moc

uzdrawiającą — szepnęła, gdy mi go zakładała, a potem pocałowała mnie w

policzek. — Już tylko samych dobrych dni. — Ron pochylił się w moją stronę i jemu też pozwoliłam się pocałować.

Czułam, że łzy napływają mi do oczu. Zaskoczyło mnie to.

Przyniesiono jedzenie i patrzyłam na ich, kiedy jedli, błyszczące ciemne włosy Claire opadające na policzek, duże, miękkie oczy. Gładka, męska twarz Rona. Udawałam, że są moimi rodzicami. Stek i wino uderzyły mi do głowy i wyobraziłam sobie, że

jestem dzieckiem Claire i Rona Richardsów. Kim jest prawdziwa Astrid Richards? Przy takich wynikach w szkole oczywiście pójdzie na studia. Słuchałam, jak się śmiali z jakiegoś wspólnego wspomnienia z Yale, chociaż wiedziałam, że Ron był wówczas żonaty z inną kobietą, rzucił żonę dla Claire. Wyobraziłam sobie, że jestem w Yale, po kolana w szeleszczących jesiennych liściach, w grubym płaszczu z wielbłądziej wełny. Siedzę w wykładanych ciemną boazerią salach akademickich i oglądam przezroczną z Leonardem da Vinci. Na pierwszym roku pojedę studiować malarstwo do Toskanii. W dzień odwiedzin rodziców przyjadą do mnie Claire i Ron, Claire w naszyjniku z pereł. Claire pokaże mi, gdzie miała pokój w akademiku.

Dotknęłam ametystu na szyi. Już tylko samych dobrych dni.

Rona nie było przez większość lata. Kiedy przyjeżdżał do domu, ona robiła pranie i gotowała za dużo jedzenia. Telefonował, pracował na laptopie, odbywał spotkania, sprawdzał wiadomości i potem znowu wyjeżdżał.

Claire to rozstrajało, kiedy przyjeżdżał, a potem tak szybko znowu wyjeżdżał, ale przynajmniej przestała chodzić po nocy. Prawie codziennie pracowała w ogrodzie, w rękawiczkach i olbrzymim chińskim słomianym kapeluszu. Pielęgnowała swoje pomidory. Posadziła cztery odmiany — żółte i malinowe, Roma na sos do spaghetti, Beefsteak wielkie jak głowa niemowlęcia. W sobotnie ranki wiernie oglądałyśmy program telewizyjny o ogrodnictwie. Podpierała tykami wysokie ostróżki, przycinała róże. Codziennie pielęła chwasty, a o zmierzchu podlewała swoje rośliny, napełniając powietrze zapachem mokrej, gorącej ziemi. Jej spiczasty kapelusz ruszał się wśród grządek jak pływająca świątynia na wyspie Bali.

Czasami jej pomagałam, ale najczęściej siedziałam pod chińskim wiązem i rysowałam. Śpiewała piosenki, których się nauczyła, kiedy była w moim wieku, *Are You Going to Scarborough Fair?* i *John Barleycorn Must Die*. Głos miała wyszkolony, giętki

jak skóra, precyzyjny jak klinga nożownika. Śpiewała i mówiła

209z tym samym wdziękiem i akcentem, który z początku brałam za brytyjski, ale potem sobie uświadomiłam, że to staroświecki amerykański z filmów z lat trzydziestych. Osobie, która się nim posługiwała, uchodziło na sucho używanie słowa „wyśmienity”. Zbyt klasyczna, mówili jej, gdy chodziła na przesłuchania. To nie znaczyło stara. To znaczyło zbyt piękna jak na obecne czasy, kiedy wszystko, co trwało dłużej niż sześć miesięcy, uchodziło za przestarzałe. Uwielbiałam słuchać, jak śpiewa albo opowiada mi historie o swoim dzieciństwie w podmiejskim Connecticut, to brzmiało dla mnie jak raj.

Kiedy wychodziła na przesłuchanie albo na zajęcia z baletu, lubiłam chodzić do jej sypialni, czesać włosy jej srebrną szczotką, dotykać jej ubrań w szafie — bawełniane sukienki proste jak wazy, akwarelowe jedwabie. Na komodzie stał flakonik L'Air de Temps z matowego szkła, wyjęłam korek, dwie przytulone do siebie gołębice, i przytknęłam sobie zapach do nadgarstków i za uszami. Powietrze Czasów. Spojrzałam na siebie w lustrze nad jej kosmetyczką. Moje włosy miały kolor matowego jedwabiu, zaczesane do tyłu, przez co widać było, że kręcą mi się nad czołem. Claire i jej fryzjerka powiedziały, że loczki nad czołem trzeba będzie usunąć. Do tej pory nie miałam pojęcia, że mi nie pasują. Obejrzałam sobie twarz z obu stron. Blizny prawie całkowicie zniknęły. Mogłam uchodzić za piękną.

Na szyi połyskiwał mi ametyst. Wcześniej schowałam go w skarpetce wsuniętej do buta w szafie. Tutaj jednak nosiłyśmy naszą biżuterię. Zaslugałyśmy na to. — Kiedy kobieta ma biżuterię, to ją nosi — wyjaśniła mi Claire. Miałam teraz biżuterię. Byłam dziewczyną z biżuterią.

Wypróbowałam przed lustrem podwójny sznur pereł Claire, przesunęłam lśniące paciorki między palcami, dotknęłam koralowego różu zapięcia. Perły nie były naprawdę białe, był to ciepły, ostrygowy kolor beżowy, rozdzielały je niewielkie węzłki, toteż gdyby sznur pękł, spadłaby tylko jedna perła. Chciałam, żeby takie było moje życie, zabezpieczone węzłkami — jak coś pięknie, to wszystko się nie rozsypie.

210— Kolacja o ósmej? Wyśmienity pomysł — powiedziałam do swojego odbicia w lustrze, jak Katherine Hepburn, moje palce owinięte perłami.

Claire miała na komodzie moje zdjęcie, obok fotografii siebie i Rona, w posrebrzanej ramce. Nikt nigdy nie oprawił mojego zdjęcia w ramki i nie postawił na

komodzie. Chuchnęłam na szybkę i przetarłam ją końcem podkoszulka. Zrobiła zdjęcie dwa tygodnie wcześniej, na plaży. Mrużyłam oczy do obiektywu, śmiałam się z czegoś, co powiedziała, włosy miałam bledsze od piasku. Nie opравиła zdjęcia, które ja jej zrobiłam, zawiniętej od stóp do głów w długi plażowy ręcznik, w chińskim kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych. Wyglądała jak Claude Rains w *Niewidzialnym człowieku*. Odwijiała ręcznik tylko wtedy, kiedy szła do wody, brodziła po uda. Nie lubiła pływać.

— Wiem, że to idiotyczne — powiedziała — ale boję się, że morze mnie wciągnie.

Nie była to jedyna rzecz, której się bała.

Bała się pajaków, supermarketów i siedzenia plecami do drzwi. — *Złe feng shui* — powiedziała. Nienawidziła koloru purpurowego i liczby cztery, a zwłaszcza osiem. Nie znosiła tłumów i wścibskiej sąsiadki, pani Kromach. Myślałam, że to ja się boję różnych rzeczy, ale Claire biła mnie w tym na głowę. Żartowała ze swych lęków, ale były to tego rodzaju żarty, kiedy wiesz, że ludzie uważają twoje dziwactwa za idiotyczne, a ty udajesz, że też tak uważasz, lecz pod spodem jesteś całkowicie poważna.

— Aktorzy są przesądni — mówiła.

Postawiła mi diagnozę numerologiczną. Byłam pięćdziesiątką, czyli tym samym co trzydziestka dwójka. Posiadałam władzę sterowania tłumami. Ona była trzydziestką szóstką, czyli tym samym, co dwudziestka siódemka. Liczba znamionująca odwagę i siłę. Zanim wyszła za męża, była dwudziestką dwójką, czyli czwórka. Bardzo niedobra liczba.

— Widzisz więc, że Ron uratował mi życie. — Roześmiała się nerwowo.

211 Nie wyobrażałam sobie, żebym kiedykolwiek posiadała albo chciała osiąść władzę sterowania tłumami, ale skoro poprawia jej to samopoczucie, to co mi szkodzi? Pomagałam jej w przedsięwzięciach, które miały spotęgować dobre *chi*. Któregoś dnia kupiliśmy kwadratowe lustra i wdrapałam się na dach domu, żeby je położyć na czerwonych dachówkach, w stronę domu pani Kromach.

— Żeby złe *chi* odbiło się z powrotem do niej, starej torby. Na ścieżce od frontu stała pergola z różami i Claire nie lubiła

ludzi, którzy przez nią nie przechodzili. Tylko dobroć i miłość mogą przejść przez różany łuk, powiedziała. Czuła się nieswojo, kiedy ktoś wszedł do domu tylnymi drzwiami. Nie pozwalała mi ubierać nic czarnego. Kiedy pierwszy raz to zrobiłam,

powiedziała mi:

— Czarny to kolor Saturna, a on jest nieprzyjazny wobec dzieci.

Zdjęłam jej perły i włożyłam z powrotem do szkatułki pod szalikami w górnej lewej szufladzie. Większość biżuterii trzymała w papierowej torbie w zamrażalniku, bo uważała, że włamywacze jej tam nie znajdą. Jednak perły nie znosiły niskich temperatur, musiały być w ciepłe.

W dwóch prawych szufladach miała rzeczy jedwabne, w jasnych tonach pośrednich — kolor szampana, różowej muszli, lodowy niebieski, halki i koszule nocne, staniki i majtki pod kolor. Wszystko poskładane i obłożone torebkami zapachowymi. Niżej podkoszulki w równych stosach, jednym białym, drugim kolorowym — seledynowy, fiołkoworóżowy, brązowoszary. Po lewej szorty i lekkie swetry. Na dole szale. Ubrania zimowe leżały poskładane i zapieczętowane w zamykanych na zamki błyskawiczne walizkach na górze szafy ubraniowej.

Ten instynkt porządku i rytuałów był jedną z *rzeczy*, które najbardziej lubiłam u Claire, jej kalendarze i regulaminy. Wiedziała, kiedy jest czas, żeby odłożyć zimowe ubrania na półkę. Uwielbiałam to. Jej poczucie porządku, pełne wdzięku i ekscentryczne, małe kobiece sekrety, woreczki foliowe z bielizną pod kolor. Wyrzuciła moją bieliznę, którą dostałam od Starr, pełną

21dziur, i kupiła mi nowe rzeczy, omawiając rozmiar staników ze starsząwą ekspedientką. Chciałam satynę i koronki, kolor czarny i szmaragdowy, ale Claire delikatnie odparła moje zachcianki. Udawałam, że jest moją matką i skamlałam trochę, zanim ustąpiłam.

Claire zrobiła sobie trochę zdjęć, aktorskich ujęć głowy. Pojechałyśmy do Hollywood odebrać je z zakładu przy Cahuenga. Na zdjęciach wyglądała inaczej, skupiona, ożywiona. W prawdziwym życiu była chuda, rozmarzona, wszędzie jakieś dziwne kąty jak u *demoiselle* Picassa. Fotograf, stary Ormianin o sennym spojrzeniu, uważał, że ja też powinnam zrobić sobie zdjęcia.

— Mogłaby pracować jako modelka — powiedział do Claire. — Z taką urodą i figurą.

Moja dłoń odruchowo powędrowała do blizn na szczęce. Czy on nie widzi, jaka

jestem brzydka?

Claire uśmiechnęła się, pogłaskała mnie po włosach.

— Chciałabyś?

— Nie — odparłam cicho, żeby fotograf nie usłyszał.

— Zastanowimy się nad tym — rzekła Claire.

Po drodze do samochodu w upale popołudnia bladego jak skrzydło gołębia minęliśmy starego hipisa z zieloną wojskową torbą przypiętą na piersiach, żebrał o pieniądze. Przechodnie odsuwali na bok jego wyciągniętą dłoń z papierowym kubkiem i przechodzili na drugą stronę ulicy. Był za mało groźny jak na ten zawód. Przypomniałam sobie, jak żebrałam na parkingu koło sklepu z alkoholami, ale to nie było to samo. Nie byłam alkoholiczką, narkomanką. Miałam dopiero piętnaście lat. On sam zapracował sobie na taki los.

— No, wspomóżcież człowieka — powiedział. Chciałam przejść na drugą stronę, uciec od tego stracha na

wróble, ale Claire spojrzała na niego. Nie umiała ignorować ludzi.

— Ma pani jakieś drobne, proszę pani? Każdy grosz się przyda. Światła się zmieniły, ale Claire nie zwracała na to uwagi.

Grzebała w torebce za drobnymi. Nigdy się nie nauczyła, że jeśli okażesz żebrakowi trochę dobroci, to uczepli się ciebie jak rzep

213psiego ogona. Claire widziała tylko, jaki jest chudy, utykał na jedną nogę, pewnie potracił go samochód, kiedy prosił kierowców o pieniądze. Moja matka zaproponowałaby mu, że wepchnie go pod autobus, ale Claire się przejmowała. Wierzyła, że każdy człowiek ma taką samą duszę.

Hipis schował pieniądze do kieszeni. — Z pani jest ludzka kobieta, proszę pani. Większość ludzi nie spojrzy człowiekowi w oczy, kiedy mu się w życiu noga powinie. — Rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie. — Mnie nie chodzi o to, żeby ludzie mi coś dali, tylko żeby spojrzeli mi w oczy, rozumie pani?

— Rozumiem — odparła Claire głosem jak chłodna woda i miękkie dłonie.

— Całe życie pracowałem, ale dysk mi wyskoczył. Nigdy nie piłem w pracy. Nigdy.

— Wierzę panu. — Światła zmieniły się z powrotem na czerwone. Chciałam

pociągnąć Claire dalej. Gdziekolwiek poszliśmy, ludzie opowiadali jej smutne historie. Widzieli, że jest zbyt uprzejma, aby ich po prostu zostawić. Podszedł bliżej. Była przypuszczalnie pierwszą od wielu dni normalną osobą, która go wysłuchała.

— Zasilek dla bezrobotnych dostaje się tylko przez jakiś czas — powiedział. Czulałam, jak śmierdzi. Albo się zesikał w spodnie, albo ktoś inny go podlał. — Wszyscy mają to gdzieś.

— Nie wszyscy — powiedziała Claire. Popołudniowe słońce barwiło końcówki jej włosów na rudo.

— Z pani jest ludzka kobieta — powtórzył. — Ale ludzie wyszli teraz z użycia. Teraz jest zapotrzebowanie na maszyny.

Chuchał jej prosto w twarz, ale ona była za delikatna, żeby odwrócić głowę. Nie chciała go urazić. Jakoś zawsze to wyczuwali.

— No bo weźmy, ilu ludzi potrzebują do smażenia hamburgerów?

— Za mało. A może za dużo. — Uśmiechnęła się niepewnie, odgarniając z twarzy włosy, które rozwiewał jej wiatr.

Znów miałyśmy zielone, ale stałyśmy w miejscu. Utkwiłyśmy w strumieniu na rogu Sunset i Cahuenga. Ludzie omijali nas jak dziurę w chodniku.

214 Znów podszedł bliżej, konfidencjonalnie ściszył głos. — Czy myśli pani o mnie jak o mężczyźnie? — Wystawił język przez szparę po brakującym zębie.

Zapłonila się, wzruszyła ramionami zażenowana. Oczywiście, że nie myślała. Miałam ochotę zepchnąć go z krawężnika.

— Kiedyś bardzo się podobałem kobietom. Kiedy jeszcze pracowałem.

Widziałam napięcie na jej twarzy, chciała się od niego odsunąć, ale nie chciała urazić jego uczuć. Obracała w dłoni kopertę błyszczących zdjęć formatu 20x30, za które właśnie zapłaciła dwieście dolarów. Obok przejechała czarna corvette, dudniąc muzyką rap.

— Jest pani sympatyczną kobietą, ale nie rozebrałaby się pani dla mnie, prawda?

Zginała swoje zdjęcia, jej wrażliwa twarz drgała. — Ja nie... — wymamrotała.

— Nie winie pani. Ale nie rozebrałaby się pani. — Miał taką smutną minę.

Wzięłam ją za ramię. — Musimy już iść, Claire. Jednak ona była zbyt uwikłana w bezdomnego człowieka, który wyciągał ją na filozoficzne dysputy. Usidlił ją.

— Brakuje mi kobiet — powiedział. — Ich zapachu. Brakuje mi tego. Podobają mi się pani perfumy.

Były to L'Air du Temps, równie nie na miejscu jak polny kwiat w strefie działań wojennych. Byłam zdumiona, że ich zapach zdołał się przebić do jego powonienia przez jego własny smród.

Rozumiałam go jednak. Ja też kochałam jej zapach. Lubiłam siedzieć na jej łóżku, kiedy czesała mi włosy i upinała w *chignon*. Mogłam tak siedzieć bez końca, wdychając powietrze w miejscu, w którym ona była.

— Dziękuję — szepnęła. Cała Claire, boi się urazić czyjekol-wiek uczucia, nawet tego smutnego starego lumpa.

— Mogę powąchać pani włosy?

Pobladła. Nie miała wytyczonych granic. Mógł zrobić wszystko, ona nie umiałaby go powstrzymać.

215— Niech się pani nie boi — powiedział, podniósł dłonie, paznokcie miał zrogowaciałe. — Tylu ludzi dokoła. Nawet pani nie tknę.

Przełknęła ślinę i skinęła głową, zamknęła oczy, gdy mężczyzna zbliżył się do niej, delikatnie uniósł pasmo jej włosów końcami palców, jakby to był kwiat, i wciągnął zapach do płuc. Używała szamponu z rozmarynem i goździkami. Uśmiech na jego twarzy.

— Dziękuję — szepnął, a potem poszedł, nie odwracając się za siebie, zostawił ją na rogu Cahuenga i Sunset, stała z zamkniętymi oczami i ścisnęła kopertę ze zdjęciami zupełnie innej osoby.

Claire zabrała mnie na wystawę Kandinskiego w muzeum sztuki. Nigdy nie lubiłam sztuki abstrakcyjnej. Moja matka i jej znajomi potrafili się zachwycać płótnem, na którym były tylko czarne i białe pasy albo duży czerwony kwadrat. Ja lubiłam sztukę o czymś. Karciarze Cezanne'a, buty van Gogha. Lubiłam maleńkie miniatury Mughala, malowane tuszem japońskie wrony, pałki i żurawie.

Ale skoro Claire chce zobaczyć Kandinskiego, to pójdziemy zobaczyć Kandinskiego.

Poczułam się lepiej, kiedy już byliśmy w muzeum, znajomy dziedziniec, fontanny, stonowane światło, ściszone głosy. Czułam się w muzeum sztuki tak jak Starr w kościele, zarazem bezpiecznie i podniośle. Kandinsky nie był aż tak abstrakcyjny, dostrzegałam rosyjskie miasta z wieżami w turbanach, trójki jeźdźców z włóczniami, armaty i damy w długich sukniach z wysokimi fryzurami. Czyste kolory, jak ilustracje w książce z obrazkami.

W następnej sali obrazy się rozplywały.

— Czujesz ten ruch? — spytała Claire, wskazując duży kąt na płótnie, ostrze skierowane w prawo, wachlarz w lewo. Prześledziła linie dłońmi. — To jest jak strzała.

Wartownik spojrział na jej podniecone ręce, które jak na jego gust znajdowały się zbyt blisko obrazu.

— Proszę pani!

Splonęła się i przeprosiła jak wzorowa uczennica, która raz w życiu zasnęła. Pociągnęła mnie na ławkę, tam mogła bezpiecznie

nie gestykulować. Próbowałam poczuć to tak, jak czuła Claire. Rzeczy, których tam nie było, najprawdopodobniej.

— Widzisz — powiedziała ściszym głosem, zerkając na wartownika. — Żółty idzie ku tobie, niebieski się odsuwa. Żółty się zwiększa, niebieski zmniejsza.

Czerwony, żółty, ta studnia ciemnozielonego — zwiększają się, zmniejszają, spokojne sadzawki z rozmywającymi się brzegami, kąt jak pięść. Chłopak i dziewczyna, objęci ramionami, minęli obrazy, jakby to były witryny sklepowe.

— Widzisz, jak odsunął brzeg obrazu od ramy, przez co jest asymetryczny? — Pokazała na cytrynową wstęgę, która wiła się wzdłuż lewej strony.

Słyszałam, jak ludzie mówią takie rzeczy, i zawsze myślałam, że chcę zaimponować znajomym. Ale to była Claire i wiedziałam, że naprawdę chce, abym zrozumiała. Wpatrywałam się w obraz, kąt, wstęgę. U Kandinskiego tyle się dzieje, jakby ramy miały kłopoty z zatrzymaniem obrazu wewnątrz.

W innej sali Claire zatrzymała się przed serią szkiców ołówkiem. Linie na papierze, kąty i okręgi jak bierki i pchełki. Takie rzeczy, które się bazgrze, rozmawiając przez telefon.

— Widzisz ten kąt? — Pokazała na rozwarty kąt narysowany ołówkiem, a potem na olbrzymią Kompozycję, do której prowadziły wszystkie szkice i studia olejne. — Widzisz? — Kąt dominował na płótnie.

Zwracała mi uwagę na różne elementy szkiców ołówkiem, okręgi, łuki, które znajdowałam w *Kompozycji*, w żywym kolorze czerwonym i różnych odcieniach ciemnoniebieskiego. Wszystkie elementy, które się znalazły w skończonym obrazie, występowały w szkicach. Każdy szkic zawierał swoją część koncepcji, jak zestaw kluczy, które trzeba jednocześnie włożyć do zamków, żeby otworzyć sejf. Gdybym mogła położyć je jeden na drugim i obejrzeć pod światło, zobaczyłabym formę gotowej kompozycji. Patrzyłam osłupiała na tę wizję.

Szliśmy obok siebie przez całą wystawę, pokazując sobie nawzajem powtarzające się detale, abstrakcyjnych jeźdźców,

217wieże, różne kąty, zmieniające się kolory na przecięciach form. Na kolana powaliło mnie przede wszystkim poczucie ładu, wizja, która się nie zmieniała z upływem czasu.

Usiadłam na ławce i wyjęłam szkiecownik, próbowałam narysować podstawowe formy. Ostre kąty, łuki, jak ruch zegara. To było niemożliwe. Potrzebowałam koloru, potrzebowałam tuszu i pędzelka. Nie wiedziałam, czego potrzebuję.

— Wyobraź sobie, jaka to praca, zebrać to wszystko w jednym miejscu — powiedziała Claire. — Lata przekonywania ludzi, żeby wypożyczyli swoje dzieła sztuki.

Wyobraziłam sobie umysł Kandinskiego, rozproszony po całym świecie, a potem zebrany razem. Każdy ma tylko jeden element układanki. Tylko na takiej wystawie można zobaczyć cały obraz, położyć szkice jeden na drugim, obejrzeć pod światło, zobaczyć, jak to wszystko do siebie pasuje. Natchnęło mnie to nadzieją, że któregoś dnia moje życie także nabierze sensu, jeśli tylko będę w stanie wziąć do ręki wszystkie elementy naraz.

Przez resztę lata chodziłyśmy na wystawę dwa razy w tygodniu. Claire kupiła mi pastele olejne, żebym mogła rysować w kolorze bez protestów obsługi. Spędzałyśmy cały dzień w jednej sali, patrząc na jeden obraz. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Kompozycja z 1913 roku prorokowała pierwszą wojnę światową.

— Był bardzo wrażliwy. Czuł, że to się zbliża — powiedziała Claire. Czerń, armaty, dzikość, nastrój tak gwałtowny i mroczny, oczywiście, że musiał wynaleźć abstrakcję.

Powrót do Rosji. Wybujałość awangardy, lecz mroczniejące podejrzenie, że to wszystko zbliża się do końca, jeszcze kiedy było w pełni rozkwitu. Potem Bauhaus w latach dwudziestych. Proste linie, geometryczne formy. W takich czasach nie idziesz na żywioł. Próbujesz znaleźć jakąś głębszą strukturę. Doskonale go rozumiałam. Wreszcie wyjazd do Paryża. Róże, błękity i fiolety. Znów formy organiczne, po raz pierwszy od wielu lat. Jaką ulgą musiał być dla niego Paryż, kolor, to, że znów mógł sobie pozwolić na miękkość.

218Ciekawe, jak by malował w naszych czasach. Błyszczące samochody i ranne ciało, drelichowy niebieski i krzywe zęby psa, okruchy rozbitego lustro, ogień, pomarańczowe księżycy i serca z granatu.

Jesienią znów zapisałam się do klas uniwersyteckich*. Claire przekonała mnie, że warto spróbować. To oczywiste, że trzeba się zapisać do klas uniwersyteckich. To oczywiste, że trzeba nosić biżuterię, jeśli się ją ma. To oczywiste, że trzeba się zapisać na zajęcia ze sztuki w muzeum. To oczywiste.

W pustym atelier w podziemiach muzeum sztuki czekaliśmy na nauczycielkę, panią Tricię Day. Portfolio, które kupiła mi Claire, było mokre od potu moich dłoni. Claire chciała zapisać mnie na kurs malarstwa dla dorosłych. Dla nastolatków były kursy fotografii, wzornictwa tkanin, wideo, lecz nie malarstwa.

— Porozmawiamy z nauczycielką — powiedziała.

Weszła jakaś kobieta. Niska, w średnim wieku, z krótko ostrzyżonymi szpakowatymi włosami. Ubrana była w spodnie w kolorze khaki, a na nosie miała czarne okulary w rogowych oprawkach. Spojrzała na nas znużonym wzrokiem, jak matka, która prosi swe rozpuszczone dziecko o trochę oddechu. Ja czułam się zażenowana całą sytuacją, lecz Claire była zaskakująco rzeczowa. Pani Day sprawnie przeglądnęła moje portfolio, jej oczy żwawo przeskakiwały po powierzchniach. Realistyczne rzeczy, Claire leżąca na kanapie, poinsecje, Kandinsky z LA.

— Gdzie się uczyłaś?

— Nigdzie.

Obejrzała portfolio do końca i energicznym ruchem oddała Claire. — Dobrze. Spróbujemy.

W każdy wtorek wieczorem Claire przywoziła mnie do muzeum, wracała do domu i trzy godziny później przyjeżdżała po mnie. Miałam wyrzuty sumienia, że tyle dla mnie robi, jakbym ją

* W systemie amerykańskim po ukończeniu Junior High School można się zapisać na kurs przygotowujący do studiów (*honours classes*) albo zwykły, dający tylko dyplom ukończenia liceum (*pass*).

219wykorzystywała. Moja matka powiedziała: „Nie bądź* śmieszna. Ona chce być wykorzystywana”. Aleja nie chciałam być taka. Chciałam być jak Claire. Kto oprócz Claire załatwiłby mi kurs malarstwa, kto poświęciłby dla mnie wtorkowe wieczory?

Na kursie malarstwa nauczyłam się składać sztalugę, naciągać płótno, równo je gruntować. Pani Day kazała nam eksperymentować z kolorem, z pociągnięciami pędzla. Pociągnięcie pędzla jest świadectwem gestu ramienia. Zapisem naszego istnienia, cech osobowości, dotyku, nacisku, stanowczości naszych ruchów. Malowaliśmy martwe natury. Kwiaty, książki. Niektóre panie malowały tylko małe kwiaty. Pani Day powiedziała im, żeby malowały większe, ale za bardzo się wstydziły. Ja malowałam kwiaty wielkości pizzy, truskawki powiększone do serii zielonych trójkątów na czerwonym tle, z ich ziarnistą fakturą. Pani Day była spartańska w pochwałach, bezpośrednia w krytyce. Na każdych zajęciach przynajmniej jedna osoba płakała. Moja matka by ją polubiła. Ja też ją lubiłam.

Starannie redagowałam to, co pisałam do matki. Cześć, jak się masz, jak ci idzie pisanie. Pisałam o ocenach, które dostawałam, o ogrodnictwie, kursie malarstwa, zapachu Santa Anas i sprażonego krajobrazu, listopadowej chandrze, coraz krótszych dniach. Same piątki, podobam się kolegom. Posyłałam jej małe rysunki, akwarele wielkości pocztówek, nie miała za dużo miejsca. Strasznie jej się podobała faza Kandinskiego i moja nowa twórczość. Posłałam jej serię rysunków ołówkiem na pergaminie. Wszystkie razem składały się na mój autoportret, lecz musiała je odpowiednio ułożyć. Ja już tego za nią nie robiłam. Musiała się wysilić.

Moja matka napisała, że jej wiersze ukazały się w „Kenyon Review” i numerze „Zyzyva” w całości poświęconym poezji. Powiedziałam Claire, że chciałabym je

przeczytać, zabrała mnie do Book Soup przy Strip i kupiła mi oba czasopisma. Był tam długi wiersz o bieganiu w więzieniu, ważnej części jej programu dnia. Kiedy nie pisała, biegała po bieżni, pięćdziesiąt, sto mil

220tygodniowo. Zużywała buty co cztery miesiące, czasami dawali jej nowe, a czasami nie. Wpadłam na pewien pomysł.

Skserowałam wiersz dziesięć razy i używałam kopii jako tła do rysunków. Siedziałam przy stole w czerwono-białej kuchni i rysowałam olejną pastelą na jej słowach, poczucie biegu, bezsensownej, powtarzającej się w koło czynności. Jak jej umysł.

Zaczęły się deszcze, szeptały za zaparowaną szybą okna w kuchni. Claire siedziała obok mnie nad kubkiem herbaty miętowej.

— Opowiedz mi o niej.

Coś powstrzymywało mnie od rozmawiania z Claire o mojej matce. Była ciekawa, jak wszyscy inni, pedagodzy szkolni, Ray, Joan Peeler, wydawcy małych magazynów literackich. Poeci w więzieniu, czysty paradoks. Nie wiedziałam, co mówić. Była moją matką. Zamordowała człowieka. Nie wiedziałam, czy jestem taka jak ona, czy nie. Przede wszystkim nie miałam ochoty o niej mówić. Chciałam, żeby Claire była kimś odrębnym od mojej matki, chciałam, żeby się znajdowały na osobnych stronach, żebym tylko ja mogła potrzymać je razem pod światło.

Claire jeszcze raz przeczytała wiersz o bieganiu. — Podoba mi się ta linijka: „Skłon do tyłu, dwadzieścia lat. Zegar bez wskazówek”. Życie w więzieniu jest nie do wyobrażenia. „Trzy lata minęły, ubita ziemia dokoła”. Musi być bardzo dzielna. Jak ona to znosi?

— Ona nigdy nie jest tam, gdzie jest. Zawsze jest tylko w swojej głowie.

— To musi być cudowne. — Claire głaskała bok kubka jak policzek dziecka. — Żałuję, że ja tak nie potrafię.

Cieszyłam się, że nie potrafi. Wszystko ją dotykało. Może za bardzo, ale dotykało ją. Nie potrafiła obracać w głowie tym, co się działo, ustawiać tak, żeby było jak najmniej bolesne. Spojrzałam na wiersz mojej matki w „Kenyon”. Ciekawe, że zawsze jest bohaterką, wyjętą spod prawa, samotną przeciwko całemu światu. Nigdy

szwarccharakterem.

— Taka jest różnica między prawdziwym artystą i wszystkimi innymi ludźmi — westchnęła Claire. — Oni potrafią przetwarzać świat.

221— Ty jesteś artystką.

— Aktorką. A i to za dużo powiedziane.

Zdażyłam obejrzeć parę filmów z Claire. Była przezroczysta, rozdzierająca. Bałabym się chodzić tak obnażona. Spędziłam ostatnie cztery lata, próbując wyhodować sobie jakąś skórę, żeby nie ociekać krwią za każdym razem, gdy się o coś otrę. Była naga, codziennie się depilowała. W jednym z filmów grała żonę profesora, drżącą, w perłach. W innym osiemnastowieczną kobietę, porzuconą kochankę, w klasztorze.

— Jesteś genialną aktorką — powiedziałam.

Claire wzruszyła ramionami, przeczytała drugi wiersz, o bójce w więzieniu.—
Podoba mi się gwałtowność twojej matki. Jej siła. Jak ja to podziwiam.

Zanurzyłam mały pędzelek *sumi* w butelce tuszu i kilkoma pociągnięciami namalowałam łuki i linie, czarną plamkę. Jej gwałtowność. Claire, co ty wiesz o gwałtowności? Siła mojej matki? Nie była na tyle silna, żeby się obronić przed rolą tła do mojej twórczości. Tylko tła. Jej słowa moim płótnem, niczym więcej.

W pewien rozleniwiająco ciepły i rozmyty dzień Claire czekała na mnie pod pergolą, kiedy wróciłam ze szkoły.

— Dostałam rolę! — zawołała.

Odrzuciła głowę do tyłu i wystawiła szyję do słabego zimo-wego słońca, śmiech buchał do góry jak gejzer. Ścisnęła mnie, całowała. Próbowwała zadzwonić do Rona, który był w Rosji, na Uralu, kręcił materiał z konferencji na temat telekinetyki. Nie mogła się dodzwonić. Nie popsuło jej to jednak humoru. Otworzyła butelkę szampana Tattingers\ który chłodził się w lodówce na specjalne okazje. Piana wyskoczyła z kieliszków na stół, spłynęła na podłogę. Wypiliśmy za jej nową pracę.

Dostała niewielką, lecz zdradliwą rolę. Grała postać eleganckiej, lecz pijanej żony na wykwintnym przyjęciu, w długiej sukni i diamentach. Dużo picia i jedzenia, musiała pamiętać, co kiedy robić, żeby wszystko się zgrało ze sobą.

222— Zawsze czyjaś samotna żona — westchnęła. — Jak tak dalej pójdzie, to

zostanę aktorką charakterystyczną...

Dostała tę rolę, ponieważ reżyser był znajomym Rona, a aktorka, która miała grać samotną żonę, siostra byłej żony reżysera, w ostatniej chwili złamała sobie obojczyk i potrzebowali kogoś o podobnym wzroście i karnacji, kto mógłby grać w sukience bez ramiączek.

— Przynajmniej rozmawiam z głównym bohaterem — wyjaśniła. — Nie mogą wyciąć tej sceny.

Była to niewielka rola, zaledwie pięć zdań, dwie sceny później ta kobieta już nie żyje. Pomagałam jej ćwiczyć rolę, grałam głównego bohatera. Najtrudniejsze było to, tłumaczyła, że musiała jeść i pić, rozmawiając. Udało się jej już za drugim razem, ale ćwiczyłyśmy jeszcze wielokrotnie. Dokładnie zapamiętała, przy którym słowie przerywa i pije wino, kiedy podnosi widelec, którą ręką i jak wysoko.

— Sceny zjedzeniem są najgorsze — wyjaśniła. — Wszystko musi być ze sobą zgrane. — Ćwiczyłyśmy rolę przez tydzień. Tak poważnie podchodziła do tych pięciu zdań. Nie zdawałam sobie sprawy, że aktorzy są takimi perfekcjonistami. Zawsze sądziłam, że po prostu wchodzą na plan i grają.

W dniu kręcenia wstała o szóstej rano, aby zrobić sobie makijaż. Powiedziała mi, żebym nie wstawiała, aleja i tak wstałam. Siedziałam przy niej, kiedy przygotowała sobie koktajl mleczny, dodała odżywkę białkową w proszku, algi, drożdże piwowskie, witaminy C i E. Była bardzo blada i milcząca. Skupiona. Wykonała ćwiczenie oddechowe, które nazywa się „Oddychające mały”, śpiewała chińskie sylaby na wydechu i na wdechu. Tony na wydechu były niskie i dźwięczne, lecz te na wdechu były dziwne, wysokie i skamlące. Była to pieśń *tai chi*, Claire powiedziała, że to ją uspokaja.

Uścisnęłam ją, kiedy wychodziła. Nauczyła mnie, żebym nigdy nie mówiła „powodzenia”. Do aktorów mówi się „złam kark”.

223— Złam kark! — zawołałam za nią i wzdrygnęłam się, kiedy zobaczyłam, że się potknęła na dyszy spryskiwacza.

Po szkole pognałam do domu, bardzo chciałam usłyszeć, jak poszło kręcenie, a zwłaszcza żeby mi opowiedziała o Haroldzie McCannie—brytyjskim gwiazdorze, który grał Guy a—lecz Claire jeszcze nie wróciła. Odrobiłam zadanie domowe, poczytałam

nawet trochę na zapas z angielskiego i historii. O szóstej zrobiło się ciemno, a ona nie zadzwoniła, nie dała znać. Miałam nadzieję, że nie zdarzył jej się jakiś wypadek, rano była taka zdenerwowana. Pewnie poszła na drinka z aktorami albo na kolację czy coś w tym guście. Ale to było do niej niepodobne, żeby nie zadzwonić. Dzwoniła, na wet jeżeli przedłużyły się trochę zakupy na targu.

Przygotowałam kolację, roladę mięsną z chlebem razowym i sałatką, ciągle myślałam, zanim skończę, ona będzie już w domu. Dwadzieścia po ósmej usłyszałam jej samochód na podjeździe. Otworzyłam jej drzwi. — Zrobiłam kolację — powiedziałam.

Tusz rozmazał się jej wokół oczu. Minęła mnie, pobiegła do łazienki. Usłyszałam, jak wymiotuje.

— Claire?

Wyszła z łazienki, położyła się na kanapie, zasłoniła oczy ramieniem. Zdjęłam jej buty. — Przynieść ci coś? Aspirynę? Seven-up?

Zaczęła płakać, głębokie, ostre łkania, odwróciła ode mnie głowę.

Przyniosłam jej tylenol i szklankę seven-up, patrzyłam, jak pije drobnymi łykami.

— Ocet. Na ścierce do naczyń. — Opadła z powrotem na poduszki. — Biały ocet. Wykręć. — Głos szorstki jak papier ścierny. — I zgaś światło.

Pogasiłam lampy, zamoczyłam ścierkę do naczyń w occie, wykręciłam, przyniosłam jej. Nie miałam odwagi zapytać, co się stało.

— Siedemnaście powtórzeń — powiedziała, kładąc sobie ścierkę na czole i oczach. — Wiesz, ile to trwa? Setka ludzi czeka na ciebie. Już nigdy, nigdy nie będę grała.

224Wzięłam ją za rękę, usiadłam na podłodze obok jej wyciągniętej postaci w ciemnym pokoju, w którym unosiły się opary octu. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czulałam się tak, jakbym patrzyła, jak kochana osoba wchodzi na minę przeciwpiechotną, dokoła latają strzępy. Nie wiadomo, co z nimi zrobić.

— Puść Cohena — szepnęła. — Pierwszą płytę, z *Sisters of Mercy*.

Znalazłam płytę, z orlim profilem Cohena na okładce, z tyłu święty powstaje z płomieni, puściłam. Usiadłam obok niej, mocno przycisnęłam jej dłoń do policzka. Jego śpiewny głos mruczał błagalnie o siostrach miłosierdzia, o tym, że on też ma nadzieję je spotkać.

Po jakimś czasie przestała płakać, myślę, że zasnęła.

Pierwszy raz w życiu zależało mi na kimś tak bardzo, że czułam jego ból. Zemdliło mnie na myśl, że mogli coś takiego zrobić Claire, a mnie tam nie było, żeby jej powiedzieć: dosyć, nie musisz tego robić. — Kocham cię, Claire — powiedziałam miękko.

Któregoś wieczoru poszłam na kurs malarstwa i czekaliśmy na panią Day, ale się nie zjawiała. Jedna ze starszych pań kursantek odwiozła mnie do domu. Otworzyłam drzwi, na których wisiał bożonarodzeniowy wieniec z kandyzowanymi gruszkami i porcelanowymi gołębicami, spodziewając się, że zastanę Claire w salonie czytającą jedno ze swoich czasopism i słuchającą muzyki, lecz nie było jej tam.

Znalazłam ją w moim pokoju, siedziała po turecku na łóżku i czytała listy od mojej matki, dzienniki poetyckie, osobiste notatki, wszystko to miała rozłożone wokół siebie. Była blada, zaabsorbowana, gryzła paznokiec palca z obrączką. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Byłam oburzona, byłam wystraszona. Nie powinna czytać tych rzeczy. Potrzebowałam mieć je obie na osobnych stronach. Nie chciałam, żeby miała cokolwiek wspólnego z moją matką, żeby powstało między nimi coś, nad czym nie miałabym kontroli. A teraz wzięła i otworzyła szkatułkę. Puskę Pandory. Wypuściła całe zło. Ingrid Magnussen zawsze tak ich wszystkich

225fascynowała. Czułam, że znowu wycofuję się w jej cień. To były moje rzeczy. Nawet nie moje. Ufałam jej.

— Co ty robisz?

Podskoczyła, notatnik, który czytała, wypadł jej z ręki. Otworzyła usta, żeby się wytłumaczyć, potem zamknęła. Znow otworzyła. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Kiedy była zdenerwowana, nie mogła mówić. Próbowала pozbierać pogrążające ją materiały drżącymi rękami, lecz były zbyt różnorodnych rozmiarów, wymykały się z jej niezdarnych dłoni. Pokonana, zostawiła je porozrzucane, zamknęła oczy, zasłoniła twarz dłońmi. Przypominała mi Caitlin, która sądziła, że jej nie widzimy, kiedy ona nas nie widzi.

— Będiesz mnie teraz nienawidziła? — spytała.

— Dlaczego to zrobiłaś, Claire? Pokazałabym ci, gdybyś mnie poprosiła.

Zaczęłam zbierać notatniki, papier ryżowy związany sznurkiem, włoskie notesy z

marmurkowanymi okładkami, amster-damskie zeszyty szkolne, gładkie, oprawione w skórę, pozwiązywane sznurówkami. Dzienniki mojej matki, moja nieobecność zapisana na marginesach. Nic z tego nie dotyczyło mnie. Nawet listy. Tylko jej.

— Byłam załamana. Ciebie nie było. Ona wydaje się taka silna. Szukała wzorca do naśladowania? Z trudem powstrzymałam

się od śmiechu. Claire podziwia moją matkę — miałam ochotę dać jej w twarz. Obudź się! Miałam ochotę krzyknąć. Ingrid Magnussen potrafiłaby zrobić ci krzywdę, mijając cię po drodze do łazienki!

Przeczytała listy. Wiedziała, że prawie o niej nie wspominałam mojej matce. Wyobrażałam sobie, jak ją to musiało zranić. Żałowałam, że tego wszystkiego nie wyrzuciłam, zamiast wlec to za sobą jak przekleństwo. Ingrid Magnussen. Jak miałam jej wytłumaczyć? Nie chciałam, aby moja matka wiedziała o tobie, Claire. Jesteś jedyną dobrą rzeczą, jaka zdarzyła mi się w życiu. Nie chcę ryzykować. Jakże moja matka by cię nienawidziła. Ona nie chce, żebym była szczęśliwa, Claire. Była zadowolona, że nienawidziłam Marvel. Czują się przez to bliżej mnie. Artystka

226nie musi być szczęśliwa, powiedziała. Chodziło jej o to, że gdybym była szczęśliwa, to bym jej nie potrzebowała. Mogłabym o niej zapomnieć. I miała rację. Mogłabym.

Beształa mnie w swoich listach. „Co mnie obchodzi, że dostałaś 98 punktów z dyktanda? Albo twój ogród kwiatowy. Jesteś taka nudna, że cię nie poznaję. Co to są za ludzie, z którymi teraz mieszkasz? Co naprawdę myślisz?” Ja jednak nic jej nie powiedziałam.

— Chcesz się dowiedzieć o mojej matce? — Wzięłam szary notes z tasiemką, otworzyłam i podałam Claire. — Masz. Czytaj.

Odsłoniła twarz, oczy miała opuchnięte i czerwone, ciekło jej z nosa. Czknęła i wzięła ode mnie notes. Nie musiałam patrzeć jej przez ramię. Znałam to na pamięć.

Rozpuść złośliwą plotkę.

Wypuść ukochanego psa staruszki na ulicę.

Zasugeruj samobójstwo osobie w ciężkiej depresji.

— Co to jest?

Powiedz dziecku, że nie jest zbyt ładne ani rozgarnięte. Nalej do plastikowych kubków płynu do czyszczenia rur i postaw

na rogach ulicy. Wrzuć garść bezużytecznych zagranicznych monet do kubka Żebraka i zaczekaj, aż ci wylewnie podziąkuje. — Bóg zapłać, proszę pani.

— Ale to nie jest naprawdę — powiedziała Claire. — Przecież ona nie robi tych rzeczy.

Wzruszyłam tylko ramionami. Jak Claire miałyby zrozumieć taką kobietę jak moja matka? Ona potrafiła spisywać takie wykazy godzinami, zaśmiewając się do łez.

Claire patrzyła na mnie głodnym, błagalnym wzrokiem. Jak mogłam dalej się na nią gniewać? Moja matka nie miała pojęcia, co najbardziej lubię do jedzenia, gdzie bym mieszkała, gdybym

227mogła sobie wybrać dowolne miejsce na świecie. To Claire mnie odkryła. Wiedziała, że chciałabym mieszkać na Big Sur, w chacie z piecem opalonym drewnem i ze studnią, że lubię mydło zielone jabłuszko, że moja ulubiona opera to *Borys Godunow*, że się boję mleka. Pomogła mi zapakować zeszyty do pudełka, zamknęła je i włożyła z powrotem pod łóżko.

18

Ron i Claire znów się kłócili w swoim pokoju. Słyszałam ich, leżąc na łóżku, królik kulił się na ścianie, uszy miał postawione i drżące. Claire chciała, żeby Ron zrezygnował z pracy, znalazł sobie coś, co by się nie wiązało z okaleczaniem bydła ani czarno-księstwem w pueblach.

— Co chcesz, żebym robił, zmywał naczynia? — Ron rzadko podnosił głos, ale był zmęczony, właśnie wrócił z Rosji, nie spodziewał się kłótni. Zazwyczaj czekał na niego domowy posiłek, pocałunki i czysta pościel. — Zarabiam na życie. To tylko praca, Claire. Jezu, czasem sobie myślę, że nie mam pojęcia, co się dzieje w twojej głowie.

To było kłamstwo. Ron kupczył strachem. Był całkiem spory rynek na ten towar. Ludzie się bali. Groźne kształty czaiły się na obrzeżach widzenia, w sąsiednim samochodzie, w automacie do pobierania opłat na autostradzie, może czekały na nich w przedpokoju z pistoletem. W paście do zębów z supermarketu była trucizna. Wirus ebola, żółtaczkę typu C. Mężowie znikali po drodze do sklepu z alkoholami. Dzieci znajdowano

martwe w rowach z odciętymi głowami. Obraz został wyrwany z ram, kontury się rozmyły. Ludzie chcieli potworów, duchów i głosów zza grobu. Czegoś obcego i zamierzonego, a nie bezsensownego i znajomego jak dziecko zastrzelone dlatego, że nie chciało oddać dobrowolnie swojej skórzanej kurtki.

228Ron dostarczał ten towar. Strach w ramie. Ludzie zawsze wolą przybyszów z kosmosu od niezrozumiałych aktów przemocy. Była to kariera nasączona cynizmem, napompowana hipokryzją.

Jej głos, kiedy mu odpowiadała, był jak zginanie blachy.

Kiedy on mówił, rozumiałam każde słowo. — Co ty sobie myślisz, lecę czternaście godzin z jakiejś konferencji o zginaniu łyżek w Jakucku, nie wiem, czy jest jutro, czy wczoraj, i będę balował. Dawać mi tu panienki! Może powinnaś trochę popracować i przypomnieć sobie, jaki człowiek potrafi być wykończony po całym dniu.

Czułam, jak jego słowa palą ją w skórę niczym bicz. Próbowałam usłyszeć, co ona mówi, ale jej słowa przeszły w ledwo słyszalne mruczenie. Claire nie umiała się bronić, zwijała się jak liść pod szkłem.

— Astrid nie potrzebuje, żebyś na nią czekała z butelką mleka i smoczkiem. Jezu, Claire! Ona jest już prawie dorosła. Myślę, że miałyby ochotę spędzić parę godzin sama. Może miałyby jakichś własnych znajomych, gdybyś dała jej szansę.

Kiedy ja je[^] potrzebuję, Ron. Nikt nigdy na mnie nie czekał, gdy wracałam ze szkoły — i nigdy z mlekiem. Nawet tego nie wiedział. Byłam dla niej ważna. Czy on nie może zrozumieć, co to dla mnie znaczy, i dla niej? Gdyby mu na niej zależało, to nigdy by nie powiedział takich rzeczy. Jak on śmie udawać, że ją kocha? Uchyliłam drzwi, żeby ją usłyszeć, ale chyba mówiła szeptem.

— Oczywiście, że przestali dzwonić. Gloria powiedziała, że dzwoniła mnóstwo razy, ale ty nigdy nie odbierałaś. Oczywiście, że dali sobie spokój.

Teraz słyszałam tylko, że Claire płacze. Płakała tak, jak płaczą dzieci, szlochała, czkała, siąkała. I kojące tony jego głosu.

Wyobraziłam sobie, jak bierze ją w ramiona, kołysze ją na swojej piersi, głaszcze po włosach, a ona mu pozwala, to było w tym wszystkim najgorsze. Będą się kochali, ona zaśnie, myśląc sobie, że jest dla niej mimo wszystko taki dobry, że na pewno ją kocha.

Będzie lepiej. To była jego metoda. Zranić ją, a potem

229sprawić, żeby było lepiej. Nienawidziłam go. Wracał do domu, rozstrajał ją, a potem znowu wyjeżdżał.

Przyszedł list od mojej matki. Zaczęłam go otwierać, kiedy zauważyłam, że nie jest zaadresowany do mnie, tylko do Claire. Po co moja matka pisze do Claire? Nigdy jej o niej nie opowiadałam. Powinnam go otworzyć czy dać Claire? Uznałam, że nie mogę ryzykować. Nie wiadomo, co matka mogła napisać. Może jej grozi, kłamie, straszy ją. Zawsze mogę powiedzieć, że otworzyłam przez pomyłkę. Zabrałam go do swojego pokoju, otworzyłam nożem do papieru.

Droga Pani Claire!

Tak, myślę, że byłoby wspaniale, gdybyście mnie odwiedziły. Już tak dawno nie widziałam Astrid, nie wiem, czybym ją poznała — i zawsze z wielką przyjemnością spotykam się z moimi wiernymi czytelnikami. Umieszczę Panią na mojej liście odwiedzających — nie była Pani nigdy skazana za przestępstwo, prawda? To był żart.

Pani przyjaciółka Ingrid

Korespondują ze sobą, myśl ta przejęła mnie grozą. „Pani przyjaciółka, Ingrid”. Musiała do niej napisać po tym, jak ją przyłapałam na czytaniu w moim pokoju przed Bożym Narodzeniem. Czuję się zdradzona, bezradna, zaniepokojona. Rozmówiłabym się z nią na ten temat, ale musiałabym się wtedy przyznać, że otworzyłam jej list. Podarłam go więc i spaliłam w swoim koszu na śmieci. Miałam nadzieję, że będzie przygnębiona, iż moja matka jej nie odpisała, i zrezygnuje z tego pomysłu.

Był szary lutowy poranek, tak pochmurny, że z naszego ogrodu nie widzieliśmy Hollywood Hills. Jechaliśmy odwiedzić moją matkę. Claire włożyła mini, golf i rajstopy, wszystko w mahoniowobrazowym kolorze. Zmarszczyła czoło do lustra.

— Może dzinsy byłyby lepsze?

230— Dzinsy są zakazane — powiedziałam.

Myśl o tym spotkaniu była dla mnie prawie nie do zniesienia. Mogłam tylko stracić. Moja matka mogła ją zranić. Albo zauroczyć. Nie wiedziałam, co byłoby gorsze. Claire była moja, kochała mnie. Dlaczego matka musi wchodzić między nas? Ale ona taka już była, zawsze musiała znajdować się w centrum uwagi, zawsze musiała być

najważniejsza.

Nie widziałam jej, odkąd zamieszkałam u Starr. Marvel nie pozwalała mi do niej jeździć, uważała, że im rzadziej będę się z nią widywała, tym lepiej. Spojrzałam do lustra i zastanawiałam się, co sobie o mnie teraz pomyśli moja matka. Blizny na twarzy to był tylko początek. Wiele przeszłam od tamtej pory. Wiedziałam, że nie umiałabym już z nią przebywać, że zrobiłam się za duża, aby się schować w jej milczeniach. I musiałam się dodatkowo martwić o Claire.

— Chyba łapie mnie przeziębienie.

— Trema — powiedziała, wyglądając minispódniczkę. — Ja też jestem trochę stremowana.

Ja również nie byłam przekonana, czy się odpowiednio ubrałam: długa spódnica i martensy, grube skarpetki, włóczkowy sweter z koronkowym kołnierzykiem od Freda Segala, gdzie ubierała się cała modna młodzież z Hollywood. Wiedziałam, że moja matka uzna go za okropny, ale nie miałam się w co przebrać, wszystkie moje ubrania były teraz w tym stylu.

Jechaliśmy na wschód przez godzinę. Claire trajkotała podenerwowana. Nigdy nie potrafiła znieść milczenia. Patrzyłam przez okna, ssalam cukierki miętowe, żeby nie dostać mdłości od jazdy, opatulona w mój gruby irlandzki sweter. Przedmieścia stopniowo się przeredziły, zastąpiły je tartaki i pola, zapach gnojówki i długie, przetykane mgłą widoki, oprawione w ramy eukaliptusowych wiatrochronów. Dom poprawczy, więzienie dla mężczyzn. Minęły dwa lata, odkąd tu ostatni raz przyjechałam, całkiem inna dziewczyna w różowych butach. Rozpoznałam nawet mały targ, dwunastopak piwa Miller, 4,99 \$.

231— Skręć tutaj.

Pojechaliśmy nową asfaltową drogą do Kalifornijskiego Zakładu Karnego dla Kobiet, komina wentylacyjnego i wieży ciśnień, wieżyczki obserwacyjnej na skraju więzienia. Zostawiliśmy samochód na parkingu dla odwiedzających.

Claire wzięła głęboki wdech. — Nie wygląda to aż tak źle.

Wrony krakały napastliwie na figowcach. Było bardzo zimno. Naciągnęłam rękawy swetra na dłonie. Przeszliśmy przez wartownię. Claire przywiozła książkę dla mojej

matki, *Czuła jest noc*, Fitzgerald, ulubiona powieść Claire, ale wartownicy nie chcieli pozwolić wnieść jej do środka. Moje buty uruchomiły wykrywacz metali. Musiałam zdjąć, żeby strażnik mógł je przeszukać. Zgrzytanie kluczy, stuknięcie bramy, walkie-talkie, to były dźwięki odwiedzania mojej matki.

Usiadłyśmy przy stole ogrodowym pod niebieskim zadaszeniem. Patrzyłam na bramę, z której miała wyjść moja matka, lecz Claire patrzyła w złą stronę, na recepcję, gdzie nowe więźniarki przechadzały się albo zamiatały — zgłaszały się na ochotnika do zamiatania, takie były znudzone. W większości młode, tylko kilka miało więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ich martwe twarze nie życzyły nam nic dobrego.

Claire zadrżała. Próbowwała być odważna. — Dlaczego one tak na nas patrzą?

Otworzyłam dłoń, sprawdziłam linię losu. Życie będzie ciężkie. — Nie patrz na nie.

Było zimno, lecz się spociłam, czekając na matkę. Kto wie, może się zaprzyjaźnią. Może moja matka nie uprawia żadnej gry albo uprawia jakąś niezbyt paskudną. Claire będzie z nią korespondowała i kiedyś będzie zeznawała na jej korzyść przy rozpatrywaniu wniosku o warunkowe zwolnienie.

Zobaczyłam moją matkę, czekała, aż strażniczka otworzy bramę. Znów miała długie włosy, blada chustka na przedzie niebieskiej sukienki zasłaniała jedną pierś. Zawahała się, była równie stremowana jak ja. Jaka ona jest piękna. Zawsze zaskakiwała mnie swą urodą. Nawet kiedy nie było jej tylko przez jeden

232dzień, zapierało mi dech w piersiach na jej widok. Była chudsza, niż kiedy ją ostatni raz widziałam, spaliła cały nadmiarowy tłuszcz. Jej oczy zrobiły się jeszcze jaśniejsze, czułam je na sobie od samej bramy. Była wyprostowana, umięśniona i opalona. Mniej teraz przypominała Lorelei, a bardziej kobietę zamachowca z *Łowcy androidów*. Podeszła do nas uśmiechnięta, ale czułam niepewność w jej dłoniach, które położyła mi sztywno na ramionach. Spojrzałyśmy sobie w oczy, ze zdziwieniem zauważyłam, że jesteśmy tego samego wzrostu. Jej oczy drażyły mnie, próbowały znaleźć coś, co potrafiłyby rozpoznać. Nagle mnie speszyły, zawstydziłam się eleganckiego ubrania, a nawet Claire. Zawstydziłam się, że mogłam od niej uciec, że tego chciałam. Teraz mnie już poznała. Uścisnęła mnie i podała rękę Claire.

— Witam w Walhalli — powiedziała.

Próbowałam sobie wyobrazić, co w tej chwili czuje moja matka, witając się z kobietą, z którą mieszkam, z kobietą, którą tak bardzo lubię, że nic o niej nie napisałam. Teraz moja matka mogła zobaczyć, jaka Claire jest piękna, jaka wrażliwa — usta dziecka, twarz w kształcie serca, delikatna szyja, niedawno obcięte włosy.

Claire uśmiechnęła się z ulgą, że moja matka wykonała pierwszy ruch. Nie znała się na truciznach.

Matka usiadła obok mnie, położyła rękę na mojej, ale jej dłoń nie była już taka duża. Nasze dłonie były teraz podobne. Ona też to zauważyła, przyłożyła swoją do mojej. Była starsza niż poprzednim razem, zmarszczki woryły się w jej opaloną twarz, wokół oczu i wąskich ust. A może tylko tak wyglądała w porównaniu z Claire. Była zwięzła, gęsta, ostra. Stał naprzeciw wosku Claire. Modliłam się do Boga, w którego nie wierzyłam, żeby to się szybko skończyło.

— Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam — powiedziała Claire.

— To tak naprawdę nie istnieje — odparła moja matka, przeciągając dłonią wokół siebie wytwornym gestem. — To złudzenie.

— Napisała to pani w swoim wierszu. — W nowym wierszu,

który ukazał się w „Iowa Review”. O kobiecie, która się zamienia w ptaka, wyrastające pióra sprawiają jej ból. — Wyśmienity.

Wzdrygnęłam się na jej staroświecki, filmowy sposób wysławiania. Pomyślałam, że matka na pewno będzie z niej później kpiała ze swymi koleżankami z pawilonu. Nie mogłam jednak ochronić Claire. Było już na to za późno. Zobaczyłam, że nieodstępna sugestia ironii w kącikach ust mojej matki wygrawerowała się na stałe — mimiczny tatuaż.

Moja matka założyła nogę na nogę, opaloną i umięśnioną jak rzeźbiony dąb, naga pod niebieską sukienką, w białych trampkach. — Moja córka mówi, że pani jest aktorką. — Nie miała na sobie swetra, choć przedpołudnie było zimne i szare. Mgła pasowała do niej, czułam od niej morze, choć znajdowaliśmy się sto mil od oceanu.

Claire obracała obrączką ślubną, która była luźna na jej szczupłych palcach. — Prawdę powiedziawszy, moja kariera to katastrofa. Tak spartoliłam ostatni angaż, że chyba już nigdy więcej nie będę pracowała.

Dlaczego ona zawsze musi mówić prawdę? Powinnam ją była ostrzec, że niektórym ludziom trzeba zawsze kłamać.

Moja matka zaczęła instynktownie szukać pęknięcia w osobistej historii Claire, jak skałkowiec we mgle, który wymacuje miejsca do uchwycenia się palcami. — Nerwy? — spytała życzliwie.

Claire pochyliła się bliżej do mojej matki, skora do wtajemniczenia jej w swoje osobiste sprawy. — To był koszmar — powiedziała i zaczęła opisywać ten okropny dzień.

W górze chmury kłębiły się i paprały Jak dyzenteria, i zrobiło mi się niedobrze. Claire bała się tylu rzeczy, wchodziła do oceanu tylko po uda, z obawy, że wciągnie ją przeciwprąd. Dlaczego teraz go nie czuła? Uśmiech mojej matki, z pozoru taki życzliwy. Tu często zdarzają się wiry, Claire. Ratownicy muszą iść z pomocą lepszym pływakom niż ty.

— Jak oni źle traktują aktorów — powiedziała moja matka.

— Mam już tego dosyć. — Claire przesunęła serce z granatu po łańcuszku naszyjnika, wsunęła sobie pod wargę. — Koniec

234z tym. Wlokę się na przesłuchania, a oni patrzą na mnie przez dwie sekundy i uznają, że jestem zbyt etniczna na Anglosaskę, zbyt klasyczna na gospodynię domową.

Profil mojej matki odcinający się ostro od szynszyłowego nieba. Grzbietu jej nosa można by używać jako linijki. — Ile pani ma lat, trzydzieści?

— Za miesiąc kończę trzydzieści pięć. — Prawda, cała prawda i tylko prawda. Byłaby koszmarnym świadkiem. Nie potrafiła się oprzeć pragnieniu, by się położyć i obnażyć pierś do przebicia lancą. — Dlatego Astrid i ja dogadujemy się ze sobą. Skorpiony i Ryby dobrze się rozumieją. — Mrugnęła do mnie przez stół.

Mojej matce nie przypadło do gustu, że się dobrze rozumiemy, Claire i ja. Poznałam to po tym, jak ciągnęła mnie za włosy. Wrony krakały i trzepotały ciemnobłyszczącymi skrzydłami. Jednak uśmiechnęła się do Claire. — Astrid i ja nigdy się nie rozumialiśmy. Wodnik i Skorpion. Jest taka zamknięta w sobie, zauważyła pani? Nigdy nie wiedziałam, co myśli.

— Nic nie myślałam — powiedziałam.

— Zaczyna się otwierać — powiedziała pogodnie Claire. — Cały czas rozmawiamy.

Zrobiłam jej analizę numerologiczną. Wszystko jest bardzo ładnie zrównoważone. Jej imię też jest szczęśliwe. — Z jakąż swobodą Claire klęknęła przy pniaku kata, wyciągnęła szyję, wciąż trajkocząc.

— Jak na razie nie przyniosło jej za dużo szczęścia — powiedziała moja matka, prawie mruczając jak kotka. — Ale może to się odwraca. — Czy Claire nie czuje zapachu gotujących się oleandrów, tej lekko gorzkawej woni toksyny?

— Uwielbiamy ją — powiedziała Claire i przez chwilę zobaczyłam ją tak, jak widziała ją moja matka. Teatralna, naiwna, śmieszna. Nie, chciałam powiedzieć, stop, nie oceniaj jej na tej podstawie. Ona źle wypada na przesłuchaniach. Zupełnie jej nie znasz. Claire mówiła dalej, nieświadoma tego, co się dzieje. — Uczy się znakomicie, pracujemy nad tym, żeby utrzymała wysoką średnią. — Uniosła do góry zaciśniętą pięść, skautowski gest, prężny i optymistyczny. „Pracujemy nad tym, żeby utrzymała

235wysoką średnią". Byłam zawstydzona, lecz nie chciałam być zawstydzona. Czy moja matka kiedykolwiek pracowała ze mną, dzień po dniu, żeby pomóc mi utrzymać wysoką średnią? Chciałam zawinąć Claire w koc, tak jak się robi z kimś, kto stanął w ogniu, i potoczyć po trawie, żeby ją uratować.

Moja matka pochyliła się do Claire, jej oczy strzelały niebieskimi płomykami. — Niech pani powiesi nad jej biurkiem piramidkę. Podobno to poprawia pamięć — powiedziała bez cienia szyderstwa na twarzy.

— Mam bardzo dobrą pamięć — odparłam.

Lecz Claire była zaintrygowana. Moja matka zdążyła już znaleźć słaby punkt i byłam pewna, że znajdzie ich więcej. Claire ani przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że moja matka robi ją w balona. Co za niewinność.

— Piramidkę? Nie pomyślałam o tym. Ale stosuję się do zasad *feng shui*. Wie pani, jak poustawiać meble i tak dalej. — Claire promieniała, sądząc, że znalazła w mojej matce pokrewną duszę, która przestawia meble, żeby poprawić przepływy energii, mówi do roślin doniczkowych.

Chciałam zmienić temat rozmowy, zanim Claire przejdzie do sprawy pani Kromach i lustra na dachu. Szkoda, że nie przykleiła sobie lustra do czoła. — Dom jest niedaleko tego dużego zakładu fotograficznego w La Brea — wtrąciłam.

Moja matka ciągnęła dalej, jakbym się w ogóle nie odezwała. — A pani mąż nawet pracuje w tej branży. To znaczy, zjawiska paranormalne. — Te ironiczne przecinki w kącikach ust. — Ma pani dostęp z pierwszej ręki. — Przeciągnęła się, podnosząc ramiona nad głowę. — Proszę mu powiedzieć, że jego program jest tutaj bardzo popularny.

Położyła mi dłoń na ramieniu. Straciłam ją dyskretnie. Mogę być jej publicznością, ale nie będę jej współnikiem w przestępstwie.

Claire nic nie zauważyła. Zachichotała, przesunęła serce z granatu po łańcuszku. Przypominała mi kartę z tarota, na której zapatrzony w słońce chłopiec idzie prosto w przepaść. — On traktuje to jak dowcip. Nie wierzy w zjawiska nadprzyrodzone.

236— Czy to nie niebezpieczne w jego branży? — Moja matka stuknęła palcami w pomarańczowy plastik stołu ogrodowego. Widziałam, jak jej mózg pracuje na zwiększonych obrotach, przewiduje następne ruchy. Chciałam wrzucić jakiś kamyczek do tej maszynerii.

— Powiedziałaś mu kiedyś to samo — wyznała Claire, pochylając się do przodu, jej ciemne oczy błyszczały. — Tej jesieni mieli ducha, który o mało nie zabił jednego człowieka. — Przerwała, myśląc, że może popełniła gafę, mówiąc przy mojej matce o morderstwie. Potrafiłam czytać jej skórę jak gazetę.

— Nie martwi się pani o niego?

Claire była wdzięczna, że moja matka dyskretnie puściła w niepamięć to drobne *faux pas*. Nie widziała, że moja matka dostała do ręki coś, czego naprawdę chciała. — Och, Ingrid, gdyby pani wiedziała. Uważam, że ludzie nie powinni się bawić rzeczami, w które nie wierzą. Duchy istnieją, nawet jeśli się w nie nie wierzy.

O, my znałyśmy się na duchach, matka i ja. Duchy się mszczą. Lecz zamiast to przyznać, moja matka zacytowała Szekspira: — „Są rzeczy na niebie i ziemi, Horacy, o których nie śniło się waszym filozofom”.

Claire klasnęła w dłonie uszczęśliwiona, że dla odmiany ktoś inny zacytował Brodatego Barda. Przyjaciółka Rona zawsze myliła źródła.

Moja matka odgarnęła z twarzy swoje długie czarne włosy, znowu objęła mnie ramieniem.

— To tak, jakby nie wierzyć w elektryczność tylko dlatego, że się jej nie widzi. —

Jej jasnoniebieskie oczy zamachowca uśmiechnęły się do Claire. Wiedziałam, co sobie myśli: „Nie widzisz, jaka z niej idiotka, Astrid? Jak mogłaś woleć ją ode mnie?”

— Absolutnie — powiedziała Claire.

— Ja nie wierzę w elektryczność — powiedziałam. — Ani w Hamleta. Jest tylko fikcją. Tworem wyobraźni jakiegoś pisarza.

Matka zignorowała mnie.—Czy pani mąż musi dużo jeździć? Jak on ma na imię, niech mi pani przypomni? Ron? — Owinęła

237sobie pasemko moich włosów wokół palca, trzymając mnie na smyczy.

— Stale go nie ma — przyznała Claire. — Nawet na święta Bożego Narodzenia go nie było. — Znów bawiła się sercem z granatu, przesuwając je w górę i w dół po łańcuszku.

— Musi pani czuć się samotna — powiedziała moja matka. Smutno. Tak współczująco. Miałam ochotę wstać i uciec, ale nigdy bym nie zostawiła Claire sam na sam z nią.

— Kiedyś tak — odparła Claire — ale teraz mam Astrid.

— To wspinała dziewczyna. — Moja matka głaskała mnie po policzku swym szorstkim od pracy palcem, z premedytacją drapiąc skórę. Byłarri zdrajczynią. Zdradziłam moją matkę. Wiedziała, dlaczego zasłaniałam przed nią Claire. Boją kochałam. A ona kochała mnie. Bo miałam rodzinę, którą powinnam była mieć od początku, rodzinę, której moja matka nigdy nie uważała za istotną, której nigdy nie była w stanie mi dać.—Astrid, mogłabyś zostawić nas na chwilę same? Mamy pewne dorosłe sprawy do omówienia.

Przeniosłam wzrok z niej na moją przybraną matkę. Claire się uśmiechnęła. — No, idź. Tylko na minutkę. — Jakbym była dzieckiem, które trzeba namawiać do tego, żeby poszło pobawić się piaskownicy. Nie wiedziała, jak długa potrafi być minuta, ile się może zdarzyć w ciągu minuty.

Wstałam niechętnie i podeszłam do ogrodzenia najbliższej drogi, przeciągnęłam palcami po korze drzewa. W górze wrona gapiła się na mnie swym bezdusznym spojrzeniem, zakrakała niemal ludzkim głosem, jakby chciała mi coś powiedzieć.

— Odwal się — powiedziałam. Jest już ze mną chyba tak samo źle jak z Claire,

ślucham ptaków.

Patrzyłam na nie, pochylone ku sobie nad stołem. Moja matka opalona, z lnianymi włosami, ubrana na niebiesko, Claire blada i ciemna, ubrana na brązowo. To było surrealistyczne, Claire tutaj z moją matką, Claire przy pomarańczowym stole ogrodowym w Corona-Frontera. Jak we śnie, w którym stałam naga w kolejce w szkolnym sklepie. Po prostu zapomniałam się ubrać. To mi się śni, powiedziałam sobie, i mogę się obudzić, jeśli zechcę.

238 Claire przycisnęła dłoń do czoła, jakby sprawdzała, czy nie ma gorączki. Moja matka wzięła szczupłą dłoń Claire w swoje duże ręce. Mówiła bez przerwy, cicho, rozsądnie, kiedyś widziałam, jak zahipnotyzowała w ten sposób kota. Claire była zdenerwowana. Co ona jej mówi? Nie obchodziło mnie, w co gra moja matka. Jej czas się skończył. My odjeżdżamy, ona zostaje. Nie może mi tego rozwalić, choćby nie wiem co powiedziała.

Obie podniosły wzrok, kiedy do nich wróciłam. Moja matka spiorunowała mnie spojrzeniem, potem przesłoniła to uśmiechem, poklepała Claire po dłoni. — Niech pani pamięta, co pani powiedziałam.

Claire nic nie odpowiedziała. Spoważniała. Znikły chichoty, znikła radość z poznania innej osoby, która cytuje Szekspira. Wstała, podpierając się bladymi paznokciami o blat stołu. — Zaczekam na ciebie w samochodzie — powiedziała.

Moja matka i ja patrzyłyśmy, jak odchodzi, jej długie nogi w miedzianobrazowym kolorze, spokój jej ruchów. Moja matka odebrała im całe naelektryzowanie, żywość, urok. Wydrążyła ją, tak jak Chińczycy mieli w zwyczaju rozłupywać czaszkę żywej małpie i wyjadać jej łyżką mózg.

— Co jej powiedziałaś?

Moja matka odchyliła się do tyłu, splatając ręce za głową. Ziewnęła przeciągle, jak kot. — Podobno ma kłopoty z mężem. — Uśmiechnęła się zmysłowo, głaszcząc jasny meszek na przedramionach. — To nie ty, co? Wiem, że pociągają cię starsi mężczyźni.

— Nie, to nie ja. — Nie mogła się ze mną bawić tak jak z Claire. — Nie mieszaj się do tego.

Nigdy wcześniej nie śmiałam tak do niej mówić. Gdybym nie wiedziała, że musi tu

zostać, nie miałabym odwagi. Aleja pojedę, a ona zostanie: czerpałam z tego siłę, której nigdy bym w sobie nie znalazła, gdyby ona była na wolności.

Widziałam, że jest zdziwiona moim buntem. Rozgniewało ją, że uważam, iż mogę sobie na to pozwolić, ale była opanowana, widziałam, jak zmienia front. Obdarzyła mnie powolnym, ironicznym

uśmiechem. — Mamusia chce po prostu pomóc, skarbenku — powiedziała, oblizując słowa jak kot pijący śmietankę. — Muszę zrobić wszystko, co będę mogła, dla mojej nowej przyjaciółki.

Obie patrzyłyśmy na Claire przez siatkę ogrodzenia, jak szła do saaba, zamyślona, weszła w zderzak jakiegoś kombi.

— Zostaw ją w spokoju.

— Kiedy to taka świetna rozrywka — powiedziała moja matka znudzona udawaniem. — Łatwa, ale przyjemna. Jak topienie kociąt. A w mojej obecnej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na wzgardzenie żadną rozrywką. Chciałabym tylko wiedzieć, jak ty możesz wytrzymać z tą swoją klaryską? Podejrzewam, że musi to być makabrycznie nudne. „Pomagam jej utrzymać średnią” i tak dalej. Żenujące.

— Ona ma naprawdę dobre serce — powiedziałam, odwracając się od niej. — Ale tobie to nic nie mówi.

Prychnęła. — Niech Bóg ma cię w swojej opiece, co za sentymentalne bzdury. Myślałam, że już wyrosłaś z bajek.

— Nie rozwal mi tego — powiedziałam, wciąż plecami do niej.

— Kto, ja? — Śmiała się ze mnie. — Co ja mogę zrobić? Jestem biedną więźniarką. Jestem tylko małym ptaszkiem ze złamanym skrzydłem.

Odwróciłam się. — Nie wiesz, przez co przeszłam. — Pochyliłam się nad nią, z jednym kolaniem na ławce obok niej. — Jeśli mnie kochasz, to mi pomożesz.

Uśmiechnęła się, powoli i zdradliwie. — Pomóc ci, kochanie? Wolałabym cię widzieć w najstraszniejszym średniowiecznym sierocińcu niż z taką kobietą. — Sięgnęła ręką, żeby odgarnąć mi pukiel włosów z twarzy, lecz ja szarpnęłam głową do tyłu. Złapała mnie za przegub, zmuszając, żebym na nią spojrzała. Teraz była śmiertelnie poważna. Za tymi wszystkimi zabawami kryła się czysta siła woli. Byłam zbyt przerażona, żeby się jej

wyrwać. — Czego się nauczysz od takiej kobiety? — spytała. — Jak artystycznie skamleć? Dwadzieścia siedem synonimów łez? — Strażniczka wykonała ruch, jakby chciała do nas podejść, i matka puściła mój przegub.

240Wstała i pocałowała mnie w policzek, przytuliła mnie niezbyt mocno, byliśmy tego samego wzrostu, ale czułam, jaka jest silna, jak liny, na których wiszą mosty.

— Mogę ci tylko powiedzieć, miej walizki spakowane — szepnęła mi do ucha.

Claire ruszyła w stronę drogi. Z jej przepelnionych oczu wyciekła łza. „Dwadzieścia siedem synonimów łez”. Ale nie, to nie była moja myśl. Nie dam sobie wyprać mózgu. To jest Claire. Położyłam dłoń na jej ramieniu, kiedy skręcała na główną drogę. Uśmiechnęła się i poklepała mnie w rękę swoją małą, chłodną dłonią. — Chyba dobrze wypadłam, jak uważasz?

— Tak — powiedziałam, patrząc przez okno, żebym nie musiała jej kłamać w oczy. — Bardzo cię polubiła.

Łza pociekła jej po policzku, starłam ją wierzchem dłoni.

— Co ci powiedziała?

Claire pokręciła głową, westchnęła. Włączyła wycieraczki, choć ledwo mżyło, wyłączyła je, kiedy zaczęły skrzypieć na suchym szkłe. — Powiedziała, że mam rację co do Rona. Że ma romans. I tak o tym wiedziałam. Ona to tylko potwierdziła.

— Skąd miałyby wiedzieć? — powiedziałam z gniewem. — Na litość boską, Claire, dopiero co cię poznała.

— Są wszelkie poszlaki. — Pociągnęła nosem, a potem wytarła go dłonią. — Tylko ja nie chciałam ich dostrzec. — Ale potem się uśmiechnęła. — Nie przejmuj się. Jakoś to rozwiążemy.

Siedziałam przy biurku pod idiotyczną piramidką i rysowałam autoportret z lusterka. Rysowałam długopisem, nie patrząc na kartkę, starając się nie odrywać długopisu od papieru. Jedna linia. Trochę kwadratowa szczęka, grube, nie uśmiechnięte usta, okrągłe, pełne wyrzutu oczy. Szeroki duński nos, grzywa białych włosów. Rysowałam siebie, aż byłam w stanie dobrze oddać podobieństwo nawet z zamkniętymi oczami, aż wyuczyłam się na pamięć ruchów dłoni, ramienia, mimiki twarzy, aż potrafiłam zobaczyć swoją twarz na ścianie. Nie jestem tobą, mamó. Nie jestem.

241 Claire miała iść na przesłuchanie. Powiedziała Ronowi, że pójdzie, ale kazała mi zadzwonić i przekazać, że jest chora. Moczyła się w wannie w wodzie z olejkiem lawendowym i okruczem ametystu, próbując wygładzić bruzdy, jakich się ostatnio dorobiła. Ron miał wrócić w piątek, ale coś mu wypadło. Jego powroty do domu były dla niej uchwytami, które pozwalały przepłynąć od jednego kwadratu kalendarza do drugiego. Kiedy mówił, że przyjedzie, i nie przyjeżdżał, rzucała się do przodu i łapała powietrze, upadała.

Przechwyciłam list z więzienia od mojej matki do Claire. Moja matka doradzała jej, żeby dodała mu do jedzenia lubczyku, ale wszystkie składniki podanej przez nią receptury wydały mi się trujące. Narysowałam nad jej listem obrazek, serię węzowych zawijasów przekłutych strzałą, włożyłam go do nowej koperty i odesłałam jej.

W salonie Claire puszczała Cohena. Suzanne zabierała ją do swego domku nad rzeką.

Ja dalej rysowałam swoją twarz.

19

W kwietniu pustynny żar wysysał już z powietrza wiosnę jak bibułka. Hollywood Hills piętrzyły się nienaturalnie przejrzysto, jakbyśmy patrzyły na nie przez lornetkę. Nowe liście już marszczyły się w upale, a my siedziałyśmy spocone i przygnębione w domu ze spuszczoneymi żaluzjami.

Claire wyjęła biżuterię, którą trzymała w zamrażalniku i wysypała na łóżko, skarb piratów, rozkosznie oszroniony. Zmrożone sznury zielonych paciorków jadeitu, bursztynowy medalion ze skamieliną paproci. Przycisnęłam zimny medalion do policzka, a potem położyłam sobie łańcuszek na włosach, medalion lizał moje czoło jak chłodny język.

242— Mam go po mojej stryjecznej babci Priscilli — powiedziała Claire. — Nałożyła go na swój debiutancki bal w Waldorf Astoria tuż przed pierwszą wojną. — Leżała na plecach w bieliźnie, włosy ciemne od potu, na czole bransoleta z dymnego topazu przecięta skomplikowanym złotym łańcuszkiem, który opierał się jej na czubku nosa. Była nieprzyjemnie chuda, ostre kości biodrowe i żebra sterczały jej jak wystruganemu z drewna Chrystusowi. Widziałam znamię nad rąbkiem majtek. — Była pielęgnowaną podczas bitwy pod Ypres. Bardzo dzielna kobieta.

Każda bransoleta, każdy paciorek miał swoją historię. Ze sterty biżuterii, która leżała między nami na łóżku, wzięłam pierścionek z onyksu, prostokątny, jego czarna gładka powierzchnia przekłuta maleńkim diamentem, próbowałam nałożyć, ale był za mały, wchodził mi tylko do kłykcia małego palca.

— A ten czyj był? — Podsunęłam jej pod oczy, żeby mogła zobaczyć, nie ruszając głową.

— Prababci Matilde. Stuprocentowa paryżanka. Właścicielka nie żyła od stu lat, lecz pierścionek sprawiał, że

czułam się topornie wielka i niewychowana. Wyobraziłam sobie kruczoczarne włosy, loki, ostry język. Jej czarne oczy wychwyciłyby moją najmniejszą niezręczność. Nie zaaprobowałyby mnie, moich niezdarnych ramion i nóg, byłabym za duża dla jej małych krzeseł i mikroskopijnych porcelanowych filiżanek ze złotym brzeżkiem, samica łosia pośród antylop. Podałam pierścionek Claire, która bez problemu wsunęła go sobie na palec.

Dusiciel z granatu, lodowaty wokół mojej szyi, był prezentem ślubnym od pradziadka Claire, właściciela fabryki w Manchesterze, dla jego żony, Beatrice, Złoty jaguar ze szmaragdowymi oczami, którego położyłam sobie na kolanie, został przywieziony w latach dwudziestych z Brazylii przez ciotkę jej ojca, Geraldine Woods, która miała wdzięk Isadory. Miałam na sobie album rodzinny Claire. Babki ze strony matki, stryjeczne babki ze strony ojca, kobiety w szmaragdowej tafcie, aksamicie i biżuterii z granatu. Czas, miejsce i osobowość zaklęte w kamieniu i srebrnym filigranie.

243W porównaniu z tym moja przeszłość była dymem, historią, którą opowiedziała mi kiedyś matka, by później jej zaprzeczyć. Żadnych onyksów, żadnych akwamaryn upamiętniających życie moich przodków. Miałam po nich tylko oczy, dłonie, kształt nosa, tęsknotę za śniegiem i rzeźbionym drewnem.

Claire spuściła sobie złoty naszyjnik na jedną powiekę, jadei-towe paciorki na drugą. Mówiła starannie, nic się nie ześlizgiwało.

— Kiedyś chowali ludzi w ten sposób. Z ustami pełnymi klejnotów i złotą monetą na każdym oku. Opłata dla przewoźnika. — Włała koralowy naszyjnik do studni pępka, a podwójny sznur pereł, dobrze schłodzony na stercie biżuterii, między piersi. Potem podniosła perły, otworzyła usta i opuściła kawałek sznura, zacisnęła usta na błyszczących

jajeczkach. Matka podarowała jej perły z okazji ślubu, chociaż nie chciała, żeby Claire wychodziła za Żyda. Kiedy Claire mi o tym powiedziała, sądziła, że będę zszokowana, aleja przecież mieszkałam z Marvel Turlock, Amelią Ramos. Uprzedzenia rasowe nie były dla mnie zaskoczeniem. Dziwiło mnie tylko, dlaczego dała jej perły.

Claire leżała nieruchomo, udając martwą. Przyozdobione klejnotami zwłoki w różowej bieliźnie z koronki, zroszone potem. Nie byłam pewna, czy podoba mi się ta nowa zabawa. Przez szklane okna, pod żaluzjami, których nie opuściliśmy do samego dołu, widziałam ogród, tej wiosny rosnący dziko. Claire nie pielęgnowała go już, nie przycinała i nie plewiła w spiczastym chińskim kapeluszu. Nie podpierała kwiatów tykami i rosły rozwichrzone, drugoroczne gladiole przechylały się na bok, meksykańskie wiesiołki zaanektowały niekoszony trawnik.

Ron znów wyjechał, po raz drugi w ciągu miesiąca. Tym razem do Andaluzji, gdzie kręcił program o Cyganach. Przeczesał świat w poszukiwaniu najdziwniejszych zjawisk, nabijał sobie punkty stałego klienta linii lotniczych. Gdyby chciał zobaczyć coś naprawdę odjechanego i niezwykłego, powinien był wejść do własnej sypialni i zobaczyć swojażoną, jak leży na łóżku w majtkach i staniku z różowej koronki, przysypana jademitem i perłami, udająca martwą. Pudełko voodoo pod łóżkiem — mag-

244nesy, spinacze i długopisy, zaalaminowane zdjęcia polaroidowe— miało go ściągnąć do domu.

Nagle zaczęła się dławić perłami. Usiadła z czkaniem. Klejnoty osypały się z jej ciała. Wyciągnęła sznur pereł z ust, chwyciła go w dłoń. Była taka blada, jej usta przez kontrast wydawały się nienaturalnie czerwone, pod oczami miała ciemne kręgi. Padła skulona na bryłkę lśniących jajeczek, mokrych od śliny, na skraju łóżka, plecami do mnie, jej kręgosłup prążkowany jak jadeit.

Sięgnęła za siebie po moją dłoń, paznokcie miała brudne, końcówki małe i wrażliwe jak u dziecka, pierścionki zupełnie do nich nie pasowały. Wzięłam ją za rękę. Przycisnęła moją dłoń do swego mokrego policzka. Była rozpalona. Oparłam twarz o jej ramię, plecy miała jak ogień. — Ron niedługo wróci — próbowałam ją pocieszyć.

Kiwnęła głową, jej głowa była ciężka na smukłej szyi, jak jeden z kulistych tulipanów, gruzły jej kręgosłupa przypominały grzechotkę grzechotnika diamentowego. — Skoro już teraz jest tak gorąco, to co będzie w lecie?

Składała się z samej skóry i nerwów, nie miała żadnego miększu, żadnego ciężaru. Była latawcem unoszonym przez suche gwałtowne wiatry.

— Powinnyśmy iść na plażę — zasugerowałam.

Potrząsnęła głową, szybko, jakby usiadła na niej mucha. — Nie o to chodzi.

Siedziałam na jednym z klejnotów, wbijał mi się w biodro. Wyswobodziłam dłoń i wyjęłam go spod siebie. Była to akwama-ryna, duża jak migdał w łusce. Akwamaryny dojrzewają ze szmaragdami, powiedziała mi Claire, lecz szmaragdy są kruche i rozpadają się na mniejsze kawałki, akwamaryny zaś są mocniejsze, bez problemu tworzą olbrzymie kryształy, nie są więc dużo warte. Prawdziwie cenny jest szmaragd, który nie pękł.

Podalam jej lodowoniebieski kamień koloru oczu mojej matki. Nałożyła go sobie na palec wskazujący, wisiał tam jak gałka na sznurku. Wpatrywała się w niego. — Należał do mojej matki.

245Ojciec kupił go jej z okazji podróży statkiem dookoła świata. — Zdjęła pierścionek. — Na nią też był za duży.

Papuga pani Kromach w sąsiednim domu gwizdała wciąż te same trzy nuty w porządku wzrastającym, odległe od siebie o trzy i pół tonu. Ulicą przejechała furgonetka z lodami, grając jakąś dziecięcą melodyjkę. Claire położyła się na plecach, żeby móc na mnie patrzeć, jedną rękę miała pod głowę. Była bardzo piękna, nawet teraz, z włosami bezładnie rozrzuconymi, czoło spocone, ciemne brwi wygięte w łuk i błyszczące, krzywizna małych piersi pod różową koronką.

— Gdybyś miała się zabić, to jak byś to zrobiła? — spytała. Przekręciłam się na brzuch, zaczęłam grzebać w biżuterii.

Próbowałam nałożyć złotą bransoletę, ale była za mała. Pomyślałam o swoich samobójstwach, o przesiewaniu śmierci przez palce niby gagatowych paciorków. — Nie zabiłabym się.

Położyła sobie na płaskim brzuchu srebrny indiański naszyjnik, cieniutkie nici metalu były płynne jak rtęć. — Przypuśćmy, że byś się zdecydowała.

— To sprzeczne z moją religią. — Pot spływał mi między piersiami, zbierał się w pępku.

— Czyli jaką?

— Szkoła przetrwania.

Odmówiłam udziału w zabawie i ona nie chciała mi na to pozwolić.

— Przypuśćmy, że byś chciała. Przypuśćmy, że byłabyś stara i miałabyś jakiegoś makabrycznego, nieuleczalnego raka.

— Nafaszerowałabym się demerolem i przeczekała to. — Nie miałam zamiaru rozmawiać z Claire o samobójstwie. U mojej matki znajdowało się ono na liście zachowań aspołecznych. Nie zamierzałam jej mówić, jaki jest najpewniejszy sposób, plan chłopaka z rakiem kości, wstrzyknąć sobie do żyły bąbelek powietrza, żeby płynął przez krew jak perła. Byłam pewna, że ciotce Priscilli zdarzyło się zastosować tę metodę na polu bitwy, kiedy skończyła się jej morfina. Poza tym można było rozgryźć ampulkę z cyjankiem, tak jak się truło koty. Bardzo szybka metoda.

246 Kiedy człowiek popełnia samobójstwo, to nie chce długo czekać. Mógłby ktoś wejść i go uratować.

Claire złapała się dłonią za kolano, zrobiła sobie kołyskę z kręgosłupa. — Wiesz, jak ja bym to zrobiła?

Ciągnęła mnie na tę drogę, którą ja nie zamierzałam pójść. — Chodźmy na plażę, dobrze? Jest tak gorąco, że wariujemy od tego.

Nie usłyszała mnie. Oczy miała rozmarzone, jak ktoś zakochany. — Otrułabym się gazem. To najlepszy sposób. Podobno to jest tak samo, jakby się położyć spać.

Przypominała mi kobietę, która kładzie się na chwilę na śniegu, taka jest zmęczona. Szła już tak długo, chciała odpocząć, a nie było tak zimno, jak sądziła. Tak bardzo chciało jej się spać. Chciała się poddać. Przestać walczyć z burzą i otulającą ją nocą, położyć się pośród bieli i spać. Rozumiałam ją. Miewałam dawniej sen, że nurkuję w rafie koralowej. Narastała we mnie euforia, gdy wzrastało stężenie tlenu we krwi, był tylko jeden kierunek: w stronę ciemności i zapomnienia.

Muszę ją obudzić, pomyślałam. Uderzyć w twarz, kazać chodzić w kółko, napić czarną kawą. Opowiedziałam jej o japońskim marynarzu, który dryfował cztery dni, zanim się zabił. Znaleźli go dwadzieścia minut później. Był jeszcze ciepły.

Usłyszałyśmy buczenie kosiarki kilka domów dalej. Słodycz jaśminu zabrała resztę powietrza. Claire westchnęła, nadymając zebra ostre jak noże kosiarki. — Ale jak długo

można unosić się na wodzie i patrzeć na pusty horyzont? Jak długo można dryfować, zanim sobie powiesz: rezygnuję?

Co miałam jej odpowiedzieć? Ja dryfowałam tak już od lat. Ona była moją tratwą ratunkową, moim zółwem. Położyłam się, oparłam głowę o jej ramię. Pachniała potem i L'Air du Temps, ale teraz woń była pylistoniebieska, jakby melancholia zabrudziła perfumy.

— Wszystko się może zdarzyć — powiedziałam.

Pocałowała mnie w usta. Jej usta smakowały mrożoną kawą i kardamonem, obezwładnił mnie ten smak, jej rozpalona skóra i zapach niemytych włosów. Byłam zdezorientowana, lecz nie niechętna. Pozwoliłabym jej na wszystko.

247Opadła z powrotem na poduszkę, zakryła oczy ręką. Usiadłam, podpierając się jednym łokciem. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Czuję się tak nierealnie — powiedziała.

Przekręciła się plecami do mnie, serce z granatu zostało jej na ramieniu. Jej brudne włosy były ciężkie jak kiść czarnych winogron, a talia i biodra wygięte jak pudło gitary. Podniosła sznur pereł i opuściła spiralnie na narzutę, ale ręka jej drgnęła, burząc konstrukcję. Podniosła perły znowu i spróbowała jeszcze raz, jak dziewczyna, która obrywa płatki stokrotki, chcąc uzyskać odpowiedź na pytanie.

— Gdybym miała dziecko — powiedziała.

Poczułam szarpnięcie za rzadko używaną strunę. Miałam pełną świadomość, że jestem dzieckiem-zamiast, substytutem tego, czego naprawdę pragnęła. Gdyby miała dziecko, to nie potrzebowałaby mnie. Ale dziecko nie wchodziło w grę. Była taka chuda, głodziła się. Zdarzyło mi się złapać ją na wymiotowaniu po jedzeniu.

— Byłam kiedyś w ciąży, w Yale. Nie przyszło mi do głowy, że to jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek będę miała.

Skowyt kosiarki wypełniał ciszę. Chciałam powiedzieć coś krzepiącego, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Zsunęłam jej naszyjnikowe serce z pleców. Jej chudość negowała wyrażone na głos pragnienie. Tak bardzo straciła na wadze, że mogła teraz nosić moje ubrania. Robiła to, kiedy byłam w szkole. Czasami, kiedy przyszłam do domu, niektóre ubrania były ciepłe i pachniały L'Air du Temps. Wyobrażam ją sobie w moich

ciuchach, tych, które najbardziej lubiła, w spódnicy w kratkę, obcisłej bluzce. Stoi przed lustrem, wyobraża sobie, że ma szesnaście lat, chodzi do ogólniaka. Umiała zagrać idealną imitację mnie, niezdarnej nastolatki. Zakładała nogę na nogę tak samo jak ja,, wsuwając stopę za łydkę. Zaczynała od wzruszenia ramion, kiedy rozmawialiśmy, z góry odrzucając to, co zamierzałam powiedzieć. Mój uśmiech, zażenowany, który zapalał się i gasł w jednej sekundzie. Przymierzała mnie na sobie jak moje ubrania. Nie chciała jednak być mną, chciała mieć szesnaście lat.

Patrzyłam na ogród pod żaluzjami, na długie cienie rzucane

248przez cyprys i palmę na ziarnistą zieleń. A gdyby miała szesnaście lat, to co? Nie popełniłaby błędów, które popełniła? Dokonałaby lepszych wyborów? Może w ogóle nie musiałaby dokonywać żadnych wyborów, po prostu miałaby wiecznie szesnaście lat. Przymierzała jednak ubranie nie tej osoby co trzeba. Nie byłam kimś, kim ona chciałaby być. Była na to zbyt krucha, zmiażdżyłabym ją jak ciśnienie wody na dużych głębokościach.

Przez większość czasu leżała i myślała o Ronię, kiedy wróci, czy ma inną kobietę? Martwiła się o pecha i złe uroki, chociaż miała na sobie talizmany rodzinnej przeszłości, kobiet, które zrobiły coś ze swoim życiem, coś osiągnęły, a przynajmniej ubierały się codziennie, kobiet, które nigdy nie pocałowały szesnastoletniej przybranej córki w usta, dlatego że czuły się nierealnie, nigdy nie pozwalały, aby ogród zarósł im chwastami, bo było zbyt gorąco na pielienie.

Chciałam jej powiedzieć, żeby nie pielęgnowała w sobie rozpacz. Rozpacz nie jest gościem, któremu puszcza się jego ulubioną muzykę, sadza w wygodnym fotelu. Rozpacz jest wrogiem. Przerazało mnie, że Claire tak otwarcie obnaża swe potrzeby. Z mojego doświadczenia wynikało, że jeżeli ktoś strasznie czegoś potrzebuje, to na pewno zostanie mu to odebrane. Nie musiałam instalować luster na dachu, żeby o tym wiedzieć.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wrócił Ron. Claire wstała, wzięła prysznic, posprzątała dom. Ugotowała jedzenie, za dużo, i uszmin-kowała sobie usta na czerwono. Zdjęła płytę z Cohenem i puściła big-band Teddy'ego Wilsona, śpiewała *Basin Street Blues* razem z nimi. Ron kochał się z nią wieczorami, czasem nawet po południu. Żadne z nich nie robiło przy tym dużo hałasu, ale słyszałam ich cichy śmiech przez zamknięte drzwi.

Wcześniej rano, kiedy Claire jeszcze spała, usłyszałam, jak Ron rozmawia w salonie

przez telefon. Rozmawiał z kobietą, od razu to wyczułam, kiedy weszłam, poznałam po uśmiechu. Był w pidżamie, owijał kabel telefonu wokół swych gładkich palców. Roześmiał się z czegoś, co powiedziała.

249— Flądry, dorsze, wszystko jedno.

Szarpnął lekko ciałem, kiedy zobaczył mnie w drzwiach. Krew odpłynęła mu z różanych policzków, potem wróciła, głębsza. Pociągnął dłonią po włosach, bledsze pasemka zaspężyno-wały pod jego dotykiem. Porozmawiał jeszcze trochę, terminy, loty, hotele, zapisał coś na kartel uszku papieru w otwartej aktówce. Nie poruszyłam się. Odłożył słuchawkę.

Wstał i podciągnął do góry spodnie od pidżamy. — Lecimy do Reykjavíku. Gorące źródła o udokumentowanej mocy uzdrawiającej.

— Zabierz Claire ze sobą — powiedziałam.

Wrzucił kartkę do aktówki i zamknął ją. — Będę cały czas pracował. Znasz Claire. Siedziałyby w motelu i snuła jakieś chorobliwe fantazje. To byłby koszmar.

Z niechęcią przyznałam mu rację. Niezależnie od tego, czy przebywał tak często poza domem, żeby zdradzać Claire albo żeby nie musieć mieć z nią do czynienia, albo — co najmniej prawdopodobne — był tym, za kogo się podawał, czyli zmęczonym mężem, który stara się zarabiać na życie, byłoby katastrofą, gdyby zabrał ze sobą Claire i nie mógł spędzać z nią czasu. Nie potrafiłaby chodzić po mieście sama, oglądać atrakcji turystycznych. Siedziałyby w hotelu i zastanawiała się, co on robi, która to kobieta. Zadręczałyby się.

Ale nie odpuściłam mu tak łatwo. Był jej mężem. Był za nią odpowiedzialny. Nie podobało mi się, jak rozmawiał z tą kobietą przez telefon w domu Claire. Wyobrażałam go sobie z kobietą w półmroku restauracji, jak uwodzi ją samym swoim aksamitnym głosem.

Oparłam się o framugę drzwi, na wypadek gdyby próbował wrócić do łóżka i udawać, że nic się nie stało. Chciałam mu uświadomić, że ona wciąż go potrzebuje. Ze tutaj ma ważniejsze obowiązki.

— Powiedziała mi, w jaki sposób by się zabiła, gdyby chciała. To go otrzeźwiło, wytrąciło nieco z tej gładkości — człowiek,

który potknął się na pęknięciu płyty chodnikowej, aktor, który 250zapomniał kwestii. Odgarnął włosy do tyłu, grając na zwłokę. — Co powiedziała?

— Ze otrulaby się gazem.

Usiadł, zamknął oczy, zasłonił dłońmi, gładkie opuszki palców spotkały się na jego nosie. Nagle zrobiło mi się go żal, jego też. Chciałam tylko zwrócić jego uwagę, uzmysłować mu, że nie może po prostu wyjechać i udawać, że z Claire wszystko jest normalnie. Że nie może jej zostawiać tylko na mojej głowie.

— Myślisz, że tylko tak gada? — spytał ze strachem w orzechowych oczach.

On mnie pyta? To on zawsze miał na wszystko odpowiedź. Człowiek stąpający twardo po ziemi, który mówił nam, kiedy mamy wstać, a kiedy położyć się do łóżka, jaki kanał oglądamy, co sądzymy o testach nuklearnych i reformie systemu opieki społecznej. To on pewnie trzymał świat w swoich gładkich dłoniach jak piłkę baseballową. Patrzyłam na niego bezradnie, przerażona, że nie wie, czy Claire by się zabiła. Był jej mężem, a ja kim? Przypadkowym dzieckiem, które przygarnęli.

Nie mogłam odegnać od siebie obrazu Claire leżącej na łóżku, odzianej w klejnoty, z perłami w ustach. Wszystko, z czego zrezygnowała, żeby być z Ronem. Jak płakała w nocy, otuliwszy się ramionami, zwinięta w pól, jakby miała skurcze żołądka. Ale nie, wciąż czekała na mnie, kiedy wracałam ze szkoły, nie chciałyby, żebym znalazła ją martwą.

— Po prostu tęskni za tobą.

— Niedługo będzie wakacyjna przerwa w emisji — powiedział Ron. — Pojedziemy gdzieś. Naprawdę się wyrwiemy, tylko we trójkę. Pod namiot do Yellowstone, coś w tym rodzaju. Co o tym myślisz?

Tylko we trójkę, jeździmy konno, chodzimy po parku, siedzimy przy ognisku, uczymy się na pamięć gwiazd. Żadnego telefonu, żadnego faksu, żadnego laptopa. Żadnych przyjęć, spotkań, znajomych przychodzących ze scenariuszem. Ron wyłącznie dla niej. To była bardzo przyjemna perspektywa. Na pewno by nie chciała, żeby ją ominęły wakacje pod namiotem z Ronem.

251— Na pewno spodoba jej się ten pomysł — powiedziałam w końcu. Pomyślałam

jednak, że uwierzę w to dopiero wtedy, gdy zobaczę. Na Ronię nie można było pod tym względem polegać.

— Wiem, że nie było ci łatwo. — Położył mi dłoń na ramieniu. Gładka. W jego dłoni było ciepło, rozgrzało mi całe ramię. Przez chwilę myślałam, jak by to było kochać się z Ronem. Jego nagi tors tak blisko, że mogłabym go pogłaskać, siwe włosy, małe sutki. Ładnie pachniał, Monsieur Givenchy. Jego głos, nie za głęboki, piaszczysty i kojący. Ale potem sobie przypomniałam, że ten człowiek jest sprawcą wszystkich problemów, że nie wie, jak kochać Claire. Zdradzał ją, czułam to w jego ciele. Miał cały świat, a Claire tylko jego. Lecz wbrew sobie dobrze się czułam z jego ręką na ramieniu, z jego spojrzeniem utkwionym w moich oczach. Próbowałam nie reagować na jego męską obecność, kształt wypełniający jego niebieskie spodnie od pidżamy. „Ona jest już prawie dorosłą kobietą”, powiedział do Claire. Pomyślałam, że jego współczucie to zapewne punkt stałego programu, który odgrywa ze wszystkimi samotnymi zginaczkami łyżek. Odsunęłam się o krok, strącając jego ramię.

— Lepiej przejdź — powiedziałam mu.

20

W czerwcu, zgodnie z obietnicą, Ron wynajął chatę w Oregonie. Bez telefonu, bez prądu, nawet komputer zostawił w domu. W lasach Cascades łowiliśmy ryby ubrani w zielone wadery po pas. Pokazał mi kołowrotek, jak zarzucać wędkę, połyskujący stalowy pstrąg niby sekret wydarty wodzie. Claire przeglądała albumy o ptakach, przewodniki po polnych kwiatkach, koniecznie chcąc nazywać, jakby nazwy dawały życie formom. Kiedy zidentyfikowała jakiegoś ptaka lub roślinę, była taka dumna, jakby to ona stworzyła świergotka, złotowłosa. Albo siedzieliśmy na wielkiej łące, każde z nas oparte

2520 swoje drzewo, i Ron grał na harmonijce piosenki kowbojskie, *Red River Valley* i *Yellow Rose of Texas*.

Pomyślałam o mojej matce w Amsterdamie, śpiewającej *Yippee tiyiyo, git along little dogie*. Ron był z Nowego Jorku, gdzie on nauczył się takich piosenek? Pewnie w telewizji. Widziałam, że patrzy na mnie, kiedy rysowałam nad brzegiem rzeki, ale nie robiłam nic, żeby go do tego zachęcić. Mogłam żyć bez Rona, lecz nie bez Claire.

Kiedy padało, Ron i Claire chodzili razem ścieżkami zasypanymi igłami sosen, paprocie pachniały jak lukrecja. Wieczorem graliśmy w monopol i scrabble, oczko,

szarady. Claire i Ron odgrywali scenki z *Tramwaju zwanego pożądaniem*, z *Pienie*. Potrafiłam sobie wyobrazić, jak musiało im być ze sobą dobrze, kiedy się poznali. Jego adoracja. Claire musi sobie zapamiętać, że toon jej pragnie.

Nigdy wcześniej nie spędziłam tyle czasu z Ronem. Zaczęło mnie irytować, że zawsze wszystkim rządził. Kiedy wstał, budził mnie i Claire, ale kiedy my wstałyśmy pierwsze, krzątałyśmy się cichutko, bo Ron jeszcze śpi. „Świat należy do mężczyzn”. Irytowało mnie, że to Ron decydował, co będziemy robić danego dnia, czy pogoda jest dobra na łowienie ryb, na wycieczkę pieszą czy na przejażdżkę nad ocean. Ron decydował, czy trzeba pojechać do sklepu, czy też wytrzymamy jeszcze jeden dzień, czy bierzemy płaszcze ortalionowe czy swetry albo czy kupujemy drewno na opał. Nigdy nie miałam ojca, a teraz nie chciałam mieć.

Jednak Claire znowu wyglądała zdrowo. Już nie wymiotowała. Na twarz wróciły jej rumieńce. Gotowała całe galony zupy w wielkim żeliwnym garnku, podczas gdy Ron piekł ryby na otwartym ogniu. Rano jedliśmy naleśniki albo jajecznicę na bekonie. Ron się uśmiechał, chrupiąc bekonowe skórki.

— Trucizna, trucizna. I takie małe porcje... — Pointa ich wspólnego dowcipu. Grube kanapki w plecakach na drugie śniadanie, z szynką i salami, całe pomidory, wędzony ser.

Claire narzekała, że już się nie mieści w dzinsach, ale Ron obejmował ją za uda i próbował je ugryźć.

253— Podobasz mi się gruba. Ogromna. Rubensowska.

— Kłamca — zaśmiała się i trzepnęła go ręką. Moczyłam kij w MacKenzie, słońce szkiło się na powierzchni

wody między drzewami, kształty ryb dawały nura głębiej, drzewa kładły cienie na ruchomej wodzie. Powyżej Ron ciągle zacinał wędkę, ale nie obchodziło mnie, czy coś złapał. Claire spacerowała po brzegu i śpiewała płynnym, lekkim sopranem: „O, Shennandoah, tak pragnę usłyszeć twój głos...” Zbierała polne kwiaty, które po powrocie do chaty wkładała między tekturki. Czułam się tam u siebie, cisza, spektrum zieleni pod rezonującym niebem, na którym grały długie palce sosen i jedlic, niebem, na którym można się było spodziewać widoku lecących smoków i aniołów. Niebem jak okno na portrecie renesansowego kardynała. Muzyka płynącej wody i żywiczny aromat iglaków.

Zarzucałam wędkę i kręciłam kołowrotkiem, plecy miałam rozgrzane słońcem, patrzyłam na swój cień na wodzie, tworzył ciemne okno w odbiciach, widziałam kamienie na dnie i ryby, kształty zdążające w stronę spławika.

Nagle kołowrotek zaśpiewał i żyłka się naprężyła. Spanikowałam. — Złapało się coś! — wrzasnęłam do Rona. — Co mam robić?

— Puść, dopóki nie przestanie się kręcić — krzyknął do mnie Ron w dół rzeki.

Kołowrotek wciąż się obracał, lecz w końcu zwolnił.

— Teraz ściągnij ją z powrotem.

Kręciłam, czując ciężar ryby, była silniejsza, niż myślałam, a może to prąd rzeki ją ciągnął. Zapałam się piętami i ciągnęłam, patrzyłam, jak ugina się długie, elastyczne wędzisko. Potem żyłka się poluźniła.

— Uciekła mi!

— Kręć! — krzyknął Ron, brodząc w dół rzeki, ostrożnie, krok za krokiem. Wyjął siatkę. — Płyń w tę stronę.

Kręciłam jak wariatka i rzeczywiście, żyłka poszła w górę rzeki. Wstrzymałam oddech, kiedy zarzucałam wędkę, nie przewidziałam podniecenia, w jakie mnie wprawi ryba łapiąca przynętę. Przyszłam z pustymi rękami, a teraz mam coś żywego.

254— Popuść jej trochę — polecił Ron.

Popuściłam żyłkę. Ryba popłynęła w górę rzeki. Wrzasnęłam ze śmiechem, kiedy wpadłam do dziury i moje wadery wypełniły się lodowatą wodą. Ron wyciągnął mnie, podtrzymał. — Chcesz, żebym ją za ciebie wyciągnął? — Już sięgał po moją wędkę.

— Nie — powiedziałam, wrywając mu ją. To była moja ryba. Nikt mi nie odbierze mojej ryby. Czulałam się, jakbym ją złapała na przynętę z własnego ciała, na żyłkę z moich własnych ubrań. Potrzebowałam tej ryby.

Claire przyszła popatrzeć. Usiadła na brzegu i podciągnęła kolana pod brodę. — Uważaj — powiedziała.

Ryba trzy razy przepłynęła tam i z powrotem, zanim Ron uznał, że jest wystarczająco zmęczona, aby ją wyciągnąć. — Teraz kręć.

Ramię mnie bolało od kręcenia, ale serce we mnie podskoczyło, kiedy ryba wypadła z wody, połyskująca płynnym srebrem, długa na dwie stopy. Wciąż trzepotała

jak szalona.

— Trzymaj, nie zgub jej teraz — powiedział Ron, podchodząc do ryby z siatką.

Nie zgubiłabym tej ryby, nawet gdyby mnie powlokła za sobą aż do Coos Bay. Już wystarczająco dużo rzeczy wyśliznęło mi się z palców.

Ron złapał ją w siatkę i razem wyszliśmy na brzeg. Trzymał siatkę, w której miotał się ten olbrzym.

— Ile ona ma w sobie życia — powiedziała Claire. — Wrzuć ją z powrotem, Astrid.

— Chyba żartujesz. Jej pierwszą rybę? Stuknij ją — powiedział, podając mi młotek.

— W głowę.

Ryba trzepotała na trawie, usiłując wskoczyć z powrotem do wody.

— Szybko, bo nam ucieknie.

— Astrid, nie. — Claire patrzyła na mnie ze swoją najczulszą stokrotkową miną.

Wzięłam młotek i lupnęłam rybę w głowę. Claire odwróciła wzrok. Wiedziałam, co myśli, że staję po stronie Rona, po stronie

255świata i jego brutalności. Ale ja chciałam tę rybę. Wyjęłam haczyk i podniosłam zdobycz do góry, Ron zrobił mi tak zdjęcie. Claire nie odzywała się do mnie przez resztę popołudnia, ale czułam satysfakcję, że złapałam tę rybę i nie chciałam mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

Strasznie nie chciałam wracać do LA. Claire znów będzie musiała dzielić Rona z telefonami, faksami i mnóstwem ludzi. Nasz dom był pełen projektów i opcji, scenariuszy, branżowych plotek, notatek w „Variety”. Nie wiedzieli, jak ze mną rozmawiać. Kobiety ignorowały mnie, a mężczyźni byli zbyt zainteresowani, stali zbyt blisko, opierali się o framugi drzwi i mówili mi, że jestem piękna, czy zastanawiałam się nad aktorstwem?

Trzymałam się blisko Claire, ale irytowało mnie, że ona służy tym ludziom, tym obojętnym, obcym ludziom, chłodzi dla nich wino, robi im pesto, jeszcze raz jedzie do Chalet Gourmet. Ron mówił, żeby się nie fatygowała, można zamówić pizzę, El Polio Loco, ale Claire powiedziała, że nie potrafiłaby karmić gości z tekturowych pojemników. Nic nie rozumiała. Oni nie uważali się za gości. Dla nich była tylko żoną, bezrobotną aktorką, nudną i uciążliwą. Tego lata wyjątkowo obrodziło pięknych kobiet, w

sukienkach plażowych i górach od bikini, w sarongach, wiedziałam, że Claire próbuje ustalić, która z nich jest Kirke Rona.

Wreszcie zaczęła brać prozac, ale dawał jej zbyt wiele energii. Nie mogła usiąść nawet na chwilę, dla równowagi zaczęła pić. Ronowi nie podobało się to, bo mówiła rzeczy, które uważała za dowcipne, ale nikt inny się nie śmiał. Była jak źle zdubbingowana kobieta w filmie, albo za szybko, albo za wolno. Zarzynała dowcipy.

We wrześniu, wietrznym i popielistym, zaczęłam chodzić do dwunastej klasy w Fairfax, a Ron wrócił do pracy. Claire miała za mało do roboty w domu bez męża. Szorowała podłogi, myła okna, przestawiała meble. Któregoś dnia oddała wszystkie swoje

256ubrania organizacji dobroczynnej. Jeśli nie wzięła środków uspokajających, to nie spała przez całą noc, archiwizowała wycinki prasowe, odkurzała książki. Miała bóle głowy i twierdziła, że ktoś podsłuchuje rozmowy telefoniczne. Przysięgała, że słyszy stuknięcie, zanim odłoży słuchawkę. Kazała mi się wsłuchać.

— Słyszysz? — Jej ciemne oczy błyszczały.

— Może — odparłam, nie chcąc, żeby była zupełnie sama w swojej nocy. — Nie jestem pewna.

W październiku upał ustąpił miejsca niebieskiemu popołudniowemu zamgleniu prawdziwej jesieni, liście platanów w kształcie dłoni odcinały się pomarańczowo od jasnobiałych pni, a wzgórza okrywał czerwonożłocisty rumieniec. Któregoś dnia po powrocie ze szkoły zastałam Claire na tym, jak siedzi w swoim pokoju i przegląda się w lusterku, a w dłoni trzyma zapomnianą srebrną szczotkę.

— Zauważyłaś, że mam niesymetryczną twarz? Nos nie jest na środku. — Przekręciła głowę, żeby się obejrzeć z profilu, wydeła policzki i popchnęła swój rzekomo scentrowany nos w prawo, wcisnęła szpic. — Zawsze nienawidziłam spiczastych nosów. Twoja matka ma nos Grety Garbo, zauważyłaś? Gdybym robiła sobie operację plastyczną, to bym zamówiła taki, jak ma ona.

Tak naprawdę nie chodziło jej o nosy. Claire po prostu miała dość oglądania swojej twarzy w lustrze, to był symbol jej ułomności. Czegoś brakowało, ale nie tego, co ona sądziła. Narzekała, że włosy jej rzadną, że kiedyś będzie wyglądała jak Edgar Allan Poe. Jej przestraszone spojrzenie powiększało niekompletne wierzchołki jej uszu,

pomniejszało jej małe usta.

— Małe zęby wróżą pecha — powiedziała, pokazując mi je w lustrze. — Krótkie życie. — Zęby Claire były ziarnami jęczmienia, perłowe i lśniące. Lecz jej oczy robiły się coraz głębsze. Już prawie nie widziałam powiek, a ostre kości znów odznaczały się jej pod skórą twarzy, rzeźbiona głowa z brązu Rodina, bezlitośnie ascetyczna.

257 Kiedy grudzień był już blisko, Claire się rozpogodziła. Uwielbiała wakacje. Czytała czasopisma ze zdjęciami Bożego Narodzenia w Anglii, w Paryżu, w Taos, w stanie Nowy Meksyk. Chciała wszystkiego naraz. — Zróbmy sobie doskonale święta — powiedziała.

Uwiłyśmy eukaliptusowy wianek, a granaty zanurzyłyśmy w roztopionym wosku. Kupiła całe pudełka kartek świątecznych z miękkiego czerpanego papieru z koronką i złotymi gwiazdami. W stacji radiowej z klasyką puszczali *Jeziro Łabędzie*. Zszywałyśmy girlandy z maleńkich papryczek chili, wbijałyśmy goździki w mandarynki, obwiązywałyśmy je wstążkami koloru brandy. Kupiła mi czerwoną aksamitną sukienkę z białym koronkowym kołnierzem i mankietami z kolekcji Jessiki McClintock w Beverly Hills. Doskonała, orzekła.

Przeraziło mnie, kiedy to powiedziała. Nie należy nigdy oczekiwać, że coś będzie doskonałe.

Ron miał wrócić do domu i zostać aż do początku stycznia. Czekala na niego z zakupem choinki, żebyśmy mogli zrobić to wszyscy troje jak prawdziwa rodzina. W samochodzie dokładnie opisała, jakie chce drzewko. Symetryczne, z miękkimi igłami, przynajmniej dwumetrowe. Facet od choinek starał się Jak mógł, lecz dał za wygraną po wyciągnięciu i rozłożeniu kilkudziesięciu drzewek.

— Nic nie rozumiem — powiedział Ron, obserwując rozpaczliwe poszukiwania Claire. — Jezus urodził się w Betlejem. Na pustyni. Powinniśmy kupować drzewo oliwne, palmę daktylową. Albo jakiegoś jerozolimskiego karczocha.

Szłam obok pomalowanych sprayem drzewek, niektórych w bieli jak nakrochmalony chemiczny śnieg, innych na złoto, różowo, czerwono, nawet na czarno. Czarne drzewko, wysokie mniej więcej na metr, wyglądało jak spalone. Ciekawe, kto by chciał mieć czarną choinkę, pomyślałam, ale znałam kogoś, kto by chciał. Ludzkie dziwactwa nie znają granic. Ktoś mógł kupić czarną choinkę dla żartu, jako spóźniony

Halloween, żeby ją

258ubrać w plastikowe czaszki i małe gilotyny. Albo w ramach bożonarodzeniowej deklaracji politycznej. Albo żeby zrobić na złość swoim dzieciom.

Zapach choinek przypominał mi Oregon. Szkoda, że nie możemy tam wrócić, mży deszcz, my w chacie, piec opalany drewnem. Podeszłam do Claire, która nie mogła się zdecydować, czy wziąć drzewko prawie idealnie odpowiadające jej specyfikacji oprócz tego, że z jednej strony odstęp między gałęziami był troszeczkę większy. Pokazała mi tę szparę nerwowym gestem. Uspokoiliam ją, że ustawimy tą stronę do ściany, nikt nawet nie zauważy.

— Nie w tym rzecz — odparła. — Jeśli coś jest źle, nie można tego po prostu odwrócić do ściany.

Wiedziałam, o co jej chodzi, ale i tak ją przekonałam do zakupu niedoskonałej choinki.

Po powrocie do domu Claire poinstruowała Rona, jak ma zawiesić lampki. Początkowo chciała świeczki, ale Ron stanowczo się sprzeciwił. Obwiązałyśmy drzewko sznurami papryczek i popcornu, podczas gdy Ron oglądał w telewizji ważny mecz piłkarski. Meksyk grał z Argentyną. Nie chciał wyłączyć, żeby Claire mogła puścić kolędy. „Świat należy do mężczyzn”. Ron ledwo dał się odciągnąć na chwilę od telewizora, żeby założyć szpic ze złotym aniołem.

Claire zgasła światło, siedziałyśmy i oglądałyśmy w ciemnościach choinkę, podczas gdy Meksyk wygrał z Ameryką Południową.

W wigilijny ranek Ron miał telefon, że w Bayou St. Louis pojawiła się Matka Boska. Musiał to sfilmować. Doszło do ostrej kłótni i Claire zamknęła się w ich pokoju. Ja polerowałam w kuchni srebrne sztuce, miałam w tym dużą wprawę. Wieczera wigilijna miała być z kryształami i lnianymi obrusami. Dostałam nową bożonarodzeniową sukienkę od Jessiki McClintock, karminowy aksamit z kołnierzykiem z flamandzkiej koronki. Claire nafasze-

259rowała już gęś i kupiła w Chalet Gourmet prawdziwy angielski biszkopt w winie z kremem. Miałyśmy bilety na *Mesjasza* o północy w Hollywood Bowl.

Nie poszłyśmy. Jadłam kanapki z szynką i oglądałam *Życie jest cudowne*. Claire

wyrzuciła gęś do kubła na śmieci. Nalewała sobie nieduże porcje sherry, jedną po drugiej, i oglądała ze mną telewizję, od czasu do czasu wybuchając płaczem w swoim nowym szlafroku w kratkę. Ja też wypiałam parę kieliszków, żeby dotrzymać jej towarzystwa, było to nie gorsze od syropu na gardło. Wreszcie zażyła dwie tabletki nasenne i zasnęła na kanapie. Chrapała jak kosiarka w wysokiej trawie.

W pierwszy dzień świąt zbudziła się w południe ze straszliwym bólem głowy. Nie rozmawialiśmy o Ronię, ale nie rozpakowała prezentów, które jej zostawił. Ja dostałam prawdziwy rybacki sweter, nowy komplet farb akrylowych, album japońskich rycin i jedwabną pidżamę w stylu tej, którą miała na sobie Myma Loy w filmie *Pościg za cieniem*.

Moja paczka była niewielka w porównaniu z tym, co Ron kupił jej.

— No, otwórz.

— Nie chcę niczego — powiedziała spod ścierki do naczyń zmoczonej w occie.

— Zrobiłam to dla ciebie.

Zdjęła ścierkę z twarzy i mimo bólu w skroniach zsunęła wstążki z rafii i odwinęła marmurkowane opakowanie, które sama zrobiłam. W środku był jej portret, w okrągłej drewnianej ramie. Zaczęła płakać, a potem pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Słyszałam, jak się dławi. Podniosłam portret narysowany węglem, prześledziłam palcem jej wysokie, zaokrąglone czoło, krzywiznę drobnych kości, ostry podbródek, łukowate brwi.

— Claire? — powiedziałam przez drzwi łazienki. Usłyszałam szum wody i nacisnęłam klamkę. Drzwi ustąpiły.

Siedziała na brzegu wanny w czerwonym szlafroku w kratkę, blada jak zima, zakryła usta dłonią, patrzyła w okno. Tłumiła łzy i nie chciała na mnie spojrzeć. Wyglądała, jakby się zapadała do

260środką, jedną ręką objęta w talii, jak gdyby nie chciała się rozpaść na pół.

Nie wiedziałam, co zrobić, widząc ją w takim stanie. Spuściłam wzrok na terakotę, łososiową, policzyłam błyszczące kwadraty. Dwadzieścia cztery od wanny do grzejnika. Trzydzieści od drzwi do umywalki. Dekoracyjny wzorek miał kolor wiśniowych kropel prze-ciwkaszlowych i był upstrzony migdałowym, klinowatym liternictwem. Łabędź na

matowym szkle kabiny prysznicą skłonił głowę.

— Powinam przestać pić. — Wypłukała sobie usta nad umywalką, nabierając wody w dłoń. — To tylko wszystko pogarsza. — Wytarła ręce i twarz w ręcznik, wzięła mnie za rękę. — Teraz jeszcze zepsułam ci święta.

Kazałam jej położyć się na kanapie, otworzyłam moje nowe farbki, wycisnęłam kolory na paletę i pomalowałam arkusz grubego papieru w połowie na czarno, w połowie na czerwono, potem zrobiłam płomienie takie jak na tylnej okładce albumu Cohena. Kobieta w radio śpiewała *Ave Maria*.

— Co znaczy *A vel*

— Ptak — odparła.

Głos kobiety był ptakiem, który leciał, zmagając się z gorącym wiatrem, zmęczony od wysiłku. Namalowałam go w ogniu, czarnym kolorem.

Kiedy Ron wrócił z Nowego Orleanu, Claire nie wstała z kanapy. Nie posprzątała, nie zrobiła zakupów, nie ugotowała obiadu, nie zmieniła pościeli, nie uszminkowała się i nie próbowała naprawić sytuacji. Leżała na kanapie w czerwonym szlafroku, z butelką sherry pod ręką, popijała regularnie przez cały dzień, zjadła tosta z cynamonem, zostawiła skórkę, słuchała opery. Tego pragnęła. Histerycznych miłości i nieuchronnej zdrady. Na koniec wszystkie kobiety umierały, wbijały sobie nóż w serce, wypijały truciznę, ginęły ukąszone przez węża.

— Na litość boską, przynajmniej się ubierz — powiedział Ron. — Astrid nie powinna cię widzieć w takim stanie.

Nie używaj mnie jako argumentu, pomyślałam. Czemu nie

261możesz powiedzieć: martwię się o ciebie, kocham cię, powinnaś pójść do lekarza?

— Astrid, czy ty się za mnie wstydzisz? — spytała Claire. Gdyby była trzeźwa, nigdy by mnie nie postawiła w takiej sytuacji.

— Nie — odparłam, ale nie było mi przyjemnie, że podają mnie sobie nawzajem jak talerz z sałatką przy kolacji.

— Mówi, że się za mnie nie wstydzi.

— Aleja się wstydzę — stwierdził Ron.

Claire skinęła głową, pijana, oparta o podłokietnik kanapy w świetle migoczących lampek świątecznych. Filozoficznie uniosła do góry chudy palec. — Zaczynamy do czegoś dochodzić. Powiedz mi, Ron, zawsze się za mnie wstydziłeś czy to jest nowa sprawa? — Śmiesznie mówiła, kiedy była pijana, słowa popychały jedno drugie, jak u Sandy Dennis w *Kto się boi Virginii Woolfi*

Sopranistka na kompakcie zaczęła śpiewać swoją wielką arię, zanim się zabiła, Madame Butterfly albo Aida, nie pamiętam. Claire zamknęła oczy, próbowała zatopić się w śpiewie. Ron wyłączył odtwarzacz.

— Claire, musiałem jechać. To jest moja praca — wyjaśnił Ron, stając nad nią, wyciągnął ręce przed siebie, jakby śpiewał. — Przykro mi, że to się stało w święta, ale to był świąteczny materiał. Nie mogłem z tym czekać do lutego, wiesz o tym.

— To jest twoja praca — powiedziała płaskim głosem, którego nienawidziłam.

Wycelował w nią swoim gładkim, czystym palcem. — Nie rób tego.

Chciałam, żeby go ugryzła w ten palec, odłamała mu go, ale zamiast tego spojrziała w dół, dokończyła sherry i odstawiła kieliszek na stolik, ostrożnie, po czym skuliła się pod kocem w kratkę. Bez przerwy było jej teraz zimno. — Pojechała z tobą? Ta blondyna, jak jej tam, Cindy. Kimmie.

— A, o to chodzi. — Odwrócił się, zaczął sprzątać brudne chusteczki higieniczne, puste szklanki, ścierka do naczyń, miska. Nie pomogłam mu. Siedziałam na kanapie obok Claire, chciałam,

262 żeby nas zostawił same. — Chryste, mam dosyć twojej paranoi. Powiniennem naprawdę uciąć sobie romans, żebyś miała jakieś podstawy do swoich podejrzeń. Dla ciebie i tak wyszłoby na to samo, a przynajmniej miałbym z tego jakąś przyjemność.

Claire patrzyła na niego spod ciężkich powiek, oczy miała czerwone od płaczu. — Ale za nią się nie wstydzisz. Nie wstydzisz się, że się z nią szlajasz.

Sięgnął po jej pusty kieliszek. — Bla, bla, bla.

Zanim zdałam sobie sprawę, co się dzieje, skoczyła na równe nogi i uderzyła go w twarz. Ucieszyłam się, już od wielu miesięcy miała taką potrzebę. Ale zamiast mu to powiedzieć, opadła z powrotem na kanapę i zaczęła szlochać. Uderzenie go w twarz wysssało z niej wszystkie siły. Żal mi jej było, ale zarazem czułam niesmak.

— Możemy cię na chwilę przeprosić? — spytał mnie Ron. Spojrzałam na Claire, żeby sprawdzić, czy sobie życzy, abym

została, była świadkiem. Ale ona tylko szlochała, nie zasłoniwszy twarzy.

— Bardzo cię proszę — powiedział bardziej stanowczym tonem.

Poszłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi, potem uchyliłam je trochę, gdy znowu zaczęli rozmawiać.

— Obiecałaś — powiedział. — Jeśli weźmiemy dziecko.

— Nie umiem się powstrzymać.

— Tak przewidywałam. W takim razie powinniśmy ją oddać. Wyteżyłam uszy, ale nie usłyszałam jej odpowiedzi. Dlaczego

ona nic nie powie? Chciałam ją widzieć, ale on mi ją zasłaniał, stojąc nad nią. Próbowałam sobie wyobrazić jej twarz. Była pijana, skórę miała poplamioną i gumowatą. Co to jest, w jej oczach? Nienawiść? Błaganie? Dezorientacja? Czekałam, aż zacznie mnie bronić, ale nic nie powiedziała.

— To się nie sprawdza — ciągnął Ron.

Zdziwiło mnie nie tyle to, że mówi o oddaniu mnie —jakbym była psem wziętym ze schroniska, który rozkopał ogród i zniszczył dywan — ile jego rozsądny ton, troskliwy, lecz zdystanso-

263wany jak u lekarzy. Przepisane przez niego lekarstwo nie sprawdziło się.

— Może to ty się nie sprawdzasz — powiedziała, sięgając po sherry, lecz on wytrącił jej butelkę z ręki. Spadła, usłyszałam, jak uderza o sosnową podłogę i toczy się po niej.

— Nie mogę wytrzymać tych twoich pów — powiedział. — Kim teraz jesteś, skrzywdzoną matroną? Chryste, ona się tobą opiekuje. Nie o to chodziło.

Kłamał. Dokładnie o to chodziło. Wziął mnie po to, żebym się nią opiekowała, pilnowała jej, dotrzymywała jej towarzystwa podczas jego wyjazdów. Dlaczego ona tego nie powie? Nie umiała mu się przeciwstawić.

— Nie możesz jej odesłać — powiedziała tylko. — Gdzie ona się podzieje?

Niewłaściwe pytanie, Claire.

— Na pewno jej coś znajdą — odparł Ron. — Pomyśl o sobie. Rozsypujesz się. Znowu. Obiecałaś, i znowu to samo. A ja mam wszystko rzucić i poskładać cię do kupy. Ostrzegam cię, jeżeli znów będę musiał zbierać okruchy, ty też będziesz musiała z czegoś zrezygnować. — Wciąż ten rozsądny ton. Z jego słów wynikało, że to wszystko wyłącznie jej wina.

— Wszystko mi zabierasz — szlochała. — Nic mi nie zostawiasz.

Odwrócił się od niej i teraz mogłam zobaczyć jego twarz, obrzydzenie. — Boże, jaka z ciebie nędzna aktorka — powiedział. — Prawie zapomniałem.

Zniknął z pola mojego widzenia i teraz zobaczyłam ją, chwiała się do przodu i do tyłu, mówiła: — Musisz mi wszystko zabierać? Musisz ty mieć wszystko?

— Może potrzebujesz trochę czasu. Przemyśl to. Usłyszałam jego kroki, zamknęłam drzwi, zanim zdążył mnie

złapać na podsłuchiwanie. Usłyszałam, jak przechodzi korytarzem.

Wyjrzałam przez uchylone drzwi, Claire leżała na kanapie. Naciągnęła sobie na głowę moherowy koc. Usłyszałam, jak jęczy.

Zamknęłam drzwi i usiadłam na łóżku, bezradna. Znowu robota

264mojej matki. Dlaczego mi to robią? Opiekowałam się Claire od prawie dwóch lat. To mnie ze wszystkiego się zwierzała. To ja się martwiłam, poddawałam jej rytuałom, koilałam jej lęki, podczas gdy on ganiał za duchami i wizjami Matki Boskiej. Jak on może mnie teraz odesłać? Otworzyłam drzwi, zdecydowana z nim porozmawiać, powiedzieć mu, że nie może tego zrobić, kiedy on wyszedł z sypialni z torbą na ramieniu i walizką w dłoni. Spotkał się ze mną wzrokiem, ale minął mnie bez słowa i poszedł do salonu.

Nie sądziłam, że Claire potrafi być jeszcze bledsza, ale kiedy zobaczyła Rona z bagażami, zrobiła się biała jak mąka. Zwlokła się z kanapy, koc spadł na podłogę. Jej czerwony szlafrok był cały poskręcany, nie widziałam bielizny,

— Nie odchodź. — Złapała go za sztruksową marynarkę. — Nie możesz mnie zostawiać. Kocham cię.

Wziął wdech i przez moment sądziłam, że zmieni zamiar, ale ściągnął brwi na dół i odwrócił się, wyrywając się jej. — Przemyśl to sobie.

— Ron, proszę cię. — Znowu sięgnęła ręką, ale była za bardzo pijana, chybiła i

upadła na kolana. — Proszę cię.

Wróciłam do pokoju i położyłam się twarzą do poduszki. Nie mogłam tego znieść, jej błagań, widziałam to wszystko już wcześniej, niedobrze mi się od tego robiło. Usłyszałam ją z zewnątrz, błagała, obiecywała mu najróżniejsze rzeczy, potem usłyszałam, jak Ron zapala silnik swojego samochodu. Odjechał z piskiem opon. Wyobraziłam sobie, jak Claire biegnie za nim ulicą na bosaka, w czerwonym bożonarodzeniowym szlafroku, spłakana, pijana. Pani Kromach wyziera zza jasnoniebieskich firanek, a pan Levi spogląda zdumiony spod ronda chasydzkiego kapelusza, jego żona odciąga go od okna, żeby się nie zamienił w słup soli.

Claire wróciła, zawołała mnie. Położyłam sobie poduszkę na głowę. Słabeuszka, pomyślałam. Zdrajczyni. Była pod moimi drzwiami, ale nie zareagowałam. Zrezygnowałaby ze mnie dla niego, zrobiłaby wszystko, żeby go mieć. Tak jak wcześniej moja matka i Barry. — Proszę cię, Astrid — błagała mnie przez drzwi, ale ja nie słuchałam. Mnie ta choroba nigdy nie dopadnie...

265W końcu poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi. Nienawidziłam jej za to, że pełzała przed nim w czerwonym szlafroku i nienawidziłam siebie za moją pogardę, za to, że dokładnie wiedziałam, co czuł wtedy Ron. Leżałam na łóżku i nienawidziłam nas wszystkich, słuchałam, jak ona płacze, od tygodnia nie robiła nic innego. „Dwadzieścia siedem synonimów łez”.

Usłyszałam, jak zaczyna śpiewać Cohen, pytał, czy słyszała, jak śpiewa jej pan. W kółko powtarzane bolesne pytanie. Chciałam zaszyć się w sobie, póki mam jeszcze coś swojego, czego nie dałam Claire. Muszę się cofnąć, bo inaczej zostanę porwana, jak szalik przytrzaśnięty drzwiami samochodu.

Jakże gardziłam jej słabością. Dokładnie tak, jak to przewidziała moja matka. Czułam odrazę. Walczyłabym o nią, ale Claire nie umiała nawet sama się bronić. Na moim biurku stało moje zdjęcie z pstrągiem. Ron dał je do oprawienia w ramki. Miałam taką szczęśliwą minę. Powinnam była wiedzieć, że to nie potrwa długo. Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Jeszcze tego nie wiesz? Miej rzeczy spakowane, powiedziała moja matka. A mnie został już niecały rok, czekały mnie studia.

Przez moment myślałam o tym, jak Claire zabrała mnie jesienią do Kalifornijskiej Akademii Sztuk Pięknych, żebym się przekonała, czy mam ochotę złożyć tam papiery,

pomogła mi wypełnić podanie. Bez niej to nie byłoby możliwe — klasy uniwersyteckie, kurs malarstwa. Wstydziałam się, że jej nienawidzę, myślałam o tym, jak długa droga mnie jeszcze czeka, chciałam, żeby było już po wszystkim. Ale potem usłyszałam, jak znowu się płaszczy, błaga, i znowu mnie odrzuciło. Astrid, pomóż mi. Astrid, pozbieraj mnie do kupy. Nie mogę. Za bardzo na nią liczyłam. Musiałam zacząć się oswajać z tą myślą.

Przez jakiś czas czytałam książkę o Kandinskim, wypróbowałam kilka jego pomysłów na temat formy i napięcia. Napięcie linii zwiększa się, im bliżej jest do brzegu obrazu. Próbowałam nie słuchać kasety Cohena, która grała w kółko na autorewersie. Podejrzewałam, że Claire zasnęła. Niech to prześpi.

Rysowałam aż do zmroku, potem zapaliłam światło i obróci-
266łam piramidę, która wisiała nad moim biurkiem, idiotyczną piramidę, do zakupu której podpuściła Claire moja matka. Kiedy zamykałam książkę o Kandinskim, wpadła mi w oko dedykacja: *Dla mojej ukochanej Astnid, Claire.*

Przeszło to przeze mnie jak prąd, wypłaszając moje dziecinne urazy. Jeżeli miałam w życiu cokolwiek dobrego, to tylko dzięki Claire. Jeżeli choć przez chwilę mogłam pomyśleć, że jestem coś warta, to tylko dlatego, że Claire wzbudziła we mnie takie przekonanie. Jeżeli potrafiłam w ogóle spojrzeć w przyszłość, to tylko dzięki temu, że ona wierzyła w jej istnienie. Claire oddała mi świat, który został mi wcześniej zabrany. A teraz, kiedy ona mnie potrzebuje, co ja robię? Podciągam żaluzje, pakuję zapasy, rozwijam drut kolczasty.

Wstałam i poszłam do jej pokoju. — Claire? — zawołałam przez zamknięte drzwi. Nacisnęłam klamkę, ale były zamknięte. Nigdy nie zamykała drzwi, chyba że mieli się kochać. Zapukałam. — Claire, nic ci nie jest?

Usłyszałam, że coś mówi, ale nie zrozumiałam.

— Otwórz, Claire. — Potrząsnęłam klamką.

Potem usłyszałam, jak mówi: —Przepraszam. Tak, strasznie, strasznie cię przepraszam.

— Proszę cię, otwórz, Claire. Chcę z tobą porozmawiać.

— Idź sobie, Astrid. — Głos miała pijany prawie nie do rozpoznania. Zdziwiłam

się. Sądziłam, że albo wytrzeźwiała, albo film jej się urwał. — Radzę ci na przyszłość, trzymaj się z daleka od złamanych ludzi. — Usłyszałam jej suchy szloch, coś pomiędzy odgłosem rzygania i śmiechu.

Chciałam powiedzieć: nie jesteś złamana, tylko masz trudny okres. Nie potrafiłam jednak. Ona wiedziała. Miała w sobie jakąś straszną skazę, gdzieś bardzo głęboko. Była jak wielki diament z martwym miejscem w środku. Ja miałam tętnąć życie w to martwe miejsce, ale to nie zadziało. Zaraz zadzwoni po Rona, gdziekolwiek pojechał, powie: masz rację, oddaj ją. Nie mogę żyć bez ciebie.

— Nie możesz mnie oddać — powiedziałam przez drzwi.

267— Twoja matka miała rację — powiedziała bełkotliwie. Usłyszałam, jak coś spada na podłogę. — Jestem głupia. Sama ze sobą nie mogę wytrzymać. — Moja matka. Wszystko zepsuje. Odesłałam jej wszystkie listy, jakie udało mi się przechwycić, ale musiały być też inne.

Usiadłam na podłodze. Czułam się jak ofiara wypadku, która przytrzymuje własne wnętrzności, żeby nie wypadły. Nagle ogarnęło mnie pragnienie, żeby wrócić do swojego pokoju, paść na łóżko, wejść pod czystą pościel i spać. Zwalczyłam to w sobie jednak, próbowałam wymyślić, co powinnam powiedzieć przez drzwi. — Ona cię nie zna.

Usłyszałam skrzypnięcie jej łóżka, wstała, na chwiejnych nogach podeszła do drzwi. — On nie wróci, Astrid. — Była tuż przy drzwiach. Jej głos spływał do mnie ukośnie na dół. — Rozwiedzie się ze mną.

Miałam nadzieję, że to zrobi. A ona będzie miała szansę, tylko my dwie, powoli, bez Rona, który nie będzie już wracał do domu, siał strachu, kupczył nadzieją, zostawiał jej na święta, wracał do domu właśnie w chwili, kiedy ona zaczyna się przyzwyczajać do życia bez niego. Będzie dobrze. Koniec z udawaniem, wstrzymywaniem oddechu, podsłuchiowaniem jego rozmów telefonicznych. — Wiesz, Claire, to nie byłoby najgorsze.

Roześmiała się świszcząco. — Siedemnaście lat. Powiedz mi, skarbie, co jest najgorsze.

Słoję drzwi były labiryntem, po którym wędrowałam paznokciem. Miałam powiedzieć: matka w więzieniu, a jedyna osoba, którą kochasz i której ufasz, traci rozum. Albo: jeszcze nigdy nie było ci tak dobrze jak w tym domu, a oni chcą cię odesłać.

Ale z drugiej strony, nie chciałabym być Claire. Wołałabym być sobą, a nawet moją matką, odsiadującą dożywocie, pełną bezsilnej zajadłości, anizeli Claire, przejmującą się włamywaczami i gwałcicielami i małe zęby przynoszą pecha i oczy nie pasują do mojej urody i nie zabijaj tej ryby i czy mój mąż wciąż mnie jeszcze kocha czy kiedykolwiek mnie kochał czy tylko brał mnie za kogoś innego a ja już nie potrafię udawać.

268Chciałam przytulić ją do siebie, ale w środku coś mnie od niej odpychało. To jest Claire, która cię kocha, przypominałam sobie, ale w tym momencie tego nie czułam. Ona nie potrafi się zatroszczyć nawet o samą siebie, myślałam, i czułam, że odpływam. Poczulałam, że sięga po moją dłoń, chciała, żebym weszła do sypialni. Nie sądziłam, abym mogła ją jeszcze ocalić. Labirynt, którym wędrowałam, kończył się ślepo na oku pawia.

— Moja matka by powiedziała, że najgorsze to stracić szacunek do samej siebie.

Usłyszałam, że znowu zaczyna płakać. Ostre, bolesne czkania, które czułam we własnym gardle. Załomotała o drzwi pięścią, a może głową. Nie mogłam tego znieść, musiałam znów wycofać się w kłamstwa.

— Claire, wiesz, że on wróci. On cię kocha, nie martw się. Nie obchodziło mnie, czy Ron wróci, czy nie. Chciał mnie

oddać i za to mu życzyłam, żeby rozwalil swoją klasyczną alfę romeo, która pasowała do jego szpakowatych włosów.

— Gdybym wiedziała, co to jest szacunek do samej siebie, to może bym wiedziała, czy go straciłam — powiedziała.

Byłam taka śpiąca. Oczy same mi się zamykały. Oparłam głowę o drzwi. W salonie lampki na choince zapalały się i gasły, nie rozpakowane prezenty były przyprószone igłami.

— Chcesz coś zjeść? Nie chciała.

— Idę sobie zrobić coś do zjedzenia. Zaraz wrócę. Zrobiłam sobie kanapkę z szynką. Na podłodze było pełno

igieł z choinki. Chrzęściły pod stopą. Butelka sherry zniknęła, Claire musiała zabrać ją ze sobą. Szykował się największy kac w jej życiu. Zostawiła portret na stoliku do kawy. Zabrałam go do swojego pokoju, postawiłam na stole. Spojrzałam w jej głębokie oczy, słyszałam, jak mnie pyta, co wolisz, *croissant* czy *brioche*! Dokąd byś pojechała,

gdybyś mogła pojechać w każde miejsce na świecie? Pociągnęłam palcem po jej wysokim, zaokrąglonym czole jak u gotyckiej Madonny. Wróciłam pod jej drzwi, zapukałam.

— Wpuść mnie, Claire.

269Usłyszałam skrzypnięcie sprężyn łóżka, kiedy wstała z wysiłkiem, pokuśtykała trzy kroki do drzwi. Przekręciła zasuwę. Otworzyłam drzwi, a ona opadła z powrotem na łóżko, wciąż w tym czerwonym szlafroku. Wpełzła pod pościel jak ślepa ryjówka. Dzięki Bogu już nie płakała, była bliska zaśnięcia. Wyłączyłam Cohena.

— Tak mi zimno — wymamrotała. — Chodź tu do mnie. Weszłam pod pościel, w ubraniu. Położyła swoje zimne stopy

na moich, głowę na moim ramieniu. Pościel czuć było sherry, brudnymi włosami i L'Air du Temps.

— Zostań ze mną, obiecaj. Nie odchodź.

Trzymałam jej zimne dłonie w swoich, oparłam głowę o jej głowę, gdy zasnęła. Patrzyłam na nią w świetle lampki nocnej, która ostatnio była cały czas włączona. Claire miała otwarte usta, głośno chrapała. Powiedziałam sobie, że wszystko się ułoży. Ron wróci do domu albo nie wróci, a my będziemy dalej żyły razem. Ron nie odda mnie. On po prostu nie chce widzieć, jaka Claire jest okaleczona. Dopóki ona mu tego nie pokazywała, o nic więcej nie prosił. Wystarczały mu pozory.

21

Claire wciąż spała, kiedy się obudziłam. Wstałam, uważając, żeby jej nie zbudzić, i poszłam do kuchni. Zrobiłam sobie trochę mleka z płatkami. Było bardzo jasno, cicho, krystalicznie czyste światło. Cieszyłam się, że Rona nie ma. Gdyby był, rozmawiałby przez telefon, wyłby młynek do kawy, Claire robiłaby śniadanie z przyklejonym uśmiechem. Postanowiłam zostać jeszcze trochę w jedwabnej pidżamie. Wyjęłam moje nowe farbki i namalowałam światło na nagiej drewnianej podłodze, żółta rozświetlona taca, światło wspinające się po zasłonach. Uwielbiałam coś takiego. Przypominałam sobie takie same dni, kiedy byłam mała,

27Obawiałam się w smudze światła słonecznego, gdy moja matka spała w środku. Kosz z praniem nad moją głową, kwadraty światła. Przypominałam sobie dokładnie, jak wyglądało słońce na mojej dłoni i jak ją rozgrzewało.

Po jakimś czasie sprawdziłam, co się dzieje z Claire. Wciąż spała. W pokoju było ciemnoszaro, poranne światło nie mogło się przebić przez żaluzje na wychodzących na zachód oszklonych drzwiach do ogrodu. W pokoju unosił się stęchły zaduch. Claire miała jedną rękę przerzuconą przez górę poduszki. Usta miała otwarte, ale teraz już nie chrapała.

— Claire? — Przystawiłam nos do jej twarzy. Pachniała sherry i czymś metalicznym. Nie poruszyła się. Położyłam dłoń na jej ramieniu, potrząsnęłam nią. — Claire? — Nie zareagowała. Włosy stanęły mi dęba na szyi i ramionach. Nie oddychała. Potrząsnęłam nią, podniosłam ją i opuściłam z powrotem na łóżko, objęłam ją wokół ramion, głowa jej się kiwała jak żyrafie Owena. Uderzyłam ją w twarz, wrzasnęłam na nią, mając nadzieję, że otworzy oczy, że położy sobie rękę na czole i powie, żebym nie krzyczała, bo głowa ją od tego boli. Nie wiedziałam, co krzyczę, ale na nic się to zdało. Krzyczałam, lecz już nie słowa. Claire nie żyła, aleja dalej krzyczałam.

Szukałam na stoliku nocnym, na podłodze, znalazłam pigułki na podłodze, razem z pustą butelką po sherry. Hałas, który usłyszałam, kiedy Claire podeszła do drzwi, to było właśnie uderzenie butelki o ziemię. Flakonik z tabletkami był otwarty, wysypały się, małe, różowe. Butalan, przeczytałam na etykietce. Na bezsenność. Nie łączyć z alkoholem. Nie obsługiwać maszyn.

Dźwięki, które ze mnie wychodziły, nie były już nawet krzykiem. Chciałam czymś rzucić w to tłuste, ohydne oko Boga. Rzuciłam pudełkiem chusteczek higienicznych. Mosiężnym dzwonkiem. Straciłam lampkę nocną z szafki przy łóżku. Wyjęłam spod łóżka pudełko z magnesem i cisnęłam nim przez pokój. Wypadły z niego klucze, długopisy i spinacze Rona, polaroidy. Za co? Zerwałam żaluzje z oszklonych drzwi i pokój się rozjaśnił. Wzięłam z łóżka but na wysokim obcasie i rozbiłam nim szybę,

271rozciąłam sobie przy tym dłoń, ale nic nie czułam. Wzięłam jej szczotkę do włosów i rzuciłam nią znad głowy, jak w baseballu, w okrągłe lustro. Podniosłam aparat telefoniczny i waliłam słuchawką w pionową płytę łóżka, aż rozpadła mi się w rękach, zostawiając wgłębienia w miękkiej sośnie.

Byłam wyczerpana i nie widziałam już nic, czym mogłabym rzucić. Usiadłam na łóżku, wzięłam ją za rękę. Była taka zimna. Przycisnęłam ją do swojego rozpalonego, mokrego policzka, próbowałam ją rozgrzać, odgarnęłam ciemne włosy z jej twarzy.

Gdybym wiedziała, Claire. Moja piękna Claire ze spałym życiem. Położyłam głowę na jej piersi, w której nie było tętna. Moja twarz obok jej twarzy na poduszce w kwiaty, oddychałam jej oddechem, który nie był już oddechem. Była taka blada. Zimna. Trzymałam jej zimne dłonie, trochę spękane, obrączka ślubna trochę za duża. Odwróciłam dłonie, pocałowałam, moje gorące usta na zimnych bruzdach. Jak ją te bruzdy martwiły. Jedna biegła od brzegu dłoni i przecinała linię życia. Powiedziała, że to oznacza śmiertelny wypadek. Potarłam linię kciukiem śliskim od łez.

Śmiertelny wypadek. Ta myśl była prawie nie do zniesienia, ale prawdopodobna. Może ona nie chciała tego zrobić. Claire nie zaplanowałyby sobie tego w ten sposób. Nawet nie umyła włosów. Przygotowałyby się, wszystko musiałyby być perfekcyjne. Zostawiłaby list, wyjaśniłaby wszystko na dwa lub pięć sposobów. Może chciała tylko się przespać.

Roześmiałam się, gorzko jak belladonna. Może to był tylko wypadek. Wszystko jest wypadkiem. Każdy jest wypadkiem.

Podniosłam kwadratową białą buteleczkę, w której została jeszcze połowa tabletek. Butarbabitall sodu. 100 mg. Żarzyła mi się w dłoniach. Zawsze stanie się najgorsze, co może się stać. Dlaczego wciąż o tym zapominasz? Teraz ujrzałam, że to nie jest zwykły flakonik, to są drzwi. Przeciskasz się przez wąską szyjkę flakonika i wychodzisz w zupełnie innym miejscu. Możesz uciec. Zamienić żetony na pieniądze.

Zajrzałam głęboko do słoiczka z różowymi tabletkami. Wie-
272działam, jak się to robi. Zażywa się je powoli. Nie tak, jak na filmach, gdzie połykają je garściami. Wtedy by je człowiek po prostu wymiotował. Rzecz polega na tym, żeby wziąć jedną, odczekać kilka minut, wziąć następną. Popić sherry. Jedna po drugiej. Po kilku godzinach tracisz przytomność i po wszystkim.

W domu panowała cisza. Usłyszałam tykanie zegara przy łóżku. Ulicą przejechał samochód. Przez rozbite szyby wcisnęło się świeże powietrze. Leżała w czerwonym szlafroku z otwartymi ustami na poduszce w kwiaty. Potarłam policzkiem o wełnę szlafroka, który kupił jej Ron, nie zdejmowała go od wielu dni. Boże, nienawidziłam tego szlafroka, tej wiśniowej kratki. Zawsze kupował jej za jasne rzeczy. Nigdy jej naprawdę nie znał. Nigdy.

Zakręciłam flakonik z tabletkami i rzuciłam na łóżko. Przede wszystkim muszę się

pozbyć tego szlafroka, przynajmniej tyle mogę zrobić. Ściągnęłam pościel. Szlafrok był cały poskręcany, skotłowany na plecach. Rozpięłam pasek i wysupłałam ją ze szlafroka, jaka była chuda, jaka lekka, widać było każde żebro z osobna. Położyłam ją z powrotem, ostrożnie, ostrożnie, trudno mi było na nią patrzeć. W jej komodzie znalazłam miękki liliowy sweter z angory. To było bardziej w stylu Claire, miękki kolor, puchata wełna. Przycisnęłam do niego twarz, złakniona miękkości, wchłonął moje łzy. Posadziłam ją. To było trudne, musiałam oprzeć ją o siebie, obezwładniona zapachem jej perfum i włosów. Ledwo oddychałam, ale jakoś udało mi się naciągnąć jej sweter przez głowę, jakoś udało mi się przełożyć jej ręce przez rękawy, naciągnąć tę miękkość na jej kościste łopatki. Usiadłam i objęłam ją, przyciskając twarz do jej szyi.

Ułożyłam ją na poduszce jak księżniczkę w bajce w szklanej trumnie, pocałunek powinien ją obudzić. Nie zadziało jednak. Zamknęłam jej usta, przyglądałam pościel, odszukałam pośród rumowiska srebrną szczotkę i uczesałam jej włosy. Znalazłam w tym trochę ukojenia, robiłam to dla niej, kiedy żyła. Nawet się ze mną nie pożegnała. Kiedy moja matka odchodziła, też nie obejrzała się za siebie.

Wiedziałam, że powinnam zadzwonić do Rona, ale nie chcia-

273łam dzielić jej z nim. Chciałam jeszcze przez jakiś czas mieć ją tylko dla siebie. Kiedy przyjedzie Ron, stracę Claire po raz ostatni. On jej nie zna, do cholery, może zaczekać.

Nie mogłam odegnąć od siebie myśli, że byłam tuż obok, kiedy ona umarła. Gdybym ją obudziła. Gdybym sobie wyobraziła, co się może stać. Moja matka zawsze mi mówiła, że nie mam wyobraźni. Claire wołała mnie, a ja nie poszłam do niej. Nie chciałam nawet otworzyć drzwi. Powiedziałam jej, że najgorsze to stracić szacunek do samej siebie. Jak mogłam jej powiedzieć coś takiego? Chryste, to przecież wcale nie jest najgorsze, daleko jej do tego.

Na zewnątrz w ogrodzie trawa była nie skoszona, ale bardzo zielona w krystalicznym zimowym słońcu. Chiński wiąz łkał jak wierzba płacząca. Cebulki już przekwitły, lecz róże rozkwitały jak szalone, czerwony psychodeliczny blask pana Lincolna, błądy rumieniec Pristine. Na ziemi utworzyła się sadzawka czerwonych i białych płatków. W środku powietrze nasiąkło zapachem L'Air du Temps z rozbitego flakonika. Podniosłam zakrętkę, ptaki z matowego szkła. Teraz wyglądały jak ozdoba

nagrobka.

W szufladzie znalazłam zielnik z pokłosem naszych spacerów nad MacKenzie. Jaka była szczęśliwa w tym chińskim kapeluszu, zawiązanym pod szyją, w płócienną torbie pełno trofeów. Leżały w zielniku opisane jej krągłym, kobiecym pismem, ściśnięte między kartkami obwiązanymi brązowoszarą szorstką wstążką, obuwik, dereń florydzki, dzika róża i rododendrony z nitkowatymi łodyżkami.

„Czego pragniesz, Astrid? O czym myślisz?” Już nikt nigdy mnie o to nie zapytał. Głaskałam jej włosy, ciemne brwi, powieki, delikatne ukształtowanie kości policzkowej, wgłębienia oczu, skroni i czoła, ostrość podbródka podobnego do odwróconej kropli wody. Gdybym od razu do niej poszła. Gdybym nie kazała jej czekać. Nie powinnam była ani na chwilę zostawiać jej samej z naszą pogardą, Rona i moją. Tego jednego nie mogła wytrzymać, jeśli się ją zostawiło samą.

O dziesiątej przyszła poczta. O jedenastej pani Kromach za-
274częła ćwiczyć grę na elektrycznych organach przy akompaniamencie skrzeków papugi. Znałam cały jej repertuar. *Zippity Doo Dah. There's No Business Like Show Business. Chattanooga Choo Choo*. Lubiła piosenki o różnych stanach: *Gary, Indiana, Iowa Stubborn, California Here I Come, Everything's Up to Date in Kansas City*. Za każdym razem robiła te same błędy. „Robi to, żeby nas zdenerwować — mówiła Claire. — Ona umie grać te piosenki”. Już nigdy nie będzie musiała tego słuchać, pomyślałam.

W południe rozległ się warkot rozdmuchiarki liści. O pierwszej wyszły dzieci z ortodoksyjnego żydowskiego przedszkola, usłyszałam piskliwe głosy na ulicy, pogodną zrzędlivość chasydzkich sąsiadek w ich gardłowych językach. Jak one cię przerażały, Claire, te proste kobiety w długich spódnicach z ich niezliczoną dziatwą, aroganckimi synami i wielkimi durnowatymi córkami, zwalistymi, lecz nieśmiały, ze wstążkami we włosach. Zawsze jej się wydawało, że chcą rzucić na nią urok. Kazała mi pomalować dłoń na niebiesko i odcisnąć ją na białym stiuku nad dzwonkiem, co chroniło przed działaniem złego.

Moje kolano dotknęło jej kolana, szarpnęło do tyłu. Jej noga była sztywna. Claire była teraz daleko, zrzuciła wszystkie siedem powłok cielesnych, zbliżała się do Boga. Wodziłam palcem po jej ładnym spiczastym nosie, po gładkim czole, niewielkim wgłębieniu na skroni, gdzie nie pulsowało tętno. Nigdy nie wydawała się bardziej spełniona,

bardziej pewna siebie. Nie próbowała nikogo zadowolić.

Kochała mnie, ale teraz nie znała mnie już. Śmierć to zapomnienie.

Od za piętnaście druga do piętnaście po czwartej telefon dzwonił pięć razy. Była umówiona u fryzjera, nie przyszła. Dwa razy ktoś odłożył słuchawkę, kiedy odebrałam. Znajomi Rona spotykali się na drinka w Cava. Firma MCI proponowała niższe rachunki telefoniczne, jeśli Richardsowie się do nich przeniosą. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, spodziewałam się, że Claire się obudzi i odbierze. Nie znosiła nie odebranych telefonów. Nawet jeśli wiedziała, że to nie będzie do niej. Może

275zatrudnili ją do filmu, chociaż przestała chodzić na przesłuchania. Może dzwoni któryś z przyjaciół, chociaż nie miała przyjaciół. Potrafiła wdawać się w długie rozmowy z pracownikami kotłowni, pośrednikami handlu nieruchomościami, firmami budowlanymi.

Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, że jej nie ma. Co się stanie z jej sposobem otwierania słoika, jak perkusista w orkiestrze uderzający w trójkąt, jednym precyzyjnym gestem? Czerwonawe rozjarzenia jej włosów latem. Jej ciotka, która służyła pod Ypres. Teraz miałam to wszystko, jak naręcze motyli. Kto inny wiedział, że Claire montowała lustro na dachu albo że jej ulubione filmy to *Doktor Żywago* i *Śniadanie u Tiffany 'ego*, albo że jej ulubiony kolortoindygo? Jej szczęśliwą liczbą była dwójka. Nie była w stanie zjeść kokosa ani marcepana.

Przypomniałam sobie dzień, w którym zabrała mnie do Kalifornijskiej Akademii Sztuk Pięknych. Studenci onieśmielali mnie, wydawali mi się pretensjonalni jak na ludzi z dziwacznymi fryzurami, a ich prace były takie brzydkie. Studia kosztowały dziesięć tysięcy dolarów rocznie. „Nie zastanawiaj się nad pieniędzmi — powiedziała Claire. — Tu jest twoje miejsce, chyba że wolisz pojechać na Wschodnie Wybrzeże”. — Wysłałyśmy podanie w listopadzie. Teraz muszę o tym wszystkim zapomnieć, pomyślałam.

Siedziałam na łóżku obok niej po turecku, liczyłam pigułki w buteleczce. Na bezsenność. Wciąż sporo ich zostało. Wystarczy aż zanadto, a ostatnia osoba, która miała o mnie kiedykolwiek pomyśleć, odeszła. Moja matka? Jej zależało tylko na posiadaniu. Wydawało jej się, że jeśli zabije Claire, to mnie odzyska, żeby znów mogła mnie wymazać. Czulałam, jak mnie ciągnie to ciemne koło, szyjka flakonika. Królicza nora, do której mogłam wskoczyć. „Nigdy nie wiadomo, kiedy może nadejść pomoc”. Aleja wiedziałam.

Nadeszła, a ja odwróciłam się plecami, utopiłam ją. Zepchnęłam mego wybawcę z tratwy ratunkowej. Spanikowałam. Teraz zbierałam rozpacz.

Siedziałam z tabletkami w dłoni, patrzyłam na ten zimowy rumieniec nieba, niebieską mgiełkę poprzątykaną bladym różem

276spływającym przez geometrycznie przycięte gałęzie i płaczące gałęzie wiązu. Claire uwielbiała tę porę dnia, uwielbiała piękne uczucie melancholii i siedzenie pod wiązem, patrzenie na jego gałęzie, ciemne na tle nieba.

W końcu nie zażyłam tabletek. To wydawało się zbyt patetyczne, wielki gest, fałszywy. Nie zasługiwałam na to, by zapomnieć, że odwróciłam się do niej plecami. Śmierć oczyszcza konto. To zbyt łatwe. Teraz na mnie spadły obowiązki opiekuna motyli. Zadzwoiłam na numer pagera Rona, dodałam 999, co oznaczało sytuację awaryjną. Usiadłam z powrotem i czekałam.

Ron siedział obok mnie na łóżku, ramiona mu obwisły jak grzbiet starego konia, schował twarz w dłoniach, jakby nie był już w stanie znieść widoku świata.

— Miałaś jej pilnować — powiedział.

— To ty ją zostawiłeś.

Zachłysnął się powietrzem i zaczął szlochać, przeciągle, trzęsąc się cały. Nigdy nie sądziłam, że będzie mi żal Rona, ale było. Położyłam mu dłoń na ramieniu, a on przykrył ją swoją. Przyszło mi do głowy, że mogłabym złagodzić jego cierpienie. Mogłabym pogłaskać go w głowę i powiedzieć: „To nie twoja wina. Ona miała problemy, na które nie mogliśmy nic poradzić, choć byśmy nie wiem co robili”. Tak postąpiłaby Claire. Mogłabym sprawić, żeby mnie pokochał. Może by mnie zatrzymał.

Nie zdejmując swojej dłoni z mojej, wpatrywał się w jedwabne pantofle Claire koło łóżka. — Bałem się tego od lat.

Przycisnął moją dłoń do policzka. Czułam, jak jego łzy przeciekają mi przez palce. Claire współczułaby mu, gdyby żyła.

— Tak bardzo ją kochałem — powiedział. — Nie byłem święty, ale kochałem ją.

Spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami, czekając, aż wygłoszę swoją kwestię: „Wiem, że ją kochałeś, Ron”. Claire by tak powiedziała. Również Olivia wywierała na mnie presję, żebym to powiedziała. On może się mną zająć. „Świat należy do mężczyzn”.

277 Jednak nie potrafiłam się na to zdobyć. Claire nie żyła. Jakie to miało znaczenie, czy ją kochał, czy nie.

Zabrałam rękę i wstałam, zaczęłam podnosić rzeczy, które porzuciłam po podłodze, między innymi jego pióro. Rzuciłam mu je na kolana. — Cały czas je miała — powiedziałam. — W ogóle jej nie znałeś.

Pochylił głowę, dotknął jej ciemnych włosów, które uczesałam, powiódł dłonią po jej fiołkoworóżowym rękawie z angory.

— Możesz zostać — powiedział. — O to się nie martw. Sądziłam, że chciałam to usłyszeć, ale kiedy już powiedział te

słowa, wiedziałam, że czułabym się lepiej przy Sunset Boulevard z innymi uciekinierami, śpiąc na obsikanej kołdrze na stopniach kościoła bezdomnych, znajdując żarcie na śmietniku włoskiej restauracji Two Guys. Nie mogłam tam zostać bez Claire. Nie potrafiłabym wygłaszać kwestii, których on sobie życzył, chodzić z przyklejonym uśmiechem, nasłuchiwać, czy nadjeżdża jego samochód. Moja twarz w lusterku była ostra i poszarpana. On wyciągał do mnie rękę, lecz moja twarz była poza zasięgiem.

Odróciłam się, spojrzałam w noc i na nasze odbicia w drzwiach do ogrodu z rozbitymi szybami: ja w jedwabnej pidżamie, Ron na łóżku, Claire na poduszce, tonąca w świetle lampki nocnej, po raz pierwszy zupełnie obojętna.

— Dlaczego nie potrafiłeś jej bardziej kochać? — spytałam. Ręka opadła mu na dół. Pokręcił głową. Nikt tego nie wie.

Nikt tego nigdy nie wiedział.

Pakowanie się zajęło mi więcej czasu niż u Amelii. Doszły wszystkie nowe ubrania od Claire, książki, królik Durera. Zabrałam wszystko. Miałam tylko jedną walizkę, zapakowałam więc resztę do toreb foliowych. Potrzebowałam siedmiu toreb, żeby się wszystko zmieściło. Poszłam do kuchni, wzięłam z lodówki torbę z biżuterią i wyjęłam z niej akwamarynowy pierścionek, który zawsze był dla niej za duży, i dla jej matki też. Na mnie jednak doskonale pasował.

Była prawie północ, kiedy furgonetką przyjechała opiekunka

278 z ośrodka, biała kobieta w średnim wieku, ubrana w dżinsy, z perłowymi kolczykami w uszach. Joan Peeler rok wcześniej zrezygnowała z pracy w ośrodku

adopcyjno-opiekuńczym i zatrudniła się w dziale obróbki filmów studia Fox. Ron pomógł mi nosić rzeczy do furgonetki.

— Przepraszam — powiedział, gdy wsiadłam do środka. Pogrzebał w portfelu i wcisnął mi jakieś pieniądze. Dwa banknoty dwustudolarowe. Moja matka rzuciłaby mu nimi w twarz, aleja je wzięłam.

Patrzyłam na dom, robił się coraz mniejszy w tylnym oknie furgonetki, gdy odjeżdżałyśmy w bezksiężycową noc — koniec tego, co mogło być. Mały hollywoodzki dom parterowy za ogromnymi białymi pniami platanów. Nie obchodziło mnie, co się teraz ze mną stanie.

22

W Pogotowiu Opiekuńczym MacLaren w pewnym sensie poczułam ulgę. Najgorsze już się stało. Czekanie minęło.

Leżałam na moim wąskim łóżku, blisko ziemi. Nie licząc dwóch kompletów ubrania w szufladach z płyty październowej pod materacem, wszystkie moje rzeczy były w przechowalni. Skóra mi płonęła. Zostałam odwszona i wciąż cuchnęłam szarym mydłem. Wszystkie dziewczęta spały, z wyjątkiem tych na korytarzu, które trzeba było pilnować, samobójczyń, epileptyczek, nie panujących nad sobą. Nareszcie panowała cisza.

Teraz łatwo mi było wyobrazić sobie matkę na pryczy we Frontera. Nasza sytuacja nie różniła się aż tak bardzo. Takie same ściany z pustaków, linoleum na podłodze, cienie sosen rzucane przez światła na zewnątrz i kształty współpensjonariuszek śpiących pod cienkimi kocami. Było za gorąco, lecz nie otworzyłam okna. Claire nie żyje. Co mnie obchodzi gorąco.

279 Głaskałam jedną dłonią kosmate końcówki moich krótkich włosów. Cieszyłam się, że je obcięłam. Gang dziewcząt napadł na mnie dwa razy, raz w parku, raz po drodze z sali gimnastycznej, bo czyjś chłopak uważał, że jestem ładna. Nie chciałam być ładna. Leżałam, dotykając palcami siniaków, które wykwitwały mi na policzku, w odcieniach od purpurowego do zielonego, patrzyłam na cienie pinii za zasłoną, tańczące na wietrze jak kukielki w teatryku cieni na wyspie Bali, w takt muzyki gamelan.

Poprzedniego dnia rano dzwonił do mnie Ron. Zabierał jej popioły z powrotem do Connecticut i zaproponował, że zapłaci za mój bilet, jeśli będę chciała z nim pojechać.

Nie chciałam patrzeć na to, jak Claire jest odwożona z powrotem do rodziny, kolejnych ludzi, którzy jej nie znali. Nie potrafiłabym stać beczynnym jak obcy człowiek podczas nabożeństwa. Pocałowała mnie w usta, powiedziałabym im.

— Ty jej w ogóle nie znałeś — powiedziałam do Rona. Nie chciała, żeby ją poddać kremacji, chciała zostać pochowana z perłami w ustach, z klejnotem na każdym oku. Ron nigdy nie znał jej pragnień, choć zawsze mu się wydawało, że najlepiej wie, czego ona chce. „Miałś jej pilnować”. Wiedział, że Claire ma skłonności samobójcze, kiedy mnie wziął do swego domu. Po to zostałam zatrudniona. Jako strażniczka samobójczyni. Niejako zastępcze dziecko.

Cienie sosen przesuwają się po moim kocu, po ścianie z tyłu. Z ludźmi jest tak samo, pomyślałam. Nawet się nawzajem nie widzimy, widzimy tylko ruchome cienie popychane przez niewidzialne wiatry. Co to za różnica, czy będę tutaj czy gdziekolwiek indziej. Nie umiałam zatrzymać jej na tym świecie.

Jakaś dziewczyna na korytarzu jęknęła. Jedna z moich koleżanek z sali przewróciła się na drugi bok, wymamrotała coś w koc. Te wszystkie złe sny. Po raz pierwszy poczułam, że to jest miejsce, do którego przynależę. Nawet kiedy byłam z matką, zawsze wstrzymywałam oddech, czekając, że coś się stanie, że ona nie wróci do domu, że zdarzy się jakaś katastrofa. Ron nie powinien był powierzać mi Claire. Powinna była wziąć sobie

280 małe dziecko, kogoś, dla kogo musiałaby pozostać przy życiu. Powinna była zdać sobie sprawę, że ja przynoszę pecha, pomyliła się, sądząc, że jestem osobą, na którą można liczyć. Byłam bardziej podobna do mojej matki, niż kiedykolwiek chciałam wierzyć. Lecz nawet to już mnie nie przerażało.

Następnego dnia poznałam w świetlicy jednego chłopaka, Paula Trouta. Miał proste włosy i niezdrową cerę, jego ręce poruszały się niezależnie od woli. Był podobny do mnie, nie potrafił usiedzieć, nie rysując czegoś. Kiedy mijałam go w drodze do umywalki, zajrzałam mu przez ramię. Jego rysunki czarnym długopisem i pisakiem wyglądały jak z komiksu. Kobiety w czarnej skórce z dużymi piersiami i w butach na wysokich obcasach wymachujące pistoletami wielkości węży strażackich. Mężczyźni z nożami i baniastymi krociami. Dziwaczne mandale jak z graffiti na murach, jin-jang, smoki i samochody ze statecznikami jak w latach pięćdziesiątych.

Cały czas się na mnie gapił. Czulałam na sobie jego wzrok, kiedy malowałam. Lecz wyteżone, szerokookie spojrzenie Paula Trouta nie przeszkadzało mi. Nie przypominało spojrzeń chłopców w klasie, agresywnych, śliniących się, obmacujących, bardzo wrogich. To było spojrzenie artysty, wyczułone na szczegóły, chłonące prawdę bez wstępnych założeń. Było to spojrzenie, które nie odwracało się, kiedy je odwzajemniłam, lecz dziwił je ten fakt.

Kiedy przyszedł wyrzucić coś do kosza na śmieci, patrzył od tyłu, jak maluję. Nie próbowałam zasłonić swego dzieła. Niech patrzy. Była to Claire na łóżku w fiołkoworożowym swetrze, ciemna postać Rona w drzwiach. Wszystko tonące w czerwonych światłach karetki pogotowia. Mnóstwo ukośnych linii. Trudno było dobrze malować, pędzle były plastikowe, plakatówka proszkowata i szybko wysychająca. Mieszałam kolory na dnie garnka.

— Świetne — powiedział.

Nie potrzebował mi tego mówić. Uprawiałam sztukę przez całe życie, jeszcze zanim nauczyłam się mówić, a potem kiedy tylko mogłam, ale nie był to mój wybór.

281— Nikt tutaj nie umie malować — powiedział. — Nienawidzę dżungli.

Chodziło mu o korytarze. Ściany wszystkich korytarzy w Mac-Laren były pomalowane w motywy dżungli, słonie, palmy, połacie listowia, afrykańskie wioski ze stożkowatymi chatami krytymi strzechą. Styl był naiwny, Rousseau bez jego atmosfery zagrożenia i tajemniczości, ale to nie dzieci namalowały. Nam nie wolno było malować korytarzy. Zamiast tego wynajęli jakiegoś ilustratora książek dla dzieci, jakiegoś projektanta tapet. Pewnie uznali, że sztuka w naszym wykonaniu będzie zbyt przykra, zbyt niepokojąca. Nie wiedzieli, że większość dzieci namalowałaby dokładnie to samo, co korytarzowy artysta: królestwa pokoju, w których nigdy nie wydarzyło się nic złego. Szybujące orły, rozigrane 1 wy i afrykańskie nimfy noszące wodę, kwiaty bez organów płciowych.

— Jestem tutaj czwarty raz — powiedział Paul Trout. Dlatego widywałam go tylko w sali zajęć plastycznych. Jeśli

ktoś wraca celowo, to traci przywileje, koedukacyjne wieczory. Rozumiałam jednak, dlaczego wracają. W MacLaren nie było aż tak źle. Gdyby nie brutalność, inne dzieci, można byłoby uznać to za istny raj. Lecz jeśli zgromadziło się w jednym miejscu

tyłe uszkodzonych ludzi, to musiało się to zamienić w więzienie czy szpital psychiatryczny. Mogli pomalować wszystkie korytarze, koszmar wciąż pozostawał realny. Nieważne, jak bardzo zielony jest trawnik, jak pogodne murale na korytarzach, jak doskonała sztuka na trzyipółmetrowym murze dookoła ośrodka, nieważne, jak życzliwi są pracownicy i opiekunowie, ile ognisk organizują albo ile basenów zbudują, pogotowie opiekuńcze wciąż pozostawało ostatnią deską ratunku dla dzieci uszkodzonych na tyle sposobów, że cudem było, iż możemy zasiadać do kolacji, śmiać się, oglądając telewizję, zasypiać.

Paul Trout nie był jedynym, który wrócił. Takich jak on było mnóstwo. Tu mogli się czuć bezpieczniej, z regulaminem, stałymi posiłkami, profesjonalną opieką. MacLaren to było samo dno, nie dało się spaść niżej. Podejrzywałam, że eks-więźniowie, którzy wracali do więzienia, czuli się tak samo.

282— Czemu obcięłaś włosy? — spytał. — Ładnie ci w nich było.

— Przyciągały uwagę.

— Myślałam, że dziewczyny to lubią.

Uśmiechnęłam się, poczułam gorzki posmak w ustach. Ten chłopak może sporo wie o okrucieństwie i zniszczeniu, ale na pięknie nie zna się ani trochę. Skąd miałby się znać? Był przyzwyczajony do tej skóry, do tego, że ludzie się odwracają, nie widzą ognia w jego czystych brązowych oczach. Wiedziałam, że wyobraża sobie, iż zauważanie przez kogoś piękna będzie odczuwane jak miłość.

— Czasami to bardziej rani, niż pomaga — powiedziałam.

— Tak czy tak jesteś piękna — powiedział, wracając do rysowania. — Nie możesz wiele na to poradzić.

Malowałam ciemne włosy Claire, nałożyłam warstwę niebieskiego, a potem brązowego, miejscami zlewały się w czerwień.

— Dla mnie to nic nie znaczy. Tylko dla innych.

— Tak mówisz, jakby to nie było nic warte.

— Bo nie jest. — Po co komu uroda, jeśli nie zamierza jej użyć, jak młotka czy klucza? Uroda jest czymś, co inni mogą używać i podziwiać albo zazdrościć i gardzić nią. Zawiesić na niej swoje marzenia, jak obraz na kołku na pustej ścianie. Tyle dziewczyn

mówi: użyj mnie, marz o mnie.

— Nigdy nie byłeś brzydka, to nie wiesz. — Spojrzał na swoją dłoń, która wypełniała puste miejsca w scenie fantastycz-nonaukowej. — Kobiety traktują cię jak chorobę, którą mogą złapać. A jeśli w chwili słabości pozwolą ci się dotknąć, to każą ci zapłacić. — Zamknął usta, potem otworzył, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale znów je zamknął bez słowa. Powiedział za dużo. Jego usta się zawahały. — Ktoś taki jak ty... nie pozwoliłabyś mi się dotknąć, prawda?

Skąd mu przyszło do głowy, że jest brzydki? Zła cera może się przytrafić każdemu. — Nikomu nie pozwalam się dotykać — powiedziałam w końcu.

Namalowałam słoiczek z butarbitalem sody na szmaciaku

283koło jej łóżka, maleńkie tabletki wysypywały się. Jasnoróżowe na tle ciemnego szmaciaka.

— Dlaczego?

Dlaczego? Dlatego, że miałam dosyć mężczyzn. Blokujących mi drogę w drzwiach, stojących za blisko, cuchnących piwem albo piętnastoletnią whisky. Mężczyzn, którzy zostawali na korytarzu na pogotowiu, mężczyzn, którzy wyjeżdżali w Wigilię. Mężczyzn, którzy zamykali więzienne bramy, którzy kazali się kochać, a potem się wycofywali. Całe lasy chłopców, w potarganych zaroślach, ich oczy wodzące za tobą, chwytające cię za piersi, wymachujące pieniędzmi, oczy obalające cię na ziemię, biorące to, co ich zdaniem im się należy.

Dlatego, że wciąż miałam pod powiekami kobietę w czerwonym szlafroku, która pełza na ulicy. Kobietę na dachu na wietrze, niemą i dziwną. Kobiety z tabletkami, z nożami, kobiety farbujące sobie włosy. Kobiety z miłości smarujące klamki trucizną, gotujące zbyt obfite kolacje, strzelające z bliska w pokoju dziecięcym. Wiedziałam, jak się kończy ta sztuka, nie miałam ochoty ubiegać się o żadną z ról. To nie była zabawa, dreszczyk emocji bez żadnych konsekwencji. To była rosyjska ruletka z trzema nabojami.

Namalowałam lustro na ścianie naprzeciwko komody Claire, choć nie było tam żadnego lustra, i w zabarwionych na czerwono ciemnościach umieściłam swoje odbicie, zapatrzone, z długimi bladymi włosami, w sukience z karminowego aksamitu, którą dostałam pod choinkę i nigdy nie miałam okazji nałożyć. Moje ja, które umarło razem z

nią. Namalowałam karminową wstążkę na swojej szyi, która wyglądała, jakbym miała poderżnięte gardło.

— Jesteś lesbijką? — spytał mnie Paul.

Wzruszyłam ramionami. Może tak byłoby lepiej. Przypomniałam sobie, jak się czułam, kiedy tańczyłam z Olivia i kiedy Claire pocałowała mnie w usta. Nie wiedziałam. Ludzie po prostu są spragnieni miłości. Słowa mają to do siebie, że są jasne i konkretne: krzesło, oko, kamień, ale kiedy mówi się o uczuciach, słowa są zbyt nieelastyczne, odtąd dotąd, nie zawierają w sobie wszystkich znaczeń. Definiując, zawsze coś pomijają.

284Pomyślałam o kochankach mojej matki, Jeremym, Jesusie i Marku, wąskich w talii mężczyznach o przejrzystych oczach i głosach jak satyna pantofelków na nagiej piersi. Pomyślałam, jaka piękna była Claire tańcząca w salonie, *jête, pas de bouree*, jak bardzo ją kochałam. Podniosłam na niego wzrok.

— Co to ma za znaczenie?

— Czy cokolwiek ma dla ciebie znaczenie?

— Żeby przeżyć — powiedziałam, ale nawet to brzmiało teraz nieprawdziwie. — Chyba.

— To niewiele.

Namalowałam motyla w pokoju Claire. Pazia królowej. Potem jeszcze jednego, bielinka kapustnika.

— Do niczego więcej jeszcze nie doszłam.

Chodziliśmy razem po parku, kiedy przywrócono mu przywileje. Dziewczyny nazywały go moim chłopakiem, ale to było tylko słowo, nie do końca oddawało prawdę. Paul Trout był jedyną osobą w ośrodku, z którą mogłam rozmawiać. Chciał spotykać się ze mną na zewnątrz, poprosił o adres, telefon, jakiś kontakt, ale nie wiedziałam, gdzie będę, a nie mogłam zaufać matce, że cokolwiek przekaże. Poza tym postanowiłam, że nie podam jej swojego nowego adresu. Nie chciałam mieć z nią nic wspólnego. Paul Trout podał mi nazwę sklepu z komiksami w Hollywood, powiedział, że mogę tam zostawić dla niego wiadomość. — Napisz na listach: „Przekazać Paulowi Troutowi”.

Było mi przykro, kiedy znaleziono mu miejsce w rodzinnym domu dziecka w Pomonie. Był pierwszym chłopakiem od czasów Daveya, z którym lubiłam spędzać czas,

pierwszym, który potrafił choć w przybliżeniu zrozumieć, przez co przeszłam. Właśnie zaczęliśmy się nawzajem poznawać, a teraz go zabrali. Musiałam się do tego przyzwyczaić. Wszyscy cię w końcu zostawią. Dał mi jeden ze swoich rysunków, żeby mi o nim przypominał. Na rysunku byłam ja jako Superbohater, w obcisłym białym podkoszulku i poszarpanych szortach, moje ciało musiało być dla niego przedmiotem wyteżonych obserwacji i przemyśleń. Właś-

285nie pokonałam szwarccharaktera motocyklistę, obcas mojego martensa tkwił w jego zakrwawionym nagim torsie, w dłoni trzymałam pistolet z dymiącą lufą. Przestrzeliłam mu serce. „Niech nikt nie odważy się mnie dotknąć”, mówił napis nad moją głową.

Kilka dni po odejściu Paula siedziałam przy pomarańczowym stole ogrodowym koło pawilonu dla młodszych chłopców i czekałam na rozmowę z kandydatami na moich zastępczych rodziców. Przeciągnęłam dłonią po ostrzyżonych włosach, odsłoniłam głowę, żeby mi ją rozgrzało zimowe słońce. Zgodnie z przepisami rodziny nie powinny przebierać w dzieciach, to powinna być rozmowa „zapoznawcza”, ale w praktyce równała się weryfikacji i wszyscy o tym wiedzieli. Nie martwiłam się. Nie chciałam zostać nigdzie umieszczona. Wołałam zostać w ośrodku, aż skończę osiemnaście lat. Paul miał rację, było wiele miejsc gorszych od MacLaren. Nie chciałam już nigdy się w nikogo angażować. Ale nikomu nie udawało się zostać tu do pełnoletności.

Przy stole pod dużymi sosnami toczyła się inna rozmowa, z rodzeństwem. Z rodzeństwami zawsze było najgorzej. Śliczny młodszy braciszek na kolanach kobiety, starszy brat wyrósł z fazy „ślicznego chłopczyka”, miał już meszek na górnej wardze, stał obok, trochę na prawo, z rękami w kieszeniach. Chcieli wziąć tylko małego. Starszy brat usiłował ich przekonać, jaki jest odpowiedzialny, że pomoże się zająć małym, wyniesie śmieci, skosi trawnik. Nie mogłam na to patrzeć.

Pierwszą rozmowę miałam we wtorek. Bili i Ann Greenwayowie z Downey. Od lat brali dzieci z ośrodka. Jedno z nich, dziewczynka, właśnie wróciła do swych naturalnych rodziców. Mieli ją przez trzy lata. Bili wytarł sobie usta, kiedy to mówił, Ann tłumiała lzy. Ja studiowałam buty, białe Kędy w niebieskie paski po bokach, za duże, sznurowane buty. Jedna rzecz przemawiała na moją korzyść: nieprędka wrócę do matki.

Niewiele się odzywałam. Nie chciałam nawet na nich patrzeć. Jeszcze bym ich

polubiła. Już ich polubiłam. Ich dobroć wydawała ciche, pluszczące dźwięki, jak woda w wannie. Łatwo

286byłoby im pozwolić zabrać się do siebie. Wyobrażałam sobie ich dom, jasny i komfortowy, przy ulicy podobnych do siebie domów, ale ładnych, może piętrowych. Zdjęcia dzieci na stołach, stara huśtawka w ogrodzie z tyłu. Rozsłoneczniona szkoła średnia, nawet ich kościół sprawiał zachęcające wrażenie, nikt tam nie wpadał w fanatyczne nastroje, nikt się zbytnio nie przejmował grzechem lub potępieniem. Byłam pewna, że zwracają się do swojego duchownego po imieniu.

Mogłam z nimi pójść, z Ann i Billem Greenwayami z Downey. Ale z nimi mogłabym zapomnieć. Wszystkie motyle mogłyby odlecieć. Zielnik z kwiatami i Bach przed południem, ciemne włosy na poduszce, perły. Aida i Leonard Cohen, pani Kromach i pikniki w salonie, pasztet z gęsich wątróbek i kawior. W Downey przestałoby mieć znaczenie, że wiem o Kandinskim i Ypres, że znam francuskie nazwy kroków baletowych. Mogłabym zapomnieć czarną nitkę w skórze, pocisk trzydziestki ósemki grucho-czący kość, zapach nowych domów, widok mojej matki, gdy skuwali ją kajdankami, zaskakującą czułość, z jaką zwalisty gliniarz trzymał rękę nad jej głową, żeby się nie uderzyła przy wsiadaniu do wozu policyjnego. Z Ann i Billem Greenwayami z Downey to wszystko by przygasło, rozpląnęło się. Amsterdam i hotel Eduarda, herbata w Beverly Wilshire, Claire, która stała drżąca, gdy lump wachał jej włosy. Już nigdy nie spojrziałabym na bezdomne dzieci w bramach przy Sunset Boulevard i nie zobaczyłabym w nich odbicia własnej twarzy.

— Spodobałoby ci się u nas, Astrid — powiedziała Ann, trzymając na moim ramieniu swą czystą białą dłoń.

Pachniała balsamem do rąk Jergensa, bladawa różowa słodycz, nie L'Air du Temps, Ma Griffe czy dyskretne fiołki mojej matki, lecz zapach, który z przyczyn chemicznych można było czuć tylko przez chwilę. „Co wolisz, estragonczy tymianek?” To wszystko było snem, nie dało się tego zatrzymać, nie można polegać na ptakach z matowego szkła i Debussym.

Spojrzałam na Billa i Ann, ich życzliwe twarze, porządne buty, żadnych trudnych pytań. Siwiejąca krótka fryzura Billa,

287okulary w srebrnych oprawkach, starannie wymodelowane, wijące się włosy

Ann. To było osiągalne, solidne, rodzinne i niezniszczalne jak wykładzina dywanowa. Powinnam to była brać z pocałowaniem ręki. Tymczasem straciłam jej dłoń z ramienia.

Nie chodziło o to, że im nie wierzyłam. Wierzyłam we wszystko, co mi powiedzieli, byli zbawieniem, zaspokojeniem mojej najbardziej podstawowej potrzeby. Przypomniałam sobie jednak przedpołudnie wiele lat wcześniej w kościele w Tujungu, kwieciste światła, podniszczone składane krzesła. Starr zaczarowana jak wąż, gdy ojciec Thomas tłumaczył zjawisko potępienia. Potępieni mogą w każdej chwili zostać zbawieni, powiedział, lecz nie chcą wyrzec się grzechu. Choć cierpią nie kończące się męki, nie umięją wyrzec się grzechu nawet dla zbawienia, dla doskonałej miłości bożej.

Wtedy tego nie rozumiałam. Jeżeli grzesznicy są tacy nieszczęśliwi, to dlaczego wolą cierpienie? Teraz już wiedziałam, dlaczego. Kim byłabym bez moich ran? Moje blizny były moją twarzą, moja przeszłość — moim życiem. Nie chodziło o to, że nie wiem, do czego prowadzi całe to pamiętanie, cały ten głód piękna, zdumiewającego okrucieństwa i wszechobecnej utraty. Wiedziałam jednak, że nigdy nie mogłabym pójść do Billa z przykrym problemem osobistym —jakiś chłopak za bardzo mnie lubi, jakiś nauczyciel beszta mnie niesprawiedliwie. Widziałam już więcej świata, jego piękna, nędzy i zdolności do zaskakiwania, niż im jest pisane do końca życia.

Ale wiedziałam jeszcze jedną rzecz. Ludzie, którzy wypierają się tego, kim są i skąd przychodzą, znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie. Są ślepyimi lunatykami na linie, ich palce błądzą w powietrzu. Wstałam więc i poszłam, wiedząc, że rezygnuję z czegoś, czego nigdy nie odzyskam. Nie z Ann i Billa Greenwayów, lecz z pewnego złudzenia, które wciąż we mnie tkwiło: że mogę zostać ocalona, zacząć od początku.

Teraz znowu siedziałam przy pomarańczowych stołach i czekałam na następną rozmowę. Zobaczyłam ją, chuda brunetka w ciemnych okularach, szła na skróty przez mokry trawnik, wy-

288sokie obcasy butów zapadały się w świeżo podlaną murawę, nie obchodziło jej, że niszczy trawę. Srebrne kolczyki migotały w styczniowym słońcu jak błystki wędki. Sweter zsuwał się z jednego ramienia, ukazując czarne ramiączko stanika. Zgubiła jeden but, ziemia zassała go i ściągnęła jej ze stopy. Podskoczyła do tyłu na jednej nodze i z gniewem włożyła stopę z powrotem do buta. Już wiedziałam, że z nią pójdę.

Nazywała się Rena Grushenka. W ciągu tygodnia zabrała mnie do domu swym białym pikapem Econoline z nalepką Grateful Dead na tylnej szybie, czerwona i niebieska połówka czaszki rozdzielone w środku jak ciężki ból głowy. Było zimno, padał deszcz, niebo zaciągnęło się ponurym szarym kolorem. Podobało mi się, jak z piskiem opon ruszyła z parkingu. Patrząc, jak ściany i druciana siatka MacLaren znikają za tylną szybą, próbowałam nie myśleć o tym, co mnie czeka z przodu. Kluczyłyśmy po labiryncie podmiejskiej dzielnicy, szukając autostrady, i skupiłam się na zapamiętaniu drogi, którą przyjechałam – biały dom z gołębnikiem, zielone okiennice, skrzynka na listy, orientalny mur z ozdobnymi otworami zaciągnięty strugami deszczu. Kable wysokiego napięcia rozpięte między stalowymi wieżami podobnymi do olbrzymów, które trzymają skakanki.

Rena zapaliła czarnego papierosa i poczęstowała mnie.

– Rosyjskie sobranie. Najlepsze na świecie.

Wzięłam, zapaliłam jej jednorazową zapalniczką i przyjrzałam się mojej nowej matce. Czarne jak koks włosy, zupełnie matowe, były dziurą w węglowym popołudniu. Wysokie piersi upchnięte w ogromny dekolt czarnego szydełkowego swetra rozpiętego do czwartego guzika. Długie kolczyki, które reklamowano jako „chwytające sny”, dotykały jej ramion, nie umiałam sobie

289jednak wyobrazić, jakie mieszkają w nich sny. Kiedy znalazła autostradę, włożyła do odtwarzacza kasetę ze starymi przebojami Eltona Johna. – *Like a candle in the wind*– śpiewała głębokim, gardłowym głosem zabarwionym miękkimi rosyjskimi spółgłoskami, ręce spoczywające na dużej kierownicy były brudne i obficie upierścienione, paznokcie poobgryzane do krwi.

Kabina furgonetki nagle zapełniła się motylami – paziami królowej, bielinkami kapustnikami – trzepoczące skrzydła moich zbyt licznych uczuć, zbyt licznych wspomnień, nie rozumiałam, jak Rena może coś widzieć przez pulsujące biciem serca babie lato ich skrzydeł.

Już mniej niż rok, powiedziałam sobie. Osiemnaście lat i wysiadka. Skończę szkołę, pójdę do pracy, życie będzie należało do mnie. Tutaj tylko pomieszkam, nie płacąc czynszu, aż będę mogła zdecydować, jaki będzie następny akt sztuki. Zapomnij o studiach, nie masz szans, więc po co się nastawiać. Nie miałam zamiaru znowu się narażać na rozczarowania. „Nikommu nie pozwalałam się dotykać”.

Skoncentrowałam się na kształtach wieżowców z centrum miasta, które wyłoniły się z szarości, wierzchołki w chmurach, półza-pamiętany sen. Skręciłyśmy na północ na autostradę numer 5, objeżdżając centrum miasta wzdłuż torów kolejowych, szpital okręgowy, obszar magazynów wokół browaru, gdzie artyści mieszkali w swoich pracowniach — bywałyśmy tam z matką na imprezach, całe życie temu, tak dawno, że to sprawiało wrażenie cudzego wspomnienia, piosenki, którą słyszałam kiedyś we śnie.

Rena zjechała z obwodnicy na wysokości Stadium Way, teraz nie było domów, tylko splątana zieleń i beton przy autostradzie. Przez jakiś czas jechałyśmy równolegle do autostrady numer 5, potem przejechałyśmy pod nią i znalazłyśmy się w niewielkiej dzielnicy, która była jak wyspa pod poziomem morza, a autostrada ciągnęła się jak mur po naszej lewej stronie. Po prawej, za rozmazaną deszczem przednią szybą, przesuwały się kolejne ulice, wszystkie ze znakiem „ślepa”. Widziałam ściśnięte ogródki przed domami, mokre pranie na sznurach i płotach przed hiszpań-

290skimi chatami i maleńkimi bungalowami w stylu Craftsman, wszystkie okna miały kraty. Widziałam sznurkowe koszyki na rośliny wiszące na gankach, zabawki dzieci na wyliniałych trawnikach i olbrzymie oleandry. Frogtown, obwieszczano graffiti.

Zatrzymałyśmy się przed ponurym hiszpańskim bungalowem w kolorze kakaowym, z obfitymi ozdobami z gipsu, ciemnymi oknami i wyliniałym trawnikiem otoczonym ogrodzeniem z siatki drucianej. Sąsiedzi po jednej stronie mieli na podjeździe jacht większy od domu, sąsiad po drugiej był hydraulikiem. Było to doskonale miejsce dla dziewczyny, która potrafiła odwrócić się od jedynej dobrej rzeczy w jej życiu.

— Nie majak w domu — powiedziała Rena Grushenka. Nie potrafiłam ocenić, czy mówi to ironicznie. Nie pomogła mi nosić rzeczy. Wzięłam najważniejsze torby — z farbami, z królikiem Diirera, za którego ramą schowane były pieniądze od Rona — i poszłam za nią nierówną alejką na zdezelowany ganek. Kiedy Rena otworzyła drzwi, do środka wskoczył biały kot.

— Sasha, ty łobuzie — powiedziała. — Łajdaczy się po całej dzielnicy.

Dopiero po chwili przyzwyczaiłam się do ciemności panujących w małym domu. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mi się w oczy, były meble, stłoczone na kupie jak w komisie. Za dużo lamp, lecz żadna się nie paliła. Na kanapie obitej zielonym aksamitem leżała pulchna brunetka i oglądała telewizję. Kiedy biały kot wskoczył jej na kolana,

zepchnęła go na podłogę. Podniosła na mnie wzrok, lecz nie zrobiłam na niej większego wrażenia, wróciła więc do oglądania programu.

— Yvonne — powiedziała Rena. — Ona ma więcej rzeczy. Pomóż jej.

— Sama jej pomóż.

— Co do ciebie mówię? Ty leniwa krowo.

— *Chingao*, kto mi to mówi. — Zwlokła się jednak ze zbyt miękkiej kanapy i zobaczyłam, że jest w ciąży. Jej ciemne oczy pod skąpą osłoną łukowatych, wyskubanych brwi spotkały się z moim wzrokiem. — Nie majak trafić pod zły adres — powiedziała.

291Rena prychnęła. — Jaki jest twoim zdaniem dobry adres? Powiedz mi, wszystkie tam pójdziemy.

Dziewczyna pokazała jej „wałę”, wzięła bawełnianą bluzę ze staroświeckiego stojaka na kapelusze, ociężała nałożyła ją sobie przez głowę. — Chodź, idziemy.

Wyszliśmy na deszcz, który tymczasem przerodził się w mżawkę, ona wzięła dwie torby, ja też dwie. — Mam na imię Astrid — powiedziałam.

— Tak, no i co?

Zaniosłyśmy rzeczy do pokoju w dalszej części domu, naprzeciwko kuchni. Dwa łóżka, oba nie pościelone.

— Nie dotykaj moich rzeczy, bo cię zabiję. — Odwróciła się i zostawiła mnie samą.

W pokoju panował nieprawdopodobny bajzel. Ubrania na łóżkach, nabiurku, pod ścianami, wysypujące się z otwartej szafy. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu ubrań. Czasopisma z fryzurami, podarte fotonowe. Nad łóżkiem Yvonne wisiały zdjęcia wyrwane z czasopism, chłopcy i dziewczęta trzymający się za ręce, jadący na oklep konno po plaży. Na komodzie chiński papierowy koń z uprzężą z czerwonego jedwabiu i złotka stał na straży jasnożółtego przenośnego radia, zestawu do makijażu z dwudziestoma kolorami cieni do powiek i zdjęcia młodego aktora telewizyjnego w ramce za dwa dolary.

Zebrałam rzeczy z mojego łóżka (mokry ręcznik, ogrodniczki, różową bluzę, brudny talerz) i zastanawiałam się, co byłoby mniej obraźliwe: rzucić je na podłogę czy na drugie łóżko. Wybrałam podłogę. Zostawiła mi jednak dwie puste szuflady komody i kilka wieszaków w szafie.

Poskładałam ubrania w równą kostkę i włożyłam do swoich szuflad, najlepsze

rzeczy powiesiłam w szafie, pościeliłam łóżko. Na resztę rzeczy nie było miejsca. „Nie dotykaj moich rzeczy, bo cię zabiję”, powiedziała. Ja kiedyś powiedziałam dokładnie to samo. Teraz przypominałam sobie swój pokój u Claire, jak go zobaczyłam po raz pierwszy i zastanawiałam się, czy zdołam go kiedykolwiek zapełnić. Dała mi za dużo. Zasłużyłam sobie na to,

292że musiałam powkładać rzeczy do plastikowych toreb i wsunąć je pod metalową ramę staroświeckiego łóżka, wszystkie moje dzieła sztuki. Wszystkich ludzi, którymi w życiu byłam. Jakbym zrobiła sobie pod łóżkiem cementarz. Powiesiłam nad łóżkiem rysunek od Paula Trouta, na którym mówię: „Nigdy nie pozwalam nikomu się dotykać”. Ciekawe, gdzie on teraz jest, czy kiedykolwiek da o sobie znać. Czy ktoś go kiedyś pokocha, pokaże mu, co znaczy piękno.

Kiedy się już rozpakowałam, przeszłam przez wąski korytarz do kuchni, gdzie Rena siedziała z jeszcze jedną dziewczyną, której widać było odrosty spod pofarbowanych na karmazynowo włosów. Piły heinekena z butelek i miały wspólną szklaną popielniczkę, dawno nie opróżnianą z niedopałków. Na blatach ledwo mieściły się brudne naczynia i opakowania po jedzeniu na wynos.

— Astrid. To jest ta druga, Niki. — Rena odwróciła się do dziewczyny o karmazynowych włosach, która zlustrowała mnie wzrokiem staranniej niż dziewczyna w ciąży. Brązowe oczy ważyły mnie z dokładnością do miligrama, obszukały, sprawdziły szwy moich ubrań.

— Kto cię pobił?

Wzruszyłam ramionami. — Jakież dziewczyny w MacLaren. Niedługo mi zejdzie.

Niki rozparła się na kuchennym krześle, splotła chude ręce za głowę. — Siostry nie lubią, jak białe dziewczęta zadają się z ich mężczyznami. — Odchyliła głowę do tyłu, żeby pociągnąć łyk piwa, ale nie spuszczała ze mnie wzroku. — Włosy też one ci obcięły?

— Co ty, jesteś policjantka? — powiedziała Rena. — Daj jej spokój. — Wstała i wyjęła jeszcze jedno piwo ze zdezelowanej lodówki z nalepkami zespołów rockowych. Zawartość lodówki nie przedstawiała się zbyt obiecująco. Piwo, pudełka zjedzeniem na wynos, trochę wędlin. Rena podniosła butelkę piwa.

— Napijesz się?

Skinęłam głową. Teraz jestem tutaj. Piłyśmy piwo, paliłyśmy czarne papierosy. Ciekawe, co jeszcze się robi przy Ripple Street, pomyślałam.

293Rena szukała czegoś w szafkach kuchennych, otwierała i zamykała pooblupowane beżowe drzwi. Nie było tam nic oprócz baterii, zardzewiałych starych garnków, kilku szklanek i talerzy.

— Wyjadasz mi frytki?

— Yvonne — odparła Niki, popijając piwo.

■

— Zre za dwie — powiedziała Rena.

Niki i Rena pojechały gdzieś furgonetką. Yvonne spała na kanapie, na boku, ssąc kciuk. Biały kot leżał zwinięty w kłębek za jej plecami. Na stole zobaczyłam pustą torebkę po chrupkach Doritos. Telewizor wciąż był włączony, szły lokalne wiadomości. Katastrofa helikoptera na autostradzie numer 10. Ludzie płakali, reporter zadawał im pytania na pasie awaryjnym. Krew i zamieszanie.

Wysłałam na ganek. Deszcz przestał padać, ziemia pachniała wilgocią i zielenią. Ulicą przeszły dwie dziewczyny w moim wieku z dziećmi Jednym na trzykółce, drugim w różowym wózku. Patrzyły na mnie, wyskubane brwi sprawiały, że ich twarze były pozbawione wyrazu. Przejechał z rykiem jasnoniebieski amerykański samochód z lat sześćdziesiątych, czyjaś chluba i radość, błyszczący od chromu i białej tapicerki, hałas silnika był basowy i wybuchowy, patrzyłyśmy, jak auto osiąga najwyższy punkt ulicy.

Na zachodzie powstało pęknięcie w chmurach i odległe wzgórza utonęły w złocistym świetle. U nas było już ciemno, w tej części Ripple Street szybko zapadał zmrok, bo wzgórze po drugiej stronie autostrady zasłaniało światło, ale na końcu ulicy jeszcze świeciło słońce, które obmywało też swymi promieniami kopuły obserwatorium wieńczące szczyt góry niby katedra.

Ruszyłam w stronę światła, mijałam warsztaty i małe domy reklamujące opiekę nad dziećmi, dwupiętrowe bloki mieszkalne zdrewnianymi schodami, bananowcami i kukurydzą w ogrodach. Piekarnia Dolly Madison. Sklep z elektroniką. Wypożyczalnia rekwizytów filmowych, gdzie na ogrodzonym podwórzu stał sześciokonny furgon z Dzikiego Zachodu. Warsztat samochodowy Mazdy na rogu, w miejscu, w którym Fletcher

Drive przecinała rzekę.

294Z mostu otwierał się widok na rzekę ogrzewaną przez ostatnie światło, które smużyło spomiędzy szarych, posiniaczonych chmur. Rzeka płynęła pod drogą w stronę Long Beach. Oparłam łokcie na betonowej poręczy i patrzyłam na północ, w stronę wzgórz i parku. Woda płynęła pomiędzy wysokimi betonowymi brzegami, dno miała pokryte naniesionym przez dziesięciolecia szlamem, kamieniami i drzewami. Przy dnie powracała do stanu dzikości, nie zważając na potężne obwałowania, tajemna rzeka. Wysoki biały ptak łowił ryby między głazami, stał na jednej nodze, co przypominało mi japońskie drzeworyty. Pięćdziesiąt widoków rzeki LA.

Zatrąbił klakson i jakiś mężczyzna krzyknął przez okno samochodu: „Dasz dupci, skarbie?” Ale to nie miało znaczenia, na moście i tak nie można się było zatrzymać. Zastanawiałam się, czy Claire jest w pobliżu, czy mnie widzi. Chciałam, żeby mogła zobaczyć tego żurawia, dno rzeki. To było piękne i nie zasługiwałam na to, lecz nie mogłam się powstrzymać przed podniesieniem głowy do ostatniego złotego światła.

Następnego dnia Rena obudziła nas przed świtem, wymazując moje sny dymem czarnego papierosa. Śniło mi się, że tonę, statek rozbił się na północnym Atlantyku, w sumie dobrze, że mnie obudziła. W pokoju wciąż było ciemno i potwornie zimno.

— Robotnicy wszystkich krajów, powstańcie — powiedziała Rena. — Nie macie nic do stracenia prócz kart Visa, zestawów z bonifikatą u McDonalda i podpasek ze skrzydełkami. — Zapaliła światło.

Yvonne jęknęła na drugim łóżku, podniosła z podłogi but i bez przekonania rzuciła nim w Renę. — Pierdolony czwartek.

Ubierałyśmy się plecami do siebie. Ciężkie piersi i obfite uda Yvonne zaskakiwały swoim pięknem. W konturach jej ciała zobaczyłam Matisse'a, Renoira. Była moją rówieśniczką, ale w porównaniu z nią miałam ciało dziecka.

— Doniosę na tę *puta* do ośrodka. Wy pieprzą ją z powrotem do Rosji. — Grzebała w stertach ubrań, wyciągnęła sweter z gol-

295fem, powąchała, odrzuciła z powrotem na kupę. Zaspana wyszłam na korytarz, żeby ochłapać twarz wodą, umyć zęby. Kiedy wróciłam z łazienki, ona była już w kuchni, nalewała kawę do poobtlukiwanego termosu, wsadzała do worka foliowego garście

solonych krakersów.

W zimnych ciemnościach obłoki białej pary buchały z rury wydechowej furgonetki marki Ford, ich upiorna siność nie całkiem zasłaniała szarą powłokę antykorozyjną podwozia. Rena Grushenka siedziała w dużym fotelu kierowcy i paliła czarnego rosyjskiego sobranie ze złotym filtrem, i popijała kawę z papierowego kubka. Z kasety lecieli Rolling Stonesi. Butami na wysokich obcasach wystukiwała rytm.

Yvonne i ja wsiadłyśmy do tyłu i zamknęłyśmy drzwi. W środku było ciemno i unosiła się woń zapleśniałych dywanów. Usiadłyśmy przyciśnięte do siebie na ławeczce z poszarpaną tapicerką. Niki jechała w kabinie. Rena ze zgrzytem wrzuciła jedynekę. — Nie ma jak precyzja — powiedziała. Niki zapaliła marlboro, zakaszła i wypluła flegmę przez okno.

— Rzuciłam palenie ze względu na dziecko, ale po co się tak męczyć — powiedziała Yvonne.

Rena wrzuciła bieg i wyjechałyśmy na pogrążoną w ciszy Ripple Street. Pomarańczowe latarnie oświetlały dzielnicę, z piekarni Dolly Madison płynęły zapachy karmelu i wanilii. Słyszałam, jak ciężarówki podjeżdżają na nabrzeże, gdy oddalałyśmy się od rzeki. Zatrąbił basowy klakson, a Rena roztrzepała swoje splątane czarne włosy. Choć była piąta rano, guziki koszuli już miała rozpięte, stanik od Fredericksa podnosił jej piersi do góry. Śpiewała razem z kasetą swym ładnym altowym głosem o tym, że jedne dziewczęta dają ci diamenty, a inne cadillaki. Imponująco naśladowała Jaggera.

Skręciliśmy w lewo we Fletcher Drive, obok warsztatu naprawczego Mazdy i Star Strip, nasza furgonetka grzechotała jak puszeki w wilgotnych ciemnościach. Przejechałyśmy pod autostradą i przecięłyśmy Riverside Drive pachnącą hamburgerami od Rock's. Skręciła w lewo koło kawiarni Astro, gdzie połowę

296parkingu zajmowały wozy policyjne. Splunęła trzy razy przez okno, gdy je mijałyśmy.

Potem zaczęłyśmy jechać pod górę, do dzielnicy wąskich ulic, domów stłoczonych ściana przy ścianie na stromych zboczach, bliźniaków obrzuconych kolorowym tynkiem i bliżej nieokreślonych pudeł, czasami w starym stylu hiszpańskim. Schody na górze, wiaty samochodowe na dole. Uklękałam pomiędzy przednimi siedzeniami, żeby się lepiej przyjrzeć. Widać było całą dolinę rzeki — reflektory samochodów na autostradzie 5. i 2.,

pogrążone we śnie wzgórza Glassell Park i Elysian Heights nakrapiane światłami. Puste działki zarośnięte dzikim koprem i paprocią, pachnące lukrecją w rosistych ciemnościach. Zapach ten mieszał się z pleśnią furgonetki i odorem resztek alkoholu. Rena wyrzuciła niedopałek przez okno.

Yvonne zapaliła światło na suficie i zaczęła przeglądać napuchnięty od wilgoci magazyn „Seventeen”. Zajrzałam jej przez ramię. Nigdy nie mogłam się nadziwić, gdzie oni znajdują tych wszystkich szczęśliwych nastolatków bez pryszczycy. Yvonne zatrzymała się przy zdjęciu dziewczyny i chłopca jadących na oklep na tłustym koniu po plaży.

— Jechałaś kiedyś na koniu?

— Nie. Byłam raz na wyścigach. — To był początek końca. Chłuba Medei pięć do jednego. Jego dłoń wokół jej kibici. — A ty?

— Jeździłam kiedyś na kucyku w Griffith Park — powiedziała Yvonne.

— Tutaj — pokazała Rena.

Szary dorn z tynkową obrzutką, czarne plastikowe worki koło kubłów na śmieci. Rena się zatrzymała, Niki wyskoczyła, rozcięła sznurek jednego z worków nożem kieszonkowym. — Ubrania. — Ona i Yvonne podały mi worki z tyłu. Były cięższe, niż myślałam, na dnie musiały być jakieś urządzenia elektryczne. Yvonne podnosiła je bez trudu, była silna jak mężczyzna. Niki wyćwiczonym ruchem wrzucała worki do furgonetki.

— Jestem taka zmęczona — powiedziała Yvonne, kiedy znów ruszyliśmy. — Nienawidzę swojego życia. — Nalała sobie

297kawy do kubka, wypila duszkiem, znowu nalała i podała mnie. Rozpuszczalna, gorąca i za mocna.

Za kierownicą Rena zaciągała się papierosem, trzymała go jak długopis.

— Mówiłam ci, żebyś rzuciła. Chcesz otruć dziecko? Krowa. Rena Grushenka. Muzyka rockowa i amerykański slang

przed dwudziestu lat, wódka Stolicznaja po okazyjnej cenie z Bargain Circus. Śledziła swymi czarnymi sroczymi oczami krawężnik, na którym stały kubły na śmieci i różnokolorowe pojemniki do utylizacji. Te oczy widziały w ciemnościach. Tego ranka nałożyła naszyjnik ze srebrnych meksykańskich paciorków.

— Hej, buraki — zawołała przez okno, kiedy przeciskałyśmy się obok zaparkowanego na drugiego starego cadillaca. Para Meksykanów wkładała do bagażnika i na tylne siedzenie worki pustych puszek i butelek. — *Dobroje utra, kułaki.* — Roześmiała się z szeroko otwartymi ustami, złote zęby połyskiwały.

Patrzyli na nas z twarzami bez wyrazu, kiedy ich mijałyśmy.

Rena śpiewała razem z Mickiem ze swym ciężkim akcentem, stukiała pierścionkiem o niebieską kierownicę, wyciągając i opuszczając szyję jak kurczak. *Zdruzgotany.* Miała głęboki głos i dobry słuch.

Niki ziewnęła i przeciągnęła się. — Muszę pojechać kiedyś do pracy po moją furgonetkę. Werner zabrał mnie wczoraj do siebie. — Uśmiechnęła się, pokazując krzywe zęby.

Rena popijała kawę z papierowego kubka. — *Knackwurst.*

— Cztery razy — powiedziała Niki. — Ledwo chodzę. Werner, podający się za niemieckiego producenta rockowego,

przychodził do Bavarian Gardens, gdzie Niki pracowała trzy wieczory w tygodniu, choć nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat. Znajomy Reny załatwił jej podrobione dokumenty.

— Trzeba było go przyprowadzić go do nas. Muszę go poznać.

— Już to widzę — odparła Niki. — Jedno spojrzenie na was i będzie spierdalał z powrotem do Frankfurtu.

— Po prostu się boisz, że zauważy, że jesteś mężczyzną — powiedziała Yvonne.

298Ich rozmowa toczyła się w ten sposób przez cały dzień, nieustająca jak fale. Oparłam się łokciami o przegrodę ze stali oksydowanej za przednimi siedzeniami. Przedemną rozciągał się collage śmieci, jak w lesie: puste opakowania po czarnych sobranie, ulotki po hiszpańsku, szczotka pełna czarnych włosów, breloczek z małą portmonetką z niebieskiej gumy, taką, co się ją ścisza po bokach i usta się otwierają. Bawiłam się nią, kazałam jej śpiewać razem z kasetą. *Zdruzgotany...*

Wschód słońca był jak blada ścierka na wschodnim horyzoncie, szarobiałe chmury przypominały pastele, a niebo było jak ściana pomalowana gąbką. Rysy krajobrazu ukształtowane przez człowieka — bocznice kolejowe, autostrada, domy i drogi —

stopniowo uciekły do tyłu i zostały tylko niebieskie wzgórza podświetlone brzaskiem, czerwone na grzbietach. Sceneria do westernu. Łatwo było sobie wyobrazić ramiona olbrzymiego kaktusa saguaro, czmychanie kojotów i lisów. Great Basin, Valley of Smoke. Wstrzymałam oddech. Szkoda, że nie może tak być zawsze: nie ma ludzi, nie ma miasta, tylko wschodzące słońce i niebieskie wzgórza.

Lecz słońce wzniosło się nad grzbiet, znowu ukazując autostradę numer 2 i 5, poranny ruch do miasta, kierowcy ciężarówek jadą do Bakersfield, myśląc o naleśnikach na śniadanie, i my w furgonetce w dzień wystawiania śmieci.

Dalej przeszukiwałyśmy miejskie odpadki, uratowałyśmy stojak na wino i dwa połamane krzesła z giętego bambusa. Zabrałyśmy aluminiowy chodzik, worek pustych butelek i pudło zatechłych książek, które zaostrzyły spleśniały zapach z tyłu. Włożyłam do kieszeni książkę o buddyzmie i jeszcze jedną zatytułowaną *Moja Antonia*.

Podobały mi się te kręte uliczki i wzgórza porośnięte bugen-willą, długie schody. Minęłyśmy dom, w którym mieszkała Anais Nin, lecz nie miałam komu go pokazać. Moja matka lubiła przejeżdżać koło domów sławnych pisarzy w LA — Henry'ego Millera, Thomasa Manna, Isherwooda, Huxleya. Pamiętałam ten konkretny widok na jezioro, chińską skrzynkę na listy. Miałyśmy wszystkie jej książki. Podobały mi się tytuły: *Drabiny do ognia*,

299Dom kazirodztwa, i jej twarz na okładkach, sztuczne rzęsy, bajkowe włosy, ciemne i kręcone. Pamiętałam jej zdjęcie z głową w klatce dla ptaków. Ale nie został nikt, kogo by to obchodziło.

Zatrzymałyśmy się, żeby kupić pączki, płosząc zgromadzenie parkingowych gołębi, które wzbily się do góry wielkim, migoczącym kołem ciemnych i jasnych szarości, zabrały na skrzydłach odstałe poranne słońce, z powietrza zdążyła już się ulotnić świeżość. Dziewczyna za ladą ścierała senność z oczu, kiedy Rena, Niki i ja weszłyśmy do cukierni. Rena pochyliliła się nad szklaną gablotą, z premedytacją urządzając pokaz biustu i tyłka dla bezdomnych i umysłowo chorych z pobliskiego domu opieki, okrutnie świecąc im przed oczami tym, czego nie mogli mieć. Przypomniało mi się, jak lump wachał włosy Claire. Zamówiłyśmy pączki, z galaretką i z budyniem, lukrowane. Rena kazała sobie nalać kawy do swojego kubka.

Na zewnątrz jakiś mężczyzna kuczał koło drzwi, trzymał w rękach tacę z

biedronkami w plastikowym pojemniczku.

— Biedronki — zachęcał śpiewnie. — Bieeedronki.

Był niski, żyłasty, w nieokreślonym wieku, twarz spracowana, czarna broda, długi kucyk przetykany siwizną. W przeciwieństwie do większości lumpów nie sprawiał wrażenia pijanego ani niepoczytalnego.

Rena i Niki zignorowały go, lecz ja przystanąłam, żeby popatrzeć na czerwone plamki spacerujące wewnątrz pojemniczka. Co to szkodzi być uprzejmą? Poza tym nigdy nie widziałam nikogo, kto by się zajmował zawodowo sprzedażą biedronek.

— Jedzą mszyce w ogrodzie — powiedział.

— Ja nie mam ogrodu.

Uśmiechnął się. Zęby miał szare, lecz nie zepsute. — Nie szkodzi. Weź sobie jedno. Przynoszą szczęście.

Zapłaciłam mu dolara, a on dał mi biedronki w plastikowym pudełku z pokrywką.

W furgonetce siedzieliśmy nad naszym smażonym ciastem i kofeiną. Okruchy lukru spadały nam na ubranie. W domu przy Ripple Street najgorsze było jedzenie. Co wieczór brałyśmy coś

300na wynos. U Reny nikt nie gotował. Nie miała nawet książki kucharskiej. Jej sfatygowane garnki odzyskane ze śmieci pokryły się rdzą. Cztery kobiety w jednym domu i żadna nie umiała nic ugotować, żadnej się nie chciało. Dzwoniłyśmy do tajskiej knajpy. Jak na ludzi, którzy się zatrzymują, żeby zabrać puste puszki po piwie, to strasznie przepieprzałyśmy pieniądze.

Kiedy przejechałyśmy na drugą stronę jeziora, odwróciłam plastikowy pojemniczek i patrzyłam, jak biedronki biegają, żeby nie musieć chodzić do góry nogami. Były sprawniejsze, niż się spodziewałam. Złapane tego ranka. Wyobraziłam sobie cierpliwe niebieskie oczy biedronkowca szukające czerwonych kropek w zroszonym koprze.

„Wypuść ją — powiedziała Claire. — Popatrz, ile ma w sobie życia”.

„Kiedy biedronki przynoszą szczęście”* — powiedział biedronko wiec.

Pomiędzy przednimi siedzeniami widziałam duże jezioro między wzgórzami, odbijające bezchmurne niebo. Widok przypominał mi okolice Szwajcarii, w której

byłyśmy z matką. Góra opadała prosto do jeziora, na zboczu miasto. Kamelie, wysokie, wąskie okiennice, zaczął padać śnieg, kiedy jadłyśmy lunch. Śnieg na różowych kameliach.

Byłyśmy teraz po dobrej stronie jeziora. Patrzyłyśmy tęsknie na duże domy, styl hiszpański, Cape Cod, nowoorleański, o poranku nasyconym słodkim, chlebowym zapachem ceratomy. Wyobrażałyśmy sobie, jakby to było należeć do tego świata.

— Ten jest mój — powiedziała Yvonne, wskazując na dom w stylu Tudorów z ceglany podjazdem. Niki wybrała nowoczesny, cały ze szkła, widać było żyrandole z lat pięćdziesiątych pod sufitem, mobil Caldera*. — Nie chcę w moim domu żadnych rupieci — rzekła. — Pusto, tylko chrom i czarna skóra.

Wspinałyśmy się zygzakami na wzgórze, minęłyśmy dom,

* Alexander Calder (1898-1976) — rzeźbiarz tworzący napędzane silnikami konstrukcje zwane mobilami.

301w którym ktoś ćwiczył grę na fortepianie przed pójściem do pracy. Był to budynek w stylu hiszpańskim, z białymi dachówkami i dębem w maleńkim ogródku z przodu za żeliwnym ogrodzeniem. Wyglądał tak bezpiecznie, sprawiał wrażenie, że potrafi zatrzymać w sobie piękno, jak staw połyskujący pstrągami.

Rena zauważyła, że na niego patrzę. — Myślisz, że u nich nie są problemy?— powiedziała Rena.—U wszystkich są problemy. Ty masz mnie, oni mają ubezpieczenie, spłaty domu, here. — Uśmiechnęła się, pokazując szparę między dwoma górnymi zębami. — My jesteśmy wolne ptaki. Oni chcą być jak my.

Zatrzymałyśmy się przed domem usadowionym na wierzchołku wzgórza, na krawężniku leżały wyrzucone rzeczy. Wskoczyłam, wzięłam płotek uniemożliwiający dziecku wejście na schody, krzesło z wysokim oparciem i tapicerką poplamioną jedzeniem, kojec i siodelko samochodowe. Oczy Yvonne pociemniały, kiedy zobaczyła, co jej podaję. Jej rumieniec przepłynął w beż, zacisnęła usta. Złapała za krzesło i rzuciła nim o podłogę furgonetki, brutalniej, niż było potrzeba.

Skuliła się na ławeczce, gdy ruszyłyśmy dalej, podniosła swoje „Seventeen” i przewracała kartki, ręce jej drżały. Zamknęła czasopismo i wpatrywała się w dziewczynę na okładce, dziewczynę, która nigdy nie miała opiekunki z ośrodka ani plombowanego

zęba. Yvonne głaskała wodnofalistą okładkę. Widziałam, że chce wiedzieć to, co wie ta dziewczyna, czuć to samo co ona, być tak samo piękna, pożądana, pewna siebie. Jak ludzie dotykający posągu świętego.

— Myślisz, że dobrze by mi było z blond włosami? — Yvonne przysunęła sobie okładkę bliżej oczu.

— Mnie to nigdy nie wyszło na dobre — odparłam, obracając biodronkami, zmuszając je do biegu.

Zobaczyłam Claire nad brzegiem MacKenzie, jak błaga mnie, żebym wypuściła rybę. Przynajmniej na tyle mogę się zdobyć. Sama muszę sobie przynieść szczęście. Pochyliłam się za plecami Niki i otworzyłam plastikowy pojemniczek na wiatr.

302 Była za piętnaście ósma, kiedy zajechałyśmy pod Marshall High School. Moja siódma szkoła w ciągu pięciu lat. Budynek od frontu miał fasadę z cegieł poukładanych w skomplikowane wzory, ale po obu stronach stały tymczasowe przyczepy mieszkalne. Yvonne spuściła wzrok na czasopismo, zawstydzona. Tej zimy przestała chodzić do szkoły.

— Hej — zawołała do mnie Rena, kiedy wysiadłam z furgonetki. Pochyliła się przez Niki i podała mi dwa banknoty. — Bez pieniędzy nie poradzisz.

Wzięłam pieniądze i pomyślałam o Amelii, kiedy chowałam je do kieszeni. — Dzięki.

Niki prychnęła ironicznie na widok nastolatków siedzących na murku i dopalających papierosy przed lekcjami. — Szkoła jest do dupy. Czemu tego nie pieprzniesz? Renie i tak nie zależy.

Wzruszyłam ramionami. — Został mi już tylko jeden semestr. — Ale prawda była inna: bałam się mieć w życiu jedną rzecz mniej.

24

Usiadłam na łóżku o pierwszej w nocy, z wacikami w uszach, próbując nie rozczulać się nad sobą. W końcu sama to sobie wybrałam. Zasłużyłam na taki los. Zasłużyłam na Renę i jej kompani śpiewające razem z The Who jak chór kotów. Właśnie z tego powodu Rena lubiła mieszkać między tymi hydraulikami, piekarniami i zakładami blacharskimi: można było robić tyle hałasu, ile kto chciał. Przy Ripple Street królował

rock and roli. Niki śpiewała z trzema różnymi zespołami, a do osobistej składanki Reny wchodził cały klasyczny rok z lat siedemdziesiątych, który po raz pierwszy usłyszała z czarnorynkowych kaset w Mag-nitogorsku. Próbowałam sobie przypomnieć melodie Debussy'e-go, gamelan, Milesa Davisa, ale bas The Who dosłownie wybił mi je z głowy.

303Rock był dla mnie tym samym, co pozbawiony twarzy seks w świecie należącym do mężczyzn opartych o betonowy mur za toaletami. Dajcie mi poemat dźwiękowy Satiego, podobny do światła na stogu siana Moneta, albo brazylijską Astrid, podobną do kreski Matisse'a. Pozwólcie mi się położyć pokoju z przymkniętymi okiennicami na południu Francji z Matisse'em i miękkim trzepotem białych gołębi, ich łagodnymi wołaniami. Zostało już niewiele czasu, Henri, zanim przyjdzie Picasso w swych wielkich butach. Trzeba wykorzystać popołudnie.

Brakowało mi piękna. Nocy w Tujungu ze zbyt licznymi gwiazdami, szyi Claire, gdy pochylała się nade mną, sprawdzając moje zadanie domowe. Mojej matki, pływającej pod wodą w hollywoodzkim basenie, melodii jej słów. Wszystko to zniknęło z mojego życia, które było takie, jakie było. „Człowiek jest skazany na samotność, musisz się do niej przyzwyczaić”.

Usiadłam na łóżku z deską do rysowania na kolanach i wzdłuż błękitnej linii pasteli olejnej na fiołkowym papierze pociągnęłam szmerzącą srebrną kreskę. Rysowałam łódź, ciemną kanadyjkę, na brzegu bezksiężycowego morza, ciemnego jak zapomnienie. W łodzi nie było nikogo, nie miała wiosł, nie miała żagla. Skojarzyła mi się z opowieściami mojej matki o wikingach, którzy wyprawiali swoich zmarłych w morze na łodziach.

Chuchnęłam w dłonie, potarłam je o siebie. Piec nie działał, Rena wciąż go nie naprawiła. Cały czas chodziliśmy w swetrach.

— Zimno? — powiedziała. — W Kalifornii? Ty żartujesz. — Nie czuły zimna, kiedy ryczały teksty piosenek, zapijając Koniakiem Myśliwego, jakimś wysokoprocentowym rosyjskim specjałem, który smakował jak wódka na gwoździach.

Rozejrzałam się po ciasnym, napchanym rzeczami pokoju, który przypominał magazyn organizacji charytatywnej. Wyobraziłam sobie, co by powiedziała moja matka, gdyby zobaczyła, kim teraz jestem, jej płomienna mała artystka. Jeszcze jednym towarem w sklepie ze starzyzną Reny. Podoba ci się ta lampa z podstawką z zielonego szkła? Ile za

nią dasz? A może ten obraz olejny pucułowanej chłopki w pomarańczowej chustce? Dla ciebie, dzie-

304sieć dolarów. Bukiet kwiatów z paciorków? Porozmawiaj z Reną, sprzeda ci go za siedem pięćdziesiąt. Miałyśmy mechaty orientalny dywanik, stół z litego dębu, wystarczyło podłożyć papier pod jedną nogę, żeby się nie chwiały, plus pięć nie pasujących do niego krzesel, oferta dnia. Miałyśmy olbrzymi polinezyjski zestaw sałatkowy i kompletną *Encyclopedia Britannica* z 1962 roku. Miałyśmy trzy skudłone białe koty, wszędzie pełno kocich włosów, kocich smrodów. Miałyśmy staroświecką szafkę na wieżę z drewna czereśni i stertę płyt z lat siedemdziesiątych, wyższą niż buty na platformach.

A nasze ubrania, mam, jak ci się podobają nasze ubrania? Bluzki z poliestru, fioletowe, obcisłe w biodrach spodnie do kolan, żółte koszule z przemysłowymi zamkami. Ubrania przerzucane z szafy do szafy, aż się nimi znudziłyśmy, wtedy je sprzedawałyśmy i kupowałyśmy coś innego. Nie poznałabyś dziewczyny, w którą się zamieniłam. Włosy mi odrosły, znalazłam okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie Onassis i cały czas je noszę.

Nie mam już swoich ubrań, ciuchów bogatej sieroty od Freda Segala i Barney's New York. Rena kazała mi je sprzedać. Jestem pewna, że byś ją w tym poparła. Rozładowałyśmy samochód na parkingu Natalia's Nails którejś soboty. Ustawiałam kubki do kawy, kiedy zobaczyłam, że Rena wyciąga moje ubrania z czarnego worka na śmieci. Mój tweedowy żakiet w kolorze błękitu paryskiego, moja sukienka bez pleców od Betsy Johnson, moja pidżama od Carole Lomnard. Wieszala je na ruchomym wieszaku.

Zdjęłam je z wieszaka, stałam rozdygotana. Przegrzebała moje szuflady, moją szafę. — To jest moje.

Rena zignorowała mnie, rozprostowała bordowo-szarą długą spódnicę, przypięła do wieszaka. — Po co potrzebujesz? Żebyś była elegancka w Marshall High School? A może w Tiny Thai albo Trader Joe? Może w Mel rose Place musisz być gwiazda? — Pochyliła się i wzięła naręczę moich podkoszulków od Freda Segala, podała mi. — Masz. — Na wierzchu położyła rolkę taśmy klejącej i pisak. — Ty zrób cenę, zatrzymaj pieniądze, *ładno?* — Dalej wyciągała moje rzeczy z plastikowych worków na śmieci,

305rozwieszala je. Gołąbkowe spodnie z podwyższoną talią plus żakiet w stylu edwardiańskim z węglowocznym aksamitnym kołnierzykiem. Biała koszula z

marszczonym przodem. Sukienka od Jessiki McClintock z białym koronkowym kołnierzem.

— Tę nie — powiedziałam. — Proszę cię, nie bądź bez serca. Rena spojrzała na mnie kątem oka poirytowana, zdmuchując

sobie z twarzy pasmo matowych czarnych włosów. — Będzie dobra cena. Na co ją trzymasz, na podwieczorek z carewiczem Aleksiejem? Zastrzelili go w 1919. — Wyjęła sukienkę z worka, rozprostowała i powiesiła do góry nogami. — Taki jest fakt.

Stałam obok z naręczem jedwabistych podkoszulków. Egipska bawełna. Kwaśne obciążki trzymały mnie za gardło, wyciskając je jak cytrynę. Nie zmusi mnie do tego, żebym sprzedała moje ubrania. Wiedźma.

Nie mogłam się jednak powstrzymać od myśli, że ona ma rację, na co je trzymam? Kiedy znowu będę miała okazję włożyć sukienkę od Jessiki McClintock za dwieście dolarów? To była pieczona gęś z orzechowym sosem, Puccini w filharmonii, złote brzeżki na chińskiej porcelanie. Spojrzałam na Renę: błyszcząca czerwona bluzka rozpięta do trzeciego guzika, wysokie obcasy i dżinsy. Niki, ustawiająca sprzęty kuchenne: karmazynowe włosy i czarny poliester. Yvonne, okrągła jak arbuz w purpurowej sukience jak dla lalek, z wzorem w zawijasy w stylu z lat sześćdziesiątych, smętnie ustawia meble dziecięce, sadza zniszczonego misia pluszowego na wysokim krzeselku.

Dlaczego wszyscy tak łatwo z wszystkim się rozstają? Nigdy nie wierzyłaś w sentymenty, ocaliłaś tylko własne słowa, jedno zdjęcie mojej babki i jedno twojej krowy laureatki. Tylko Claire nie rozstawiała się ze wspomnieniami. Traktowała je jak prezenty.

— Dostałam ją od kogoś — powiedziałam w końcu do Reny.

— I co? — Rena podniosła wzrok znad wieszaków. — Masz szczęście, ktoś ci dał, teraz sprzedasz, zarobisz.

Dalej stałam naburmuszona z naręczem podkoszulków.

— Chcesz auto? Studia sztuki? Myślisz, że nie wiem? Jak myślisz, z czego pieniądze? Jest sukienka. Ładna sukienka. Ktoś

306dał. Ale pieniądze są... — Przerwała, szukając słów, które by wyraziły, czym są pieniądze. Wreszcie uniosła ramiona do góry.

— Pieniądze. Chcesz tylko pamiętać, to pamiętaj.

Zrobiłam to więc. Zaznaczyłam cenę na moim śnie z karmazy-nowego aksamitu. Dałam wysoką cenę, mając nadzieję, że nikt nie kupi sukienki. Na wszystko dałam wysoką cenę. Sprzedały się jednak. Kiedy słońce zaczęło mocno grzać, ci, co się ostro targowali, poszli sobie, a przyszły pary, leniwie, pod ramię, starzy ludzie na spacerze, młodzi ludzie. Podkoszulki, spodnie, żakiety

— wszystko zostało kupione. Jednak karmazynowa sukienka po południu wciąż nie była sprzedana. Ludzie ciągle pytali Renę, czy naprawdę kosztuje sto dolarów.

— Jak ona mówi — odpowiadała Rena, sugerując, że nie ma na to wpływu.

— To od Jessiki McClintock — broniłam się. — Nigdy nie była noszona. — Błąd wynikający z przewidywania, że będzie jakaś przyszłość, że sen nigdy się nie skończy.

Wciąż pamiętałam, jak w niej wyglądałam w przymierzalni sklepu w Beverly Hills. Wyglądałam niewinnie, jak czyjaś córka, czyjaś prawdziwa córka. Dziewczyna, na której komuś zależy. Dziewczyna w tej sukience nie była dziewczyną, której lunch składa się z piwa i papierosa, która rozkracza się dla ojca na podłodze nie wykończonego domu. To nie była sukienka, która umiałaby zarobić na życie, gdyby musiała, to nie była sukienka, która musiałaby się martwić o zęby i czy matka wróci do domu. Kiedy pokazałam się w niej Claire, kazała mi się obrócić jak balerina na pozytywce, położyła sobie dłonie na ustach, duma płynęła z niej jak łzy. Claire wierzyła, że jestem tą dziewczyną. Ja też na chwilę uwierzyłam.

Przez cały dzień pomagałam im przymierzać, wciągałam satynową podszewkę na ich spocone ramiona, zasuwałam zamek tak wysoko, jak się dało. Kiedy przymierzyła ją piąta z kolei kobieta, przestałam się tak bardzo przejmować. Około trzeciej przyszła grupa dziewcząt i jedna z nich cały czas patrzyła na czerwoną sukienkę, dotykała jej. — Mogę przymierzyć?

307Zdjęłam folię, włożyłam jej sukienkę przez głowę, przez puszyste włosy, podciągnęłam zamek do góry, gdy ona przytrzymała ciemny kucyk. Wyglądała na niej idealnie. Dużo lepiej niż na mnie. Nigdy wcześniej nie widziałam tej dziewczyny. Nie chodziła do Marshall, tylko przypuszczalnie do sercanek albo do szkoły francuskiej. Dziewczyna, na której komuś zależy, czyjaś córka. Zarezerwowałam dla niej sukienkę, gdy szła do budki zadzwonić po matkę. Piętnaście minut później atrakcyjna starsza kobieta przyjechała maślanożółtym mercedesem, w czarnych lnianych spodniach i

zamszowych mokasynach ze sprzączkami. Znów pomogłam dziewczynie nałożyć sukienkę, a potem kobieta dała mi sto dolarów, jeden szeleszczący banknot. Wybierały się na ślub kuzynki do Nowego Jorku. Sukienka doskonale się nada, powiedziała matka. Widziałam po jej minie, że dokładnie wie, ile warta jest ta sukienka.

Handlowałyśmy do piątej, a potem zaczęłyśmy się zwijać, ładować rzeczy do furgonetki i pikapa Niki. Wszystkie moje rzeczy się sprzedały. Usiadłam na zderzaku furgonetki i przeliczyłam pieniądze. Zarobiłam ponad czterysta dolarów.

— Widzisz, nie tak źle — powiedziała Rena, przytrzymując na biodrze pudło z talerzami. — Ile masz?

Wymamrotałam sumę, zawstydzona, ale również trochę dumna. Były to moje pierwsze zarobione pieniądze.

— Dobrze. Daj mi sto. — Wyciągnęła rękę.

— Za co?

Strzeliła z palców, znów wyciągnęła rękę.

— Nie ma mowy. — Schowałam pieniądze za plecami.

Jej czarne oczy zaiskrzyły wściekłością. — Co myślisz, że sama sprzedajesz na rogu ulicy? Ty płacisz mnie Ja płacę Natalii, Natalia płaci właścicielowi, co myślisz? Wszyscy płacą wszystkim.

— Powiedziałaś, że mogę zatrzymać pieniądze.

— Minus to, co zapłacisz mnie.

— Nie wygłupiaj się — powiedziała Niki, która układała tanie ubrania na kocu. — Zapłać jej. Musisz.

Pokręciłam głową.

308Rena przerzuciła sobie pudło na drugie biodro i powiedziała ostrym głosem: — Posłuchaj mnie, *diwoczka*. Ja płacę, ty płacisz. Jak w interesach. Kiedy ostatni raz miałaś w ręce trzysta dolarów? Więc gdzie ci krzywdę zrobiłam?

Jak miałam jej to powiedzieć? A moje uczucia, chciałam powiedzieć, tyle że nie było sensu. Dla niej wszystko sprowadzało się do pieniędzy, ważne było tylko to, co dało się przehandlować. Ukradła mi coś, a nawet zmusiła mnie, żebym to za nią sprzedała. Co byś zrobiła na moim miejscu, mamó? Nic byś nie zrobiła, bo nie potrafię sobie ciebie

wyobrazić na łasce Reny Grushenki, na parkingu Natalia's Nails, sprzedającej swoje ubrania, płaczącej po sukience. Nie widziałam innego wyjścia, więc podałam jej setkę, banknot, który dostałam za czerwoną sukienkę, a ona wzięła go ode mnie szybko jak psu z pyska.

Lecz kiedy siedziałam na łóżku, słuchając hałasów, śmiechów i od czasu do czasu huków z salonu, pomyślałam, że nawet ty musisz teraz komuś płacić, za trawkę, atrament, dobre tampony, nici do czyszczenia zębów i witaminę C. Ty jednak umiałabyś dorobić do tego jakąś teorię, filozofię. Żeby to wyglądało szlachetnie, heroicznie. Napisałabyś o tym wiersz, *Czerwona sukienka*. Ja tego nie potrafię.

W salonie któraś z nich puściła starą płytę Zeppelinów. Słyszałam, jak śpiewają ze swymi ciężkimi akcentami, wizg gitary Jimmy'ego Page'a. Była czwarta rano, czułam zapach stopionego wosku, który skąpy wał na stoły i parapety, tworząc wielkie kałuże. Nie potrzebowałam książki Claire o odczytywaniu wróżb z wosku, żeby wiedzieć, co tam jest napisane: pożar domu. Dlatego spałam w ubraniu, trzymałam buty koło łóżka, pieniądze w portfelu, najważniejsze rzeczy w torbie pod oknem.

Mogłyby się trochę przespać, przecież jutro jedziemy na pchli targ przy Fairfax High School, żeby sprzedać murzyńskie statuetki z kapsli do butelek, tace pomalowane w botaniczne koszmary, nie noszone ubranka dziecięce i wszystkie zatechłe „Reader's Digest”. Wiedziałam jednak, że nie będą spały aż do poniedziałku.

Przewróciłam kartkę, zaczęłam malować następną kanadyjkę.

309Srebrną na czarnym tle. Drzwi się otworzyły, chwiejnym krokiem wszedł znajomy Reny, Misha, udawał, że gra na gitarze razem z Jimmym, usta miał pulchne i czerwone jak gigantyczne niemowlę. Mamrotał, ślinił się. — Przyszedłem cię zobaczyć, *liubo-wa maja. Krasiwaja dama*.

— Idź stąd, Misha.

Zatoczył się w stronę mojego łóżka, usiadł obok mnie. — Nie bądź okrutna — zaśpiewał jak Elvis, pochylił się ku mnie i obślinił mi szyję.

— Zostaw mnie. — Próbowałam zepchnąć go z łóżka, ale był zbyt duży i zbyt rozlazły, nie mogłam znaleźć na nim solidnego punktu oparcia.

— Nie bój się — powiedział. — Nic ci nie zrobię. — Leżał na łóżku obok mnie, jak

plama na pościeli. Cuchnące miazmaty alkoholu przypomniały mi, że istnieją węże, które paraliżują swe ofiary oddechem. — Tylko jestem taki samotny.

Zawołałam o pomoc, ale muzyka grała tak głośno, że nie usłyszały mnie. Misha był ciężki, oparł głowę na moim ramieniu, zaplawał mi szyję. Jego łzawe niebieskie oczy tak blisko moich, ciężkie ramię obejmujące mnie w talii.

Uderzyłam go, ale nic to nie pomogło, był za bardzo pijany, moja pięść odbiła się od niego, nic nie poczuł. — Puść mnie, Misha.

— Jesteś taka piękna — powiedział, próbując mnie pocałować. Śmierdziało od niego wódką i czymś tłustym, ktoś musiał kupić kubełek kurczaków.

Nóż trzymałam pod poduszką. Nie chciałam zranić nim Mishy, to był w końcu znajomy. Słuchałam, jak gra na gitarze. Miał psa, któremu dał na imię Czarnobyl, chciał się przenieść do Chicago i zostać gitarzystą bluesowym, tylko że nie lubił zimnej pogody. Rena ostrzygła go, z przodu wyszło jej trochę krzywo. Nie był złym człowiekiem, ale całował moje zamknięte usta, jedną ręką macał pod kocem, chociaż byłam w ubraniu. Jego błędząca dłoń natrafiła tylko na przedpotopowy poliester.

— Kochaj mnie trochę — błagał mnie do ucha. — Kochaj mnie, *diewoczka*, bo i tak wszyscy umrzemy.

310Wreszcie podniosłam kolano do góry i kiedy się przesunął, uderzyłam go deską do rysowania i zeskoczyłam z łóżka.

W salonie zostało kilka osób, większość gości już poszła. Natalia tańczyła sama przed wieżą, w jednej ręce trzymała za szyjkę butelkę stolicznej. Georgi leżał nieprzytomny w czarnym fotelu, głowę miał opartą o mechaty podłokietnik, na jego kolanach leżał zwinięty w kłębek biały kot. Trzcinowe krzesło było przewrócone, wielka popielniczka leżała na podłodze zawartością w dół. Na sfatygowanym skórzanym blacie stolika do kawy połyskiwała kałuża czegoś.

Rena i jej chłopak Sergei leżeli na kanapie z zieloną aksamitną tapicerką, on obsługiwał ją palcami. Miała na sobie buty, spódnicę. On miał rozpiętą koszulę, widać było medalion na łańcuszku. Nie wiedziałam, czy powinnam się odezwać, ale w końcu Misha był jej znajomym. Ponosiła za niego odpowiedzialność.

— Rena, Misha próbował wejść mi do łóżka.

Czworo zapijaczonych oczu patrzyło na mnie, dwoje czarnych, dwoje niebieskich. Minęła chwila, zanim złapały ostrość. Sergei szepnął coś do niej po rosyjsku, rozśmieszając ją.

— Misha nic ci nie zrobi. Walnij go czymś w głowę — powiedziała Rena.

Sergei patrzył na mnie, kiedy miesił jej udo, gryzł ją w szyję. Wyglądał jak biały tygrys pożerający ofiarę.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, Misha był nieprzytomny. W miejscu na głowie, w które go uderzyłam, miał krwawiące rozcięcie. Chrapał, przytulony do poduszki, jakbym to była ja. Widać było, że nieprędko się obudzi. Położyłam się do łóżka Yvonne, która poszła z kimś koło jedenastej na imprezę po drugiej stronie rzeki. O piątej muzyka ucichła i przez parę godzin spałam niespokojnym snem, śniły mi się zwierzęta grzebiące w śmieciach. Obudził mnie mężczyzna, który sikał w łazience po drugiej stronie korytarza, nie zamknąwszy za sobą drzwi, trwało to chyba z pięć minut. Nie spuścił wody. Potem zagrała muzyka, znowu The Who. „Kim jesteś?” — śpiewał zespół. Próbowałam sobie przypomnieć, ale nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie.

31125

Siedziałyśmy w kuchni w ponurą sobotę, szyjąc skórzane torebki na kryształach górskich. Był to najnowszy pomysł Reny na zarabianie pieniędzy. Niki puszczała taśmy demo różnych zespołów, które wynalazł Werner, ale wszystkie brzmiały tak samo, chudy biały nastolatek wykrzykuje swój protest, gitara rzezi spazmatycznie. Niki szukała nowego zespołu, w którym mogłaby śpiewać. — Ci są w porządku, nie uważacie? Kurwa! — Wbiła sobie igłę w palec, wsadziła do przycernionych szminką ust. — Z tego szycia gównu przyjdzie. Co ona, kurwa, myśli, że jesteśmy niewolnice?

Podczas pracy paliłyśmy hasz spod kieliszka. Zaczekałam, aż kieliszek na whisky, który Niki ukradła z Bavarian Gardens (z boku miał nadrukowanego małego Jasia Wędrowniczka), wypełni się dymem. Przystawiłam usta, uniosłam brzeg kieliszka i wciągnęłam do płuc gęste opary haszu. Yvonne nie paliła, powiedziała, że to szkodzi dziecku.

— Co to za różnica? — spytała Niki, nakładając sobie na szpilkę trochę haszu. — Przecież nie zamierzasz go zatrzymać.

Ściągnęła w dół kąciki ust. — Skoro tak myślisz, to nie chcę, żebyś ze mną chodziła na szkołę rodzenia — powiedziała Yvonne. — Astrid mnie zabierze.

Zaczęłam kaszleć. Próbowałam zagrać Mammy ze sceny z rodzeniem w *Przeminęło z wiatrem*. — Ja tam się nie wyznaję na odbieraniu dzieci. — Miałam jednak do tego za niski głos. Pomyślałam o Michael u, on zawsze naśladował Mammy lepiej ode mnie.

— Przynajmniej nie masz złych myśli — powiedziała Yvonne. Poród. Przeszedł mnie dreszcz. — Nawet nie mam jeszcze osiemnastu lat.

— Nie szkodzi, tam nie podają alkoholu — powiedziała Niki, rzucając skończoną torebkę na stos. Wzięła następną, gotową do zszywania.

Zaćpana, ostrzem Olfy wycięłam w kawałku skóry motyw wzno-
312szącego się dymu. Byłam w tym dobra, lepsza niż kiedyś moja matka. Umiałam narysować wronę, kota. Kota trzema cięciami. Narysowałam niemowlę z loczkiem na czole i rzuciłam Yvonne.

Za naszymi plecami drzwi otworzyły się z hukiem, wpuszczając podmuch zimnego powietrza. Rena weszła z rolką ciemnozielonego zamszu pod pachą. — Georgi mi sprzedał całe za lampę — powiedziała z dumą. — Ładny, nie? — Potem jej wzrok spoczął na mnie wycinającej rysunki na skórze. — Zwariowała żeś? — Wyrwała mi z ręki irchę, stuknęła mnie w tył głowy nasadą dłoni. — Ćpunka jedna głupia. Ty myślisz, że to tanie? — Potem zobaczyła rysunek i zmarszczyła czoło, wyduła dolną wargę. Podniosła kawałek skóry pod światło. — Nieźle. — Odrzuciła mi go z powrotem. — Pójdzie, ja myślę. Zrób wszystkie torebki. Zarobimy na tym pieniądze.

Kiwnęłam głową. Wszystko, co zarobiłam, przepuszczałam na farby, jedzenie i ćpanie z Niki. Studia już się rozwiały, znikły jak statek we mgle. Kiedyś moje życie jawiło mi się jako seria szkiców ołówkiem Kandinskiego. Wzięte każdy z osobna nie mają sensu, ale razem zaczną się układać w wysmakowaną kompozycję. Kiedy mieszkałam u Claire, wydawało mi się, że dostrzegam w nich kształt przyszłości. Teraz jednak straciłam zbyt wiele elementów. Znów stały się garścią igieł leżących na ziemi w lesie, nie do odcyfrowania.

Wszedł Sergei z plastikową torbą, policzki jego przystojnej, szerokiej, niekalifornijskiej twarzy były zaróżowione. Wyjął dwie butelki wódki, włożył jedną do zamrażalnika, drugą postawił na blacie i wyjął z szafki dwie zielone szklanki. Wciągnął powietrze przez nos. — Mmm, kolacja.

— Niby kto cię zaprasza? — powiedziała Rena, która usiadła na blacie i otworzyła wódkę. Nalała na trzy palce do każdej szklanki.

— O, te dziewczęta by nie zagłodziły Sergeia — powiedział. Otworzył piekarnik, zajrzał do bąbelkującego dania, które przy-gotowywałam dla Yvonne, zapiekanki brokułowo-serowej, żeby miała dużo energii dla dziecka. Z osłupieniem patrzyła, jak gro-
313madzę składniki, nie zdawała sobie sprawy, że można gotować bez pudełka ze sposobem przyrządzania. Sergei kąpał twarz w zapachu i ciepłe piekarnika.

Wycięłam tygrysa w kawałku skóry, myśląc sobie, nie zapominaj, że Sergei to tylko Rena z lepszą fasadą. Przystojny jak Kozak, mleczny słowiański blondyn z ospałymi niebieskimi oczami, które wychwytywały każdy ruch. Z zawodu złodziej. Rena czasami robiła dla niego za pasera: ciężarówka skórzanych sof, wieszaki płaszczy kobiecych, transport wypchanych zwierząt z Singapuru, niewielkie urządzenia elektryczne z Izraela. W naszym domu był nieustannym faktem seksualnym. Nie zamykał drzwi do łazienki, kiedy się golił nagi, każdego ranka robił sto pompek, jego mlecznobiała skóra pożyłkowana na niebiesko. Kiedy widział, że ktoś na niego patrzy, klaskał w dłonie, żeby się popisać. Te szerokie ramiona, zgrabna talia. Zawsze kiedy Sergei był w pokoju, nie wiedziałam, co zrobić z rękami, z ustami.

Patrzyłam na Yvonne, która siedziała po drugiej stronie stołu pochylona nad stertami małych torebek i kawałków skóry, szyła, cierpliwa jak dziewczyna z bajki. Każda inna dziewczyna szyłaby żabot do sukienki na studniówkę albo szydełkowała buciki dla dziecka. Miałam wyrzuty sumienia, że wcześniej się z niej naśmiewałam. — Jasne, że pójde z tobą do szkoły rodzenia — powiedziałam. — Jeśli uważasz, że ci się na coś przydam.

Uśmiechnęła się, nie podnosząc głowy. Nie lubiła pokazywać swych zepsutych zębów. — To nic trudnego. Ja odwalam całą robotę, a ty musisz tylko trzymać ręcznik.

— Banda piłek plażowych jeszcze bardziej się nadmuchuje. Można pęknąć ze śmiechu — powiedziała Niki. Odłamała kolejną porcję haszu, położyła na szpilce. Kiedy

się zaciągnęła, dostała gorszego ataku kaszlu niż ja.

— Nic dla mnie? — spytał Sergei, pokazując na kieliszek.

— Odpieprz się, Sergei — powiedziała Niki. — Kiedy nam kupiłeś haszu?

Ale dała mu trochę, a ja starałam się nie zwracać uwagi na to, jak na mnie patrzył, kiedy się pochylił, żeby przyłożyć usta

314w miejscu, w którym przed chwilą były moje. Czułam jednak, że twarz mi płonie aż po cebulki włosów.

Jedliśmy wszyscy prócz Reny, która paliła i piła wódkę. Kiedy wyszła na chwilę z pokoju, Sergei pochylił się, splótłszy przed sobą duże białe dłonie. — To kiedy się kochamy, *diewoczkal*

— Ty obleśniku — powiedziała Niki, celując w niego widelcem. — Powinnam powiedzieć Renie.

— Poza tym Astrid ma chłopaka — powiedziała Yvonne. — Artystę. Mieszka w Nowym Jorku.

Opowiedziałam jej wszystko o Paulu Troucie. W końcu odebrałam listy od niego z Yellow Brick Road w Hollywood, tej samej ulicy, przy której groziłam nożem kobiecie biorącej mnie za Wendy. Niki zabrała mnie tam po szkole, po drodze na spotkanie z jakimiś chłopakami, którzy potrzebowali wokalistki. Miałam wyrzuty sumienia, że do niego wcześniej nie napisałam, myślałam o tym wiele razy, ale się bałam. Istniało prawdopodobieństwo, że poszedł, nie oglądając się za siebie. Po drodze do Hollywood patrzyłam nerwowo na kopertę z napisem PRZEKAZAĆ PAULOWI TROUTOWI. Zawarta w tym nadzieja. Już samo to było błędem. Pomyślałam o znienawidzonej przeze mnie piosence, którą puszczała Rena: *Kochaj tego, z kim jesteś*. Życie ciągle narzucało mi tę melodię, a jednak proszę, nadzieja trzepocze mi w dłoni jak ptak.

Księgarnia była mała, jeszcze bardziej zatłoczona niż dom Reny. Wszędzie komiksy. Niki i ja szłyśmy wzdłuż półek, oglądałyśmy, kartkowałyśmy. Niektóre komiksy były na wesoło, na przykład *Zippy the Pinhead* czy stary *Mr. Natural*. Inne były mroczne i ekspresjonistyczne, Sam Spade plus Murnau. Na niektórych półkach leżały drukowane własnym sumptem czasopisma z mnóstwem fatalnej poezji. Komiksy po japońsku, w tym wiele pornograficznych. Ironiczne historie o karierowiczkach i supermodelkach

narysowane w stylu popartu Lichtensteina. Żydowski gryzoń złapany w pułapkę paranoicznego koszmaru Brunatnych Koszul. Sprzedawali wszystko, począwszy od normalnych wydawnictw o Supermanie i Batmanie po odbite na ksero, zszyte

315szywaczem fanziny. Kiedy Niki czytała historię o gangsterce, ja podeszłam do lady, powiedziałam sobie, że nie będzie nic dla mnie. Chudy chłopak w bordowej koszuli rysował coś, blade ramiona miał pokryte tatuażami. Kiedy odchrząknęłam, podniósł wzrok. Oczy miał przymglone od trawy.

— Jestem znajomą Paula Trouta. Zostawił coś dla mnie? Uśmiechnął się trochę spłoszony, wytarł nos wierzchem dłoni.

— Pojechał do Nowego Jorku, nie wiedziałaś? — Znalazł pod ladą dwa listy, koperty tak gęsto pokryte ilustracjami, że ledwo było widać adres przy Yellow Brick Road. Napis: *Przekazać Astrid Magnussen.*

— Nie ma adresu zwrotnego?

— Ciągle się przeprowadza. Nie zdziw się. Zostawiłam list dla Paula ilustrujący moje życie przy Ripple

Street. Zbieranie śmieci, nasz salon. Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić z tym listem. Paul wyjechał.

W rockandrollowej knajpie Dennys przy Sunset Boulevard usiadłam w kącie sali obok Niki, która negocjowała z chłopakami z zespołu, dwoma tlenionymi blondynami i nadaktywnym brunetem — perkusistą, wiedziałam bez pytania. Bałam się otworzyć listy. Zamiast tego zaczęłam rysować innych klientów. Dziewczyny z czarnymi włosami i białym makijażem, w czarnych rajstopach, konspirujące nad dietetyczną pepsi i podwójnymi porcjami krążków cebuli. Po drugiej stronie dwaj podstarzali rockmani w skórze i cekinach jedli hamburgery, jeden rozmawiał przez telefon komórkowy. Czulałam się trochę jak w muzeum mody, czuby mohawki, dreadloki, poliestery i platformy.

— Nie płacę za granie z dwunastoma innymi kapelami. Co wy jesteście, niedorozwinięci? — mówiła Niki. — To oni powinni wam płacić, a nie odwrotnie.

Narysowałam jasnowłosego basistę, który z miną winowajcy naciskał od wewnątrz językiem cekin na podbródku. Brunet spazmatycznie stuknął nożem w szklanki z wodą.

— Trzeba grać tam, gdzie płacą. Wy skąd, z Fresno?

— Ale to jest jak Roxy, wiesz? — powiedział wyższy blondyn. Aha, czyli to on jest ten wygadany, rzecznik prasowy... Gitara prowadząca.
— Roxy. To jest tak...

— Roxy — powiedział drugi blondyn.

W końcu zebrałam się na odwagę, żeby otworzyć pierwszy list, rozciąłam piękną kopertę składanym nożem mojej matki. Wewnątrz była seria rysunków tuszem, w niepowtarzalnym komiksowym stylu Paula, ostre czarno-białe kontrasty: Paul idzie opuszczonymi komiksowymi ulicami. Paul siedzi w kawiarni Nighthawks. Widzi na ulicy blondynkę z krótko obciętymi włosami i idzie za nią, lecz okazuje się, że to ktoś inny. „Czy jeszcze kiedyś ją zobaczy?*" — brzmiał ostatni podpis pod rysunkiem, na którym Paul rysował przy swoim biurku, na ścianie pełno rysunków mojej postaci.

W drugiej kopercie był komiks o ucieczce z więzienia, trzech chłopcy rozwalają stalową bramę wyrzutniami rakiet. Kradną samochód, znaki mówią „Wyjazd z LA". Prują nocą przez pustynię. Potem znak z mozaiki mówi „Plac św. Marka". Kanciaci hipsterzy ubrani na czarno mijają bramę numer 143. Statua Wolności w tle ma zasłony na oczach i czyta komiks.

Złożyłam rysunki, wsunęłam z powrotem do koperty z błyskawicami, gwiazdami i dziewczyną dosiadającą białego konia na komiksowym niebie. Przekazać Astrid Magnussen. Gdybym wiedziała, że to zrobi.

A teraz było za późno. Patrzyłam na Sergeia przez stół w kuchni Reny. Miał gdzieś mojego chłopaka w Nowym Jorku. Miał gdzieś nawet swoją dziewczynę w sąsiednim pokoju. Był dokładnie taki sam jak białe koty Reny — jeść, spać i łajdaczyć się. Odkąd widziałam ich razem na kanapie, zawsze patrzył na mnie z tym ledwo dostrzegalnym porozumiewawczym uśmiechem, jakbyśmy mieli jakąś wspólną tajemnicę.

— Co tam u twojego chłopaka? — spytał. — Duży chłopak? Znaczący, rozumiesz, duży?

Niki się roześmiała. — Olbrzymi, Sergei. Nie słyszałeś o nim? Moby Dick*.

* Gra słów, *dick* znaczy m.in. penis.

317Olivia opowiedziała mi wszystko o takich mężczyznach jak Sergei. Twardzi mężczyźni z niebieskimi żyłami w rzeźbionych białych ramionach, niebieskie oczy pod

ciężkimi powiekami, wąskie talie. Z takim mężczyzną można się dogadać. Tacy wiedzą, czego chcą. Wzrok miałam utkwiony w brokułach i serze.

— Jak ci się znudzi czekanie, to przyjdź do mnie — powiedział.

— A jeśli okażesz się kiepski? — spytałam, na co dziewczyny się roześmiały.

— Martw się tylko o to, że się zakochasz w Sergeiu — powiedział, a jego głos był jak ręka między moimi udami.

Moja najnowsza opiekunka z ośrodka, pani Luanne Davis, była Murzynką w średnim wieku, nosiła białą bluzkę wiązaną w kokardkę pod szyją, a włosy miała ostrzyżone na pazia. Od razu ją zauważyłam, kiedy weszłam po szkole do McDonalda przy Sunset Boulevard. Zamówiłam hamburgera, frytki i colę, po raz pierwszy wrzaski dzieci w boksie z piłkami nie przeszkadzały mi. Poprzedniego dnia poszłam wieczorem do Playland, gdzie Niki śpiewała z jednym z zespołów Wenera, Freeze. Niosłam jej stojak do mikrofonu, przez co uchodziłam za członka ekipy i nie musiałam pokazywać legitymacji. Ze wszystkich wokalistów tylko Niki umiała śpiewać. Miała mruczący, ironiczny głos, śpiewała tak, jak Anne Sexton czytała poezję. Wszyscy pozostali wrzeszczeli i nikt nie umiał grać, wciąż dudniło mi od tego w głowie.

Opiekunka przesunęła w moją stronę po lepkiem blacie stertę listów. Taki potencjał niszczycielski, nawet nie chciałam ich brać do ręki. Nie mogłam na nie patrzeć, pismo mojej matki, niewyraźne litery przeświecające przez niebieskie koperty lotnicze. Wyciągała siedem stron na znaczek i każda koperta ważyła więcej niż noc. Były jak las wodorostów, jarzyły się dziwnym zielonkawym światłem, można się było tam zgubić, zaplątać i utonąć. Nie pisałam do niej od śmierci Claire.

Popijając kawę ze słodzikiem i odtłuszczoną śmietanką, pani

318Luanne Davis mówiła wolno, przesadnie starannie wymawiając słowa ze względu na moją przejściową głuchotę. — Naprawdę powinnaś do niej napisać. Siedzi w pawilonie z zaostrzonym rygorem. Na pewno nie jest jej łatwo.

— Ja jej tam nie wsadziłam — powiedziałam, wciąż patrząc na listy, jak na portugalski okręt wojenny unoszący się na niewinnym morzu.

Zmarszczyła brwi. Czoło jej się wyłobilo między brwiami od marszczenia się na takie dziewczęta jak ja, dziewczęta, które nie wierzyły, że ktokolwiek mógłby je kochać, a

już najmniej ich niebezpieczni rodzice.

— Tak niewiele z moich podopiecznych dostaje listy od rodziców. Oszaleliby z radości.

— Tak, mam wyjątkowe szczęście — powiedziałam, lecz posłusznie włożyłam je do plecaczka.

Skończyłam jeść, patrząc, jak dzieci zeskakują na jednego chłopczyka, który nie mógł znaleźć swych stóp między piłkami. Raz po raz na niego skakały, a on wrzeszczał. Jego nieletnia matka była zbyt zajęta rozmową ze znajomym, żeby mu pomóc. Wreszcie krzyknęła coś do dzieci, ale nie wstała ani nie zrobiła nic, żeby ochronić swego syna. Kiedy ponownie się odwróciła do swego znajomego, nasze oczy się spotkały. To była Kiki Torrez. Nie okazałyśmy w żaden sposób, że się znamy, po prostu trwało to trochę dłużej niż przypadkowe spojrzenie, po czym ona wróciła do rozmowy ze znajomym. Pomyślałam, że więźniowie wymieniają tylko takie spojrzenie, kiedy się spotykają na zewnątrz.

Kiedy wróciłam do domu, Yvonne siedziała przed telewizorem na zielonej kanapie i oglądała talk-show dla nastolatków.

— To jest matka — powiedziała do mnie, nie odrywając oczu od ekranu. — Oddała dziecko, gdy miała szesnaście lat. Widzą się po raz pierwszy od tamtej pory. — Twarz ociekała jej dużymi łzami dziecka.

Nie wiedziałam, jak ona może to oglądać, to było sztuczne jak reklama. Nie mogłam się powstrzymać od myśli, jak okropnie musi się czuć przybrana matka dziecka, widząc córkę, którą z taką

319troską wychowała, w ramionach obcej kobiety, oklaskiwaną przez studyjną publiczność. Wiedziałam jednak, że Yvonne wyobraża sobie, że powraca do życia swego dziecka za dwadzieścia lat, szczupła, pewna siebie, ubrana w niebieski kostium i buty na wysokich obcasach, w eleganckiej fryzurze, jej dorosłe dziecko ściska ją, wszystko jej wybaczają. Jakie szanse na spełnienie się miał taki scenariusz?

Usiadłam obok Yvonne i przejrzałam listy od mojej matki. Jeden otworzyłam.

Droga Astrid!

Czemu nie piszesz? Absolutnie nie możesz mnie obarczać odpowiedzialnością za

samobójstwo Claire Richards. Ta kobieta urodziła się ze skłonnością do przedawkowywania. Powiedziałam Ci to, kiedy tylko ją ujrzałam. Uwierz mi, jest jej lepiej tam, gdzie się teraz znalazła. Ja natomiast jestem całkiem żywa. Piszę z pawilonu o zaostrzonym rygorze, więzienia w więzieniu. Tyle zostało mi świata, cela dwa i pół na dwa i pół metra, którą dzielę z Lunarią Irolo, kobietą godną swego imienia*. Za dnia wrony kraczą, kakofonicznie i kłótliwie, doskonała imitacja krzyków potępionych. Oczywiście żaden śpiewający ptak nie przyleci pod to więzienie. Nie, za jedynych towarzyszy mamy te diaboliczne wrony, krzyki mew w oddali i skrzypienie bram. Wszystko to dźwięczy i dudni w tej komnacie podobnej do geody, dźwięk toczy się po betonowych podłogach tam, gdzie kucamy za ogrodzeniem z siatki drucianej, za stalowymi drzwiami, aby planować morderstwo, planować zemstę. Jestem za kratkami, jak to się mówi. Skuwają nas kajdankami, nawet kiedy idziemy wziąć prysznic. I słusznie.

Podobało mi się, że moja matka jest za kratkami, skuta kajdankami. Stamtąd nie mogła zrobić mi krzywdy.

* *Lunatic* (ang.) — obłąkany, wariat.

320Przez okienko w drzwiach widzę klawiszy przy biurkach na środku oddziału, strażników naszej pokuty, jak jedzą pączki. U paska błyszczą klucze, symbol władzy. Nie mogę oderwać od nich oczu. Klucze hipnotyzują mnie, ich pękate garście, czuję kwasowy smak ich galwanizacji cenniejszy od mądrości.

Wczoraj sierżant Brown uznał, że moje pół godziny pod prysznicem należy wliczyć do jednej godziny, którą wolno mi codziennie przebywać poza celą. Pamiętam, że kiedy go zobaczyłam, miałam nadzieję, że okaże się rozsądnym człowiekiem — szczupły, wygadany Murzyn. Powinnam się była domyślić. Jego basowy głos sprawia wrażenie, jakby nie dobywał się z wątłego ciała, jest sztuczny jak głos kaznodziei, nasączony przesadnym mniemaniem o własnej ważności. Cerber naszego betonowego piekła.

Uprawiam ochronę astralną. Kiedy Lunaria mamrocze pod nosem, ja wstaję z pryczy i ulatuję ponad cuchnącymi diariuszami, nad polami, wzdłuż autostrady na zachód, aż zobaczę wieżowce w centrum miasta. Dotykam mozaik w szklanej piramidzie głównej biblioteki, patrzę na przedpotopowe karpie, które połyskują pomarańczowo, *pimento*, srebrnoplami-ście i czarno w stawach *koi* w New Otani. Jeżdżę na prądach powietrznych wokół gładkich cylindrów Bonaventure, szklane windy rykoszetują między

piętami. Pamiętasz, jak jadłyśmy na górze, przesiedziałyśmy jeden obrót w obrotowym barze? Nie chciałaś podejść do okna, krzyczałaś, że przestrzeń chce cię wyssać na zewnątrz. Musiałyśmy się przesiąść na środek, pamiętasz? Wiesz, że lęk wysokości świadczy o braku zaufania do siebie, nie masz pewności, czy nie skoczysz.

Widzę Cię, jak chodzisz uliczkami, siedzisz na pustych, zarośniętych chwastami działkach, Queen Anne's Lace skropiona deszczem. Myślisz, że nie możesz przeboleć utraty tej słabeuszki Claire. Pamiętaj, Astrid, męstwo jest tylko jedno. Rzymianie mieli rację. Człowiek potrafi znieść wszystko. Ból, którego nie możemy znieść, zabija nas od razu.

Matka

321Nie wierzyłam jej jednak ani przez chwilę. Dawno, dawno temu powiedziała mi, jak wikingowie wyobrażają sobie niebo: codziennie pokrajać się nawzajem w bitwie na cienkie paski i każdego wieczoru zostać z powrotem posklejanym. Wieczna rzeź. Nigdy nie zabijają cię od razu. Tak jakby orzeł karmił się za dnia twoją wątrobą, która w nocy odrasta, pyszna zabawa.

26

Pociągi za rzeką toczyły się na żelaznych kołach, przygrywały nocą na kojącej perkusji. Po naszej stronie, koło piekarni, jakiś chłopak grał na gitarze elektrycznej. On też nie mógł spać, odgłos pociągów pobudzał go. Gitara sypała jego tęsknotą w ciemność jak iskrami, muzyka była głęboka w swym pragnieniu pozbawionym konkretnego przedmiotu, jej piękno nie dawało pociechy ani rozwiązania.

Yvonne wierciła się na drugim łóżku. Klonowa rama skrzypiała pod jej ciężarem. Zostało jej jeszcze osiem tygodni, lecz nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby miała być jeszcze większa. Wydęcie jej brzucha wznosiło się ponad płaszczyznę koldry gładką wulkaniczną kopułą, Góra św. Heleny, Popocatepetl, gotów wybuchnąć. Czas przesunął się w pokoju, w muzyce pociągów, zapadka po zapadce, pociąg tak olbrzymi, że potrzeba było trzech lokomotyw, aby przetoczyć go przez noc. Dokąd jadą pociągi, mamó? Dotarliśmy na miejsce?

Czasami wyobrażałam sobie, że mam ojca, który pracuje na kolei na nocną zmianę. Zwrotniczy w Southern Pacific, nosi ciężkie, ognioodporne rękawice, wielkie jak wiosła, i ściera pot z czoła potężnym przedramieniem. Gdybym miała ojca pracującego

na kolei na nocną zmianę, może miałabym też matkę, która nasłuchiwałaby, czy drzwi się otwierają, a ja słyszałabym jej cichy głos, ich stłumiony śmiech przez cienkie ściany domu. Jak

322miękkie były ich głosy, jak miłe, podobne do gruchania gołębi pod mostem.

Gdybym była poetką, o tym bym napisała. O ludziach, którzy pracują w środku nocy. O mężczyznach, którzy załadowują pociągi, o pracownikach pogotowia z ich delikatnymi rękami.

O nocnych portierach w hotelach, taksówkarzach na cmentarzu, kelnerkach w kawiarniach czynnych do rana. Oni znali świat, wiedzieli, jakie to cenne, kiedy ktoś pamięta, jak masz na imię, jaką pociechę sprawia retoryczne pytanie: „Co słyhać, jak tam dzieci?” Wiedzieli, jak długa jest noc. Wiedzieli, jaki dźwięk wydaje życie, kiedy odchodzi. Łomocze jak otwarte drzwi szopy na wietrze. Nocni pracownicy żyją bez złudzeń, ścierają sny z kontuarów, załadowują towar. Zabierają ostatniego pasażera na lotnisko.

Pod łóżkiem wplótł się w noc ciemny nurt. Nie przeczytane listy od mojej matki, opływające kłamstwami, przesuwały się

1 wydymały, jak pozostałości katastrofy morskiej wymywane na brzeg wiele lat po zatonięciu wielkiego liniowca. Nie dopuszczę do siebie więcej słów. Od teraz chciałam rzeczy, których można dotknąć, posmakować, zapachu nowych domów, świstu kabli wysokiego napięcia przed burzą. Rzeki płynącej w świetle księżyca, drzew wyrastających z betonu, skrawków brokatu w koszu z rzeczami za pięćdziesiąt centów, czerwonych pelargonii na parapecie w fabryce. Dajcie mi widok dachów otynkowanych bloków mieszkalnych, piętrzących się po południu jak późne fale morskie, dajcie mi coś, co nie wiruje, nie autoportret malowany wodą i wiatrem. Dajcie mi chłopca grającego na gitarze elektrycznej, łóżko mojego zastępczego domu na końcu Ripple Street, kształt Yvonne i jej szykującego się do przyjścia na świat dziecka. Ona jest wzgórzami Kalifornii okrytymi musztardowym i zielonym kolorem, ogorzałymi jak lwy w lecie.

Po drugiej stronie pokoju Yvonne krzyknęła. Jej poduszka spadła na podłogę. Była gąbczasta od potu. Yvonne potwornie się pocila w nocy, czasami musiałam jej pomóc zmienić pościel. Wcisnęłam poduszkę pod jej ciemne włosy, odgarnęłam z twarzy

323przemoczone kosmyki włosów. Była ciepła jak parujący stos mokrego prania.

Gitara wysnuwała z siebie piosenkę, którą od czasu do czasu rozpoznawałam jako *So You Want to Be A Rock and Roll Star*.

— Astrid — szepnęła Yvonne.

— Słuchaj. Ktoś gra na gitarze.

— Miałam okropny sen — wymamrotała. — Ludzie ciągle kradli moje rzeczy. Zabrali mi konika.

Jej konik z czerpanego papieru, biały z uprzężą ze złotka i obwódka z czerwonego jedwabiu, stał na komodzie, przednie nogi w górze, kark wygięty w łuk, który powiełał wystraszone wygięcie jej brwi.

— Stoi tam, gdzie stał — powiedziałam, dotykając jej policzka. Wiedziałam, że moja dłoń będzie chłodna na jej rozpalonej skórze. Moja matka tak robiła, kiedy byłam chora, nagle to sobie przypomniałam i przez moment wyraźnie czułam dotyk jej chłodnych dłoni.

Yvonne na chwilę uniosła głowę, żeby zobaczyć, czy koń wciąż wierzga w świetle księżyca. — Chciałabym, żeby już było po wszystkim.

Wiedziałam, co powiedziałyby Rena. „Im wcześniej, tym lepiej”*. Kilka tygodni temu jeszcze bym ją przebiła. Pomyślałabym, co to za różnica? Kiedy urodzi dziecko i oddaje do adopcji, zostaną inne rzeczy, które będzie mogła stracić: chłopak, dom, praca, choroba, kolejne dzieci, dni i noce przewalające się jak fale oceanu, który zawsze jest ten sam. Po co poganiać kataklizm?

Lecz teraz zdążyłam już zobaczyć, jak Yvonne siedzi po turecku na łóżku i szepcze do swojego brzucha o tym, jak piękny będzie świat, że są na nim konie i urodziny, białe koty i lody. Nawet jeżeli Yvonne nie będzie asystowała przyjeździe na wrotkach i pierwszej wyprawie do szkoły, to nie da się tego wszystkiego zignorować. Miała teraz w sobie tę słodycz, to rozmarzenie.

— Tak, kiedy przyjdzie czas, pomyślisz sobie, szkoda, że tak szybko — powiedziałam.

Yvonne przyłożyła sobie moją dłoń do rozpalonego czoła.

324— Zawsze jesteś chłodna. W ogóle się nie pocisz. O, dziecko się rusza — szepnęła. — Chcesz dotknąć?

Podciągnęła podkoszulek i położyła swoją dłoń na swym nagim brzuchu, okrągłym i gorącym jak rosnące ciasto, żebym mogła poczuć pod nią niezborne ruchy dziecka. Jej uśmiech był krzywy, podzielony, radość walczyła w niej ze świadomością tego, co ją czeka.

— Myślę, że to dziewczynka — szepnęła. — Pierwsze było dziewczynką.

Mówiła o swoich dzieciach tylko późno w nocy, kiedy byliśmy same. Rena nie pozwalała jej o nich mówić, zabroniła jej. Ale Yvonne potrzebowała tego. Ojciec dziecka, które teraz nosiła, Ezequiel, jeździł pikapem. Poznała go w Griffith Park i zakochała się, kiedy ją posadził na karuzeli.

Zastanawiałam się, co powiedzieć. — Ma niezłego kopa. Może zostanie tancerką baletową.

Prosta linia melodyczna, którą chłopak grał na gitarze elektrycznej koło piekarni, odbijała się od wzgórz i wpadała przez okno, kopiec brzucha Yvonne tańczył do taktu, rączki i stopki odciskały się maleńkimi wzgórkami.

— Chcę, żeby została skautką. Zostaniesz skautką, *mija* — powiedziała do kopca. Podniosła na mnie wzrok. — Byłaś kiedyś w skautach?

Pokręciłam głową.

— Zawsze chciałam, ale bałam się poprosić — powiedziałam, rysując palcem ósemki na wilgotnym prześcieradle. — Moja mama umarłaby ze śmiechu. „Ty i skautki, zwariowałaś?”

Siedzieliśmy tak bez końca, nic nie mówiąc. Miałyśmy nadzieję, że jej córka dostanie od życia wszystko, co najlepsze. Gitara przestała grać i po chwili ciszę wypełniło cykanie świerszczy. Być może cały czas tam były, lecz muzyka uciszyła je. Znałam to uczucie, czekać na chwilę, aż można będzie zaistnieć.

Yvonne zasnęła, wróciłam więc do łóżka, wciąż myśląc o chłodnych dłoniach mojej matki, które spoczywały na mojej rozpalonej gorączką twarzy, o tym, jak owijała mnie w przeście-

325radła zamoczone w lodowatej wodzie z olejkiem eukaliptusowym i goździkami. „Ja jestem twoim domem”, powiedziała kiedyś, i wciąż była to prawda.

Wpełzałam pod łóżko, wyjęłam worek z jej listami, niektóre koperty były cienkie jak

obietnica, niektóre grube jak białe *koi*. Wyszłam po cichu z pokoju i zamknęłam za sobą drzwi.

W salonie usiadłam na zielonej kanapie i włączyłam lampę z abażurem z paciorkami, w której świetle wszystko wyglądało jak obraz Toulouse-Lautreca. Położyłam stosy listów na stoliku do kawy. Nienawidziłam mojej matki, ale czułam głód jej obecności. Chciałam zrozumieć, jak mogła napełnić mój świat takim pięknem, a jednocześnie powiedzieć, że kobieta rodzi się do przedawkowania.

Sfatygowany kocur skradał się po oparciu kanapy, a potem ostrożnie wszedł na mnie. Pozwoliłam mu się zwinąć w kłębek pod sercem, był ciężki i ciepły, mruczał jak ciężarówka na niskim biegu.

Droga Astrid!

Jest trzecia rano, właśnie miałyśmy czwarty apel. W pawilonie o zaostrozonym rygorze światła palą się przez całą noc, fluorescencyjne i ostre na ścianach z szarych pustaków, tylko na tyle szerokich, żeby się zmieściło łóżko i ubikacja. Wciąż żadnego listu od Ciebie. Tylko seksualna litania siostry Luna-rii. Rozlega się dzień w dzień i noc w noc z dolnej pryczy, jak tybetańscy mnisi, którzy na trzy zmiany wymodlają istnienie świata. Tego wieczoru egzegeza dotyczyła księgi Raula, jej ostatniego chłopaka. Z jaką czcią siostra Lunaria opisuje kształt i rozmiary jego członka, recytuje pryzmatyczny katalog jego erotycznych reakcji.

Seks jest ostatnią rzeczą, o której tutaj myślę. Jedyne, co mnie interesuje, to wolność. Rozmyślam o konfiguracji molekuł w ścianie. Medytuję nad naturą materii, przewodze próżni na rodeo wirujących elektronów. Próbuję oscylować pomiędzy pakietami kwantów, wstrzelić się w przeciwną fazę, żeby

326kiedyś zaistnieć między pulsami, a wtedy materia stanie się dla mnie całkowicie przenikalna. Przejdę prosto przez te ściany.

— Gonzales posuwa Vicki Manolo z pawilonu A — rzecze Lunaria. — Ma wielkiego jak koń. Kiedy siedzi, wygląda, jakby miał między nogami kij baseballowy.

Więźniarki lubią Gonzalesa. Chce mu się flirtować, skrapia się wodąkolońską, ręce ma czyste jak biała *calla*. Lunaria masturbuje się, snując fantazje o ogromnych penisach, parzy się z końmi, z bykami, jest zdecydowanie jowiszowa w swych fantazjach,

podczas gdy ja patrzę na otworki w płytach dźwiękoszczelnych i wsłuchuję się w nocny oddech więzienia.

Ostatnio słyszę wszystko. Słyszę odgłos gry w karty w wartowni numer 1, nie poker, brzmi to jak remik, słucham ich smutnych wynurzeń na temat hemoroidów i domowych podejrzeń. Starsze panie w pawilonie B chrapią ze sztuczną szczęką w szklance. Słyszę szczury w kuchni. Jakaś kobieta wrzeszczy w psychiatryku, też słyszy szczury, ale nie rozumie, dlaczego są w jej łóżku. Szybko przypinają ją pasami do łóżka.

W recepcji słyszę wymruczane groźby, gdy obszukują jakąś dziewczynę. Jest delikatna, mimoza, nie przygotowana na pobyt tutaj. Zabierają wszystko, co jej zostało. — Cipa — mówią, załatwiwszy się z nią.

Reszta więzienia śpi urywanym snem, kołysana snami, którym niewola dodaje ostrości. Wiem, co im się śni. Czytam je jak powieści, to lepsze niż Joyce. Śnią o mężczyznach, którzy je biją, z backhandu, niekulturalne kopnięcia w krocze. O mężczyznach, którzy zaciskają zęby przed ciosem, syczą: „Popatrz, do czego ty mnie zmuszasz”. Te kobiety kulą się nawet we śnie, pod spojrzzeniami gałek ocznych pożyłkowa-nych jak mapy drogowe, wytrzeszczonych z wściekłości, białka koloru majonezu zostawionego przez tydzień na talerzu. Aż dziw, że ich ciosy nie chybiały celu. Ale strach kobiety jest jak magnes. Mam nadzieję, że o tym nie wiesz. Strach kobiety przyciąga pięść, ręce mężczyzn, twarde jak pięść Boga.

Inne mają więcej szczęścia. Śnią o mężczyznach z delikatnymi dłońmi, elokwentnie czułymi, o palcach, które muskały policzek, które wodziły po otwartych ustach, odczytując brajla kochanków. O rękach, które rzeźbiły rozkosz z posępnego ciała, które wędrowały po piersiach i rozpałały biodra, otwierały, ugniatały. Ciało staje się chlebem w gorącu tych dłoni, plecionkowym i rosnącym.

Niektórym śnią się przestępstwa, pistolety i pieniądze. Fiolki ze snami, które znikły jak późny śnieg. Jestem tutaj. Widzę twarz zaskoczonego ekspedienta sklepu dokładnie w chwili, gdy rozpląszcza się w kolaż jasnej krwi i kości.

Kładę się w ukochanym mieszkaniu, jest tu wszystko, biały dywan, urządzenie do utylizacji śmieci, zmywarka, strzeżony garaż. Ja również wyłudzam od starszych państwa wszystkie ich oszczędności i świętuję nad butelką szampana i jesiotrem na grzance. Ostrożnie zdejmuję suwane szklane drzwi na parterze willi w Mar Vista. Kupuję futro w

Saks za pomocą ukradzionej karty kredytowej American Express. Najdroższe rosyjskie sobole, złociste jak koniak.

Najlepsze są sny o wolności. Kierownice tak realne w dłoni, sprężynowanie pedału gazu, wskaźnik paliwa na MAKSIMUM. Wiatr wpada przez otwarte okna, nie włączamy klimatyzacji, chwytny w płuca żywe powietrze, które nas mija. Jeździmy autostradami, szybkimi pasami, szukamy znaków kierujących na San Francisco, Nowy Orlean. Wyprzedzamy ciężarówki na drogach międzystanowych, kierowcy trąbią na nas. Pijemy napoje gazowane na stacjach benzynowych, jemy hamburgery w przydrożnych kafeteriach, prosimy mięso słabo wysmażone, wszystkie dodatki. Słuchamy stacji z muzyką country, odbieramy Tijuane, Chicago, Atlantę, śpimy w motelach, w których recepcjonista nigdy nie podnosi wzroku, tylko bierze pieniądze.

W pawilonie B mojej towarzyszce z celi, Lydii Guzman, śni się spacer po Whittier Blvd w lecie, narkotyk uderza jej do głowy i uda w śliskich nylonowych legginsach za dziesięć dolarów zaczynają pulsować salsa. Wprawia meneli w osłu-

328pienie swym powolnym, biodrzasto-rozkołysanym krokiem, niemożliwie opiętą pupą. Jej śmiech ma smak palonego światła słonecznego, kaktusów i robaka.

Przed wszystkim jednak śnimy o dzieciach. O dotyku małych dłoni, o połyskujących rzędach bieluteńkich zębów. Ciągłe gubimy swoje dzieci. Na parkingach, na targu, w autobusie. Odwracamy się i wołamy je. Shawanda, wołamy, Luz, Astrid. Jak mogłyśmy was zgubić, byłyśmy takie uważne. Odwróciłyśmy wzrok tylko na moment. Z naręczami zakupów stoimy samotne na chodniku, ktoś zabrał nasze dzieci.

Mama

Mogli ją zamknąć, ale nie mogli zapobiec przeobrażeniom, jakie dokonywały się w jej umyśle. Claire nigdy nie potrafiła tego zrozumieć. Spektakl, jaki moja matka pokazywała światu. Są przestępstwa zbyt subtelne, aby je skutecznie ścigać.

Usiadłam i biały kot spłynął ze mnie jak mleko. Złożyłam list i wsunęłam z powrotem do koperty, rzuciłam na zagracony stolik do kawy. Nie jestem taka naiwna, mam. To ja byłam delikatną dziewczyną w recepcji. Ona obrabowała mnie ze wszystkiego, co mi zostało. Nie dam się uwieść muzyce jej słów. Zawsze potrafiłam odróżnić zgrzebną prawdę od wytwornego kłamstwa.

Nikt ci mnie nie zabrał, mam. Nigdy ci się nie wyrwałam, kiedy prowadziłaś mnie za rękę. Nie tak się to odbyło. To było raczej jak z samochodem, który zaparkowałaś po pijanemu i potem nie pamiętałaś, gdzie go zostawiłaś. Przez siedemnaście lat patrzyłaś w inną stronę, a gdy się odwróciłaś, nie poznałaś kobiety, którą zobaczyłaś. A teraz ja mam współczuć tobie i tym innym kobietom, które zgubiły dzieci podczas napadu, morderstwa, fiesty chciwości? Zaoszczędź sobie swoją empatię poetki i znajdź jakiegoś innego wyznawcę. To, że jakieś słowa powiedziała poetka, nie znaczy, że są one prawdziwe, tylko ładnie brzmią. Któregoś dnia przeczytam je w „New Yorker”.

Owszem, byłam wytatuowana, tak jak ona powiedziała. Każdy cal mojej skóry był nakłuty i zabarwiony. Byłam prawdziwą

329mai o waną damą, j apońskim gangsterem, chodzącą galerią sztuki. Otarłam łzy, wysuszyłam dłonie o białego kota i sięgnęłam po następną garść szkła, żeby wetrzeć je sobie w skórę. Kolejny list wibrujący zdarzeniami, dramatai, fantazjami. Przebiegłam stronę wzrokiem.

Gdzieś w moim pawilonie płacze kobieta. Przez całą noc. Próbowałam ją znaleźć, ale w końcu zrozumiałam, że jej w ogóle tutaj nie ma. To Ty. Przestań płakać, Astrid. Zabraniam Ci. Musisz być silna. Jestem w Twoim pokoju, Astrid, czujesz? Dzielisz go z inną dziewczyną, ją też widzę, proste włosy, cienkie, łukowate brwi. Dobrze śpi, w przeciwieństwie do Ciebie. Siadasz na łóżku z żółtą kordonkową narzutą — Boże, gdzie ona ją znalazła, Twoja nowa przybrana matka? Moja matka też taką miała.

Widzę, jak opasujesz ramionami nagie kolana, przyciskasz do nich czoło. Odgłos cykad przypomina mecz bilardowy. Przestań płakać, słyszysz mnie? Za kogo Ty się masz? Jestem tutaj tylko po to, żeby Ci pokazać, że kobieta potrafi być silniejsza.

To takie obciążenie kochać kogoś, ale tutaj to przypomina zabawę w zbijanego granatami. Kobiety skazane na dożywocie mówią mi, żebym zapomniała o Tobie, będzie mi lżej. „Możesz urządzić sobie tutaj życie — mówią. — Wybrać partnera, znaleźć nowe dzieci”. Czasami czuję się tak okropnie, że przyznaję im rację, powinnam o Tobie zapomnieć. Czasami wołałabym, żebyś nie żyła, przynajmniej bym wtedy wiedziała, że jesteś bezpieczna.

Kobieta z mojego pawilonu od małego dawała swym dzieciom heroinę, żeby zawsze wiedzieć, gdzie są. Wszystkie są w więzieniu, żyją. Jej się to podoba. Gdybym

sądziła, że zostanę tu na zawsze, zapomniałabym o Tobie. Nie miałabym wyboru. Robi mi się niedobrze na myśl, że jesteś tam i rozdrapujesz rany, podczas gdy ja kręcę się w kółko w tej celi, bezradna jak dżin w lampie. Astrid, przestań płakać, do cholery!

330Wyjdę stąd, Astrid, przyrzekam Ci to. Wygram odwołanie, przejdę przez ściany, odleczę jak biała wrona.

Matka

Tak, płakałam. Te słowa były jak bomby, które zapieczętowała i wysłała mi, wiele tygodni później poszarpały i rozkrwawiły moje ciało. Sądzisz, że mnie widzisz, mammo? Zawsze widziałaś tylko własną twarz w lustrze.

Zawsze mówiła, że nic nie wiem, ale to jest dobry punkt wyjścia. Nigdy nie rościłabym sobie prawa do wiedzy o tym, co śni się kobietom w więzieniu, jakie prawa przysługują pięknu, co kryje w sobie magia nocy. Gdybym choć na chwilę pomyślała, że to wiem, straciłabym szansę, żeby się naprawdę dowiedzieć, zobaczyć całość, obserwować, jak się wynurza i ujawnia. Nie musiałam umieszczać swojej twarzy na każdej chmurze, być protagonistką każdego przypadkowego zdarzenia.

Kim jestem, mammo? Nie tobą. Dlatego wolałabyś, żebym nie żyła. Nie możesz mnie już więcej formować. Jestem nieopanowanym żywiołem, przypadkowym zdarzeniem, ruchem postępowym w czasie. Sądzisz, że mnie widzisz? W takim razie powiedz mi, kim jestem? Nie wiesz. Nie jestem ani trochę podobna do ciebie. Nos mam inny, o spłaszczonym grzbiecie, a nie ostrym jak złożony papier ryżowy. Moje oczy nie są lodowoniebieskie, zabarwione tym twoim osobliwym połączeniem piękna i okrucieństwa. Są ciemne jak siniaki pod pachą, nigdy się nie uśmiechają. Zabraniasz mi płakać? Nie jestem już twoja, żebyś mi rozkazywała. Mawiałaś kiedyś, że nie mam wyobraźni. Jeśli chodziło ci o to, że potrafię czuć wstyd, wyrzuty sumienia, to miałaś rację. Nie potrafię przemienić świata samym chceniem. Nie potrafię uwierzyć we własne kłamstwa. To wymaga swoistego geniuszu.

Wysłałam na ganek, pod bosymi stopami miałam drzazgi desek. Wiatr niósł miarowy hałas aut na autostradzie i szczekania psów, parę przecznic dalej, w nocy zabarwionej na czerwono sodowymi wyziewami latarni ulicznych, krwawiącej, rozległ się

331wystrzał. „To my splądrowaliśmy Rzym”, powiedziała w tę odległą noc na dachu pod księżycem jak oko kruka. „Nigdy nie zapomnij, kim jesteś”.

Jak mogłabym zapomnieć. Jestem twoją córką-duchem, siedzę przy pustych stołach z kredkami i długopisami, podczas gdy ty pracujesz nad wierszem, jestem dziewczyną plastyczną jak biała glina. Zawsze mnie formowałaś. Pokazywałaś mi pomarańczę, garść sosnowych igieł, fazowany kwarc, i kazałaś mi je opisać. Miałam wtedy trzy, najwyżej cztery lata. Moje słowa — tego chciałaś. „Co to jest?”, pytałaś raz po raz. „Co to jest?” Ale jak miałam ci odpowiedzieć, skoro zabrałaś mi wszystkie słowa?

Zapach gofrów waniliowych sycił nocne powietrze, a wiatr przedzierał się przez palmy jak myśli przez mój bezsenny umysł. Kim jestem? Jestem dziewczyną, której nie znałaś, mammo. Milczącą dziewczyną w ostatniej ławce, rysującą w zeszytach. Pamiętasz, kiedy wróciliśmy do Stanów, nawet nie wiedzieli, że mówię po angielsku. Robili mi testy, żeby sprawdzić, czy jestem opóźniona w rozwoju, czy głucha. Lecz ty nigdy nie pytałaś, dlaczego. Nigdy nie pomyślałaś, może należało zostawić Astrid trochę słów.

Pomyślałam o Yvonne w naszym pokoju, spała z kciukiem w ustach, owinięta wokół dziecka jak ubranie. „Widzę ją”, powiedziałaś. Nie zobaczyłabyś jej, mammo, nawet gdybyś stała w tym pokoju przez całą noc. Zobaczyłabyś tylko jej wyskubane brwi, jej zepsute zęby, czytane przez nią książki z omdlewającymi kobietami na okładkach. Nigdy nie dostrzegłabyś dobroci tej dziewczyny, głębi jej potrzeb, nigdy byś nie zauważyła, jak rozpaczliwie pragnie gdzieś przynależeć, dlatego znowu zaszła w ciążę. Oceniałabyś ją tak, jak oceniasz wszystko inne, jako coś podlejszej jakości, ale nigdy nie umiałabyś jej zobaczyć. Rzeczywistość nie jest dla ciebie realna. Traktujesz ją jako surowiec i urabiasz z niego historię, która bardziej ci się podoba. Nie potrafiłabyś po prostu posłuchać, jak chłopak gra na gitarze, ty musiałabyś zamienić to na wiersz, zrobić tak, żeby dotyczyło wyłącznie ciebie.

332Wróciłam do środka, rozłożyłam wszystkie jej listy na rozchwierutanym stole kuchennym Reny, listy od Starr i od Marvel, od Amelii i Claire, te ostatnie gorzkie odcinki. Starczyłoby ich, żebym się w nich na zawsze utopiła. Atrament jej pisma był pleśnią, złym urokiem na korze brzozy, wykoślawionym znakiem runicznym. Wzięłam nożyczki i zaczęłam ciąć, wykrawać paski jej słów, szatkować skomplikowany ciąg jej myśli. Teraz już mnie nie powstrzyma. Nie będę już dłużej patrzyła jej oczami.

Starannie dobrałam słowa ze sterty, położyłam je na szaro-białym blacie z linoleum i zaczęłam układać w linijki. Szary świt nabiegał kolorem brzoskwiniowym,

kiedy skończyłam.

Robi mi się niedobrze na myśl o Tobie

przewadze pustki

diaboliczne

niemożliwe

przekłete przesadnym mniemaniem o własnej wartości.

wolałabym, żebyś nie żyła

zapomniała o Tobie.

wrona

skuwająnas

fantazjami

sztuczny głos

doskonała imitacja

obciążenie kochać kogoś zapomniała o Tobie Ingrid Magnussen

zupełnie sama masturbuje się padlinożerna je słabo wysmażone

333opasujesz ramionami

trucizny

śmieci

granaty

Samotność krzyki w oddali zawsze

rozdrapujesz rany chcesz mnie wyssać na zewnątrz

Przestań

planować morderstwo

pokuty

Matka

symbol władzy zabraniam Ci Absolutnie nie możesz zabija od razu kulasie

Ty

kakofoniczna i kłótliva niepoczytalna diabolicznie całkiem żywa

wskaźnik paliwa na MAKSIMUM

Ponaklejałam je na kartki papieru. Oddaję ci je. Twoich niewolników. O Boże, podnoszą bunt. To Spartakus, Rzym płonie. Teraz splądruj miasto, mamó. Weź, co możesz, zanim wszystko się zamieni w popiół.

33427

Krystaliczne dni marca, tej niezwyklej pory roku, przyszły jak błogosławieństwo, królewskie, nasycone zapachem cedrów i sosen. Iglastozimne wiatry wymywały z powietrza wszelką nieczystość, było tak przejrzyste, że widziało się góry aż po Riverside, obwiedzione wyraźnym konturem jak w książeczkach z obrazkami, wietrzne chmury otrzepywały swe pierzaste boki jak w programie telewizyjnym o Everescie. W wiadomościach powiedzieli, że śnieg leży od wysokości tysiąca metrów. Były to ultramarynowe dni, przybrane gronostajem, noce jarzyły się wszystkimi dziesięcioma tysiącami gwiazd, migotały nad głową jak dowód matematyczny, obliczenie wplecione w kanwę pewnych fundamentalnych prawd.

Jak wyraźnie widziałam, odkąd przestałam mieć za oczami matkę. Urodziłam się na nowo Jak bliźnię syjamskie, które nareszcie zostało oddzielone od swego znieawidzonego, uciążliwego sobowtóra. Budziłam się wcześniej, podniecona jak małe dziecko, i czekał na mnie świat oczyszczony z trującej mgły mojej matki, jej mlecznych miazmatów. Ten roziskrzony błękit, ten marzec będzie moją metaforą, moimi insygniami, jak szata Maryi, błękit obszyty gronostajem, północ z diamentami. Kim teraz będę, kiedy odebrałam siebie matce, kiedy nareszcie stałam się Astrid Mag-nussen, samodzielną osobą?

Droga Astrid!

Brawo! Chociaż jako poezja Twój list pozostawia nieco do życzenia, przynajmniej pokazuje jakąś iskrę, z której może się zrodzić ogień, o który nigdy Cię nie podejrzewałam. Ale nie sądzisz chyba, że tak łatwo się ode mnie odetniesz. Żyję w Tobie, w Twoich kościach, delikatnych zwojach Twego umysłu. Stworzyłam Cię. Uformowałam myśli, które w sobie znajdujesz, nastroje, które w sobie nosisz. Twoja krew szepcze moje imię. Nawet zbuntowana, jesteś moja.

Chcesz mojej pokuty, żądasz pokajania się? Dlaczego

335chcesz, abym się umniejszyła, żebyś łatwiej mogła postawić na mnie krzyżyk? Wolałabym już, żebyś uznała mnie za groteskową, przerośniętą fantazjami.

Nie jestem już w pawilonie o zaostrzonym rygorze, dziękuję, że spytałaś. W pawilonie B, oprócz innych epistoł, czekał na mnie list od „Harper's”. Co za pienia, więzienna Plath! (Chociaż nie jestem samobójczynią, upieczoną poetkąz głową między ziemniakami).

Nie spisuj mnie tak szybko na straty, Astrid. Są ludzie, którzy interesują się moją sprawą. Nie będę tu pleśniała jak człowiek w żelaznej masce. Mamy koniec milenium, wszystko się może zdarzyć. A jeśli musiałam zostać bezprawnie uwięziona, żeby „Harper's” zwróciło na mnie uwagę — cóż, można wręcz powiedzieć, że było warto.

Pomyśleć, że kiedy byłam na wolności, mogłam uznać dzień za udany, jeśli dostałam ręcznie napisaną odmowę z „Dog Breath Review”.

Biorą długi wiersz z motywami ptasimi — o więziennych wronach, wędrownych gęsiach, użyłam nawet gołębi, pamiętasz je? Na St. Andrews' Place. Oczywiście że pamiętasz. Wszystko pamiętasz. Bałaś się zniszczonego gołębnika, nie chciałaś wyjść do ogrodu, zanim nie postukałam kijem w kępach trawy, żeby przegonić węże.

Zawsze się bałaś nie tego, co trzeba. We mnie znacznie większy niepokój budził fakt, że gołębie powróciły, choć siatki klatek dawno zastąpił bluszcz.

Chcesz spisać mnie na straty? Spróbuj. Kiedy będziesz odcinała deskę, na której stoisz, zastanów się, który jej koniec jest przybity do statku.

Ja przeżyję, ale Ty? Ja mam następujące osoby — nazywam je swoimi dziećmi. Młode zakolczykowane artystki, przejęte podziwem, odbywają tu pielgrzymki z Fontany i Long Beach, Sonomy i San Bernardino, nawet z Vancouver. I pozwolę sobie powiedzieć, że znacznie bardziej przypadają mi do smaku niż drżące aktorki z dwukaratowymi obrączkami

336ślubnymi. Twierdzą, że tworzą sieć zbuntowanych feministek, lesbijek, czarownic wicca* i performerów z całego Zachód-niego Wybrzeża, coś w rodzaju Świty Podziemnej Bogini. Są gotowe mi pomóc na tyle, na ile mogą; są gotowe wszystko mi wybaczyć. Dlaczego Ty nie możesz mi wybaczyć?

Twoja kochająca matka Padlinożerna Wrona-Onanistka

PS Mam dla Ciebie niespodziankę. Właśnie miałam spotkanie z moim nowym adwokatem, Susan D. Valeris. Poznajesz to nazwisko? Adwokat potępionych kobiet. Ta z czarnymi kręconymi włosami i karminowymi ustami. Przyjechała tu po to, żeby zrobić karierę na moim męczeństwie. Nie będę jej go żałowała — starczy dla wszystkich.

Stałam w drzwiach i patrzyłam, jak znad gór podnoszą się chmury. Nie wypuszczają jej. Zabiła człowieka, miał zaledwie trzydzieści dwa lata. Dlaczego miałoby się liczyć, że ona jest poetką, więzienną Plath? Przez nią umarł człowiek. Nie był ideałem, egoista, miał swoje wady, ale co z tego? Zrobiłaby to znowu, następnym razem mając jeszcze mniej powodów. Spójrzcie, jak skrzywdziła Claire. Nie mogłam uwierzyć, że jakkolwiek adwokat ma ochotę ją reprezentować.

Nie, zmyśliła to sobie. Próbuje złapać mnie w sidła, podłożyć mi nogę, wsadzić z powrotem do swojego wora. To się jej już więcej nie uda. Uciekłam z jej dziwnej macicy i nie dam się zwabić z powrotem. Niech owija swoje nowe dzieci w fantazje, spiskuje z nimi pod figowcami na wybiegu dla odwiedzających. Dobrze wiem, czego należy się bać. Oni nie mają pojęcia, że w bluszczu są węże.

* Wicca — forma białej magii, zazwyczaj związanej z naturą i wywodzącej się z religii przedchrześcijańskich.

337W Marshall High School na historii Stanów Zjednoczonych przerabialiśmy wojnę domową. W klasie było za mało ławek, uczniowie siedzieli na parapetach i na szafkach z tyłu. Ogrzewanie nie działało i pan Delgado miał na sobie gruby zielony sweter, który ktoś dla niego udziergał. Pisał na tablicy słowo „Gettysburg”, a ja próbowałam uchwycić w liniowanym zeszyte gruby splot jego swetra i dziwny sposób trzymania kredy. Potem spojrzałam na zdjęcie wielkiego pola bitwy w podręczniku do historii, który leżał otwarty na ławce szkolnej.

Oglądnałam zdjęcie w domu przez szkło powiększające, przez które było widać, że zwłoki nie mają butów, karabinów, mundurów. Leżały na krótkiej trawie w skarpetkach, z oczami utkwionymi w zachmurzonym niebie, i nie dało się powiedzieć, po której są stronie. Krajobraz kończył się na rzędzie drzew w oddali, jak scenografia w teatrze. Wojna przeniosła się dalej, nie zostawiła po sobie nic prócz trupów.

W trzydniowej bitwie pod Gettysburgiem walczyło 150 000 ludzi. Co trzeci zginął. 50 000 trupów. Nie do ogarnięcia umysłem. Jakby ktoś wytargał gigantyczną dziurę w

tkaninie istnienia i w ciągu trzech dni przeszłoby przez nią pięćdziesiąt tysięcy dusz. Claire umarła, Barry umarł, ale pod Gettysburgiem zginęło pięćdziesiąt tysięcy. Jak Bóg mógł patrzeć na nich i nie zapłakać? Jak mógł pozwolić, by nad Gettysburgiem jeszcze kiedykolwiek weszło słońce?

Przypomniałam sobie, jak oglądałyśmy z matką pole bitwy we Francji. Pojechałyśmy pociągiem na północ, podróż była długa. Moja matka była ubrana na niebiesko. Jechała z nami kobieta z gęstymi czarnymi włosami i mężczyzna w znoszonej skórzanej kurtce. Jedliśmy w pociągu szynkę i pomarańcze. Pomarańcze miały plamy, jakby podskórnie krwawiły. Na stacji kupiliśmy maki i pojechaliśmy taksówką za miasto. Było zimno, wiatr przyginał do ziemi brązową trawę. Nakrapiana białymi kamieniami równina była zupełnie pusta, a wiatr przewiewał na wskroś mój cienki płaszcz. Gdzie to jest, spytałam, *lei*, odparł mężczyzna, głaszcząc swoje jasne wąsy. We włosach miał biały gips.

338Patrzyłam na krótką zmarszczoną trawę, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, że umierali tam żołnierze, huczały działa, było tak cicho, tak pusto, mak w mojej dłoni pulsował czerwono jak serce. Robili sobie nawzajem zdjęcia na tle żółtoszarego nieba. W drodze powrotnej kobieta dała mi czekoladę w złotku.

Wciąż miałam w ustach smak tej czekolady, czułam w dłoni kwiat maku. I miałam pod powiekami obraz tego mężczyzny. Etienne. Światło spływało przez świetlik w suficie do jego pracowni, przez szkło zbrojone drutem. Zawsze było tam zimno. Betonowa, szara podłoga. Stara, szara kanapa ze stertami gazet po bokach, wszystko pokryte białym pyłem od gipsu, z którego robił swoje rzeźby, gips pokrywał drut i szmaty. Bawiłam się tam drewnianym manekinem, ustawiałam go w różnych pozach, kiedy moja matka pozowała Etienne'owi.

Tyle bieli. Jej ciało, gips, pył, byliśmy biali jak piekarze. Stary grzejnik, który Etienne postawił koło jej stolka, głównie burczał i pluł wonią spalonych włosów. Etienne puszczał francuski rock and roll. Do tej pory czułam w kościach, jak było zimno. Na haku wisiał szkielet, którego mogłam zmusić do tańca.

Posłała mnie na dół do sklepu po butelkę mleka. *Une bouteille du lait*, ćwiczyłam po drodze. Nie chciałam iść, ale mi kazała. Butelka miała kapsel z jasnego sreberka. Zgubiłam się w drodze powrotnej. Chodziłam w kółko, zbyt przerażona, żeby płakać,

ściskałam w rękę butelkę, a wokół zapadał zmierzch. Kiedy byłam już zbyt zmęczona, aby dalej chodzić, usiadłam na schodach bloku mieszkalnego pod rzędem przycisków, które rozświetlały się po naciśnięciu. Szklane drzwi z łukowatą klamką. Zapach francuskich papierosów, spalin z rur wydechowych. Mijały mnie flanelowe nogawki spodni, pończochy i wysokie obcasy, wełniane płaszcze. Byłam głodna, ale bałam się otworzyć mleko, bałam się, że będzie na mnie zła.

Nagle zobaczyłam ślepe okna z mego snu.

Ou est ta mama? Pytały pończochy, pytały nogawki. *Elle rivienu* powiedziałam, ale nie wierzyłam w to.

Moja matka wyskoczyła z taksówki w płaszczu z afgańskiej

339wełny z haftem i wełnianym obszyciem. Krzyknęła na mnie, złapała mnie za ramię. Butelka wyśliznęła mi się z rąk. Mleko rozlane na chodniku. Lśniaca biel, ostre kawałki szkła.

Po drodze do domu odbiłam zdjęcie pola bitwy na ksero i posłałam jej z trzema wyciętymi słowami, luźno wrzuconymi do koperty:

KIM NAPRAWDĘ JESTEŚ?

Po kolacji siedziałam na szmaciaku w swoim pokoju, wycinałam z okładek starych czasopism postacie do teatrzyku cieni i mocowałam je do szpikulców, które zabrałam z Tiny Thai. Były to postacie mityczne, pół zwierzęce, pół ludzkie — Król Małp, rogaty mężczyzna, którego co roku składano w ofierze dla użyźnienia ziemi, mądry centaur Chiron, krowiogłowa Izyda, Meduza i Minotaur, Dionizos i Koronis, Messene z jej najnowszym sposobem zarabiania pieniędzy. Nawet smutny Dedal i jego upierzony chłopiec.

Przyszywałam ramię Minotaura do jego ciała, kiedy usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Piżmo, zapach czegoś skradzionego. Sergei oparł się o framugę drzwi, złożył umięśnione ramiona, miał na sobie sztywną białą koszulę i dżinsy, złoty zegarek na jego nadgarstku przypominał zegar okrętowy. Oczy biegały po pokoju, rejestrowały przedmioty: ubrania w pudłach, moje torby z blokami rysunkowymi i skończonymi rysunkami, kwieciste zasłony płowiejące pastelowo. Ogarniał wszystko wzrokiem, lecz nie jak artysta, który widzi formę, widzi cień. Było to spojrzenie zawodowca, który w

milczeniu ocenia możliwości: dałoby się wynieść coś przez okno i rzucić na pakę pikapa? Nie zauważył jednak nic wartego zachodu. Poprzecierany dywan, stare łóżka, papierowy konik Yvonne, przycisk do papieru z brokatem zamiast śniegu i napisem Universal Studios Tour. Pokręcił głową. — Pies by tu nie mieszkał — powiedział. — Astrid. Co zamierzasz zrobić?

Przywiązałam ramię Minotaura do szpikulca, poruszałam nim

340w górę i w dół przed lampą, powtórzyłam słowa Sergeia, przedrzeźniając jego ciężki akcent: — „Pies by tu nie mieszkał”. Dzieci tak, ale psy nie. Psy nie. — Minotaur pokazał na niego. — Masz coś przeciwko psom?

— Bawisz lalkami — powiedział z uśmiechem. — Czasem jesteś kobieta, czasem mała dziewczynka.

Włożyłam Minotaura do puszki razem z innymi — bukiet papierowych półbogów i monstrów. — Reny nie ma. Pije z Natalią.

— Kto powiedział, że przyszedłem do Reny? — Sergei od-kleił się od framugi i wszedł do środka, ot, tak sobie, niewinnie jak złodziej sklepowy. Podnosił rzeczy z podłogi i kładł je dokładnie na swoje miejsca, bezszelestnie. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Jakby jeden z moich ludzi-zwierząt zbudził się do życia, jakbym go przywołała. Ile razy myślałam o tej właśnie chwili, Sergei przybywa z wizytą, jak przyzwany przez kota miauczącego na płocie z tyłu. Czulałam się zażenowana, wydzielalam kocią woń kobiety, zapach pożądania, który przywiódł go do mnie.

Sergei wziął do ręki przycisk do papieru Yvonne, potrząsnął nim i patrzył, jak opada brokat. W salonie był włączony telewizor, Yvonne oglądała jakiś modny nocny serial o przebojowych młodych ludziach, którzy nosili ciuchy od Freda Segala, mieli ładne fryzury i bardziej wyrafinowane problemy niż ona. Wsadził palec do pudełka z cieniem do powiek Yvonne, pomazał nim sobie powiekę.

— Co myślisz? — Uśmiechnął się, przekręcając głowę na bok, oglądał się, przyglądając dłonią blond włosy, próżny jak kobieta. Patrzył na mnie w lustrze.

Miał szerokie, senne powieki, srebrny kolor pasował do nich. Wyglądał jak księżę w balecie, lecz wydzielalam zdecydowanie zwierzęcą woń, nasycal pokój pizmem. Kiedyś ukradłam jego podkoszulek właśnie dla tego zapachu. Ciekawiło mnie, czy się

zorientował.

— Astrid. — Usiadł na brzegu mojego łóżka, położył grube

341ramię z żyłami jak linki na pionowej desce. Nie było nawet słyszeć skrzypienia sprężyn, kiedy siadał. — Czemu mnie unikasz? Zaczęłam wycinać syrenę z długimi secesyjnymi włosami z okładki starego „Scientific American”.

— Jesteś jej chłopakiem. Chcę tu mieszkać. Dlatego cię unikam. Ten mruczący, koci głos.

— Kto jej powie? Ja? Ty? Znam cię trochę, Astrid *krasawica*. Nie taka porządna dziewczyna. Ludzie tak myślą, ja widzę co innego.

— Co widzisz? — spytałam, zaciekawiona, jakim to dziwnym zniekształceniom uległ mój obraz przetwarzany przez system kanalizacyjny umysłu Sergeia.

— Patrzysz na mnie, podobam ci. Czuję, patrzysz, ale potem odwracasz. Może boisz, że będziesz miała jak tamta, *da*? — Szarpnął głową w stronę frontu domu, Yvonne, pokazał duży brzuch. — Nie ufasz. Nigdy bym ci nie zrobił dziecka.

Tak jakby o to chodziło. Bałam się, ale nie tego. Wiedziałam, że jeśli pozwolę mu się dotknąć, to nie będę potrafiła tego zatrzymać. Przypomniałam sobie dzień, w którym moja matka poszła ze znajomymi na drinka do obrotowego baru na górze hotelu Bonaventure i poczułam, jak coś ciągnie mnie do okna, nicość mnie ciągnęła. Tego samego uczucia doznawałam za każdym razem, gdy byłam w jednym pomieszczeniu z Sergiejem, to zsuwanie się ku upadkowi.

— Może lubię Renę — powiedziałam, robiąc w ogonie syreny maleńkie nacięcia, które udawały łuski. — Kobiety nie bardzo lubią, kiedy ktoś się łądaczy z ich kochankami.

Uśmiech rozlał mu się po całej twarzy.

— Nie martw o Renę. — Roześmiał się, dudniący śmiech wychodził gdzieś spod paska, obcisłych džinsów. — Ona nie lubi nic na długo. Lubi zmieniać. Dzisiaj Sergei, jutro inny. Cześć, pa, nie zapomnij kapelusz. Ale dla ciebie coś innego. Patrz.

Wyjął coś z kieszeni koszuli. Zalśniło jak robaczek świętojański. Był to naszyjnik, brylant na srebrnym łańcuszku. — Znalazłem, leżało na ulicy. Chcesz?

Próbuje mnie kupić za skradziony naszyjnik? Nie mogłam się

342powstrzymać od śmiechu. Znalazł na ulicy. Raczej w czyjejś szafce nocnej. Albo nawet na szyi jakiejś kobiety, kto wie? „Ostrożnie zdejmuję suwane szklane drzwi na parterze willi w Mar Vista”. Pedofil częstuje dziecko cukierkiem, proponuje przejechanie się jego samochodem. A więc w taki sposób ktoś taki jak Sergei uwodzi kobietę, której pożąda. A przecież wystarczył sam jego zapach, głos, niebieskie linki żył pod skórą ramion, te senne niebieskie oczy, teraz roziskrzzone pod srebrnymi powiekami, ten uśmiech przestępcy.

Zrobił smutną minę. — Astrid. Piękna dziewczyna. To mój prezent od serca.

Serce Sergeia. Ten pusty korytarz, ten duszny pokój. „Sentymentalizm to wzbudzanie w sobie uczuć, których się naprawdę nie posiada”. Gdybym była porządną dziewczyną, poczułabym się obrażona, wywaliłabym go na zbity pysk. Nie zwracałabym uwagi na jego uśmiech, na jego kształt wewnątrz dżinsów. Ale on mnie znał. Czuł zapach mojego pożądania. Czulałam, że zsuwam się w stronę okien ciągnięta przez puste powietrze.

Zapiął mi łańcuszek na szyi. Potem wziął moją dłoń i przyłożył sobie do krocza, ciepłego, poczułam, jak twardnieje. To było obrzydliwe, lecz podniecało mnie, że go czuję w dłoni, mężczyznę, którego pragnęłam tak samo, jak skoku z okna. Pochylił się i pocałował mnie tak, jak chciałam być całowana, mocno, smakując wczorajszą popijawą. Rozsunął zamek mojej poliestrowej koszuli, ściągnął mi przez głowę, zdjął mi spódnicę i rzucił na łóżko Yvonne. Jego dłonie budziły mnie ze snu, nawet nie wiedziałam, że śpię, zasnęłam już tak dawno.

Potem przerwał, więc otworzyłam oczy. Patrzył na moje blizny. Odczytywał palcami brajla ugryzień psów na moich ramionach i nogach, potem blizny po kulach, na ramieniu, na żebrach i biodrze, mierzył kciukiem ich głębokość, obliczał, jak poważne były rany i kiedy zostały zadane. — Kto ci zrobił?

Jak miałam mu wyjaśnić, kto mi to zrobił. Musiałabym zacząć od daty urodzenia. Zerknęłam na drzwi, wciąż otwarte, słyszałam telewizor. — Co to ma być, wystawa?

343Zamknął je bezszelestnie, rozpiął koszulę i powiesił na krześle, zrzucił spodnie. Ciało białe jak mleko, pożyłkowane na niebiesko, przerażające, chude i gęste jak marmur. Zaparło mi dech. Jak można pomylić prawdę z pięknem, pomyślałam, patrząc na niego. Prawda ma zapadnięte oczy, jest koścista i pokiereszowana, rozkłada się. Ma zepsute

zęby, siwe i zmierzwione włosy. Piękno jest zaś puste jak bania, próżne jak paw. Ale ma w sobie siłę. Pachnie piżmem i pomarańczami, każe ci zamknąć oczy jak do modlitwy.

Umiał mnie dotykać, wiedział, co lubię. Nie zdziwiło mnie to. Znów grzeszyłam, rozkraczałam się dla ojca. Jego usta na moich piersiach, jego dłonie na moim tyłku, między udami. Nie było poezji w naszym grzmoceniu się na żółtej kordonkowej narzucie na podłodze. Ustawiał mnie w pozycjach, jakie lubił, moje nogi na jego ramionach, ujeżdżał mnie jak Kozak. Stał z ramionami splecionymi za moimi plecami, żeby utrzymać mój ciężar, kiedy wbijał się we mnie. Zobaczyłam nas w lustrze szafy ubraniowej. Byłam zdziwiona, w jak niewielkim stopniu przypominam siebie, ciężkie powieki, rozerotyzowany uśmiech, nie Astrid, nie Ingrid, nigdy wcześniej nie widziałam tej kobiety, duży tyłek, długie nogi oplatające go, jaka jestem długa, jaka biała.

Droga Astrid!

Studentka literatury współczesnej przyjechała zrobić ze mną wywiad. Chciała się dowiedzieć o mnie wszystkiego. Rozmawiałyśmy godzinami; wszystko, co jej powiedziałam, było kłamstwem. Jesteśmy czymś więcej niż nasze biografie, moje kochanie. Ty najlepiej powinnaś o tym wiedzieć. W końcu czym jest biografia ducha? Byłaś córką artystki. Miałaś piękno i zadziwienie, byłaś karmiona geniuszem razem z musem jabłkowym, z pocałunkiem na dobranoc. Potem miałaś plastikowego Jezusa i podstarzałego kochanka z siedmioma palcami, byłaś zakładniczką przetrzymywaną w turkusie, byłaś rozpieszczaną córką cienia. Teraz jesteś przy Ripple Street, skąd przysyłasz mi zdjęcia trupów i tworzysz złe wiersze z moich słów, chcesz wiedzieć, kim jestem?

344 Kim jestem? Jestem tym, kim mówię, że jestem, a jutro kimś zupełnie innym. Jesteś zbyt nostalgiczna, chcesz żeby pamięć Cię ochroniła, otuliła. Przeszłość jest nudna i uciążliwa. Liczy się tylko nasze własne ja i to, co stworzymy z tego, czego się nauczyliśmy. Wyobraźnia bierze, co jest jej potrzebne, a resztę wyrzuca — a Ty chcesz zbudować muzeum tych resztek.

Nie magazynuj przeszłości, Astrid. Nie pielęgnuj żadnych wspomnień. Spal wszystko. Artysta jest feniksem, który płonie, żeby zaistnieć.

Matka

Rozdzieliłam nasze brudne ubrania w pralni samoobsługowej, kolorowe od

białych, do prania w niskiej temperaturze, do prania w wysokiej temperaturze. Lubiłam robić pranie, lubiłam sortowanie, wrzucanie monet, kojący zapach proszku i suszarek, dudnienie pralek, trzaskanie bawełny i drelichu, gdy kobiety składały swoje ubrania, swoją świeżą pościel. Dzieci bawiły się koszami na pranie swoich matek, zakładały je na głowę jak klatki, wsiadały do nich jak do łodzi. Też chciałam wsiąść do koszyka, udawać, że żegluję.

Moja matka nienawidziła wszelkich sprzątań, zmywań*, prań i tak dalej, szczególnie tych, które trzeba było robić publicznie. Czekala, aż wszystkie nasze ubrania będą brudne, czasem prała bieliznę w umywalce, żebyśmy mogły odłożyć to o kilka dni. Kiedy nie dało się już dłużej tego odwlekać, szybko załadowałyśmy pralki i wychodziłyśmy, do kina, do księgarni. Za każdym razem po powrocie znajdowałyśmy nasze rzeczy mokre, wyrzucone na pralki albo na składane stoły. Zawsze czułam się zażenowana, że ktoś miał w rękach nasze rzeczy. Wszyscy inni mogli zostać i pilnować prania, dlaczego my nie mogliśmy? „Bo my nie jesteśmy wszyscy — mówiła moja matka. — Nawet w niewielkim stopniu nie przypominamy wszystkich”.

Oprócz tego, że nawet ona miała brudne rzeczy do prania.

Kiedy pranie było suche, pościel względnie biała, jechałam do

345domu pikapem Niki, pożyczala mi go na specjalne okazje, na przykład kiedy była za bardzo pijana, żeby prowadzić albo kiedy jechałam uprać jej rzeczy. Zaparkowałam na podjeździe. Na frontowych schodach siedziały dwie dziewczyny, których wcześniej nie widziałam. Białe, świeże twarze, bez makijażu. Jedna w kwiecistej sukience retro, piaskowe włosy upięte w kok przekłuty chińską pałeczką. Druga miała ciemne, czyste włosy do ramion, ubrana była w dżinsy i różowy bawełniany golf. Pod bawełną sterczały małe sutki.

Dziewczyna w sukience retro wstała, mrużąc oczy od słońca, oczy miała w takim samym szarym kolorze co sukienka, piegi. Uśmiechnęła się niepewnie, kiedy wysiadłam z pikapa.

— Czy ty jesteś Astrid Magnussen? — spytała.

Ściągnęłam z siedzenia pasażera worek na śmieci pełen poskładanych ubrań, potem dźwignęłam drugi z paki. — A kogo to interesuje?

— Jestem Hannah — powiedziała. — A to jest Julie. Druga dziewczyna też się uśmiechnęła, lecz nie tak szeroko. Nigdy wcześniej ich nie widziałam. Na pewno nie chodziły do

Marshall, a jak na opiekunki z ośrodka były za młode. — No i co? Hannah, zaróżowiona z zakłopotania, spojrzała na ciemnowłosą Julie, szukając u niej wsparcia. Nagle uświadomiłam sobie, jak się muszę czuć. Zapyziała dzielnica. Moja kredka do oczu, moja koszula z czarnego poliestru, moje ciężkie czarne buty, moja kaskada srebrnych kolczyków, kółka rozmiarów od pierścionka na mały palec po piłkę do softballu. Niki i Yvonne przekłuły mi raz uszy, kiedy się nudziły. Pozwoliłam im. Sprawiało im przyjemność, że mogą mnie kształtować. Dowiedziałam się jednak, że cokolwiek powiesz mi na uszach albo nałożą na plecy, jestem nierozpuszczalna jak piasek w wodzie. Zamieszaj mnie, zawsze opadnę na dno.

— Przyszliśmy cię poznać, wiesz, sprawdzić, czy nie mogłybyśmy czegoś dla ciebie zrobić — powiedziała Hannah.

— Znamy twoją matkę — powiedziała Julie. Miała głębszy głos, spokojniejszy. — Odwiedzamy ją w Corona.

Jej dzieci. Jej nowe dzieci. Na moje miejsce. Optymistyczne

346i nowo narodzone. Cierpiące na amnezję. Tułam się po zastępczych rodzinach od sześciu lat, głoduję, moje ciało jest polem bitwy, duszę mam pokancerowaną i pełną wyrw jak oblężone miasto, a teraz na moje miejsce przychodzi coś nieokaleczonego, coś nienaruszonego?

— Studiujemy w Pitzer College, w Pomonie. Przerabialiśmy ją na Women Studies. Odwiedzamy ją co tydzień. Tak dużo wie na każdy temat, jest naprawdę niesamowita. Za każdym razem zwala nas z nóg.

Co ona sobie myśli, przysłała mi jakieś studentki? Chce zmielić mnie na talk, na mąkę do jakiegoś gorzkiego chleba? Czy to jest najwyższa kara za moją odmowę zapomnienia?

— Czego ona ode mnie chce?

— Och, nie, ona nas nie przysłała — powiedziała Hannah. — Same chcieliśmy przyjechać. Ale powiedziałyśmy jej, że zawieziemy ci egzemplarz wywiadu, wiesz? —

Podniosła go góry czasopismo, które trzymała zwinięte w rulon, zaczerwieniła się głęboko. Trochę zazdrościłam jej tego rumieńca. Ja nie umiałam się już tak czerwienić. Niczego się już nie wstydziłam. Czulałam się stara, wymiętoszona nie do poznania jak but rzucony psu. — A potem pomyślałyśmy, że skoro już wiemy, gdzie mieszkasz, to mogłybyśmy... — Uśmiechnęła się bezradnie.

— Pomyślałyśmy, że przyjedziemy sprawdzić, czy mogłybyśmy ci pomóc albo coś — powiedziała Julie.

Widziałam, że się mnie boją. Sądziły, że córka mojej matki będzie kimś innym, bardziej podobnym do nich. Czymś łagodnym, szeroko otwartym. Zobaczyły coś dzikiego. Moja matka nie budziła w nich strachu, aleja tak.

— Czy to jest ten wywiad? — spytałam, wyciągając rękę po czasopismo.

Hannah próbowała wyprostować zagięcie strony na kwiecistym kolanie. Twarz mojej matki na okładce, za zbrojonym szkłem, rozmawia przez telefon w sali widzeń. Musiała coś przeskrobać, normalnie widzenia odbywały się przy stołach ogrodowych. Wyglądała pięknie, uśmiechnięta, zęby wciąż idealne,

347jedyna w całym więzieniu kobieta odsiadująca dożywocie z idealnymi zębami, ale oczy miała znużone. Literatura współczesna. Usiadłam obok Julie na pooblupywanych schodach frontowych. Hannah usiadła stopień niżej, sukienka ułożyła się w łuk jak u tańczącej Isadory. Otworzyłam czasopismo, przekartkowałam wywiad. Gesty mojej matki, dłoń płasko na czole, łokcie na parapecie. „Jesteśmy czymś więcej niż nasza biografia”.

— O czym z nią rozmawiacie?

— O poezji — wzruszyła ramionami Hannah. — O tym, co przeczytałyśmy. O muzyce, o różnych rzeczach. Czasami mówi o tym, co widziała w wiadomościach. Jakieś zupełnie błahe rzeczy, ale ona to widzi z tak niezwykłej strony, że to po prostu niesamowite.

Przemiany światowe.

— Mówi o tobie — powiedziała Julie. To mnie zaskoczyło. — Co mówi?

— Że jesteś, no, w rodzinie zastępczej. Ma straszne wyrzuty sumienia z powodu tego, co się stało —• powiedziała Hannah. — Przede wszystkim wobec ciebie.

Spojrzałam na te dziewczęta, studentki, z ich świeżymi twarzami bez makijażu, ufne, zatroskane, i poczułam dzielącą nas przepaść — to wszystko, czym nie będę, bo jestem, kim jestem. Za dwa miesiące kończyłam szkołę, ale wiedziałam na pewno, że nie pójdę do Pitzer College. Byłam starym dzieckiem, przeszłością, którą należało spalić, aby moja matka, feniks, mogła znów zacząć istnieć, złocisty ptak wstający z popiołów. Próbowałam zobaczyć matkę ich oczami. Piękna, uwięziona poetycka dusza, cierpiący geniusz. Czy moja matka cierpi? Zmusiłam się do wyobrażenia sobie tego. Z pewnością cierpiała, kiedy Barry najpierw się z nią przespał, a potem wyrzucił ją ze swego domu. Ale kiedy go zabiła, cierpienie to zostało w jakiś sposób odkupione. Czy cierpi teraz? Nie wiedziałam.

— Więc pomyślałyście sobie, że przyjdziecie i co? — spytałam. — Adoptujecie mnie?

Roześmiałam się, lecz one nie. Zrobiłam się zbyt twarda, może bardziej przypominałam moją matkę, niż myślałam.

348Julia rzuciła Hannah spojrzenie w stylu „A nie mówiłam?” A więc to był pomysł tej piaskowowłosej.

— No, coś w tym rodzaju. Gdybyś chciała.

Ich szczerść tak nieoczekiwana, ich współczucie tak źle ulokowane.

— Chyba nie uważacie, że go zabiła?

Hannah szybko potrząsnęła głową. — To wszystko była potworna pomyłka. Koszmar. Ona mówi o tym wszystkim w wywiadzie.

Jasne, że mówi — zawsze osiąga wyżyny swoich możliwości, kiedy ma publiczność.

— Coś powinnyście wiedzieć — powiedziałam. — Ona naprawdę go zabiła.

Hannah wybałuszyła na mnie oczy. Julie uciekła wzrokiem, przeniosła go na przyjaciółkę. Były zszokowane. Opiekuńcza Julie podeszła ku swej wiotkiej przyjaciółce i nagle poczułam się okrutna, jakbym powiedziała małym dzieciom, że Święty Mikołaj nie istnieje, to ich rodzice wkładają prezenty pod poduszkę, kiedy one śpią. Ale one nie były małymi dziećmi, lecz kobietami, podziwiały kogoś, kogo zupełnie nie znały. Spójrz chociaż raz na tę wiedźmę prawdę, studentko.

— To nieprawda — powiedziała Hannah. Pokręciła przecząco głową, potem jeszcze

raz, jakby nie mogła z niej wytrząsnąć moich słów. — To nieprawda. — Chciała, żebym jej to potwierdziła.

— Byłam przy tym — powiedziałam jej. — Widziałam, jak miesza truciznę. Ona nie jest taka, jak się wydaje.

— To nie zmienia faktu, że jest wielką poetką — powiedziała Julie.

— Tak. Morderczynią i poetką.

Hannah bawiła się guzikiem swej sukienki w kolorze błękitu paryskiego i nagle się urwał, został jej w dłoni. Patrzyła na niego z twarzą czerwoną jak barszcz z buraków.

— Musiała mieć swoje powody. Może ją bił.

— Nie bił jej — odparłam. Podparłam się rękami i wstałam. Nagle poczułam się bardzo zmęczona. Może zostało jeszcze trochę marychy w pokoju Niki.

349 Julie podniosła na mnie wzrok, jej brązowe oczy były poważne i spokojne. Wyglądała na rozsądniejszą od Hannah, zdziwiło mnie, że okazała się równie podatna na czarodziejskie sztuczki mojej matki.

— W takim razie dlaczego to zrobiła?

— Dlaczego ludzie zabijają ludzi, którzy ich zostawili? Bo czują się zranieni i wściekli, i nie mogą znieść tego uczucia.

— Mnie też zdarzyło się coś takiego — powiedziała Hannah. Światło zniżającego się słońca muskało niesforne kosmyki jej włosów, tworząc strzępiastą aureolę wokół włosów.

— Ale go nie zabiłaś — powiedziałam.

— Miałam ochotę.

Popatrzyłam na nią, jak ścisła w dłoniach brzeg kwiecistej sukienki retro, rozchylonej w miejscu, gdzie odpadł guzik — brzuch miała różowy.

— Jasne. Może nawet fantazjowałaś o tym, jak go zabijesz. Nie zrobiłaś tego. To olbrzymia różnica.

Na juce u sąsiadów śpiewał drozd, przyskajac płynnym dźwiękiem.

— Może nie taka duża — skontrowała Julie. — Po prostu niektórzy są bardziej impulsywni od innych.

Prasnęłam się w nogę czasopismem. Muszą ją jakoś usprawiedliwić. Ochronić Boginię Piękną, choćby nie wiem co. „Gotowe są mi wszystko wybaczyć”. — Słuchajcie, dzięki, że przyjechałyście, ale muszę iść do środka.

— Napisałam swój numer z tyłu czasopisma — powiedziała Hannah, wstając. — Zadzwoń, jeśli, wiesz, jeśli będziesz chciała.

Jej nowe dzieci. Stałam na ganku i patrzyłam, jak wracają do samochodu. Prowadziła Julie. Był to zielony oldsmobile kombi, retro, taki duży, że miał szyberdachy. W silniku coś dzwoniło, kiedy odjeżdżały. Wzięłam czasopismo i wyrzuciłam je do śmieci. Próbuje przemycić swoje kłamstwa, jak jakaś podstarzała Salome ukrywająca się za welonami. Mogłabym powiedzieć jej dzieciom parę rzeczy o ich matce. Mogłabym im powiedzieć, że nigdy nie znajdą kobiety wewnątrz tych połyskujących szat, od

350których bije woń pleśni i fiołków. Pod każdym woalem jest następny. Musiałyby je zedrzeć jak pajęczyny, brutalnie, lecz w takim samym tempie pojawiałyby się następne. W końcu owinęłaby je swymi jedwabiami jak muchy, aby je strawić w wolnej chwili, a potem znów okryłaby twarz tiulem — księżyc spowity obłokami.

28

Niki odłamała opłatek LSD i położyła mi na języku, potem sama zażyła. Opłatki były na małych arkusikach papieru zadrukowanego różowymi flamingami na motocyklach. Siedziałyśmy na ganku i patrzyłyśmy na wrak starej riviery sąsiada ustawionej na klockach. Pogoda robiła się coraz cieplejsza i bardziej rozmazana, letnia jak woda w wannie, wilgotna jak odwirowana skarpetka. Nic nie poczułam. — Może powinnyśmy wziąć jeszcze po jednym. — Jeśli już to robić, to tak, żeby odlecieć. Yvonne uważała, że jesteśmy pomyłone, paprając sobie w ten sposób w głowach, ale mnie było już wszystko jedno. Susan D. Valeris dzwoniła do mnie już trzy razy. Przestałam odbierać telefony i powiedziałam Renie, żeby się rozłączała, jeśli ktoś zapyta o mnie.

— To chwilę trwa — powiedziała Niki. — Będziesz wiedziała, kiedy zaczniesz działać. Uwierz mi, nie prześpisz tego.

Przez prawie godzinę nic się nie stało, byłam pewna, że Niki ma zły towar, ale potem się zaczęło, w jednej chwili, jak winda. Niki roześmiała się i pomachała mi ręką przed twarzą. Jej palce zostawiały w powietrzu smugi. — Teraz czujesz się naszprycowana?

Skórę miałam gorącą i piekącą, jakby wyskoczyła mi wysypka, ale naprawdę pozostała taka sama, to niebo się zmieniło. Opustoszało. Zrobiło się ślepe jak ogromne białe oko z kataraktą. Poczułam lęk pod tym straszliwie pustym niebem. Jakby Bóg postarzał się i oślepl. Może już nie chce więcej widzieć. Potrafiłam to zrozumieć. Wszystko wokół nas było takie samo jak

351zawsze, tyle że tym razem nie dało się tego wytrzymać. Zawsze tak bardzo się starałam nie myśleć o tym, jak tam jest ohydnie. Próbowałam znaleźć tę jedną piękną rzecz.

Ale po wzięciu LSD nie potrafiłam się od tego odgradzić, głębia ostrości wróciła. To było przerażające. Brzydota i niechlujstwo obezwładniły mnie, rozrastały się jak diabelski ogród – pooblupywane stopnie, cztery trupy samochodów na zachwaszczonym trawniku przed domem sąsiada, wrdzewiające się z powrotem w ziemię, żelazny płot sklepu z tanimi ciuchami zwieńczony drutem kolczastym, potłuczone szkło na ulicy. Pomyślałam, że mieszkamy na samym dnie LA, w miejscu, gdzie ludzie porzucają i podpalają skradzione samochody. W miejscu, gdzie osiada wszystko, co dryfuje. Zrobiło mi się niedobrze, skóra mi płonęła. W ustach miałam metaliczny smak, jakbym żuła folię aluminiową. Na ulicy zauważyłam martwego ptaka, rozplaszczonego, otoczonego miękkimi piórami.

Bałam się powiedzieć Niki o swoim lęku, pomyślałam, że jeśli uj mę to w słowa, to mogę zacząć krzyczeć i już nigdy nie przestać.

Cały świat został sprowadzony do tego, co widziałam wokół siebie – rumowisko bez życia. My same byłyśmy częścią miejskich odpadków tak jak rozplaszczony ptak, porzucone wózki sklepowe, wrak riviery. Czułam buczenie linii wysokiego napięcia, czułam, jak podskórne promieniowanie powoduje mutacje naszych komórek. Nikogo nie obchodzi ludzie, którzy tu mieszkają. Jesteśmy na końcu cywilizacji, która poddała się tutaj ze zmęczenia i starczego zniedołężnienia. Zostałyśmy tylko my, Niki i ja, jak karaluchy po końcu świata, buszujące wśród ruin, walczące o strzępy zwłok. Jak w moim śnie ze stopioną twarzą mojej matki. Bałam się spytać, czy moja twarz się topi. Nie chciałam zwracać na to uwagi Niki.

— Dobrze się masz? — Niki złapała mnie za włosy przy karku i delikatnie pociągnęła.

Pokręciłam głową, mikroskopijnie, nie byłam nawet pewna, czy to zrobiłam, czy tylko pomyślałam, że to robię. Bałam się jakichkolwiek gwałtowniejszych ruchów.

352— Nie martw się — powiedziała. — Zaraz się uspokoi.

Zamieniała się w pajacyka wyskakującego z pudełka na sprężynie, w szmacianą lalkę. Przypominałam sobie, że ją znam, że to tylko umysł płata mi figle. To jest Niki, powtarzałam sobie. Znam ją. Matka zostawiła ją w drogerii w Alhambra, Niki, która zawsze oblicza, szacuje szansę, wylicza procenty. Lubiłam patrzeć, jak przygotowuje się do pracy, w swoim wykrochmalonym stroju bawarskiej kelnerki wyglądała jak Heidi w filmie Warhol a. Nawet jeśli jej teraz nie rozpoznaję, to znam ją. Muszę się tego trzymać.

Pociłam się, pękałam jak stuletnie płyty chodnikowe w smu-żącym, gumowym słońcu.

— Możemy gdzieś pójść? — szepnęłam. Dygotałam i miałam mdłości. — Nienawidzę tego. Mówię serio.

— Ty powiedz, dokąd. — Oczy miała dziwne, czarne i guzi-kowate jak lalka.

W chłodnej ciszy sal impresjonistów w Okręgowym Muzeum Sztuki świat został mi zwrócony ze wszystkimi swymi kolorami, światłem i formami. Jak mogłam zapomnieć? Tutaj nic nie może mi się stać. To jest port, przyczółek prawdziwego świata, gdzie wciąż może istnieć sztuka, piękno, pamięć. Ileż to razy przychodziłam tutaj z Claire, z moją matką. Niki nigdy wcześniej tu niebyła. We dwójkę mijaliśmy łodzie rybackie kołyszące się na kotwicy, luminescencyjne cytrynowo-złoto-białe niebo przechodzące w bordowe, na pierwszym planie refleksy zroszonej wodą ulicy.

Stanęliśmy przed obrazem, na którym kobieta czytała książkę w ogrodzie, w cieniu, na skraju parku. Obrysowana na niebiesko sukienka z białego lnu szeleściła przy przewracaniu kartek. Ten rozkoszny niebieskozielony kolor, obraz pachniał miętą, trawa głęboka jak paprocie. Zobaczyłam na tym obrazie nas: Niki w powłóczystej bieli, ja sama w muślinie w kropki. Powoli pode-szliśmy do tej kobiety gotowej nalać herbatę. Byłam tutaj w galerii, ale także szłam przez wilgotną trawę, miałam poplamiony zielenią dół sukienki, której cienkie płótno przewiewał wiatr.

353LSD napływało falami, kołysaliśmy się od tego, stojąc przed obrazami. Ale już się nie bałam. Wiedziałam, gdzie jestem. Z Niki w prawdziwym świecie.

— To jest skan-kurwa-daliczne — szepnęła do mnie, trzymając mnie za rękę.

Niektóre obrazy otwierały się jak okna, jak drzwi, inne zaś pozostawały tylko pomalowanymi kawałkami płótna. Mogłam sięgnąć dłonią po brzoskwinie i wiśnie Cezanne'a na grubym, pomarszczonym białym obrusie, wziąć do ręki brzoskwinie i odłożyć z powrotem na talerz. Rozumiałam Cezanne'a.

— Zobacz, wiśnie widać z góry, a brzoskwinie z boku — powiedziałam.

— Wyglądają jak wiśniowe bomby — powiedziała Niki, ściągając palce razem, a potem rozpościerając je szeroko. Pulsujące lodyżki wiśni rozkwitały jak palmy sztucznych ogni.

— Oczy chcą, żeby to wyglądało normalnie, ale zwidy nie chcą odejść — powiedziałam.

Wyobraziłam sobie, że maluję ten obraz, widziałam dokładnie, co w jakiej kolejności zrobił.

Człowiek-sowa przysunął się ku nam i zgarbił ramiona. — Nie dotykanie.

— Palant — powiedziała Niki pod nosem, po czym przeszłyśmy do następnego obrazu.

Czułam, że mogłabym sama namalować te wszystkie obrazy. LSD ciągle we mnie wzbierało, nie wyobrażałam sobie, że można odlecieć jeszcze wyżej. Zupełnie nie przypominało to doznań po percodanie — naćpana, głupkowata, uciekająca. To był odlot na wierzchołki wszechświata, dwusetne piętro, pięćsetne piętro, nocne niebo van Gogha.

Poszłyśmy do kafeterii w muzeum, żeby się czegoś napić. Dokładnie wiedziałam, gdzie jestem, w tym samym budynku, co aula, moja dawna sala lekcyjna na dole. Mój osobisty plac zabaw. Podeszłam do dystrybutora napojów, zagrałam początek walca ze *Śpiącej królowny* na różnych napojach chłodzących.

— Co ja gram? — spytałam.

354— Opanuj się — powiedziała Niki.

Próbowałam się opanować, ale to było zbyt śmieszne. Kiedy przyszło do płacenia, nie mogłam sobie przypomnieć, na czym polegają pieniądze. Kasjerka wyglądała jak pudding z tapioki. Nie chciała na nas spojrzeć. Powiedziała jakąś liczbę, a ja wyjęłam pieniądze, lecz nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Wyciągnęłam dłoń przed siebie, żeby

sobie sama wybrała odpowiednią kombinację monet.

— *Danke, charaszo, guten tag, arigato, dar es Salaam* — powiedziałam, w nadziei, że weźmie nas po prostu za obcokrajowców.

— *Dances Salaam* — powiedziała Niki, kiedy usiadłyśmy na placyku.

Właśnie taka powinnam była być jako dziecko, radosna, lekka jak balon. Niki i ja siedziałyśmy w cieniu i popijałyśmy nasze napoje, patrzyłyśmy na przechodzących ludzi, zauważałyśmy, jak bardzo przypominają zwierzęta. Zobaczyłyśmy gnu, lwa i ptaka sekretarza, tapira i jaka z kręconymi włosami. Kiedy w życiu ja się tak uśmiełam?

Kiedy wypiliśmy do końca, Niki powiedziała, że powinnyśmy iść do ubikacji.

— Ja nie muszę — odparłam.

— Jak się zorientujesz, to będzie za późno. Chodź. Wróciłyśmy do budynku, znalazłyśmy drzwi z kretańskimi

patykowatymi figurkami w spodniach albo spódnicy. To kretańskie, że „męska” i „damska” kojarzy nam się ze spodniami i spódnicą. Nagle cały seksualny wszechświat i jego konwenanse wydały mi się bajkowe, sztuczne.

— Nie patrz w lustro — powiedziała Niki. — Patrz na buty. Zobaczyłam ciemnoszare płytki, kiepskie światło, brudną

podłogę. Poczulałam, że wraca strach. Metaliczny smak w ustach. Starsza pani w brązowym kostiumie ze spodniami, z opaloną twarzą, brązowymi włosami, brązowymi butami i żółtym paskiem wyszła z jednej z kabin i patrzyła na nas uporczywie.

— Wygląda jak tost z żółtym serem — powiedziałam.

355— Koleżanka źle się czuje — wyjaśniła Niki, próbując nie roześmiać się głośno. Wepchnęła mnie do kabiny dla niepełnosprawnych, zamknęła za nami drzwi. Musiała rozsunąć mi zamek spodni i posadzić mnie na muszli. Jakbym miała dwa lata. Nie mogłam się załatwić, to było zbyt śmieszne.

— Zamknij się i sikaj — powiedziała Niki. Pomachałam nogami. Naprawdę czułam się, jakbym miała

dwa lata.

— Zrób sisi dla Annie — powiedziałam. I wysikałam się. Czyli jednak miałam potrzebę. Plusk moczu rozśmieszył mnie. — Kocham cię, Niki — powiedziałam.

— Ja też cię kocham — odparła.

Ale kiedy wychodziłyśmy z toalety, zobaczyłam się przypadkiem w lustrze. Miałam strasznie czerwoną twarz, oczy czarne jak sroka, włosy rozczochrane. Wyglądałam jak wariatka. Przestraszyłam się. Niki pogoniła mnie.

Byłyśmy w skrzydle współczesnym. Nigdy tam nie chodziłam. Kiedy matka przyprowadzała mnie do muzeum, stawiała mnie przed Markiem Rothko, niebiesko-czerwonym kwadratem, i przez godzinę tłumaczyła mi, o co tam chodzi. Nigdy nie zrozumiałam tego obrazu. Teraz Niki i ja stałyśmy przed nim, dokładnie w tym samym miejscu, w którym stałam, kiedy byłam młoda i patrzyłam, jak trzy strefy koloru wibrują, pulsują, i wylaniają się inne tony, pomidorowy, granatowy, purpurowy. Czerwień szła do przodu, a błękit się cofał, dokładnie tak, jak powiedział Kandinsky. To były drzwi i weszłyśmy do środka.

Przygnębienie. To zastałyśmy w środku. Żal, smutek, niemy i niezgłębiony. Nie to, co czułam rano, tylko aseptyczna, destylowana panika. Niki objęła mnie ramieniem w pasie, a ja ją. Stałyśmy pogrążone w żałobie. Potrafiłam sobie wyobrazić, co czuł Jezus, litość wobec całej ludzkości, jakie to nieznośne, jakie godne podziwu. Obraz był jak muzyka Casalsa, requiem. Moja matka i ja, Niki i Yvonne, Paul i Davey i Claire, wszyscy. Jaka niezmierna jest zdolność człowieka do cierpienia. Jedyne, co można zrobić, to patrzeć na to ze zdumieniem i zgrozą. To nie ma

356nic wspólnego z przetrwaniem. Tu chodzi o to, ile możesz w sobie zmieścić, jaka jest granica, poza którą przestaje ci zależeć.

Wyszłyśmy na słońce, dostojnie i poważnie jak po pogrzebie.

Zabrałam Niki do ekspozycji stałej, musiałam zobaczyć boginie. W salach hinduskich zamieszkiwała reszta starodawnego równania. Dojrzałe figury tańczą, kochają się, śpią, siedzą na lotosach, dłonie złożone w charakterystyczne *mudra*. Siwa tańczył w swej ognistej ramie z brązu. Z głośników sączyły się cicho hinduskie ragi. Znalazłyśmy kamiennego Bodhisattwę, z wąsami i pięknymi klejnotami. Był za drzwiami, które namalował Rothko i mieścił w sobie zarówno to, jak i taniec. Wszedł po drugiej stronie. Ujadłyśmy na ławce i pozwoliłyśmy, aby wstąpiło w nas jego serce. Inni ludzie przechodzili, ale nie zostawali. Ich oczy spoczywały na nas na chwilę w przelocie. Byli dla nas jak muchy dla kamienia. Nawet ich nie widziałyśmy.

Powrót z haju trwał bardzo długo. Siedziałyśmy przez jakiś czas z Yvonne i oglądałyśmy telewizję, ale nie mogłyśmy nic zrozumieć. Pokój wirował kolorem i ruchem, a ona patrzyła na maleńkie głowy w prostokątnym pudle. Ciekawsze były lampy. Narysowałam wypełnianie się powietrza idealnie sześciokątnymi płatkami śniegu. Mogłam kazać im opaść i podnieść się znowu do góry. Do pokoju wszedł Sergei, wyglądał dokładnie tak samo jak biały kot, który przywędrował jego tropem. Mówił do nas o czymś, ale jego umysł był szklaną misą ze złotą rybką. Spódnice i spodnie.

Nagle poczułam, że dłużej nie wytrzymam w tym ciasnym, ohydny domu, z Sergeim i jego złotą rybką, której pysk otwiera się i zamyka durnowato. Wzięłam kilka arkuszy papieru i akwarele, wyszłam na ganek i malowałam mokre na mokrym, smugi, które przeradzały się w Blake'owskie postacie o wschodzie słońca i tancerzy w morskich głębinach. Przyszła Niki, paliła i patrzyła na kółka wokół latarni. Później Rena i Natalya poczęstowały nas stoliczną, ale nie zadziałała. Rena była lisicą, a Natalya koniem arabem z talerzem zamiast twarzy. Rozmawiały po rosyjsku, lecz my rozumiałyśmy każde słowo. O trzeciej nad ranem miałam już serdecznie dość płatków śniegu i tego, że ściany oddychają. „Zrób sisi dla Annie”. Nie mogłam przestać o tym myśleć. Z początku myślałam, że może chodzi o zrób sisi dla mamy, ale słyszałam wyraźnie: zrób sisi dla Annie. Dygotałam, nerwy mi iskrzyły, kiedy Yvonne leżała i spała na gąbce, a w naszym pokoju opadały płatki śniegu. Kim jesteś, Annie, i gdzie jest mamusia? Nie docierało do mnie nic prócz żółtego koloru, żółtego światła słońca, obrazu białego łabędzia, ciepłej woni podobnej do zapachu mokrego prania.

Rano powycinałam słowa z komiksów w gazecie: KTO to jest Annie?

29

Zgodnie z obietnicą poszłam z Yvonne na zajęcia szkoły rodzenia w Waite Memorial Hospital. Trzymałam jej piłki tenisowe, jej ręcznik. Nie umiałam potraktować tego poważnie. Nie wiedziałam, czy to przedłużone efekty LSD, ale wszystko mnie śmieszyło. Plastikowa lalka wyglądała jak przybysz z przestrzeni kosmicznej. Młode pary wyglądały jak dzieci, które bawią się w ciążę. To niemożliwe, żeby te dziewczyny były w ciąży, na pewno powkładały sobie poduszki pod te sukienki jak dla lalek. Podobały mi się wszystkie czynności związane z dzieckiem, nawet mycie lalki i zakładanie jej pieluszki.

Yvonne udawała, że jestem jej szwagierką, a jej mąż, czyli mój brat, jest w wojsku.

Patrick, lubiła to imię. Aktor telewizyjny.

— Dostałam list od Patricka, mówiłam ci? — powiedziała podczas przerwy, kiedy wszyscy piliśmy słodki sok z papierowych kubków i jedliśmy ciasteczka imbirowe. — Mój mąż — wyjaśniła parze siedzącej obok nas. — Wysyłają go do...

358— *Dar es Salaam* — dokończyłam za nią.

— Tęsknię za nim, a ty?

— Nie tak bardzo. Jest dużo starszy ode mnie. — Wyobraziłam sobie wysokiego blondyna, który przywozi mi lalki ze swych rozlicznych podróży. Lalki Heidi, z narkotykami schowanymi pod spódnicą.

— Przesłał mi pięćset dolarów na wyprawkę — powiedziała. — Kazał mi obiecać, że nie będę chodziła na wyprzedaje garażowe. Chce wszystko nowe, ze sklepu. Marnowanie pieniędzy, ale skoro tak chce...

Sprawiało mi to wielką frajdę. Jako mała dziewczynka nigdy nie bawiłam się z innymi dziewczynkami w mamę i tatę, pana doktora i tak dalej.

Pokazali jej, jak się trzyma dziecko u piersi, podtrzymuje pierś jedną ręką. Karmiła plastikowe dziecko. Nie umiałam powstrzymać śmiechu.

— Cii — powiedziała Yvonne, tuląc przybysza z kosmosu, głaszcząc po wgniecionej główce. — Moje śliczne maleństwo. Nie słuchaj tej niedobrej dziewczyny, która się z ciebie śmieje, *mija*. Jesteś moim dzieciątkiem, moje maleństwo.

Później Yvonne leżała na pomarańczowej macie, dmuchała, liczyła, kładła sobie pod plecy piłki tenisowe, potem zamieniała je na zwinięte w rulon ręczniki. Mierzyłam na zegarku długość jej skurczy, oddychałam razem z nią, obie oddychaliśmy przyspieszonym rytmem. Nie była zdenerwowana.

— Nie martw się — powiedziała Yvonne, uśmiechając się do mnie, jej brzuch wyglądał jak gigantyczna perła mórza południowych w pierścionku. — Już to przerabiałam.

Wyjaśnili nam, na czym polega znieczulenie nadoponowe, ale żadna z kobiet nie zamierzała się znieczulać. Wszystkie chciały przeżyć doświadczenie naturalnego porodu. Wszystko wydawało się opakowane w plastik, nierealne, jak stewardesa demonstrująca, jak się zapina pasy i ewakuuje z samolotu po katastrofie na morzu, ludzie zerkają

pobieżnie na kartki w kieszeni siedzenia przed sobą. Jasne, myślą sobie, nie ma problemu. Spojrzenie

359w stronę najbliższego wyjścia i rozsiadamy się wygodnie, gotowi na drinki, orzeszki i film wideo.

Rena chłoneła zaciekle kwietniowe słońce ubrana w bikini z czarnej frędzli, popijając wódkę z sokiem limonowym, nazywała to rosyjską Margeritą. Ludzie zatrudnieni przez sąsiada hydraulika szwendali się po ogrodzie i szczyrzyli do niej zęby. Udawała, że tego nie widzi, tylko powoli smarowała sobie kremem do opalania górę piersi i ramiona, podczas gdy robotnicy chwyтали się za krocza i wykrzykiwali po hiszpańsku swoje sugestie. Metalowy leżak ugiął się pod nią, kołysał nas uśmierzający szmer spryskiwacza, który podlewał paluszniki krwawe i żonkile.

— Dostaniesz raka skóry — powiedziałam.

Podwinęła do góry dolną wargę. — Dawno po nas będzie, dziecinko. — Lubiała mówić te słowa ze starych filmów amerykańskich, wiedząc, jak one brzmią w jej ustach. Podniosła swoją rosyjską Margeritę, wypila. — *Na zdrowie.*

A przecież wcale nie dbała o swoje zdrowie. Zapaliła czarnego papierosa, wypuszczała dym arabeskami.

Siedziałam na starym fotelu ogrodowym w cieniu wielkiego oleandra, rysując Renę, która chłoneła zabójcze promienie ultrafioletowe. Spryskała się wodą z lodem z małej butelki i mężczyźni obserwujących ją zza ogrodzenia przeszły ciarki. Przez płótno widać było kształt jej sutków. Uśmiechnęła się do siebie.

Uwielbiała to: sprawić, żeby kilku hydraulików spuściło się w gacie. Wyprzedaż garażowa, rosyjska Margerita, walnąć sobie z Sergeiem na szybkiego w łazience — dalej nie sięgała myślami w przyszłość. Podziwiałam jej pewność siebie. Rak skóry, rak płuc, mężczyźni, meble, śmieci, coś zawsze się napatoczy. Służyło mi, że jestem u niej. Nie mogłam sobie pozwolić na myślenie o przyszłości.

Miałam tylko dwa miesiące do ukończenia szkoły, a potem runięcie do przepaści na końcu świata. W nocy śniła mi się matka, która zawsze wyjeżdżała. Śniło mi się, że nie zdążyłam na autobus do Nowego Jorku, gdzie miałam studiować malarstwo, że zgubiłam zaproszenie na przyjęcie z Paulem Troutem. Nie spałam do późna i przeglądałam stos

„ArtNews” sprzed dwunastu lat, znalezionych w dniu wystawiania śmieci, studiowałam zdjęcia artystek, ich splątane siwe włosy, długie brązowe, strąkowate blond. Amy Ayres, Sandal McInnes, Nicholette Reis. Chciałam być nimi. Amy, kręcone szare włosy i wymięty podkoszulek, pozuje przed swym olbrzymim obrazem abstrakcyjnym z zakrzywionymi stożkami i walcami. Amy, jak mogę stać się tobą? Przeczytałam twój artykuł, ale nie znajduję w nim żadnych wskazówek. Twój mieszczańscy rodzice, twój chory ojciec. Nauczyciel wychowania plastycznego w liceum stworzył dla ciebie stypendium. W Marshall nawet nie mam wychowania plastycznego.

Patrzyłam na swój rysunek Reny, skropiony wodą ze spryski-wacza. Kiedy szłam do muzeum, patrzyłam na obrazy, rzeźby, wszystko z wyjątkiem kresek na kartce papieru, ale moja ręka potrzebowała jakiegoś zajęcia, moje oko potrzebowało pretekstu, żeby formować przestrzeń między Reną, spryski waczem i jej rozchwierutany stolik z zardzewiałą białą siatką drucianą, na której stał jeden drink i taca. Oka siatki miały kształt rombów, co korespondowało z czarnymi rombami jej bikini i ogrodzeniem; podobało mi się też, że zakrzywienie kieliszka odpowiadało zakrzywieniu jej uniesionego biodra, ramienia wyższego z mężczyzną, przewieszzonego przez ogrodzenie, i liści bananowca koło domu pana Casado po drugiej stronie ulicy.

Gdybym nie rysowała, jaki powód miałyby światło, żeby się tak pięknie kłaść na fryzie dachówek pana Casado i kępach trawy, na delikatnych warkoczach zielonych wyczyńców, które wkrótce miały zrudzieć, jaki powód miałyby niebo, żeby przydeptywać wszystko płasko do ziemi jak olbrzymia stopa? Musiałabym zajść w ciążę albo się upijać, żeby to wszystko wymazać, tak że pozostałabym tylko ja sama, ogromna na pierwszym planie.

Na szczęście nie chodziłam na lekcje, na których mówili o studiach. Nie chodziłam na lekcje, na których mówili o prezerwatywach i przynoszeniu pistoletów do szkoły. Claire zapisała mnie na wszystkie zajęcia cyklu uniwersyteckiego, ale zabrakło mi determinacji. Gdyby żyła, to może bym próbowała, starała się

3610 stypendium, wiedziałabym, co robić. Teraz wszystko mi się wymykało.

Z drugiej strony wciąż chodziłam do szkoły, odrabiałam zadania, pisałam sprawdziany. Zanosilo się, że skończę szkołę, cokolwiek to było warte. Niki uważała mnie za idiotkę. Kto będzie wiedział, czy ty chodzisz do szkoły, kogo to interesuje? Jednak

miałam przynajmniej jakieś zajęcie. Chodziłam do szkoły i rysowałam nogi krzesel, które wyglądały jak nogi nartników. Mogłam spędzić całą godzinę na rysowaniu głów, które zmniejszały się na skutek efektu perspektywy, im bliżej tablicy, tyły głów, szyje, włosy. Yolanda Collins siedziała przede mną na matematyce. Potrafiłam całymi minutami wpatrywać się w tył jej głowy, warstwy maleńkich warkoczyków posplatanych w skomplikowane wzory, które kojarzyły mi się z perskimi dywanikami, czasem miała wplecione paciorki albo wstążkę.

Spojrzałam na blok rysunkowy, który trzymałam w rękach. Przynajmniej mam tę kompozycję rombów, trapez bramy. Czy to nie wystarczy? Czy musi być coś więcej?

Spojrzałam na Renę, która smarowała się kremem do opalania, smażyła jak stek z cebulką w rozprazonym słońcu, szczęśliwa jak ciasto w brytfannie.

— Rena, zastanawiałaś się kiedyś, po co ludzie wstają rano z łóżka? Po co się trudzą, zamiast wypić terpentynę?

Rena przekreśliła głowę, zasłoniła oczy dłonią, spojrzała na mnie, potem znów zwróciła się do słońca mniej zrumienioną stroną. — Ty chyba jesteś Rosjanka. Rosjanin zawsze myśli, jaki sens życia. — Zrobiła wydłużoną, przygnębną minę. — Jaki sens życia, *liubowaja maja!* To ta pogoda. Tu jest Kalifornia, Astrid, kochanie. Tu się nie pyta sensu. Achmatowa niech smut-kuje, ale my mamy siatkówkę na plaży, sportowe auto, pyszne żarło. Tu zakazane być nieszczęśliwa. Kup sobie coś:

Uśmiechnęła się do siebie, zwiesiła ramiona po bokach, zamknęła oczy, połyskiwała tłusto na swym szeszlunku jak bekon na patelni. Małe paciorki wody przyklejały się do mikroskopijnych włosków na jej górnej wardze, gromadziły między piersiami.

362Może to jest recepta na szczęście, pomyślałam, pozbyć się zarówno przeszłości, jak i przyszłości. Żadnych marzeń, żadnych norm, kobieta, która pali, pije, śpi z takimi facetami jak Sergei, facetami, których duchowość przypomina zawartość rynsztoków po deszczu. Mogłam się od niej wiele nauczyć. Rena Grushenka nie martwiła się o swoje zęby, nie zażywała witaminy C. Sypała do wszystkiego sól i o trzeciej po południu zawsze była pijana. Na pewno nie cierpiała z tego powodu, że nie poszła na studia i nie zrobiła nic ze swoim życiem. Opalała się i póki mogła, wykorzystywała fakt, że hydraulikom staje na jej widok.

— Ty znajdź chłopaka, ty przestań się martwić — powiedziała. Nie chciałam jej mówić, że mam chłopaka. Tego samego, co ona. Przekręciła się na bok, jej duża pierś wypadła z góry bikini,

co spotkało się z entuzjastyczną reakcją hydraulików. Podciągnęła górę bikini, co wywołało jeszcze większe podekscytowanie. Nie zwracała na to uwagi, podparła głowę ręką. — Myślałam sobie, każdy ma ramkę tablicy od dealera. „Van Nuys Toyota — Jesteśmy numer 1”. Tak myślę, kupimy ramkę, ty ładnie malujesz, dostaniemy dziesięć, piętnaście dolarów. Kosztuje nas dolara.

— Jaka będzie moja działka? — Czerpałam przewrotną satysfakcję z tego, że wiedziałam, w którym momencie to powiedzieć. Zadomowiłam się na Ripple Street, w rajku mojej rozpaczy.

Ciemnozielony jaguar zaparkowany przed domem hydraulika powinien był obudzić moją czujność, ale skojarzyłam, dopiero kiedy ją zobaczyłam w dużym pokoju, eksplozja czarnych kręconych włosów, jasnoczerwona szminka, którą znałam z telewizji. Miała na sobie granatowy kostium od Chanel, który mógł być autentyczny. Siedziała na zielonej kanapie, jej złote zęby połyskiwały w ustach. Chciałam wybiec z domu. Tylko chorobliwa ciekawość zatrzymała mnie w pokoju. Co też ona może mieć mi do powiedzenia?

— Jej się podoba zestaw do sałatek — powiedziała Rena. — Chce kupić dla przyjaciela, co zbiera wszystko polinezyjskie.

— To ostatni krzyk mody — powiedziała ta kobieta, wręczając Renie żółty czek. — Polinezyjskie restauracje, Mai Tais,

363Trader Vic's i tak dalej. — Miała wyższy głos, niż się spodziewałam, dziewczęcy jak na prawnika.

Wstała i wyciągnęła do mnie rękę, krótkie czerwone paznokcie odcinały się krzykliwie od białej skóry. Była niższa ode mnie. Używała dobrych perfum o zielonym aromacie, z lekkim powiewem cytrusa, prawie jak męski płyn po goleniu. Nałożyła złoty naszyjnik grubości łańcucha rowerowego, z kanciasto oszlifowanym szmaragdem. Zęby miała nienaturalnie białe.

— Susan D. Valeris.

Uścisnęłam jej dłoń. Była bardzo mała i sucha. Na palcu serdecznym obrączka ślubna, na małym palcu drugiej dłoni sygnet z wklęsłorytym onyksiem.

— Czy pozwoli pani, że Astrid i ja...? — spytała Renę. *Ene due rabe.*

— Nie ma sprawy — odparła Rena, spojrzała jeszcze raz na czek, schowała go do kieszeni. — Może pani zostać, zobaczyć, czy jeszcze coś się podoba. Wszystko na sprzedaż.

Kiedy zostałyśmy same, Susan D. pokazała ręką na zieloną kanapę, żebym usiadła. Nie usiadłam. To mój dom, nie muszę słuchać czyichś rozkazów. — Ile jej pani dała?

— Nieważne — odparła prawniczka, która usiadła z powrotem na kanapie. — Problem w tym, że unikasz moich telefonów.

— Ku mojemu zdziwieniu wyjęła paczkę papierosów z torby od Hermes Kelly, autentycznej, co wiedziałam z okresu przyjaźni z Olivia. — Mogę zapalić?

Skinęłam głową. Użyła złotej zapalniczki Cartiera. — Papierosa? — Poczęstowała mnie. Odmówiłam. Położyła papierosy i zapalniczkę na zagraconym stole, wydmuchiwała dym w popołudniowe światło. — Nie wiem, dlaczego nigdy się nie zdobyłam na rzucenie palenia — powiedziała.

— W więzieniu wszyscy palą. Może ich pani poczęstować.

— Chyba masz rację — pokiwała głową. — Twoja matka powiedziała, że jesteś bystra. Myślę, że to za mało powiedziane.

— Rozejrzała się po ciasnym salonie, omiotła wzrokiem stojak na kapelusze z giętego drewna, wieżę i płyty, lampę z paciorkami,

364lampę z frędzlami, lampę z pudlem i abażurem z mlecznego szkła, chłopkę w pomarańczowej chuście i pozostałe dzieła sztuki ze sklepu ze starzyzną Reny. Kiedy biały kot wskoczył jej na kolana, szybko wstała i otrzepała granatowy kostium. — Pięknie mieszkaś — powiedziała i usiadła ponownie, sprawdzwszy lokalizację włochatego intruza.. — Cieszysz się, że niedługo skończysz szkołę? Snujesz plany na przyszłość?

Położyłam worek z książkami na zakurzonej tapicerowanej foteli, wzbijając kłęby pyłu w duszne powietrze. — Pomyślałam, że zostanę adwokatem w sprawach karnych — powiedziałam. — A jeśli nie, to prostytutką. Albo śmieciarzem.

Nie dała się sprowokować, odwieść od wytyczonego celu.

— Mogę zapytać, dlaczego nie odpowiadałaś na moje telefony? Oparłam się o ścianę, obserwując jej szybkie[^] pewne siebie

ruchy. — Zapytać zawsze można — powiedziałam.

Położyła sobie na kolanach cienką aktówkę z bordowej skóry i otworzyła ją, wyjęła teczkę i żółty notatnik. — Twoja matka powiedziała, że możesz być trudna. Że obwiniasz ją za to, co się stało. — Susan spojrzała mi głęboko w oczy, jakby dostawała punkt za każdą sekundę kontaktu wzrokowego. Wyobraziłam sobie, jak ćwiczę to przed lustrem na studiach prawniczych.

Czekałam, aż mi opowie resztę historii, którą razem skleciły.

— Wiem, że masz za sobą straszne przeżycia — powiedziała. Spuściła wzrok na dokumentację. — Sześć domów zastępczych, MacLaren Hali. Samobójstwo zastępczej matki, Claire Richards, dobrze pamiętam? Twoja matka powiedziała, że byłaś z nią bardzo związana. To musiało być druzgoczące.

Poczułam, jak wzbiera we mnie fala gniewu. Śmierć Claire była moja. Ona nie miała prawa jej dotykać, podsuwać mi pod oczy i odnosić do sprawy mojej matki. Ale może to tylko taktyczny manewr. Od razu wywalić wszystko na wierzch, żebym nie była naburmuszona, nie zamykała w sobie uczuć na temat Claire. Agresywne otwarcie szachowe. Widziałam, że dobrze wie, co robi. Od razu uderzyła w czuły punkt. — Spytała pani swoją klientkę o jej udział w tym zdarzeniu?

365— No chyba nie obarczysz swej matki winą za śmierć kobiety, którą widziała tylko raz w życiu — powiedziała Susan, jakby absurdalność takiego stwierdzenia nie ulegała kwestii. — Nie jest czarownicą, prawda? — Usiadła wygodniej, zaciągnęła się papierosem i obserwowała mnie przez dym, szacowała moją reakcję.

Jest w tym naprawdę dobra, pomyślałam. We dwójkę może im się naprawdę udać wykręcić ten numer. Przestraszyłam się. Zobaczyłam, jak łatwo z tego bukietu oleandrów i cienia zmierzchu można skrócić wieniec laurowy.

— Ale obarczam ją winą, pani Valeris.

— Opowiedz mi. — Wzięła papierosa do lewej ręki, a prawą zaczęła coś notować.

— Moja matka robiła wszystko, co mogła, żeby usunąć Claire z mojego życia — powiedziałam. — Claire była bardzo krucha, a moja matka dokładnie wiedziała, gdzie

nacisnąć.

Susan zaciągnęła się, zmrużyła oczy, wydmuchując dym. — Po co miałyby to robić?

Odepchnęłam się od ściany i podeszłam do stojaka na kapelusze. Nie chciałam już na nią patrzeć, a raczej nie chciałam, żeby ona na mnie patrzyła, obmierzała. Nałożyłam stary kapelusz i oglądałam się w lustrze. — Bo Claire mnie kochała. — Był to słomkowy kapelusz z siatkowym welonem, zaciągnęłam sobie welon na oczy.

— Czulaś, że jest zazdrosna — powiedziała Susan macierzyńskim tonem, wypluwając dym w powietrze, ośmiornica pryska atramentem.

Poprawiłam welon, potem przekręciłam kapelusz na bok.

— Była potwornie zazdrosna. Claire była dla mnie dobra i kochałam ją. Nie mogła tego znieść. Kiedy miała okazję, nie zwracała na mnie uwagi, ale kiedy komuś innemu na mnie zależało, nie mogła tego znieść.

Susan pochyliła się, oparła łokcie o kolana, podniosła wzrok na sufit ziarnisty jak twaróg, słyszałam, jak zgrzyta jej w mózgu, poprzestawiała jakieś wajchy, opukiwała i obracała tym, co jej powiedziałam, szukając jakiegoś słabego punktu. — Która matka

366nie byłaby zazdrosna — powiedziała. — O córkę, która bardzo polubiła zastępczą matkę. No powiedz szczerze. — Strzepnęła popiół do plecionej popielniczki, przysypując wiśnię na dnie.

Odwróciłam się do niej, ucieszona, że dzięki welonowi ona nie widzi strachu w moich oczach. — Szczerze pani powiem, że ona zabiła Claire. Zepchnęła ją ze skały. Może nie da się jej za to postawić przed sądem, ale niech mi pani nie wciska tej nowej ulepszonej propagandy. Zabiła Claire i zabiła Barry'ego. Więc nie bawmy się w te bzdury, niech po prostu powie, co mi pani ma do powiedzenia.

Susan westchnęła i odłożyła pióro. Zaciągnęła się jeszcze raz papierosem i skiepowwała w popielniczce. — Ostra z ciebie dziewczyna.

— To pani chce, żeby morderczyni wyszła na wolność — powiedziałam. Zdjęłam kapelusz i rzuciłam na krzesło, płosząc białego kota, który uciekł z pokoju.

— Nie miała uczciwego procesu. To jest udokumentowane — powiedziała Susan, uderzając dłonią o dłoń. Zobaczyłam ją w sądzie, jak gestami tłumaczy swoje słowa

niesłyszącym. — Obrońca z urzędu w ogóle się nie wysilił. — Oskarżycielski palec z czerwonymi końcówkami.—Była na środkach, Boże drogi, ona ledwo była w stanie mówić. To jest zapisane, jaką dostała dawkę i tak dalej. Nikt nie powiedział ani słowa. Prokurator dysponował wyłącznie dowodami poszlakowymi... — Skrzyżowanie i rozkrzyżowanie dłoni, jak sędzia baseballowy, który pokazuje, że nie zalicza punktu. Nabierała rozpędu, ale ja usłyszałam już wystarczająco dużo.

— A co pani z tego ma? — przerwałam jej, najbardziej suchym i nieprzekonanym głosem, na jaki było mnie stać.

— Sprawiedliwości nie stało się zadość — powiedziała stanowczym tonem. Zobaczyłam ją na schodach sądu, jak urządza spektakl przed kamerami telewizyjnymi.

— Kiedy się stało — powiedziałam. — Przypadkowo, a może nawet przez pomyłkę, ale sprawiedliwości stało się zadość. Wiem, że w dzisiejszych czasach to rzadkość, niemal cud.

367Susan opadła na oparcie kanapy, jakby moja wypowiedź wysała ją z kaznodziejskiej energii. Ulicą przejechał samochód z włączonym głośno radiem, leciała muzyka *ranchero*, Susan szybko się odwróciła, żeby spojrzeć przez okno na swojego ciemnozielonego jaguara. Kiedy uspokoiła się, że samochód wciąż stoi przed domem, połyskuje przy krawężniku, odwróciła się w moją stronę powoli i ze znużoną miną. — Astrid, kiedy młodzi ludzie są tacy cyniczni, z rozpaczą myślę o przyszłości tego kraju.

Była to najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałam tego dnia. Musiałam się roześmiać. W tych czasach mało co mnie rozśmieszało, ale tekst, który wygłosiła, był niewątpliwie bardzo osobliwy.

Nagle jej znużenie zniknęło, tak jak wcześniej uprzejmość. Teraz miałam przed oczyma zimnego, inteligentnego stratega, całkiem przypominającego Ingrid Magnussen. — Barry Kolker mógł umrzeć na zawał serca — powiedziała spokojnie Susan. — Wnioski z sekcji zwłok nie były jednoznaczne. Miał nadwagę i brał narkotyki, nieprawdaż?

— Jak pani chce. — „Prawdą jest to, co ja uznaję za prawdę”. — Niech pani posłucha. Chce pani, żebym kłamała dla niej. Wyjdźmy od tego i zobaczymy, czy jest o czym rozmawiać.

Susan uśmiechnęła się powoli swoją czerwoną szminką, odgarnęła z twarzy czarne

kręcone włosy, czarne rzęsy mocno odcinały się od białej twarzy. Wyglądała, jakby trochę czuła wstyd, ale również ulgę, że nie musi się ze mną tak ostro targować, jak przewidywała.

— Przejedźmy się gdzieś — powiedziała.

Za przydymionymi szybami jaguara wtuliłam się w zapach skóry i pieniędzy. Owinął mnie jak futro. Radio było nastawione na stację jazzową z Long Beach, szedł jakiś kawałek freeform jazzu z Zachodniego Wybrzeża na flecie i gitarze elektrycznej. Wyjechałyśmy z Ripple Street, w milczeniu minęłyśmy nieza-rejestrowany żłobek, piekarnię i iluzjonistyczny obraz przy Clear-water, skręciłyśmy w lewo we Fletcher, w lewo w Glendale,

368w prawo w Silverlake Boulevard, przez jakiś czas jechałyśmy wokół jeziora. Na niebieskozielonej wodzie kołysały się mewy. Susza odsłoniła olbrzymi betonowy kołnierz wokół jeziora, lecz w hermetycznym świecie jaguara było dwadzieścia stopni. Jak przyjemnie jest jechać samochodem bogatej kobiety. Rozrzedzoną atmosferę wypełniła nowa piosenka, natychmiast ją poznałam. Oliver Nelson, *Stolen Moments*.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jestem z Olivia, a nie prawniczką mojej matki. Jej nagie ramiona, jej profil, chustka zawiązana a la Grace Kelly. Ta drogocenna chwila. Tym bardziej drogocenna, że nierealna, natychmiast znikająca, coś, co trzeba smakować jak aromat niesiony przez wiatr, dźwięki fortepianu dochodzące z mijanego po południu domu. Trzymałam się kurczowo tej chwili, kiedy Susan zaparkowała samochód po drugiej stronie jeziora, w miejscu, z którego mogłyśTny patrzeć na niebieskozieloną wodę, nakrapianą białymi plamkami, i na malownicze wzgórza z tyłu. Ściszyła muzykę, ale dalej słychać było trąbkę Nelsona.

— Musisz sobie zadać pytanie, na czym polega jej wina — powiedziała Susan, odwracając się do mnie. — To znaczy, co ty jej zarzucasz. Ze zamordowała człowieka czy że jest złą matką? Ze jej nie było przy tobie, kiedy jej potrzebowałeś?

Spojrzałam na tę drobną kobietę, czarne włosy może jeden odcień zbyt czarne, tusz trochę rozmazany od upału. Znużenie było jednocześnie udawane i prawdziwe. Jak z tyloma rzeczami, słowa okazały się beznadziejnie nieprecyzyjne. Żałowałam, że nie mam kartki i ołówka, i nie mogę jej narysować. Właśnie przeobrażała się w karykaturę samej siebie. Teraz jeszcze da się ją rozpoznać, pomyślałam, ale za pięć, dziesięć lat tylko z

daleka będzie do siebie podobna. Z bliska będzie ściągnięta w sobie i wystraszona.

— Powiedz szczerze, czy próbujesz ją ukarać za to, że była fatalną matką, a nie za rzekome morderstwo? — Nacisnęła guzik i spuściła trochę szybę, wcisnęła samochodową zapalniczkę i sięgnęła do torebki po papierosy. — A w ogóle kim był dla ciebie

369Barry Kolker, jednym z kochanków twojej matki. Miała ich wielu. To niemożliwe, żebyś była do niego aż tak przywiązana.

— On nie żyje. Oskarża mnie pani o cynizm?

Włożyła sobie papierosa do ust i chwilę później zapalniczka wyskoczyła do góry. Zapaliła, samochód wypełnił się dymem. Wydmuchiwała w stronę szczeliny okna. — Nie, nie chodzi ci o Kolkera. Jesteś na nią zła za to, że cię porzuciła. To naturalne. Masz za sobą sześć trudnych lat i jak to dzieci, pokazujesz palcem na wszechmogącą matkę. To jej wina. Nigdy nie przyszłoby ci do głowy, że ona również jest ofiarą.

Za oknem, w nieklimatyzowanych rewirach rzeczywistości, przetruchtła koło nas kobieta o bardzo czerwonej twarzy, wlokąc za sobą na smyczy bardzo zmęczonego setera. — Czy właśnie to pani będzie mówić, jeśli ja powiem prawdę na jej procesie?

Patrzyliśmy, jak kobieta człapie chodnikiem, ciągnąc psa, który usiłował wachać mijane rośliny.

— Coś w tym rodzaju — odparła. Była to pierwsza uczciwa rzecz, którą powiedziała, odkąd uścisnęłam jej małą dłoń. Westchnęła i strzepnęła popiół za okno. Część wpadła z powrotem do środka. Strzepała go z kostiumu. — Astrid. Może nie była matką z opery mydlanej, jakąś BarbarąBillingsley w fartuchu i perłach, ale ona cię kocha. Bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Teraz naprawdę potrzebuje, żebyś w nią wierzyła. Szkoda, że nie możesz usłyszeć, jak ona o tobie mówi, jak martwi się o ciebie, jak bardzo chce być znowu z tobą.

Znów pomyślałam o mojej wyimaginowanej podróży z nią, o jej widoku, magii jej słów. Teraz nie byłam już taka pewna, może to prawda, co ona mówi. Chciałam zapytać tę kobietę, co moja matka o mnie mówi, co o mnie myśli, ale wiedziałam, że to dla mnie bardzo niebezpieczne. Bobby Fischer nauczył mnie, że nie wolno się tak odsłaniać. — Powiedziałyby cokolwiek, żeby się stamtąd wydostać.

— Porozmawiaj z nią. Mogę to załatwić. Posłuchaj, co ona ma do powiedzenia,

Astrid. Sześć lat to dużo czasu. Ludzie się zmieniają.

370Mój moment niepewności zgasł. Dokładnie wiedziałam, jak zmieniła się Ingrid Magnussen. Miałam jej listy. Czytałam je, strona po stronie, unosząc się na czerwonej fali przyływu. Wiedziałam wszystko na temat jej czułości i macierzyńskiej troski. Ja i biały kot. Coś się jednak rzeczywiście zmieniło: po raz pierwszy w życiu to moja matka chciała czegoś ode mnie, czegoś, co mogłam jej dać lub nie, wedle woli. Otworzyłam kratkę nawiewu, klimatyzacja muskała mnie w twarz.

Moja matka mnie potrzebuje. Dotarło do mnie, co to znaczy, jakie to niewiarygodne. Jeśli będę zeznawała jako świadek i powiem, że zrobiła to, opowiem o naszej podróży do Tijuany, o kilogramach oleandra, liści bielunia i belladony, które wygotowywała w kuchni, nigdy nie wyjdzie z więzienia. Jeśli skłamię, powiem, że Barry był kompletnym paranoikiem, miał obsesję na jej tle, oszalał, powiem, że była taka zaćpana, kiedy ją zobaczyłam w Sybil Brand, że nawet mnie nie poznała, może odbędzie się nowy proces i matka wyjdzie na wolność, zanim ja skończę 21 lat.

Ojciec Thomas nie zaaprobowałby uczucia, które mnie wtedy wypełniło, nieodparcie rozkosznego. Przyłożyłam jej do gardła jej własny nóż. Mogłam stawiać jej żądania. Co z tego będę miała, nauczyłam się pytać bez skrępowań, mieszkając u Reny. Jaka będzie moja działka. Mogłam powiesić sobie na duszy metkę z ceną. Trzeba było tylko wykalkulować, za ile jestem w stanie ją sprzedać.

— Dobrze — powiedziałam. — Niech pani załatwi. Susan zaciągnęła się ostatni raz papierosem, wyrzuciła go

przez okno, podciągnęła szybę. No, a teraz ustalmy warunki kontraktu. — Potrzebujesz trochę pieniędzy na swoje wydatki?

Nienawidziłam tej kobiety. To wszystko, przez co przeszłam w ciągu poprzednich sześciu lat, nic dla niej nie znaczyło. Byłam tylko jedną z cegieł we wznoszonej przez nią konstrukcji, właśnie wskoczyłam na swoje miejsce w murze. Nie wierzyła, że moja matka jest niewinna. Obchodziło ją tylko to, że będą kamery na schodach sądu. I jej nazwisko, Susan D. Valeris, poniżej poruszających się czerwonych ust. Każdy prawnik wiele by dał za taki rozgłos.

— Przydałyby się ze dwie stówki — powiedziałam.

371 Szłam wzdłuż rzeki w ostatnim popołudniowym świetle, z rękami w kieszeniach, wzgórze Baldy na wschodzie odbijały światło słońca, ścisnęłam w palcach pieniądze od Susan. Szłam na północ, minęłam dom hydraulika, bramy dostawcze piekarni, dom rzeźbiarza na końcu Clearwater Street, z iluzji oni stycznym obrazem, który przedstawiał coś podobnego do małego miasteczka we Francji. Pies warcząc i szczekając, rzucił się na płot, szerokie deski zaskrzypiały pod jego ciężarem. Nad ogrodzeniem, zwieńczonym zwojami drutu kolczastego, kształty z brązu, zawieszane wewnątrz dużych metalowych kółek jak Siwa, obracały się powoli na wietrze. Znalazłam kawałek betonu, który odłupał się od nabrzeża, i wrzuciłam go do rzeki. Wpadł między wierzby i wypłoszył z ukrycia brązowe ptaki brodzące, które zatrzepotały skrzydłami. Znowu to samo: ona wciąga mnie w swój świat, w swój cień, właśnie kiedy zaczynałam się czuć wolna.

Zakaszlałam suchym, charczącym kaszlem, który gnębił mnie przez całą wiosnę, od palenia trawy i chronicznej pleśni w domu Reny. Zbiegłam po zboczach nad wodę, przykucnęłam i dotknęłam palcami nurtu. Zimne, realne. Woda z gór. Dotknęłam się mokrą ręką między oczami, trzecie oko. Pomóż mi, Rzeko.

A co będzie, jeśli ona rzeczywiście wyjdzie na wolność? Przyjdzie do domu przy Ripple Street i powie: „Wróciłam. Pakuj się, Astrid, wyjeżdżamy”. Czy potrafiłabym się jej oprzeć? Wyobraziłam ją sobie, w białej koszuli i dżinsach, które pozwolili jej włożyć na siebie, kiedy ją aresztowali. „Chodźmy” — powiedziałyby. Widziałam, jak stoimy na ganku Reny, patrzymy na siebie, ale dalej nie potrafiłam sięgnąć wyobraźnią.

Czy wciąż jest w moich kościach, w każdej mojej myśli?

Kucałam nad wodą, która płynęła przez powywracane głazy, pomyślałam, jak długą musiały przebyć drogę, zanim osiadły w tym betonowym kanale, strumień czysty i melodyjny, zapach słodkiej wody. Nie chciałam więcej myśleć o matce. Męczyło mnie to. Wołałam myśleć o tym, jak wierzby, topole amerykańskie i palmy przebijają się przez beton, wyrastają prosto z kanału

372 przeciwpowodziowego, o tym, jak rzeka walczy o odzyskanie swojej tożsamości. Trochę szlamu spływa z góry rzeki, osiada. Wpada do niego nasionko, zakwita. Zapuszcza małe korzenie. Zanim się człowiek zorientuje, widzi drzewa, zarośla, ptaki.

Moja matka napisała kiedyś wiersz o rzekach. Zaczynają jako małe dziewczynki,

strumyczki udekorowane polnymi kwiatami. Potem sąbystrzyny, które wypruwają sobie szlak przez lity beton, rzucają się ze skalnych klifów, nieulekłe i niepowstrzymane. Później robią się grube i pożyteczne, szerokie, powolne zakola niosą ze sobą handel i ścieki, lecz w głębinach ich podświadomości rosną ogromne zębaczki, po czym podczas powodzi stulecia rzeki się buntują, zapominają o złożonych obietnicach, przysięgach małżeńskich, i topią wszystko w zasięgu wielu mil. Wreszcie uchodzą malarycznie, opróżnione porodami, do wachlarzowa-tych mokradeł, które spotykają się z morzem.

Ta rzeka była jednak inna. Płynęła pogodna i ignorowana koło parkanów z namalowanymi sprayem napisami: 18 Ulica, Roscos, Frogtown, mimo wszystko żywa, strzegąca tajemnic przetrwania. Rzeka była dziewczyną tak jak ja.

Na wysepce, w środku miniaturowego lasu, stał prowizoryczny namiot, niebieska plastikowa płachta biła po oczach pośród różnych odcieni szarości i zieleni. Hilton tu-iteraz, jak Barry nazywał takie namioty. Wiedziałam, kto w nim mieszka. Wysoki, chudy kombatant wietnamski w khaki i panterce, widywałam go wczesnym rankiem, znad jego wojskowej kuchenki unosiła się cienka nic dymu. Widywałam go przed targiem hiszpańskim przy Glendale Blvd, od strony z parkanem, jak grał ze znajomymi w pokera w długich cieniach popołudnia.

Na popękanych nabrzeżach rosła dzika gorczyca, zebrałam bukiet dla Yvonne. Co to właściwie jest chwast? Roślina, której nikt nie posadził? Nasienie, które wypadło z płaszcza podróżnego, coś obcego w danym miejscu? A może tylko samo słowo, „chwast”, powiewa potępieniem jak transparentem. Bezużyteczny, bezwartościowy. Niechciany.

Cóż, każdy może kupie zielonego jaguara, znaleźć piękno

373w japońskim parawanie sprzed dwóch tysięcy lat Ja wołałam być koneserem zaniebanych rzek, kwitnącej gorzycy i opalizującego różowego rozbłysku na czarnej jak węgiel szyi gołębia na skrzyżowaniu. Pomyślałam o kombatancie podgrzewającym obiad w menażce i o starej kobiecie karmiącej gołębie na skrzyżowaniu za Kentucky Fried Chicken. A co z biedronkowcem, z błękitem jego oczu na szarym tle przeplatanych czarnymi nitkami? Jestem ja i Yvonne, Niki i Paul Trout, może nawet Sergei albo Susan D. Valeris, dlaczego nie? Czy wszyscy jesteśmy chwastami? Kto oceni, jaką mamy wartość? Jaką wartość ma czterech kombatantów wietnamskich grających każdego popołudnia w pokera przed targiem hiszpańskim przy Glendale Blvd zatłuszczoną talią

bez jednej damy i piątki? Może od nich zależą losy świata, może są Parkami lub Gracjami? Cezanne narysowałby ich węglem. Van Gogh namalowałby siebie pośród nich.

Lecz tej nocy znów mi się przyśnił stary sen, szare ulice Paryża i kamienny labirynt, zaślepione ceglami okna. Tym razem pojawiły się szklane drzwi z zakrzywionymi secesyjnymi klamkami, wszystkie zamknięte na klucz. Wiedziałam, że muszę *znaleźć* matkę. Robiło się ciemno, w wejściach do piwnic czyhały ciemne postacie. Naciskałam guziki wszystkich dzwonek do mieszkań. Kobiety otwierały mi drzwi, wyglądały jak ona, uśmiechały się, niektóre wiedziały nawet, jak mam na imię. Jednak żadna z nich nie była nią.

Wiedziałam, że tam jest, łomotałam do drzwi, wrzeszczałam, żeby mnie wpuściła. Drzwi zabzyczały i wpuściły mnie, ale kiedy je pchnęłam, zobaczyłam, że matka wyjeżdża przez bramę podwórza na siedzeniu pasażera w małym czerwonym samochodzie, ma na sobie mechaty płaszcz z afgańskiej wełny i duże ciemne okulary na ślepych oczach, siedziała, opierając głowę o zagłówek i śmiała się. Pobiegłam za nią, płacząc, błagając.

Yvonne trzęsała mną, aż się obudziłam. Wzięła moją głowę na kolana, jej długie brązowe włosy okryły nas jak szal. Jej brzuch był ciepły i twardy jak wałek tapicerski. W pasma jej

374włosów wplatały się smugi światła rzucanego przez lampkę nocną w kształcie karuzeli, którą znalazłam w dzień wystawiania śmieci.

— Wszyscy mamy złe sny, As — powiedziała, głaszcząc dłonią mój mokry policzek.
— Trzeba trochę zostawić dla innych.

30

Oddział położniczy Waite Memorial Hospital przypominał mi wszystkie szkoły, do których chodziłam. Ściany o fakturze piasku pomalowane na kolor starych zębów, metalowe szafki w korytarzu, linoleum na podłogach, ciemno- i jasnobrązowe płyty dźwiękoszczelne wypchane sznurkiem. Tylko wrzaski niosące się korytarzami były inne. Szpital przerażał mnie. Nie przynależę tutaj, pomyślałam, gdy szłam za Yvonne korytarzem. Powinnam chodzić do trzeciej klasy, uczyć się czegoś intelektualnego i odległego od życia, bezpiecznie wciśnięta między okładki książki. W życiu wszystko się może zdarzyć.

Przyniosłam wszystkie rzeczy, których nauczyliśmy się używać na szkole rodzenia, piłki tenisowe, zrolowane ręczniki, zegarek, lecz Yvonne nie chciała tego robić, dyszeć i liczyć, leżeć na piłkach tenisowych. Chciała tylko ssać białą aksamitną tkaninę i pozwoliła mi, żebym wycierała jej twarz szmatką zamoczoną w wodzie z lodem i śpiewała moim bezmelodyjnym głosem. Śpiewałam piosenki z musicali, które oglądałam w Michaelem — *Camelot, My Fair Lady*. Śpiewałam jej: „O, Shenandoah, tak pragnę usłyszeć twój głos”, Claire śpiewała to kiedyś nad brzegiem MacKenzie. Tymczasem wokół nas, przez zasłony, kobiety wrzeszczały na wąskich łóżkach porodowych, przeklinały, jęczały i wołały swe matki w dziesięciu językach. Brzmiało to jak laboratoria inkwizycji.

Rena nie została długo. Zawiozła nas, podpisała papiery,

3750djechała. Zawsze, gdy już zaczynałam ją lubić, działo się coś takiego.

— Mamo — skamlała Yvonne, lzy lały się jej po twarzy. Ścisnęła mnie za ramię przy kolejnych skurczach. Byliśmy tam od dziewięciu godzin, przysłała nowa zmiana pielęgniarek. Ramię miałam całe posiniaczone. — Nie zostawiaj mnie — powiedziała.

— Nie zostawię. — Dałam jej do ust trochę kostek lodu, tyle, ile pozwolili. Zabronili jej cokolwiek pić, na wypadek gdyby trzeba było podać znieczulenie. Nie chcieli, żeby im zwymiotowała w maskę. I tak zwymiotowała. Podsunęłam jej pod brodę plastikową nerkę. Fluorescencyjne światło oskarżało nas.

Pielęgniarka spojrzała na monitor, wsadziła palce w Yvonne, żeby sprawdzić rozwarcie. Wciąż osiem centymetrów, a pełne rozwarcie to dziesięć, w kółko nam powtarzali, że zanim będzie dziesięć, niewiele są w stanie zrobić. Teraz był najgorszy moment, między fazą rozwarcia i wydalania płodu. Yvonne miała na sobie biały podkoszulek i zielone podkolanówki, jej twarz była żółta i śliska od potu, włosy pozlepiane i zmierzwiłone. Starłam jej z ust nitki rzygowin.

— Zaśpiewaj mi piosenkę — powiedziała Yvonne przez spękane usta.

— „Gdybym cię miała zostawić... — śpiewałam do jej spiralnego ucha, całego poprzekłuwanego— ...to nie w lecie...”

Yvonne sprawiała wrażenie ogromnej na maleńkim łóżku. Miała przypięty do brzucha monitor płodu, ale nie chciała patrzeć na ekran telewizyjny. Przyglądałam się jej twarzy. Przypominała mi obraz Francisca Bacona, balansowała na granicy podobieństwa

do czegoś ludzkiego, opierała się zniknięciu w niezróżnicowanym świecie bólu. Odgarnęłam jej włosy z twarzy, uplotłam warkocze.

Dzielność kobiet, pomyślałam, kiedy pracowałam nad jej włosami od dołu do góry, rozwikłując posklejaną bryłę. Nigdy nie byłabym w stanie przeżyć czegoś takiego. Ból przychodził falami, płachtami, zaczynał się w brzuchu i rozprzestrzeniał we wszystkich kierunkach, kwiat bólu rozkwitający w jej ciele, wyszczerbiony stalowy lotos.

376 Nie mogłam przestać myśleć o ciele, o tym, jakim jest nieusuwalnym faktem. Filozof, który powiedział, „Myślimy, więc jesteśmy”, powinien był spędzić godzinę na oddziale położniczym Waite Memorial Hospital. Musiałby zmienić całą swoją filozofię.

Umysł jest taki cienki, ledwie pajęczyna, przy wszystkich swoich wyrafinowanych myślach, aspiracjach i przekonaniu o własnej ważności. Jak szybko się pruje, wyparowuje od pierwszego liźnięcia bólu. Dysząc na łóżku, Yvonne prawie nie przypominała siebie, rozpadała się na dojrzały zbiór nerwów, włókien, worków i wód, ze starodawnym zegarem we krwi. W porównaniu z tym wiecznym ciałem jednostka jest dymem, obłokiem. Jedyną rzeczywistością jest ciało. Boli mnie, więc jestem.

Weszła pielęgniarka, spojrzała na monitor, sprawdziła skurcze Yvonne, ciśnienie krwi, ruchy miała energiczne i stanowcze. Na poprzedniej zmianie miałyśmy Connie Hwang, ufałyśmy jej, uśmiechała się i delikatnie dotykała Yvonne swymi pulchnymi rękami. Lecz ta nowa, Melinda Meek, warczała na Yvonne, żeby nie skamlała. — Nic ci nie będzie — powiedziała. — Już to przerabiałaś. — Przerazał mnie jej profesjonalizm, jej kościste palce. Widziałam, że wie, że jesteśmy przybranymi dziećmi, że Yvonne nie zatrzyma dziecka. Zdecydowała już, że jesteśmy nieodpowiedzialne i w pełni zasługujemy na cierpienie Jakiego nas spotyka. Kojarzyła mi się ze strażniczką więzienną. Zaprażyłam, żeby była z nami moja matka. Ona umiałaby się pozbyć Melindy Meek. Nawet w najgorszym okresie między fazą rozwarcia i wydalania płodu splunęłaby we wredną twarz Melindy, zagroziłaby, że ją udusi kablem monitora płodu.

— Boli — powiedziała Yvonne.

— Nikt nie mówił, że to będzie piknik — powiedziała Melinda. — Musisz oddychać.

Yvonne próbowała, zachłystywała się i dmuchała, chciała, żeby wszyscy ją lubili, nawet ta skwaszona pielęgniarka.

— Nie może jej pani czegoś dać? — spytałam.

— Nic jej nie jest — odparła szorstko Melinda, w jej trójkątnych oczach czaiła się zawoalowana groźba.

377— Skurwysyny, skapią biednym ludziom lekarstw — powiedziała kobieta po drugiej stronie prysznicowych zasłon.

— Bardzo panią proszę, błagam — powiedziała Yvonne, łapiąc Melinę za białe fartuch.

Pielęgniarka profesjonalnie odczepiła dłoń Yvonne i stanowczym gestem położyła jej na brzuchu. — Jest już osiem centymetrów. Zaraz będzie po wszystkim.

Yvonne szlochała miękko, rytmicznie, beznadziejnie, zbyt zmęczona, żeby płakać. Masowałam jej brzuch.

Nikt nigdy nie mówił o tym, jaka to jest ciężka walka. Zrozumiałam, dlaczego kobietom zdarza się umierać podczas porodu. Nie dlatego, że łapią jakiegoś mikroba, a nawet nie z powodu utraty krwi. Po prostu się poddają. Przestaje im zależeć, czy dziecko się urodzi. Wiedzą, że jeśli nie umrą, to będą musiały przez to samo przechodzić za rok, potem znowu. Zrozumiałam, że kobieta może po prostu przestać walczyć, zanurzyć głowę pod wodę jak zmęczony pływak, pozwolić, by woda wlała się do płuc. Powoli masowałam Yvonne szyję, ramiona, nie chciałam jej pozwolić, by poszła pod wodę. Ssała lód przez przetarty biały barchan. Gdyby była tam moja matka, na pewno wydusiłaby od Melindy Meek środki przeciwbólowe.

— *Mamacita, aye* — zawyła Yvonne.

Nie wiedziałam, dlaczego woła matkę. Nienawidziła jej. Nie widziała jej od sześciu lat, od dnia, kiedy matka zamknęła Yvonne, jej brata i siostry w mieszkaniu w Burbank, poszła balować i nigdy nie wróciła. Yvonne powiedziała, że kiedy miała jedenaście lat, matka pozwoliła swym kolegom, aby zrobili z nią sztafetę. Nawet nie wiedziałam, co to znaczy. Przelecieli ją po kolei, wytłumaczyła mi. Mimo to wołała ją, *Mama*.

Nie tylko ona. Kobiety na całym oddziale wołały swoje matki. Mamusiu, mamuniu, mamó. Nawet jeśli miały przy łóżku mężów, wołały mamę. Dziewięć godzin wcześniej, kiedy przyjechałyśmy, kobieta z głosem jak kąpiel ługowa na przemian wrzeszczała na swojego męża i wołała matkę. Dorosła kobieta łka jak dziecko. —

Mamusi... — Wstydziałam się za nią. Teraz byłam już mądrzejsza.

378 Trzymałam Yvonne za ręce i wyobraziłam sobie moją matkę, jak rodzi mnie siedemnaście lat wcześniej. Czy wołała swoją matkę? Wyobraziłam sobie, że wrzeszczy na mojego ojca, nazywa go bezużytecznym kłamcą, aż wreszcie wyszedł na piwo, zostawił ją samą z właścicielką domu w zimny listopadowy ranek. Urodziła mnie w domu, nigdy nie lubiła lekarzy. Potrafię sobie wyobrazić, że jej krzyki i wyklinania musiały przekuć ciszę alejki w Venice Beach, zaskoczyć dziecko przejeżdżające na deskorolce. W tym czasie właścicielka domu paliła hasz i przegrzebała jej torebkę. Ale czy wołała: Mami, pomóż mi?

Pomyślałam o jej matce, o tym, że mam tylko jedno jej zdjęcie, że tak niewiele o niej wiem. Karin Thorvald, która była lub nie była daleką krewną króla Norwegii Olafa, aktorka grająca klasykę i pijaczka, która potrafiła recytować z pamięci Szekspira, karmiąc kury i która utopiła się w stawie do pojenia krów, kiedy moja matka miała trzynaście lat. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by kogokolwiek wołała.

Ale potem zdałam sobie sprawę, że im nie chodzi o własne matki. Nie o te słabe kobiety, te ofiary. Narkomanki, nałogowe zakupowiczki, domowe kucharki. Nie chodziło im o kobiety, które je zawiodły, które nie pomogły im wejść w kobiecość, kobiety, które pozwalały swym kolegom zrobić z nimi sztafetę. Kobiety, które się obzerają, a potem wymiotują, kobiety uśmiechające się do lustra, kobiety w pasach miednicowych, kobiety na stołkach barowych. Nie o te kobiety z ich narzekaniami i kolorowymi czasopismami, kobiety kontrolujące, kobiety, które pytają: a co ja będę z tego miała? Nie o kobiety, które oglądają przy kolacji telewizję, nie o kobiety, które farbują sobie włosy na blond za zamkniętymi drzwiami, chcąc wyglądać na dwadzieścia trzy lata. Nie chodziło im o matki, które myjąc naczynia, żałują, że wyszły za męża, o kobiety na pogotowiu, które mówią, że spadły ze schodów, nie o więźniarki, które mówią, że człowiek jest skazany na samotność, musisz się do niej przyzwyczaić.

One chciały prawdziwej matki, matki do szpiku kości, wiel-

379 kiej macicy, matki obdarzonej zaciekleym współczuciem, kobiety na tyle dużej, aby pomieściła w sobie cały ból, zabrała go. Potrzebowałyśmy kogoś, kto by krwawił, kogoś głębokiego i żyznego jak pole, matki o szerokich biodrach, groźnej, ogromnej, kobiety podobnej do olbrzymiej miękkiej kanapy, matek pulsujących krwią, matek na

tyle dużych, na tyle szerokich, abyśmy mogły się w nich schować, zapaść na samo dno, matek, które by za nas oddychały, kiedy my nie możemy już oddychać, które będą

o nas walczyły, zabijały dla nas, umierały.

Yvonne siedziała ze wstrzymanym oddechem i wybałuszonymi oczami, robiła rzecz zakazaną.

— Oddychaj — powiedziałam jej do ucha. — Proszę cię, Yvonne, spróbuj.

Próbowała oddychać, parę płytkich wdechów, ale za bardzo ją bolało. Opadła z powrotem na wąskie łóżko, zbyt zmęczona, by walczyć dalej. Była w stanie tylko ścisnąć mnie za rękę

i płakać. Pomyślałam, że dziecko jest z nią połączone, tak jak ona jest połączona ze swoją matką, i tak dalej wstecz, wewnątrz, że jest przykute do łańcucha katastrofy, który ściągnął ją tego dnia do tego łóżka. I nie tylko ją. Zastanawiałam się, jakie będzie moje dziedzictwo.

— Chcę umrzeć — powiedziała Yvonne do poszewki w kwiaty, którą przyniosłam z domu.

Dziecko przyszło na świat cztery godziny później. Dziewczynka, Bliźnięta, urodzona o 5.32. Następnego dnia wróciliśmy do domu. Rena czekała na nas w samochodzie. Nawet nie weszła do środka. Przystanęliśmy koło okna sali noworodków, ale dziecko zostało już zabrane. Rena nie zgodziła się, żeby Yvonne wzięła dziecko do domu chociaż na kilka tygodni.

— Lepiej niech idzie w świat — powiedziała Rena. — Przywiążesz się, tak źle, i tak niedobrze.

Miała rację, chociaż jej motywacje nie miały nic wspólnego z Yvonne, po prostu nie chciała zostać przybraną babcią. Nigdy nie miała dzieci, nie chciała mieć. „Co ja będę z tego miała?”

380— Niedobrze mi robi, jak widzę dzieci — powtarzała w kółko. — Jedzą, srają, płaczą. Chcesz zatrzymać, lepiej zastanów.

Niki wysiadła z furgonetki, dała Yvonne bukiet balonów, uściśnęła ją. Pomogłyśmy jej wsiąść do tyłu. Nadal była zmęczona, ledwo chodziła. Miała naderwany nerw w lewej nodze i szwy w miejscu, gdzie rozciął ją lekarz. Wydzielała kwaśny zapach podobny do

starej krwi. Wyglądała, jakby przed chwilą potrącił ją samochód. Rena nawet na nią nie spojrzała.

Siedziałam z nią na powybebeszanym tylnym siedzeniu. Yvonne oparła się o mnie, położyła mi głowę na ramieniu. — *Zaśpiewaj Piękną i bestią* — szepnęła.

Wzięłam ją za rękę, drugą przytknęłam jej do czoła tak jak lubiła i zaśpiewałam jej ulubioną piosenkę, gdy telepałyśmy się do domu. — „Opowieść stara jak świat...” — Piosenka działała na nią kojąco, starałam sienie myśleć o ironii zawartej w słowach. Oparła mi głowę o ramię i w milczeniu ssła kciuk.

Mijały tygodnie, a Susan wciąż nie dawała znać, kiedy zobaczę się z matką. Teraz, kiedy zapewniła sobie mój współdziałanie, nie było o tym więcej mowy. Nie w maju, nie w czerwcu. Siedziałam nad rzeką, patrzyłam na białe czaple i brązowe dławi-gady, które łowiły ryby. W Marshall High School odbywała się uroczystość zakończenia szkoły, ale nie widziałam powodu, aby brać w niej udział. Moja matka nie poszłaby na nią, nawet gdyby nie siedziała w więzieniu. Nigdy nie interesowały jej ceremonie, których sama nie zorganizowała. Wołałam, żeby to przeszło po cichu jak urodziny kobiety w średnim wieku.

Prawda była taka, że się bałam, tak bardzo, że nawet o tym nie wspominałam, jak tego ranka, kiedy brałam LSD. Był to strach, który potrafił otworzyć paszczę i połknąć mnie całą, jak ryba młot w dwóch metrach wody. Nie wiedziałam, co się dalej stanie. Nie wybierałam się do Yale ani do szkoły artystycznej, nigdzie się nie wybierałam. Malowałam ramki do tablic rejestracyjnych, sypiałam ze złodziejem, powiedział, że mogę w każdej chwili się do niego przeprowadzić. Może nauczyłabym się otwierać zamki,

381uprowadzać ciężarówki. Dlaczego moja matka ma mieć monopol na przestępstwo?

Siedziałam nad wodą i patrzyłam, jak płynie, czaple o guziko-watych oczach prężą się, myślałam o tym, co powiedział pan Delgado na ostatniej lekcji. Powiedział, że uczymy się historii, aby się dowiedzieć, dlaczego jest tak, jak jest, jakimi drogami dotarliśmy na miejsce, w którym się znajdujemy. Powiedział, że z narodem, który nie zna swej historii, można zrobić wszystko. Tak działają systemy totalitarne.

Kim ja naprawdę jestem? Jedynym mieszkańcem totalitarnego państwa mojej matki, której osobista historia jest dopasowywana do tego, co ona ma danego dnia do

powiedzenia. Brakowało tylu elementów układanki. Chciałam wiedzieć, kto to jest Annie. Zaczynałam układać wszystko w całość, przedzierałam się w górę rzeki, gromadziłam w pudełku po butach tajemną skarbnicę połamanych przedmiotów. Był w niej łabędź. Biały, drewniany łabędź z długimi czarnymi nozdrzami, jak łabędź na matowej szybie drzwi prysznicu u Claire. Siedziałam na łabędziu i robiłam sisi dla Annie. Miałam w pudełku białe płytki podłogowe, które układałam w różne kształty, kwiaty i domy. Płytki miały kształt sześciokątów, wszystkie do siebie pasowały. Miałam żółte linoleum kuchenne z czerwono-czarnym wzorem, w stylu Jacksona Pollocka, i kosze na pranie. Ten klimat pralni, zapach suszarki. Żółte światło słońca przez żaluzję. Trzymam palec w kółeczku na końcu sznurka do podciągania żaluzji.

Ale kto to była Annie? Znajoma? Opiekunka do dziecka? I dlaczego to ona nauczyła mnie załatwiać się do nocnika, a nie moja matka? Chciałam wiedzieć, co się kryje za łabędziem i żółtym linoleum. Były tam inne dzieci, pamiętam to, patrzyłam, jak idą do szkoły. I pudełko kredek woskowych. Mieszkaliśmy z nią czy zostawiła mnie tam?

I Klaus, kontur postaci, która jest moim ojcem. „Prawda jest tym, co ja uznaję za prawdę, a jutro czymś zupełnie innym”. Jak ja się w tym wszystkim mieszczę? Chciałam wiedzieć, jak się poznali, zakochali w sobie, dlaczego się rozeszli. Czas ich wspól-

382nego życia był polem bitwy usłanym białymi kamieniami, okopy zarosły trawą, straciłam w tej wojnie wszystko, ale nigdy się nie dowiem, jak ona przebiegała. Chciałam wiedzieć o latach, w których podróżowałyśmy, chciałam wiedzieć, dlaczego nie mogłyśmy wrócić do domu.

Położyłam się na pochyłym nabrzeżu i patrzyłam do góry. To było najlepsze miejsce do patrzenia na niebo. Betonowe nabrzeże zasłaniało jego rozmazane, płaskie krawędzie, tam, gdzie widać było smog i mgiełkę, miałam przed oczyma tylko najlepszy fragment, środek, idealną misę bezkresnego błękitu. Puściłam się i spadłam do góry w tę ultramarynę. Nie blady, arktyczny poranek jak oczy mojej matki — ten błękit był czuły, ciepły, miłosierny, bez domieszki bieli, czysty chromatyzm, niebo Rafaela. Kiedy nie widzi się horyzontu, można prawie uwierzyć, że niebo jest misą. Jego okrągłość hipnotyzowała mnie.

Usłyszałam czyjeś zbliżające się kroki. To była Yvonne. Jej ciężkie stąpanie, długie włosy jak płachty wody. Położyłam się z powrotem. Usiadła obok mnie.

— Połóż się, spójrz na to wspaniałe niebo.

Położyła się obok mnie z rękami splecionymi na brzuchu tak jak wtedy, kiedy była w ciąży, chociaż dziecko już z niej wyszło. Była cicha, mniejsza niż zwykle, jak marszczący się liść. Stado gołębi przefrunęło przez mięsistą, zakrzywioną powierzchnię nieba, unisono były biało-szarymi skrzydłami, jak semafor. Ciekawe, czy wiedzą, dokąd lecą, pomyślałam.

Ścisnęłam jej rękę. Jakbym trzymała własną dłoń. Usta miała wydęte, spękane. Czulałam się, jakbyśmy to my leciały po niebie, odcięte od przyszłości i przeszłości. Dlaczego to nie może wystarczyć? Stado gołębi powinno wystarczyć. Coś bez historii. Może powinnam odłożyć do kąta mój przerwany sznur paciorków, moje pudełka po butach ze wspomnieniami. Dlaczego nie mogę być czapłą? Żadnej historii, tylko ptak na długich chudych nogach.

Gdybym mogła zatrzymać czas. Rzekę i niebo.

— Zdarza ci się myśleć o tym, żeby się zabić? — spytała Yvonne.

383— Niektórzy ludzie mówią, że kiedy wracasz, zaczynasz od tego samego miejsca, w którym wysiadłaś.

Chwyciłam ją za ramię. Miała taką miękką skórę. Jej podkoszulek wydzielał woń rozpacz, metaliczno-deszczową.

— Myślałam, że dzisiaj masz zakończenie szkoły, As — powiedziała.

— Jaki to ma sens? Maszerować po scenie jak kaczki na strzelnicy.

Yvonne westchnęła. — Na twoim miejscu byłabym z siebie dumna.

Uśmiechnęłam się. — Gdybyś była na moim miejscu, to byłabyś mną. Jeżeli coś ci to mówi, bo mnie niewiele.

Pani Luanne Davis zasugerowała, żebym złożyła papiery do City College, w każdej chwili mogę się przenieść, aleja straciłam już wiarę. Nie byłam w stanie sama wykuć sobie przyszłości z tych połamanych przedmiotów, które miałam, jak miecz Zygryda w starej opowieści. Przyszłość była białą mgłą, która miała mnie pochłonąć, bez szelestu niebiesko-złotej tafty. Nie było matki, która by mnie poprowadziła.

Wyobraziłam sobie kłamstwa, które mówi im teraz dyrektor. O ekscytującej przyszłości, która was oczekuje. Dlaczego nie powie im prawdy: „Połowa z was już dalej w

życiu nie zajdzie. Rozejrzyjcie się wokół siebie. Teraz będzie już tylko gorzej. Pozostali osiągną trochę więcej, dostaną stałą pracę, pojedą na wakacje na Hawaje albo przeprowadzą się do Phoenix w Arizonie, ale ile osób spośród półtora tysiąca dokona czegoś naprawdę wartościowego, napisze sztukę, namaluje obraz, który zawiśnie w galerii, wynajdzie szczepionkę przeciw opryszczce? Dwie, może trzy, A ilu z was znajdzie prawdziwą miłość? Mniej więcej tyle samo. A oświecenie? Może jedna osoba. Reszta z was pójdzie na kompromis, wyszuka sobie usprawiedliwienia, znajdzie sobie kogoś lub coś, na co będzie można zrzucić winę i powiesi to sobie na sercu jak medalion".

Płakałam. Wiedziałam, że mogłam bardziej się postarać, coś załatwić, znaleźć kogoś, kto by mi pomógł. W tym momencie moi

384koledzy i koleżanki z klasy odbierali nagrody za wyniki, dostawali stypendia, szli na studia. Jak to możliwe, że się tak zagubiłam? Mamo, dlaczego pozwoliłaś, żeby moja dłoń wysliznęła się z twojej w autobusie, trzymałaś tyle pakunków. Czułam się tak, jakby czas był wielkim morzem, a ja pływałam na grzbiecie żółwia, na horyzoncie nie widać było ani śladu żagla.

— Dziwne, wiesz? — powiedziała Yvonne. — Byłam pewna, że cię znienawidzę. Kiedy przyszłaś, pomyślałam, komu jest potrzebna *gringa*, za kogo ona się ma, za księżną Dianę? Powiedziałam tak do Niki. Akurat potrzebujemy nowej koleżanki. Ale wiesz, naprawdę cię potrzebowaliśmy.

Ścisnęłam ją za rękę. Miałam Yvonne, miałam Niki. Miałam to rafaelowskie niebo.

Tego lata handlowaliśmy naszym towarem na tandetach od Ontario po Santa Fe Springs. Rena dostała okazji arkusze papieru do oklejania w czarno-białe pasy, oklejałam więc stołki barowe, wagi łazienkowe, „pojemniki" z pudełek po butach. Okleiałam szpitalny chodzik dla zniedołężniałych starców. Koty się schowały.

— Witryna. — To było nowe hasło Reny. — Musimy mieć witrynę.

Nasz oklejony w paski zestaw mebli kuchennych już poszedł. Dostała za niego czterysta dolarów, dała mi sto. Powiedziała, że mogę zostać, dopóki będę chciała, płacąc za mieszkanie i wyżywienie tak jak Niki. W jej intencji miał to być komplement, ale ja śmiertelnie się przeraziłam.

Na tandecie koło Fairfax High rozpięliśmy sobie nad wieszakami z ubraniami

plachtę z niebieskiego plastiku, żeby oglądające panie nie dostały udaru słonecznego. Były jak maleńkie rybki podgryzające rafę koralową, a my jak mureny, czekające cierpliwie, aż podpłyną bliżej.

— Benito chce, żebym się do niego wprowadziła — powiedziała Yvonne, kiedy Rena obsługiwała klientkę, poprawiała jej kapelusz na głowie i mówiła, jak świetnie w nim wygląda.

385— Ale nie zrobisz tego — powiedziała Niki. Yvonne uśmiechnęła się z rozmarzoną miną.

Znów była zakochana. Nie widziałam powodu, żeby ją odwozić od tego pomysłu. Dałam sobie spokój z próbami zrozumienia, co jest dobre, a co złe, co jest ważne, a co nieważne. — Sprawia wrażenie sympatycznego ■— powiedziałam.

— Ilu ludzi was prosi, żeby dzielić z nimi życie? — spytała Yvonne.

— Tacy, którzy chcą mieć na stałe babę do łóżka, robienia prania i mycia naczyń — odparła Niki.

Piłam na spółkę z Yvonne kubek Rosyjskiego Koktajlu Sportowego, słabej mieszanki wódki z Gatorade*, którą Rena piła przez cały dzień.

Rena przedstawiła mi jakąś opaloną kobietę, położyła na składanym stoliku pasiastą walizkę American Tourister ze sztywnymi bokami.

— To nasza artystka — powiedziała Rena, zapalając czarnego sobranie. — Astrid Magnussen. Zapamiętaj to nazwisko. Kiedyś ta walizka warta miliony.

Kobieta uśmiechnęła się i uścisnęła mi dłoń. Próbowałam na nią nie chuchać Koktajlem Sportowym. Rena teatralnym gestem wręczyła mi niezmywalny pisak i na dole walizki złożyłam swój autograf. Czasami przebywanie z Reną przypominało przeżycia po LSD. Artystka. W buddyjskiej książce, którą znalazłam kiedyś w śmieciach, przeczytałam, że cnota polega na rzetelnym wykonaniu tego, co się w danej chwili robi, całkowitym zaangażowaniu w bieżące zadanie. Spojrzałam na pasiasty barek i stołki barowe, na walizkę, która zniknęła razem z opaloną kobietą. Ładnie wyglądały. Oklejanie paskami sprawiało mi przyjemność. Jeślibym przez całe życie nic więcej nie osiągnęła, czy to nie wystarczy? Buddyści uważają, że to nie ma znaczenia, czy chodzi o papier do oklejania czy zeni-styczną kaligrafię, neurochirurgię czy literaturę. W tao miały jed-

nakową wartość, jeśli się robiło wszystko w tym samym duchu.

* Gatorade — napój energetyczny.

386— Leniwce — powiedziała Rena. — Musicie rozmawiać z klientem. Urobić, żeby kupił.

Zobaczyła młodego mężczyznę w szortach i adidasach, który oglądał stołki barowe, przykleiła sobie uśmiech i poszła go urabiać. Zobaczyła te adidas z dwudziestu metrów. Niki dopiła swój kubek koktajlu z Gatorade, zrobiła minę, naląła sobie więcej, póki Rena była zajęta. — Czego się nie robi, żeby poprawić sobie humor.

— Kiedy się wyprowadzasz? — spytałam Yvonne.

— Jutro — szepnęła, na poły schowana za zasłoną gładkich włosów.

Odgarnęłam jej włosy ręką, założyłam za małe, przekłute w wielu miejscach ucho. Podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się, ucisnęłam ją. Wybuchnęła płaczem. — Sama nie wiem, Astrid, myślisz, że powinnam? Ty zawsze wiesz, co robić.

Roześmiałam się, wzięta przez zaskoczenie. Przysiadłam obok niej na rozchwierutany stołek reżyserskim. — Ja? Ja wiem mniej niż nic.

— Myślałam, że ty nigdy nie kłamiesz — powiedziała z uśmiechem, odruchowo zasłaniając dłonią swe brzydkie zęby. Może Benito się z nią ożeni. Może zabierze ją do dentysty. Może będzie ją przytulał i kochał w nocy. Dlaczego miałby tego wszystkiego nie zrobić?

— Będzie mi ciebie brakowało — powiedziałam. Skinęła głową, nie mogła mówić, uśmiechała się przez łzy. —

Boże, na pewno jestem cała rozpaprana na twarzy. — Starła tusz, który ściekał jej po policzkach.

— Wyglądasz jak Miss Ameryki — powiedziałam, ściskając ją. Tak mówią kobiety. — Wiesz, kiedy nakładają jej koronę, a ona płacze, śmieje się i paraduje.

To wzbudziło w niej śmiech. Lubiła konkurs Miss Ameryki. Oglądałyśmy to naszprycowane, ona wzięła jakieś zakurzone kwiaty z jedwabiu i paradowała po salonie, naśladując pozdrowienie królowej piękności.

— Jeśli się pobierzemy, możesz zostać moją druzną—mówi.

387Zobaczyłam w jej oczach tort weselny, na górze miniaturowa para młoda,

lukier jak koronka, warstwa na warstwie, sukienka taka sama jak tort, białe kwiaty przyklejone do samochodu, odjeżdżając, wszyscy trąbią.

— Z miłą chęcią — powiedziałam. Wyobraziłam sobie przyjęcie weselne, nikogo powyżej osiemnastu lat, wszyscy planują sobie życie na podstawie tekstów popularnych piosenek. Smutno mi się zrobiło na tę myśl.

— Zejdiesz się z powrotem ze swoim chłopakiem — powiedziała, jakby chciała złagodzić cios. — Nie martw się. Zaczeka na ciebie.

— Jasne. — Wiedziałam jednak, że nikt na nikogo nie czeka.

Następnego dnia wieczorem Yvonne zapakowała kilka ubrań, swego konika i radio, ale zostawiła na komodzie oprawione w ramkę zdjęcie aktora telewizyjnego. Rena dała jej trochę pieniędzy, zwiniętych i spiętych gumką. Wszystkie czekałyśmy na ganku, aż przyjechał Benito swoim oryginalnym szarym cutlass. Potem odjechała.

31

Na progu sierpnia miasto leżało sparaliżowane, ogłupione obuchem gorąca jak wół w rzeźni. Chodniki kuliły się przed słońcem jak bity pies — krajobraz całkowitej kapitulacji. Powietrze było nachlorowane, gęste i wrogie jak atmosfera umarłej planety. Ale przed domem duży oleander rozkwitał jak bukiet weselny, gwiazdy na niebie rozprysnięte jak sztuczne ognie. Na ten widok pomyślałam o matce.

Susan wciąż nie dzwoniła. Tyle razy chciałam do niej zatelefonować i zażądać spotkania z matką. Nie byłam jednak taka nierozsądna. Wiedziałam, że to partia szachów. Najpierw niby pilna

388sprawa, potem czekanie. Nie będę biegła za nią ulicą i błagała. Chciej mnie, zauważ mnie. Uzbroję się, zbuduję sobie fortecę.

Budziłam się teraz bardzo wcześnie, żeby się załapać na kilka łyków chłodnego powietrza, zanim przyjdzie upał. Stałam na ganku i patrzyłam na olbrzymi oleander, był stary, pień miał gruby jak drzewo. Wystarczyłoby upiec sobie kiełbaskę na jednej gałązce, żeby się przejechać na tamten świat. Matka wygotowała tego całe kilogramy, żeby przygotować śmiercionośny wywar dla Barry'ego. Dlaczego on musi być taki trujący, pomyślałam. Oleandry potrafią przeżyć w każdych warunkach, wytrzymują upał, suszę, zaniedbanie, i wypuszczają tysiące woskowatych kwi atów. Więc po co im trucizna? Nie

mogłyby po prostu być gorzkie? Przecież nie zjadają tego, co zabijają, jak grzechotnik. Wygotowywała, destylowała truciznę jak swoją nienawiść. Może trucizna tkwi w glebie, może jest coś takiego w LA, nienawiść, chamstwo, coś, o czym nie chcemy myśleć, a oleander gromadzi tę substancję w swoich włóknach? Może nie jest źródłem trucizny, tylko jeszcze jedną jej ofiarą?

O ósmej nie dało się już wytrzymać na zewnątrz. Wracalam do domu, żeby przygotować drugie śniadanie dla Tashy, następczyni Yvonne, która spała na jej łóżku, miała trzynaście lat i chodziła do King Junior High. Poważna, milcząca, na górnej wardze miała pionową bliznę, która dopiero się goiła. Kiedy ktoś poruszył się za blisko jej twarzy, odskakiwała.

— Dasz sobie świetnie radę — powiedziałam, wkładając jej do torby kanapkę z selerem i masłem orzechowym i jabłko Grany Smith. — Będę ci kibicowała.

Zawiozłam ją do szkoły pikapem Niki, wysadziłam przed Thomas Starr King Junior High, patrzyłam, jak wchodzi do środka wystraszona i mała, z plecaczkiem obwieszonym breloczkami do kluczy. Czułam się bezsilna, czułam, że nie potrafię zawrócić jej życia z jego przypuszczalnych torów. Czy człowiek może ocalić innego człowieka? Odwróciła się i pomachała mi. Odmachałam. Odjechałam dopiero wtedy, gdy weszła do środka.

389 Droga Astrid!

Dzisiaj mija sześć lat. Trzeci dzień powyżej czterdziestu stopni. Wczoraj jedna więźniarka poderżnęła innej gardło blachą z puszeki. Lydia podarła mój wiersz o mężczyźnie, którego kiedyś widziałam, wytatuowany wąż zniknął mu w dżinsach. Kazałam jej, żeby go z powrotem posklejała, ale nie wyobrażasz sobie, jakie są między nami napięcia. Oprócz Ciebie z nikim nie byłam na stałe związana przez tak długi czas. Ona jest pewna, że ją kocham, chociaż to absolutna bzdura. Ona uwielbia te moje wiersze, w których piszę o niej, uważa je za publiczne wyznanie.

Miłość. Najchętniej wykreśliłabym ten wyraz ze słownika. Co za brak precyzji. Miłość, która miłość, jaka miłość? Sentyment, marzenie, tęsknota, chuć? Obsesja, zzerająca potrzeba? Być może jedyną bezprzymiotnikową miłością jest miłość do bardzo małego dziecka. Później dziewczynka też staje się osobą i nie ma już mowy o nie skazonym niczym uczuciu. „Kochasz mnie?”, spytałaś, leżąc w ciemnościach na wąskim

łóżku. „Kochasz mnie, mamusiu?”

„Oczywiście”, powiedziałam Ci. „A teraz śpij”.

Miłość to bajka na dobranoc, miś pluszowy, dobrze znany, bez jednego oka.

„Kochasz mnie, *carita?*” mówi Lydia, wykręcając mi ramię, wciskając mi twarz w szorstki koc z końskiego włosia, gryząc mnie w szyję. „Powiedz, że mnie kochasz, ty suko”.

Miłość jest zabawką, żetonem, naperfumowaną chusteczką.

„Powiedz, że mnie kochasz”, powiedział Barry.

„Kocham cię — powiedziałam. — Kocham cię, kocham cię”.

Miłość jest czekiem, który można podrobić, który można zrealizować. Miłość jest zapłatą, którą można ściągać przez komornika.

Lydia leży na boku na mojej pryczy, krzywizna jej biodra jest jak grzbiet fali w płytkiej wodzie, turkusowej, Playa del Carmen, Martynika. Przegląda nowe „Celebriidades”. Oplaci-

390łam jej prenumeratę. Mówi, że dzięki temu czuje się częścią świata. Nie wyobrażam sobie, żebym miała się podniecać filmami, których nie zobaczę, bieżące kwestie polityczne r^e wznuszają mnie, nie mają mi nic do powiedzenia w głębokiej więziennej ciszy.

Czas nabrał dla mnie zupełnie innego wymiaru. Rok więcej czy mniej, co za różnica? W pewnym przewrotnym sensie żal mi kobiet, które wciąż żyją w czasie, schwywane w jego pułapkę, liczą miesiące, liczą dni. Ja zostałam wyswobodzona, odcięta, poruszam się wśród stuleci. Pisarze przysyłają mi książki — Josif Brodski, Marianne Moore, Pound. Może nauczę się chińskiego.

„Byłaś kiedyś w Guanajuato? — pyta Lydia. — Wszystkie wielkie gwiazdy teraz tam jeżdżą”.

Guanajuato, Astrid. Pamiętasz? Wiem, że pamiętasz. Pojechałyśmy tam z Alejandro malarzem, nie mylić z Alejandro poetą. Z San Miguel. Mój hiszpański był za słaby, aby ocenić jakoś twórczości poety, lecz Alejandro malarz był dosyć tragiczny. Nie powinien był w ogóle tworzyć. Powinien był siedzieć na stołku i pobierać opłaty za patrzenie na niego. I taki nieśmiały, nie potrafił spojrzeć mi w oczy, zanim nie skończył

mówić. Mówił do mojej ręki, podbicia stopy, krzywizny mojej łydki. Dopiero kiedy skończył mówić, patrzył mi w oczy. Drżał, kiedy się kochaliśmy, delikatny zapach pelargonii.

Lecz wobec Ciebie nigdy nie był nieśmiały, prawda? Toczyliście takie długie rozmowy — konspirowaliście zetknięci głowami. Czułam się wyłączona poza nawias. To on nauczył Cię rysować. Rysował coś, a potem Ty to kopiowałaś. *La mesa, la botille, las mujeres*. Próbowałam nauczyć Cię poezji, ale zawsze byłaś taka uparta. Dlaczego nigdy nie chciałaś się niczego ode mnie nauczyć?

Szkoda, że nie zostaliśmy na zawsze w Guanajuato.

Matka

391Alejandro malarz. Patrzyłam na kreskę płynącą mu z palców, na ruchy jego ramienia. Czy był złym malarzem? Nigdy nie przyszło mi to do głowy, tak jak nie przyszło mi do głowy, że ona mogłaby się poczuć wyłączona poza nawias. Była tam piękna, chodziła w białej sukience, budynki były ochrowe i żółte, sandały miała wiązane wokół nogi na krzyż jak Rzymianie. Wodziłam palcami po białych iksach, kiedy je zdejmowała. Hotel z parawanami i ozdobnymi zwojami wokół drzwi otwartych na wyłożony terakotą korytarz, wszyscy nawzajem się słyszeli, a kiedy paliła skręta, musiała wydmuchiwać dym na balkon. Był to dziwny pokój, ochrowy, wyższy niż szerszy. Jej się podobało, powiedziała, że jest miejsce na myślenie. Orkiestry *mariachis* rywalizowały ze sobą na ulicy, co wieczór słuchałyśmy dźwięków koncertów, leżąc w łóżkach pod moskitierami.

— I co? — spytała Rena. — Wypuszczają ją?

— Nie — odparłam.

Jechał z San Miguel de Allende swym citroenem wielkości gokarta, biała koszula jaskrawo się odcinała od jego miedzianej skóry. Czy matka przyznaje się do błędu? Gdyby tylko potrafiła się przyznać. Wtedy mogłabym dla niej kłamać, porozmawiać z jej prawniczką, wystąpić jako świadek i przysiąc ponad wszelką wątpliwość, że ona nigdy... W tym liście była chyba bliższa niż kiedykolwiek przyznania się do czegoś.

Ja też żalowałam, że nie zostaliśmy w Guanajuato.

Potem Niki też się wyprowadziła, dołączyła do zespołu z Toronto wynalezionej przez Wenera. — Jedź ze mną — powiedziała, pakując rzeczy na pikapa. Podalam jej

walizkę, pasiastą. Obie uśmiechnęłyśmy się, sprawdziłyśmy jedna drugą, czy mamy łyzy w oczach. Zostawiła mi trochę adresów i telefonów, ale wiedziałam, że nie będę z nich korzystała. Musiałam stawić czoło temu, że ludzie wyjeżdżają i już nigdy się ich nie widzi.

W ciągu tygodnia Rena wprowadziła do pokoju Niki dwie nowe dziewczyny, Shanę i Raquel, dwunasto- i czternastolatkę. Shana miała epilepsję, a Raquel nie umiała czytać, powtarzała

392siódmą klasę. Kolejne zdefektowane dzieci do zniżkowego warsztatu naprawczego Reny Grushenki.

, Potem przyszedł wrzesień z jego spódnicami ognia. Pożar na Angeles Crest, pożar w Malibu, Altadenie. Pożar w całych San Gabriels, na pustkowiu San Gorgonio, ogień był płonąca obręczą, przez którą miasto musiało przeskoczyć, aby dotrzeć do błękitów października. We Frogtown mieliśmy trzy strzelaniny w jednym tygodniu — raz: napad na stacji Arco, dwa: kierowca pomylił drogę i został przydybany o północy w ślepej uliczce, trzy: kobieta postrzelona przez swego bezrobotnego męża elektryka podczas domowej kłótni.

Właśnie w gorącej jak piec porze oleandrów zadzwoniła wreszcie Susan. — Broniłam w innym procesie — wyjaśniła — ale teraz zabieramy się do dzieła. Załatwiłam ci wizytę na pojutrze.

Miałam ochotę wierzgnąć, powiedzieć, że nie mam czasu, utrudnić jej sprawę, ale w końcu się zgodziłam. Wiedziałam, że więcej entuzjazmu nie zdołam z siebie wykrzesać.

Rankiem, który już skapitulował przed prażącym wiatrem i zabójczym upałem, przyjechała po mnie Camille Barron, asystentka Susan, i wyruszyłyśmy w długą drogę do Corona. Usiadłyśmy przy pomarańczowym stole ogrodowym w cieniu zadaszenia, piłyśmy z zimnych puszek kupionych w automacie, przeciągałyśmy nimi sobie po czołach, przyciskałyśmy je do policzków. Czekaliśmy na moją matkę. Pot ściekał mi między piersiami, po plecach. Zmęczona upałem Camille siedziała ze stoicką miną w swym beżowym pokrowcu, jej modna, krótka fryzura była zwiotczała i przypocona na brzegach. Nie wysilała się na rozmowę ze mną, była tylko chłopcem na posyłki.

— Idzie — powiedziała Camille.

Moja matka zaczęła, aż strażniczka zamknie bramę. Wciąż wyglądała wspaniale,

chuda i umięśniona, jej jasne włosy skręcone z tyłu głowy i przebite ołówkiem. Półtora roku. Wstałam. Podeszła do nas, ostrożnie, mrużąc oczy przed słońcem, kosmyki włosów snuły się na wietrze jak dym. Jej opalona skóra była

393gęściej poorana zmarszczkami, niż kiedy ją poprzedni raz widziałam, zaczynała przybierać ten skórzasty wygląd, jaki mają biali osadnicy w Kenii. Nie zmieniała się jednak tak bardzo jak ja.

Kiedy weszła pod zadaszenie, stanęła i nie ruszała się. Chciałam, żeby zobaczyła, kim teraz jestem. Seledynowa spódnica z przemysłowym zamkiem, gruba warstwa czarnego cienia do powiek i tusz do rzęs, uszy z oktawą kolczyków. Nogi kobiety w spódnicy kupionej na pchlim targu, te nogi, które Sergej uwielbiał kłaść sobie na ramionach, moje biodra, moje pełne piersi. Platformy pożyczone od Niki na tę okazję. Nie różowa dziewczynka w szkolnych bucikach, nie bogata sierota. Byłam teraz dziewczyną od Reny. Równie dobrze mogłabym być jedną z jej współpensjonariuszek. Nie miękka dziewczyna, mimoza. Tym razem już nic mi nie odbierze. Tym razem już nie.

Po raz pierwszy nie uśmiechała się podczas mojej wizyty. Widziałam po jej minie, że jest zaszokowana, i ucieszyło mnie to. Asystentka jej prawniczki spojrzała na nas bez zainteresowania, a potem wstała i poszła do betonowego pawilonu odwiedzin, gdzie było chłodniej.

Moja matka wzięła mnie za rękę. Pozwoliłam jej. — Kiedy wyjdę, wszystko ci wynagrodzę — powiedziała. — Nawet za dwa, trzy lata wciąż będziesz potrzebowała matki, prawda?

Trzymała mnie za rękę, była kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Wybałuszyłam na nią oczy. Jakby przemawiał przez nią jakiś przybysz z kosmosu. Co to za rola?

— Kto powiedział, że wyjdiesz?

Puściła moją dłoń, odstała o krok. Akwamaryna jej oczu pociemniała do koloru jajka drozda.

— Powiedziałam, że z tobą porozmawiam, nie powiedziałam, że to zrobię. Chcę ci zaproponować układ.

Jajko drozda zamieniło się w popiół.

— Jaki układ? — spytała, opierając się o słupek, ramiona trzymała złożone na

przedzie drelichowej sukienki, tej samej, którą miała na sobie, kiedy ją poprzedni raz widziałam, w kolorze niebieskim jaśniejszym o dwa odcienie.

394— Coś za coś — powiedziałam. — Chcesz siedzieć tutaj czy pod drzewami?

Zaprowadziła mnie na swoje ulubione miejsce na wybiegu dla odwiedzających, pod figowcami, w najdalszym punkcie od wieżyczki obserwacyjnej. Siedziałyśmy plecami do recepcji, miałyśmy przed sobą drogę. Sucha, zmaltretowana przez upał trawa odciskała mi się na gołych nogach.

Ona siedziała we wdzięcznej pozie, z nogami na bok, jak dziewczyna na łące. Byłam teraz większa od niej, ale nie miałam tego wdzięku, nie byłam piękna, lecz namacalna, solidna jak cios marmuru przed rzeźbieniem. Ustawiłam się do niej profilem. Nie potrafiłam na nią patrzeć, kiedy mówiłam, nie byłam na tyle twarda, wiedziałam, że jej gorzkie zaskoczenie uderzyłoby mnie.

— Układ jest taki — powiedziałam. — Chcę wiedzieć pewne rzeczy. Jeśli mi powiesz, zrobię to, co chcesz, żebym zrobiła.

Podniosła z trawy dmuchawca, rozpyliła. — A jeśli nie?

— Jeśli nie, to powiem prawdę i będziesz tu gnęła do śmierci

— powiedziałam.

Usłyszałam szelest trawy, gdy zmieniła pozycję. Kiedy spojrzałam, leżała na plecach, oglądając łodyżkę dmuchawca. — Susan może podważyć twoje zeznania na nieskończenie wiele sposobów.

— Potrzebujesz mnie — powiedziałam. — Wiesz o tym. Niezależnie od tego, co ona mówi.

— Okropny ten twój nowy image, nawiasem mówiąc—dodała.

— Kojarzysz mi się z motelem przy Sunset Boulevard, piętnaście dolarów za zrobienie laski w zaparkowanym samochodzie.

— Mogę wyglądać tak, jak tylko sobie zażyczysz — powiedziałam. — Jeśli chcesz, nałożę podkolanówki. — Obracała dmuchawiec w palcach. — To ja mogę im powiedzieć, że Barry był paranoidalnie zafiksowany na twoim punkcie. Że nie dawał ci spokoju. Mogę powiedzieć, że groził samobójstwem, upozorował morderstwo, żeby cię ukarać za odejście od niego. — Jej przymglone rysy za zbrojonym szkłem. — To ja wiem, jacy

395byliście napięprzeni u Sybil Brand. Kiedy przyszedłam się wtedy z tobą zobaczyć, nawet mnie nie poznałaś. — Wciąż robiło mi się niedobrze na myśl o tym.

— Jeśli poddam się temu przesłuchaniu. — Odrzuciła łodyżkę dmuchawca.

— Tak.

Zdjęła tenisówki z dwoma oczkami sznurówek i potarła stopami o trawę. Wyciągnęła nogi przed siebie i podparła się łokciami, jakby była na plaży. Patrzyła na swoje stopy, stukając kostkami o siebie. — Kiedyś miałaś w sobie jakąś delikatność. Przewroczystość. Teraz stałaś się ciężka, mętna.

— Kto był moim ojcem? — spytałam.

— Mężczyzna. — Patrzyła na nagie palce stóp, zestawiała je razem.

— Klaus Anders, drugie imię nie podane — powiedziałam, drapiąc się w strupek na dłoni. — Malarz. Lat czterdzieści. Urodzony w Kopenhadze. Jak się poznaliście?

— W Venice. — Wciąż obserwowała swoje stopy. — Na jednej z tych imprez, które trwają przez całe lato. Miał narkotyki.

— Wyglądaliście jak brat i siostra — powiedziałam.

— Był dużo starszy ode mnie. — Przekręciła się na brzuch. — Miał czterdzieści lat, malował biomorficzne abstrakcje, co już wtedy było *passę*. — Rozdzieliła trawę jak krótkie włosy. — Zawsze był *passę*. Jego pomysły, zachwyty. Przeciętniak. Nie wiem, co ja w nim widziałam.

— Nie pieprz, że nie wiesz.

Westchnęła. Męczyło ją to. I co z tego? — To było tak dawno, Astrid. Przynajmniej kilka życiorysów temu. Nie jestem tą samą osobą.

— Kłamca. Jesteś dokładnie tą samą osobą.

Milczała. Jeszcze nigdy nie usłyszała ode mnie wyzwiska pod swoim adresem.

— Wciąż jest z ciebie takie dziecko, prawda? — powiedziała. Widziałam, że próbuje zapanować nad sobą. Kto inny by tego nie zauważył, aleja poznałam po tym, że skóra wokół jej oczu zrobiła

396się jakby cieńsza, nos o milimetr bardziej spiczasty. — Brałaś moją propagandę za prawdę.

— Więc oświeć mnie. Co w nim widziałaś?

— Pewnie komfort. Łatwo się z nim żyło. Był bardzo cielesny. Łatwo się zaprzyjaźniał. Do wszystkich mówił „stary”. — Uśmiechnęła się nieznacznie, wciąż patrzyła na trawę, którą rozdzielała, jakby przeglądała jakąś teczkę. — Duży i łatwy we współżyciu. Niczego ode mnie nie żądał.

Tak, mogłam w to uwierzyć. Mężczyzna, który by czegoś od niej żądał, nie byłby atrakcyjny. To musiało być jej pożądanie, jej ogień.

— A potem?

Wyrwała garść trawy, wyrzuciła. — Musimy to robić? To taka stara kronika.

— Chcę ją obejrzeć — powiedziałam.

— Malował, ale częściej się szprycował. Chodził na plażę. Był przeciętnikiem. Nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Nie tyle donikąd nie zmierzał, ile już dotarł do celu.

— I wtedy zaszłaś w ciążę.

Rzuciła mi mordercze spojrzenie. — Nie „zaszłam w ciążę”, to pozostawiam twoim przyjaciółkom analfabetkom. Zdecydowałam, że będę miała ciebie. Podkreślam: zdecydowałam. — Rozpuściła włosy, wytrzepała z nich trawę. Surowy jedwab w przefiltrowanym świetle. — Nie wiem, co sobie tam roślaś, ale nie byłaś „wpadką”. Może pomyłką, ale nie wpadką.

Pomyłki kobiety...

— Dlaczego z nim? Dlaczego wtedy?

— Przecież potrzebowałam kogoś mieć, prawda? Był przystojny, miał dobre serce. Nie był przeciwny temu pomysłowi. *Voila*.

— Kochałaś go?

— Nie chcę rozmawiać o miłości, tej semantycznej szurzej norze. — Rozprostowała swe długie szczupłe nogi, wstała, otrzepała spódnice. Oparła się o pień drzewa, uniosła jedną nogę, skrzyżowała ramiona dla równowagi. — Mielśmy dosyć gorące stosunki erotyczne. Na wiele rzeczy zamyka się wtedy oczy. —

397 Nad jej głową jakaś kobieta wskrobała „Mona '76” w białym drewnie.

Spojrzałam na nią, na moją matkę, kobietę, którą znałam, lecz właściwie nie

znałam, tę kobietę, która zawsze była na granicy zniknięcia. Już więcej nie pozwolę jej uciec. — Ubóstwiałś go. Przeczytałam to w twoim dzienniku.

— Nie jest to chyba zbyt fortunnie dobrane słowo, ponieważ sugeruje istnienie wymiaru duchowego. Wolałabym jakiś mniej górnolotny termin.

— A potem ja się urodziłam.

— A potem ty się urodziłaś.

Wyobraziłam sobie jego i ją, blondyn i blondynka, on z tymi szerokimi, roześmianymi ustami, pewnie zaćpany w trupa, ona umieszczona wygodnie na jego obojczyku.

— Kochał mnie?

Roześmiała się, ironiczne przecinki ujęły jej usta z dwóch stron. — Obawiam się, że sam był w dużym stopniu dzieckiem. Kochał cię tak, jak młody chłopak kocha swojego żółwia albo samochód na baterie. Zabierał cię na plażę i potrafił bawić się z tobą godzinami, podrzucać cię do góry w wodzie. Potrafił też wstawić cię do kojca i wyjść z domu, żeby pić z przyjaciółmi, kiedy powinien cię pilnować. Któregoś dnia, kiedy wróciłam, w domu był pożar. Jego namoczone w terpentynie szmaty i pędzle zajęły się ogniem. Nigdzie go nie było. Miałaś usmolone prześcieradło w kojcu. To cud, że nie spłonęłaś żywcem.

Próbowałam sobie przypomnieć, kojec, pożar. Wyraźnie pamiętałam zapach terpentyny, który zawsze kochałam. Lecz zapach ognia, tę wszechobecną woń niebezpieczeństwa, zawsze kojarzyłam z moją matką.

— Na tym skończyła się nasza idylla w Venice Beach. Miałam dosyć jego przeciętniactwa, jego usprawiedliwień. Wszystkie pieniądze zarabiałam sama, on pasożytniczył na mnie, nie mieliśmy już domu. Powiedziałam mu, że wszystko skończone. Nie zламаłam mu serca, uwierz mi, z tamtej strony nie było łez. Tak kończy się saga o Ingrid i Klausie.

398Ja jednak nie mogłam się oderwać od obrazu wysokiego mężczyzny, który podrzuca mnie w wodzie. Prawie to sobie przypominałam. Fale obmywające mi stopy, musujące jak śmiech. , Zapach morza i ryk przy boju.

— Próbował kiedykolwiek się ze mną zobaczyć, kiedy dorastałam?

— Po co chcesz znać całą tę żalną historię? — warknęła, odsuwając się od pnia

drzewa. Kucnęła, żeby móc spojrzeć mi w oczy. Pot perlił się jej na czole. Widziałam jej bieliznę. — To cię tylko zaboli, Astrid. Chciałam cię przed tym wszystkim ochronić. Przez dwanaście lat odgradzałam cię od tych bezsensownych rupieci cudzej przeszłości.

— Mojej przeszłości — powiedziałam.

— Boże drogi, byłaś niemowlęciem — powiedziała, po czym wstała i przyglądała na biodrach drelichową sukienkę. — Projektujesz.

— Próbował?

— Nie. Lepiej się czujesz? — Podeszła do ogrodzenia, żeby wyjrzeć na drogę, wiatr wzbijał do góry pył i śmieci, które lądowały w zielsku po drugiej stronie drogi. — Może ze dwa razy przyszedł zobaczyć, czy dobrze się miewasz. Dałam mu wszakże jednoznacznie do zrozumienia, że jego obecność nie jest mile widziana. I na tym się skończyło.

Pomyślałam o nim, o jego cielej twarzy, długich blond włosach. Nie chciał zrobić mi krzywdy. Mogła mu dać jeszcze jedną szansę. — Nigdy nie przyszło ci do głowy, że może chciałabym mieć ojca?

— W czasach starożytnych nie było ojców. Kobiety kopuły z mężczyznami na polach, a dziewięć miesięcy później rodziły dzieci. Ojcostwo to sentymentalny mit, tak jak walentynki. — Odwróciła się do mnie, akwamarynowe oczy blade przy jej opalonej twarzy jak przestępstwo w oświetlonym pokoju za zasłonami. — Dowiedziałaś się już wszystkiego, czego chciałaś?

— Nigdy nie wrócił? — spytałam cicho, modląc się, żeby było inaczej, żeby dała mi jeszcze trochę, jeszcze jakiś strzęp. —

399Nigdy do ciebie później nie zadzwonił, że chce się z mną widzieć?

Znów kucnęła, objęła mnie ramieniem, oparła głowę o moją. Siedziałyśmy tak przez chwilę.

— Zadzwonił, kiedy miałaś siedem albo osiem lat. — Przeczesła mi palcami włosy. — Przyjechał z Danii na wakacje z żoną i dwójką dzieci. Chciał, żebyśmy się spotkali w parkują miałam siedzieć na ławce i bawić się z tobą, żeby on mógł na ciebie popatrzeć.

— I poszłyśmy? — Chciałam tylko, żeby mnie obejmowała.

— To brzmiało jak intryga z kiepskiego filmu. Powiedziałam mu, żeby poszedł do

diabła.

Zadzwoił, chciał mnie zobaczyć, a ona odmówiła. Nie spytawszy mnie, nie wspomniawszy o tym. Rąbnęło mnie to przez szyję jak uderzenie rurą.

Wstałam i oparłam się o drzewo, po drugiej stronie, prawie mnie nie widziała. Ale słyszałam ją.

— Chciałaś wiedzieć. Nie odwracaj kamieni, jeśli nie chcesz zobaczyć białych stworzeń, które pod nimi mieszkają.

— Wiesz, gdzie on teraz jest?

— Kiedy ostatni raz miałam od niego wiadomość, to kupił farmę na jednej z duńskich wysp. Chyba Aero. — Gdy wyjrzałam zza drzewa, bawiła się butami, „chodziła” w nich rękami. — Romantyczne, ale jeśli żona nie zna się na rolnictwie, to na pewno dawno ich zlicytowali. — Spojrzała do góry akurat w porę, by złapać moje spojrzenie, obdarzyła mnie swoim przemądrzałym półuśmiechem, nie szerokim, spontanicznym uśmiechem mojego ojca, lecz takim, który mówił: „Czytam w tobie jak w otwartej książce, wiem, co myślisz”. — Czemu pytasz, czyżbyś zamierzała złożyć wizytę swemu dawno utraconemu ojcu i jego rodzinie? Nie zdziw się, jeśli nie zarżną na twoje powitanie najtłustszego cielca.

— To lepsze niż ty z twoimi nowymi dziećmi — powiedziałam. Od asfaltu biły fale gorąca, czułam zapach roztopionej upałem smoły.

— A — powiedziała i położyła się na plecach z rękami za

400głową i nogami skrzyżowanymi w kostkach. — Ostrzegałam je, że niekoniecznie powitasz je z otwartymi ramionami. Ale to poczciwe dusze. Idealistki. Uznały, że spróbują. Były takie dumne z artykułu. Nawiasem mówiąc, jak ci się podobał?

— Wyrzuciłam.

— Szkoda.

Wrony nagle sfrunęły z drzewa seria strzałów, słuchałyśmy efektu Dopplera ich chrapliwych skrzeków. Drogą przejechała ciężarówka z dwiema osiami z tyłu, rozsnuwając za sobą muzykę *ranchero*, absurdalnie optymistyczną. Jak Guanajuato, pomyślałam, i wiedziałam, że matka myśli to samo.

Moja koszula nie wchłaniała potu; spływał i wsiąkał w ściągacz spódnicy. Czułam

się tak, jakbym brodziła w wodzie. — Opowiedz mi o Annie.

— Dlaczego musisz tak kurczowo trzymać się przeszłości? — Usiadła, na powrót zwinęła włosy w kok, przebiła je ołówkiem. Jej głos był ostry, poirytowany. — Przeszłość to sterta zapleśniałych gazet w garażu jakiegoś starca.

— Przeszłość wciąż się dzieje. Nigdy nie minęła. Kto to była Annie?

Wiatr potrząsał gęstym, szklistym listowiem figowca, nie słychać było żadnych innych dźwięków. Przebiegła palcami po włosach, naciągając je, jakby się wspinała na brzeg basenu. — Sąsiadka. Brała do siebie dzieci, robiła ludziom pranie.

Zapach prania. Kosz na pranie, siedzę w tym koszu z innymi dziećmi, bawimy się w statek. Małe kwadraty. Był żółty. Jeździliśmy w nim po kuchni.

— Jak wyglądała?

— Niska. Gadatliwa. — Zasłoniła oczy dłonią przed słońcem. — Nosila drewniaki.

Drewniany stukot na linoleum. Żółte linoleum z wielokolorowym wzorem a la Jackson Pollock. Podłoga była chłodna, kiedy przyłożyło się do niej policzek. I jej nogi. Opalone. Gole nogi w spodniach z uciętymi nogawkami. Nie potrafiłam jednak zobaczyć jej twarzy. — Brunetka czy blondynka?

401— Brunetka. Proste włosy z loczkami nad czołem.

Nie mogłam sobie przypomnieć włosów. Tylko nogi. I jak śpiewała przez cały dzień razem z radiem.

— A ty gdzie byłaś?

Moja matka milczała. Przycisnęła dłoń do oczu. — To niesamowite, że to zapamiętałaś.

Wszystko, co wiedziała o mnie, wszystko, co nosiła w tej pieczarze z cienkich kości czaszki. Chciałam rozpruć ten sejf, wyjąć jej mózg łyżeczką jak jajko na miękko.

— Wyobraź sobie przez chwilę moje życie — powiedziała cicho, składając dłonie w miseczkę, jakby trzymała swoje życie w muszli. — Pomyśl, jaka byłam nie przygotowana do roli matki małego dziecka. Do żądania ucieleśnienia archetypu. Nie myśląc o sobie odwieczna macierzyńskość. Trudno o kogoś bardziej obcego w tej krainie. Byłam kobietą przyzwyczajoną do tego, by iść za linią jakiegoś dociekania lub zachcenia aż do logicznej konkluzji. Byłam przyzwyczajona do tego, że mam czas na myślenie, wolność. Czułam się

jak zakładnik. Rozumiesz, jaka byłam zdesperowana?

Nie chciałam zrozumieć, ale przypomniałam sobie Caitlih, szarpiącą mnie, wiecznie mnie szarpiącą, „Assi soku! Soku!” Jej władczość. Po drugiej stronie ogrodzenia, za głową mojej matki, młode kobiety w recepcji patrzyły, jak inna młoda kobieta zamiata betonowy dziedziniec, zamiata i zamiata, jakby dostała taką pokutę.

— Takie są małe dzieci. Co sobie myślałaś, że będę cię zabawiała? Że będziemy wymieniać się myślami na temat Josifa Brodskiego?

Usiadła po turecku i położyła ręce na kolanach.

— Myślałam, że Klaus i ja będziemy żyli długo i szczęśliwie. Adam i Ewa w porośniętej bluszczem chacie. Wskakiwałam w archetypy. Zupełnie mi odpieprzyło.

— Byłaś w nim zakochana.

— Tak, byłam w nim zakochana, zadowolona?! — wrzasnęła na mnie. — Byłam w nim zakochana, chciałam być matką jego

402dziecka i tak dalej, a potem cię urodziłam i pewnego ranka obudziłam się obok słabego, egoistycznego mężczyzny, którego nie mogłam znieść. A ty, ty tylko chciałaś, chciałaś, chciałaś. Mama, , mama, mama, aż w końcu myślałam, że rzucę tobą o ścianę.

Zrobiło mi się niedobrze. Nie miałam problemu z uwierzeniem w to, zobaczeniem tego. Widziałam wszystko aż nadto wyraźnie. I rozumiałam, dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziała, dobrodusznie zachowała te wspomnienia dla siebie.

— Więc zostawiłaś mnie tam.

— Nie miałam zamiaru. Podrzuciłam cię jej na jedno popołudnie, żeby pójść ze znajomymi na plażę, a potem od rzemyczka do koziczka, oni mieli jakiś znajomych w Ensemada, pojechałam z nimi i było mi cudownie, Astrid. Wolność! Nie wyobrażasz sobie tego. Mogę pójść sama do łazienki. Mogę się zdrzemnąć po południu. Mogę się kochać przez cały dzień, jeśli przyjdzie mi ochota, spacerować po plaży i nie zastanawiać się, gdzie jest Astrid? Co robi Astrid? Co znowu zbroiła? I nie mam cię stale na sobie, mama, mama, mama, uczepiona jak pajak...

Przeszedł ją dreszcz. Wciąż z odrazą wspominała dotyk mojego ciała. Zakręciło mi się w głowie z nienawiści. Moja matka. Kobieta, która mnie wychowała. Jaką miałam w życiu szansę?

— Jak długo cię nie było? — Mój głos beznamiętny i martwy.

— Rok — odparła cicho. — Plus minus kilka miesięcy. Wierzyłam jej. Wszystko w moim ciele mówiło mi, że długo

jej nie było. Te wszystkie noce, czekanie, aż przyjdzie do domu, nasłuchiwanie, czy obraca się klucz w zamku. Nic dziwnego. Nic dziwnego, że musieli mnie od niej siłą odrywać, kiedy szłam do szkoły. Nic dziwnego, że zawsze się martwiłam, że którejś nocy mnie zostawi. Już kiedyś przecież to zrobiła.

— Ale zadałaś mi nie to pytanie — powiedziała. — Nie pytaj mnie, czemu odeszłam. Pytaj mnie, czemu wróciłam.

Drogą przejechała w stronę głównej szosy ciężarówka z czterema kołmi na przyczepie. Czuliśmy zapach koni, widziałyśmy ich gładkie zady nad zamknięciem z tyłu, i pomyślałam o tym dniu na wyścigach, Chluba Medei.

403— Należało cię wysterylizować.

Nagle była na nogach. Chwyciła mnie za ramiona, przycisnęła do pnia drzewa. Mglistoniebieski kolor oczu, morze we mgle.

— Mogłam cię tam zostawić, ale nie zostawiłam. Nie rozumiesz? Raz w życiu postąpiłam jak należy. Dla ciebie.

— Gówno prawda. Dla siebie.

Widziałam w jej oczach, że ma ochotę uderzyć mnie w twarz, ale nie mogła tego zrobić, bo od razu przerwaliby wizytę. Uniosłam głowę, wiedziałam, gdzie połyskują blizny.

Puściła moje ramiona. — Nigdy wcześniej taka nie byłaś — powiedziała. — Taka twarda. Susan mi powiedziała, ale myślałam, że to tylko poza. Utraciłaś siebie samą, swoje marzycielstwo, tę czułość, miękkość.

Wbiłam w nią wzrok, nie pozwalałam jej uciec spojrzeniem. Byłyśmy tego samego wzrostu, oko w oko, aleja miałam grubsze kości, w ucziwej walce chyba bym ją pokonała. — Sądziłabym, że temu przykłaśniesz. Czy nie tego najbardziej nienawidziłaś u Claire? Jej czułości? Bądź silna, powiedziałaś. Gardzę słabością.

— Chciałam, żebyś była silna, ale nie kosztem takiej dewastacji — powiedziała. — Wyglądasz jak zbombardowane miasto. Przerażasz mnie.

Uśmiechnęłam się. Podobało mi się, że ją przerażam. Nareszcie mogłam się zrewanżować. — Ty się mnie boisz, wielka Ingrid Magnussen, bogini wrześnieowych pożarów, święta Santa Ana, władczyni życia i śmierci?

Wyciągnęła rękę, jakby chciała mnie dotknąć, gestem ślepego, ale nie mogła mnie dotknąć. Sparzyłaby się, gdyby mnie dotknęła. Ręka została w powietrzu, zawisała mi przed twarzą. Widziałam, że się boi.

— Byłaś jedyną całkowicie dobrą rzeczą w moim życiu, Astrid. Odkąd wróciłam, już nigdy się nie rozstałyśmy, aż do tego...

— Chcesz powiedzieć, aż do morderstwa.

— Nie, aż do teraz. — Gest, próba sięgnięcia ku mnie, zgasł jak zachód słońca. — Wiesz, kiedy wróciłam, poznałaś mnie.

404Siedziałas przy drzwiach, kiedy weszłam. Podniosłaś wzrok, uśmiechnęłaś się i wyciągnęłaś do mnie rękę, żebyś mnie wzięła w ramiona. Jakbyś na mnie czekała.

Chciałam przeciąć tę chwilę niebieskim płomieniem palnika acetylenowego. Chciałam spalić ją na popiół i rzucić na wiatr, żeby jej kawałki już nigdy do mnie nie wróciły. — Zawsze czekałam na ciebie, mamó. To konstans w moim życiu. Czekanie na ciebie. Czy wrócisz, czy zapomnisz, że przywiązałaś mnie przed sklepem, zostawiłaś w autobusie?

Ręka znów się uniosła. Płochliwie, lecz tym razem lekko dotknęła moich włosów. — Dalej czekasz?

— Nie — powiedziałam, odsuwając jej rękę. — Przestałam czekać, kiedy Claire mi pokazała, jak to jest, kiedy ktoś cię kocha.

Teraz miała zmęczoną twarz, wyglądała na swoje czterdzieści dziewięć lat. Wzięła do ręki buty. — Chcesz jeszcze czegoś się dowiedzieć? Wypełniłam moją stronę umowy?

— Zdarza ci się żałować tego, co zrobiłaś?

Wyraz jej oczu gorzki jak belladona. — Pytasz mnie, czy żałuję? Dobrze, powiem ci coś o żalowaniu, skarbenku. Nie widzę końca żalowaniu. Nie mogę znaleźć początku łańcucha, który nas przywiódł stamtąd tutaj. Mam żałować całego łańcucha czy każdego ogniwa z osobna, jakby można było je rozpiąć? Mam żałować początku, który doprowadził do tak fatalnego zakończenia czy samego zakończenia? Więcej się

zastanawiałam nad tą kwestią, niż potrafisz sobie wyobrazić.

Nigdy nie sądziłam, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym moja matka, Ingrid Magnussen, przyzna się, że czegoś żałuje. Teraz, kiedy stała przede mną i trzęsła się na skutek tego wyznania, nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Jakbym patrzyła na rzekę płynącą do tyłu.

Stałyśmy i patrzyłyśmy na pustą drogę.

— Co będziesz robiła po wyjściu? — spytałam. — Dokąd pojedziesz?

Otarła pot z twarzy kołnierzem sukienki. Z ceglanego budynku administracji wychodziły rozmaite sekretarki, urzędniczki

405i strażniczki. Pochylały się w stronę gorącego wiatru, który przyciskał im spódnice do ud, i szły na lunch, do sympatycznego, klimatyzowanego Coco's czy Denny's. Kiedy zobaczyły mnie z matką, ścięsnęły się i mówiły coś do siebie. Widziałam, że moja matka jest tam gwiazdą. Patrzyłyśmy, jak uruchamiają silniki samochodów, wiedziałam, że wyobraża sobie siebie z kluczykami w dłoni, noga na gazie, wskaźnik paliwa na maksimum.

Westchnęła.—Zanim Susan załatwi sprawę, będę idolem całego kraju jak Aunt Jemina czy Pillsbury Doughboy. Będę mogła przebierać w propozycjach pracy akademickiej. Dokąd chciałabyś pojechać, Astrid? — Zerknęła na mnie, uśmiechnęła się, moja marchewka. Przypomina mi, który koniec deski i tak dalej.

— To jeszcze wiele lat — powiedziałam.

— Sama nie dasz rady. Potrzebujesz odpowiednich warunków, kontekstu. Ludzi zainteresowanych twoim sukcesem. Spójrz na mnie: musiałam iść do więzienia, żeby mnie zauważono.

Samochody ruszyły, zachrzęściły na żwirze. Camille wyszła z betonowego pawilonu, pokazała na zegarek. Czas się skończył. Czułam się pusta i zużyta. Nie wiem, co znajomość prawdy miała zrobić w moich oczekiwaniach, ale na pewno nie to. Tó była moja ostatnia nadzieja. Chciałam, żeby ją bolało tak samo jak mnie. Bardzo tego chciałam.

— Więc jak to jest mieć świadomość, że na niczym mi już nie zależy? — powiedziałam. — Ze zrobię wszystko, aby dostać to, czego chcę. Nawet będę dla ciebie

kłamała, bez zmrużenia oka. Jestem teraz taka jak ty, prawda? Patrzę na świat i zastanawiam się, co on ma mi do zaoferowania.

Pokręciła głową, spuściła wzrok na swoje bose, opal one stopy.

— Gdybym mogła to wszystko cofnąć, to bym cofnęła, Astrid.

— Jej oczy, połyskujące w słońcu, miały identyczny kolor jak basen, w którym pływałyśmy razem tego lata, kiedy została aresztowana. Chciałam znów tam popływać, zanurzyć się w nich.

— W takim razie powiedz mi, że nie chcesz, żebym zeznawała — powiedziałam. — Że nie chcesz mnie takiej. Powiedz mi, że poświęciłabyś resztę życia, bylebym znów była taka jak dawniej.

406Skierowała niebieskie spojrzenie na drogę, tę piękną drogę, która śniła się kobietom w więzieniu. Tę drogę, dla której już raz mnie zostawiła. Jej włosy jak dym na wietrze. Nad naszymi głowami liście kolebały się jak worek bokserski w powietrzu, które pachniało pożarem buszu i bydłem mlecznym. Przycisnęła dłonie do oczu, potem zsunęła je na usta. Patrzyłam, jak wpatruje się w drogę. Wyglądała, jakby się zgubiła, zaszyta w tęsknocie, jakby szukała wyjścia, ukrytych drzwi.

Nagle poczułam panikę. Popełniłam błąd, poczułam się jak wtedy, gdy grając w Rayem w szachy, uświadamiałam sobie o sekundę za późno, że wykonałam zły ruch. Zadałam pytanie, nie mogąc sobie pozwolić na to, by znał na nie odpowiedź. Tej jednej rzeczy nie chciałam wiedzieć. Tego kamienia nigdy nie należało obracać. Wiedziałam, co zobaczę pod spodem. Nie potrzebowałam widzieć tego ohydneho, bezokiego albinosa, który mieszkał pod spodem.

— Słuchaj, odwołuję to, co powiedziałam. Jak układ, to układ. Skończmy na tym.

Wiatr trzasnął w powietrzu swym niebezpiecznym biczem, wyobraziłam sobie, że widzę deszcz iskiei, zapach popiołu. Bałam się, że mnie nie usłyszała. Była nieruchoma jak dagerotyp, ramiona skrzyżowane na drelichowej sukience. — Powiem Susan, żeby dała ci spokój — powiedziała cicho.

Wiedziałam, że dobrze ją usłyszałam, ale nie uwierzyłam jej. Czekałam na coś, co mnie przekona, że to prawda.

Moja matka wróciła do mnie, objęła mnie, przytuliła policzek do moich włosów.

Choć wiedziałam, że to niemożliwe, poczułam jej fiołki.

— Oddałabym wszystko, żebyś znów była taka jak dawniej, choćby częściowo — powiedziała mi do ucha.

Moja matka kochała mnie. Przeląaby za mnie krew, umarłaby za mnie. Jej duże dłonie delikatnie głaskały moje włosy. Tak naprawdę tylko tego zawsze chciałam. Tego objawienia. Możliwości, że istnieją gwiazdy stałe.

40732

Proces mojej matki odbył się parę lat później w lutym, było zimno. Mieszkałam w Berlinie z Paulem Troutem na poddaszu rozlatującego się budynku przy Schoenhauser Allee, podnaj-mywaliśmy od podnajmywacza, znajomego znajomych. Musieliśmy wchodzić na szóste piętro po słabo oświetlonych schodach, ale przez większość czasu było nas na to stać. Graficzne powieści Paula stały się książką kodową nowego tajnego stowarzyszenia wśród europejskich studentów sztuki. W każdym mieście mieliśmy nowych znajomych. Przekazywali nas sobie z jednej zatechłej nory do drugiej jak pałeczkę w sztafecie.

Lubiłam Berlin. Miasto i ja rozumieliśmy się nawzajem. Podobało mi się, że zostawili wydrążoną przez bomby skorupę kościoła Kaisera Wilhelma jako pomnik tego, co utracone. Nikt tutaj o niczym nie zapominał. W Berlinie trzeba się było zmagać z przeszłością, trzeba było budować na ruinach, w ruinach. Nie jak w Ameryce, gdzie szorowaliśmy ziemię do czysta, sądząc, że za każdym razem możemy zacząć od nowa. Nie nauczyliśmy się jeszcze, że nie ma czegoś takiego jak nie zamalowane płótno.

Zaczynałam się przestawiać na rzeźbę, co było owocem czasu spędzonego z Reną Grushenką. Nabrałam obsesyjnego upodobania do materiałów z odzysku, do pchlich targów, skarbów z krawężnika i targowania się w sześciu językach. Z czasem wprosiły się do mojej sztuki, obok strzępów niemieckiego, kultu tego, co rzeczywiste i dwudziestu czterech rodzajów zwierzęcych odchodów. W Hochschule der Kunste nasi znajomi studenci mieli profesora, Oskara Scheina, któremu podobały się moje prace. Przemycił mnie na zajęcia jak swego rodzaju stażystkę i walczył o zapisanie mnie na normalne studia dyplomowe, ale mi jakoś przewrotnie odpowiadał ówczesny status. Wciąż byłam dzieckiem zastępczym. Hochschule der Kunste było niemieckim odpowiednikiem Kalifornijskiej Akademii Sztuk Pięknych: studenci z dziwnymi fryzurami produkują

brzydką sztukę, ale stwarzałam

408sobie kontekst, jakby powiedziała moja matka. Inni studenci z roku wiedzieli o Paulu i mnie, byliśmy szaleńcami, którzy zgarnęli cały talent, żyliśmy z moich kelnerskich napiwków i chodnikowej sprzedaży ręcznie robionych ozdób do wieszania na lusterku wstecznym. Żalowali, że nie są nami. „Jesteśmy wolne ptaki”, wciąż miałam w uszach słowa Reny.

Tego roku miałam obsesję na punkcie walizek. Stale chodziłam na pchli targ koło Tiergarten, targowałam się i wymieniałam różne rzeczy na staroświeckie walizki — po zjednoczeniu można ich było kupić tysiące. Skórzane z żółtymi plastikowymi rączkami. Kufry podróżne i pudła na kapelusze. W dawnym sektorze wschodnim nikt ich nigdy nie wyrzucał, ponieważ nie było ich czym zastąpić. Teraz sprzedawali je za grosze, Ossies kupowali najnowsze modele, pionowe walizki na kółkach. Na pchlim targu przy Strasse des 17 Juni znali mnie sprzedawcy ze wszystkich straganów. Nazywali mnie *Handkofferfrdulein*, walizkowiczka.

Robiłam w nich ołtarze. Tajemne, przenośne muzea. Bo losem człowieka współczesnego jest brak zakorzenienia, jak lubił mówić Oskar Schein. Chciał kupić ode mnie jeden ołtarz, ciągle się dopominał, ale nie mogłam go sprzedać, chociaż Paul i ja byliśmy mocno splukani. Potrzebowałam ich. Zamiast tego zrobiłam Oskarowi specjalny ołtarz najego urodziny, z Louise Brooks jako Lulu, hiperinflacyjnymi markami denominowanymi w setkach tysięcy, torami kolejek zabawkowych podobnymi do żył i bagnem z czarnego plastiku na dnie, z odcisniętym śladem gigantycznego buta, który wypełniłam przezroczystym, zabarwionym na zielono żelem. Przez przezroczysty plastik można było zobaczyć zatopione podobizny Goethego, Schillera i Rilkego.

Przez całą zimę siedziałam na podłodze w kącie mieszkania z klejem i gliną, żywicami, farbą, nitką i workami materiałów z odzysku, w płaszczu i rękawiczkach bez palców. Stale miałam dylemat, czy pracować przy otwartych oknach, aby wywietrzyć trujące opary, czy przy zamkniętych, żeby było cieplej. To zależało od tego, czy mocniejsze było we mnie poczucie przyszłości czy przeszłości.

409Tworzyłam moje osobiste muzeum. Wszystkie tam były: Claire i Olivia, moja matka i Starr, Yvonne i Niki, i Rena, Amelia Ramos, Marvel. Musee d'Astrid Magnussen. Musiałam zostawić wszystko u Reny, kiedy pojechałam do Nowego Jorku, żeby znaleźć

Paula, wszystkie moje pudełka i pamiątki, wszystko oprócz czterech tomików mojej matki i biżuterii, której się dorobiłam, akwamarynowego pierścionka, ametystu i skradzionego naszyjnika, plus osiemset dolarów gotówką. Zanim wyjechałam, Sergei podsunął mi nazwisko rosyjskiego pasera w Brighton Beach, Ivana Ivanova, który pomógłby mi zamienić towar na gotówkę. „On po angielsku nie za dużo, ale da ci dobrą cenę”. „Feniks musi spłonąć, by zaistnieć”, myślałam w kółko, gdy jechałam autobusem przez cały kontynent, mając tylko adres sklepu z komiksami przy St. Marks Place.

Ale teraz znów zgromadziłam to wszystko razem, moje muzeum. Tam, oparta o ścianę, w tym zimnym północnym mieście, odtworzyłam swoje życie na nowo.

Oto Rena, neseser z brązowej skóry wyściełany zielonym wzorzystym aksamitem, z leżącą na plecach nagą figurką z wosku z głową białego kota zrobioną z białego futra króliczego. W wieko wstawiłam meble dla lalek i ozdobiłam wachlarzem fałszywych zielonych. Niki miała walizkę American Tourister powleczoną karmazynowym szkliwem, poobijaną jak zestaw perkusyjny. Wewnątrz były *Knackwursts* zrobione z prezerwatyw wypchanych gąbką. Dla Yvonne znalazłam walizkę dla dziecka i pokryłam ją pastelowym włosiem koca. Wewnątrz były małe laleczki zaplątane w struny gitarowe. Szukałam walizki-katarynki, która po otwarciu wieka grałaby melodię *Piąkna i bestia*.

Walizka Marvel była turkusowa, po otwarciu ukazywał się biały żwir przyklejony do dna i migająca latarka na baterie, która sygnalizowała SOS alfabetem Morse'a. Jeden ze znajomych z akademii pomógł mi ją podłączyć. Zabawkowe kobiety-żołnierzyki — darmowe prezenty promujące jakiś amerykański film — pełzały pośród księżycowych skał z AK-47. Namalowałam im na ramionach maleńkie swastyki. W wieku był mały ekran telewi-

410yjny, na którym promieniała wyklejana Miss Ameryki, z twarzą nakrapianą łzami z lakieru do paznokci.

Starr i Ray mieli na spólkę plastikową, wyściełaną kratkowanym płótnem walizkę z popękkanymi skórzanymi okuciami, w spłowiałym brązowym kolorze. Kiedy się ją otworzyło, bił w nozdrza zapach surowego drewna i Obsession. Jasny sweterek w stylu op-art przecinały paski koszuli od Pendletona w kratkę. W wieczku rozkwitała satynowa róża w kolorze różowym, o bogatej symbolice waginalnej, pod ciemnym, lecz podświetlonym od środka Jezusem. Dno wieka było wysypane okrawkami drewna od

lokalnego stolarza, kręconymi jak sierść pudła. Włożyłam do walizki maleńki relikwiarz z kawałkami złomu. W Europie nie można było dostać pocisków, musiałam więc zadowolić się złomem. W szklanym terrarium na dnie wąż pełzał po żółtym piasku, rozbitym szkłe i zakopanych do połowy okularach w drucianych oprawkach.

Tak jak Berlin, miałam na sobie wiele warstw winy i zniszczenia. Nie tylko cierpiałam, ale i zadawałam cierpienie. Nie mogłabym nigdy wycelować w kogoś oskarżycielskim palcem, nie kierując go również na siebie.

Olivia Johnstone miała pudło na kapelusze z zielonym krokodylowym plastikiem, po otwarciu czuć było zapach Ma Griffe. Dagmar, ekspedientka w dziale perfum supermarketu Wertheim, pozwalała mi moczyć watki w próbkach perfum, potem wkładałam je do pudełek po filmach. Wewnątrz uwiłam gniazdo z brą-zowoszarych i czarnych pończoch, które otaczały maskę karnawałową z czarnych piór i dzbanek z białym oceanem. Na jego powierzchni unosił się pierścionek z dużym okrągłym oczkiem, też biały.

Nikogo nie pominęłam. Pudełko na drugie śniadanie oklejone pocztówkami arystokracji z okresu *fin de siecle* to była Amelia Ramos. Wewnątrz widelce-antyki przebijały się przez zlepione włosy czarnej peruki pomalowanej w białe pasy. Widelce wyglądały jak wyciągnięte, błagające dłonie.

I Claire. Jej pomnik zbudowałam z kufra podróżnego z lat

411trzydziestych, biała skóra z czerwonymi patentowymi okuciami. Kosztowała mnie 50 DM, ale wyściełana była fiołkoworóżowym jedwabiem ze znakiem wodnym, przypominającym słoje drzewa, jak pogrzeb w pudle. Wewnątrz wieka poprzyklejałam kawałki pomalowanego na biało winylu z płyt gramofonowych, które miały przypominać skrzydła motyli. Każda maleńka szufladka w środku zawierała jakiś sekret. Siatkowane miniaturowe ryby. Szufladka pełna tabletek. Sznur pereł. Skrzypce z liścia paproci. Gałązka rozmarynu. Zdjęcie Audrey Hepburn z *Dwoje na drodze*. W jednej szufladzie dwadzieścia siedem synonimów łez. *Serdeczna rosa*. *Miód żalu*. *Smutna woda*. *Die Trdnen*. *Eau de douler*. *Los rios del corazon*. Właśnie o ten ołtarz stale dopominał się Oskar Schein.

Wszystkie moje matki. Jak goście na bajkowych chrzcinach, obsypały mnie swoimi darami, talentami. Teraz były moje. Hojność Oli vii, jej znajomość mężczyzn.

Czułość i wiara Claire. Gdyby nie Marvel, to czy kiedykolwiek zgłębiłabym tajemnice amerykańskiej rodziny? Gdyby nie Niki, to może wciąż byłabym u Reny, oklejając papierem w paski wózki inwalidzkie. A ty, Yvonne, *mi hermosa*, ty dałaś mi prawdziwą matkę, matkę z krwi, która nie była za kratkami, lecz gdzieś w środku. Rena skradła moją dumę, ale dała mi w zamian coś więcej, nauczyła mnie ratować, wyłuskiwać z gruzów to, co można naprawić i sprzedać od nowa.

Nosiłam je w sobie, wyrzeźbiona wszystkimi dłońmi, przez które przeszłam, niedbale lub z miłością, to nie miało znaczenia. Amelia Ramos, ta skunksica plamista, nauczyła mnie walczyć o siebie, tłuc w kraty, aż dostanę, czego chcę. Starr usiłowała mnie zabić, ale też kupiła mi pierwsze buty na wysokich obcasach, nakłoniła mnie do rozważenia możliwości istnienia Boga. Czy mogłam zrezygnować z którejkolwiek z nich?

A w niebieskiej walizce z białą rączką pierwsza i ostatnia sala Astridkunsthalle. Wyściełana surowym białym jedwabiem, z brzegami pofarbowanymi na czerwono, nasączonym fiołkowymi perfumami.

412Siedziałam na podłodze w zapadającym zmierzchu na przetartym dywanie schlapanym farbą przez pokolenia studentów sztuki. To była pora mojej matki, zmrok, chociaż w Berlinie było ciemno o czwartej, nie te beczasowe zmierzchy zachodu Ameryki, morska piana na żółtym piasku. Otworzyłam wieko walizki.

Zapach fiołków zawsze budził we mnie smutek. Fiolka farbowanej wody miała dokładnie ten sam kolor co basen przy Hollywood Boulevard. Siedziałam przed ołtarzem mojej matki i budowałam zestaw przezroczystych kartek pergaminu na dwóch haczykach, patrzyłam, jak bezładne kreski schodzą się i tworzą jej wizerunek z profilu. Na dnie leżały listy związane drutem kolczastym i rozrzucone karty do tarota z wyeksponowaną Królową Buław. Od góry podwiesiłam rząd odłamków szkła, zadzwoniły, gdy przebiegłam po nich palcami, wyobraziłam sobie wiatr grający w eukaliptusach w gorącą letnią noc.

Pisałyśmy do siebie parę razy w miesiącu, korzystając ze sklepu z komiksami blisko uniwersytetu jako poste restante. Czasami prosiła swoją prawniczkę, aby przesłała mi trochę pieniędzy przez Hanę Griin w Kolonii. Powiedziałam jej, że nie chcę wiedzieć o przygotowaniach do procesu, ale w swych listach chwaliła się licznymi ofertami, jakie jej złożono — Amherst, Stanford, Smith. Machała mi przed nosem marchewką zielonych

campusów uniwersyteckich. Wyobraziłam sobie siebie jako córkę profesorki jeżdżącą na rowerze na zajęcia. Nareszcie mogłabym nosić płaszcz z wielbłądziej wełny, mieszkać w akademiku z koleżanką, grać w studencką siatkówkę, wszystko opłacone z góry. Byłoby tak bezpiecznie, wszystko określone i zdecydowane za mnie. Znowu mogłabym być dzieckiem, zacząć od początku. Jestem pewna, że nie chciałabym wrócić?

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam drutu kolczastego, zadzwoniłam szkłem. Piękno i szaleństwo, to się ważyło na szalach nocy.

Później leżałam pod pierzyną, ubrana, nie po to, żeby spać, lecz żeby nie zmarznąć. Przenośny grzejnik buczał i pluł znajomym zapachem spalonych włosów. Szyby były oszronione i wi-

413działałam w powietrzu swój oddech. Słuchałam kasety, zespołu, który nazywał się Karmazyn, nasi znajomi uważali, że to niesamowity zbieg okoliczności, że znamy wokalistkę, Niki Colette. Za miesiąc grali we Frankfurcie, mieliśmy już bilety i metę, gdzie mogliśmy przenocować. Yvonne napisała do mnie przed Bożym Narodzeniem, mieszkała w Huntington Beach z byłym komandosem, który miał na imię Herbert i z którym miała syna, Herberta juniora.

Czekałam, aż Paul wróci do domu, byłam głodna. Miał kupić coś do jedzenia po spotkaniu z drukarzem jego następnej powieści ilustrowanej. Próbował znaleźć kogoś, kto wydrukowałby ją tanio w zamian za udział w zyskach ze sprzedaży. Ostatni niemiecki wydawca przedawkował jesienią, zostawiając nas w punkcie wyjścia. Zdążył jednak sprzedać dwieście egzemplarzy, całkiem niezły wynik.

Paul wrócił do domu koło dziewiętej, zdjął buty i wszedł pod pierzynę. Miał tłustą papierową torbę z kebabami z lokalnego tureckiego baru szybkiej obsługi. Mój żołądek zaburczał. Paul przyrzucił mnie gazetą.

— Zgadnij, o kim jest? — powiedział.

Było to wydanie „International Herald Tribune” z następnego dnia, wciąż pachnące mokrą farbą drukarską. Chorwacja, OPEC, bomba podłożona w La Scali. Otworzyłam gazetę i na trzeciej stronie przeczytałam: „Uwięziona poetka uznana za niewinną po dziewięciu latach”. Znajomy półuśmiech na twarzy, pozdrawia tłumy jak królowa powracająca z wygnania, szczęśliwa, lecz wciąż nieufna wobec gawiedzi. Udało się jej wygrać proces beze mnie. Była wolna.

Paul jadł swój kebab, kawałki sałaty spadały mu z powrotem na torbę, kiedy ja szybko czytałam artykuł, bardziej zaszokowana, niż się spodziewałam. Przyjęły linię obrony, że Barry popełnił samobójstwo i upozorował morderstwo. Byłam przerażona, że to się udało. Zacytowano moją matkę, która powiedziała, że jest niezmiernie wdzięczna, że sprawiedliwość zwyciężyła, że marzy o kąpiel w wannie, że z głębi serca dziękuje ławnikom. Powie-

414działa, że otrzymała propozycje pracy akademickiej, opublikowania autobiografii, wyjścia za mąż za milionera sprzedającego lody i pozowania do „Playboya” i że wszystkie je przyjmie.

Paul zaproponował mi falafel, pokręciłam głową. Nagle przestałam być głodna. „Zostawię ci na później”, powiedział i położył koło łóżka. Jego głębokie brązowe oczy zadawały mi wszystkie możliwe pytania. Nie musiał mówić ani słowa.

Położyłam mu głowę na ramieniu i patrzyłam na kwadraty niebieskiego telewizyjnego światła, które przeświecały przez kwiaty szronu na naszych oknach z okien po drugiej stronie. Próbowałam sobie wyobrazić, co ona teraz czuje. W Los Angeles było południe. Jasny słoneczny luty. Wyobraziłam ją sobie w pokoju hotelowym, na koszt Susan D. Valeris, w luksusowym apartamencie pełnym kwiatów od miłośników jej twórczości i osoby, budzi się w świeżej pościeli. Weźmie kąpiel w wannie podwójnej szerokości i napisze wiersz, spoglądając przez okno na zimowe róże.

Potem może udzieli kilku wywiadów albo wypożyczy kabriolet, żeby się przejechać po plaży, gdzie zabierze młodego mężczyznę o czystych oczach i z piaskiem we włosach, a potem będzie się z nim kochała, aż on zapłacze przeszyty do bólu jej pięknem. Co innego można robić, kiedy zostałaś oczyszczona z zarzutu morderstwa?

Nie śmiałam sobie wyobrazać, że miarkuje swoją radość chwilą żalu, chwilą uświadomienia sobie, ile kosztował jej triumf. Nie mogłam tego od niej oczekiwać. Widziałam jednak jej wyrzuty sumienia, które nie miały nic wspólnego z Barrym ani nikim innym, był to dar wręczony mimo ceny, której nie potrafiła jeszcze wtedy oszacować, mógł okazać się ciężki jak żałoba, ostateczny jak grób. Nieważne, jak bardzo mnie skrzywdziła, jak bardzo była wypaczona, jak strasznie błędziła — moja matka kochała mnie, bez wątpienia.

Pomyślałam o niej, jak stawia czoło sądowi, nie osłaniana przez oddział pionków

w postaci moich kłamstw. Pozbawiona swych wojsk królowa samotnie rozegrała końcówkę.

415 Paul zwinął sobie papierosa, wyjmowany z torebki tytoń przypominał włosy, zapalił zapalką wyciągniętą spod pudła, które służyło nam za nocny stolik.

— Chcesz pójść do niej zadzwonić? — Nie stać nas było na telefon. Oskar Schein pozwalał nam korzystać ze swojego.

— Za zimno.

Palił z popielniczką na klatce piersiowej. Wzięłam od niego skręta, zaciągnęłam się, oddałam. Przebyliśmy razem długą drogę, Paul i ja. Z mieszkania przy St. Marks przez zajęty na dziko dom w południowym Londynie na nieocieploną barkę w Amsterdamie, teraz Schoenhauser Allee. Żałowałam, że nie znam nikogo we Włoszech lub w Grecji. Odkąd wyjechałam z LA, ani razu nie było mi ciepło.

— Chcesz kiedyś wrócić do domu? — spytałam Paula. Strzepnął mi popiół z twarzy. — To jest stulecie wygnańca —

powiedział. — Nie da się wrócić do domu.

Nie musiał mi tego mówić, bał się, że wrócę. Zostanę studentką, zamieszkam na kampusie, trzy posiłki dziennie w stołówce, aerobik, seminaria, a jego zostawię z torbą zastępczego dziecka w rękach. Alternatywa była następująca: z jednej ^strony Frau Acker i czynsz, mój kaszel, próby wydrukowania przez Paula jego dzieła, z drugiej strony miejsce, gdzie jest ciepło, dyplom, przyzwoite jedzenie i ktoś opiekujący się mną.

Nigdy mu tego nie powiedziałam, ale czasem czułam się dziwnie. To, jak żyliśmy, było przynębiające. Wcześniej nie mogłam sobie pozwolić na zastanawianie się nad tym, ale teraz, kiedy ona wyszła na wolność, jak mogłam się nie zastanawiać? A dodatkowo Oskar Schein pytał mnie, czy mógłby się ze mną zobaczyć sam na sam, zaprosić mnie na kolację, chciał porozmawiać ze mną o wystawie w galerii. Stale się czymś wymawiałam, ale nie wiedziałam, jak długo jeszcze wytrzymam. Uważałam go za atrakcyjnego — niedźwiedziowaty mężczyzna z krzaczastą siwą brodą. Znów rozkraczanie się dla ojca. Gdyby nie Paul, zrobiłabym to już wiele miesięcy wcześniej. Ale Paul był kimś więcej niż moim chłopakiem. Był mną.

416A teraz moja matka wołała mnie, nie musiałam do niej dzwonić. Słyszałam ją.

Moja krew szeptała jej imię.

Patrzyłam na jej zdjęcie, macha dłonią w kalifornijskim słońcu. Jest już na wolności. Jeździ po mieście, gotowa zacząć od nowa, mimo wszystko taka amerykańska. Pomyślałam o moim życiu zapakowanym do walizek pod ścianą, o kształtach, które przybrałam, o różnych ja, którymi byłam. Teraz będę córką Ingrid Magnussen w Stanford lub Smith, odpowiadającą na pełne czci pytania jej nowych dzieci. To twoja matka? Jaka ona jest naprawdę? Mogłabym to robić. Wiedziałam, jak czerpać korzyści ze swojej tragicznej przeszłości, zręcznie pokazywać blizny, mój status zastępczego dziecka, opanowałam tę sztukę do perfekcji z Joan Peeler. Ludzie brali się na to, robili ze mnie swój projekt, swoje ulubione zwierzątko. Kreowali się na moich patronów, a ja pozwalałam im na to. Nie po to dotarłam tak daleko, żeby teraz mnie zostawiono na dnie jakiejś rzeki pośród wraków samochodów.

Znów być córką mojej matki. Bawiłam się tym pomysłem jak dziecko kocem, przesuwałam go między palcami. Znów zagubić się w nurcie jej muzyki. Pomysł był bardziej uwodzicielski niż jakikolwiek mężczyzna. Czy naprawdę jest za późno na powrót do dzieciństwa, na to, by znów wejść do tygła, w ogień, by wstać z popiołów bez wspomnień? „Feniks musi spłonąć...” Miałabym odwagę? Zajęło mi tyle czasu, żeby uwolnić się od jej cienia, by zacząć samodzielnie oddychać, nawet tym pachnącym spalonymi włosami powietrzem Europy.

Leżałam w ramionach Paula i myślałam o tym, jak poprzedniego lata pojechaliśmy do Danii, żeby znaleźć Klause Andersa. Zlokalizowaliśmy go w Kopenhadze. Mieszkał z dziećmi w obskurnym mieszkaniu, w którym pachniało terpentyną i starym mlekiem. Jego żona była w pracy. Była trzecia po południu, kiedy przyszliśmy z wizytą, miał na sobie niebieski sztuczkiowy szlafrok pochłapany farbą. Na kanapie siedziała dwójka dzieci poniżej piątego roku życia, moja przyrodnia siostra i brat z jego trzeciego i czwartego małżeństwa, oglądały telewizję. Dziewczynka miała we włosach dżem truskawkowy, niemowlęciu trzeba było zmie-

417nić pieluchę, zobaczyłam, że łańcuch katastrofy może poruszać się poziomo, a nie tylko pionowo.

Malował, płótno jak stary but z włosami. Poczęstował nas piwem i spytał o moją matkę. Piłam piwo i mówienie zostawiłam w większości Paulowi. Mój ojciec. Urodziwe

czoło, duński nos taki jak mój. Głos z zaśpiewem akcentu, humorystyczny, nawet gdy wyrażał żal. Człowiek, który nigdy nie traktował niczego poważnie, a już najmniej siebie samego. Ucieszył się, że jestem artystką, nie zdziwiło go, że moja matka siedzi w więzieniu, zaproponował, żebyśmy zostali, możemy spać na kanapie, ja pomogłabym przy dzieciach. Miał sześćdziesiąt jeden lat i był taki pospolity.

Poczułam się jak moja matka, siedzę w jego salonie, oceniam go, jego niesympatyczne dzieci i nigdy nie wyłączany telewizor. Stary futon, sfatygowany tekowy stolik do kawy z odcisniętymi kólkami. Płótna na ścianach, inkrustacje jak mózgowy koral i rak jelita grubego. Jedliśmy chleb z serem i z dżemem truskawkowym z dużego słoika. Dałam mu adres sklepu z komiksami, powiedziałam, że będę z nim w kontakcie. Po raz pierwszy w życiu chciałam iść, być pierwszą osobą, która wyjdzie z pokoju.

Potem poszliśmy do baru studenckiego blisko uniwersytetu, gdzie schlałam się gruntownie, na smutno, a potem zwymiotowałam w uliczce. Paul zawlókł mnie na ostatni pociąg do Berlina.

Teraz wzięłam Paula za rękę, jego prawą w moją lewą, przeplotłam palce przez jego palce, moje dłonie były duże i blade jak zima, moja tożsamość wyhaftowana w słojach opuszków palców, dłonie Paula ciemne od grafitu, pachnące tytoniem i kebabami. Korpusy naszych dłoni były tej samej wielkości, lecz ón miał o kilka centymetrów dłuższe palce. Jego piękne dłonie. Zawsze myślałam, że gdybyśmy mieli dzieci, to chciałabym, żeby je po nim odziedziczyły.

— Co z drukarzem? — spytałam.

— Chce gotówkę — powiedział Paul. — Wyobrażasz sobie? Odwróciłam nasze dłonie, żebyśmy mogli je obejrzeć z obu

stron. Jego palce prawie dotykały moich przegubów. Wodziłam

418palcami po jego ścięgnach, myśląc o tym, że za tydzień mogłabym być w Stanach. Mogłabym być taka jak moja matka, jak Klaus. Przecież to moja scheda, zrzucąć z siebie kolejne żywoty jak wąż skórę, nowa prawda na każdy nowy rozdział, moralna amnezja.

Ale co za hańba. Wolałabym umrzeć z głodu. Umiałam to robić, to nie takie trudne.

Rozejrzałam się po naszym mieszkaniu, zawilgłe ściany, parę mebli, zdezelowana szafka z płyty paździerzowej, którą znaleźliśmy w uliczce, maleńka kuchnia schowana za zakurzoną zasłoną z aksamitu. Stół do rysowania Paula, jego papiery i pióra. I walizki, ustawione pod ścianą, zajmujące resztę podłogi. Nasze życie. „Feniks musi spłonąć”, powiedziała moja matka. Próbowałam wyobrazić sobie płomienie, ale było za zimno.

— Może sprzedam do muzeum — powiedziałam.

Paul wodził palcami po bliznach od ukąszeń psów na moich dłoniach. — Myślałem, że powiedziałaś Oskarowi, żenię sprzedasz.

Wzruszyłam ramionami. Nigdy nie byłabym w stanie dotrzeć do końca tego, co znajdowało się w tych walizkach, te kobiety, ci mężczyźni, co dla mnie znaczyli. Te sale to był tylko początek. W walizkach były kolejne walizki, których nawet jeszcze nie zaczęłam rozpakowywać. „Chcesz pamiętać, to pamiętaj”.

Wsunęłam dłonie pod wełnianą koszulę, którą kupiłam mu na pchlim targu. Szarpnął się z zimna, a potem pozwolił mi je ogrzać

o kościste zebra. Kiedy przybliżyliśmy się do siebie, mrużąc miękko, „Herald Tribune” zsunął się ze śpiwora i spadł na podłogę miękką kaskadą, zagrzebując moją matkę pośród nagłówek, wiadomości o innych kryzysach i osobach. Zdjęliśmy kurtki

1 spodnie, żeby się kochać, ale zostawiliśmy koszule i skarpetki. Wiedziałam, że podejmuję wybór. To, teraz, walizki, Paul. Dalej będę formowała swoje życie, zamiast powrócić do labiryntu mojej matki.

Potem leżałam, patrząc na wzory, jakie rzucało wpadające przez okno światło na pokrytych zaciekami ścianach, wygrawerowane rysunki podobne do ptasich łapek. Obok mnie Paul spał

419z głową pod poduszką, efekt lat spędzonych w opiece zastępczej, żeby nie słyszeć więcej, niż musi. Wyśliznęłam się spod pościeli, nałożyłam zeszywniałe z zimna dzinsy i sweter, zapaliłam pod czajnikiem, żeby zrobić sobie kawy rozpuszczalnej. Co bym dała za filiżankę gęstej czarnej kawy Oli vii, tak ciemnej, że nawet po wleciu śmietanki niewiele zmieniała kolor. Zwinęłam sobie papierosa z tytoniu Paula i czekałam, aż zagotuje się woda.

W Kalifornii była trzecia. Nigdy nie powiem Paulowi, jak bardzo chciałabym tam

być, jak bardzo chciałabym pojechać z moją matką wzdłuż plaży Mustangiem ze złożonym dachem, w rozgrzanym słońcem, pachnącym szałwią lutym, zabrać jakiegoś wyrzuconego przez morze obcego z naszyjnikiem z muszelek na pięknej szyi. Gdybym powiedziała Paulowijk bardzo tęsknię za LA, uznalby mnie za wariatkę. A jednak tęskniłam za tym zatrutym miastem, gułagiem porzuconych dzieci, archipelagiem smutku. Nawet teraz czułam, jak mnie ciągnie do gorącego wiatru pachnącego kreozotem i sumakiem, do szelestu eukaliptusa, do nocy nie pasujących do siebie gwiazd. Pomyślałam o ruinach gołębnika za domem przy St. Andrews Place, o którym moja matka napisała kiedyś wiersz. Tak bardzo ją gnębiło, że gołębie nie chcą odlecieć, chociaż siatka już dawno się zerwała, słupki powywracały. Ale ja je rozumiałam. Tam było ich miejsce, cień w lecie, ich smutne wołania podobne do dźwięku fujarki. Gdziekolwiek były, próbowały wracać, to było jak ostatni element układanki, który gdzieś się zawieruszył.

Czajnik zagwizdał i zrobiłam sobie kawę rozpuszczalną, wsypałam mleko w proszku z puszki i wpatrywałam się w mieszkania naprzeciwko naszego, po drugiej stronie podwórza — starzec oglądający telewizję i popijający miętowego sznapsa, mężczyzna myjący naczynia, malująca kobieta — podczas gdy po drugiej stronie kuli ziemskiej lśniła Kalifornia, zatrzymując wystrzępiony rąbek stulecia w jasnym popołudniu pachnącym miłością i morderstwem. U sąsiadów z dołu noworodek płakał rytmicznie, cienką, piskliwą pieśnią.

Przyłożyłam dłoń do oszronionej szyby, stopiłam lód ciepłem swego ciała, odciskając idealny obrys dłoni na tle ciemności. Myślałam jednak o świetle wlewającym się przez białe zasłony, o zapachu oceanu, szałwi i świeżego prania. W studni podwórza rozległy się głosy i muzyka, jakaś kobieta śpiewała arię operową, lecz wewnątrz mojej głowy słyszałam natarczywe krzyki myszołowa, cichy szmer jaszczurek w wyschniętym korycie rzeki, dygotanie palm i niemal niedosłyszalne westchnienie spadających płatków róży. W ciemnym odcisku dłoni na szybie widziałam swój rozmazany obraz, ale także twarz mojej matki jarzącą się na dachu domu w niepoznawalnym mieście, rozmawiała z księżycem w trzeciej kwadrze. Chciałam usłyszeć, co mówi. Chciałam znów poczuć zapach tej spalonej północy, chciałam poczuć na twarzy ten wiatr. Było to sekretne pragnienie, jak piosenka, od nucenia której nie można się powstrzymać, albo miłość do

kogoś, kogo nie można mieć. Nieważne, w którym kierunku pójdę, mój kompas zawsze będzie pokazywał na zachód. Zawsze będę wiedziała, która jest godzina w Kalifornii.